



**BELVA PLAIN**



**KLEJNOT  
POŁUDNIA**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Późnym popołudniem pewnej wiosennej soboty 1835 roku na wzgórzu górującym nad wioską Grunwald w połowie drogi pomiędzy Alpami Bawarskimi i frankońskim Wurzburgiem pojawił się powóz. Lakierowane na żółto koła pokrywał kurz, a cztery potężne konie stąpały z wyraźnym wysiłkiem. Widać było, że jechał z daleka. Wieśniacy, kończący na polach pracę, oglądali się za nim z apatycznym zdziwieniem - wieś nieczęsto odwiedzali podróżni, a jeśli nawet, to zazwyczaj byli to albo piesi wędrowcy, albo też jakiś zmęczony i zrezygnowany handlarz docierał tam swoim ciężkim wozem. Przez chwilę powóz stał nieruchomo, jego przysadzista sylwetka odcinała się na tle płonącego, pokrytego pierzastymi smugami chmur nieba. Wydawało się, że zanim dalej podąży prowadzącą w dół drogą, ukryty w środku pasażer chce przyjrzeć się leżącej u stóp wzgórza. Wreszcie, przy wtórze skrzywienia skórzanych pasów, pojazd ruszył, by zniknąć za zasłoną pączkujących lipowych liści. Po paru minutach wyłonił się ponownie już u stóp wzgórza, przebył całą długość jedynej ulicy i skręcił w Żydowski Zaułek. Obserwujący go wieśniacy kręcili głowami:

- No i co wy na to?

Jedyny pasażer powozu także kręcił głową, zamyślony. Był krzepkim młodym człowiekiem koło trzydziestki. Bujne, ciemne włosy okalały jego pogodną twarz o jasnych, przenikliwych oczach i miękko zarysowanych ustach.

- Judengasse - westchnął z niedowierzaniem. - Nic się nie zmieniło.

Nie umiałby jednak powiedzieć, dlaczego miałyby się coś zmienić w ciągu tych ośmiu lat, które minęły od chwili, gdy widział Zaułek po raz ostatni. Te same ciasne domy, od trzech stuleci stłoczone po obu stronach uliczki, nachylały się ku sobie niczym skłóceni starcy.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca pobłyskiwały w oczach szyb pod ciężkimi brwiami średniowiecznych podcieni i oświetlały stare, zniszczone fasady przypominające zmęczone twarze. W połowie uliczki, pomiędzy sklepem rzeźnika a gospodą „Pod Złotym Niedźwiedziem” - tam był ten dom! Nerwowy skurcz ścisnął gardło młodego człowieka. Znowu te ciemne drzwi, przerażające krzyki, szyderczy śmiech - tak, to był śmiech - odgłos biegnących stóp i krew jego młodej żony płynąca po stopniach. Z najwyższym wysiłkiem opanował mdłości.

- Ameryka - powiedział głośno, nie zdając sobie z tego sprawy.

Szabas już się skończył i podwójne drzwi starej, drewnianej synagogi były zamknięte, a wysokie stopnie opustoszały. Kiedy powóz z szarpnięciem stanął o metr od „Złotego Niedźwiedzia”, ostatni wierni zmierzali właśnie do domu w swych odświętnych strojach, toteż wokół szybko zgromadziła się grupka ciekawskich. Kiedy przybysz wychylił się z powozu, dostrzegł blade twarze, wyczekujące i zaskoczone. Zebrani przypominali cyrkową widownię oczekującą na przedstawienie. Nic nie wskazywało, że jest to miejsce dawno minionej tragedii. Widząc, że stał się ośrodkiem zainteresowania, a nie chcąc zostać rozpoznanym, pochylił głowę.

Zebrany tłumek najpierw zobaczył przez otwarte drzwi parę skórzanych butów, później laskę ze srebrną gałką, wreszcie sukienny płaszcz z aksamitnym kołnierzem i futrzany kapelusz o tym samym, płowym odcieniu. Natychmiast jednak uwagę ludzi przyciągnął znacznie bardziej egzotyczny widok: dwójka istot ludzkich, a przecież czarnych jak węgiel. Przedtem, przycupnięci za plecami woźnicy, kryli się przed niepowołanym wzrokiem pod rozwianymi fałdami jego peleryny, ale teraz ukazali się oczom zebranych - dwaj czarni chłopcy, niemal mężczyźni, odziani w jaskrawobłękitne bryczesy i szamerowane złotem kamizelki.

Podróżny, zwrócony plecami do gapiów, wydawał polecenia woźnicy:

- Wynajmij mi na noc pokój. I dopilnuj, żeby zajęli się tymi dwoma. Oni nie mówią po niemiecku. - Poklepał obu chłopców po ramionach. - Maxim! Chanute! - Powiedział coś po francusku, na co obydwaj służący nisko się skłonili.

Potem, nie patrząc na boki, podróżny opuścił podwórze i poszedł ulicą do domu Reubena Nathansohna. Zapukał do drzwi. Kiedy otworzyły się, zniknął w środku. Zdziwione oczy spoglądały w ślad za nim.

- Kim on jest, do diabła, że poszedł zobaczyć się ze starym Nathansohnem?

- To cudzoziemiec, Francuz. Słyszeliście przecież.

- Jakiś dygnitarz?

- Dygnitarz! W wynajętym powozie!

- Bankier. Zagraniczny bankier, a może kupiec...

- Żyd. Nie zauważyliście? Jest Żydem.

- A niby jak miałem zauważyć? Bogaty cudzoziemiec wygląda jak bogaty cudzoziemiec. Myślisz, że ma napisane na czole: "Jestem Żydem" albo "Nie jestem Żydem"? Cudzoziemcy nie muszą nosić oznakowania.

Stara kobieta, dotąd w milczeniu przysłuchująca się rozważaniom innych, nagle krzyknęła piskliwie. Jej złote kolczyki zakołysały się, gdy w podnieceniu potrzęsnęła głową.

- Nie wiecie, kim on jest? Nie poznaliście go? To Ferdinand Raphael!

- Ferdinand-Francuzik!

W powietrzu krzyżowały się głosy, przerywając sobie nawzajem.

- On nie jest Francuzem tylko Alzaczkiem. Przyjechał prosto z Alzacji, kiedy poślubił Hannah Nathansohn.

- Pamiętam, jak...

- Niemożliwe! Przecież wyjechał do Ameryki po tym, co się stało.

- A cóż mu przeszkadzało wrócić? Przyjechał po swoje dzieci.

- Jasne, każdy by się domyślił.

- Tak sądzisz? Ale czas najwyższy, żeby to zrobił. Dziewczynka ma już osiem lat.

- Dziewięć. Miriam skończyła dziewięć lat.

Kobieta, która rozpoczęła całą dyskusję, przepchnęła się do przodu.

- Miriam ma osiem lat - powiedziała autorytatywnie. - Byłam przy jej porodzie. Czyż nie widziałam, jak jej matka ją urodziła i zmarła chwilę po tym? - Jej głos rósł śpiewnie. - Och! To był cud! Cud, że to dziecko w ogóle przeżyło...

Wszyscy umilkli w nabożnym skupieniu. Młoda kobieta spytała:

- Czy nie została zabita, kiedy studenci...

- To stało się, zanim tutaj przyjechałaś, Hildo. Tak, kiedy ci panice szaleńczo pędzili na swych potężnych koniach prosto do Żydowskiego Zaułka... - głos stał się bezbarwny i monotony, jak gdyby mówiąca niechętnie wracała do dawno minionej grozy. - Tłukli okna, łamali drzwi, a my wszyscy biegliśmy, biegliśmy... Te kamienie! Tak wielkie, że rzucali je obiema rękami. Mój Boże! Byłam razem z Hannah, dwa kroki za nią, gdy ją uderzył... Córka Nathansohna, młoda żona Raphaela, dostała prosto w głowę tuż przed drzwiami domu. Wnieśliśmy ją do środka. Dziecko złapało pierwszy oddech, kiedy jego matka oddała swój ostatni.

Ponownie zapanowała cisza, koszmarne wspomnienia wciąż były dla wszystkich zbyt realne. Wreszcie ktoś dodał:

- Wkrótce potem wyjechał. Do Ameryki.

- Każdy by wolał wyjechać jak najdalej po czymś takim.

- Tak, wygląda na to, że zrobił w tej swojej Ameryce majątek i wrócił po dzieci.

- Z pewnością będzie miał pełno roboty z chłopcem.
- O co ci chodzi? Zawsze był dobrym, żywym chłopakiem.
- Byстрыm na pewno, tylko głupim jak wołowy ogon. I nie jest już takim dzieckiem. Ma chyba piętnaście lat.

Czekali więc w Zaułku, nie chcąc nic uronić z tak ciekawego wydarzenia. Zrobiło się ciemno. Grupka zaczęła topnieć. Kilkoro zapaliło latarnie i wciąż czekało. Ale nie było nic do oglądania, z wyjątkiem krowich zadów w oborze za domem Nathansohna. Po chwili ostatni maruderzy poszli do domu.

Rząd zielonych bocianów ozdobił kafłowy piec stojący w kącie. W miarę jak ochładzało się w nocy, słuchacze przysuwali się coraz bliżej pieca. Kiedy Ferdinand wyciągnął dłonie do ciepła, okrągły szafir na jego palcu rozbłysnął w świetle.

- Nigdy nie przywyknę do tego północnego klimatu - powiedział swoim miękkim, francusko akcentowanym niemieckim. Uśmiechnął się. - Czy jeszcze choć trochę pamiętasz swojego ojca, Dawidzie?

Chłopiec ani na moment nie spuszczał z niego wzroku. W jego ciemnych oczach czaiło się chłodne wyczekiwanie.

- Tak - potwierdził. Odpowiedział krótko i zdecydowanie, tak jak ludzie, którzy nie mówią tylko dla samej przyjemności mówienia. - A także moją matkę. Pamiętam wszystko.

- Z pewnością. Byłeś bardzo byстрыm chłopcem. Zresztą w naszej rodzinie rozumu nigdy nie brakowało.

Ferdinand ponownie się uśmiechnął. Tym razem jednak w odpowiedzi otrzymał tylko chłodne, badawcze spojrzenie przenikliwych oczu. Poczł się nieswojo. Bezwiednie przesunął dłonią po gładkim, bobrowym futrze kapelusza, który nadal spoczywał na jego kolanach. Głaskał je teraz odruchowo, jakby miękki dotyk zwierzęcej sierści mógł go uspokoić i przywrócić mu zachwianą pewnością siebie.

Ten ciemny pokój - czy naprawdę mieszkał tu kiedyś? Przez cały rok było tu wilgotno. Piec i stary, dębowy kredens przyczajony w przeciwległym kącie jak leśne zwierzę; krzesła i stół zrobione ze zwykłego drewna nadającego się raczej na podpałkę; goła i zimna podłoga. Ferdinand wzdrygnął się. Przeklęta, wieczna bieda! W takich miejscach łatwo było zapomnieć, jak kusząco pachnie wino i jak soczyście smakują owoce. Tu śmiech nie brzmiał jak muzyka, a melodia nie porywała do tańca. W podobnym domu trudno uwierzyć, iż można pozwolić sobie na to wszystko, smakować życie, a w nocy spać spokojnym snem.

Wpatrywali się w niego wyczekująco, żądając wyjaśnienia jego obecności, jakby wrodzy temu powrotowi. Musiał wydawać się obcy - nie, on był obcy. A Dinah czuła dodatkową gorycz: była starą panną już wtedy, kiedy poślubił jej młodszą siostrę. Jakże łagodna, słodka i kochana była Hannah przy swej zasuszonej siostrze!

A teraz Dinah siedziała przed nim, jeszcze suchsza, pożółkła jak cytryna, czterdziestolatka o obrzydliwie zaplamionej szabasowej spódnicy, i nie miała nawet nic, na co mogłaby czekać, chyba tylko na śmierć ojca, która, sądząc po jego wyglądzie, była już bardzo bliska. Dziadunio rozkaszał się na swym łóżku i ciaśniej otulił szalem wychudzoną szyję. Spędzić całe życie, postarzyć się i umrzeć w tym ponurym domu! Ferdinanda ogarnęła fala współczucia.

Jedyna twarz, jaka odpowiedziała na jego sygnał, należała do Miriam. Tylko w niej dostrzegł to, co pragnął ujrzeć. Miała opałowe oczy matki, ich lekko uniesione ku górze kąciki sprawiały, iż zawsze wyglądała wesoło, nawet gdy była w poważnym nastroju, tak jak teraz. Po matce odziedziczyła też krótszą górną wargę, ledwie sięgającą dolnej. Jakie wrażliwe usta, zbyt wrażliwe na to, by żyć w tym domu, z wiecznie skrzywionym, schorowanym starcem i zgorzkniałą starą panną, która, jak podejrzewał, musiała stosować wobec dzieci swoistą tyranię. Ferdinand czuł dziwne wzruszenie na widok swej małej córeczki, jej wąskich, arystokratycznych stóp, skrzyżowanych nóg, wdzięcznych ruchów szczupłych palców, głaszczących siedzącego na jej kolanach niewielkiego psa o jedwabistej sierści.

- Mam dla ciebie parę prezentów, Miriam - powiedział, przetykając łyżę. Tak bardzo pragnął dawać, dawać z miłości i żalu za utraconym czasem, którego nigdy już nie da się odzyskać. - Kupiłem trochę rzeczy w Paryżu i kazałem je stamtąd wysłać do domu.

Pomyślał o cudach, zdążających już do Nowego Orleanu: Pleyela pianinie, skrzynkach złotoblękitnej sewrskiej porcelany, metrach delikatnej koronki, haftowanych szalach, parasolkach od słońca, ręcznie malowanych wachlarzach i oprawnych w cienką skórę książkach dla chłopca. Nagle jednak przemknęło mu przez głowę, że rozmowa o podobnych rzeczach tu, w Judengasse, byłaby prawdziwym okrucieństwem. Kiedy dotrą do domu, będzie miał wystarczająco dużo czasu, aby pokazać, co może zrobić dla dzieci.

Powiedział więc jedynie:

- Mam dla ciebie lalkę o złotych włosach. Jest w moim bagażu w gospodzie, dostaniesz ją rano. Również ubranie dla ciebie, Dawidzie, i podróżną sukienkę dla Miriam. Są w tej skrzynce. Musicie je jutro włożyć, żeby ładnie wyglądać na drogę.

- A teraz jeszcze zabierasz mi dzieci - stwierdził oskarżycielsko starzec.

- Dziaduniu, wiem, jakie to dla ciebie trudne, uwierz mi. Ale zabrałbym i ciebie, gdybyś zgodził się pojechać. I ciebie też, Dinah. - Nagle przestraszył się własnych słów. A gdyby tak przyjęli propozycję? Cóż, wtedy po prostu musiałby dotrzymać słowa! - Mam żonę, Emmę. To dobra kobieta, wdowa z dziećmi. Dwiema córkami. Ostatniej zimy jedna wyszła za męża. Ma na imię Pelagia, urocza dziewczyna. Mieszkamy w wielkim domu, równie wspaniałym jak cokolwiek, co moglibyście zobaczyć w Wurzburgu.

- Oczywiście. W Ameryce złoto leży na ulicach. Każdy to wie - wtrąciła Dinah. Zawsze tak samo sarkastyczna, musiała dać mu do zrozumienia, iż nie imponuje jej ani jego bogactwo, ani hojność. „Ostry język samotnej kobiety, której nikt nie chciał” - pomyślał Ferdinand ze współczuciem. Trzeba było przyznać, że została starą panną nie tylko z własnej winy. Młodzi Żydzi zazwyczaj nie mieli grosza przy duszy, zaś wielu z nich i tak wyruszało do Ameryki. No i był jeszcze bezlitosny matrikel - urzędowe zezwolenie na zawarcie małżeństwa, udzielane jedynie nielicznym. Nie, nie tylko ona zawiniła.

- Mojego nie znalazłem na ulicy - odparł miękko. - Musiałem na nie bardzo ciężko pracować.

Dziadek zakaszłał gwałtownie, boleśnie, rozbryzgując drobinki krwi. Dawid przyniósł mu kubek wody. Delikatnie przytrzymał na nim rękę starca.

Nagle, jakby z całej siły starając się przerwać swe milczenie, chłopiec zwrócił się do Ferdinanda.

- Opowiedz nam o Ameryce. Powiedz, co się zdarzyło od czasu, gdy wyjechałeś. Choć musiał już opowiadać tę historię co najmniej sto razy, z przyjemnością usłuchał prośby syna.

- Już od dawna zastanawiałem się nad wyjazdem do Ameryki, a po śmierci waszej matki wreszcie się zdecydowałem. Jak wiecie, nie miałem zbyt wiele, więc zapakowałem swoje rzeczy do płóciennego worka i ruszyłem na zachód. Zanim jeszcze dotarłem do Renu, zupełnie zdarłem buty, toteż zatrudniłem się na dwa dni przy zbieraniu jabłek w zamian za parę starych butów. Na szczęście pasowały. Następną część drogi przebyłem rzeczną barką. W Strasburgu mam dalekich kuzynów, którzy pozwolili mi zostać u

nich przez kilka dni i odpocząć, a także uraczyli paroma solidnymi posiłkami.

Wszyscy przysłuchiwali się z milczącą uwagą, niemą zachętą dla gawędziarza. Szczególnie chłopiec był całkowicie zafascynowany.

- Udało mi się dostać na wóz, którym dojechałem aż do Paryża...

Paryż - wtedy i teraz. Ohydne, cuchnące uliczki. Kwitnące kasztany i długie, szerokie aleje. Dwa różne miasta, w zależności od tego, ile ma się pieniędzy w portfelu. I czy w ogóle się je ma.

- W końcu dotarłem do Hawru i stamtąd pożeglowałem. Trwało to dwa miesiące i kosztowało siedemdziesiąt dolarów amerykańskich, wszystko, co w ogóle miałem... Morze jest jak łańcuch gór, które walą się na człowieka. Nie możecie sobie tego wyobrazić. Byłem na samym dnie statku, tam, gdzie podróżują emigranci. Bardzo chorowałem. Niektórzy nawet umierają z powodu choroby morskiej. - Uniósł wzrok i spojrzał na dzieci z szerokim uśmiechem. - Nie bójcie się, wam to nie grozi. Będziecie mieć śliczne kabiny, wysoko, tam, gdzie dociera najlepsze, słone powietrze. Powinniście je zobaczyć! Drzewo tekowe i polerowany mosiądz. Delikatna pościel, lekkie puchowe kołdry. No, w każdym razie przebyłem ocean, dotarłem do Baltimore i zabrałem się do pracy. Było bardzo ciężko. Czasami zastanawiam się, jak mogłem to robić, jak w ogóle ktokolwiek jest w stanie znieść coś takiego. A jednak są tacy ludzie i ja też wytrzymałem wszystko. W końcu także dotarłem do Nowego Orleanu.

- Czy to bardzo daleko? - spytał Dawid - No wiesz, z Baltimore do Nowego Orleanu.

- O tak! Wiele mil, całe lata! Choć, szczerze mówiąc, w moim przypadku tych lat, o dziwo, nie było aż tak wiele. Zacząłem na farmie w Marylandzie. Sami wiecie, że nigdy nie pracowałem na roli, ale kiedy jest się zdrowym i ma silną wolę, można nauczyć się wszystkiego. Szybko opanowałem angielski, mam ucho do języków. Nie było tak źle. Porządni ludzie, farmer i jego żona, oboje grubi i małomówni, sami też ciężko pracowali. Podczas posiłków słychać było tylko szcęk widelców. Muszę przyznać, że karmili dobrze, ale skąpili pieniędzy. Gdy nadszedł czas zapłaty, dostałem tylko połowę tego, co mi obiecano. Farmer powiedział, że miał kiepski rok. Kłamał, bo zbiory były bardzo dobre. Mieliśmy doskonałą pogodę, dość deszczu i słońca, i sam jeździłem z nim na targ sprzedawać kukurydzę. Po prostu nie chciał rozstać się z brzęczącą monetą. No cóż, powiedziałem sobie, przyrzekłem zostać dwa lata, a on obiecał mi zapłatę, złamał jednak



słowo, więc i ja nie czułem żadnych wyrzutów sumienia, nie dotrzymując mego. Pewnego ranka wstałem bardzo wcześnie i ukradkiem opuściłem stodołę, w której mieszkałem.

Jesień. Spadające liście, takie złote i czerwone! Słodko-kwaśne jabłka gniły w trawie. Chłodny świt; za kilka godzin słońce przygrzeje, a w ciepłym powietrzu rozniesie się brzęczenie pszczoł. O tej porze dotrze już dość daleko. Nieważne, jaką drogą, byle tylko na zachód.

- Tym razem miałem gotowy plan. Kilka razy zetknąłem się z handlarzem, który pojawiał się co kilka miesięcy, przynosząc ze sobą różne błahostki dla żon farmerów: bawełniane materie i nici, igły i szczotki do zębów. Stwierdziłem, że wiodło mu się całkiem nieźle. Oto, co zrobiłem. Za pieniądze od gospodarza kupiłem pełny worek towaru i ruszyłem od farmy do farmy aż do rzeki Ohio. I nie było to wcale takie złe życie. Wędrowałem po kraju, a monety dzwięczały mi w kieszeni i stopniowo stawały się coraz cięższe. Albo podróż barką w dół wijącej się rzeki i ta ciekawość, co ujrzę za następnym zakrętem.

Po setkach wzgórz i dolin, czy pamiętasz, jak wysiadłeś w miejscu, gdzie Ohio wpada do Missisipi; czy pamiętasz świeżą, młodą, wiosenną zieleń, zapach trawy i tę pustą przestrzeń, ogromną ciszę, która dzwoniła w uszach? Pamiętasz, jak cisnąłeś na ziemię kapelusz i sam, nie obserwowany przez nikogo, rzuciłeś się w wir szalonego tańca z samej radości bycia wolnym, niepodlegania nikomu? Z radości, że się jest młodym, wciąż ma się siły i już nie trzeba się bać. Niczego.

- Po pewnym czasie mogłem już sobie pozwolić na kupno konia. Nieszczęsne zwierzę, wymęczone, z odparzonym od siodła grzbietem! Stać mnie było na lepszego, ale zrobiło mi się go żal, więc pozwoliłem mu wypocząć i odzyskać nieco sił. Zaprzyjaźniliśmy się wtedy i razem wyruszyliśmy w drogę. Tam i z powrotem, w głąb kraju i nad rzekę. U hurtowników w mieście uzupełniałem swoje zapasy. Czasami wracałem na barkę, aby przepłynąć dziesięć czy piętnaście mil do następnego lądowania.

Ferdinand, opowiadając swą historię, ponownie wszystko przeżywał. W tej chwili mówił już nie tylko do nich, ale też dla samego siebie.

- Widziałem wielkie nadrzeczne plantacje, wspaniałe, ozdobione kolumnami domy, setki czarnych niewolników, całe mile bawełnianych pól. Ale też biedne osady, trzy czy cztery drewniane domy pośrodku puszczy. W Europie nie ma podobnych lasów, o nie... - Szukał właściwych słów - Nie potraficie nawet wyobrazić sobie tych odległości, dzikości tych lasów.

Rzadko stapała tam stopa ludzka. Osady dzielą godziny jazdy. I nagle widzi się zbiegowisko ludzi, odzianych w zwierzęce skóry, kobiet i dzieci w poszarpanych strojach.

Człowiek zastanawia się, co ich tu sprowadziło, czemu trzymają się tego ciężkiego, prymitywnego życia.

Las, bagna, szlak. Pod sosnami zalegają cienie, cierniste krzaki napierają na ścieżkę, chloszczą twą twarz tak, że bez przerwy musisz osłaniać się ręką. Gałązki pękają ci pod nogami. Nagle nadchodzi strach, stara zmora dzieciństwa, wspólna dla wszystkich ludzi: ktoś za tobą idzie. Za moment skoczy naprzód i pochwyci nieświadomego wędrowca. Z najwyższym trudem zmuszasz się, by myśleć rozsądnie. I nie oglądać się za siebie.

- Samotno, pusto...

- A Indianie? - wtrącił Dawid z napięciem. Bezwiednie przebierał palcami, nawijał na nie kędziory włosów.

- A, tak, Indianie! Szczep Choctaw. I wilki. To właśnie z powodu wilków, nie Indian, kupiłem strzelbę. Indianie nigdy nie wchodzili mi w drogę.

- Strzelbę - powtórzył chłopiec.

Ferdinand dostrzegł, że udało mu się przemówić do jego dziecięcej jeszcze natury. W trzech czwartych, czy może nawet więcej, był już mężczyzną, ale reszta to dziecko. Ta część z zachwytem przysłuchiwała się przygodom ojca.

Skinał głową.

- Tak, ale na szczęście używałem jej tylko na króliki. Po pewnym czasie mogłem już kupić wóz. Miałem na nim dziesięć skrzyń, wyładowanych wszelkimi możliwymi materiałami, od krepy po madras. Wiozłem mosiężne zegary i kieszonkowe złote czasomierze, fildekosowe pończochy, wełniane wzorzyste szale, rękawiczki z koziej skóry i sztuczną biżuterię, wszystko, czego potrzebuje i pan, i sługa. Odkąd miałem wóz, musiałem trzymać się uczęszczanych dróg. - Roześmiał się. - Uczęszczanych, zaiste! Można było jechać cały dzień nie napotykając żywego ducha! Czasami mijałem innego handlarza, najczęściej też europejskiego Żyda. Po pewnym czasie zaczęła męczyć mnie samotność takiego życia. Ale jeśli ma się w głowie ideę, uporczywą myśl, która towarzyszy naszym krokom, nigdy nie jest się naprawdę samotnym. A ja pragnąłem osiąść w jednym miejscu i otworzyć sklep. Przecież wiedziałem, jak należy handlować, mój ojciec kupował zboże dla armii Napoleona. Cóż, mniej więcej po dwóch latach oszczędziłem dość pieniędzy, by założyć kram. Była to po prostu wielka, kwadratowa chata o ścianach pełnych półek. Ale miejsce znalazłem wspaniałe, na drodze na

Szlak Chihuahua. Mogłem tam zaopatrywać karawany zdążające do Meksyku. Każdy, kto wędrował tą drogą, od plantatora po Indian, wstępował do mnie. A potem potoczyło się już szybko. W Ameryce wszystko idzie szybko.

Świece prawie się już wypaliły. Dinah uniosła się z miejsca i zapaliła następną. Używanie świec tak późno w nocy wciąż stanowiło hulaszczy luksus. Zawsze było i zawsze będzie. Tu, w europejskich wioskach, wszystko trwało w bezruchu.

- Tak, na czym więc skończyłem? A tak. Znakomicie prosperowałem, ponieważ w krótkim czasie wyrosła wokół mnie osada. Po roku sprzedałem swą działkę za trzykrotną cenę i ruszyłem w dół rzeki. Cóż to za rzeka! Jedna z największych na świecie. Tak szeroka, że w niektórych miejscach nie widać drugiego brzegu. A po drodze tyle kwitnących miast: Memphis, wielki rynek bawełny, Baton Rouge, i dalej na południe, ciągle na południe. Nowy Orlean - tam od początku chciałem dotrzeć. Królewskie Miasto czy, jak je czasem zważ, Miasto w Zakolu, u ujścia wielkiej rzeki.

Ach, Nowy Orlean! Klejnot w rzeczonym zakolu, leniwe zielone wody zlewiska, senne popołudnia, roziskrzona noc...

- Zakochałem się w nim tak, jak... - już miał powiedzieć „jak mężczyzna w kobiecie”, ale ojciec nie mówi podobnych rzeczy przy swej córce - jak można było tego oczekiwać. Niemal natychmiast zaprzyjaźniłem się z pewnym majątnym człowiekiem. Nazywał się Michael Myers. Był Żydem z północy, blisko Nowego Jorku. Jego ojciec służył pod Jerzym Waszyngtonem w wojnie o niepodległość. Czy wiesz coś na ten temat, Dawidzie?

- Słyszałem o tym. Była to walka o uwolnienie się spod panowania Anglii.

- Właśnie. Widzę, że sporo czytałeś. - Ten Michael Myers mieszkał w Nowym Orleanie od dwudziestu lat i stworzył przez ten czas kwitnącą firmę eksportowo-importową. Nie był już jednak młody i poszukiwał współnika, kogoś młodszego i silniejszego, kto znałby się na interesach, albo przynajmniej łatwo pojmował ich reguły, i komu można by zaufać. I znalazł tego człowieka we mnie. Z pełnym przekonaniem mogę stwierdzić, iż nie miał najmniejszych powodów, by żałować swojego wyboru. Nie tylko szybko zorientowałem się, o co chodzi, ale wprowadziłem też pewne udoskonalenia. Na przykład nawiązałem znajomość - a przychodzi mi to bardzo łatwo - z niektórymi kapitanami statków, jakich można napotkać w kawiarniach. I wyłącznie dzięki tym kontaktom zdołałem przejąć kontrolę nad dość

szczególnymi towarami, przynoszącymi spore zyski: biżuterią, butami, pościelą i tym podobnymi. Luksusowe drobiazgi, kosztowne dodatki. Zawsze miałem dobre oko na takie rzeczy. Tak, mój wspólnik nigdy nie miał okazji, by żałować swej decyzji przez ten krótki czas, kiedy pracowaliśmy razem.

Dziadek, jak się okazało, słuchał go bardzo uważnie.

- Krótki czas?

- Tak. Niestety rok temu mój wspólnik zmarł na żółtą febrę. Większość ludzi na lato wyjeżdża z miasta, on jednak nie zrobił tego i zachorował. Okropne nieszczęście.

- Teraz więc ty jesteś właścicielem całego interesu?

- Tak, zostawił go mnie. Wdowa po nim wraz z córką mają inne źródła utrzymania i piękny dom w Shreveport. Przyrzekłem zaopiekować się nimi, gdyby kiedykolwiek mnie potrzebowały. Córka, Marie Claire, jest nieco starsza od Miriam.

- Marie Claire - zauważyła Dinah. - Dziwne imię dla Żydówki.

- W Nowym Orleanie panują inne zwyczaje. - „O tak, inne” - dodał w myślach, i nagle zatęsknił za domem. Po raz pierwszy uświadomił sobie, jak daleko zawędrował. - Moja firma już niedługo będzie największą w całym mieście, jeśli już nie jest. W zeszłym roku ukończyłem budowę domu. Cały z cegły, zbudowany wokół podwórza. - Rozłożył ręce w szerokim, entuzjastycznym geście. - Dziesięć razy większy od tego domu. Na tyłach znajdują się stajnie i mieszkania służby, a cały stoi na planie kwadratu. Wszystkie domy wyglądają tam podobnie, to styl śródziemnomorski.

- Na wzór rzymskiego atrium - wtrącił Dawid.

- Zaskakujesz mnie, chłopcze! Wątyły głos starca zadrżał z oburzenia.

- Ten chłopak ciągle zajmuje się rzeczami, które nie powinny interesować Żyda. Rzymskie atrium, akurat!

- Dziaduniu - powiedział cierpliwie Dawid - Nigdy nic nie rozumiesz. Ludziom nie wystarcza już życie za zamkniętymi drzwiami. Chcemy wiedzieć, co się dzieje na świecie. Nie znaczy to, że musimy utracić wiarę.

Dziadek oparł się na łokciu.

- Posłuchajcie go tylko. Lepiej, żebyście nie chcieli zbyt dużo. Wiele w moim życiu widziałem i nie dam się więcej oszukać. Przyszedł Napoleon, byliśmy wolni. Gdy tylko odszedł, znów do gett! - Wychudzone ręce złączyły się, tworząc mur. - My jesteśmy tu. Oni tam. I nie chcę wiedzieć, co dzieje się po ich stronie muru, bo i tak nigdy tam nie zamieszkać. Nigdy nie

będzie inaczej. Niech tylko nadejdzie wojna albo panika finansowa, czy Bóg jeden wie co jeszcze, i znowu będzie to nasza wina. Zawsze była.

Ferdinand odezwał się cicho:

- Z całym szacunkiem, dziadku, Dawid ma rację. Gdybyś tylko mógł zobaczyć, jak żyjemy w Ameryce! W moim mieście nikt nie pyta, jaką wyznajesz religię i czy w ogóle jakąś wyznajesz. Każdy, kogo na to stać, może wznieść się na społeczne wyżyny.

- Wydaje mi się - przerwała mu Dinah - że zawsze opowiadałeś nam to samo o swej rodzinie we Francji, kiedy jeszcze Napoleon zasiadał na cesarskim tronie.

- I masz rację. To były wspaniałe czasy. Gdyby przetrwał, Europa wyglądałaby dziś inaczej.

- Ale nie przetrwał - uciął starzec. - Jest tak, jak zawsze mówiłem. Czy muszę ci przypominać - szczególnie tobie - co się działo, kiedy chłopcy z Hep Hep jak burza przetoczyli się przez połowę frankońskich miast? Masakry w Darmstademie, w Karlsruhe, w Bayreuth. Hep Hep - powtórzył gorzko - zapomniałem, co oznaczał ten skrót. Coś z Jeruzalem.

- Hierosolyma perdita est. Jerozolima została zniszczona. To po łacinie.

- Łacina czy nie, dla nas znaczyło to krew. Krew Hannah.

Zapadła ponura cisza. Ferdynand spuścił głowę. Te oczy - jego syna, jego córki - nie mógł znieść ich widoku. To były oczy Hannah, jej słodkie, kochane oczy, które przez te wszystkie lata od chwili, kiedy ją utracił, niemal całkiem zapomniał.

- Tak - podjął starzec. Straszny temat rozmowy wlał nieco energii w jego zwapni ale żyły. - Tak, wszystko wróciło do normy! Żadnych równych praw obywatelskich. Nadal nie wolno piastować urzędów. Noś oznakowanie, aby Niemiec wiedział, kim jesteś, gdy mijasz go na ulicy. Te kilka nędznych fenigów i tak pochłoną podatki. I jeszcze wznowili matrikel...

Ferdinand milczał. Ciężar wszystkich tych nieszczęść, które tak długo usiłował odrzucić, na nowo przygniótł go z całą siłą. Z trudem starał się odzyskać pogodę ducha.

- Zatem tu musiałbyś zapłacić, gdybyś chciał się ożenić, Dawidzie. Pomyśl tylko!

- Nie zamierzam się żenić.

- Z czasem zmienisz zdanie. Przekona cię śliczna buzia.

- Możesz zbywać mnie śmiechem - rzekł dziadek - ale nie umkniesz przed prawdą. Czy ktokolwiek zrobił coś, aby nam pomóc? Na przykład duchowni? Nie. Nikt się nie zainteresował i nigdy nikt nic nie robi.

- Masz rację - odparł cicho Ferdinand.

- Więc o co się spieramy?

- Nie wiem, dziadku. Nie pamiętam, od czego zaczęła się ta rozmowa.

- Mówiłeś - przypomniał Dawid - że w Ameryce jest inaczej.

- Właśnie - dodał dziadunio. - A ja powiedziałem, że przekonasz się, jak szybko i tam zacznie się dziać podobnie jak tu.

- Ależ nie - upierał się Ferdinand. - Coś takiego nigdy nie nastąpi. Co wiesz o Ameryce? Och, zgadzam się, że Europy nic już nie uratuje. Precz z nią zatem, precz z jej przeklętą bigoterią i nie mniej przeklętymi wojnami. Nie ma tu żadnej przyszłości dla młodzieży. Przynajmniej naszej młodzieży.

W miarę, jak zapadała noc, przestrzeń wokół nich stawała się coraz mniejsza i w zestawieniu z nią zewnętrzny świat niewyobrażalnie rósł. Znajdowali się sami na maleńkiej wysepce pośród groźnego oceanu. Nagle Ferdinand poczuł ogromne znużenie. Smutek i strach wyczerpały go bardziej, niż mógł przewidzieć: wszystkie te zmarnowane lata życia jego dzieci! Siedziały cierpliwie, choć głowa dziewczynki opadała sennie. Chłopiec natomiast zmagał się z nowymi myślami. Nagle przemówił:

- Często marzyłem... - zawahał się, zerkając na dziadka - myślę, że chciałbym zostać lekarzem. Tutaj to niemożliwe. - Jego rozłożone ręce bez słów opisały życie w domu starca.

- W Ameryce to całkiem realne - zapewnił go Ferdinand. Jego syn wyglądał tak żałośnie w kurtce, z której dawno już wyrósł. Za małe ubrania zawsze wyglądały śmiesznie. - W zeszłym roku powstała Szkoła Medyczna Stanu Luisiana. Mógłbyś zapisać się do niej albo gdziekolwiek zechcesz. I pamiętam też o tobie, Miriam. Mamy bardzo dobre szkoły dla pańienek.

- Pojadę z tobą - odparła Miriam. - Ale tylko wtedy, gdy zabierzesz Gretel.

- Gretel? - Nagle Ferdinand pojął, iż dziewczynka ma na myśli psa. - Ależ oczywiście. To prawdziwa ślicznotka, arystokratka. Piękny cocker-spaniel. Skąd wzięłaś podobnego psa?

- Znalazłam ją na drodze, kiedy była malutkim szczeniátkiem. Ciocia Dinah powiedziała, że miała tylko kilka tygodni. Domyśliliśmy się, że musiała wypaść z czyjś powozu. - Ramiona dziecka zacisnęły się wokół psa.

- Istnieje związana z nimi anegdota - zauważył Ferdinand. Uwielbiał anegdoty. - Mówią, że Maria Antonina przed wyjściem na gilotynę ukryła cocker-spaniela w fałdach swej sukni. Oczywiście nie musi to być prawdą.

Starzec nie dał się odwieść od tematu.

- A więc zabierzesz mi dzieci - powtórzył - w końcu wszyscy mnie opuścicie. To odrażające samolubstwo oburzyło Ferdinanda. Dziadek rzeczywiście zatrzymałby tu dzieci, gdyby tylko mógł! Pozbawiłby je wszelkiej przyszłości! W nagłym przeblysku jasnowidzenia Ferdinand ujrzał, co je czeka: Dawid - ogólnie szanowany lekarz, prawdziwy autorytet, zameżna Miriam w jej własnym pięknym domu, może nawet żona plantatora i pani na jego włościach. „Ale z drugiej strony - pomyślał - kto wie, jaki ja sam będę na starość?” Odpowiedział więc uprzejmie.

- Zastanów się, dziadku. Oto chłopiec, który ma przed sobą całe życie, i dziewczynka, która za kilka lat będzie już kobietą. Co ich tu czeka? Nowy Orlean, nawet z żółtą febrą, jest lepszy od tej beznadziei.

- Jakie życie religijne będą mogli prowadzić w tym miejscu, do którego ich zabierasz? - przerwał staruszek.

Ferdinand zawahał się przez chwilę.

- Prawdę mówiąc, nie tak bogate, jak tutaj.

- No cóż, tobie to nigdy nie przeszkadzało, o ile dobrze pamiętam. Ale nie zniósłbym myśli, że dzieci Hannah mogłyby zapomnieć, kim są.

- Nie ma żadnego powodu, by miały zapomnieć, dziadku.

- Wychowaliśmy je w tym domu w poszanowaniu praw. Podobnie jak ich matka, są posłusznymi Żydami.

Ferdinand spojrział na swe dzieci. Dużo dobrego przyniosło to ich matce! Podniósł się i wyciągnął z kieszeni złoty zegarek.

- Za długo was wszystkich przetrzymałem. Już prawie północ. Ale nieco opóźniłem podróż, żeby nie przybyć tu przed końcem szabasu.

- A jednak podróżowałaś w szabas - zauważyła Dinah.

- Owszem. Przepraszam! Czasem zapominam o takich rzeczach. To te moje nowoorleańskie nawyki. Będę musiał je zmienić - dodał ugodowym tonem.

Na długo przed świtem dwójka dzieci zerwała się z łóżek w swych pokoikach na strychu. Przebudziło ich podniecenie, lekki strach i pewien smutek. Każde ze swego okna przyglądało się, jak mętna czerń nieba blednie i zamienia się w szarość, melancholijny róż, po czym nagle pośród

zgaszonych barw na nieboskłonie zapala się oślepiający srebrny łuk, zwiastujący nadejście słońca.

Dawid, wsparty o parapet, przymknął nieprzywykłe do światła oczy. „Papa przechwala się - pomyślał. - Chce pokazać, jaki jest ważny. Czy wydałem mu się naburmuszony? Z początku nie wiedziałem, co powiedzieć. Chyba mogę przyznać, że jestem na niego zły za to, że mnie - to znaczy nas - porzucił. Ale to byłoby niesprawiedliwe. Co miałby zrobić z małym chłopcem i niemowlęciem? Był taki młody. Kiedy poślubił matkę, miał tylko kilka lat więcej ode mnie. Niezwykłe jest to, że nadal wygląda bardzo młodo, podczas gdy ja czuję się staro - być może starzej niż on, choć to śmieszne. Zawsze czułem się staro. Ma to coś wspólnego z tym obrazem w mojej głowie. Utrwalił się tam i nic go nie zmaże, choćbym z całych sił starał się pokryć go weselszymi farbami. Nie potrafię się go pozbyć. Kredowe napisy na drzwiach: Jude verreck; zdychaj, Żydzie. Śmiech i tupot buciorów. Hep Hep. Kobieta o wielkim, wzdętym brzuchu...”



## ROZDZIAŁ DRUGI.

W pięć tygodni po wypłynięciu z Havru bryg „Mirabelle”, wiozący pasażerów, ładunek bawełny i wina, pozostawił za sobą stalowoszarą toń północnego Atlantyku, zawinął na Azory po świeżą wodę i żywność i wszedł na południowo-zachodni kurs, prosto w lato. Żeglowali pomiędzy błękitem a błękitem, kopuła nieba łączyła się z płaszczyzną morza. Fale w odcieniach turkusowego, lapis-lazuli i lazuru ścigały się ze statkiem. Błękit kilwaterny stawał się srebrzysty. Wypełnione wiatrem żagle łopotały, okręt rozpędzał się coraz bardziej. Świąteczne proporce trzepotały, a rzeźbiona, arystokratyczna dama na dziobie wyciągała długą szyję prosto w kierunku zachodniej półkuli, zupełnie jakby sama z niecierpliwością wyglądała portu.

Dla Miriam, która nigdy nie podróżowała dalej niż kilka kilometrów pomiędzy identycznymi wsiami, nie widziała nic bardziej ekscytującego niż raczej nieciekawa letnia rezydencja hrabiego von Weisshausena - a i to jedynie z oddali, u dalekiego wylotu cyprysowej alei - i przez całe swoje dotychczasowe życie nie zetknęła się z niczym, co w swej niezwykłości mogłoby równać się z powozem jej ojca, ta podróż wydawała się cudowna i sama w sobie mogłaby stać się wystarczającym przeżyciem, nawet gdyby u jej końca nic na nią nie czekało.

David, który poprzez lekturę zwiedził cały świat, był również oczarowany wyprawą, acz w nieco inny sposób. Jego oczy stale czuwały i nic nie mogło im umknąć. Wiele spodziewał się po tej podróży.

Powiedziano mu, że w Nowym Orleanie mówi się po francusku, więc bezzwłocznie rozpoczął ze swoją siostrą naukę. Wśród niewielkiego grona pasażerów - dwóch paryskich bankierów ze strojnymi, ożywionymi żonami i grupki zakonnic płynących do swych nowoorleańskich sióstr - znajdowali się ojciec i syn wracający z europejskiej wycieczki do domu w Charlestonie. Ojciec, Simon Carvalho, był lekarzem. Gabriel, jego syn, rówieśnik Dawida, był sympatycznym chłopcem o regularnym rysach i nienagannych manierach. W odróżnieniu od Dawida, poruszał się dostojnie i powoli. Jednak okazał się na tyle przyjacielski, że zaproponował rodzeństwu naukę języka. Dawid czuł wielki respekt dla jego wiedzy.

- On wie tak wiele. Nigdy go nie dogonię w znajomości łaciny i przedmiotów ścisłych. I jest młodszy ode mnie o pół roku - opowiadał Ferdinandowi.

- Nie przejmuj się przewagą, którą ma nad tobą. Jestem pewien, że uda ci się go doścignąć.

Ferdinand dowiedział się o nich wszystkiego już pierwszego dnia podróży, gdy tylko opuścili port.

- To Sefardyjczycy\*).

\*) Nazwa Żydów pochodzących z południowo-zachodniej Europy, wcześniej osiedlonych na Półwyspie Iberyjskim, a później zamieszkałych w Grecji, w krajach Lewantu, Anglii, Holandii i w obu Amerykach, (przyp. tł.)

Przyjechali do Południowej Karoliny przez Brazylię z Hiszpanii, całe pokolenia temu. W 1697 roku, tak chyba powiedział doktor. Ma w Nowym Orleanie córkę Rosę, która wyszła za Henry'ego de Rivera. Zamożni ludzie, przyzwyczajeni do luksusu.

Dawid zauważył, że jego ojcu podobało się towarzystwo szanowanych ludzi. Był tym zaniepokojony. Odbierał to jako objaw słabości, a nie chciał widzieć u ojca jakichkolwiek wad. Jednocześnie czuł się zawstydzony, że takie myśli przychodzą mu do głowy.

- Robisz znaczne postępy, jak widzę, czy raczej słyszę - powiedział do Dawida doktor Carvalho. - Już niedługo nie będę musiał mówić do ciebie po niemiecku. Wydaje mi się, że rozumiesz wszystko po francusku. Powinieneś namówić mojego syna, żeby zaczął uczyć cię również angielskiego.

- Nie potrzebują uczyć się angielskiego - wtrącił Ferdinand. - W Nowym Orleanie mamy dwa razy więcej mówiących po francusku niż po angielsku. Niektórzy uważają, że to niegrzecznie używać angielskiego, nawet w domu.

- To się zmieni. Wszystko się zmienia. Moja córka zauważyła, że w mieście jest coraz więcej Amerykanów - zareplikował doktor Carvalho.

- Myślałem, że tam wszyscy są Amerykanami! - wykrzyknął Dawid.

- To tylko złudzenie - wytłumaczył mu Ferdinand. - Określenie to dotyczy ludzi z innych części Stanów Zjednoczonych. Kreole mają za przodków Francuzów i Hiszpanów. Stanowią śmietankę towarzystwa. Tak zwany „Amerykanin”, którego kiedyś poznałem, mówił mi, że najwspanialszym dniem w życiu jego matki była pierwsza wizyta w kreolskim domu.

- Naprawdę? - spytał niedowierzająco doktor Carvalho.

- Tak. Została zaproszona na kawę i, jak to zrozumiała, spotkało ją wyróżnienie. Kreole raczej trzymają się w swoim towarzystwie.

Doktor Carvalho uśmiechnął się:

- Sztuczne różnice.

Dawid ponownie poczuł się zakłopotany. Zrozumiał, że uwaga doktora była delikatną wymówką dla Ferdinanda. Zmieszany, popatrzył przed siebie, na spokojną powierzchnię oceanu, która, niczym nie skażona, wyglądała jak płyn w filizance. Miała taki kojący wygląd. Naprężone liny w potężniejącym wietrze grały jak skrzypce.

Ferdinand zatarł ręce.

- Niedługo będzie pan u siebie, doktorze. Trochę żeglugi wzdłuż wybrzeża, zatoka i już w domu. - Westchnął głęboko. - Co za wspaniałe uczucie! Przestrzeń oceanu! Kto by powiedział, że opuściliśmy Europę ledwie kilka tygodni temu. Aż trudno uwierzyć w jej istnienie!

Z dolnego pokładu doleciały głosy. Wszyscy spojrzeli tam, gdzie z otwartych drzwi wylewał się na pokład tłum ludzi. W większości byli to emigranci, podróżujący z całymi rodzinami: niespokojne dzieci, ojcowie w chłopskich ubraniach, kobiety tulące niemowlęta. Zażywali godzinnego spaceru. Pasażerowie na górnym pokładzie patrzyli w milczeniu, ci z dolnego nawet nie unieśli głów.

- Biedne istoty! Mam nadzieję - zauważył doktor - że nie zaproszą ognia podczas gotowania. Ciągłe się tego obawiam.

- Na dole jest bardzo zimno - powiedział Dawid. - A czasami zaduch jak w piecu. Jak tam byłem, nie mogłem złapać oddechu.

- Poszedłeś na dół? - spytał ostro Ferdinand. - Co tam robiłeś?

- Zaniósłem im trochę jedzenia.

- Jedzenia? Przecież oni mają żywność.

- To się nie nadaje do jedzenia, papo. Nawet ich woda cuchnie. W zeszłym tygodniu wyrzucili za burtę mięso, w którym załęgły się robaki. To niesprawiedliwe! Kapitan obiecał im porządne wyżywienie, a teraz muszą kupować od niego kartofle. Są spragnieni i głodni. A my mamy świeże mięso i owoce z Azorów. To niesprawiedliwe.

- Wiele rzeczy na tym świecie jest i będzie niesprawiedliwe - mruknął doktor Carvalho.

Chłopiec gwałtownie zaprotestował:

- Wcale nie musi tak być! - krzyknął. - Spytałem jednego marynarza, ilu jest ludzi na dole. Czteryestu! W jednym małym pomieszczeniu! Dwa podwójne rzędy piętrowych prycz! Jedno wąskie przejście! Trudno się precisnąć. A kajuta ma nieco ponad półtora metra wysokości. Jeśli ktoś jest mojego wzrostu, nie może się wyprostować!

- Więcej tam nie pójdziesz, słyszysz? - przerwał mu Ferdinand. - Tam są szczury, oni mogą mieć dyzenterię. Bóg tylko wie, na co mogą chorować i czym nas zarazić.

- Ojciec ma rację - włączył się doktor Carvalho. - Cuchnące powietrze rodzi gorączkę. Wszyscy o tym wiedzą.

- Ale obiecałem im przynieść pomarańcze! Jem je codziennie, przecież mogę im parę dać. Mogę?

- Mów ciszej, czy chcesz nas skompromitować - upomniał syna Ferdinand. Francuscy bankierzy i ich żony przyglądali się im z ciekawością.

- Przecież nie powiedziałem niczego niegrzecznego. Tylko to, w co wierzę. Doktor Carvalho taktownie odszedł, a Ferdinand kontynuował:

- Twoje zachowanie pozostawia wiele do życzenia. Żydzi szczególnie potrzebują bardzo dobrych manier i nadszedł czas, Dawidzie, żebyś to sobie uświadomił.

Syn patrzył na ojca, którego twarz wezbrała gniewem; zacisnął usta, a policzki zaczerwieniły mu się.

- Żydzi? Dlaczego właśnie my powinniśmy się płaszczyć?

- Nie każę ci się „płaszczyć”, jak to ująłeś. Proszę tylko, żebyś nie robił przedstawienia z siebie i z nas wszystkich.

Dawid upierał się przy swoim. Z jednej strony chciał ułagodzić gniew ojca, z drugiej sprowokować.

- Ale dlaczego? Dlaczego Żydzi muszą mieć lepsze maniery? Wciąż mi nie odpowiedziałeś.

- Dlatego - Ferdinand odpowiadał niskim, mentorskim głosem - że być Żydem to jakby zostać osądzonym i skazanym. Czytałeś Heinego?

- Tak. Poezje.

- Dobrze. A więc Heine napisał, że być Żydem to nieszczęście. Przeczytaj sobie.

- I ty się z nim zgadasz, papo?

- Tak. Rozejrzyj się dookoła siebie. To tylko rozsądna konkluzja. Chłopiec poczuł się, jak gdyby ktoś uderzył go w twarz.

- W domu dałeś pieniądze na synagogę.

- Przez wzgląd na stare czasy i dobre imię twojej matki. Nigdy nie chodzę do synagogi.

- Jesteś chrześcijaninem?

- Oczywiście, że nie. Nie przechrzcilem się. Za kogo mnie uważasz? Po prostu nie znaczy to dla mnie tak wiele. I te wszystkie głupstwa związane ze

zwyczajami żywieniowymi. Myślisz, że Bóg dba o to, co wkładasz do żołądka? Czy ludzie, którzy jedzą wieprzowinę, są źli?

- Nie, nie myślę tak, papo. Jestem posłuszny, ponieważ te wszystkie zwyczaje przypominają mi, kim jestem. To trudno wyjaśnić...

- Nie musisz - odburknął Ferdinand.

Dawid odwrócił się w stronę słońca. Przez dłuższą chwilę stał na dziobie. Stado mew za statkiem skierowało się w stronę Bermudów razem z wiatrem wiejącym nad fosforyzującym, połyskującym morzem. Latające ryby wyskakiwały nad powierzchnię, błyskały srebrną łuską i łukiem wpadały do wody. Chłopiec myślał o boskiej potędze. Podróżujemy razem z Nim. Ptaki latają w powietrzu, ryby pływają w wodzie, ale my jesteśmy razem z Nim. Odczuwamy Jego potęgę i dumę. Lecz ojciec sprawił, że czuł się mały i zawstydzony. Łzy napłynęły mu do oczu. Zrozumiał, że pomiędzy nim a jego ojcem otworzyła się przepaść.

Miriam na swój dziecinny sposób także czuła zakłopotanie. Słyszała całą rozmowę. Jak bardzo dziadunio byłby zszokowany słysząc słowa papy! Ale dlaczego Dawid tak go zdenerwował? Przecież nie był winny, dlaczego więc papa tak się uniósł? Tak samo czuła się będąc strofowana przez ciotkę Dinah i dziadunia, każącego jej zamilknąć. Tylko on jeden był w stanie usłyszeć jej cichutki głosik przez ścianę. Bała się gniewnych słów. W czasie domowych kłótni brała na ręce Gretel i przytulała ją mocno. Delikatny, liżący ją języczek, ciepłe ciało dawały jej siłę, żeby zapomnieć o wezbranych złością głosach. Przechyliła się nad barierką, tuląc do piersi pieska.

- Gretel, mała Gretel, ty i ja... Gretel! Gretel! Och Boże! - krzyknęła. Krzyk rozdarł powietrze. Wszystkie twarze zwróciły się w jej stronę, wszyscy skierowali się w jej kierunku, nic nie rozumiejąc, dopóki nie wskazała ręką. Dużo, dużo niżej z wody wynurzała się psia głowa.

- Dawidzie! - zawołała do brata, a nie do swojego ojca. - Ona odpłynęła tylko kawałeczek. Dawidzie!

- Dobry Boże! - krzyknął Ferdinand. - Ten chłopak zwariował!

Dawid zdjął marynarkę, wspiął się na reling i skoczył na nogi do wody. Marynarze krzyknęli, kiedy chłopiec uderzył o powierzchnię morza. W nagłym przypływie paniki Ferdinand zawołał przerażony:

- On nie umie pływać!

Dwóch marynarzy spuściło z pokładu drabinę sznurową i zaczęło po niej schodzić, ale zanim zdążyli pokonać ćwierć drogi, Gabriel przeskoczył

barierę i mistrzowskim łukiem zanurkował niedaleko miejsca, gdzie pogrążała się głowa Dawida. Zafascynowani i przerażeni widzowie na pokładzie zauważyli, jak Gabriel łapie za koszulę Dawida, podaje go marynarzom i następnie ratuje psa.

Nie trwało to dłużej niż pięć minut, z których każda wydawała się wiecznością.

Dysząc i krztusząc się, Dawid leżał rozciągnięty na pokładzie. Przez zły skok wpadł płasko do wody i czuł teraz ból brzucha. Leżał w milczeniu. Nikt nie oczekiwał od niego słów. Widział Miriam tulącą uratowanego psa. Z jednej strony Dawida stanął ojciec, z drugiej doktor Carvalho. Zakonnice, w swoich ciężkich, czarnych habitach, odeszły jak duchy. Francuskie damy hałaśliwie chwaliły Gabriela, bohaterskiego Gabriela.

„Jedyna różnica pomiędzy nim a mną jest taka, że on umie pływać. Wyszedłem na durnia” - pomyślał.

Po chwili był w stanie usiąść i Ferdinand, poruszony do żywego, natychmiast na niego naskoczył.

- Ty głupcze! Co chciałeś tam zrobić? I to jeszcze w oceanie pełnym rekinów! Czy ty nigdy nie możesz najpierw pomyśleć, zanim coś powiesz lub zrobisz? Czy ty w ogóle nie myślisz?

- Ona kocha tego psa - wymamrotał.

- Być może. Ale czy pies wart jest twojego życia? Nie rozumiem cię. Twój przyjaciel ryzykował dla ciebie swoje. To bohater. Umie pływać i ryzykował życiem dla człowieka, a nie dla psa.

Dawid milczał. Ferdinand chodził tam i z powrotem. Kiedy stanął przed synem, już się uspokoił.

- To bardzo dobrze, że myślisz o swojej siostrze. Postaram się spojrzeć na to od tej strony. Gorące, impulsywne serce - próbował się uśmiechnąć. - Ale na miłość boską, przecież mogłeś się utopić, gdyby nie Gabriel. Marynarze byli zbyt powolni, a Maxim i Chanute zostali na dolnym pokładzie.

Wydarzenie to rzuciło cień na całe popołudnie. Pasażerowie stali w ciszy na pokładzie i, podobni drewnianej damie na dziobie okrętu, wpatrywali się w zachodnią część horyzontu.

Ktoś przyniósł stołeczek dla Miriam. Usiadła, tak jak inni pasażerowie, twarzą na zachód. Gretel, przywiązana na smyczy, siedziała obok niej. Przeżyty wstrząs sprawił, że dziewczynka umilkła. Dawid mógł zginąć. Tak samo ten drugi chłopiec. Jakże obaj byli dzielni. A przecież Gabriel to obcy człowiek.

Gabriel siedział teraz obok Dawida. Łowiąc jej spojrzenia, przyglądał się jej. Czy podziękowała mu wystarczająco gorąco? Czy jedno „dziękuję” mogło go zadowolić? Wyglądał tak ładnie ze splecionymi wokół kolan dłońmi i włosami rozwiewanymi przez wiatr. Chciałaby, żeby Dawid był tak spokojny jak Gabriel. Kiedy Dawida opanowała jakaś myśl, stawał się tak podniecony i podekscytowany, że nie mógł się opanować. Tak zachowywał się w domu przy dziadku i najwyraźniej tak będzie postępować przy tacie.

- Twój ojciec nie gniewał się na ciebie tak bardzo jak mój - powiedział Dawid do Gabriela.

- Masz na myśli dzisiejszy dzień? Robił mi wyrzuty w kabinie, kiedy się przebierałem. Ale jednocześnie był ze mnie dumny - odparł nieśmiało Gabriel.

- Kiedy myślę o tym, co się dzisiaj stało, rozumiem, że była to moja wina, ale nie mogę zgodzić się z ojcem. Nigdy. A wiesz dlaczego?

- Powiedz.

- Ponieważ nie spodobał mi się sposób, w jaki mówił o... o tych rzeczach. Dlatego, że nic nie rozumie.

- Czego? Dawid zawahał się.

- Czuję, że zbyt dużo się między sobą różnimy.

- Przecież wy się prawie nie znacie. Dlaczego nie poczekaś jeszcze trochę?

- Rano, kiedy wyjąłem filakterie\*), spojrział na mnie z wyrzutem i wyszedł. Myślisz, że to jest w porządku?

\*) Zwitki pergaminu z wersetami z Pięcioksięgu, przywiązywane do ramienia lub czoła przez modlących się wyznawców religii mojżeszowej (przyp. tł.).

- No nie - odpowiedział niepewnie Gabriel. - Ale niewiele wiem...

- Zapomniałem. Wy tego nie robicie.

- Ale także jesteśmy Żydami, tak samo jak ty. Tylko nasze zwyczaje są... no, nowsze. To wszystko.

„Zwyczaje”, jak nazwał Prawa, zostały ustalone raz na zawsze. Ich zmienianie było absolutnie zakazane... Dawid zawrzał oburzeniem.

- Nowsze? Więc musisz uważać starsze za śmieszne.

- To niezupełnie tak... Jeśli w coś wierzysz, musisz wszystko robić dokładnie, wkładając w to całe swoje serce.

Szczerłość Gabriela uśmierzyła gniew Dawida.

- W każdym razie, pomijając wszystko inne, jestem ci wdzięczny za uratowanie życia. A moja siostra za uratowanie psa.

- To taka miła dziewczynka.

- Tak sądzisz? Ma za duży nos - powiedział Dawid.

- Mój ojciec twierdzi, że Miriam wygląda jak arystokratka.

- Och, potrafi być bardzo przykra. Każdy, kto ma młodszą siostrę, może ci to powiedzieć.

- Nie wiem. Moja siostra jest dużo starsza. Z pewnością ją poznasz w Nowym Orleanie.

- Czy Nowy Orlean jest naprawdę taki piękny, jak twierdzi ojciec?

- Oczywiście. Dlaczego wątpisz w jego słowa?

- Ponieważ on wszystko wyolbrzymia.

- Nie możesz go bez przerwy podejrzewać.

- Wiesz, wydaje mi się, że masz na mnie bardzo dobry wpływ. Chciałbym, żebyś zamieszkał w Nowym Orleanie.

- Spotkamy się na pewno. Zostaniemy przyjaciółmi. Z pewnością niedługo odwiedzę moją siostrę. A na razie będziemy do siebie pisywać. Będziesz pisał po francusku - Gabriel roześmiał się - a ja będę cię poprawiał.

- Napiszę też po angielsku. Nieważne, co mój ojciec mówi. Chcę nauczyć się angielskiego.

Rozmawiali z młodzieńczą bezpośredniością, która przy wyborze przyjaźni nie kieruje się prestiżem, znajomościami czy innymi przyczynami, a jedynie zwykłą sympatią.

Ferdinand obserwował swoje dzieci z dalekiej perspektywy pokładu. Córeczka, całkiem już uspokojona, głaskała pieska. Biedne maleństwo. O ile zdążył się zorientować, zwierzak był dla niej jedynym pomostem pomiędzy przeszłością a przyszłością. Była taka czarująca. Z pewnością nie będzie miał z nią żadnych kłopotów. Miriam stanie się jasnym promykiem radości, rozświetlającym pusty do tej pory dom.

Ale Dawid? Z nim sprawy mają się zupełnie inaczej. Prawy, z przenikliwymi oczyma, przeszywającymi na wylot. Gdyby ktoś spróbował go osądzić na podstawie rozmowy, stwierdziłby, że ma do czynienia z nieznośnym, nadętym smarkaczem. Ale żaden zarozumiały smarkacz nie zachowywałby się w taki sposób: nosił jedzenie na dolny pokład, przejmował się panującymi tam strasznymi warunkami, a Bóg mi świadkiem, sam najlepiej wiem, jak tam jest okropnie. Oczywiście dobry z niego chłopiec, ale los tych biedaków to nie jego sprawa. Nic nie możemy



dla nich zrobić, zupełnie nic. Kilka pomarańczy nic tu nie pomoże, może jeszcze tylko pogorszyć sprawę. Dlaczego Dawid nie chce tego pojąć? Tak bardzo się oburzył, jakby zaraz miał eksplodować! Co za mina: czoło przecięte dwiema głębokimi bruzdami, jabłko Adama podskakujące nerwowo. Nad górną wargą pojawił mu się już pierwszy puszek, z pewnością uważa, że jest dorosłym mężczyzną. Życie z nim nie będzie łatwe. Mam nadzieję, że nie wprowadzi zbyt wielkich zmian w nasze życie. Oby tylko nie odzywał się w ten sposób przy mojej żonie. Nie spodobałoby jej się to, o nie. I nie ma w nim cienia wdzięku. Przecież kupiłem mu przed wyjazdem tyle nowych ubrań! A jednak stale chodzi wymiętoszony, zupełnie jakby w nich spał. Tak, powinienem był zabrać go z sobą, gdy umarła jego matka, wychować po swojemu. Ale był taki mały. Nigdy bym nie osiągnął tego wszystkiego mając go obok. Musiałem przecież przechować go w bezpiecznym miejscu, póki nie doszedłem do czegoś, co mógłbym mu zaoferować.

No, ale teraz mam już czym się dzielić. Kim byłbym w Europie? Zapewne wędrownym handlarzem. Przemierzałbym kraj, póki nie postarzałbym się tak bardzo, że nogi nie chciałyby mnie dalej nieść. W Europie wędrowni handlarze nie zostawali majątnymi kupcami. Teraz Dawid będzie mógł zostać lekarzem, kimkolwiek zechce. Będzie miał wszystko, co ma mały Carvalho.

Na miękkich ustach Ferdinanda pojawił się uśmiech satysfakcji. Dawid także rozchmurzył się, rozmawiał ze swym przyjacielem, sefardyjskim arystokratą. Mój syn ma przepiękny uśmiech. Gdyby tylko nauczył się częściej z niego korzystać! Jedno jest pewne: różni się od innych ludzi.

Wieczorny wiatr zmarszczył powierzchnię wody i ochłodził powietrze. Ferdinand odszedł od balustrady i poszedł schronić się do kajuty. Zapamięta ten dzień. Z reguły tak bywa, że spośród długich, zapomnianych lat, spędzonych tu i tam, jasnym blaskiem zabłyśnie nagle jakiś jeden dzień, dzień, który obdarzył nas szczególnymi darami. Na razie jest jeszcze nierozpoznawalny, ale po latach powróci na każde zawołanie, wyraźny i jasny.

Upalne powietrze wręcz kleiło się do ciała. W zatoce igrały delfiny, ścigając się z okrętem, nurkując i wyskakując w wodnym tańcu. Tropikalny zachód słońca nadszedł niespodziewanie; jak za pociągnięciem czarnego pędzla wszystkie odcienie złota, różu i fioletu zniknęły z nieba i zapadła pochmurna noc.

Teraz, kiedy podróż prawie dobiegła kresu, wszyscy pasażerowie byli podnieceni przyjazdem do celu i zasmuceni końcem przyjemnie spędzonej drogi, ale odczuwali też pewien niepokój. Carvalho wie opuścili statek w Charlestonie, toteż Miriam i Dawid, otoczeni przez samych dorosłych, także czuli się nieswojo. Zakonnice, które przez całą podróż rzadko odrywały się od bezustannych modlitw i przechadzając się po pokładzie odmawiały różaniec, teraz także kierowały wzrok ku zachodowi, jakby i one obawiały się, co je czeka. Nawet bankierzy i ich trzpiotowate małżonki nieco przycichli. Ferdinand był bardzo podekscytowany.

- Dom! - wykrzykiwał każdego ranka, wychodząc na pokład. - Dom! To już niedługo.

Wreszcie, jednego ranka, zawinęli do ujścia wielkiej rzeki. Wszyscy wylegli na pokład, żeby popatrzeć.

- Spójrzcie - powiedział Ferdinand - jak woda zmienia kolor. To nurt rzeki miesza się z wodami zatoki.

Długa brunatna smuga rozlewała się i rozpływała w błękitnej toni. Były tu setki maleńkich wysepek. Kluczając pomiędzy nimi, „Mirabelle” płynęła w górę rzeki.

Zatoczki i bagniste brzegi tonęły w mroku; w bagniskach leżały wyrwane z korzeniami pnie, ze stojących drzew zwieszały się długie brody mchów; wszędzie widoczne były nieruchome oczka wody. Cisza. Dawid chłonał całym sobą atmosferę rozlewiska. Było tu tak, jak mówił ojciec, pierwotnie i dziko; nigdzie w Europie, nawet w najdalszych zakątkach, nie istniało nic takiego.

- Patrzcie! Patrzcie! - krzyknęła Miriam.

Wielki szary ptak, z łabędzią szyją, stał nieruchomo pomiędzy drzewami.

- To jest czapla - wyjaśnił córce Ferdinand.

- Jaka piękna!

Mijali jeziora i jasne, piaszczyste plaże. Na bagnach ibis o czerwonym zakrzywionym dziobie jadł rybę. Minęli jeszcze kilka zatoczek, rozlewisk i jezior i wreszcie wypłynęli na otwartą przestrzeń.

- Spójrz tutaj, to gniazdo pelikana. A to jest samiec... To przesmyk Barataria - objaśniał Ferdinand. Położył rękę na ramieniu Dawida i szybko mówił w podnieceniu. - Ta wyspa to Grandę Terre. Zostało nam już tylko dziewięćdziesiąt mil. Tam w zatoce - z tego miejsca nie widać - leży całe miasto! Kiedyś do niego pojechałem z czystej ciekawości. Miłe, małe domki z ogródkami. Nie uwierzyłybyś, że to miasteczko piratów.

- Piratów! - Dawid aż wstrzymał oddech z wrażenia.

„Wciąż jeszcze jest dzieckiem” - pomyślał ojciec z radością obserwując entuzjazm Dawida.

- Tak! Jean Lafitte był jednym z najniebezpieczniejszych piratów w Zachodnich Indiach. Miał wspaniały dom, w całości umeblowany sprzętami zrabowanymi z napadniętych statków. Ale pozwól mi opowiedzieć o czymś, czego się nie spodziewasz. Mniej więcej dwadzieścia pięć lat temu toczyła się wojna między Stanami Zjednoczonymi i Anglią. Brytyjczycy przysłali flotę złożoną z pięćdziesięciu okrętów wojennych, żeby zdobyć Nowy Orlean. Ofiarowali Lafitte'owi trzydzieści tysięcy funtów - to angielskie pieniądze, olbrzymia suma - za przeprowadzenie statków do portu. - Nagle Ferdinand zwrócił się w stronę mokradeł. - Łatwo sobie wyobrazić, dlaczego potrzebowali pomocy, aby przedostać się przez ten labirynt! Lafitte pozornie przyjął ofertę, ale podpłynął od innej strony i przeprowadził Amerykanów, dzięki czemu zaskoczyli Brytyjczków. Za to prezydent Stanów Zjednoczonych darował mu wszystkie wcześniejsze winy.

- I co się z nim potem stało? - dopytywał się zafascynowany Dawid.

- Otworzył wspaniały sklep na Royal Street - odparł ze śmiechem Ferdinand. - Ale wątpię, czy porzucił piractwo.

Godzina za godziną statek wędrował na północ. Mokradła i podmokłe lasy zostawały za rufą. Z jednej strony ukazał się kawałek suchego lądu. Pokryty był białymi, kwitnącymi krzewami.

- Bawełna - powiedział Ferdinand.

- Wygląda jak śnieg - ucieszyła się Miriam. Po chwili Ferdinand zaczął wydawać polecenia.

- Idź się przebrać. Już niedługo będziemy na miejscu i musisz ładnie wyglądać - przyjrzał się czule córeczce. - Załóż tę lawendową sukienkę z koronkowym kołnierzykiem. I weź parasolkę. Jak tylko statek opuści nurt rzeki, zrobi się potwornie gorąco. Musisz mieć dla ochrony parasol, wszystkie damy ich używają.

Wśród narastającej ilości parowców i barek z bawełną „Mirabelle” zbliżała się do miasta.

- Widzisz - objaśniał Ferdinand - miasto położone jest półtora metra poniżej poziomu morza. Groble mają wysokość około ośmiu metrów. A tam leżą bele bawełny. Czy wyobrażałeś sobie kiedykolwiek, że może być ich tak wiele? Kilometry bel, wystarczy ich dla całego świata - dodał z satysfakcją. - A tam dalej, w beczkach, jest cukier. I nim możemy zasypać

cały świat. No, może niezupełnie. Ale moglibyśmy, gdybyśmy chcieli. Widzisz te wszystkie nabrzeża i statki? Tu właśnie odbywa się handel całego świata. Tytoń, whisky, juta, wszystko. Tylko jedno miasto w Ameryce prowadzi handel na większą skalę, Nowy Jork. Widzisz tę brygantynę? To „Gloucester Breeze” kapitana Ramsaya. Prawdopodobnie przywiózł dla mnie ładunek. Przy pływa z Liverpoolu dwa razy w roku...

Dawid trzymał Miriam za rękę. Długa podróż się skończyła. Byli o krok od dotknięcia ziemi. Dawida, w jego podnieceniu, nagle otrzeźwiła myśl, że za chwilę zetkną się z rzeczywistością. Głos ojca zmagął się z rosnącym hałasem gwizdków, dzwonów i krzyków.

- Spójrz tam, ładunek futer przywiezionych z górnego biegu rzeki. Tam dalej po prawej leży wioska Algier, dokładnie naprzeciwko jest Francuski Rynek. Jak dobrze być w domu - krzyknął stając na palcach, kołysząc się w przód i w tył. - Popatrzcie! Tam jest Cabildo zbudowane przez Hiszpanów i, z tyłu katedry, dom, w którym mieszkają księża. Katedrę Św. Ludwika zbudowano sto lat temu, ale spłonęła i odbudowano ją już inaczej... Widzisz Miriam? Piękna, prawda? Nazwano ją imieniem Ludwika IX...

- Gdzie jest synagoga? - cicho spytał Dawid.

- Na Franklin Street, to taka mała uliczka. Stąd jej nie widać - Ferdinand wziął głęboki oddech. - Czujesz, jak tutaj pachnie? Zawsze wydaje mi się, że w powietrzu czuć cukier, ale pewnie to tylko złudzenie. Widzisz, jestem człowiekiem miasta. Żyłem w dzikiej puszczy, żyłem wszędzie, gdzie los mnie rzucił, ale w głębi serca jestem człowiekiem miasta. - Wyprostował się z dumą; niezbyt wysoki mężczyzna, który wydawał się wyższy niż był w rzeczywistości. - Tak, miejskim człowiekiem, mieszkańcem Nowego Orleanu.

Statek podpłynął do nabrzeża. Rzucono cumy i przyniesiono trap. Z wysokości pokładu dziobowego pasażerowie obserwowali chaotyczną krzątanicę towarzyszącą przybiciu statku: wozy i wózki, taczki, skrzynie i paki, beańskie psy, dzieci, konie, powozy, woźnice, parasole i wysokie jedwabne kapelusze, wszystko kłębiło się wśród tłumu czarnych twarzy. Ferdinand badawczo przyglądał się ciżbie.

- Tam! - krzyknął. - Tam są! Na trotuarze, po drugiej stronie ulicy. Stoją obok tych dwóch siwych koni. Widzicie?

- Trotuarze? - spytał Dawid.

- Specjalna droga z boku ulicy. Ta dama w żółtej sukience to Emma, a obok niej Pelagia. Razem z nią przyszedł jej mąż - jak to miło z jego strony.

Porządny gość z tego Sylvaina. A to... o, zauważyli nas - Ferdinand zaczął machać kapeluszem. - Opuścili trap! Idziemy!

## ROZDZIAŁ TRZECI.

Gdyby dom ten pochodził z innej planety, czy wręcz szalonej otchłani snu, pierwsze z nim zetknięcie nie stanowiłoby dla Dawida Raphaela większego szoku. Teraz, po tygodniu, nadal niewiele z niego pojmował.

Podwójne drzwi jadalni były zawsze rozwarte na oścież. Nad szeroką mahoniową framugą wisiał złożony krucyfiks, który stale przyciągał wzrok Dawida, chociaż z całych sił starał się nań nie patrzeć. W każdym pokoju w tym domu znajdowała się owa umęczona postać, zwisająca z krzyża, z bezwładnie przechyloną głową i stopami przybitymi do drewna, jedna nad drugą. Jeden krucyfiks znalazł się nawet w pokoju, w którym spał, ale usunięto go pospiesznie.

Katolicki dom. Dom mojego ojca. „Twoja żona - ta rodzina - czy to katolicy, papo?” „Tak, to katolicy.” „Ale co pomyślą sobie o nas, o mojej siostrze i o mnie?” „Mówiłem ci, że to nie ma znaczenia. Nie jesteśmy w Europie. Tu możesz robić, co tylko chcesz. Nikt nie przejmuje się, kim są inni.” Kamienie - w Europie. Batogi - w Europie. Ale nie tutaj.

Jak można być tego pewnym? W domu, we wsi, nikt nie miał pewności. Kiedy chłop chciał cię powitać, odzywał się pierwszy; w przeciwnym razie po prostu cię ignorował, przechodząc mimo, jakbyś był jedynie powietrzem. Oczywiście, jeśli nie wyruszał na pogrom, Bóg jeden wie, w jakim celu, i nie zabijał twojej matki na stopniach jej domu.

Jego myśli powędrowały z powrotem ku starym wspomnieniom, do ciemnych, niskich pokoi, kwaśnego zapachu starych, wilgotnych murów, do wspomnień o nagłej śmierci, wróciły do dawnego strachu i z powrotem do lęków dnia dzisiejszego, starając się znaleźć pomiędzy nimi jakiś logiczny związek.

Grzebał w jedzeniu na talerzu. Nigdy nie widział tak różnorodnych potraw, zbyt wspaniałych nawet jak na jego młodzińczy apetyt. Tyle było rzeczy zakazanych!

Teraz jedli prosię, które rozpoznał już podczas podawania go do stołu, na olbrzymim, srebrnym półmisku. W pyszczek wsunięto mu fajkę: małe, żalosne, nieczyste stworzenie z otwartymi, martwymi oczyma! Potem podano coś, co nazwano vol-au-vent, rodzaj pasztetu z ostrygami; spróbował, nie wiedząc, co to jest, i bardzo mu smakowało. Natychmiast jednak odłożył widelec, gdy tylko dowiedział się, z czego danie został przyrządzony. Na szczęście na stole znajdowały się też liczne warzywa.

Można było na nich znakomicie przeżyć, szczególnie że nigdy nie brakowało też pysznych, gorących bułeczek. Do tego zawsze serwowano wino, nawet przy śniadaniu. Musiał jednak pić je z umiarem, zwłaszcza ze względu na panujące upały. Żydom nie wolno się upić.

Miriam jadła krewetki w czerwonym sosie, lecz Dawid podziękował i za to. Nie miał już jednak żadnej władzy nad siostrą, od tej pory o wszystkim będzie decydował ojciec ze swoją żoną. Miriam jest ich dzieckiem. To oni będą wydawać nakazy i zakazy. Patrzył, jak wybiera resztę sosu z talerza, jak oblizuje palce myśląc, że nikt tego nie widzi. Bardzo ją kochał, taką malutką na wysokim krześle, z plecionym, koronkowym kołnierzykiem otaczającym delikatną, dziecięcą szyję.

Bacznie obserwując wszystkich przy stole, starając się niczego nie pominąć, zauważył, że wszystkie kobiety miały na sobie koronki. Rumiane policzki ciotki Emmy - pouczono go, żeby nazywał żonę swojego ojca „ciocią” - otaczał pienistą falą czarny, koronkowy kołnierz. Ze zdziwieniem zauważył, że jadła już drugą dokładkę, a przecież od chwili, gdy usiadł przy stole, ani na moment nie przestała mówić. Koronki pod jej brodą drżały.

- Tak, Syzyf jest dżentelmenem, prawdziwym dżentelmenem. Uczył moich braci dobrych manier, odkąd tylko zaczęli chodzić.

Syzyf, stary Murzyn o włosach jak szara wełna, stał obok kredensu z przewieszoną na ramieniu białą serwetą i pilnował podających do stołu dziewcząt.

- Tak, Syzyf to doskonały służący - zaczęła ciotka Emma, zupełnie nie zwracając uwagi na jego obecność w pokoju. - Jest czymś lepszym od kamerdynera. Ma wielki talent do urządzania ogrodów, właśnie pracuje nad różanym ogrodem przy domu mojego ojca. Czy już widziałeś to rosarium, Ferdinandzie? Mój brat Joseph bardzo by chciał mieć Syzyfa w Teksasie, ale nic z tego. Nigdy go nie oddam! Joseph może mieć swoje pięćdziesiąt tysięcy akrów bawełny, ale nie dostanie mojego Syzyfa.

Donośny, głęboki głos płynął nieprzerwanym potokiem wymowy. Dawid przestał słuchać. Ponownie rozejrzał się po suto zastawionym stole, jakby chciał na zawsze zapamiętać wszystkie orzechy i cukierki w filigranowych srebrnych czarkach, kandelabry, bukiety kwiatów, tak świeżych, że na niektórych błyszczały jeszcze krople rosy. Najważniej przyglądał się jednak ludziom i ich twarzom. Nigdy dotąd nie jadł posiłku w tak licznym towarzystwie. W tym domu jadalnia zawsze była pełna ludzi, nawet na śniadanie zapraszano gości.

Napotkawszy spojrzenie Dawida, Ferdinand przesłał mu znak aprobaty i zapytał bez słów: „Widzisz? Czyż nie wygląda to tak, jak ci opisywałem? Jak ci się tutaj podoba?”

Naprzeciwko Dawida siedziała Pelagia, delikatna, młoda kobieta o fascynującym uśmiechu. Bujne włosy zczesła do tyłu; jej oczy bez przerwy były zwrócone na siedzącego obok męża. „Czyż nie tak, Sylvainie?” pytała po każdym stwierdzeniu, a po każdej uwadze „Prawda, Sylvainie?” Sylvain, poważny, młody człowiek o wydatnych rysach twarzy, w modnym krawacie i nienaganej koszuli, skinieniem głowy wyrażał swoją aprobatę. Dawid pomyślał, że Pelagia nigdy nie powiedziała niczego, z czym jej mąż się nie zgodził.

Zabawiał się swoimi cichymi ocenami, oglądając szereg siedzących przy stole gości. Znudzony, starszy mężczyzna, spodobał mu się od razu. Nawet mrugnął do Dawida! Kobieta w błękitnej sukni wyglądała, jakby niedawno płakała; pewnie jej mąż zleją traktował. Sprawiał takie wrażenie. Eulalia, starsza córka ciotki Emmy - nie, ta zupełnie mu się nie podobała. Miała złe oczy, dwa czarne punkciki pod wysoko sklepionym czołem. Jej suknia była okropna. Dawid nie znał się na strojach i nie dbał o to, ale miał wyczucie koloru, a agresywna zieleń tej sukni raniła jego poczucie estetyki. Ciężki, niekształtny naszyjnik psuł linię obojczyków. Zauważyła zainteresowanie chłopca własną osobą i spojrzała na niego z tak wyraźną złością, że spuścił wzrok na jej kościste dłonie. Pomyślał, że się nie lubią, ale z jej winy. Postarałby się ją polubić, gdyby i ona spróbowała. Zauważył to już w momencie pierwszego spotkania w domu. Nie wiedział dlaczego, przecież nie zrobił nic złego. Może nie lubiła Żydów? Faktycznie, to mogłoby być wytłumaczeniem jej niechęci.

Dziwne, nigdy w życiu nie przebywał w tak dużym, nieżydowskim towarzystwie. Tak naprawdę, nigdy jeszcze nie siedział przy jednym stole z gojami. Mieszkańcy rodzinnego miasteczka nie zapraszali ich do swoich domów. Ludzie, pomiędzy którymi siedział przy stole, byli jedynymi Żydami w towarzystwie. To Henry i Rosa de Rivera. Rosa jest siostrą jego przyjaciela z „Mirabelle”, Gabriela. Papa zaprosił ich na niedzielny obiad.

Pośród wartkiego potoku słów Emmy Rosa wyszeptała cichutko:

- Jesteś bardzo podobny do mojego brata. Podobnie jak on sprawiasz wrażenie bardzo dojrzałego jak na swój wiek. Chociaż nie wiem, nie widziałam Gabriela już trzy lata.



Rosa miała twarz miłą, wesołą, a jej żywe oczy o ciężkich powiekach przypomniały Dawidowi jej ojca i brata. W uszach i na przegubie ręki połyskiwały bursztyny.

- Taki jesteś zamyślony. Czy mogę spytać, o czym w tej chwili myślisz?

- O tym, jakie to wszystko dziwne. Nie wiem, co powiedzieć do tych ludzi, czego po mnie oczekują.

- Oczekują? Po prostu uśmiechaj się i odpowiednio zachowuj. Nie spodziewają się niczego więcej.

- Ale... - zająknął się - Żyłem dotąd w zupełnie innym świecie, niewielkim, zamkniętym...

- A zatem zmiana powinna wyjść ci na dobre. Po prostu bądź sobą. Bystry z ciebie chłopiec. Poradzisz sobie.

- Ty i twój mąż jesteście tu jedynymi Żydami...

- Jest jeszcze Marie Claire Myers, ta dziewczynka siedząca obok matki. Przyjechały tu z wizytą z Shreveport.

- To jej matka? Ma na szyi krzyżyk.

- Jej matka to katoliczka.

- Wiec córka nie może być Żydówką.

- A jednak jest.

- To niemożliwe! Tak głosi Prawo, które nie zmieniło się od czasów Mojżesza - zaprotestował.

- Wiem. Ale tu jest inaczej...

Ile razy jeszcze usłyszysz, że w Ameryce jest inaczej?

- Jej ojciec, choć poślubił matkę w kościele, życzył sobie, aby jego dzieci wychować na Żydów.

Dawid przyjrzał się dziewczynce. Trzy, cztery lata starsza od Miriam, miała pociągłą, piegowatą twarz i burzę jasnych kręconych włosów. Był całkowicie oszołomiony. Żydówką, której matka nosiła krzyż!

- Musieliśmy ustanowić tu własne prawa - wyjaśnił Henry de Rivera. - Nasza synagoga ma dopiero dziesięć lat. Shanarai Chasset, tak ją zwiemy. Wrota Łaski. Trzydziestu czterech z nas zebrało się razem i rozpoczęło budowę. Manis Jacobs - pierwszy przewodniczący - miał żonę katoliczkę, nie chciał jednak, by jego dzieci zostały wykluczone ze wspólnoty, polecił więc zapisać w statucie synagogi, że żadne izraelskie dziecko nie będzie wyłączone ze zgromadzenia z powodu religii matki. Nikt nie protestował, większość mężczyzn bowiem również poślubiła katoliczki.

Dawid potrząsnął głową.

- Dziwne.

- Nie tak dziwne, jak kiedyś. Pamiętaj, nie mieliśmy prawdziwego rabiego, nadal zresztą go nie mamy. Tysiące mil dzielą nas od wielkich ośrodków żydowskich, takich jak Charleston czy Filadelfia. Nie mamy prawie nic. Wyobraź sobie, że na budowę potrzebowaliśmy tylko pięć tysięcy dolarów, a nie uwierzyłbyś, jak ciężko było nam tyle zebrać! Jest nas tak niewiele.

Dawid zapragnął nagle zadać pytanie. Przez moment powstrzymywał się, ale potem jednak zapytał:

- Czy mój ojciec coś ofiarował? Henry de Rivera uśmiechnął się.

- O tak. Był dużo bardziej szczodry niż wielu innych, choć muszę przyznać, że od chwili ukończenia budowy jego stopa nie przekroczyła progu świątyni. Ale - dodał szybko - każdy człowiek ma prawo do własnego wyboru. I nie on jeden wybrał taką drogę.

„Stara się nikogo nie osądzać - pomyślał Dawid. - To prawnik, ostrożny i rozważny, nie chce nikogo urazić.”

- Nowy Orlean nie jest zbyt religijny. Widać to również u chrześcijan; kobiety chodzą do kościoła, ale mężczyźni niezbyt o to dbają - dodała Rosa.

- Tak jak powiedział Henry, tutaj jest naprawdę łatwo żyć. Jedni szybko robią pieniądze, inni je jeszcze szybciej wydają... - wzruszyła ramionami. - W każdym razie musisz do nas zajrzeć. Jeśli chcesz, możemy razem pójść do synagogi. I zabierz ze sobą Miriam. Mamy dwóch małych synków, a dziewczynki lubią bawić się z dziećmi.

- Dawidzie, nic nie jesz - poprzez stół doleciał głos Emmy, która przerwała własny monolog.

- Jem wszystko, na co mam ochotę. Dziękuję bardzo - odpowiedział, pamiętając o grzeczności.

- To z powodu upału. Jest za gorąco i nie masz apetytu. Monroe, podejdź z wachlarzem bliżej do panicza Dawida.

Bosonogi, czarny chłopiec zbliżył się z wielkim wachlarzem z liści palmowych.

- Nie, nie! Nie potrzebuję - zachnął się Dawid.

Przez chwilę Emma patrzyła na niego nieco zdenerwowana, po chwili jednak jej irytacja minęła.

Szorstkim głosem, doskonale pasującym do jej otyłej sylwetki, zakończyła:

- Pan Ferdinand ma ochotę na kawę, Syzyfie. Miriam, kochanie, spróbuj tych wspaniałych, małych ciasteczek, upieczonych przez Serafinę. Nazywa

je langues de chat, kocie języczki. Śmieszna nazwa na coś tak smakowitego.  
- Usta Emmy ułożyły się w kształt kociego pyszczka, kiedy wymawiała słowo „smakowite”. - Monroe, podejdź bliżej z tym wachlarzem. Umieram z gorąca.

Rzeczywiście, kolor jej twarzy zmieniał się z różowego w głęboką purpurę. Kiedy uniosła ręce, żeby poprawić koronki pod brodą, na sukni pod pachami ukazały się wielkie plamy potu.

- Umieram z gorąca - powtórzyła niezbyt przekonującym tonem.

- Nie przejmuj się, już niedługo będziemy w Pass - powiedział Ferdinand współczująco i zwrócił się do Dawida i Miriam - Pass Christian to nadmorska miejscowość. Wspaniałe powietrze, bryza, kąpielisko i można popływać łodzią. W tym roku wyjeżdżamy później ze względu na moją podróż do Europy.

- Zjeżdża się tam cała śmietanka towarzyska. Poznacie wszystkich najważniejszych - powiedziała Emma do dzieci swojego męża. - Panie Raphael, czy nie sądzi pan, że Dawid powinien poznać wszystkich wpływowych ludzi? - I nie czekając na odpowiedź Ferdinanda, kontynuowała. - Mamy tam piękny dom. Ojciec mojego pierwszego męża, pan Leclerc, zbudował go przed laty. Oczywiście to nic w porównaniu z niektórymi rezydencjami, ale jest bardzo miły.

Rosa szepnęła do Dawida:

- Leclercowie byli potwornie bogaci! Dziadek przyjechał tu jeszcze przed zakupem Luizjany i zbił majątek.

- Co roku jeździł do Paryża - wyobrażacie sobie, co roku! - perorowała Emma. - Przywiózł do domu wiele pięknych rzeczy: gobelinów, złotych talerzy i...

- Niektórzy twierdzą, że wzbogacił się na piractwie - przerwał jej Sylvain. Złośliwy ton nie pasował do jego nieskazitelnego wyglądu.

- Na miłość boską! Przecież mówią tak o połowie mieszkańców miasta - Emma nie przejęła się komentarzem.

- I prawdopodobnie w stosunku do połowy mieszkańców miasta jest to prawda - zripostował Sylvain.

„Musi być bardzo bogaty - pomyślał Dawid, zadowolony z własnej przenikliwości - inaczej nigdy by się nie ośmielił odezwać w taki sposób do swojej teściowej.”

Od wczesnego dzieciństwa Dawid obserwował otaczające go życie. Jedną z pierwszych rzeczy, jakich się nauczył, było odkrycie, że odpowiednia pozycja pozwala na zachowanie niedozwolone ludziom niższego stanu.

Polubił Emmę. Wprawdzie była chełpliwa i głupia, ale jednocześnie miła. Sylvain, nie wiedząc czemu, niepokoił go.

- Hm, nie mogę wypowiadać się o przodkach innych ludzi, ale doskonale znam swoich i wiem, że na pewno nie było wśród nich piratów, tylko uczciwi, niemieccy wieśniacy - oświadczyła Emma. - Mieszkali na północnym wybrzeżu Niemiec. Bardzo biedni rolnicy, nie mieli nawet krowy, a przynajmniej tak mówili. Jak oni ciężko pracowali! Potem pożenili się z Francuzkami i umarli. Wiecie, że francuska krew jest bardzo silna. Zmieniłi nawet nazwisko, żeby brzmiało z francuska. Tak, przebyli długą drogę od barłogu ze słomy i farmy w Acadii \*).

**\*) Acadia - jedna z pierwszych francuskich kolonii w Ameryce Pomocnej (przyp. tł.).**

Szyf jeszcze pamięta, prawda? Był małym dzieckiem, kiedy przyjechał z moją matką i dwoma czy trzema innymi służącymi. To był jej cały posag. Moja mama pochodziła z prostszej, ale wytwornej rodziny. De la Jline fleur des pois, pierwsze kwiecie groszku. Tak się sami nazywamy my, starzy Kreole. Najlepsza krew. Krew to podstawa, zawsze tak twierdzą.

„Krew - pomyślał Dawid. - Pieniądze i krew. Tylko o tym mówią od chwili, gdy zasiedliśmy do stołu.” Rozejrzył się z zakłopotaniem. Chciał już wstać.

Miriam ziewała. Przyniosła z sobą żółtowłosą lalkę, aby dotrzymywała jej towarzystwa. Teraz bawiła się cienką złotą bransoletką, powitalnym podarunkiem Emmy. W tym domu dziecko czeka jedynie szczęście. Nic jej tu nie zagrozi, będą o nią dbać, pieścić.

Wreszcie odsunięto krzesła i wszyscy wstali. Emma spytała radośnie:

- Co powiecie na trochę muzyki?

- Może Marie Claire zechce nam zaśpiewać? - zaproponował Ferdinand.

Przez rozsuwane drzwi przechodziło się z jednego saloniku do drugiego.

W pierwszym, dla ochrony przed słońcem, okiennice zawsze były zamknięte. Teraz, wieczorem, poprzez listewki przenikało błękitnawe światło, delikatnie pieszcząc pozłacane oparcia obitych złotym jedwabiem krzesel, kryształowe bibeloty i lustra, uwypuklając ich kosztowne dostojeństwo. W drugim saloniku pianino, harfa i półki z książkami stwarzały przytulniejsze wrażenie.

- Pelagio, czy zechcesz akompaniować Marie Claire? Marie Claire ma piękny głos - wyjaśnił Ferdinand z pewnym rodzajem dumy. - Nauczyciele śpiewu wiążą z nią duże nadzieje... Ale spójrz tutaj, Dawidzie, nie wiem, czy pokazywałem ci już portret Emmy. Jest pędzla Salazara, sławnego portrecisty.

Pomiędzy drzwiami, w owalnej ramie, wisiał obraz przedstawiający młodą, wiotką kobietę w białej sukni przepasanej pod biustem szarfą. Dziewczyna melancholijnie wpatrywała się w kiść bzu.

- Moda empirowa była idiotyczna, aczkolwiek muszę przyznać, że przynajmniej wtedy człowiek czuł się swobodnie, prawie nago! Prawda, że jest bardzo udany? - spytała Emma z ożywieniem.

- Bardzo - przyznał Dawid, nie widząc nawet najmniejszego podobieństwa portretu do stojącej obok niego kobiety.

- No to zaczynamy - Ferdinand zatarł ręce. - Na co się zdecydowałyście? Pelagia usiadła przy fortepianie, a Marie Claire stanęła obok niej.

- Zaczniemy od kilku piosenek irlandzkich. Kathleen Mavourneen to nowa, bardzo popularna piosenka - odpowiedziała Pelagia.

Jej ręce zaczęły delikatnie uderzać w klawisze. Rozbrzmiały dźwięki przypominające szloch. Muzyka była sentymentalna, podobnie jak Pelagia. Ale Marie Claire śpiewała bez sentymentalizmu. Jej czyste uczucie wzruszyło Dawida. Z uwagą słuchał pieśni i przyglądał się promieniejącej, pięknej twarzy Marie Claire, kiedy Emma pochyliła się ku niemu i szepnęła:

- Spójrz na robótki Eulalii. To się nazywa makrama. Ma wielki talent w rękach, sama zrobiła te zasłony.

Posłusznie popatrzył na ponuraczkę, tym mianem bowiem obdarzył w myślach Eulalię, która wykonywała skomplikowane ruchy wiążąc długi sznurek.

- Bardzo ładne - szepnął uśmiechając się w duchu. „Robię postępy” - pomyślał, wracając do słuchania muzyki.

Po chwili jego myśli zaczęły błądzić. Oczy wędrowały z sukni Pelagii na arabeski pokrywający dywan, czerwone, jedwabne draperie, po których pełgały odbłaski płonących świec. Daleko, w głębi domu, za holem, mógł dojrzeć jadalnię, w której służący wciąż jeszcze sprząтали z wielkiego stołu. Za nią znajdowała się weranda, skąd wychodziło się na dziedziniec, do ogrodu, stajni i do kuchni, gdzie koncentrowało się prawdziwe życie domu. Wszelkie prace wykonywano w piwnicach, pralni i pomieszczeniach dla służby. Okna jego pokoju skierowane były na tę stronę i ostatniej nocy

słyszał rozmawiających służących; piskliwe, kobiece trajkotanie i niskie, męskie burknięcia. Słyszał śpiew, namiętą piosenkę, zupełnie inną od wszystkiego, co do tej pory poznał, i kiedy tak leżał w łóżku, poczuł nagłą tęsknotę, dziwną nostalgię. Ale za czym? Z pewnością nie za domem, nigdy nie chciał tam wracać.

Luksusowy pokój z miękkimi, wyściełanymi krzesłami, pełen brzuch, delikatne oświetlenie, odurzająca woń - to wszystko nie było złe. Ale było tego za dużo. W całym domu panował przesyt. Zbyt dużo jedzenia, jedwabi i kwiatów...

Szyf bezszelestnie podszedł do Emmy i coś jej szepnął na ucho. Dosłyszał tylko słowa „Blaise i Fanny”. Emma wstała, gdy tylko muzyka zaczęła cichnąć.

- Dawidzie, Miriam, chodźcie ze mną. Przyjechali Blaise i Fanny - wyjaśniła, wchodząc na schody. - Posłałam po nich na wieś, a raczej kupiłam od mojego dobrego przyjaciela, który już ich nie potrzebował. Są rodzeństwem i mają bardzo dobre referencje. Inaczej bym ich nie wzięła. No, jesteśmy na miejscu.

W holu na górze czekała młoda dziewczyna. Mogła mieć dwanaście, trzynaście lat. Jej skóra była prawie biała, długie, czarne włosy, proste jak u Miriam, zostały uczesane w dwa warkoczyki.

- To jest panienka Miriam, Fanny. Dziewczynka dygnęła.

- A to, Blaise, jest panicz Dawid.

Blaise był rówieśnikiem Dawida. Jasnoszare oczy błyszczały w ciemnej twarzy, znacznie ciemniejszej od oblicza siostry.

- Lepiej będzie, jak poznacie się od razu - oznajmiła ciotka Emma. - Taki tu zwyczaj i bardzo miło jest mieć służącego, który będzie wam towarzyszył przez całe życie - wyjaśniała Dawidowi i Miriam. - Jesteście młodzi i spędzicie ze sobą wiele lat. Fanny, będziesz spać przy drzwiach pokoju panienki, gdyby cię potrzebowała w nocy. Ale z pewnością znasz swoje obowiązki - Emma uśmiechnęła się zachęcająco. - Blaise będzie robił to samo dla ciebie, Dawidzie. Jak tylko zaczniesz naukę, będzie nosił twoje książki i usługiwał ci we wszystkim. Zresztą Blaise zna swoje obowiązki. Gdybyś potrzebował dodatkowej pomocy, ojciec zawsze przyśle Maxima i Chanute. Ale oni zawsze mają mnóstwo pracy w domu. Blaise i Fanny, mam nadzieję, że będziecie się dobrze sprawować, tylko tego od was oczekujemy. - Przerwała, czekając na pytania, ponieważ jednak żadne nie padło, zakończyła przemowę: - W tej chwili to wszystko. - Zaczęła schodzić po

schodach. Już w połowie odwróciła się i dodała: - Szybciej nauczycie się francuskiego, ponieważ oni nie znają żadnego innego języka.

Czworo młodych ludzi stało przed sobą, nie wiedząc, jak się zachować. Wreszcie Fanny, nieco śmielsza od swojego brata, uśmiechnęła się do Miriam. Blaise stał ze spuszczonej oczyma, podczas gdy Dawid, czując wstyd z powodu własnej bezradności oraz nie do końca jeszcze uświadomionych obaw, szukał właściwych słów. W tej chwili na schody weszły Eulalia i Pelagia i odprawiły służących.

- Wezwiemy was, kiedy będziemy gotowi do zejścia. Mężczyźni ciągle grają w domino - powiedziała Pelagia do Dawida - ale ja jestem zbyt zmęczona. Możemy usiąść na chwilę na balkonie?

Przeszli obok szeregu sypialni.

- Mama musi dać ci lit de repos, żebyś nie zniszczył narzuty w czasie popołudniowej drzemki.

- Ale ja nigdy nie śpię po południu!

- Tutaj będziesz. Wszyscy śpią. Nasze popołudnia są bardzo ospałe - powiedziała Pelagia rozwlekając sylaby.

Nieświadomie pogładziła wystający brzuch i Miriam, obserwując jej gest, spytała:

- Kiedy spodziewasz się dziecka?

Eulalia wstrzymała oddech.

- Co ta mała wygaduje? - krzyknęła nad głową Miriam.

- Przecież widzę, że Pelagia będzie miała dziecko - odparła roztropnie Miriam. - Znam to z domu. Więc kiedy?

- W listopadzie. Tak bym chciała o tym porozmawiać - odparła miękko Pelagia. - Jestem taka szczęśliwa. Ale moja siostra uważa, że to nieprzyzwoity temat. Nie wiem dlaczego. Mama po nas urodziła jeszcze dziewięcioro, licząc wszystkie, które zaraz zmarły - zaczęła prowokować swoją siostrę, która była już w połowie drogi do drzwi: - Urodzę je właśnie tutaj, w moim pokoju. Zwyczajna sofa ma więcej niż jedno zastosowanie. - I dodała po chwili: - Mam nadzieję, że już czujesz się tutaj trochę lepiej, Dawidzie?

- Czuję się dobrze, naprawdę - zaczerwienił się chłopak.

- Przez pierwsze dni nie byłeś szczęśliwy. - Nie zaprzeczył. Pelagia kontynuowała. - Nie wiedziałeś, że to nie jest żydowski dom. Rozumiem.

Przez otwarte drzwi następnej sypialni Dawid zobaczył ołtarz albo coś, co rodzina uważała za ołtarz: stół nakryty białym obrusem, na którym stał

flakonik ze święconą wodą i kilka małych, białych, gipsowych figurek. Jego wzrok powędrował od nich na podłogę pokrytą matą ze słomy.

- Wydaje mi się, że twój ojciec powinien był wcześniej cię o tym uprzedzić.

- Cieszę się, że nic nie powiedział. Dziadunio walczyłby o nas i może by wygrał - zaśmiał się krótko.

- Ale w czasie podróży powinien był coś powiedzieć. Gdybyś jednak miał jakieś pytania...

Na chwilę wróciło zakłopotanie i niepokój. I Dawid zapytał, choć odpowiedź i tak nic nie mogła zmienić:

- Jak ojciec poślubił twoją matkę?

- Rozumiem, że chcesz wiedzieć gdzie? W katedrze. Władze kościelne dały dyspensę ze względu na różnicę wyznań. Ślubu udzielił ojciec Moni. Było naprawdę pięknie! - Pelagia w zachwycie splotła ręce. - Zresztą zawsze uwielbiałam naszą katedrę. Nawet pogrzeby są tam cudowne. Byłam małą dziewczynką, kiedy odprawiono mszę żałobną po cesarzu Napoleonie. Wszystko zostało zasłonięte czarnymi draperiami, rozbrzmiewała przepiękna muzyka, śpiewał chór francuski. Zupełnie jakby zstąpił do nas sam Pan Bóg.

Na zewnątrz zrobiło się całkiem ciemno. Trzy twarze majaczyły w mdłym blasku świecącej w sąsiednim pokoju lampy. Dlatego można było sobie tylko wyobrazić minę Pelagii, która westchnęła.

- Ale Bóg jest wszędzie, prawda? Zawsze wydawało mi się, że nie ma znaczenia, w jaki sposób człowiek czci Boga. Wiem, że są księża, którzy twierdzą, że nasza wiara jest jedyną, ale nie myślę, żeby to była prawda. Jeśli tylko traktuje się Boga poważnie... Zbyt wielu ludzi w naszym mieście tak nie postępuje. Przykro to mówić.

- To samo powiedziała mi dzisiaj pani de Rivera - stwierdził Dawid.

- Rosa? Bardzo ją lubię. Mówiła mi, że spotkałeś w podróży jej brata.

- Tak. I bardzo się polubiliśmy. Ale on idzie do college'u na północy, więc prawdopodobnie już się nie spotkamy.

- Tak, Anglicy wysyłają swoich synów do William and Mary lub Harvardu. Oczywiście my, Kreole, wysyłamy dzieci do Paryża, ale być może ty też pojedziesz do szkoły na północ.

Dawid nie odpowiedział. Taka możliwość była dla niego zaskoczeniem i lekko go zaniepokoiła.

- A może wolelibyście Paryż? Ty i Miriam? Byłam w szkole we Francji.



- Nie - odpowiedział Dawid. - Ta możliwość była jeszcze bardziej niepokojąca. - Nie chcę wracać do Europy. I nie chcę, żeby Miriam tam pojechała - dodał zdecydowanie.

- Miriam może skończyć szkołę na miejscu. Dla dziewcząt to nie ma znaczenia. Wyjdzie młodo za męża, tak jak inne ładne dziewczęta. Ja miałam szesnaście lat. Poznałam Sylvaina, gdy miałam piętnaście i pobraliśmy się w następnym roku. Mam nadzieję, Miriam, że będziesz tak samo szczęśliwa jak ja.

Chwyciła dziewczynkę za ramiona i przyciągnęła ją do lampy.

- Popatrzcie tylko na te oczy! Powinnaś czesać włosy w ten sposób, z lokami nad uszami. Jestem pewna, że papa kupi ci brylantowe kolczyki. Masz śliczne małe uszka. O tak, będziesz prawdziwą piękną, kochanie!

„Szczebioce jak jej mama - pomyślał Dawid - w ten sam sposób, jak małe dziecko. I jest tak samo dobra." Podobała mu się czułość, z jaką jej delikatne ręce dotykały Miriam.

- Musicie przyjechać do nas na wieś. Mieszkamy z ojcem Sylvaina, ale Sylvain obiecał mi kupić coś w mieście, tak więc będziemy mieli własny dom w sezonie towarzyskim. No i oczywiście operowym. Ja tak bardzo kocham operę...

Paplaninę przerwał Sylvain, który przyszedł po żonę i zabrał ją do ich pokoju. Blaise podniósł się ze swojego posłania przed drzwiami, kiedy Dawid wszedł do pokoju.

- Przepraszam, jeśli cię obudziłem, Blaise.

- Nie, nie. Czekałem na pana, paniczu Dawidzie.

- Kładź się spać. Zaraz wracam.

- Dokąd pan idzie, paniczu?

- Mów do mnie Dawid, dobrze Blaise? Idę do olla w holu po wodę. Blaise był przerażony.

- Nie stamtąd. Jeszcze nie jest oczyszczona. Serafina włożyła do niej godzinę temu ałun. Poza tym, ja będę załatwiał dla pana takie sprawy, paniczu Dawidzie.

- Ale ja jestem przyzwyczajony sam załatwiać swoje sprawy.

- Nie tutaj, paniczu. Nie tutaj.

Bose stopy Blaise'a plaskały po schodach, gdy zbiegał na dół; jego cień majaczył na ścianie.

Dawid wyszedł na balkon i spojrzał na dziedziniec. Księżyc wzeszedł już i w jego blasku mógł dojrzeć strzępiaste szeregi liści bananowców; wiał

delikatny wiatr i palmy szeleściły. Słyszał szmer wody - ach tak, to fontanna w końcu ogrodu. W powietrzu unosił się świeży, cierpki zapach. Przypomnił sobie, że tak pachną krzewy rosnące pod przeciwległą ścianą. Śpiewały nocne ptaki. Słodka noc! Jeszcze nigdy takiej nie widział. Tak słodka, że aż dokuczliwa.

„Być może przyjechałem zbyt późno - pomyślał. - Pewnie piętnaście lat to zbyt wiele jak na takie zmiany. Nie wiem. Chcę wszystko robić dobrze i uczynię to. Ale nic nie wiem o tym miejscu.”

## ROZDZIAŁ CZWARTY.

Teraz zobaczyłeś, skąd się biorą pieniądze w Stanach Zjednoczonych - powiedział Ferdinand, kiedy pieszo przeszli Esplanade Avenue. Objął Dawida ramieniem. - Nie masz pojęcia, ile dla mnie znaczy, że jestem tutaj razem z moim synem. Żałuję tylko, że trwało to tak długo i że straciliśmy tyle czasu. Ale jesteś tutaj - dodał wesoło - więc zajmijmy się teraźniejszością. O czym to ja mówiłem? Aha, opowiadałem ci, że oprócz handlu zajmuję się jeszcze innymi rzeczami. Nie można pracować dla pieniędzy. Jeśli już je masz, trzeba, żeby zaczęły zarabiać na ciebie. Zakładam przedstawicielstwa firmy w całym kraju. Udzielam pożyczek pod zastawy hipoteczne, daję plantatorom kredyty na poczet ich następnych zbiorów. Zawsze ich potrzebują, cóż, żyją na wysokim poziomie... Dawidzie, chcesz spróbować cala? To rodzaj wspaniałych ryżowych naleśników.

Przed katedrą Murzynka w wykrochmalonym białym fartuchu gotowała coś nad małym ogniem. Ferdinand przywitał ją:

- Jak się masz, Sally? To mój syn. Chciałem kupić mu cala, ale nie jest głodny. Ona robi je najlepsze wmieście - powiedział, kiedy odeszli. - Należała do mojego przyjaciela, ale kupiła sobie wolność. Zawsze możesz poznać wolne kobiety po kolorze tignon, chustki zawiązanej na głowie. Niektóre są znakomitymi kucharkami. Wieczorami sprzedają gorące ciastka ze słodkich patatów. Musisz ich kiedyś spróbować.

Kiedy skręcili za róg, wyszli nagle na kłębiący się tłum; Dawid nigdy nie widział tak wielkiej ilości kolorów, ani takiej rzeszy ludzkiej zgromadzonej w jednym miejscu. Wszystkie jego zmysły zostały gwałtownie zaatakowane. Hałas, zapach kwiatów mieszający się z wyziewami rzeki, oślepiające światło. Zatrzymał się ogłuszony.

Ferdinand był zachwycony efektem.

- Zaskoczyło cię? - zaśmiał się. - Jest na co popatrzeć, to Francuski Targ. Stłoczone poniżej grobli stragany ciągnęły się długim szeregiem. Świeże jarzyny poukładano jak bukiety. Na rybnych kramach, na blokach lodu, połyskiwały srebrną, czarną i szarą łuską świeże ryby. Żywe kraby, zielone jak młoda trawa, pełzały obok homarów. Stara Indianka przykucnęła za stołem wyrobów ze skóry. Damy, pod osłoną parasolek, w towarzystwie służących, chodziły od kramu do kramu albo popijały kawę z ciasteczkami przy malutkich stolikach stojących w cieniu markiz.

Oniemiały i zdumiony Dawid chodził tam i z powrotem, oglądając i starając się wszystko zapamiętać, zupełnie jak malarz tworzący w głowie wstępny szkic.

- Lubisz cafe noir? - spytał Ferdinand. - Nie? Wydaje mi się, że wystarczy ci już wrażeń na dzisiaj.

Wyszli spomiędzy straganów. W samym końcu, na podwyższeniu, stał, otoczony przez hałaśliwych muzykantów, stołek. Mały tłumek gapił się na nieszczęśnika, któremu przy akompaniamencie zagłuszającej jego wrzaski muzyki wyrywano zęby.

- Ten jegomość, wyrywający zęby, ma brata w Szkole Medycznej, który kieruje katedrą Materia Medica. Znam go dość dobrze. Znam tam także mnóstwo innych ludzi. W każdym razie nie będziesz miał kłopotów z przyjęciem. Zabiorę cię z wizytą do szkoły, ale na razie nie ma pośpiechu. Czeka cię kilka lat pracy. Amerykanie - muszę im oddać sprawiedliwość - bardzo cenią wykształcenie. Słyszałem, że sprowadzili człowieka, który pracował z Horace'em Mannem w Massachusetts, na północ od Nowego Jorku, żeby zorganizował darmowe szkoły. Mówi się, że za kilka lat i my będziemy mieli darmowe szkolnictwo. Uważam, że to bardzo dobrze. Bóg mi świadkiem, nie mogłem się uczyć w Europie i czuję żal z tego powodu. Brak wykształcenia sprawia, że człowiek w niektórych sytuacjach staje się onieśmielony, a ja nie cierpię tego uczucia. No, ale mimo tego braku udało mi się coś niecoś osiągnąć - zaśmiał się. - Chcę jednak, żebyś ty miał wszystko, co tylko można zdobyć. Na szczęście nie musisz korzystać z darmowej szkoły publicznej. Ludzie z naszej sfery wynajmują prywatnych nauczycieli albo posyłają synów do prywatnych szkół.

Dawid przypomniał sobie rozmowę z Pelagią. " - A co będzie z Miriam? - spytał.

- W okolicy jest mnóstwo szkół dla dziewcząt prowadzonych przez stateczne damy z dobrych domów, bardzo dystyngowanych, ale potrzebujących pieniędzy. Nie wiem, ile czasu dziewczęta się uczą, ale zdobywają ogłade. Czegóż więcej potrzeba kobietom?

Mała, żywa Miriam, ciekawa, bystra i kapryśna! Z pewnością dorównywała mu inteligencją. Dawid pomyślał, że kobiecy umysł może być równie dobrze zmarnowany pośród luksusu, jak i w ich biednym europejskim miasteczku. Już chciał to powiedzieć, ale doszli do brzegu rzeki i ojciec przerwał jego rozmyślenia.

- Te statki to mój kontakt ze światem - rozejrzał się dookoła i zniżył głos do szeptu, tak żeby nikt obcy nie podsłuchał ich prywatnych spraw. - W zeszłym roku, Dawidzie, tylko na trasie do Meksyku zarobiliśmy trzydzieści tysięcy dolarów.

Wzdłuż brzegu rzeki cumowały w długim szeregu statki. Pieszo i konno, jadąc eleganckimi powozami i wyładowanymi furgonami, po ulicy przelewały się masy ludzi. Widać było, że mieszkańcom miasta dobrze się powodzi.

- Możesz tutaj spotkać wszystkie typy ludzkie - opowiadał Ferdinand. - Porządnych i oszustów. Biedaków grających w kości o parę centów i bogaczy stawiających grube tysiące na wyścigach statków. Parowców, oczywiście, jeśli są zawodowymi graczami. Musisz uważać na szulerów, wędrujących w górę rzeki. Już niejeden plantator dał się oszukać tym dżentelmenom. Widziałem, jak ludzie tracili zyski z całorocznych zbiorów podczas godzinnej partii pokera. Tysiące, wiele tysięcy dolarów.

Przeszli na drugą stronę, aby znaleźć się w cieniu, rzucanym przez potrójne warstwy balkonów z giętego żelaza. Ktoś nad ich głowami, właśnie podlewający paproć, smrodliwie zepsuł powietrze.

- To jest Rynek Bawełny, na rogu Royal Street. Może zabiorę cię tu jutro i przedstawię kilku przyjaciółom. Czy na pewno nie chcesz jeszcze czegoś, zanim pójdziemy do domu?

Dawidowi wpadł do głowy pewien pomysł.

- Chciałbym kupić jakieś angielskie książki.

- Nadal upierasz się przy angielskim? No dobrze, księgarnię mamy po drodze. W mieście jest ich aż dziewięć.

W głębi wąskiego, długiego sklepu siedział stary człowiek w jarmulce. Wstał, gdy weszli do środka.

- Angielskie książki? To tam. Poezje, powieści, historia, gramatyka. Wszystko tutaj. - Stał, patrząc z ciekawością, podczas gdy Dawid przeglądał półki. - Jeśli młody dżentelmen szuka gramatyki, polecałbym tę.

- Chcę się nauczyć angielskiego - wyjaśnił Dawid po francusku.

- Zatem sama gramatyka nie wystarczy. Powinieneś, młodzieńcze, poznać literaturę. Wtedy dopiero poznany język ożyje. Czy lubisz poezję?

- Nie czytałem jej zbyt wiele i tylko po niemiecku. Ale tak, lubię ją.

- Spróbuj zatem lorda Byrona. To romantyk. - Stary człowiek z upodobaniem powtórzył ostatnie słowo: - Romantik. Wieszcz młodych. Już

nie dla mnie, ale z pewnością dla ciebie. Co do powieści, polecałbym sir Waltera Scotta. Nie znudzi cię. Jest ciekawy i żywy.

- Mój syn może wziąć tyle książek, ile tylko zapragnie - oznajmił Ferdinand. - Nie żałuję pieniędzy na wykształcenie.

Starzec skłonił się.

- To dowodzi rozwagi, proszę pana.

Kiedy zapłacono już za stos książek, właściciel sklepu powlókł się z powrotem w stronę półek i wręczył Dawidowi cienki tom, oprawny w skórę.

- Jak przeczytasz tamte, dostatecznie opanujesz język, by docenić Jonathana Swifta, największego pisarza z nich wszystkich. Był satyrykiem. Czy wiesz, kto to jest satyryk, młodzieńcze? Nie? Powiem ci. To człowiek o bystrym spojrzeniu i ostrym języku, czy może raczej powinienem rzec - piórze. Dostrzega zło tego świata. Kpi i wyszydza.

- Wydaje mi się, że coś takiego to o wiele za dużo dla piętnastolatka - zaoponował Ferdinand.

Stary człowiek potrząsnął głową.

- Nie dla tego chłopca. Po jego oczach widzę, że zrozumie. Proszę. Weź to. Po wyjściu ze sklepu Dawid spytał, dlaczego właściciel dał mu prezent.

- Nazywamy to lagniappe - wyjaśnił Ferdinand. - Tutaj kupcy zawsze coś dodają, zależnie od wartości zakupów. A kupiliśmy sporo. Powinniśmy wysłać Maxima albo Blaise'a, żeby zanieśli to do domu.

- Papo, nie potrzebuję sługi, żeby nosił za mnie kilka książek. Wiesz, podobał mi się ten człowiek. To Żyd, prawda?

- Chyba tak. Tak.

- Uczony w Piśmie - stwierdził z naciskiem Dawid. Nie wiedział, co go zmuszało do bezustannych powrotów do dyskusji z ojcem na temat, który im obu przysparzał jedynie przykrości.

Przez chwilę Ferdinand milczał, a potem rzekł:

- Wiesz, Dawidzie, rozumiem cię. Twoje uczucia religijne są rzeczą całkowicie naturalną w tym wieku. Piętnaście lat! Wtedy pragnie się żyć cnotliwie. Nawet ja doświadczyłem czegoś podobnego, choć muszę powiedzieć, że u mnie trwało to znacznie krócej niż u innych. - W jego głosie brzmiało pełne tolerancji rozbawienie. - Najprawdopodobniej wyrośniesz z tego teraz, kiedy zabrałem cię z waszej wioski. A jeśli nie, to wyłącznie twoja sprawa. Choćby tylko w imię błogosławionej pamięci twej matki, nigdy nie będę się wtrącał.

- Nie wyrosnę.

- Cóż, czas pokaże. Już ci chyba kiedyś mówiłem, sam Heine stwierdził, że judaizm to nieszczęście. Jak myślisz, czemu tylko przez ostatnie dziesięć lat pod panowaniem Fryderyka Wilhelma III wychrzcilo się ponad dwa tysiące Żydów? Dlatego, że to jedyna metoda przeżycia pod władzą tyrana. Na szczęście tu nie trzeba zmieniać wiary i, jak ci mówiłem, nigdy nie chciałem tego zrobić. Pragnę jedynie żyć w spokoju.

- Jeśli ci na to pozwolą - mruknął Dawid.

Na ulicy Chartres Ferdinand wymienił ukłony z tęgim młodzieńcem w wytwornym czarnym ubraniu.

- To Juda Benjamin - szepnął - jeden z naszych wybijających się młodych prawników. Również jest Żydem, ale też nie dba o to. A to Hotel St. Louis. Świetna kuchnia, zabiorę cię tu kiedyś na lunch. I mają tu największy dom aukcyjny. Możesz tu kupić wszystko, co tylko zechcesz, od statku po dom, komplet francuskich mebli albo tysiąc akrów ziemi. Wszystko.

Uwagę Dawida przyciągnęło ogłoszenie na ścianie. Uważnie odczytał słowa: „Młody murzyński chłopiec, niema jeszcze dwudziestu lat, znakomity lokaj dla dżentelmena, włada angielskim i francuskim, zna podstawy krawiectwa, uczciwy, dorodny.”

Coś go tam popychało, pierwszy przebłysk zrozumienia, budzący ciekawość i narastającą odrazę.

- Chciałbym tam wejść - poprosił.

- Teraz? Obejrzeć licytację? Dobrze. Mamy jeszcze godzinę.

Ustawione w koncentryczne kręgi krzesła otaczały wzniesioną platformę, na której energicznie poruszał się jegomość w jaskrawej koszuli. Ferdinand przepchnął się przez rzędy kapeluszy, umieszczonych na pokrytych najdroższym sukniem kolanach. Po drodze bez przerwy obdarzał kogoś skinieniem głowy, wymieniał słowa pozdrowienia. W przejściach stały grupki mężczyzn, wokół rozlegał się szmer rozmów niczym w teatrze przed podniesieniem kurtyny. „Jak na wiejskim jarmarku - pomyślał Dawid - zanim zaczną się występy żonglerów albo tańczącego niedźwiedzia”. Dopiero gdy został usadzony na krześle z doskonałym widokiem na podwyższenie, pojął, na czym polega właściwy charakter tego wydarzenia. Nawet przy swej słabej znajomości języka i mimo szybkich przeskoków prowadzącego aukcję z angielskiego na francuski, Dawid zrozumiał. Tu handlowano ludźmi! Niewielka grupka czekała z boku platformy, cierpliwie i w milczeniu, jak konie na jarmarku. Dawid wyteżył wzrok: zgarbiony starszy człowiek, trzech wyrostków, kilka grubych kobiet, z których jedna

uśmiechała się dziwnie, przymilnie. Młoda kobieta o bardzo jasnej skórze - ocenił, że co najmniej w trzech czwartych biała - płakała bezgłośnie. Jego oczy powróciły do licytatora, którego żywy głos wybijał się ponad szmer zebranych.

- Panowie, panowie! Proszę o spokój! Prowadzimy tu interesy, a nic nie słyszeć. Ile proponujecie za tę tu Lucindę?

Jego dłoń spoczywała na ramieniu postawnej Murzynki w skromnej, zielonej sukience. Wysoka i spokojna, stała tam jakby nie dostrzegając ani tego głosu, ani ręki. Wysoko uniosła głowę, zdawała się spoglądać w dal, poza otaczający ją tłum głów.

Pytanie zabrzmiało ponownie.

- He za Lucindę? Kto pierwszy? Umie pracować, umie gotować. Można ją kupić tylko dlatego, że jej właściciel zmarł bezpotomnie i zarząd spadku postanowił się jej pozbyć. No dalej, kto pierwszy?

- Sześćset - zawołał ktoś.

- Chyba nie mówi pan serio! Nigdy nie oddałbym jej za taką sumę!

- Nie najmłodsza - zaproponował pierwszy chętny.

- Stara? Proszę pana, nie mówimy tu o sześćdziesięciolatce. Ma ledwie kilka dni ponad czterdziestkę. Jest silna, posłuszna i zdrowa. Nie tak, jak wasz słaby, buntowniczy przychówek z Kentucky. Urodziła się i wychowała o pięćdziesiąt mil stąd w górę rzeki. - Zwrócił wzrok na drugą stronę koła. - Ile za nią?

- Siedemset.

- Osiemset

- Osiemset. Kto da więcej?

Dawid czuł, jak na karku i pod pachami zbiera mu się pot. Nawet w tej zatłoczonej sali spływające strużki były zimne jak lód. Podobnie dłonie. Wepchnął je do kieszeni.

Ta kobieta, Lucinda, nadal stała nieruchomo, wpatrując się w niewidoczny punkt. Dawidowi wydało się, iż obecne było tylko jej ciało, cierpliwe i obojętne, a dusza uleciała.

- Tysiąc.

- Tysiąc pięćdziesiąt.

- Tysiąc sto.

- Tysiąc sto. Czy ktoś powiedział tysiąc sto pięćdziesiąt? Tysiąc sto po raz pierwszy, po raz drugi, trzeci. Sprzedana za tysiąc sto dolarów. Lucinda.



Następny, proszę. No dalej, dalej, przyprowadźcie go. Lista jest długa, a minęło już południe.

Na stopnie prowadzące na platformę wspięła się dwójka chłopców. Mieli najwyżej po dwanaście, trzynaście lat. Stanęli przed tłumem z rozbieganymi oczami, w których strach mieszał się z ciekawością. Licytator zawołał z entuzjazmem:

- Tu mamy piękną parę, dwóch braci. Prawda, nie są jeszcze całkiem dorośli, ale potrafią ciężko pracować. Ich właściciel niechętnie się z nimi rozstaje, ale ma i tak nadmiar rąk do pracy. Jeśli to możliwe, chciałby sprzedać ich jako parę. Razem się wychowali...

- Chanute i Maxim też byli razem - szepnął Ferdinand. - Są jednak kuzynami, nie braćmi.

- Właściciel gotów jest nawet przyjąć niższą cenę, jeśli ktoś zdecyduje się kupić ich obu...

Na podeście młodszy z chłopców niespodziewanie sięgnął po dłoń brata. Dawid poczuł się nagle tak, jakby mu serce miało zaraz wyskoczyć z piersi. Zerwał się na nogi, trącając sąsiada, który rzucił mu nieprzychylnie spojrzenie.

- Wyjdźmy stąd! Muszę się stąd wydostać, papo! Ferdinand podążył za nim na ulicę.

- Tak bardzo cię to poruszyło? - spytał z ciekawością, dodając zaraz: - Tak, za pierwszym razem może to szokować, póki nie zrozumie się, jak funkcjonuje cały system. Nie jest wcale tak okrutny, na jaki wygląda, czy jaki był niegdyś. Mój Boże, w czasach Jeana Lafitte Afrykanom zakładano łańcuchy i żelazne obręcze na szyje! Lafitte miał warsztat kowalski na St. Philip Street, tam właśnie wykuwano owe łańcuchy. No cóż, te czasy dawno już minęły. Dziś Murzyn jest częścią respektowanego układu finansowego. Nasze największe kompanie, koleje, gazownie - wszystkie wykorzystują Murzynów.

- Posiadają ich - poprawił Dawid.

- O tak, szkolą ich do wszystkich robót, o jakich tylko można zamarzyć, od stolarki po ślusarstwo. Uczą i dobrze traktują.

Po drugiej stronie ulicy młody, czarnobrody mężczyzna uchylił na ich widok kapelusza.

- To Eugene Mendes. Pochodzi z Louisville. Musisz być zaskoczony, że znam tak wiele osób. Nie zdziwiłbym się, gdyby Mendes osiadł tu na stałe. Wciąż kupuje nieruchomości, w zeszłym miesiącu nabył ładny kawałek

gruntu przy Canal Street. Zajmuje się towarami przesyłanymi z Północy. Czy uwierzyłbyś, że ma niewiele ponad dwadzieścia lat? Najwyżej dwadzieścia dwa. Oczywiście na początek dysponował ładnym majątkiem, który otrzymał w spadku. Ale trzeba też wiedzieć, co z takim spadkiem zrobić. W tym mieście przed młodym człowiekiem o bystrym umyśle otwierają się nieprzebrane możliwości. To wspaniałe miejsce na to, by być młodym - poklepał Dawida po ramieniu. - Spodziewam się po tobie wielkich rzeczy, synu. - I jakby starając się wydusić z chłopca podobny swojemu entuzjazm, wpatrzył się w jego twarz w poszukiwaniu najmniejszej oznaki zachęty. Nie znalazł jej jednak.

„Czy nie zorientował się, że przez całą drogę wymówiłem tylko kilka słów?” - zastanawiał się Dawid. Kiedy podchodzili już do frontowych drzwi domu, z żalem i goryczą pomyślał: „Mój ojciec będzie mną rozczarowany. Nie jestem takim synem, jakiego by pragnął”.

Wieczorem odwiedził ich Sylvain Labouisse. Dawid, razem z mężczyznami, poszedł po obiedzie do biblioteki, podczas gdy kobiety odpoczywały na świeżym powietrzu na werandzie. O zmierzchu Ferdinand i Sylvain odstawili szachy i rozmawiając na uboczu, popijali café briilot. Ostra woń cytryny i brandy unosiła się nad filiżankami.

- Fanatycy - mówił zły Sylvain. - Przyjeżdżają do spokojnego kraju. Fanatycy i abolicjoniści.

Przez ostatni kwadrans Dawid przysłuchiwał się rozmowie. Zapytał, kim są abolicjoniści.

- Ludzie, którzy przyjeżdżają z Północy i głoszą ideę nadania wolności Murzynom. Wolności - powtórzył Sylvain z pogardą. - Wolność czego? Włóczęgi o głodzie i chłodzie jak bezdomne dzieci?

- A co robią abolicjoniści, kiedy tu przyjeżdżają? - chciał wiedzieć Dawid. Sylvain wyprostował nogi. Drżał z oburzenia i napięcia.

- Co robią? Nawołują do przemocy, oto co robią! Wymordowaliby nas we własnych łózkach. W zeszłym roku mieliśmy powstanie, jakieś dziesięć mil od domu mojego ojca. Kilku na wpół oszalałych Murzynów wpadło w amok, ale na szczęście udało nam się ich unieszkodliwić. Potem przez dwa tygodnie trzymałem w stajni osiodłane konie, w każdej chwili gotowe do drogi, gdyby zaszła potrzeba wyjazdu. Sporo czasu minęło, zanim wszystko wróciło do normy.

- Sylvain nie mówił ci, że gubernator mianował go w zeszłym roku pułkownikiem straży - uzupełnił Ferdinand. - Właściwy człowiek do takiej pracy.

- Pozwól, że ci powiem - dodał Sylvain. - Podczas mojej nieobecności moi Murzyni wiernie pilnowali naszej rodziny. Całkowicie im zaufałem i nie zawiodłem się. Masz więc swoich abolicjonistów! - Zaciśnął pięści.

- Oczywiście - powiedział Ferdinand - są zadowoleni z tego, co mają. U dobrego pana dobrze im się wiedzie.

- A czy wszyscy właściciele są dobrymi panami? - spytał Dawid.

- Nie - odpowiedział łagodnie Ferdinand. - Nie, tak jak nie wszyscy ludzie są dobrzy. Ale większość jest, nieprawdaż, Sylvainie? Poza tym żaden z nas nigdy nie wychłostał Murzyna, I jestem pewien, że żaden z moich znajomych. Większość ludzi jest przyzwoita. Przynajmniej z takimi się spotykałem.

Sylvain zwrócił się do Dawida.

- Powiem ci coś ciekawego. Czy wiesz, że z reguły Murzyni wolą białego właściciela od jakiegokolwiek kolorowego? Jeśli chcesz doszukać się okrutnego traktowania, to tam je znajdziesz. Zwłaszcza w tym mieście, gdzie kupują ich do służby w domu i traktują w odrażający sposób.

Dawid podniósł się i wziął gazetę.

- W dzisiejszym „Bee” przeczytałem coś... O, tutaj. - Xavier Barthelemy daje trzydzieści dolarów nagrody za zwrot swojego chłopca Cezara, szesnastolatka, jasnoskórego o jasnych oczach; ubrany może być w szarą marynarkę i także spodnie ze srebrnymi guzikami. Uciekł w zeszły czwartek - zamilkł.

- No i ...? - spytał Ferdinand.

- Chłopak w moim wieku! Starszy o rok - powiedział powoli Dawid. - Taki jak ja.

- Nie jak ty. On to on, a ty to ty - powiedział Sylvain z irytacją. Do tej pory spoglądał w przestrzeń, teraz jednak wbił wzrok w oczy Dawida.

„Jesteśmy jak dwa obce psy - pomyślał Dawid. - Ostrożnie się sobie przyglądamy i czekamy na stosowny moment do ataku”. Sylvain pierwszy odwrócił wzrok.

- Musisz pamiętać, że tylko nieliczni próbują porzucić swe domy. A jeśli nawet, to dlatego, że mieli okrutnego zarządcę. O dziwo, dziewięciu na dziesięciu nadzorców pochodzi z Północy. Większość z tych, którzy pragną

wolności, może ją zyskać w znacznie bezpieczniejszy sposób niż przez ucieczkę, zapewniam cię.

Wbrew swojej woli Dawid coraz bardziej wciągał się w dyskusję. Musiał dowiedzieć się więcej. Musiał wiedzieć.

- Jak mogą kupić sobie wolność?

- Ktoś, kto ma zawód, na przykład fryzjer albo niania, może się najmować do pracy. Płacą właścicielowi miesięczny procent, a resztę wolno im zachować dla siebie, aż uzbierają wystarczającą kwotę. To działa bardzo dobrze.

- Dla właściciela - stwierdził Dawid.

- Co przez to rozumiesz? - spytał zaskoczony ojciec. Dawid mówił powoli, walcząc z ogarniającym go niesmakiem.

- Uważam, że to przerażające być właścicielem innego człowieka. To jest... - szukał słowa - oznaka braku cywilizacji.

Przypomniał sobie Lucindę: niewzruszona twarz, dostojeństwo, rezygnacja. Sylvain roześmiał się sarkastycznie.

- Pozwól mi zauważyć, że naprawdę zbyt mało jeszcze wiesz, żeby móc wygłaszać swoje opinie, Dawidzie. Tak się składa, że nasz system jest wybitnie cywilizowany. Uwalnia umysły białych ludzi od drobiazgów i pozwala na realizację wyższych celów. I z pewnością cywilizuje Afrykanów, którzy są w Afryce niczym więcej jak kanibalami. Tutaj otrzymują wsparcie, uczą się ogłady i religii. I wiesz, że czuję się bezpieczniejszy wśród moich Murzynów na plantacji, niż gdybym musiał mieszkać w jakimś mieście na Północy z bezrobotnymi robotnikami fabrycznymi przed moimi drzwiami, nawet gdyby byli biali.

- Ale dopiero co mówiłeś, że trzymałeś osiodłane konie przez całe tygodnie... Zakłopotany i zszokowany Ferdinand popatrzył na Sylvaina, a potem na syna.

- Sylvain ma rację. Naprawdę jeszcze nie masz zbyt wielkiego pojęcia o tych sprawach, Dawidzie. To głupio wypowiadać się o rzeczach, których się nie rozumie.

- To, co dzisiaj widziałem, nie było zbyt trudne do zrozumienia, papo.

- Był dzisiaj w Domu Aukcyjnym - wyjaśnił Ferdinand - i...

- Myślałem o tym cały czas - przerwał Dawid. - Pamiętam wszystko, co mi opowiadałeś o prześladowaniu nas w Niemczech, o przyczynach, dla których wyjechałeś, i czemu nas zabrałeś. - Kiedy o tym mówił, przypomniał sobie

noce pełne strachu, ciemną bramę, bieganinę i zakrwawioną suknię matki. - Dla mnie jest to to samo. Dokładnie to samo.

Nagle Ferdinand wybuchnął gniewem:

- To samo! Bzdura! Spytaj Syzyfa, co myśli na ten temat! Syzyfa, który chodzi do opery i na koncerty organizowane przez Wyzwolonych Murzynów i jeździ z nami nad morze. Popatrz w niedzielę na Maxima i Chanute'a! Dlaczego mają lepsze ubranie niż ty, kiedy mieszkałeś z dziadkiem, niż ci ludzie na statku, których było ci tak bardzo żal? Popatrz na swojego Blaise'a...

- On nie jest „moim Blaise'em”. Nie jestem jego właścicielem i nie chcę być.

- Ośmieszasz się, Dawidzie. Mówisz jak dziecko... Tak, naprawdę jesteś dzieckiem.

- Mówię jak Żyd. „Bowiemy byliśmy niewolnikami w ziemi egipskiej.” Tak więc powinniśmy mieć więcej miłosierdzia!

- Mylisz pojęcia. Jedno nie ma nic wspólnego z drugim.

- A ja uważam, że ma - odpowiedział Dawid. Coś wciąż go popychało do tej dyskusji. Nadszedł wreszcie moment, że nie mógł się już opanować.

- Wiesz, co myślę? - powiedział zdenerwowany Ferdinand. - Że posunąłeś się za daleko. Dawidzie, twój ojciec każe ci natychmiast się uspokoić!

Sylvain taktownie oglądał swoje paznokcie. Cień uśmiechu błąkał się po jego kształtnych wargach, wyrażając niemą opinię: kłóćcie się, jeśli chcecie, to nie moja sprawa.

Dawid gardził Sylvainem z powodu jego obojętnej wyższości. Krzyknął z pasją:

- Nie tak sobie wyobrażałem Amerykę! Myślałem... - zająknął się nagle. - Myślałem, że wszystko będzie czyste, zupełnie inne...

Jakże romantyczny był w swoich marzeniach. Świerkowe lasy, dziewicze i pachnące. Nowe, pionierskie miasta. Radośni i mężni ludzie. Rzadko rozumiał, czego chciał, ale z pewnością oczekiwał czegoś innego. Chciałby umieć wytłumaczyć swoje uczucia: wszystko to, co się w nim kłębiło, to, że nie potrafi żyć w miejscu, w którym życie było zhierarchizowane, a każdy człowiek miał swoją „pozycję” na zawsze. Instykt podpowiadał mu jednak, że nikt z tych ludzi tego nie zrozumie. Gorzej, mogliby go wykipić. Delikatny uśmiezek zmieniał się w wyraźne rozbawienie. Sardoniczne brwi przybrały wyraz lekceważenia.

- Ameryka nie jest tym, czego się spodziewałeś? Czego chcesz? Wrócić do tej dziury w Europie? Niech cię diabli! - krzyknął Ferdinand, on, który prawie nigdy nie przeklinał.

- Tego też nie chcę - powiedział gwałtownie chłopiec.

- Dobrze, czego więc chcesz? Zdecyduj się! Masz już piętnaście lat, młodzieńcze! Powinieneś wiedzieć, czego oczekujesz od życia!

- Przed chwilą powiedziałeś, że jestem dzieckiem.

- O co ci chodzi? Zaczynasz mnie łapać za słówka? Nie pozwolę na to. Nie mówiłem tego wcześniej, ale powinieneś wiedzieć. Poddajeś mnie ciężkiej próbie. Staralem się zapomnieć o wszystkim i zbudować między nami jakiś pomost, ale wygląda na to, że ty usiłujesz wszystko zniszczyć. To przykre, strasznie przykre, wszystko, czego chciałem, to to, żebyśmy byli razem, a wygląda na to, że ty tylko szukasz ze mną zwady.

- Nie szukam kłótni, papo. Tylko tyle, że czuję... Czuję, że nie chcę być tutaj!

- Mów ciszej! Zaniepokoisz kobiety. Patrz, swoim krzykiem przestraszyłeś siostrę. W drzwiach stała Miriam, przenosząc wzrok z jednego na drugiego. Wstrząśnięty

Dawid przypomniał sobie, jak bardzo bała się głośnych rozmów, jak słysząc kłótnię zatykała sobie paluszkami uszy i wybiegała z domu. Pelagia zabrała ją stąd"

- Chodź, Miriam. To nic, po prostu mężczyźni rozmawiają sobie.

- Być może znalazłoby się rozwiązanie - powiedział Dawid. - Gdybyś uznał, jak bardzo byłeś zły, i spróbował wszystko zmienić. Daj wolność służbie i przyłącz się do tych, jak ich nazywacie, abolicjonistów?

Sylvain zakaszłał i popatrzył na Ferdinanda. Jego spojrzenie wyrażało pytanie: on jest twoim synem, czy masz mu zamiar na to pozwolić? Ferdinand podniósł się.

- Głupie gadanie! Niebezpieczne! Mów tak, a nikt nie będzie rozmawiał z tobą w żadnym szanującym się domu stąd do Richmond w Wirginii. Wybij to sobie z głowy, Dawidzie. I nie chcę o tym więcej słyszeć! Musisz mi obiecać, że nie będziesz poruszał tego tematu, inaczej... - ojciec zadrżał i dokończył: - Inaczej nie będziesz mógł tu zostać.

Dawid także zadrżał, ale wielka fala nadal w nim pulsowała.

- A zatem wygląda na to, że nie mogę tu zostać - powiedział bardzo wolno. Ferdinand przechadzał się po pokoju, nerwowo uderzając dłonią o dłoń.

- Czy jakiś ojciec musiał już znosić coś podobnego? - spytał Sylvaina, który nic na to nie odpowiedział. - Czego chcesz? Co się z tobą stanie?

- Mogę pracować. Mogę pojechać na Północ, gdzie są abolicjoniści. Tak, będę pracować. Jestem silny.

- Pracować? Co będziesz robić?

- Nie wiem. Coś znajdę. Ty znalazłeś.

- Ja? Chcesz pracować tak jak ja? Włóczyć się milami z tobołkiem błyskotek? Po to cię sprowadziłem z Europy, żebyś zaczynał wszystko na nowo? Nie, do diabła, zaczniesz tam, gdzie ja skończyłem! Pójdiesz do szkoły albo wrócisz do Europy! Jestem pewien, że będziesz wolał pozostać tutaj!

- Papo, pojedę na studia na Północ. Mówiłeś, że mogę. - Gardło dławili mu strach i gniew. Przełknął ślinę z nadludzkim wysiłkiem. - Ten chłopak, Gabriel Carvalho, mówił, że wyjeżdża na uniwersytet Columbia, w Nowym Jorku. Z pewnością lepiej będzie, jak pojedę do Nowego Jorku. Usunę ci się z drogi. Tak będzie lepiej dla nas obu.

Ferdinand podszedł do ściany. Zaciśnięte ręce zwiesił bezładnie po bokach, spuścił głowę. Wbił wzrok w kominek i stojący na nim zegar z brązu, jakby tam mógł znaleźć rozwiązanie swoich problemów. Kiedy niespodziewanie zegar wybił pół godziny, ożywił się, jak gdyby otrzymał odpowiedź na swoje pytanie.

- Tak, na Boga. Myślę, że tak będzie lepiej. Może zyskasz trochę rozumu, abym mógł zostawić ci moje pieniądze bez obaw, że po mojej śmierci zostaną utopione w jakimś szalonym, renegackim przedsięwzięciu.

- Nie chcę pieniędzy po twojej śmierci. Nie chcę ich nawet teraz - odpowiedział hardo Dawid. - Mówiłem ci, że potrafię się o siebie zatroszczyć.

Ponad kołnierzykiem szyja Ferdinanda gwałtownie poczerwieniała.

- Nie chcesz moich pieniędzy? Weźmiesz je i polubisz! I coś osiągniesz. Kiedy będziesz daleko stąd, być może docenisz to, co tutaj straciłeś, wrócisz, zamkniesz buzię i pozwolisz ludziom, którzy się lepiej od ciebie na tym znają, wykonywać swoją pracę! Tak! - ryknął wściekły, kiedy Dawid wybiegł z pokoju. - Tak! Uciekaj! Nie chcesz mnie teraz słuchać, ale przyjdzie czas, że przypomnisz sobie wszystko, co ci powiedziałem. Osioł! - krzyknął. - Przeklęty osioł! Bóg jeden wie, co się z nim stanie!

Powóz, mający zawieźć Dawida na stację, czekał pod oknem Miriam. Kiedy dziewczynka odsunęła na bok zasłony, mogła zobaczyć błyszczące

skórzane siedzenia, które parzyły przy dotknięciu ręką. Głowa Maxima zwróciła się w stronę frontowych drzwi. Za chwilę pojawi się w nich Dawid; jego stopy już były widoczne na górze schodów. Czowała tak wielki żal! Przez cały ranek prosiła:

- Weź mnie ze sobą, Dawidzie! Nie sprawię ci żadnych kłopotów. Pójdę do szkoły i nie odezwę się ani słówkiem, kiedy ty będziesz się uczył. Proszę...

Jej ręce, jej całe ciało wyrażały błaganie, ale dłonie brata tylko odsunęły włosy z czoła Miriam.

- Nie, nie, Liebchen. Zostaniesz tutaj. Tak będzie dla ciebie dużo lepiej.

- Ale dlaczego? - Płakała. - Dlaczego?

- Dlatego. Posłuchaj mnie. Jesteś kobietą, małą kobietką, a kobiety wymagają opieki. Tutaj będziesz miała wszystko. Będziesz bezpieczna.

Uklęknął przed nią tak, że mogła zajrzeć w jego oczy, gdzie zielonozłote plamki błyszcząły wśród brązu, i dostrzegła gęstniejący ciemny puch na policzkach. Nagle stał się starszy i bardziej zdecydowany, stał się kimś niepodobnym do jej kochanego brata.

- Pójdiesz do szkoły i nauczysz się ładnych rzeczy, muzyki i poezji, nauczysz się prowadzić dom, wyjdiesz za męża, będziesz miała dzieci i będziesz się nimi opiekowała. - Podniósł się. Jego głos zmienił ton. - Pewnego dnia, niebiosa tylko wiedzą kiedy, kobiety będą mogły robić więcej. Może wtedy przyślę po ciebie... Ale na razie jeszcze nie czas i tak jest najlepiej. - Pocałował ją i zostawił.

Patrzyła, jak szedł do powozu. Widziała Maxima sięgającego po walizę, Dawida odmawiającego pomocy i niosącego ciężki bagaż. Wreszcie Maxim usiadł na koźle i konie ruszyły. Ulica o poranku była jeszcze cicha, tak więc stąpanie konia odbijało się dźwięcznym echem. W odległym końcu Conti Street przejeżdżający sprzedawca krzyknął: „Melony! Słodkie melony!” i umilkł. Dwa zaciętrzewione wróble biły się ze sobą na balustradzie werandy. Zasuńawszy zasłony, Miriam cofnęła się do ciemnego pokoju i położyła głowę na poduszce - nie płakała już, po prostu czuła zmęczenie. Pies trącił ją zachęcająco łapą, ale nie doczekawszy się odpowiedzi, zwinął się na podłodze i zasnął.

Przez długie minuty Miriam klęczała, dopóki w pokoju nie zaczęło coś głośno brzęczeć. Wiedziała już, że to jedna z tych wielkich, zielononiebieskich much, które całymi stadami krążyły nad koźmi na ulicy. Wzdrygnęła się i uniosła głowę. Fanny zamierzała się packą na muchę. Przez



chwilę dwie dziewczynki patrzyły na siebie; potem ramiona Fanny otworzyły się szeroko i Miriam rzuciła się w pachnące świeżo prany płótnem objęcia.

- Wiem, panienko, wiem. Też byłam smutna, kiedy przyjechałam do tego obcego, dziwnego miejsca. Ale nie ma się co przejmować. Nie spędziła tu panienska nawet jednego miesiąca. Wszystko się ułoży.

- Tak myślisz, Fanny?

- Wiem o tym. Pojedzie panienska do szkoły, pozna nowych przyjaciół, będzie chodziła na przyjęcia i miała mnóstwo nowych sukienek. Będzie miała wszystko, co powinna mieć młoda dama. Och, polubi to panienska! Maxim opowiadał Blaise'owi i mnie, jak to jest. To naprawdę miłe...

## ROZDZIAŁ PIĄTY.

Na swe jedenaste urodziny Miriam dostała w prezencie pamiętnik, oprawny w białą satynę, ze złoconymi brzegami. Na każdy dzień przeznaczona była jedna strona, a w jej rogu znajdowała się podobizna kwiatu pomarańczy, fiołka albo róży, i wierszyk, odpowiedni dla młodej panienki:

Maj! Władca pąków  
i cudownych kwiatów.

Jakąż to melodią  
powitamy lato?

Codziennie po szkole zasiadała przy biurczku z różanego drzewa, podczas gdy Fanny krzątała się wkoło, przekładając kapcie, wieszając ubrania do szafy, składając halki, zaciągając rolety w ochronie przed palącymi promieniami zachodzącego słońca i upychając na półkę podręczniki.

Pióro Miriam ślizgało się po jedwabistym papierze, stawiając krągłe, amerykańskie litery, jakże różne od tych spiczastych, których nauczyła się w dzieciństwie, i sumiennie zapisywało codzienną porcję zwierzeń.

Wiele lat później będzie odczytywała te słowa z czułym rozbawieniem. Proste zdania, często trywialne, czasem czarujące, tajne zapiski dziewczynki, zmieniającej się w podlotka równie wolno, jak ranek przechodzi w południe. Poprzez słowa wspomni samo zdarzenie: tak, to było tego lata, gdy pojechaliśmy do Pelagii, tego dnia otrzymałam nagrodę za krasomówstwo. Lecz prawdziwe życie, esencja chwili, gdy dłoń zacisnęła się na piórze, a myśli powędrowały daleko, nie dało się odczytać z papierowych stron.

Dziś mijają dwa lata, odkąd Dawid wyjechał. Wydaje się jednak, że było to dużo dawniej.

Gdy napisali nam, że dziadunio nie żyje, próbowałam przypomnieć sobie jego twarz. Miał skąpą, siwą brodę; na jego łysej czaszce i wierzchach dłoni występowały żyły. Zacisnęłam powieki, ale ujrzałam tylko to, jego prawdziwej twarzy tam nie było.

Starłam się przypomnieć sobie miejsce, gdzie mieszkaliśmy. Tu, w tym mieście, promienie słońca kładą się na wszystkim niczym żółta farba; tam świat był szary i brązowy, a w lecie wilgotny i ciemnozielony. Wiem, że tak było, ale nie potrafię już go zobaczyć.

Dawid i papa nie pisują do siebie poza tym, że papa posyła mu pieniądze, a Dawid podziękowania.

Z początku papa mówił o nim różne niemiłe rzeczy, ale myślę, że był bardziej zasmucony niż zły. Chyba jest człowiekiem, który nie lubi się złościć. Gniew nigdy nie trwa u niego zbyt długo. Ciotka Emma twierdzi, że to dlatego ludzie go wykorzystują. Papa prawie nigdy nie wspomina imienia Dawida.

Ciotka Emma mówi, że w szkole bardzo dobrze mi idzie. Słyszałam, jak powiedziała to do kogoś na dole, podczas podwieczorku.

Głos ciotki był pełen zadowolenia: „Francuski Miriam jest doskonały” - powiedziała. - „Wszystkie dzieci łatwo uczą się języków. Całkiem dobrze gra też na fortepianie i maluje. Tylko to jej szycie... cóż, nigdy nie będzie taka jak moja Eulalia, to pewne.”

Nie cierpię Eulalii. Ani na moment nie odkłada igły. Wciąż tylko obrzuca, przeszywa, haftuje kolejne ubranko dla dzieci Pelagii.

Ciotka Emma zawsze powtarza: "Biedna Eulalia! Nieszczęsna dziewczyna! Ma tak wiele zalet. To niesprawiedliwe, żeby wszystko, co najlepsze, przypadło jej siostrze. Wydaje się, jakby ślub Pelagii odbył się dopiero wczoraj, a oto w przyszłym miesiącu spodziewa się trzeciego dziecka. Jak szybko płyną lata. Dopiero co wczoraj rozmawiałam o tym z panem Raphaelem. Już niedługo, szybciej, niż nam się wydaje, trzeba będzie poszukać męża dla jego Miriam. Dziewczynka skończy wkrótce dwanaście lat."

Dorośle kobiety mówią czasami bardzo głupie rzeczy!

Wczoraj dostałam list od Dawida. W końcu papa napisał do niego i posłał mu mnóstwo pieniędzy na książki. Tak się cieszę.

Dziś papa mówił o nim z pewną nadzieją, był nawet nieco dumny z Dawida. „Przynajmniej wydaje na książki - powiedział. - Nie jest rozrzutnikiem, jak tylu innych studentów, którzy za dużo wydają i bez przerwy piją." Uniwersytet leży w bardzo porządnej dzielnicy, tak twierdzi ciotka Emma. Gdy kiedyś odwiedziła

Nowy Jork, dowiedziała się, że najlepsze rodziny mieszkają przy ulicach Chambers i Murray. Mówi, że Dawid wyrośnie z głupiego, dziecinnego uporu i wróci do domu. „Kiedy skończy szkołę, wróci tu, zobaczysz” - powtarza. A papa na to: „Tak, może i tak." Ja tak nie sądzę.

Dawid napisał, że cieszy się z tego, iż co tydzień odwiedzam dom Rosy. To żydowski dom.

„Co takiego? - nie mogła się nadziwić Emma. - Nie nazywasz ją panią de Rivera albo przynajmniej ciotką Rosą?" Była naprawdę zbulwersowana. Ale Rosa sama prosiła mnie o to, choć do jej męża mówię wujku Henry. Ciotka Emma nie potrafi zrozumieć, że Rosa już taka jest; nie dba o zasady. W ich domu stale panuje radość. Chłopcy są naprawdę śliczni, jak z obrazka. Wszystko niszczą, ale Rosa zupełnie się tym nie przejmuję. Sama też nie dba o porządek. Kiedy tam jestem, zawsze dużo się śmieję. Wszyscy ludzie śmieją się w ich domu. Chłopcy noszą imiona po ojcu i wuju. Żydzi nie powinni nazywać swych dzieci imionami żyjących ludzi, ale de Riverowie to Sefardyjczycy i u nich panują inne zwyczaje. Ich rodzina zabiera mnie do synagogi, do Wrót Łaski. Czasami, kiedy Marie Claire przebywa akurat z wizytą w mieście, bierzemy i ją.

Chciałabym mieć talent, tak jak Marie Claire. Wujek Syzyf twierdzi, że kiedyś zaśpiewa ona w operze. Z pewnością nie jest ładna, poza chwilami, gdy śpiewa. Wtedy staje się prawie piękna. Mam dziwne przeczucie co do niej, że kiedy dorośniemy, będziemy w jakiś sposób związane ze sobą. Nie mam pojęcia, dlaczego, przecież prawie się nie znamy.

Zwój Praw pełen jest luk; ta synagoga to ubogie miejsce, ale lepsze to niż nic, mawia wujek Henry.

Chciałabym, aby papa chodził tam z nami, ale on odmawia. Wielka szkoda. Ciotka Emma twierdzi, że ojciec jest zadowolony, iż zabierają mnie tam de Riverowie, to taka wspaniała rodzina. Są bogaci. Zaczynam pojmować rzeczy, o których według dorosłych nie powinnam jeszcze mieć nawet pojęcia.

Czasami podczas nabożeństwa niemal zasypiam, bo potrafią być bardzo nudne, ale nie przeszkadza mi to, bo wiem, że moja matka cieszy się, że tam jestem. Czuję na karku jej ciepły oddech. Jej ręka muska moje ramię. Ma na sobie kraciasty szal, jak zawsze, kiedy o niej myślę. Pamiętam jej śmierć i wiem, że przez pamięć o niej nigdy nie odstąpię od tego, kim jestem. Nigdy. Jestem, kim jestem. Nowy Orlean to dom wszystkich ludzi.

Co za szczęście, że papa nie poszedł w zeszłym tygodniu z nami na Jom Kippur \*).

\* Jom Kippur - Sądny Dzień, żydowskie święto pokutne, poświęcone modlitwie i postom (przyp. tłum.)

Manis Jacobs, który zresztą nie jest wcale prawdziwym rabim, nagle w połowie nabożeństwa oznajmił, że idzie do domu coś zjeść i że my wszyscy też powinniśmy iść na obiad, bo posty to bzdura.

A dziś rano usłyszałam, że Jacobs nie żyje. Spytałam papy, czy mogła go osiągnąć kara boska, on jednak odparł, że to tylko głupie przesady. Powiedział to jednak bez złości.

Teraz na czele gminy stanie Rowley Marks. Chyba zna się na tym jeszcze mniej niż Manis Jacobs. Rosa twierdzi, że jego imię wzięło się stąd, iż grał kiedyś starego Rowleya w Szkole obmowy. Często pracuje jako aktor, poza tym jest kapitanem straży pożarnej.

Nie pretenduje nawet do miana uczonego w Piśmie, jak mówi wujek Henry. Wujek powtarza, że z czasem wszystko się unormuje. Że jedno trzeba im przyznać: przynajmniej próbują utrzymać naszych razem pod nieobecność lepszych od siebie. Przynajmniej nie odwracają się od własnego ludu. Ma tu na myśli papę i wielu innych.

Napisałam do Dawida i zapytałam, czemu nie mógłby w przyszłym roku studiować medycyny tutaj. Ale on nie chce. Píše, że nie mógłby żyć w miejscu, gdzie jedni ludzie tak okrutnie traktują innych.

Można by pomyśleć, że wszyscy tu nie mamy nic lepszego do roboty, niż wymyślać nowe tortury dla służby! Ciotka Emma i papa są zawsze tacy dobrzy. W zeszłym miesiącu wyprawili wesele córce kucharza, miała piękny biały welon i wielki tort. Wszyscy w domu bardzo ich lubią. Kupują śliczne stroje dla Maxima i Chanute'a, którzy bez przerwy między sobą żartują. Gdyby byli tacy nieszczęśliwi, chyba nie śmieliby się stale?

Spytałam Fanny, czy jest szczęśliwa. Powiedziała, że bardzo. Uwielbia nowoorleańskie potańcówki. „Wie panienska - powiedziała - kolorowi kochają tańce.” I była zachwycona kapeluszem, który ciotka Emma podarowała jej na Wielkanoc. Zapytałam, czy nie ma jakiegoś miejsca, gdzie wolałaby mieszkać, i bardzo ją tym przeraziłam. „Chyba nie chce mnie panienska odesłać?” - spytała. „Oczywiście, że nie - odpowiedziałam. - Nauczę cię czytać”. Po szkole przerabiam z nią swoje lekcje na górnej werandzie. Szybko się uczy, wydaje mi się, że jest bardzo bystra.

Dostałam list od Dawida. Píše w nim, że spotkał Gabriela Carvalho.

Nowy Jork, listopad, 1841

Najukochańsza siostrzyczko!

Nie wiem dlaczego, ale dziś tęsknię za Tobą jeszcze bardziej niż zwykle. Siedzę tu, przy lampie, przed stosem książek - ściślej mówiąc są to trzy opasłe tomiszczka - i nie mogę ich otworzyć, nim do Ciebie nie napiszę.

A, wiem już, czemu myślałam o Tobie cały dzień! Wczoraj wieczorem spotkałam Gabriela Carvalho. Niezbyt często się widzimy - wydziały prawa

i medycyny to jak dwa odrębne światy - ale kiedy się już spotykamy, jest zawsze bardzo miło. W Nowym Jorku można przyjemnie spędzić czas: w teatrze, na tańcach, poznając nowych, ciekawych ludzi. Wczoraj wybraliśmy się na plac Waszyngtona. Tam mieszka „stary” Nowy Jork, to bardzo eleganckie miejsce. Trochę przypomina Wasz Place d'Armes, ale nie całkiem. Wszystkie domy mają „ganki”, czyli kilka stopni przed frontowymi drzwiami. Oczywiście lampy gazowe i ogień na każdym kominku - tu jest okropnie zimno, zupełnie jak w Europie. Czy pamiętasz, jak trzęśliśmy się z zimna?

W każdym razie - jest już po północy i moje śpiące myśli zaczynają wędrować bez celu - w jednym z domów dostrzegłem dziewczynkę, która niezwykle przypominała Ciebie - taką, jaką zapewne teraz jesteś, gdy masz już prawie czternaście lat. I właśnie dlatego przez cały dzień nie mogłem przestać o Tobie myśleć. Gabriel także dostrzegł to podobieństwo. Zaskoczyło mnie, że po tylu latach tak dobrze cię pamięta. Potem rozmawialiśmy o tym dniu, gdy Gretel wypadła za burtę, jak płakałaś i jak ładnie mu dziękowałaś.

Czasami wydaje się, jakby to było wczoraj. A przecież już niedługo zaczną Cię szykować do zamążpójścia. Ktokolwiek to będzie, mam nadzieję, że wybiorą właściwie, tak, aby idealnie do Ciebie pasował: miły człowiek o prawym umyśle.

Zapewne od razu zinterpretujesz to jako „prawy politycznie”, ale wierz mi, jestem na tyle realistą, by zdawać sobie sprawę, że w warunkach, w jakich żyjesz, byłoby to przesadne żądanie. Mam więc jedynie nadzieję, że się pokochacie, to wszystko.

Co do polityki zaś, to zdumiałabyś się - przynajmniej mnie to dziwi, choć przez te lata powinienem już przywyknąć do różnych cudactw - widząc, jak wielu tutejszych ludzi powtarza argumenty południowych plantatorów, choć nigdy nie byli na Południu. Można ich spotkać przede wszystkim pośród towarzystwa z placu Waszyngtona i sfer handlowych. Studenci naszej szkoły mają najprzeróżniejsze zapatrywania, aż do bezkompromisowego abolicjonizmu rodem z Nowej Anglii, który, jak sama wiesz, mnie osobiście odpowiada najbardziej.

To zabawne - kiedy jestem z Gabrielem, zazwyczaj powstrzymuję się od dyskusji o polityce. On robi to samo. Nie chcemy, aby coś stało między nami. Mam nadzieję, że nic nas nie poróżni, ale czasem sam nie wiem, co

będzie dalej. W chwilach zwątpienia widzę, jak ten kraj prze ku konfliktowi. Bóg mi świadkiem, wolałbym, żeby do tego nie doszło.

Och, czemu zawracam Ci głowę tym wszystkim? Jestem jakoś w ponurym nastroju. Już północ. Tęsknię za Tobą.

Lepiej będzie, jak wrócę do książek. Zdaje się, że rzeczom, których trzeba wyuczyć się na pamięć, aby zostać lekarzem, po prostu nie ma końca. Ale nadal kocham to, co robię, i nie wyobrażam sobie, że mógłbym wybrać inny zawód.

Napisz i opowiedz mi wszystko o sobie, o szkole i świętach, nawet o Twoich nowych sukienkach. Wszystko.

Twój kochający brat Dawid

Tego samego dnia Rosa dostała list od Gabriela, opowiadający o spotkaniu z Dawidem. Rosa jest bardzo dumna z brata. „On jeden w naszej rodzinie myśli o wyższych sprawach - mawia często. - Nie tak, jak ja.”

Tym razem powiedziała: „Czy wiesz, że byłby dla ciebie znakomitym mężem?” Poczułam wielkie zakłopotanie, bo tak na mnie spojrzała, jakby szacowała wartość towaru. W końcu mam dopiero trzynaście lat - no, prawie czternaście. Papa z pewnością byłby bardzo rad, gdybym mu o tym opowiedziała. Sefardyjczycy zawsze stanowili wzór dla innych, tak twierdzi, choć są zbyt dumni. Ale Rosa wcale nie jest wyniosła. I Gabriel też nie był. Lubiałam go. Choć nie rozmawiało się z nim tak zabawnie, jak z Dawidem. Był za spokojny, tak wtedy uważałam. Papa twierdził, że wyrośnie na przystojnego mężczyznę. W każdym razie uważam, że to niemądre ze strony Rosy.

Wszyscy płyniemy parowcem w górę rzeki do Plaisance, na chrzciny nowego dziecka Pelagii. Pomyśleć tylko! Kiedy ją poznałam, w ogóle nie miała dzieci, a teraz już czwarte!

Ciotka Emma twierdzi, że obowiązkiem żony jest posiadanie dużej rodziny i tylu dzieci, ile tylko zdoła mieć. Rosa mówi, że ciocia to typowa Kreolka. „Nie wierz pozorom - powtarza - te kobiety, choć może na to nie wyglądają, faktycznie rządzą tutaj. To prawdziwy matriarchat. Rosa opowiada mi moc ciekawych rzeczy o świecie, ale ja nie zawsze się z nią zgadzam. Z tego, co widzę, posiadanie tych wszystkich dzieci nie oznacza jeszcze, że się rządzi.

Tak wiele z nich umiera! Gdzie w tym jakakolwiek radość? Jedno z dzieci ciotki Emmy umarło, gdy miało zaledwie tydzień, troje podczas epidemii febry, jedno ukąsił grzechotnik. Jakie to potworne! I jeszcze dwójka na

chorobę drugiego lata. Drugie lato życia to taki niebezpieczny okres. Och, to by było straszne, gdyby umarło któreś z dzieci Pelagii! Nie wiem, jak by to zniosła, jest taka delikatna. Płacze z byle czego. Czasami zupełnie bez powodu.

Rezydencja w Plaisance przypomina rycinę, przedstawiającą Partenon, która wisi w górnym korytarzu przed pokojem papy. Należy do teścia Pelagii, pana Lamberta Labouisse.

Pelagia musi tam mieszkać, choć wcale nie ma na to ochoty. Ojciec Sylvain przeraża mnie, jest taki oficjalny, ma tak zimne oczy. Czuję się, jakby chciał mi ściąć głowę za każdym razem, kiedy zbyt głośno się zaśmiałam albo coś rozlałam. Jest cały wykrochmalony, całuje kobiety w rękę i skłania głowę z czarującym uśmiechem, który zupełnie nie pasuje do reszty jego twarzy. Pelagia mówi, że bywa uroczy, ale gdy ma atak wściekłości, wszyscy, nawet jego syn Sylvain, obawiają się go i schodzą mu z drogi.

Dawid i Sylvain niezbyt się lubili. Dawid zawsze wygłaszał bardzo stanowcze sądy o ludziach. Na przykład Gabriela polubił od razu i wciąż o nim pisuje. Ale muszę przyznać, że dla mnie Sylvain jest bardzo miły. Dał mi na urodziny bardzo stosowny prezent: koszyk dla Gretel, która zaczyna się starzeć. Tu jednak wszyscy są dla mnie mili, może z wyjątkiem Eulalii. Wydaje mi się, że ona nie lubi Żydów, ale nikomu nie mówię o tych podejrzeniach. Czasami rzuca uwagi, które, jestem pewna, mają ukryte znaczenie. „Och, to wasze święto” - mówi z dziwaczną miną, jakby nie była tym zachwycona. Rosa twierdzi, że ludzie pielęgnują w sobie nienawiść, gdy są głęboko nieszczęśliwi. Potrzebują kogoś lub czegoś, na co mogliby rzucić winę. Przypuszczam, że to ma sens.

Cóż to za wspaniałe miejsce! Dałoby się tu pomieścić sześć domów takich, jak nasz. Wszystkie pokoje są pełne krewnych, ich dzieci i niań. Dzieci są wszędzie, na schodach i w korytarzach, białe i kolorowe, rozbawione, rozbiegane. Nigdy dotąd nie widziałam aż tyle służby. Kucharz był uczniem jednego z najlepszych kuchmistrzów w Paryżu, tak mówią.

Posiadłość Plaisance liczy cztery tysiące akrów i stanowiła ślubny dar dla matki Sylvaina, kiedy wychodziła za Lamberta Labouisse. Większość służby pochodzi stąd, tu się urodzili i tu umierają. To jak jedna ogromna rodzina. Mają tu konie wierzchowe, ucę się na nich jeździć. Są tu powozy dla wszystkich, kiedykolwiek i gdziekolwiek chciałoby się jechać. Co za luksus!



Przypuszczam, że Pelagia nie lubi tego domu, bo nie należy on do niej i nie będzie, póki nie umrze Lambert Labouisse. Co, jak sędzę, nie nastąpi zbyt prędko, gdyż wydaje się bardzo silny i jeszcze nie taki stary.

Chrzcziny mają odbyć się w niedzielę. Jedna z ciotek Labouisse będzie marraine, matką chrzestną, a papa ma odegrać rolę parraina, ojca chrzestnego. Ojciec chrzestny katolickiego dziecka! Papa roześmiał się tylko. „Mówiłem ci, w tym cudownym kraju to nie przeszkadza.” W prezencie dla dziecka kupił srebrny kubek. To tutejszy zwyczaj. Mały ma na imię Alexandre.

Dziś rano Sylvain powiedział Pelagii, że teraz, gdy obdarzyła go synem, ma nadzieję, iż da mu jeszcze wielu. Czy ona naprawdę chce mieć więcej dzieci? Zaczyna już tyć i za parę lat będzie wyglądała jak ciotka Emma. To nie ma sensu. Była przecież, i nadal jest, bardzo ładna. Nie rozumiem tego. Czy nie mogłaby powiedzieć nie? Czyżby nie było żadnego sposobu? Czy on zmusza ją, jeśli ona odmawia? Zdiera z niej suknię? Przypuśćmy, że nie zgodziłaby się na to, co wtedy robią - a nie jestem pewna, co to takiego. Chyba wiem, ale niezupełnie to rozumiem, a nie ma nikogo, kogo mogłabym zapytać. Nawet Rosa opowiada o różnych rzeczach, ale nigdy o tym. Kiedyś zagadnęłam o to Fanny, ale ona spojrzała tylko na mnie z przerażeniem i powiedziała, że nie wolno zadawać takich pytań, to nie przystoi młodej damie.

Po chrzcinach wyszłam samotnie na dwór. Czułam dziwny spokój, choć czasami ogarnia mnie smutek. Po prostu człowiek może być sam nawet wówczas, gdy otacza go tłum innych.

Tak wiele nieznanym i wszyscy naraz mówili. Nie po to, aby się porozumieć, ale jakby w ten sposób chcieli powiedzieć: „Spójrz na mnie, wysłuchaj mnie, tu jestem. Jestem ważny, prawda?” W takich chwilach zaczynam się bać, ponieważ nie ma nikogo, kto potrafiłby pojąć, co mnie ostatnio nęka. Nie papa, który zacząłby żartować, a zaraz następnego dnia kupił mi prezent. Nie Pelagia, bo ona przypomniałaby mi tylko, jakie mam szczęście, o czym doskonale wiem. Nie Rosa, która nalegałaby jedynie, abym została na „pyszną kolację”. Może Dawid zdołałby mnie zrozumieć, ale nie ma go tu i zapewne nigdy nie będzie.

Kiedy tak się czuję, muszę wyjść na dwór, pomiędzy zieleń, ostatecznie nawet na domowe podwórko. Przespacerowałam się zatem aż do brzegu rozlewiska i usiadłam tam na płaskim kamieniu.

Całe zbocze pokryte jest dzikimi irysami barwy bladego błękitu, kołyszącymi się na grubych, wilgotnych łądygach. W powietrzu latają stadka białych motyli, drobnych jak ćmy. Jeden przysiadł mi na dłoni, nie ruszałam się, a on bez przerwy otwierał i zamykał skrzydełka, jakby były na zawiasach. Dawid twierdzi, że wszystko, co żyje, to jedno, co znaczy, że te przejrzyste skrzydła są zbudowane z tego samego, co ja.

Usłyszałam za plecami czyjeś kroki i aż podskoczyłam. To był mężczyzna, starszy od Dawida - wszystkich porównuję z Dawidem - ale nie bardzo stary. Miał na głowie modny słomkowy kapelusz, końce wstążki zwisały mu na kark. Powiedział, że nazywa się Eugene Mendes i wie, że jestem córką Ferdinanda Raphaela. „Skąd pan wie? Ja pana nie znam” - odparłam. „Ponieważ panią widziałem, przed chwilą wyszła pani z przyjęcia.” Usiadł koło mnie. „Czekam na służącego, aby zawiózł mnie do domu łodzią - oznajmił. - To lepsze niż droga łądem”. Chciał wiedzieć, co robię tu sama. Powiedziałam mu, że lubię ciszę. „Tu słyhać ciszę.” Spytał, ile mam lat. Odparłam, że będę obchodzić szesnaste urodziny. Nie chciałam się przyznać, że w zeszłym tygodniu skończyłam piętnaście. On na to: „Wkrótce różni młodzieńcy zaczną przychodzić do waszej łoży w operze, żeby zostać pani przedstawieni.” Uśmiechnął się. Ma bardzo równe zęby. Jego oczy są czujne, nie odrywał ich ode mnie ani na moment. Nie jestem pewna, czy mu się spodobałam. To dziwne, widzieć z tak bliska oczy mężczyzny. Kiedy przybyła jego łódka i służący zawołał go na pokład, pan Mendes wstał. Jest tak wysoki, że aż lekko się garbi. Wygląda na bardzo silnego. Rosa powiedziałaby, że jest przystojny. Znam jej gust i wiem, że nie przepada za mężczyznami w typie własnego męża, drobnymi i słabymi.

„Proszę nie siedzieć tu zbyt długo - powiedział pan Mendes. - Po zmroku aligatory wychodzą na żer.” Na te słowa podskoczyłam ze strachu, a on niespodziewanie pochylił się nad moją dłonią i ucałował ją. Jego usta były wilgotne. Kiedy uniósł głowę, na wargach znów czaił mu się ten uśmiech. Ma dziwne oczy, koloru herbaty. „Do zobaczenia w operze - rzekł - kiedy skończy pani szesnaście lat.”

Po co to wszystko piszę? Sama nie wiem. Nie wiem, czego chce. Po szesnastych urodzinach będę już kobietą i rozpocznę swoje prawdziwe życie. Powinnam wyczekiwać tego z niecierpliwością i czasem rzeczywiście tęsknię do tej chwili. Ale ciągle nie mogę zrozumieć samej siebie. Dla rodziny też stanowią zagadkę. Ciotka Emma nigdy nie potrafi pojąć, czemu wolę czytać, niż składać z nią wizyty. Ach, te nie kończące się wizyty! I tak

przez całe życie! Karty wizytowe i kawa, plotki i kawa, i zapach smażonej cykorii, gdy tylko przestąpi się kolejny próg. "Powieści! - mawia ciotka Emma i zawsze prycha z pogardą - powieści nie są odpowiednią lekturą dla młodych panienek. Jeśli o mnie chodzi, to uważam, że nawet od gazet lepiej trzymać się z daleka."

Co zatem pozostaje? Oczywiście małżeństwo. Każdy wie, że to jest właśnie przeznaczeniem kobiety. Nawet nauczycielki w szkole, stare panny, też zdają sobie z tego sprawę. Mają nas nauczyć, jak być lepszymi żonami i matkami. Ale skąd ma o tym wiedzieć stara panna?

Rosa się myli, kiedy mówi, że w kobiecie kryje się potęga. Potęga należy do mężczyzn. Tak niewiele o nich wiem. Co kryją pod sukniem i płótnem? Nie wiem nawet, jak wyglądają. Kiedy o tym myślę, przebiega mnie dreszcz i czuję nagłe gorąco. Wstyd mi za niektóre rzeczy, jakie sobie wyobrażam. Czy to jedynie rozszalała fantazja, czy też to wszystko naprawdę istnieje? Jeśli tak, to musi być cudownie. A jednak wciąż się wstydzę. Chcę kogoś pokochać, oto, czego pragnę. Ale jednocześnie boję się. Nie chcę być taka, jak Pelagia. Łaknę wolności. Sama nie wiem, czego chcę!

## ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Nie. Ten wachlarz misie nie podoba. Za dużo żółtego, sukienka, bukiet i wstążki... Wydaje mi się, że lepszy będzie ten w kolorze kości słoniowej. Poza tym - dodała Emma - ten sam wachlarz miała ze sobą Pelagia, kiedy po raz pierwszy szła do opery, i teraz pragnie, abyś i ty go wzięła. Miriam, ona tak bardzo cię lubi, mam nadzieję, że to rozumiesz.

Lustro odbijało grupę czterech kobiet otaczających piątą: Miriam, dla której ten dzień oznaczał rozpoczęcie życia dorosłej kobiety. U jej stóp klęczała Fanny, poprawiająca sześć szeleszczących halek; obok stały fryzjerka, Emma i Eulalia. Ta ostatnia zjawiała się tu wbrew sobie i stała nieruchomo, w milczeniu przyglądając się ostatnim przygotowaniom. W rękach trzymała bukiet ledwie rozwiniętych hiacyntów i złotych irysów. Emma promieniała. W pewnym sensie ten dzień należał również do niej, jako zastępczej matki, i tryumf Miriam miał być jej dziełem. Toteż odziana w błękitną satynę i naszyjnik z pereł wydawała kolejne polecenia.

- Tak, właśnie tak, wachlarz ma wisieć na sznureczku opasującym przegub. Kiedy już usiadziemy, otwieraj go od czasu do czasu i powachluj się lekko, ale tak, by nie zasłonić twarzy. Trzymaj go w ten sposób. Och, kochanie, ta sukienka to istne чудо, twój ojciec będzie taki dumny z ciebie.

Miriam czuła, jak płoną jej policzki. Blask licznych świec rozjaśniał całe pomieszczenie. Spojrzała na widoczną w lustrze nieznajomą; nieznajomą, w której uszach połyskiwały brylanty, której nagie białe ramiona wyłaniały się spośród spienionych falbanek.

- W drugą rękę weźmiesz torebkę z pantoflami. Kiedy dojedziemy na miejsce, będziesz mogła przebrać się w nie. Muszę powiedzieć, że Scanlan naprawdę szyje wspaniałe suknie! Wykończenie jest równie dobre, co we francuskich. Twój ojciec mówi, że kiedy przyjdzie pora na przygotowanie ci wyprawy, zamówimy ją w Paryżu, choć osobiście zawsze uważałam, że stroje od Scanlana albo z Olympic zupełnie im dorównują.

Grube kobiety nie mogły nosić francuskich sukien. Ciotka Emma, z roku na rok coraz szersza, musiała zamawiać stroje na miarę.

- Fanny! Wydaje mi się - ciągnęła niecierpliwie Emma - że pomyliłaś halki. Podwójna taftowa powinna być pod spodem, aby nie przygnieść muślinowej. Unieś jej spódnicę, o tak, i przełóż je. - W jej głosie pobrzmiwała irytacja. - Jakże mi brak mojego Monty'ego! Musiałam się z nim rozstać tuż przed twoim przyjazdem, Miriam. Był cudownym

garderobianym, nigdy nie popełniał błędów i doskonale znał się na strojach. Niestety, nie mogłam go zatrzymać dłużej niż do czternastych urodzin, w takim wieku nie powinien już usługiwać damie. Tak, właśnie tak, Fanny, bardzo dobrze.

„Wieczorami - pomyślała Miriam - złączą nam składać wizyty młodzi mężczyźni. Będą grali w karty z papą, ale naprawdę przyjdą tu dla mnie. W niedzielne wieczory na dole złączą się soirees, będziemy tańczyć, a stare matrony zasiądą rządkiem niczym kury na grzędzie, nie spuszczać nas z oka.”

Dziś wieczór, kiedy zajmie miejsce w operze, w rodzinnej loży, ludzie będą oglądać się i szeptać: „Tak, to mała Raphaelów. Jaka urocza! Ciekawe, za kogo wyjdzie za męż...” I cudowny, radosny świat wirował wokół Miriam w takt czarownej muzyki. Wszyscy byli tacy mili, wszyscy ją kochali. Eulalia podziwiała jej nowe kolczyki. Nie potrzeba żadnych kłótni, sporów, ludzie są tacy dobrzy; naprawdę, zawsze powinno się być szczęśliwym.

- Jak dobrze się złożyło, że to premiera! - wykrzyknęła Emma. I do tego La Juive Halévy'ego! Moja kuzynka widziała to w Paryżu. Strasznie dramatyczne, okropnie smutne, często tak bywa z żydowskimi historiami.

Może już tego wieczoru on ją ujrzy? Lecz kto to będzie? Nagle Miriam poczuła, że ogarnia ją panika. A jeśli nikt się nie zjawi? Jeśli nie będzie nikogo ani dziś, ani w ogóle? To się zdarzało! Wystarczyło spojrzeć na Eulalię. Oczywiście Eulalia nie grzeszyła urodą, ale były też inne. W myślach Miriam zaczęła liczyć wszystkie niezamężne, nie chciane kobiety: siostra Marcelle, bynajmniej nie brzydka, i kuzynka Amy, która nadal mieszkała z rodziną, no i wszystkie nauczycielki. Mademoiselle Georges musiała być kiedyś piękna z tymi złocistoczerwonymi lokami, i co się z nią stało? W tym momencie coś z optymizmu Ferdinanda, jednej z nielicznych cech, jakie po nim odziedziczyła, zagłuszyło panikę. Nie, nie, to niemożliwe, jej to nie spotka! I jak przez mgłę ujrzała błyszczące oczy, ciemną głowę pochyloną nad jej dłonią i energiczny głos. Ale kim był? Kim?

- No proszę - oznajmiła Emma - Doskonale. A teraz pośpiesz się, twój ojciec czeka już na dole. Pójdzie z nami Syzyf, wiele czytał o operze i zawsze jest bardzo dumny, gdy mamy w Nowym Orleanie amerykańską premierę. To zadziwiające, ile on wie o muzyce! Dobry Boże, zaczyna padać! Nie otwieraj parasolki w domu! Miriam, to przynosi okropnego pecha, czy chcesz wywołać nieszczęście?

Szli powoli pośród ciepłej, drobnej mżawki, wędrując od jednego suchego miejsca do drugiego. Lecz Miriam kroczyła ku zwiewnej, srebrzystej kurtynie zawieszanej pomiędzy nią a tym, co ją czeka. Nagle, dziś wieczór, ta kurtyna uniesie się i odsłoni skrywany dotąd blask. Te ulice, które przemierzała co dnia, jakże dobrze znany budynek teatru, wokół którego powoli gromadził się tłum - to wszystko czekało właśnie na nią! Była gwiazdą wspaniałej sztuki i choć jeszcze nie знаła swej roli, w jakiś sposób nagle dowie się, co ma robić. Świadoma rozbrzmiewających wokół powitań, wspięła się po schodach idąc pomiędzy Emmą i Ferdinandem i zajęła miejsce w łoży. Tak, wszystko działo się tak, jak powinno, wystarczyło tylko siedzieć z uniesioną głową, z uśmiechem na ustach, i cierpliwie czekać na to wielkie wydarzenie. Czuła, jak serce rytmicznie tłucze się w piersi.

- Popatrz - szepnęła Emma - To ojciec Louisa Moreau Gottschalka. Jedna z najlepszych żydowskich rodzin w mieście. Wiesz, jego syn to muzyczny geniusz. Wysłano go do Paryża na studia. A oto i twoi przyjaciele, De Riverowie. Ona zawsze wygląda tak elegancko, musi chyba wydawać majątek na stroje.

Miriam spytała o osłonięte balkony naprzeciwko. Siedzący w nich ludzie byli całkowicie skryci przed oczami reszty publiczności.

- To są loges grillées. Kobiety w żałobie i te, które chcą w spokoju obejrzeć przedstawienie, nie będąc widziane.

Ferdinand nachylił się ku córce i mrugnął do niej. Był dumny z Miriam, z jej nowej sukienki, z diamentowych kolczyków, które przyniósł jej tego popołudnia w pudełeczku wyściełanym czarnym aksamitem. A Miriam była pewna, że w tej chwili, tak jak ona wspominał ów pierwszy wieczór w Europie, kiedy siedząc obok kuchennego pieca obiecywał jej świetną przyszłość. Teraz obietnica spełniła się.

- Oczywiście po przedstawieniu pójdziemy do Vincenta na ciastka i czekoladę - stwierdził.

Kurtyna idzie w górę, ukazując kamienny plac przed katedrą, o wiele większą i piękniejszą niż ta na Place d'Armes. Melodia wznosi się wraz z anielskim chórem, głos męski dźwięczy niczym najniższe nuty wiolonczeli, kobiecy jest czysty i pewny jak ptasie trele. Zaczyna się opowieść, stara historia miłości i nienawiści, pogromów i śmierci. Oto ucztą paschalna: „O Boże, Boże ojców naszych”, śpiewa chór. Tak znana pieśń, a przecież obca i smutna! Jak można zabawiać publiczność śmiercią? A jednak można. Muzyka wznosi się i drży, grzmi i łka niczym dziecko. Miriam rozgląda się

w mroku i zadaje sobie pytanie, czy kogoś jeszcze prócz niej przedstawienie to wzruszyło do łez. W sąsiedniej łoży ludzie szepcą do siebie, nie słuchając muzyki; przyszli tu w innym celu, aby widzieć i być widzianymi, przecież i ona dlatego się tu znalazła. Jednak nie teraz, nie w tej chwili. Teraz przeniosła się w inny świat. Jej serce pęka wobec tej miłości, namiętności, śmierci. Podczas antraktu do łoży wchodzi ludzie, aby zostać przedstawionymi. Miriam ledwie zdołała otrzeć oczy, ma nadzieję, że jej nos nie jest czerwony. Uprzejmie skłania głowę, ale nie pamięta żadnych nazwisk, zapomniała, po co tu jest.

- Rachelo - mówi męski głos. Chyba zwraca się do niej, ale ona nic nie rozumie. Ojciec przywołuje ją do rzeczywistości.

- Pan Mendes nazwał cię Rachelą. To komplement. Uważa, że przypominasz bohaterkę Halevy'ego.

Miriam dziękuje mężczyźnie. Wie, że widziała go już kiedyś.

- Nie pamięta mnie pani. - Herbaciane oczy zdają się nie mrugać, tak nieruchome jest ich spojrzenie. Stanowią najważniejszy element jego twarzy. Właśnie te oczy najłatwiej zapamiętać. - Obiecałem, że zobaczę się z panią, gdy skończy pani szesnaście lat, panno Miriam. - Jego władczy głos nakazuje szacunek, podobnie jak spojrzeniu, trudno mu się sprzeciwić. Miriam przypomina sobie popołudnie nad zatoką, mężczyznę zeskakującego ze stromego brzegu, unoszącego dłoń w pożegnalnym geście, odpływającego łódką. - Jest pani jeszcze piękniejsza niż oczekiwałem, panno Miriam.

Oczywiście jest jej przyjemnie. Pierwszy raz usłyszała coś takiego od mężczyzny. Jednak on przesadza. Dokładnie przeanalizowała swoją urodę: jest zgrabna i wdzięczna, jej rysy mają dużo uroku, ale daleko jej do piękności. Wystarczy zajrzeć do sąsiedniej łoży, gdzie siedzą siostry Frothingham, złotowłose istoty o twarzach Walkirii. To jest prawdziwe piękno. Uśmiecha się jednak uprzejmie w chwili, gdy kurtyna zaczyna się podnosić. Papa ledwie ma czas zauważyć:

- Wybitny młody człowiek. Daleko zajdzie.

- Jeśli zacznie panienka liczyć siwe konie, to po setnym pierwszy mężczyzna, którego rękę panienka uściśnie, zostanie jej mężem - oznajmiła Fanny. Miriam roześmiała się.

- To niemądre, Fanny. Kto ci powiedział coś podobnego?

- Panna Eulalia, ale i tak wszyscy o tym wiedzą.

Za oknem, w kręgu mętnego światła latarni pośród wiosennej mgły, stała bryczka, zaprzężona w siwka.

- Czy można kilka razy policzyć tego samego konia, czy też musi to być sto różnych?

- Panienska się śmieje, ale to prawda - odparła Fanny, unikając odpowiedzi.  
- I jest taki wysoki. Lubię wysokich mężczyzn.

Eugene Mendes odwiedzał ich od dwóch tygodni, to jest od czasu wieczoru w operze. We frontowym salonie grali z papą w domino i pili porto. Albo też, gdy przyszło więcej gości, rozgrywali partyjkę kart. W tylnym salonie kobiety grały w bezika. Potem obie grupy spotykały się przy kawie.

- Znałam kiedyś wysokiego chłopca - ciągnęła Fanny. - Miałam wówczas trzynaście lat. Był jakby przeznaczony dla mnie. Potem go straciłam.

- To musiało się stać, kiedy tu przybyłaś.

- Tak, sprzedali mnie, mnie i Blaise'a. Ale ucieszyłam się wtedy, bardziej cieszyłam się, niż było mi przykro. - Nagle Fanny zaczęła opowiadać, jakby coś zmuszało ją do mówienia. - Mój ojciec był białym kawalerem, a matka pracowała jako pokojówka w jego domu. Piękny dom, cały z cegły. Kiedy jednak matka umarła, ojciec ożenił się z damą, która nie znosiła naszej obecności i zmusiła go, żeby nas sprzedał. Ale tak było dla nas lepiej, bo bardzo źle nas traktowała. To okropnie zła kobieta.

- Czemu nigdy przedtem nie powiedziałaś mi o tym? - Aż dotąd Miriam sądziła, że wie wszystko o życiu Fanny, tej miłej dziewczyny, na którą nie sposób się gniewać.

- Była panienska za młoda, zbyt niewinna. Niewinne białe dziecko. Poczuli się nagle prawie tak, jak wówczas w teatrze, przeszył ją ogromny żal z powodu ludzkiego bólu.

- Ale to tak strasznie smutne, Fanny. Musiałaś porzucić dom i ojca...

- Nigdy nie był dla mnie ojcem, a dom nie należał do mnie. - Fanny zmarszczyła brwi. - Zresztą tam mieszkali sami baptyści, a oni nie lubią muzyki, nie tańczą. Kolorowym lepiej być z katolikami. Blaise nie jest zadowolony, bo ksiądz nie pozwala krzyczeć w kościele, ale mnie się tam podoba. No już, panienska fryzura gotowa. Lepiej niech panienska zejdzie na dół. Już czas.

Jak zawsze, Miriam miała spędzić pierwszy wieczór paschalny u de Riverów. Co roku Ferdinand otrzymywał uprzejme zaproszenie i co roku znajdował wiarygodny pretekst, aby odmówić. Dziś nie musiał wysilać wyobraźni, bowiem na ten właśnie dzień przypadały urodziny Emmy.



- Bardzo uprzejmie ze strony pana Mendesa, że po ciebie przyjeżdża - oznajmił, wchodząc na gore. Jego oczy szybko otaksowały córkę od stóp do głowy.

- Tak - odparła - Bardzo uprzejmie.

- To religijny człowiek. Dobroczyńca innych Żydów.

„I jesteś mu w stanie to wybaczyć?” - pomyślała ironicznie. Ojciec ucałował ją.

- Uroczą z ciebie dziewczyna, Miriam. Możesz być tego pewna.

- Dziękuję, papo.

- Baw się dobrze.

- Postaram się.

Wokół stołu zasiadła grupka najprzeróżniejszych ludzi. Gershom Kursheedt, czarnobrody mężczyzna o poważnych oczach, był jakby żywcem wyjęty z Biblii, miał wygląd ascetycznego proroka. Rudowłosy żydowski kupiec z Francji i jego modna, rozszczebiotana żona stanowili kwintesencję światowości. Biedny niemiecki Żyd, który zarabiał na życie, ucząc młodych chłopców hebrajskiego, miał na sobie znoszoną marynarkę, a na jego twarzy malował się niewinny uśmiech. Obecna tu dwójka katolików to sąsiedzi i starzy przyjaciele. Byli tam zamożni kuzyni i samotni nieznajomi, bowiem zwyczaj wymagał, aby ci, którzy mają, dzielili się z innymi. „Odkąd przybyliśmy, obcy, do ziemi egipskiej...”

No i jeszcze Eugene Mendes, stanowiący wraz z Kursheedtem ośrodek zainteresowania. Miriam z ulgą i lekkim rozczarowaniem stwierdziła, iż posadzono go po przeciwnej stronie stołu. Trudno by było przez całą kolację prowadzić z nim konwersację dokładnie według reguł: dowcipną i inteligentną. Choć nie należało przesadzać. Emma zawsze powtarzała, że mężczyźni nie lubią paplających kobiet. Oczywiście mężatki paplały cały czas, ale ich mężowie z pewnością do tego przywykali albo może tak byli zajęci dyskusją z innymi, że nawet nie słyszeli kobiecych szczebiotów. Zatem nie trzeba prowadzić rozmowy, i stąd ulga. Z drugiej strony, czyż jednak nie był jedynym mężczyzną, od którego usłyszała: „Jest pani jeszcze piękniejsza, niż oczekiwałem.”

Ceremonia Sederu postępowała zgodnie z ustalonym porządkiem, bo przecież „seder” oznacza właśnie porządek”. Gospodarz uśmiechał się przyjaźnie do gości, a roztańczone płomyki świec odbijały się w jego okularach.

- Chwała ci, o Boże, Panie nasz, Królu wszelkiego stworzenia - modlił się.
- Pozwoliłeś nam przeżyć ten rok, dałeś nam siły i środki. Amen.

Odśpiewano błogosławieństwa i wszyscy wzniesli pierwszy kielich wina. Zawsze w tym momencie Miriam ogarniało ciepło i poczucie bliskości, wspólnoty wśród jej ludu. Wspomnienia matki splatały się z myślami o Eugene Mendesie.

- Spotkałam twoją ciotkę Emmę na ulicy - szepnęła Rosa. - Wspomniała, że odwiedzał was Eugene Mendes.

- Tak, składał wizyty papie.

- Ale z pewnością musiałś z nim rozmawiać. Podoba ci się?

- Prawie go nie znam - pociągnęła łyk wina. Tymczasem obrządek trwał dalej.

- Niechaj przybędą wszyscy potrzebujący i razem z nami uczcą święto Paschy. Dwie wysokie świece płonęły w starej hiszpańskiej menorze ze srebra. Tradycyjne potrawy: charoet\*), gorzkie zioła, giez, i zieleninę również podano na srebrze.

\*) charoet - tradycyjna potrawa, podawana podczas wieczerzy paschalnej; pasta z jabłek, orzechów, cynamonu i wina, mająca przypominać glinę, z której Izraelici lepili cegły podczas niewoli egipskiej (przyp. tłum.).

Rosa znów zaczęła szeptać. Podobnie jak ciotka Emma, nie potrafiła powstrzymać języka dłużej niż minutę.

- Co za szczęście, że mamy Gershoma Kursheedta i pozbyliśmy się Rowleya Marksa. Co to za okropny człowiek. Wiesz, Kursheedt bardzo podziwia pana Mendesa i ogromnie go szanuje.

Miriam marzyła, żeby Rosa przestała gadać. Uniosła wzrok znad kielicha i napotkała spojrzenie Eugene Mendesa. Rozmawiał z Francuzką, która również nie spuszczała oka z Miriam. Co o niej mówili? Zerknęła na swą sukienkę. Wszystko w porządku. Dotknęła uszu. Niewielkie diamenty nadal tkwiły na miejscu.

Mały Herbert, młodszy syn de Riverów, przebrnął już bezpiecznie przez Cztery Pytania. Gospodarz odłamał kawałek macy i unióśł go w górę, recytując błogosławieństwo: „Chwała ci, o Boże, panie nasz, Królu wszelkiego stworzenia. Oto oczyściłeś nas przez twe przykazanie, abyśmy chleb praśny jedli.” W ogólnym szmerze modlitw głos Eugene Mendesa wyróżniał się zdecydowanie. Nie dlatego, że był donośniejszy, lecz był bardziej dźwięczny i soczysty. Takiego głosu się nie zapomina. I Miriam, pociągając kolejny łyk wina, poczuła, że kręci jej się w głowie.

- Szulchen aruch. Stół już zastawiony - oznajmił Henry.

Podano wieczerzę. Dwóch służących wniosło ogromną wazę i zaczęło rozlewać zupę. Rosa odwróciła się do swych sąsiadów.

- Tak, jako panna młoda przyjechałam tu z Charlestonu. Podróż konno i powozem zajęła cztery tygodnie. Przybycie tu było naprawdę ogromną zmianą. Moja rodzina ufundowała w Charlestonie świątynię. Miałam tam wielu przyjaciół, bardzo głębokie korzenie - westchnęła.

- I wielbicieli - dodał Henry, podsłuchawszy ostatnie zdania.

- Tylko jeden naprawdę interesował mnie, zanim ty się zjawiłeś. Ale to był chrześcijanin - stwierdziła bez osłonek. - Oczywiście nie mogłam go poślubić. Zupełnie jak Rebecca Gratz. Jej najbliżsi przyjaciele należeli do wspólnoty chrześcijańskiej. Podobnie jak mężczyzna, którego kochała. A ona zawsze powtarzała, że członkowie rodziny winni wyznawać tę samą wiarę, i nie zgodziła się wyjść za niego. Pozostała nieszczęśliwą starą panną. Co do mnie, na szczęście, nie jestem samotna.

- Dziękuję ci, moja droga - odrzekł Henry. - Ja także jestem rad.

- Rebecca Gratz - wtrąciła nieśmiało Miriam - czy to nie o niej mówią, że była wzorem dla postaci Rebeki w Ivanhoe?

Eugène Mendes dosłyszał jej pytanie.

- Tak, panno Miriam - zawołał. - To Washington Irving opowiedział sir Walterowi Scottowi, jak czule pielęgnowała jego narzeczoną podczas choroby - uśmiechnął się z aprobatą.

- A czy wiedziała pani, że kiedy jej brat wyjeżdżał do Nowego Orleanu, Rebecca Gratz ostrzegła go przed, jak to określiła, bezbożnym miastem? Uważała, iż tutejsi Żydzi zupełnie utracili wiarę. Ale, jak widać, nie do końca miała rację.

- Z pewnością myliła się co do ludzi takich jak pan, panie Mendes - potwierdził Gershom Kursheedt.

- Pochlebia mi pan.

- Miałem na myśli pańskie szlachetne wysiłki w celu przekonania Judy Touro, aby uczynił coś dla naszych ludzi.

- Jak na razie nie na wiele się zdały. Ale trzeba próbować. Niezależnie od wszystkiego, to ciekawy człowiek.

- Niewątpliwie byłby jeszcze ciekawszy - zauważył Kursheedt - gdyby powrócił do swych korzeni. Chyba wszyscy słyszeliście, że na katolicki kościół przy Canal Street dał dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Do tego dochodzą sumy, jakie darowuje prezbiterianom.

- I pomyśleć - wtrącił Henry - że kiedy organizowaliśmy Shanarai Chasset, praktycznie nie dał ani grosza.

„Jak papa” - pomyślała Miriam, czując nagły wstyd.

- No cóż - stwierdził Eugène Mendes - nikt nie zaprzecza, że dobroczynność to wspaniała rzecz. Gorzej, jeśli wyklucza się z niej własny naród. Touro ma za sobą długą drogę. Przybył tu w 1802 roku z Bostonu bez grosza przy duszy. Nowy Orlean znajdował się wtedy pod panowaniem hiszpańskim i nadal obowiązywał tu czarny kodeks Bienville'a. Katolicyzm był jedyną tolerowaną w Luizjanie religią.

Miriam słuchała zafascynowana. Ta rozmowa była znacznie ciekawsza niż trywialna gadanina ciotki Emmy przy stole u Raphaelów. Wszystkie głowy z szacunkiem zwróciły się ku Eugene Mendesowi, który ciągnął swą opowieść, wyrażając ją w krótkich, dźwięcznych zdaniach.

- W 1815 roku został ranny w bitwie o Nowy Orlean, kiedy walczył pod komendą Andrew Jacksona. Zawsze umiał walczyć. Oczywiście teraz jest ogromnie bogaty. Przewozy, rum z Indii Zachodnich, tytoń, konie - chwycił się wszystkiego.

- Ten opis równie dobrze mógłby dotyczyć i pana - skomentował uprzejmie gospodarz.

- Nie, nie. To nie ta klasa. Jeszcze mi daleko do Judy Touro.

- Stara historia - zauważył pan Kursheedt. - Kiedy Żydowi zdarzy się osiągnąć wyższą pozycję społeczną, przychodzi pokusa, aby wybrać łatwiejszą drogę i zapomnieć o własnym dziedzictwie. Touro nie jest jedyny. Weźcie na przykład Judę Benjamina.

- Poznałem go, kiedy przyjechał do tego miasta - dodał Henry - zaprosił mnie na swój ślub do katedry.

- Teraz kupuje plantację dwadzieścia mil na południe stąd. Nazywa się Belle Chasse. Podobno wspaniała - stwierdził ironicznie Mendes. - Ma posrebrzane klamki, tak mi przynajmniej mówiono.

- Pan też ma piękną posiadłość - wtrąciła Rosa.

- Och, nie można jej nawet porównywać z Belle Chasse. To wspaniałe schronienie przed upałem i febrą.

- Nie wierz w to - szepnęła Rosa, gdy wychodziły z jadalni. - To cudowne miejsce. On po prostu nie lubi mówić o sobie.

„Papa na jego miejscu opowiedziałby wszystkim, ile ma tam pokoiów i ile go to kosztowało” - pomyślała Miriam z odrobiną żalu.

- Sądzę, że można nazwać pana Mendesa skromnym, prostym człowiekiem - powiedziała głośno.

- Prostem? - zaśmiała się Rosa. - To jedyne określenie, którego nigdy bym nie użyła w stosunku do niego. - Spojrzała na Miriam spod przymrużonych powiek. - Szczęśliwa dziewczyna, która go dostanie, tyle ci powiem. I zupełnie bym się nie zdziwiła, gdybyś to ty nią została.

- Naprawdę nie... - mruknęła Miriam, umilkła jednak widząc, iż Rosa wzięła jej dumę i zmieszanie za oznakę cichej radości.

- Och, jestem tego niemal pewna! - wykrzyknęła, mocno ściskając dłoń Miriam. - I nie mogłoby to spotkać słodszej istoty, ani bardziej na to zasługującej! Do tego taki przystojny mężczyzna...

Nagły ścisk w drzwiach rozdzielił je. Rosa zniknęła w salonie, zaś Miriam, przez chwilę sama, usłyszała w myślach echo jej słów. Taki przystojny mężczyzna... „Skoro wszyscy tak twierdzą - powiedziała do siebie - to i ja winnam tak uważać. Prawda? Tak, bez wątpienia, powinnam.”

Następnego ranka do drzwi Raphaelów zapukał posłaniec. Przyniósł liścik i czekał na odpowiedź. Tuż po jego odejściu Fanny przyszła z wiadomością, że pani Raphael prosi Miriam do siebie.

- Miriam, kochanie, musimy wieczorem udać się z wizytą. Pan Mendes właśnie przysłał służącego z pytaniem, kiedy zamierzamy go odwiedzić. - Emma uśmiechnęła się figlarnie. - Prawi komplementy na temat mojego dobrego smaku i prosi o poradę przy urządzeniu swojego nowego domu. Załóż nowy płaszcz. Wydaje mi się, że nie potrzebujemy pomocy Odetty przy poprawieniu twojej fryzury. Loki trzymają się mocno, Fanny da sobie radę sama.

Znowu Miriam stanęła przed lustrem. Dopiero przed tygodniem odebrała od krawcowej jedwabny płaszcz w kolorze butelkowej zieleni, przyozdobiony kokardami z tafty. Nie nosiła go jeszcze. Buty, z szarego aksamitu i czarnej, lakierowanej skóry, także były nowe. Szare rękawiczki z kozłej skórki i czepek przyozdobiony różami czekały na łóżku, podczas gdy Fanny szczotkowała jej włosy. Przez chwilę ich oczy spotkały się w lustrze, służąca jednak spuściła je pospiesznie i skryła za długimi rękami. „Ona wie - pomyślała Miriam. - Służba wie o wielu rzeczach, zanim się jeszcze wydarzą. „Fanny może nawet lepiej niż ja sama znać moje uczucia. Gdyby tylko Dawid był tutaj! On wytłumaczyłby mi, co naprawdę czuję, bo ja sama tego nie pojmuję. On by zrozumiał. Zbiegam w dół zbiega tak szybko, że nie

mogę się już zatrzymać, i boję się upadku. Czyżbym wyobrażała sobie rzeczy, których nie ma?"

- Wygląda panienka pięknie - oznajmiła Fanny, wpinając w jej włosy ostatnią szpilkę. - A teraz czepeczek. Trochę bardziej do tyłu, o tak, dobrze.

W powozie Emma niemal powtórzyła słowa pokojówki.

- Uroczo wyglądasz, Miriam. Muszę ci jednak przypomnieć, abyś nosiła na dworze woalkę. Trzeba dbać o cerę, nie chcesz chyba, aby ktoś pomyślał, że masz w sobie czarną krew. Choć oczywiście nie ma takiej możliwości, urodziłaś się przecież w Europie - ciotka roześmiała się. - Tak ci zazdroszczę tych włosów Przypominają czarny jedwab. Ciesz się nimi, póki możesz, bo przyjdzie czas, że będziesz zmuszona kryć siwizną kawą.

Powóz toczył się Esplanada Avenue.

- Nie mogę się już doczekać, kiedy ujrzę wewnątrz domu pana Mendesa. Zbudował go Parmentier, bardzo bogaty licytator, zanim jeszcze stracił cały majątek. Hazard - wyjaśniła z niesmakiem Emma. - Nietrudno dorobić się pieniędzy, ale utrzymanie ich to zupełnie inna historia. Zresztą wywodził się z biednej rodziny, co prawda byli to Francuzi, ale z głębokiej prowincji. Dlatego właśnie nigdy nie byłam w ich domu. No, jesteśmy na miejscu.

Kamienne cherubiny podtrzymywały galeryjkę, opasaną misterną żelazną balustradą o wzorze złożonym z żołądzi i splecionych liści dębowych. Obok budynku ceglany mur otaczał spory ogród. Eugène Mendes czekał na szczycie schodów. Wyglądał na wyższego, niż go Miriam zapamiętała. Jak powiedziała Rosa, był imponującym mężczyzną. Schylił się, aby pomóc obu kobietom wspiąć się na górę. Nagle Miriam przyszła do głowy dziwaczna myśl: tacy jak on mogą dostać wszystko, czego zapragną.

Mendes odezwał się, kierując swe słowa do Emmy:

- Czy ma pani ochotę na podwieczorek, madame, czy też woli pani najpierw obejrzeć dom?

- Och, skoro mogę wybierać, zacznijmy od domu.

Był to efektowny budynek w stylu klasycy stycnym, większy i dużo ładniejszy od siedziby Raphaelów. Lekki wietrzyk kołysał firankami w ogromnych oknach. Wysokie, pogrążone w cieniu pokoje, podwójny salon, pokój muzyczny i sala balowa - wszystko to kryło się za podwójnymi drzwiami, rzeźbionymi w kwiaty magnolii. Po obu stronach długiej tylnej werandy znajdowały się pokoiki wielkości kajut na statku.

- To pokoje do zabaw dla dzieci - wyjaśnił pan Mendes. - Poprzedni właściciel miał kilku synów.

- Przynajmniej w tym wypadku dopisało mu szczęście - zauważyła Emma, po czym śmiało, niemal kokieteryjnie dodała: - Wygląda na to, że jest pan w tym domu przygotowany na wszystko, co może przynieść los.

Gospodarz uśmiechnął się lekko i małeńka procesja ruszyła dalej, mijając pokój za pokojem. Zwierciadła przerzucały między sobą ich odbicia. Miriam szła z tyłu w milczeniu, podczas gdy pan Mendes uprzejmie przysłuchiwał się paplaninie Emmy.

- Proszę tylko pomyśleć, ile setek godzin pracy wymagało stworzenie czegoś takiego! - wykrzyknęła na widok empirowej sofy, pokrytej ręcznie haftowanymi kwiatami. Miriam uświadomiła sobie, że ów nieprzerwany strumień trywialnych uwag nie był całkiem bezużyteczny. Pokrywał momenty ciszy, które w przeciwnym razie budziłyby zakłopotanie i strach. Emma przystanąła naprzeciw portretu renesansowego szlachcica, którego rozpustne oblicze kryło się w cieniu opadającego aksamitnego kapelusza.

- Czy to nie pochodzi z kolekcji księcia Toskanii?

- Jest pani bardzo spostrzegawcza, madame. Tak, podobnie jak pani mąż, należę do założycieli naszej Narodowej Galerii Malarstwa.

Po raz pierwszy pan Mendes zwrócił się bezpośrednio do Miriam:

- Być może słyszała pani o tym przedsięwzięciu. Nasza grupa zakupiła kolekcję księcia i mamy nadzieję, że Galeria ją przyjmie. Jeśli nie, zatrzymamy te obrazy w naszych domach. Czy zna pani malarstwo równie znakomicie jak literaturę?

- Obawiam się, iż moja wiedza w obu tych dziedzinach jest równie skromna.

- Cóż, przynajmniej czytała pani foanhoe. - Znów odwrócił się do Emmy. - Czy pójdziemy na górę? Stan piętra jest naprawdę żalospny, nie ma tam jeszcze żadnych dywanów ani draperii. Dopiero co dostałem na próbę meble od Seignoureta i chciałbym usłyszeć, co pani o nich sądzi.

- Panie Mendes, Seignouret jest najlepszy.

- Mimo to wolałbym poznać pani opinię. Jeśli coś nie przypadnie pani do gustu, proszę powiedzieć szczerze. I pani też, panno Miriam. Nie mam tu matki ani siostry, które mogłyby posłużyć mi radą.

Masywne szafy z mahoniem i różanego drzewa stały obok wielkich łóż z baldachimami.

- Niezwykle eleganckie - stwierdziła z aprobatą Emma. - I słusznie zrobił je pan z marmuru. Dobrze zna pan nasz klimat.

- Tak - zgodził się gospodarz - wilgoć źle działa na fornir.

Na końcu korytarza zza uchylonych drzwi widać było niewielki pokoik. Miriam dostrzegła gołą, lśniącą podłogę, wąskie, proste łóżko i cyprysową skrzynię pomiędzy dwoma oknami z białymi zasłonami.

- Przepraszam - usprawiedliwił się pan Mendes. - To zapasowe pomieszczenie, skład starych rzeczy z wiejskiego domu moich dziadków.

Skromny, niemal surowy wygląd pokoju poruszył Miriam. Wykrzyknęła:

- Och, właśnie ten pokój podoba mi się najbardziej! Wygląda tak miło i przytulnie.

- A zatem woli pani prostotę - stwierdził pan Mendes.

- Miriam! - upomniała ją Emma. I Miriam, uświadomiwszy sobie swój błąd, dodała pośpiesznie:

- Oczywiście inne pokoje też są piękne, naprawdę wspaniałe...

- Podoba mi się pani szczerść - stwierdził pan Mendes - Wyraziła pani swoje prawdziwe zdanie i ma pani rację! Prostota ma w sobie dość szczególne piękno. Może zejdziemy na dół? A zatem aprobuję pani mój wybór, madame? Brak mi więc tylko większego serwisu. Teraz, kiedy na stałe osiadłem w mieście, będę zapewne przyjmował sporo osób. Muszę chyba nabyć dwa tuziny nakryć, jak pani sądzi?

- Z pewnością, może nawet więcej. Pan Raphael często zaprasza gości na lunch. W naszym domu dwadzieścia cztery osoby na obiedzie to nic nadzwyczajnego.

- Jutro złożę odpowiednie zamówienie. Czy wolałaby pani podwieczorek w ogrodzie, madame? O tej porze jest tam chłodno i przyjemnie.

Półkolista ława otaczała stolik w altanie, na którym ustawiono kawę i ciasteczka. Emma natychmiast pochwaliła słodycze.

- Mój kucharz, Grégoire, był szkolony w najlepszej restauracji w Savannah - wyjaśnił gospodarz.

Emma sięgnęła po trzecie ciastko. Zachwycała się rosnącym wzdłuż ściany szpalerem kamelii, krzewami jaśminu, liliami. Z admiracją wsłuchiwała się w śpiew dzwonów z katedry.

- U nas ledwo je słyszeć. Pana dom stoi w idealnym miejscu, pod każdym względem.

- O tak - zgodził się jej rozmówca. Tylko część jego uwagi skupiona była na rozmowie. Od dłuższej chwili nie odrywał wzroku od Miriam. Dziewczyna czuła na sobie jego palące spojrzenie. Niedaleko od altany na ogrodowym murze widoczna była tablica, oznaczająca miejsce czyjegoś ostatniego spoczynku. Miriam wyteżyła wzrok. AIMÉE DE... Nazwisko



przesłaniała gałąź hibiskusa. AIMÉE DE..., DÉCÉDÉE LE...FÉVRIER, ÉPOUSE DE... Żona, zmarła w lutym. Na febrę czy przy porodzie? Czy wędrowała po domu, śpiewając wesołe piosenki? Czy los młodej żony w tym domu to szczęście?

- Jest pani bardzo zamyślona, panno Miriam. Spojrzała na niego.

- Podziwiałam posąg.

Obok niewielkiej kaskady stała mała kamienna Afrodyta. Woda w zbiorniku marszczyła się i falowała niczym falbaniasta spódnica. Miasto było tak daleko, za , murem. Łatwo wyobrazić sobie, że jest się w lesie, w zielonym zagajniku, gdzie poza szmerem wody panuje absolutna cisza.

- Co pani o niej sądzi? Przez moment zawahała się.

- Myślę, że przynosi szczęście. Dobrze ją mieć w ogrodzie, wśród kwiatów i synogarlic. To bogini miłości.

- A zatem zna pani mitologie.

- Miriam dużo czyta - wtrąciła Emma - choć na szczęście nie jest mołem książkowym. Bo przecież wy, mężczyźni, nie znosicie przemądrzałych kobiet.

- I jak pani znajduje mój dom, panno Miriam? ~ spytał pan Mendes, nie odpowiadając na pytanie Emmy.

- Piękny. Mam nadzieję, że będzie pan w nim bardzo szczęśliwy - odparła z uprzejmością, jakiej oczekiwano od gościa.

- Dziękuję. Taki mam zamiar. - I z tymi słowy odwrócił się z powrotem do Emmy. To dziwne, jak inny zdawał się wczoraj u Rosy! Dziś było w nim coś, co budziło zagrożenie. „Jest taki silny - pomyślała ponownie. - Wszystkiego potrafi dokonać.” Pod obcisłym czarnym surdudem kryło się ciało muskularne niczym u greckich bogów i rzymskich wojowników, których płaskorzeźby oglądała na górze. Widziała tam też porcelanowy dzbanek i miskę w kwiaty, tam musiał myć się i golić co rano. Nad łóżkiem zwisała moskitiera niczym welon, welon panny młodej. W jednym z tych wielkich rzeźbionych łóżek, zapewne w czerwonej sypialni - nie wiedziała czemu, lecz wydawało jej się, iż Mendes wybierze dla siebie i swej żony właśnie czerwony pokój - w tym łożu dziewczyna, którą tu sprowadzi, stanie się... Rano będzie już inna. Te tajemnice! Może gdyby Dawid był tutaj, mogłaby go zapytać. Ale nie, oczywiście, że nie. Przecież i on był mężczyzną, był też jej bratem. A zresztą, o co by go spytała? Siedziała na ławie spięta i zeszywniała. Tak mocno zacisnęła ręce na kolanach, że aż poczerwieniały jej koniuszki palców. Dłonie pana Mendesa były porośnięte

włosami. Ale czyste. Jego paznokcie miały białe obwódki. To dobrze, podobało jej się, że zachowywał czystość. Lecz jego czoło było zbyt wysokie, przypominało kopułę. Prawdopodobnie pewnego dnia Mendes straci swe czarne włosy.

- Pani drży - zauważył gospodarz. - Zimno pani?

- Trochę. Ten wiatr przejmuje chłodem.

- Naprawdę? Ja nic nie czuję. Czy przynieść pani szal?

- Usiadła w cieniu - stwierdziła Emma. - Miriam, przesuń się na słońce. - Teraz jej spódnica niemal dotykała kolan pana Mendesa. Dlaczego tak bała się do niego zbliżyć? Wczoraj go podziwiała. Co za dżentelmen! Tak dobrze o nim mówią. I ten wspaniały dom. Czego tu się obawiać? Poza tym, nie prosił o jej rękę, może nawet wcale jej nie pragnie, wbrew temu, co sądziła Rosa. Miriam poczuła zakłopotanie z powodu własnych myśli. „Ale on oświadczy ci się, Miriam. A ty powiesz tak. Tego po tobie oczekują. Każda zgodziłaby się zostać jego żoną, czyż nie? Tylko, że jeśli to zrobisz, popełnisz błąd. Ale dziewczyna musi wyjść za męża.

A jednak to błąd." Poczowała, że ogarnia ją przerażenie. Krew tętniła jej w żyłach. Nigdy jeszcze nie zemdliała, lecz czuła się bardzo dziwnie. Nie mogła znieść już tego siedzenia. Modliła się, aby Emma wreszcie wstała i zaczęła się żegnać. W powozie, w drodze do domu, Emma powiedziała z zadowoleniem:

- Jestem niemal pewna, że pan Mendes wkrótce porozmawia o tobie z twoim ojcem, Miriam. Nie zdziwiłabym się, gdyby to nastąpiło jutro. Rzecz jasna, to dlatego chciał, abyś obejrzała jego dom.

- Z pewnością chciał tylko usłyszeć twoją opinię, ciociu. Emma roześmiała się.

- Nonsens! Jakaś ty niewinna! Choć to bardzo przystoi pannie. Prawdę mówiąc, dyskutowaliśmy już o tym z twoim ojcem. Ojciec jest zachwycony. I czemu nie? Oboje sądzimy, że masz ogromne szczęście. W Nowym Orleanie nie ma zbyt wielu odpowiednich żydowskich młodzieńców, a choć, jak sama widziałas, sporo tu mieszanych, żydowsko-chrześcijańskich małżeństw, rozumiemy, iż ty nie zrobiłabyś czegoś podobnego. Oczywiście posiadanie męża tej samej wiary to twój przywilej.

Miriam nie odpowiedziała. Krew nadal pulsowała jej mocno.

- A skoro to dla ciebie ważne, zastanów się: ilu znasz mężczyzn takich jak Eugene Mendes? Jest wykształcony, ma dobry gust, jak przed chwilą widziałas. - Emma zaczęła odliczać na pulchnych palcach: - Prowadzi

kwitnącą firmę i, jak słyszałam, jego wiejska posiadłość jest naprawdę urocza. Nazywają ją Beau Jardin. Tak, będziesz miała wszystko, czego zapragniesz i pozycję w najlepszym towarzystwie w mieście. Dowiedziałam się wszystkiego, moja droga, jakbyś była moją własną córką - położyła dłoń na ramieniu dziewczyny.

„Tak, od początku była dla mnie dobra - pomyślała Miriam. - Nikt nie mógłby być lepszy.”

- Czasami całe tutejsze życie musi wydawać ci się bajką. Co się stało? Chyba nie płaczesz?

Miriam odwróciła głowę.

- Sama nie wiem. Nie jestem pewna, co czuję.

- No cóż, jesteś jeszcze młoda, a to wszystko stało się tak nagle. Choć osiągnęłaś już wystarczający wiek. Ja wyszłam za męża, kiedy miałam piętnaście lat, a moja Pelagia była szesnastolatką, jak ty. Widzisz chyba, jak bardzo jest szczęśliwa? Tylko biedna Eulalia...

Teraz nastąpi lament, jak zawsze z okazji zaręczyn znanej Emmie dziewczyny. Tak, jeśli Eulalia nie wyjdzie za męża do swych dwudziestych piątych urodzin, koniec wszelkich nadziei. Od tej chwili będzie musiała nosić głęboki, wiązany pod brodą czepek i pożegnać się, być może na zawsze, z aksamitnymi sukniami. Zwyczaj ten Miriam wydawał się zupełnie pozbawiony sensu. Cóż, lepiej, żeby Eulalia do maksimum wykorzystała swe aksamity: za dwa miesiące skończy dwadzieścia pięć lat.

- Eulalia nigdy nie miała wielbiciela - stwierdziła ze smutkiem Emma, chyba już po raz tysięczny. - Nie pojmuję tego. Jest wspaniałą gospodynią, pochodzi z dobrej rodziny, no i mieliśmy dla niej spory posag, całe czterdzieści tysięcy dolarów! Na sąsiednich plantacjach z łatwością można było znaleźć przynajmniej tuzin odpowiednich młodych mężczyzn. Bóg mi świadkiem, że znali nas od kilku pokoleń, nasze dzieci zawsze bawiły się razem, więc z pewnością wiedzieli, że nie ma w nas ani grama „smoły”. Bo wiesz, tylu wolnych kolorowych tak bardzo przypomina białych, że trudno być pewnym. Niektórzy z nich mają też mnóstwo pieniędzy. Trzeba bardzo uważać na pochodzenie. No, ale co do Eulalii nigdy nie było takich obaw. Cóż, zostanie kolejną starą panną, ciotką, i tyle. Może pomóc Pelagii przy dzieciach, jej rodzina tak szybko się rozrasta. Kiedyś zajmie się też twoimi, Miriam. „Za nic - pomyślała gwałtownie Miriam. - Nie z tym jej kwaśnym usposobieniem.”

- Ale ty nie musisz się obawiać. Masz przed sobą wspaniałą przyszłość. I wiem, że twój ojciec będzie dla ciebie bardzo hojny. Oczywiście - dodała Emma - wyobrażasz sobie, że jest jeszcze coś więcej. Dziewczeta w twoim wieku śnią o miłości. Jeśli młodzi się kochają, to bardzo dobrze. Ale jeśli nawet na początku nie ma miłości, to przyjdzie z czasem.

Co za straszne życie - nigdy nie zaznać miłości! Nie być kochaną, nie kochać nikogo poza dziećmi innej kobiety. I nagle Miriam przypomniała sobie o czymś.

- Tak samo było w Europie, w naszej wiosce. Kiedy byłam bardzo mała, dziadunio chciał, żeby moja ciotka Dinah poślubiła mężczyznę, który miał najlepszy dom na całej ulicy. Ale był gruby i niedouczony. I ciotka nie zgodziła się. Nie chciała tego zrobić. Wtedy on oświadczył się mojej kuzynce Lei.

- I wyszła za niego? - spytała z ciekawością Emma.

- Tak. Kiedy wyjeżdżaliśmy, mieli już czwórkę ślicznych dzieci.

- Aha. Widzisz! Wszystko się ułożyło, prawda? Wyobrażam sobie, że twoja ciotka żałowała później tej decyzji. Dziewczyna powinna słuchać starszych. Tak jest na całym świecie. Ty jednak nie musisz się tym martwić!

- Emma roześmiała się - Pan Mendes nie jest gruby i trudno dorównać mu w wykształceniu. To bardzo urodziwy mężczyzna. I dziesięć czy dwanaście lat starszy od ciebie. To dobrze. Starszemu mężczyźnie łatwiej się ustatkować.

Wszystko odbyło się bardzo szybko. Zaręczyny uczczono oficjalnym śniadaniem, *déjeuner de fiançailles*, podczas którego odbyło się wręczenie tradycyjnego pierścionka, rubinu w prostej, złotej oprawie. Datę ślubu wyznaczono na sobotni wieczór, nie zważając na protesty Emmy, twierdzącej, iż to bardzo pospolity dzień i ludzie należący do lepszego towarzystwa zawsze pobierali się w poniedziałek bądź we wtorek. Eugène Mendes życzył sobie sobotę.

- Bez problemu pomieścimy w domu trzy setki gości - oznajmił Ferdinand.

- Mniej się nie da. Zasiadam w wielu zarządach i wszyscy będą oczekiwać zaproszenia. Popatrzmy, mamy tu Bank Miejski, Nowoorleańskie Towarzystwo Gazowniczo-Bankowe, zarząd Zachodnich Ubezpieczeń Morskich i Izbę Handlową - jego policzki poróżwiały z podniecenia.

Nagle Miriam znalazła się w centrum zainteresowania. Przedtem była jedynie kochaną i strofowaną córką, teraz stała się obiektem zazdrości i podziwu. Pierwsza z całej szkoły miała wyjść za mąż, w dodatku wybrał ją właśnie Eugène Mendes. Nawet Fanny była niezwykle zaaferowana. Wraz

ze swą panią miała wkroczyć w nowe życie, jako ślubny prezent dla Miriam, obok posagu, pereł i srebrnej zastawy. Podniecona i dumna, biegała po domu, obserwując coraz to nowe podarki. Z radością sortowała dreздеńskie pasterki, haftowane obrusy, koronkowe mantyle i srebrne tace, zupełnie jakby należały do niej samej. Jedyne Eulalia pozostała niewzruszona. Pociągnęła pogardliwie nosem.

- Ta waza do ponczu starczyłaby dla całej armii. I taka ozdobna! Ci ludzie zawsze przesadzają.

- Jacy ludzie? - spytała Miriam, choć doskonale знаła odpowiedź.

- Rosa i Henry de Rivera - to przecież od nich?

- Bynajmniej - odparła z satysfakcją Miriam - To od pana McClintocka z banku papy.

Eulalia zarumieniła się.

- Cóż, zaskoczył mnie. Powinien mieć więcej rozsądku.

Przybyli wynajęci pomocnicy wraz z niewielkimi okrągłymi stolikami i złożonymi krzeselkami. Kwiatciarze zastanawiali się, ile potrzeba będzie kwiatów pomarańczy. W kuchni wielkie jak cylindry owocowe bazy nasiąkały koniakiem. Krawcowe przynosiły próbki, zarzucając łóżka i krzesła kuponami irlandzkich kretonów i szwajcarskich koronek, muślinu, perkalu, krepy i aksamitu na suknie i kreacje balowe. Nie było czasu, żeby sprowadzić suknię ślubną z Paryża, jak tego chciał Ferdinand, bowiem narzeczony nie zgodził się na odłożenie ślubu o pół roku, a tyle właśnie trwałoby oczekiwanie na toaletę. Emma i Ferdinand zgodzili się, że to rozsądne, szczególnie że w domu była już suknia, którą Miriam mogła założyć - pamiątka rodzinna. W niej właśnie brała ślub Pelagia, a przed nią Emma. Do tego miała włożyć diamentowe kolczyki i parę wąskich, złotych bransoletek, które przybyły pocztą wraz z listem od Dawida. „Kiedyś należały do naszej matki - pisał. - Były jej jedyną biżuterią. Tak powiedziała ciotka Dinah, kiedy mi je dała. Miałem przechować je dla ciebie i dać ci w prezencie ślubnym. Kochana Miriam, załóż je na swój ślub. Chciałbym być w tej chwili z tobą, ale to tak daleko... Jednak w pewnym sensie będę tam. Zawsze jestem obok ciebie.” Mogła powtórzyć z pamięci każde słowo jego listu. Pisał dalej: „Nie pisałaś wiele o człowieku, którego masz poślubić. Rozumiem, że trudno jest przelać swe najgłębsze uczucia na papier. Ale wiem, że musisz go bardzo kochać, i taki jestem szczęśliwy...” Ciotka Emma wspominała:

- Och, gdybyś widziała mój ślub! Odbył się - oczywiście mówię tu o pierwszym ślubie - na plantacji. Było pięciuset gości; mój ojciec wynajął kilka statków parowych, aby ich przywieźć.

Pelagia w charakterystycznym geście spłotła dłonie.

- Mój ślub był naprawdę wspaniały, Miriam. Rzecz jasna, kiedyś zostaniesz zaproszona na ceremonię do katedry i wtedy sama zobaczysz. Szwajcarski gwardzista podprowadzał gości na ich miejsca, przystrojony w szkarłatną kurtkę ze złotymi szamerunkami i hełm z piórami, a wszystkie dzwony grzmiały jak szalone! Było cudownie! A potem do domu na kolację i tańce. Ale z wyjątkiem katedry - dodała pośpiesznie - twój ślub będzie taki sam. Mała Miriam! Pamiętam, jak wychodziliśmy do portu na twoje spotkanie. Ścisnął w rękę lalkę. I oto jesteś! - zawołała. - Oto jesteś!

Miriam nigdy nie pomyślała, że nie spędziła dotąd sam na sam nawet godziny z mężczyzną, który miał zostać jej mężem - choć nawet gdyby o tym pomyślała, i tak ani ona, ani żadna dziewczyna na jej miejscu nie mogłaby nic na to poradzić. Ten pokój na górze, ten kąpiel przy zwierciadle w wysokiej owalnej ramie jeszcze raz stał się świadkiem przełomowej chwili w życiu Miriam. Kiedy zbudziła się z popołudniowej drzemki, słońce zdążyło już skryć się za rogami domu, lecz nachylona szklana tafla wciąż jeszcze lśniła odbitym blaskiem. W lustrze widać było kozetkę, na której spoczywała Miriam, i leżącego na podłodze psa. Suczka ułożyła pysk między przednimi łapkami, przybierając czujną pozę, jakby i ona wiedziała, że ten dzień oznaczał ogromną zmianę w ich wspólnej egzystencji. Martwe przedmioty rozrzucone na stole i skrzyniach nabrały życia. Welon, białe rękawiczki, wachlarz, diamentowy medalion i koronkowa chusteczka - wszystko czekało w koszyczku na swoją godzinę. To dar pana młodego. Usiadła na łóżku w chwili, gdy do pokoju weszły Pelagia i Fanny.

- Już prawie piąta. Porządnie się zdrzemnąłaś - stwierdziła Pelagia. - Dziwne, że w ogóle mogłaś zasnąć. Ja w dzień mojego ślubu byłam zbyt podniecona.

Fanny położyła na toaletce wianek z kwiatów pomarańczy.

- Za moment Maxim przyniesie gorącą wodę na kąpiel dla pani. Ja poukładałam te rzeczy, żeby zrobić miejsce na suknię.

Obie kobiety zakrzętały się wokół, szykując pannę młodą. Pelagia paplała radośnie:

- Wracam właśnie z kuchni, wszystko wygląda tak pięknie! Przynieśli całe góry lodu z lodowni na Chartres Street. Papa zamówił chyba sto butelek

szampana. Nie możemy pozwolić, by ludzie pili zbyt wiele, bo zostaną tu całą noc, choć nie wydaje mi się, by miało to jakieś znaczenie. O północy mama i tak zabierze cię na górę i pomoże ci się przebrać w nocną koszulę. Z pewnością ci powiedziała...

- O tak, i to kilkanaście razy. Wyjaśniła, jak potem zejdzie na dół i poinformuje Eugene'a, że panna młoda już czeka, i jak spędzą następnych pięć dni w komnacie młodożeńców. Miriam była zdumiona. Widząc to, Emma roześmiała się. „Och, kochanie, służba przyniesie wam jedzenie. Czy o tym myślałaś?”

- Wyobraź sobie tylko - mówiła Pelagia - dostaniecie ten sam pokój, w którym zaczęliśmy swoje życie z Sylvainem.

Przez półprzymknięte drzwi Miriam mogła dostrzec tradycyjne łoże panny młodej, ozdobione nowym jasnyniebieskim jedwabiem i błyszczącymi złotymi amorkami. Z uniesionych rąk cherubinów spływały różowe wstążki. Jakby świadome swej wagi łóżko czekało, ceremonialne niczym ołtarz. Cudze palce dotykały jej pleców, zapinając niezliczone guziczki, biegnące od karku aż po talię. Jej własne ręce nieustannie gładziły dwa cienkie złote koła opasujące przegub. Może kiedyś palce jej matki też tak bawiły się nimi? Dawid przechował je dla niej przez tyle lat! Poczowała, jak ogarnia ją nagła fala samotności, przejmująca dreszczem: gdyby tylko Dawid tu był! W tej chwili, teraz, żeby mógł powiedzieć w ten swój optymistyczny sposób: tak, postępujesz słusznie, masz rację. Gdyby uśmiechnął się zachęcająco - jakże dobrze pamiętała ten uśmiech. Wyprostowała ramiona. Nie wolno jej oczekiwać wsparcia od brata czy kogokolwiek innego; musi stać o własnych siłach. Oczywiście, że postępuje słusznie! Jej wątpliwości są jak najbardziej naturalne. Czyż Emma nie zapewniała jej, że każda panna młoda czuje obawę? Nawet Dawid pisał, jak bardzo cieszy go jej ślub z poważnym człowiekiem ich wiary! Z holu na dole dobiegły odgłosy czyjegoś przybycia i powitań.

- Już tu są! - krzyknęła Fanny. - Niech panienka spojrzy!

- Nie mogą jej zobaczyć - ostrzegła Pelagia - póki papa nie sprowadzi jej na dół.

- Ale można zerknąć - zachęcała służąca. - Nikt panienki nie dojrzy. O tu, na podeście.

Podwórze było jasno oświetlone. Pod wielkim namiotem ułożono podłogę. Białe róże ozdabiające baldachim państwa młodych w ostatnich promieniach

słońca mieniły się wszystkimi kolorami tęczy. Pelagia wskazała pierwszych gości.

- To Pierre Soulé. Mówi się, że niedługo zasiądzie w Senacie. A tam, w tych pasiastych jedwabkach, to Rosa - co za piękna suknia! I Henry - dziwnie to wygląda, mężczyźni nie zdejmujący w domu cylindrów. Mama przygotowała specjalny stół z koszernym jedzeniem dla waszego pana Kursheedta i innych. Reszta dostanie sałatkę z homara, smażone ostrygi, dziczyznę i sałatkę z kurczaka. - Pelagia, która znowu była w ciąży, opisywała te potrawy z wielkim apetytem. Miriam z czułością położyła rękę na jej dłoni.

- Mój Boże, Miriam, masz lodowate ręce! Chodź, wyrzycimy przez poręcz, zobaczymy, co się dzieje. Och, zobacz, co Maxim i Chanute wnoszą do środka! Para młoda z nugatu wysoka na pół metra.

Wniesioną pieczołowicie ozdobę ustawiono na stole i przybrano różami.

- Czyż to nie cudowne, Miriam? Szybko! Wracaj do środka, zaraz wejdzie Eugène. Nie może cię zobaczyć, nawet rąbka twojej sukni. To przyniosłoby okropnego pecha. Och, jak on poważnie wygląda...

- Wielkie nieba! - krzyknęła Emma, wpadając na górę. - Jeszcze nie włożyłyście jej welonu? Już najwyższy czas.

Z pietyzmem, jakby koronując królową, kobiety upięły welon i wianek na głowie panny młodej. Opatulona w biel, spojrzała nie widzącym wzrokiem na swe odbicie w lustrze. Ktoś zapukał do drzwi.

- Już otwieram! - zawołała Emma, wpuszczając męża ubranego w ciemny surdut i satynowy krawat. Na twarzy Ferdinanda malował się tryumf.

- Zapamiętajcie moje słowa, jutrzejszy „Picayune” ogłosi, że był to jeden z najwspanialszych ślubów, jakie widziało to miasto!

Miriam ujęła jego ramię.

- Jestem gotowa, papo.

Ruszyli w kierunku schodów. Kiedy powoli schodzili w dół, przygrywała im dostojna muzyka. Stopy w satynowych pantoflach poruszały się w rytm spokojnej melodii. „To nie moje stopy - pomyślała. - Nie stopy Miriam. Wszystko to spotyka kogoś innego.”

Nigdy nie byłaby w stanie wyobrazić sobie, że tak wygląda rzeczywistość. Była to bowiem najgorsza, najstraszniejsza rzecz, jaka mogła się zdarzyć. Imponujący dżentelmen w szarym surducie, cytujący klasyków i Biblię, przynoszący podarki i prawiący komplementy - ten dżentelmen okazał się zwierzęciem. Jego dotyk budził grozę. Czy wszystkie ich noce miały tak



wyglądać? Pierwsza była szczególnie poniżająca. Ulica za ich oknami przez wiele godzin rozbrzmiewała rykiem trąbek, dudnieniem bębnow, gwizdami piszczałek. Miriam czuła ogromny niesmak, Eugene jednak wydawał się jedynie rozbawiony.

- Stary zwyczaj - powiedział - to charivari. W następne noce będzie już spokojnie.

Czemu tak ją to poruszyło? Nie mogła, nie potrafiła mu wyjaśnić, ale w pewnym momencie wyobraziła sobie, że ludzie na ulicy wiedzą, co dzieje się w ich pokoju - i śmieją się z niej. Miriam wiedziała, że się myli, ale ogromny wstyd nie opuszczał jej ani na chwilę. Ukryła w dłoniach płonąca twarz. Może wszyscy mężczyźni byli tacy, może jest tak, jak być powinno. Albo też z czasem coś się zmieni, on stanie się inny. Albo ona. Teraz, czwartego poranka, obudziła się i ujrzała podłogę zalaną słonecznymi promieniami, co oznaczało, iż jest już prawie południe. Pod błękitnym jak niebo baldachimem jej mąż nadal spał, posapując przez otwarte usta. Wstała cichutko. W domu panowała cisza i Miriam zrozumiała, że przez wzgląd na nowożeńców polecono, aby służba zachowywała się spokojnie. Na stole leżał więdnący bukiet ślubny obramowany papierową koronką. Emma zaproponowała im, że każe go ususzyć i zachować. Obok leżała ketuba, kontrakt małżeński. Rządki wdzięcznych hebrajskich liter przypominały ptasie ślady na piasku. Gruby pergamin, ważne podpisy, słowa, których nie potrafiła przeczytać - wszystko to budziło w niej lęk i ciążyło poczuciem nieuchronności. Zupełnie jakby dzierżyła w dłoniach tablicę Praw. W istocie trzymała w nich swoje życie, życie dwojga ludzi. I czuła jego potworną wagę. W tym samym czasie jednak jakiś głos przemawiał do niej przekonywająco: „Jesteś młoda, masz dopiero szesnaście lat, co możesz wiedzieć? Nic. A przynajmniej bardzo mało. Wiele jest jeszcze do poznania. To przecież z pewnością nie wszystko.”

Suczka Gretel uniosła łeb ze swego koszyka w kącie. Miriam podniosła psa tuląc głowę do ciepłej sierści. Umysł jej powędrował w przeszłość, z powrotem na drogę, gdzie po raz pierwszy znalazła psa, do wioski, domu. Jak to było dawno! Może matka potrafiłaby wyjaśnić...

- Bardzo jesteś zamyślona. Co takiego zaprzęta twą główkę? - Eugene siedział na łóżku. Zupełnie rozbudzony, mógł ją obserwować od paru minut.

Nadal wzburzona, odpowiedziała:

- Nic takiego, naprawdę. Nic.

- No dalej, powiedz. Nikt nie stoi bez ruchu na środku pokoju, rozmyślając o niczym.

- Myślałam o... tak, o Bogu - oznajmiła nagle.

Jego brwi powędrowały ku górze, nadając twarzy wyraz rozbawienia bądź lekkiego szyderstwa. Zamknięta w tym pokoju, zaczynała już rozpoznawać gesty i miny Eugene'a. Ten pojawiał się często: brwi unosiły się, przesuając się na czoło niczym dwie czarne, włochate gaśienice. Dziwne, że nigdy przedtem nie dostrzegła tego podobieństwa, być może wtedy znalazłaby w sobie dość odwagi, by mu odmówić.

- Religia to z pewnością przedmiot godny najwyższego szacunku i nie mam nic przeciw niej. Ale to chyba nie najlepszy czas i miejsce. Wracaj do łóżka.

- Już prawie południe. Czy nie powinnam zadzwonić po śniadanie?

- Później. Wracaj do łóżka. No, chodź.

- Proszę - szepnęła. Zabrzmiało to jak żaloszny jęk. Nienawidziła dźwięczącej w nim bezradności.

- Proszę co?

- Nie chcę...

Eugene wstał i ruszył ku niej. Nagi wydawał się dwakroć wyższy. Przerazał ją, choć nie uczynił jej żadnej fizycznej krzywdy i nie obawiała się, by kiedykolwiek to zrobił. Jej ból krył się głęboko w duszy. Zamknęła oczy. Łatwiej było to znieść, kiedy nie musiała patrzeć na jego nagość, mogła udawać, że wcale jej tam nie ma, że znajduje się zupełnie gdzie indziej. Leżała nieruchomo. Tak, to dotyczyło kogoś innego. Gdyby nawet Eugene wiedział, o czym myślała w tej chwili, nie obesłoby go to ani trochę: i tak wydawało się, że robił to wyłącznie dla siebie. Poza tym żona nie powinna okazywać przyjemności, nie powinna jej nawet odczuwać, jeśli była przyzwoitą kobietą. Każdy to wiedział. Rozkosz przeznaczona była dla mężczyzny. Zatem nie martwił jej fakt, że nie czuła najmniejszej przyjemności. Ale nie powinna też czuć odrazy. Z pewnością nie należy brzydzić się własnym mężem. Lecz jeśli tak jest, jeśli się nienawidzi „tych rzeczy”, jak daleko stąd do nienawiści do niego?

## ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Z urwistego, północno-zachodniego brzegu jeziora Pontchartrain widać było brązowe lśnienie wielkiej, błotnistej rzeki, leniwie toczącej swe wody do zatoki.

- Wsiądź z powozu. Resztę drogi pójdziemy pieszo - powiedział Eugene.

- Chcę ci coś pokazać.

Światło było zielonkawe. Chcąc ujrzyć jego blask na swojej skórze, Miriam uniosła dłoń. Delikatne światło kładło się na falującym polu kukurydzy, na drzewach gumowych, na niskich wzgórzach... Szli pod górę prostą drogą poprzez kukurydzę, mijając wiązy i orzechy.

- Nawet nie spojrziałś na dom - zauważył Eugene.

Popatrzyła posłusznie. Był taki, jak go opisywano, ale bardziej imponujący niż sobie wyobrażała. Zbudowany z różowej cegły. Dwadzieścia dwie kolumny podtrzymywały galeryjkę. Po lewej stronie położony był ogród kameliowy. Żywopłoty z oleandrów stanowiły jedną różową masę kwiecistą.

- Piękny - powiedziała i zorientowawszy się, że oczekiwał czegoś więcej niż jednego tylko słowa, dodała: - Beau Jardin. Bardzo pasująca nazwa.

- Ten buk to prawdziwy skarb. Ma sto pięćdziesiąt lat. Niestety, zacięcia jedno skrzydło domu. Za nim są pomieszczenia dla służby i pokoje do nauki. Zbudowałem je w zeszłym roku. - Ponieważ Miriam nic nie mówiła, kontynuował: - Dalej jest gołębnik. Ponieważ kochasz zwierzęta i ptaki, powinien dostarczyć ci wiele radości. To jest wędzarnia, a to piwnica z winem. Za skrzydłem kuchennym są stajnie, magazyny i cukrownia. Zresztą będziesz miała dużo czasu na zwiedzenie wszystkiego, kiedy wypoczniesz.

Wciąż stała w milczeniu. Tam, gdzie mchy porastały gęsto dębowe pnie, a pod nogami czuło się piasek, musiała istnieć droga do rozlewisk. Stamtąd zaś, przy odrobinie szczęścia można czasem dostrzec żerującą w błotnistej zatoczce czaplę.

- Chodź. Dlaczego tutaj stoisz?

- Słuchałam ciszy.

- Ciszy? Ale służba czeka. Chodź.

Kiedy weszła z rozświetlonego ganku do domu, wydał się jej mroczny. Niewyraźnie widziała dwupiętrowy hol, spiralne schody, biało-czarne, marmurowe kwadraty, czarne twarze, białe zęby i popiersie Homera na postumencie. Beau Jardin. W upale wszystko wyglądało nieświeżo. Zasłony obwisły, kryształowe wisiorki żyrandola sprawiały wrażenie zakurzonych.

- Ach, ależ tu pięknie, cudownie - westchnęła Emma.

- Nic nie może równać się z posiadłością Labouisse'ow - odpowiedział Eugene, udając skromność. - Mam tutaj tylko osiemset akrów i pięćdziesiąt par rąk. Ale to wszystko, czego chcę, Tyle problemów - powodzie, choroby roślin i chłody. W każdym razie, w głębi serca nie jestem plantatorem. Pani Mendes, proszę, opowiedz im o naszej wizycie na plantacji Valcour Aimé. To jest rzecz, którą trzeba obejrzeć, jeśli chce się zobaczyć coś wspaniałego.

- Podczas gdy Miriam wahała się, kontynuował niecierpliwie: - Wiecie oczywiście, że zaprojektowano ją jak Wersal: klomby, ogrody, wyposażenie, wszystko francuskie. Mojej żonie to się nie podoba.

- Dlaczego jesteś zaskoczony? Wiedziałeś, że nie lubię przepychu i pompatyczności - powiedziała Miriam cicho.

- Tak - stwierdziła Emma, spoglądając to na jedno, to na drugie. - Sądzę, iż posiadłość Beau Jardin jest na tyle wspaniała, że spodoba się każdemu. Kochanie, jesteś szczęśliwą, młodą damą. W twoim wieku być panią takiej posiadłości! Z pewnością to doceniasz.

Miriam wiedziała, że Emma martwi się o Pelagię, która nie zostanie panią w swoim domu, póki nie umrze jej teść.

- Tak - dodał Ferdinand. - To błogosławieństwo Boże, móc widzieć tak szczęśliwe dziecko. Szczęście, które maluje się na twojej twarzy jest warte dla mnie więcej niż cokolwiek na świecie. Najszczęśliwszy okres w życiu kobiety... - przerwał taktownie, robiąc aluzję do jej odmiennego stanu.

Szczęście malujące się na jej twarzy! Ślepiec! Ślepiec! Gardziła brakiem wrażliwości swojego ojca, ale jednocześnie żałowała go. Wiele stracił w jej oczach, ale także wiele straciła w swoich własnych. Siedział tu nie dostrzegając niczego, przyjmując usługi siffleura, żalosego chłopca, który przez całą drogę z kuchni musiał pogwizdywać, aby wiadomo było, że nie kosztuje potraw z półmisków. Za nim inny mały chłopiec ruszał wachlarzem zrobionym z pawich piór. W przyjemnym podmuchu powietrza Ferdinand uśmiechał się zadowolony. Poprzez swoją zachłanność oszukał własną córkę. Używając Emmy, jej matczynych porad, skusił swe dziecko, sprawił, że stała się posłuszna. Nagle Miriam wyprostowała się w fotelu.

„Pogardzam litowaniem się nad sobą. I obwinianiem kogoś innego za własne kaprysy.”

Dobrze więc! Zdradziłam samą siebie! Dlaczego więc obarczam odpowiedzialnością swojego ojca, Emmę i Pelagię, nawet Rosę i Fanny? Rzeczywiście, namawiali mnie, ale sama mamiałam się dostojeństwem

nazwiska Mendesa, jego domem i ogrodem; wyszłam za pierwszego, który się pojawił. Jak mogłam tak się poniżyć? Ludzie mówią, że to naturalna kolej rzeczy: młoda dziewczyna pożąda szanowanego nazwiska i dobrego domu, a rodzina stara się znaleźć dla niej odpowiedniego kandydata. Ferdinand, tak jak tysiące innych ojców, starał się zrobić wszystko dla dobra swojej córki. Tak już jest na tym świecie.

Pewnej nocy Gretel nie wróciła do domu. Fanny i Miriam chodziły po ogrodzie nawołując ją długo po zapadnięciu zmierzchu, kiedy wreszcie zniecierpliwiony Eugene wezwał je do domu.

- Będę spać na werandzie - szepnęła Fanny - więc wpuszczę ją do środka. Na pewno wróci, nie mogła odejść daleko.

Nie odeszła daleko. Tylko do piaszczystego zagajnika tuż przy rozlewisku. Z pewnością pobiegła za wiewiórką albo za czymś innym. Rano Blaise opowiedział to Fanny.

- Nie, niech pani nie idzie, panno Miriam, niech pani nie idzie - krzyknęła Fanny. Miriam pobiegła już jednak za Blaisem. To był przerażający widok. Aligator,

zaskoczony, zanim dokończył swego okropnego dzieła, zostawił szczątki Gretel na ścieżce: kawałek ciała i kilka kłaczek jasnej sierści. Widok był tak straszny, że Miriam poczuła mdłości i rozplakała się schowawszy za drzewem. Stała z twarzą wtuloną w dłonie, mimo upału drżąc z zimna. Przypominały jej się różne sceny: oto jest na statku i trzyma przemokniętego psiaka; oto młody Gabriel spogląda na nią łagodnie. Natychmiast powróciła jednak do rzeczywistości. Stała na trawniku razem z Fanny, Blaisem i przyglądającym się jej Eugenem.

- Sprzątnij to, Blaise - polecił. - Natychmiast. Blaise zwrócił się do Miriam:

- Czy chce pani, żebym wybrał jakieś specjalne miejsce... - Jego ciemna twarz miała bardzo współczujący wyraz.

- Chodź już - powiedział Eugene - stało się bardzo źle i jest mi z tego powodu przykro, ale nie wpadajmy w żalobę. Oszczędź mi tego. Kupię ci nowego psa i po kłopotcie.

Jakby pies to była rzecz!

- Nie bądź taka smutna - strofował ją. - Masz tyle innych rzeczy na głowie. Położyła dłonie na brzuchu, czuła, że pod spódnicą ma jakby ukrytą wielką kulę.

Fanny opowiadała jej, jak czuła się zaraz po zmianie właściciela i rozpoczęciu nowego życia. Myśli Miriam pobiegły ku śmierci, ku śmierci niewinnej istoty, jak gdyby wypadek psa był znakiem losu. Później pomyślała o matce i swoich narodzinach; wtedy naprawdę poczuła ból, nawet gdy zdawała sobie sprawę z tego, że jej myśli są ponure i nieracjonalne. Strach narodził się jednak razem z nią. Niepokojąca zjawia przychodząca z mrokiem.

Wczesnym wieczorem, jakby w odpowiedzi na niesłyszalny sygnał, brzęczenie owadów ustąpiło nagle miejsca złowieszczej ciszy. Po chwili zerwał się wiatr szumiąc w koronach sosen rosnących wzdłuż drożki prowadzącej na mokradła, gdzie czarny, oślizgły aligator z ohydny, gadzim łbem wypełzał na żer. Zahukała sowa. Pohukiwanie sów zwiastuje śmierć, tak zwykle mawia Fanny. Dom pogrążał się w mroku. Któż wie, co czai się za zaryglowanymi drzwiami? Co wieczór, kiedy już wszyscy zasypiali, Eugene dokładnie zamykał masywne wrota. Miriam często rozmyślała o tym, co czaiło się za drzwiami. Większość rzeczy, które poznała na plantacji, przerażała ją. Zajrzała do czworaków, gdzie po zaśmieconej podłodze, wśród drobiu i jego odchodów pełzały dzieci, a przed chatami biegały psy i świnie. Widziała rodziny jedzące kolację na schodach domów, jedli palcami albo kawałkami drewna z blaszanej, wspólnej miski. Pozdrawiały ją przyjacielskie głosy: „Dobry wieczór pani.” Traktowali ją bardziej przyjaźnie niż ponury jankeski nadzorca, mieszkający razem z rodziną na samym końcu rzędu chat. Nigdy się nie uśmiechał, podczas gdy ludzie, którym z wysokiego konia wydawał polecenia, śmiali się bez przerwy.

- Okrada swojego pana - powiedziała Fanny. - Wszyscy o tym wiedzą. Dostawał premię za każdą belę bawełny zebraną ponad wyznaczony limit

i popędzał ludzi do ciężkiej pracy. Wszyscy, którzy ukończyli dziesięć lat, pracowali od świtu do nocy. Nawet dzieci, zanim dorosły do wieku, w którym mogły ciąć trzcinę lub zbierać wystarczająco szybko bawełnę, przynajmniej nosiły na pole wodę. Eugene trzymał broń w szafce obok łóżka. Kiedy budziła się w nocy i leżała nasłuchując każdego skrzypnięcia i szelestu, chciała mu powiedzieć, że ani drzwi, ani broń nie pomogą nikogo zatrzymać, jeśli zechce wejść do domu. Słyszała także potrzaskiwanie żarłocznych płomieni wypełzających z kominka i łapczywie pochłaniających schody. Ale to nie były największe strachy. Zaokrąglona wypukłość pleców Eugene'a zasłaniała jej część łóżka, czyniąc ją jeszcze ciemniejszą. Rozszerzonymi oczyma wpatrywała się w plecy śpiącego mężczyzny. Całe

życie. Całe życie w taki sposób... Nie był z niej zadowolony. Ale dlaczego miałby być? Nie pokocha go. Oczekiwał od niej rzeczy, której nie mogła mu dać. W zamian za swoje nazwisko i pieniądze chciał uległej żony, tylko tyle żądają mężczyźni od kobiet. Od kobiety oczekuje się uległości i wdzięczności, niezależnie od jej uczuć. To także należało do niepisanych praw. „Aleja nie mogę tego robić - pomyślała - coś się we mnie sprzeciwia.” Zrobiło jej się żal męża, bo on spełnił warunki umowy zwanej małżeństwem, a ona nie. Byli sobie obcy. Aczkolwiek Eugene nigdy nie uszczupli swego autorytetu przyznając, że wie o jej pogardzie. Jego śmiech rozlegał się tylko w towarzystwie innych ludzi. Przez całe lato, powozami i parowcami, goście przyjeżdżali i i odjeżdżali; całe rodziny zostawały na dzień, tydzień lub dłużej. Wczesnym rankiem, zanim dosiadłszy koni wyjeżdżali na polowania, mężczyźni jedli śniadanie na dole. Miriam, dysponująca doskonałą wymówką, pozwalającą uniknąć wszystkiego, czego chciała uniknąć - ciążą, zostawała wtedy w łóżku. Słyszała ich rozmowy prowadzone nad wekowanym mięsem, łososiem i krewetkami, nad czerwonym winem i słodzoną brandy. Wieczorem, po kolacji, miała znakomity pretekst, aby pójść na górę - ciężarna kobieta jest delikatnego zdrowia. Ale ona nie była delikatna, jej ciało kipiało od nadmiaru energii. Nogi same poruszały się w takt dźwięków skrzypiec, do wtóru mazurków i kadryli tańczonych piętro niżej. Jedynie spętany duch tkwił nieruchomo. Jej myśli błądziły. Zejść na dół i wyjść na zewnątrz! Zerwać te niewygodne spódnice, pójść ubrana jak wiejska kobieta, w szorstką, bawełnianą koszulę z otworem na głowę, ubrana biednie, ale z wdziękiem! Tak, ubrać się tak, iść i iść poprzez pola, minąć zagajnik drzew gumowych, wejść na wzgórze, wolna, wolna... Machnęła z rezygnacją ręką. Romantyczne bzdury! Wolna, wolna, iść na wzgórze, tylko dokąd? Później, kiedy Miriam zaśnie, Eugene przyjdzie na górę. Zbudzi ją szelest zdejmowanego ubrania i skrzypienie łóżka, kiedy będzie do niego wchodził. Wreszcie odwróci się do niej i obejmie ją ramionami. „Któregoś dnia - pomyślała - któregoś dnia to się stanie. Coś się we mnie przełamie i zacznę z krzykiem bić go pięściami po plecach.” A przecież nie chciał jej zrobić nic złego. Wybrał ją spośród innych, pragnął jej. Wkrótce urodzi mu dziecko. Czy to coś zmieni? W nim, w niej? Zapragnęła spytać Pelagię, która właśnie nosiła swoje szóste dziecko. Kiedy Pelagia przyjedzie z wizytą, na pewno ją zapyta.

- Jestem bardzo nieszczęśliwa, Pelagio - powiedziała.

Rumieniec zalał białą szyję Pelagii i wypłynął aż na jej uszy.

- Nienawidzę tego - szepnęła Miriam. - Przeraza mnie to.

Chciała spytać, czy istnieje jakiś sposób, żeby to poprawić. Ale pąsowy rumieniec Pelagii powstrzymał ją od zadawania pytań.

- Jeśli chcesz mieć dzieci, to nie ma innego sposobu - odparła Pelagia. Nie patrzyła na Miriam. To nie była odpowiedź. Długie, cienkie włosy Pelagii zwisały w nieładzie - tego ranka służąca nie zdążyła ich jeszcze uczesać. Były bez życia, zniszczone, wyblakłe - zabiły je liczne ciążę. Cała radość i dobry humor Pelagii ulotniły się, odebrane przez kolejne dzieci. Gruba i opuchnięta, jakże się zmieniła od czasu, gdy była dziewczyną o krągłej twarzyczce! Te liczne dzieci! Długie miesiące nudności i wymiotów, które nękały ją za każdym razem. Czując spojrzenie Miriam, Pelagia uniosła wzrok. Na jej ustach pojawił się ten sam słodki uśmiech. Bezmyślny i słodki.

- On jest szczodrym mężem, Miriam. Musisz o tym pamiętać. Masz piękny dom i tę posiadłość. Pomyśl o wszystkich dobrych stronach. Jestem pewna, że nauczysz się być szczęśliwą, kochanie. To tkwi w tobie, skarbie.

Tak więc nawet przed Pelagią nie mogła otworzyć serca. Jednego deszczowego poranka, kiedy Fanny przyniosła śniadanie, Miriam zauważyła w jej oczach łzy. Zachowanie Fanny zawsze było odbiciem radości i smutków Miriam, nigdy nie wyrażała własnych uczuć. Tak wyraźna zmiana wstrząsnęła Miriam.

- Co się stało, Fanny?

- Pan chce stąd odesłać Blaise'a. - wyznała dziewczyna.

- Niemożliwe!

- Niestety. Pan twierdzi, że nie ma wystarczająco dużo pracy dla Blaise'a. Blaise płacze. Od urodzenia zawsze byliśmy razem, panienko. - Fanny ukryła twarz w fartuchu.

- Dokąd chce go odesłać?

- Do swoich przyjaciół. Nie pamiętam ich nazwiska. - Głos Fanny był przytłumiony przez tkaninę. - Powiedział, że przeprowadzają się do Teksasu. Nie wiem, gdzie jest Teksas, ale podobno bardzo daleko.

Miriam podniosła się z łóżka.

- Podaj mi sukienkę. Szybko, i uczesz mnie. Gdzie jest pan Mendes?

Był w bibliotece. Miriam drżała. Nie miała pojęcia, jak to załatwić, ale jedno wiedziała na pewno: coś takiego nie może spotkać Fanny. Eugene czytał przy biurku listy. Z irytacją spojrzał na intruza. Miriam wciąż drżała. Mimo wszystko, ośmieliła się spytać:

- Co chcesz zrobić z Blaisem?



- Zrobić? Mój Boże, czyżby Fanny poskarżyła się tobie? Nic nie mów. Przez cały ranek zmagam się z jej łzami.

- Ma powód do płaczu. Czy znasz jej życie? Co się z nimi działo, zanim trafili do domu mojego ojca? Ich ojciec był...

- Proszę, nie zwracaj mi głowy. Słyszałem tę historię setki razy. Nieszczęścia, nieszczęścia. Nie odpowiadam za ich nieszczęśliwą przeszłość.

- Ale mógłbyś im teraz pomóc - odpowiedziała, zaskoczona ostrym brzmieniem swojego głosu. Czarne brwi uniosły się ze zdziwieniem. Ku jej zaskoczeniu, Eugene zaczął się bronić.

- Czego chcesz ode mnie? Traktuję moich ludzi bardzo dobrze. Nigdy nie widziałas, żebym podniósł na kogoś rękę. Tak czy nie?

- Tak, ale...

- Żadnych ale. Nie jestem instytucją charytatywną. Jeśli nie mam dla kogoś pracy, to go nie potrzebuję. I nie zamierzam się opiekować, ubierać ani karmić darmozjada.

- Z pewnością znajdziesz dla niego jakieś zajęcie. Ta ilość jedzenia, jaka jest potrzebna dla Blaise'a, nie zrujnuje nas. - Mirian czuła się tak, jakby przypadek ten dotyczył jej osobiście.

- Nie wydaje ci się, że oni przesadzają? Jeśli nie kłamią, zawsze wszystko wyolbrzymiają. To histerycy. Blaise będzie miał bardzo dobre warunki i Fanny doskonale o tym wie. Nie umrą, jak się ich rozdzieli. Nie są pierwszym rozdzielonym rodzeństwem. Czy ty nie musiałaś rozstać się ze swoim bratem?

- To zupełnie inna sprawa, panie Mendes, i pan doskonale o tym wie. Wspomnienie Dawida dodało jej nowych sił. Dawid by ich zrozumiał. Przypomniała

sobie, jak dawno temu ogarnęła jej brata podobna furia. Wtedy reakcja Dawida wydała jej się przesadzona, ale nie dziś.

- Dawid nigdy by im nie zrobił czegoś takiego - dodała.

- A więc to wpływ twojego brata? - Eugene podniósł się z krzesła. - Zaczynasz zachowywać się tak jak on.

- Co ty wiesz o moim bracie? Nigdy go nawet nie spotkałeś.

- Nie. Ale wiele słyszałem - stwierdził lodowatym tonem. - Ten jego niepoohamowany język, dzieciak, który nie wiedział, o czym plecie. Czy chcesz rozlewu krwi? Czy chcesz zobaczyć doszczętnie spalony dom?

- Nie rozumiem, o co ci chodzi? Poprosiłam cię tylko, żebyś nie odsyłał Blaise'a. To wszystko, o co proszę. Tak trudno ci wyświadczyć jedną uprzejmość?

- Jedną uprzejmość po drugiej. Skąd mam brać na to pieniądze? Muszę karmić ludzi...

- Kukurydzą, soloną wieprzowiną i melasą.

- A co według ciebie powinni jeść? Jedzą to, co ludzie na wsi. Idź i zobacz posiłek białego farmera! Biedni wszędzie są jednakowi. Mamy ich karmić przy naszym stole?

To prawda. Biedacy zawsze są biedakami, pamiętała jeszcze swoje życie w Europie. Tutaj biała biedota przychodziła pod drzwi nie prosząc, lecz żądając. Pod spiczastymi czepkami kobiece oczy spoglądały z pogardą i Eugene zawsze ofiarowywał jałmużnę.

- Wiesz, że robię, co mogę - dodał.

Czasem, kiedy chwasty groziły zagłuszeniem poletek bawełny, Eugene wysyłał farmerom ludzi do pomocy.

- Wiesz, że robię, co mogę - powtórzył i zrozumiała, jak bardzo chce ją przekonać. - Czy wiesz, jak inni ludzie traktują służbę? Nie, przypuszczam, że nie masz pojęcia. Powiem ci więc, żebyś nie uważała mnie za potwora. Czy słyszałaś kiedyś o żelaznej obroży? Głowa zostaje uwięziona pomiędzy trzema żelaznymi prętami tak, że nie można ruszyć szyją. Wiesz, że uciekinierzy są przywiązywani nago do drzewa i chłostani? Lub...

- Wystarczy, proszę!

- W porządku. Traktuję uczciwie służbę, prowadzę uczciwy handel i nie potrzebuję mieszania się do moich spraw.

- Czyżbyś też handlował ludźmi? - zdziwiła się Miriam.

- To nie jest moje główne zajęcie, z pewnością nie. Ale jeśli wysyłają akurat nowy transport z Virginii, a ja mogę dokonać szybkiej transakcji, to jej dokonuję. Nigdy nie zadaję się z przemytnikami i różnymi ciemnymi typkami, którzy są na bakier z prawem. Mogę ci przysiąc, że jest wiele bardzo szanowanych rodzin, jak na przykład rodzina twojej ciotki Emmy, które mają na sumieniu różne ciemne sprawki. Ale nie ja.

- Ale ty jesteś Żydem! - zająknęła się Miriam.

- Jestem południowcem. Moja rodzina przybyła do tego kraju przed dwoma stuleciami. Jesteśmy starym hiszpańskim rodem, który pomógł zbudować tutejszą potęgę. Jedź do Charlestonu albo do Savannah, to

zobaczysz - wyprostował się dumnie. - Nie uważam za stosowne ciągnąć dalej tej rozmowy. A ty powinnaś znać miejsce kobiety.

Miejsce kobiety! Raz, może dwa, podczas zalotów podziwiał jej duszę; na przykład tego rozstrzygającego popołudnia, kiedy Emma zaprowadziła ją do jego domu. Teraz jednak oczekiwał tylko posłuszeństwa. Gniew, połączony ze wstydem, wybuchł w niej jak gejzer. Pomyślała o smutnych oczach Fanny. Przypomniała sobie Blaise'a, płaczącego młodego mężczyznę, stojącego przed swoim właścicielem i płaczącego. Nagle olśniło ją, wiedziała już, co ma zrobić. Uklękła. Jej głos brzmiał tak cicho, że Eugene ledwie ją słyszał.

- Proszę. Błagam cię. Nie odsyłaj Blaise. On mógłby... - przełknęła łzy. - Zbliża się rozwiązanie. Jeśli urodzi się chłopiec, będziemy mogli oddać go pod opiekę Blaise. To prawdziwy dżentelmen, będzie znakomitym opiekunem chłopca.

- Pani Mendes, na miłość boską! Podnieś się. Przestań zachowywać się tak melodramatycznie.

Wyciągnął do niej rękę, ale Miriam oparła się o fotel i wstała bez pomocy. Eugene podszedł do biurka, podniósł jakiś dokument i zakasłał. Miriam cierpliwie czekała.

- Tak, słusznie mówisz. Nie pomyślałem o tym. Chyba masz rację. On będzie idealnym opiekunem dla chłopca.

- Zatrzymasz go więc? Powiesz mu o tym?

- Zatrzymam go do narodzin dziecka. Jeśli będziemy mieli syna, tak, wtedy może zostać.

- Dziękuję, panie Mendes, dziękuję.

- „Jeśli urodzi się córka - myślała, idąc po schodach - będę musiała wymyślić coś innego. Na razie wygrałam. Tak bym chciała nie znać przyszłości. Nie wiedzieć, że muszę spędzić resztę życia w kraju, gdzie takie rzeczy są na porządku dziennym, a władze akceptują bezprawie.” Była bardzo, bardzo zmęczona. W głębi ducha czuła ogromny zamęt. Najlepiej nie myśleć o niczym, po prostu czekać.

Nadeszła jesień, pora spadających liści i polowań na indyki. Tego roku nie przyszło ochłodzenie, utrzymywały się upały, a w mieście krwawe żniwo zbierała cholera, rywalizując z żółtą febrą. Każdy, kto tylko mógł, uciekał na wieś, ale dla wielu było już za późno. Eugene przyniósł list.

- Przyplłynął łodzią. Od Rosy de Rivera. Złe wieści. Henry zmarł na febrę. Powinni byli dłużej zostać w Saratodze. Bardzo zła decyzja.

Miriam wstrząsnął dreszcz. To był jej pierwszy kontakt ze śmiercią. Dotąd nikt z jej znajomych jeszcze nie odszedł. Kto usiądzie przy długim stole w fotelu Henry'ego? Dobry, spokojny, skromny Henry! Biedna Rosa! Cała jej siła życiowa pochodziła od Henry'ego.

- Będę musiał poszukać dla siebie nowego adwokata - stwierdził Eugene. - Bardzo niedobrze. Henry był uczciwy i inteligentny. A te dwie cechy rzadko występują razem.

Stukał palcami w blat biurka, jak zawsze, gdy musiał podjąć jakąś decyzję.

- Tak. Nie możemy wrócić, jak planowaliśmy, na początku przyszłego miesiąca. Będziesz musiała urodzić tutaj. Wezwiemy doktora Rogeta. Po tym, jak zrezygnował z praktyki, kupił położoną w górze rzeki plantację. Produkują tam rum. Ale nie mam wątpliwości, że jeszcze potrafi odebrać dziecko.

Miriam była bardzo gruba, nie mogła nawet pochylić się i zawiązać sznurowadła. Pokojówka Abby ponuro komentowała:

- Pewnie będzie miała pani bliźnięta. Pamiętam moją ciotkę Flo, umarła rodząc bliźnięta. Krzyczała dwa dni i trzy noce zanim umarła. To było straszne, nie mogłam tego słuchać. Dzieci rozerwały ją w strzępy, dlatego umarła. Widziała pani chłopców ciotki Flo, biegają tutaj, dwóch dużych, zdrowych urwisów.

Fanny denerwowała się:

- Niech pani jej nie słucha, panno Miriam. Wczoraj usiadł pani na ramieniu motyl. To dobry znak, bardzo dobry.

Kiedy Pelagia przyjechała z wizytą, Miriam opowiedziała jej o artykule, który przeczytała w gazecie. Królowa Wiktorja przy porodzie użyła chloroformu.

- Pisali, że to było cudowne. Nie czuła żadnego bólu. Mam nadzieję, że doktor Rogers coś wie na ten temat. Nikt inny nic o tym nie słyszał.

Pelagia uważała, że to źle.

- To niemoralne i przeciwne naturze. Powinnaś czuć ból. Tak po prostu ma być, w przeciwnym razie skąd w ogóle brałby się ból? Czy to nie brzmi sensownie?

Nie, nie brzmiało. Jak głupio wierzyć, że wszystko, co się dzieje, musi się tak właśnie dziać. Taka była Pelagia. Gwoli sprawiedliwości należało dodać, że Pelagia nie była wcale głupia, po prostu nie przywykła do samodzielnego myślenia. Wszystko się do tego sprowadzało. W każdym razie Miriam nie powinna osądzać rozsądku Pelagii. Sama też czasem zniżala się do

poszukiwania znaków w naturalnych wydarzeniach. Po upływie szarego tygodnia, kiedy melancholijny deszcz spływał z każdego drzewa i poddasza, nagle, jednego popołudnia, słońce rozpędziło chmury i przegnało mrok. W niecałą godzinę później, jakby promienie słońca były jego zwiastunami, nadszedł list od Dawida. „Przyjeżdżam do domu pierwszym statkiem. Teraz, kiedy już skończyłem studia i mogę się podpisywać «doktor», podjąłem decyzję, która cię zaskoczy, ale mam nadzieję, że równocześnie ucieszy. Przyjeżdżam na stałe.”

- Nie mogę sobie wyobrazić - krzyknęła podniecona Miriam - co spowodowało zmianę jego wcześniejszej decyzji! Czy wiesz, że minęło już osiem lat, odkąd go widzieliśmy? Och, papa będzie taki szczęśliwy! Dawid musi już być w drodze. Ale co go skłoniło do zmiany zdania? Był taki przeciwny wszystkiemu, co się tu dzieje...

- Widocznie - stwierdził Eugene - nabrał trochę rozumu.

- Zawsze był mądry. Wiesz o Dawidzie tylko to, co ci opowiadano - odrzekła z oburzeniem. - Mam nadzieję, że papa i Dawid w końcu pogodzą się ze sobą. Z pewnością powinnam porozmawiać z papą i przełamać pierwsze lody, tak żeby mogli od razu się porozumieć.

- Jesteś zbyt wrażliwa. Nie możesz wziąć wszystkich rodzinnych spraw na swoje barki. Sami dadzą sobie radę. Poza tym - dodał Eugene - przez kilka tygodni będziesz miała inne obowiązki.

Rankiem jesiennego, mglistego dnia rozpoczął się poród Miriam. Najpierw pomyślała, że obudziło ją ochryple krakanie wron. Nagle coś się poruszyło w jej napiętym brzuchu; krzyknęła. Fanny zbiegła na dół i Eugene natychmiast posłał Blaise'a po lekarza. Zaczęło się. Kiedy słońce przebiło się przez mgłę i wspięło na niebo, ból stał się intensywniejszy. Nadchodził falami, rosnąc i słabnąc. Silniej i szybciej, szybciej i silniej, fala wznosiła się nieustannie. Kiedy ból słabł, Miriam widziała przecinające sufit żółte smugi światła słonecznego i własną rękę, leżącą bezwładnie na prześcieradle. Znowu nadeszła mocniejsza fala i świat zawęził się do brzucha, gdzie rozpoczęła się batalia. W chwili ulgi ujrzała siebie taką, jaka musiała jawić się oczom innych: godną politowania istotę. Mimo wszystko nie wolno jej jednak stracić panowania nad sobą; nikt nie mógł słyszeć jej krzyku. Zagryzła pięść: nie będę krzyczeć, nie będę krzyczeć, muszę przewyciężyć ból. Eugene stał u jej boku. Czarne brwi, jak włochate gaśienice.

- Wyjdź! Zostaw mnie! Idź! Wyoś się! - krzyknęła.

- Nie poznaje pana - szepnęła przeprasza­jąco Fanny. W stopach łóżka przywią­zali zwinięte w linę prześcieradło.

- Ciągnij! Ciągnij! - zachęcała Fanny. Łóżko skrzypiało, protestując przeciwko wysiłkom Miriam. Fanny ocierała jej spocone czoło i ręce. Dotykała jej delikatnie i uspokajająco szeptała.

„Fanny coś mówi, ale nie rozumiem słów. Wszystko miga mi przed oczami. Oczy doktora błyszczą, nie ma pojęcia, co robić, to jest prawdziwy problem, nie wie, co ma robić. Och Boże, och, to przerażające. Słońce obeszło dom. Nadszedł wieczór.”

- Wody - szepnęła. Nie poruszała ustami, miała tak wyschnięte wargi, że sprawiały wrażenie czegoś obcego, nie należącego do niej. Czowała obejmując ją ramię Fanny; chłód w ustach. Przełknęła ślinę. Ból narastał, coraz bardziej i bardziej, po czym nagle opuszczał ją. To nie miało końca. Otworzyła oczy i spojrzała prosto w światło.

- Zamknijcie okiennice, razi ją słońce.

Musi już być ranek. To nigdy się nie skończy. Odwróciła się do poduszki. Obok jej łóżka, na stole, paliły się veilleuse; odbicia migotliwych płomyków tańczyły na porcelanowej figurce kobiety w balowej sukni i upudrowanej peruce. Głupiutka damulka! Cóż ona może wiedzieć o świetle. Ale płonące świece? Musiała znowu zapaść noc. Męski głos oznajmił:

- To już dwa dni.

Czy to był doktor, czy może Eugene? Miriam nie sprawiało to żadnej różnicy. Z daleka, spoza zamkniętych okien, dobiegał uporczywy rytm bębnow i dzwonków. Męski głos - to musiał być Eugene - krzyczał:

- Powiedzcie im, żeby przestali hałasować, teraz nie czas na wrzawę.

- Żebra - powiedziała wyraźnie.

- Majaczy.

Nie, nie, to nie majaki. Żebra. Robili kastaniety z żeber. Zostawcie ich w spokoju. Pozwólcie im grać. Czy powiedziała to, czy tylko pomyślała? Przeszył ją następny paroksyzm bólu. I następny, i jeszcze jeden. I znów. Jak długo jeszcze? Lampa rzucała cienie na sufit. Cienie płynęły jak woda, biegały, jakby świece były w ruchu. Odbicia igrały na jej twarzy, migocząc, kołysząc się szaleńczo. Twarze patrzące w dół, na nią, na przemian jasno oświetlone i ginące w mroku. Wpatrzona oczy. Obserwowała je z wysiłkiem. Zapadnięte oczy, niespokojne oczy w białych, wydłużonych, upiornych twarzach. Twarz Dawida. „Teraz majaczą” - pomyślała całkiem rozsądnie.

- Miriam, to ja, Dawid. Jestem tutaj.

- Nie. To nie ty - usłyszała swój załamujący się głos.

- Tak skarbie, tak. Naprawdę ja. Zamierzam ci pomóc.

Coś przełożył łagodnym ruchem z ręki do ręki, jakiś ostry, metalowy przedmiot. Nóż? Miecz? Co oni chcieli zrobić? Krzyknęła. Na jej szyi żyły nabrzmiały od wysiłku.

- Miriam, leż spokojnie. Nie obawiaj się. Po prostu zamknij oczy. Coś, ręka lub tkanina, coś delikatnego spoczęło na jej nosie.

- Teraz oddychaj, kochanie. Oddychaj głęboko. Nie bój się.

Światło poranka, wyszorowany do czysta pokój. Na białej poduszce odprężona Miriam odpoczywała po porodzie. Dwoje zawiniętych w pieluszki niemowląt leżało w podwójnym koszu obok jej łóżka.

- Piękne, prawda Dawidzie?

- Bardzo. Ładna para.

- Eugene i Angélique. Tak bardzo chciałam nazwać ją Hannah, ale Eugene wolał Angélique, po jego matce.

- A dlaczego nie Hannah po mojej? Chłopiec nosi twoje imię.

- Hannah to pospolite imię dla prostej dziewczuchy.

- Moja matka była piękna.

- Ciotka Emma powiedziała: „Lepiej nie sprzeczasz się z mężem, Miriam. Ostatecznie to jego pierwородne dzieci i ma prawo zdecydować.”

- Jego pierwородne? A nie moje?

- Fanny była sprytniejsza: „Zgódź się. Unieszczęśliwi cię, jeśli się nie zgodzisz. Imię nie jest tego warte.”

- Eugene chciał znaleźć mamkę, którą moglibyśmy zabrać ze sobą do miasta - opowiadała Dawidowi - ale ja postanowiłam karmić sama.

- Tak będzie lepiej - zgodził się z nią Dawid. - Jestem z ciebie dumny.

- Powiedz mi - prosiła. - Powiedz mi, co się wczoraj wydarzyło. Nic nie pamiętam, wszystko było jak za mgłą. Wiem tylko, że przyszedłeś na czas, i dalej już nic nie kojarzę.

- Wiem. Na szczęście miałem chloroform. Dzięki niemu mogłem użyć kleszczy. To był cud i wielkie szczęście.

- Nauczyłeś się tak wiele! - Miriam była zachwycona.

- Długa droga przed nami - potrząsnął głową. - To dopiero początek. Przyglądała się jego twarzy. Tyle czasu minęło, od kiedy widziała go po raz ostatni! Chociaż bardzo się zmieniła w tym czasie, on zmienił się jeszcze bardziej. Wydawało się, że jego dawny gniew już wygasł. Stał się cichy i optymistycznie nastawiony do ludzi. Głębokie zmarszczki na czole i nowe

manieri - ustatkował się. Miriam doszła do wniosku, że to wpływ życia w Nowym Jorku i to, że ma odpowiedzialny zawód.

- Nie wyobrażasz sobie, jak tęskniłam za tobą - krzyknęła, prawie płacząc.

- Po drodze przeżyliśmy wiele burz. Miałem ochotę wyskoczyć za burtę i popchnąć statek, tak bardzo mi się spieszyło, żeby tu dotrzeć na czas. - Oczy Dawida zwilgotniały. - W każdym razie jestem! I zgadnij, kto przyjechał ze mną? Gabriel. Jest na dole.

- Myślałam, że rozpoczął praktykę prawniczą w Charlestonie.

- Rozpoczął, ale kiedy zmarł mąż jego siostry, porzucił swą kancelarię i przyjechał pomóc Rosie wychowywać synów. Poczucie obowiązku, jak sędzę.

- Tak więc zamierza tu zostać, i ty też! Nie mogę uwierzyć. Ciotka Emma stale powtarzała, że wrócisz, była tego pewna. Dlaczego zmieniłeś zdanie, Dawidzie?

Wstał, stanął przy łóżku i ujął jej dłonie.

- Zbyt długo byłem tak daleko. Nie mam nikogo poza tobą.

- Masz papę - poprawiła go delikatnie.

- Ty jesteś najważniejsza - uśmiechnął się.

- Mam nadzieję, że rozmawiałeś z nim delikatnie?

- Oczywiście. Nie denerwuj się. Czy nadal boisz się kłótni? Kiedyś tak łatwo można cię było przestraszyć! - Umilkł, a po chwili zreflektował się: - Jest tak wspaniałomyślnym ojcem. Winienem mu wdzięczność za moje wykształcenie, dzięki niemu otwiera się przede mną świetlana przyszłość. Przed tobą także, Miriam. Naprawdę jest szczodry.

- Dał mi perły z okazji urodzin pierwszego wnuka. Szare perły. Eugene powiedział, że są warte fortunę. Och, wciąż nie mogę uwierzyć, że na stałe wróciłeś do domu. Dawidzie! Jakże nienawidziłeś wszystkiego tutaj! Powiedziałeś tyle przykrych rzeczy, napisałeś...

- Pamiętam. Byłem bardzo młody, kiedy pokłóciłem się z papą. Teraz jestem starszy i mądrzejszy, w każdym razie taką mam nadzieję - dodał łobuzersko, ale natychmiast spoważniał, - Nauczyłem się, że nie mogę zmienić świata, więc powinienem żyć w takim, jaki jest.

- To brzmi, jakby mówił ktoś inny. Dziwne, że pogodziłeś się ze światem, w którym żyjemy, właśnie w momencie, gdy ja zwróciłam się przeciw niemu.

- Naprawdę?



- To nie znaczy, że wcześniej go akceptowałam. Po prostu, kiedy się nad tym zastanawiałam - zdarzało się to niezbyt często, przyznaję - sądziłam, że nie jestem w stanie nic zmienić. Ale ostatnio doszłam do wniosku, że są rzeczy, które chciałabym zmienić, tylko nie wiem jak.

Dawid zdjął okulary i potarł oczy. Wyglądał na zmęczonego.

- W pojedynkę człowiek niewiele może zdziałać. Wszystko idzie własnym torem.

- Zdumiewasz mnie, Dawidzie! To brzmi jak wymówka, żeby móc nic nie robić! Gdybym była mężczyzną, z pewnością czymś bym się zajęła! - zawahała się. - To prawda, że ludzie tacy jak papa i Emma są dobrzy dla swoich niewolników, ale wciąż jest nie w porządku, że mają władzę nad życiem innych ludzi. Nieważne, jak z nimi postępują.

- To bardzo ryzykowne mówić w ten sposób.

- Och, doskonale o tym wiem. Ale z kim mogę porozmawiać? Z pewnością nie z Eugene. Należy do komitetu obywatelskiego.

- Naprawdę?

- Tak. On i Sylvain. Jeżdżą na wszystkie spotkania w mieście, w górze i w dole rzeki,

- Wiec ludzie wciąż chcą się tym zajmować... Coraz bardziej mnie intrygujesz, siostrzyczko. Jesteś teraz matką dwojga małych dzieci - Dawid przyjrzał się śpiącym niemowlętom i znowu odwrócił się do Miriam. - Kiedy pomyślę o tym, jak ty przyszłaś na świat, patrzę na twoje dzieci i znowu na ciebie - cóż to była za długa droga. Widzę, jak otaczasz je opieką, jaka jesteś szczęśliwa! Bo jesteś szczęśliwa, prawda, Miriam?

„Och, mój Boże, Dawidzie, jestem taka nieszczęśliwa... z wyjątkiem tych dzieci, wszystko źle się układa... tysiące razy chciałam ci o tym powiedzieć, ale nie potrafiłam tego przelać na papier, nie wiem, kiedy to się zaczęło, ani jak to wytłumaczyć... Jestem taka smutna.”

- Tak, tak, jak widzisz, żyję nieźle - powiedziała głośno.

- Rad jestem to słyszeć!

„Gdybym ci teraz powiedziała, i tak nic byś mi nie poradził...”

- Opowiedz mi o sobie. Masz już prawie dwadzieścia pięć lat! Kiedy zamienisz się ożenić?

- A któż by mnie zechciał? - zażartował.

- Nie wygłupiaj się. Pytam poważnie.

- W porządku. Będę poważny. W moim życiu nie ma miejsca dla kobiety.

- Co masz na myśli?

- Nie umiem zadowolić kobiety. Chcę pracować, nie jestem domatorem i nie będę miał dość czasu, żeby poświęcić go żonie, domowi i dzieciom.

W drzwiach stanął Eugene.

- Zmienisz zdanie, jak poznasz jakąś ślicznotkę.

- Nie przypuszczam.

- Będzie, co ma być. Co myślisz o moim synu? - zapytał kordialnie Eugene.

- Zdrowy chłopak. Z pewnością da sobie radę w życiu.

- Popatrz na jego pięści - chełpił się Eugene.

- Nawet nie spojrzaleś na Angélique - zauważyła Miriam.

- Oczywiście, że spojrzalem. Mam kilka rzeczy do omówienia z twoim przyjacielem - powiedział do Dawida. - Teraz, kiedy jego szwagier nie żyje, być może powierzę mu moje sprawy.

- Jestem pewien, że nie będziesz miał powodów do zmiany swoich planów - odpowiedział chłodno Dawid.

- Mógłbym się zwrócić do najlepszych, do Pierre'a Soulé'a czy Judy Benjamina. Carvalho jest bardzo miody, ale doskonale zna oba języki, tak dobrze, jak tylko ktoś, kto urodził się w Nowym Orleanie.

- Najważniejsze, że jest uczciwy.

- Z pewnością. Dżentelmen z południa. Poza tym, jako początkujący, dostanie niższe uposażenie - zaśmiał się Eugene.

- O tym też warto pamiętać. - Dawid zgodził się z takim argumentem.

- Chodź, przyłącz się do nas na dole. Pełno krewnych, głównie rodzina Emmy. Właśnie przybił parowiec z ładunkiem madery i piwa; prosto z Anglii. Chodź, napijemy się.

- Dawidzie! - krzyknęła Miriam, kiedy wychodzili z pokoju. - Przypomnij o mnie Gabrielowi. I powiedz, że wciąż jestem wdzięczna za uratowanie mojego brata i mojej biednej Gretel.

- Ach, ten pies! - przypomniał sobie Eugene. - Okropnie skończyła życie.

- Gretel rosła razem z Miriam.

- Tak, a teraz zamiast psa moja żona ma syna. I córeczkę. Chodźmy na dół.

- Jak to wspaniale, że znowu ma pani przy sobie brata - stwierdziła Fanny wchodząc z tacą.

- O, tak, bardzo się cieszę. Pomyśleć, że będę mogła się z nim zobaczyć, kiedy tylko zechcę! Ale jednocześnie, nie wiem dlaczego, mam przeczucie, że coś jest nie w porządku, że czekają nas kłopoty.

- Nie wie panienska, dlaczego? Kobiety po porodzie zawsze są nieco smutne. Wystarczy kilka dni i to uczucie przejdzie. A teraz proszę zjeść. Musi panienska odzyskać siły po tych trudnych chwilach.

Czasami Fanny wygadywała głupstwa o czarownicach latających na miotłach i tym podobne nonsensy, ale jednocześnie odznaczała się zdrowym rozsądkiem. Jedz i odzyskuj siły. Miriam posłusznie zjadła pudding. Dzieci poruszyły się, budząc się nawzajem cichym popłakiwaniem. Znowu były głodne. Piersi matki nabrzmiwały od mleka. Położyła się, wpatrując w różowiutkie piąstki. Tych dwoje nowych ludzi należało do niej! Nieważne, co przyniesie przyszłość - ona musi opiekować się nimi. Mglistemysłi przemknęły jej przez głowę: gdyby tylko sile chłopca towarzyszyła łagodność, a łagodności dziewczynki siła! I żeby jej życie różniło się od życia jej matki.

## ROZDZIAŁ ÓSMY.

Z maleńkiego podwórka domu przy St. Peter Street można było przez wysokie okna zajrzeć do gabinetu i sąsiadującego z nim pokoju. W gabinecie stało biurko, półka z książkami i szafka pełna instrumentów medycznych: narzędzi dentystycznych, pojemników z tabletkami i pił do amputacji. Drugi pokój był niemal pozbawiony umeblowania. Ręka Gabriela, unosząca do ust filiżankę kawy, zatrzymała się w powietrzu.

- Nie chcesz chyba tak tego zostawić? Mieszkasz tu już kilka miesięcy, a dom wygląda, jakbyś wprowadził się dziś rano, albo przeciwnie, zaraz miał się wynieść.

- Mam wszystko, czego mi trzeba. Łóżko, stół, parę krzeseł, kilka półek na książki. Czego jeszcze można chcieć?

- Pomyślmy. Ludzie pragną dywanów, zasłon, sof, obrazów, luster... wielu rzeczy.

- Jakbym słyszał moją siostrę. Miriam stale nalega, abym się „urządził”.

- Rozmawiałem z Eugene'em. Podobno twój ojciec nie może pojąć, czemu nie zgodziłeś się, aby cię zainstalował w porządnym gabinecie. Krótko mówiąc, jesteś dla niego zagadką. Zresztą my też często nie potrafimy cię zrozumieć, mój przyjacielu.

- Naprawdę?

- Tak. Nadal nie udało mi się rozgryźć zmiany, jaka w tobie zaszła. Kiedy mieszkaliśmy w Nowym Jorku, z twoich słów można by wywnioskować, że tu, na Południu, żyją nie ludzie, lecz jadowite węże. Mówiłeś, że nigdy tu nie wrócisz. Planowałeś nawet sprowadzić Miriam na Północ.

- Miałem wtedy szesnaście lat, a ona jedynie dziewięć - odparł Dawid, unikając odpowiedzi na pytanie przyjaciela.

„Nadal coś ukrywa” - pomyślał Gabriel. Już od dawna, na długo przedtem, nim powrócili do domu, wyczuwał, że Dawid ukrywa coś przed nim. Zmartwiony i zaniepokojony Gabriel czekał. Drobinki kurzu tańczyły w strudze słonecznego światła, aby wreszcie osiąść cieniutką warstwą na podłodze i butach młodzieńców. Oczy Dawida, spuszczone, skryte pod powiekami, również zdawały się śledzić lot drobnych cząsteczek. Nagle przemówił:

- Wróciłem, aby coś zmienić.

- Zmienić!

- Tak. Do końca życia mogłem siedzieć na Północy i gadać o tutejszym systemie - i co z tego? Łatwo jest mówić. Para, która ucieka w słowa, mogłaby napędzić tysiące maszyn. Zamiast tego więc postanowiłem działać.

- I co masz zamiar robić?

Dawid wiedział, że spokój przyjaciela jest tylko maską, wyjaśnił więc prędko:

- Nie martw się. Nikogo nie wplączę w kłopoty, możesz na mnie polegać.

- A siebie samego?

- Będę się starał. Ale czasem trzeba walczyć o to, w co się wierzy. Czy to nie zabrzmiało zbyt szlachetnie? - urwał na moment. - Kiedy tak słucham, co mówię, stwierdzam, że brzmi to pompatycznie. Nie mogę jednak nic na to poradzić, po prostu mówię prawdę. - Na jego twarzy pojawiło się napięcie.

- Sam siebie oszukujesz i dobrze o tym wiesz. Nie możesz sam wszystkiego zmienić. Jesteś Dawidem, pamiętaj. A oni to Goliat.

- Przypominam ci, że Dawid pokonał Goliata.

- No dobrze. To było kiepskie porównanie. Posłuchaj jednak - ciągnął Gabriel - Pamiętasz, kiedy byliśmy dziećmi, na "Mirabelle" w Bordeaux? Stały tam rzędy opuszczonych domów i rozpadających się magazynów, z których zniknęły wszelkie bogactwa. Dlaczego? Bo zniesiono handel niewolnikami. Tu też kiedyś zobaczysz to samo. Wspomnisz moje słowa. To tylko kwestia czasu i cierpliwości. Lecz ten czas jeszcze nie nadszedł.

- I nie nadejdzie przez najbliższe sto lat, jeśli sprawy potoczą się własnym torem. Obecny system daje zbyt wielkie zyski. Odziarniacze stokrotnie zwiększyły wartość bawełny. Odkrycie silnika parowego i maszyn do przeróbki trzciny cukrowej podwoiło cenę plantacji w Luizjanie. Graniczne stany produkują o wiele więcej niewolników, niż potrzebują, podczas gdy tu i w Teksasie popyt znacznie przewyższa podaż. Stale się rozwijamy. Handlarz z łatwością może w kilka dni podwoić włożone pieniądze, kupując niewolników w Virginii i sprzedając w Luizjanie! Czytałem o tym jeszcze w Nowym Jorku. Mam gdzieś zapisane wszystkie liczby, mogę ci pokazać.

- Chcesz zatem przyspieszyć rozwój wydarzeń? Jak? Rozpętując krwawą wojnę? Jeśli tego akurat pragniesz, to chyba oszalałeś.

- Jest taka książka - ciągnął Dawid - mam ją tu gdzieś, rzecz jasna ukrytą. To fascynująca lektura. Nazywa się Przywódca partyzantki i mówi o południowych stanach, które tworzą swój własny rząd, w wyniku czego wybucha wojna. Przerażające i bardzo prawdopodobne. Pożyczę ci ją, jeśli chcesz.

- Nie, dziękuję, nie mam ochoty. A więc masz zamiar zostać przywódcą partyzantów, tak?

Dawid przytaknął, prostując się w fotelu.

- Zatem oszalałeś. Zupełnie zwariowałeś.

- Wiem. Już mi to mówiłeś - Dawid uśmiechnął się ciepło. Młody Murzyn wytrząsnął szczotkę zza drzwi kuchennych i zamknął je ponownie. Kiedy zatrzęsnęły się za nim, Gabriel ostrzegł:

- Służba gada. Mam nadzieję, że zachowałeś dość rozsądku, by trzymać język na wodzy.

- Lucien mnie nie zdradzi. Jesteśmy po tej samej stronie. Pomaga mi. Dlatego go wynająłem.

- Wynająłeś?

- Tak, to wolny Murzyn. Płacę mu. Czy naprawdę sądziłeś, że mógłbym posiadać niewolnika? - Oczy Dawida znów zabłyśły.

„Zżera go gorączka” - pomyślał Gabriel. Ostrożnie zapytał:

- Czy ktoś jeszcze o tym wie?

- A gdyby nawet? Uważasz, że zdradziłbym go?

- Na wszystkie pytania odpowiadasz pytaniami - stwierdził Gabriel z irytacją. Dawid zaśmiał się.

- Nie na darmo mówi się, że to żydowski zwyczaj.

- Dawidzie, mówię serio. Czy kiedykolwiek wspominałeś o tej sprawie swojej siostrze?

- Oczywiście że nie. Naprawdę myślisz, że naraziłbym Miriam na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo? Właśnie ją, która znaczy dla mnie więcej niż cała reszta świata?

- Znów pytania! Mam tylko nadzieję, że się nie mylisz. Są w tej rodzinie ludzie, którzy... którzy nie wiem, co by zrobili!

- Wierz mi, Gabrielu, zdaję sobie z tego sprawę.

- Kilka lat temu powołano tu grupę obywatelską, aby przeprowadziła śledztwo w sprawie abolicjonizmu. Należał do niej Sylvain Labouisse. Utworzono stałe oddziały wojskowe, strzegące przed ewentualnym powstaniem. Sylvain jest również ich członkiem. Igrasz z ogniem, Dawidzie, straszliwym ogniem!

- Wiem o tym - odparł poważnie Dawid.

- Pozwól, że powiem ci coś jeszcze. Twój własny szwagier, Eugene - nie nadużywam tu niczyjego zaufania, bowiem to tajemnica poliszynela - jest przewodniczącym straży obywatelskiej, walczącej z przejawami buntu.

Pamiętaj, to bardzo wpływowy człowiek. Zajmuje wysokie stanowisko w Partii Demokratycznej.

- Budzą we mnie odrazę, wszyscy! Nawet nie wiesz, jak ich nienawidzę! - usta Dawida skrzywiły się w niesmaku.

Gabriel westchnął.

- Wiem. Ale nie wszyscy południowcy są źli, Dawidzie. Kiedy byłem w Anglii, widziałem więcej nieszczęścia, niż kiedykolwiek uda ci się tu ujrzeć. Głód, łachmany, zimne nory... A w Massachusetts młode wieśniaczki w fabrykach...

- Opis wierny, nie wątpię, nie ma tu jednak nic do rzeczy - przerwał mu Dawid.

- Nie możesz zaprzeczyć, że i u nas czynimy postępy. Na przykład szkoła Dysona dla wolnych Murzynów.

- Co wiesz o Dysonie? - Głos Dawida zabrzmiał niespodziewanie ostro. Zdumiony Gabriel odparł:

- Nic, czego nie wiedzieliby wszyscy. To szlachetne zajęcie dla białego. Widzisz - wyjaśnił - coś już osiągnęliśmy, ale to musi odbywać się stopniowo, nie można w ciągu jednej nocy postawić wszystkiego na głowie! Weź swojego własnego służącego...

- Proszę bardzo! Musiał kupić swoją wolność! I nawet teraz nie może głosować ani usiąść w teatrze tam, gdzie ma ochotę. Lucien Bonnet, dobrze wychowany, inteligentny...

Gabriel uniósł dłoń.

- Poczekaj! Wcale nie myślę inaczej. Zgadzam się z tobą. Twierdzę tylko, że za bardzo się spieszysz, to się nie uda!

Nie powiedział mu nic nowego. Zbyt często Dawid słyszał podobne usprawiedliwienia. Trzeba tylko czasu, by zło samo się naprawiło. Przecież nie tak dawno ludzie w Nowym Jorku mieli własnych niewolników! Piętnaście czy dwadzieścia lat temu nawet w Virginii „Richmond Enquirer” zamieszczał artykuły popierające wyzwolenie Murzynów. I co się stało? Wkroczyli abolicjoniści, wprowadzili ogromne zamieszanie, wywołali powstanie Nata Turnera i na nie wiadomo jak długo wszystko wróciło do starego porządku tylko dlatego, że ludzie z zewnątrz za bardzo się pospieszyli. Tak, słyszał to już wiele razy, i teraz milczał.

- To nie jest rozwiązanie - kontynuował Gabriel. - Och, na Północy łatwo nas potępić! Niewolnicy nie pasują do ekonomii opartej na przemyśle. Łatwo Garrisonowi\*) i jemu podobnym domagać się natychmiastowego

końca niewolnictwa na Południu, ale jak tego dokonać nie rujnując gospodarki i nie tworząc kompletnego chaosu?

\*) William Garrison - jeden z czołowych amerykańskich abolicjonistów, (przyp.ttum).

Kiedy raz wzbudzi się emocje ludzi, może z tego wyniknąć potworna rzeź. Szczególnie ty, biorąc pod uwagę dzieje twojej rodziny, powinieneś wiedzieć, do czego zdolny jest rozwścieczony tłum!

- Wiem.

- No więc! Zaledwie kilka lat temu uknuto spisek, mający doprowadzić do buntu niewolników na plantacjach w okręgach Madison i Carroll. Na szczęście został w porę wykryty.

- Podburzanie do buntu nie leży w moich zamiarach. Co innego edukacja. Rozsądna organizacja polityczna...

- Ale na tym się nie skończy! Będziecie spotykać się potajemnie, póki was nie wykryją, nastąpią okrutne kary, gwałtowna riposta, i w końcu wszystkie twoje wysiłki spełzną na niczym. Nie, Dawidzie, nie ma innej drogi. Trzeba działać powoli i cierpliwie, w granicach prawa. Czas i prawo zrobią swoje.

- Powiedziane, jak na prawnika przystało.

- No cóż, taki mam zawód. Dawid gwałtownie zmienił temat.

- Gdzie się wybierasz dziś po południu?

Gabriel z wdzięcznością zaakceptował ów nagły przeskok.

- Na spotkanie komitetu z Gershomem Kursheedtem. Bardzo dobrze nam idzie z nowym zgromadzeniem - ma być nazwane „Wygnańcy Judy”. Zmieniamy rytuał z niemieckiego na portugalski.

- Zbyt dystyngowani, by mieszać się z niemieckim motłochem?

- Oczywiście ideałem byłoby, gdybyśmy niczym się nie różnili. Ale tak nie jest. Każdy woli zachować własne tradycje i tyle. Szczególnie teraz, gdy antysemickie prawa w Europie wyganiają stamtąd coraz więcej Niemców. Muszę ci jednak powiedzieć - dodał entuzjastycznie - że Kursheedt dokonuje cudów z Judą Touro. Przekonał go, aby przekazał mnóstwo pieniędzy na synagogę i inne przedsięwzięcia dobroczynne. Nikt nie wie, jak mu się to udało, chyba że to kwestia właściwego czasu. Touro starzeje się i zaczyna czuć strach przed śmiercią.

- No proszę! He może działać siłą perswazji w słusznej sprawie! Czy nie o tym właśnie mówiłem?

- Niezupełnie, Dawidzie. Niezupełnie. - Teraz to Gabriel zmienił temat. - Kursheedt jest zwolennikiem Isaaca Leesera. Leaser to naprawdę wielki



człowiek, bardzo płodny autor. Powinieneś przeczytać jego „Kurier Żydów Amerykańskich”.

To pismo ukazuje się co miesiąc i opowiada, co dzieje się we wspólnotach żydowskich całego kraju. Leeser wydaje je regularnie, mimo iż cały czas musi do niego dokładać. Ale to kawaler i ma bardzo skromne potrzeby .

- Tak jak ja. Kawaler o skromnych potrzebach.

- Dawidzie, wpadłem tu dziś, aby spytać, czy zechciałbyś pracować w którymś z komitetów dobroczynnych. Potrzebujemy wielu ludzi. Ale nie mogę cię zatrudnić, skoro chcesz wmieszać się w tamte sprawy. Rozumiesz to?

- Doskonale. Wyraziłeś się dostatecznie jasno. - W głosie Dawida dźwięczała gorycz. - Nie jestem mile widziany.

- Nie miej do mnie żalu. Czy chcesz wciągać w to innych? Na przykład siostrę?

- Powiedziałem ci przed chwilą, że nigdy bym tego nie zrobił. A przecież nie mogę pozbyć się myśli: jakie to szczęście dla Żydów z Południa, że istnieją Murzyni! To na nich skupiają się wszystkie uprzedzenia, a Żyd jest akceptowany przez najlepsze towarzystwo!

- To niesprawiedliwe, Dawidzie.

- Wręcz przeciwnie. Och, zgadzam się, że można znaleźć wytłumaczenie dla ludzi takich jak ty, urodzonych i wychowanych w tym systemie, ale ci z nas, którzy pochodzą z Europy, nie mają nic na swoje usprawiedliwienie. My powinniśmy być mądrzejsi.

- Postępujemy tylko tak, jak reszta społeczeństwa. Jesteśmy ludźmi, jak inni. Nie wszyscy muszą być równie szlachetni, co dawni prorocy.

- Jesteśmy Ludem Przymierza, Narodem Wybranym. Od nas wymaga się większego poczucia sprawiedliwości. Przyjrzyj się naszej historii...

Gabriel wstał z krzesła i skierował się do wyjścia.

- Przepraszam, ale nie prowadziłem równie głębokich studiów - oznajmi lekko urażonym tonem.

Dawid odprowadził go aż na ulicę.

- Nie gniewaj się. Czy żeby być nadal przyjaciółmi, musimy zgadzać się we wszystkim?

- Nie, niekoniecznie. Wcale się nie gniewam, po prostu czuję niepokój. Uważaj na siebie, Dawidzie.

Przez kilka minut Dawid stał w drzwiach, obserwując oddalającego się przyjaciela. „Sól ziemi - pomyślał. - Zrównoważony. Możesz zaufać mu we

wszystkim. Wspaniały umysł, prawdziwy uczony, pod ascetyczną powłoką kryjący wiele ciepła. Ale powolny, zbyt powolny. Tacy jak on nie dokonują wielkich czynów. Tym większa szkoda" - westchnął.

Dzisiejsza rozmowa zmęczyła go. Ostatnio stale był wyczerpany, nic w tym jednak dziwnego. Wypalał się niczym świeca, płonąca po obu końcach. Z jednej strony organizacja, planowanie, napięcie towarzyszące konieczności zachowania najwyższej tajemnicy, z drugiej zaś prowadzenie „normalnego życia”, co oznaczało utrzymywanie choćby minimalnych kontaktów towarzyskich. Często żałował, że jego życie towarzyskie nie może być bogatsze, i marzył, by móc sobie pozwolić na coś więcej niż jeden taniec albo przelotna wymiana uprzejmości z jedną z tych uroczych dziewcząt, tak chętnie przyjmujących młodego lekarza, syna Ferdinanda Raphaela, stanowiącego „dobrą partię”, która naprawdę wcale nie była dobra: małżeństwo z nim wcześniej czy później oznaczałoby katastrofę dla każdej córki Południa. Zatem przyzwoitość wymagała, aby trzymał się na dystans i, kiedy spotykał szczególnie czarującą młodą damę, dokładał starań, by zanadto się do niej nie zbliżyć. Jego praktyka powiększała się błyskawicznie. Zaczęło się od tego, że kiedyś położna, która usłyszała gdzieś jego nazwisko, zwróciła się do niego z prośbą o pomoc przy trudnym porodzie. Poszedł za nią do dzielnicy irlandzkiej, wymijając kozy i pijanych do nieprzytomności mężczyzn, i w chacie obok rzeźni wydobył na świat nowe życie. Cóż za smród tam panował, jaka bieda! Na Północy nieraz słyszał przemówienia działaczy partyjnych i widywał napisy na drzwiach sklepów: IRLANDCZYKOM WSTĘP WZBRONIONY. Potępiano ich za ich biedę i niezaradność. Tych, którzy znajdują się na dnie, zawsze oskarża się o wszelkie możliwe zbrodnie, podobnie jak Żydów w Europie. Na widok jakiegokolwiek okrucieństwa zawsze myślał o matce. W sercu Dawida płonęło niezłomne przekonanie, że tak nie powinno być. Dławił go gniew. Jak to możliwe, że jego ojciec nie odczuwał tego w podobny sposób? Dawid próbował to zrozumieć. Pojmował już znacznie więcej, niż kiedy miał piętnaście lat. Ojciec przeżył już swoją walkę i chce teraz jedynie w spokoju napawać się tym, co osiągnął. Jakże się cieszy, że wrócił jego syn! „A przecież w końcu znów sprawię mu ból. To nieuniknione. Będzie mi przykro, kiedy się to stanie. To dobry człowiek”. Nikt nie mógłby być równie hojny, co on. Dom wciąż był pełen gości. Krewni Emmy z Georgii, którzy przybyli na nowe ziemie, kiedy spadła cena bawełny z ich okolic, na początku mieszkali u Raphaelów. Rozrzutna rodzina z góry rzeki,

prowadząca nader dostatnie życie, choć często pozbawiona pieniędzy, spędzała zimowy sezon operowy w domu Raphaelów.

Dawid wrócił do domu. Lucien podśpiewywał, przygotowując kolację. Skromne gospodarstwo, tylko jeden służący - wszystko to dziwiło Ferdinanda, który pragnął, aby Dawid wiódł bogate życie. Chciał, by jego syn dobrze się ożenił, z córką wpływowej rodziny. Przynajmniej jego córka tego dokonała. Zaledwie kilka nocy temu Dawid śnił o Miriam. To był niezwykle sen, przez który przewijał się obraz sarny. Zeszłej jesieni w Beau Jardin Eugene upolował sarnę - delikatne płowe zwierzątko. Rzucił ją na trawę i leżała tak, z szeroko otwartymi, niewidzącymi oczami, które nie dostrzegały już pięknego słonecznego dnia, jasnych lasów, przemierzanych kiedyś z wiatrem. Miriam odwróciła się, ku nie skrywanej irytacji męża. Wszystko to pojawiło się w jego śnie. Jakże była czarująca ta maleńka siostrzyczka! Jej dzieci umiały już chodzić, przytrzymując się matczynej spódnicy. Wyglądały jak z obrazka, białe, niczym kość słoniowa, ubrane w delikatny jedwab, kontrastujący z ciężkimi czarnymi lokami. Dawid nadal pamiętał Miriam odzianą w szorstką wełnę, zmarzniętą i drżącą w kamiennej kuchni na Judengasse. Przypuszczał, że siostra zapomniała już te czasy

- była wtedy taka młoda! Smucił go fakt, że tak długo był z dala od niej. Odnosił wrażenie, jakby ledwie ją znał. I żałował, że lepiej nie poznał jej małżonka. Chciałby upewnić się, czyjego siostra naprawdę była z nim szczęśliwa. Nieraz zastanawiał się, czy smutek, dostrzeżony na jej twarzy, stanowi wyłącznie wytwór jego wyobraźni; czasami zdawało mu się, iż oblicze Miriam skrywa szary woal. Nagle uświadomił sobie, że nigdy, ani przy stole, ani w dzieciennym pokoju, nie dostrzegł żadnego czułego gestu, uśmiechu, nie dosłyszał jednego ciepłego słowa, które wskazywałoby na bliskość pomiędzy małżonkami. Może to tylko ich skrytość? A jednak zaczynał wątpić. Eugene był zupełnie inny niż Miriam. Rozmawiał o pieniądzach, o interesach. Nawet kiedy nie wspominał tego słowa, pieniądze zawsze stanowiły centralny temat jego wypowiedzi. Kiedy dyskutował o wojnie z Meksykiem i ideałach demokratycznych, w rzeczywistości interesowały go nowe ziemie, które można przeznaczyć pod uprawę bawełny. Dawid nauczył się nie poruszać pewnych tematów przy niczym stole. Ważne było, aby nikt nie uważał go za radykała czy „odmieńca”. Jego sposób życia i tak dostatecznie go wyróżniał. Nie wolno mu obalać ich bóstw. Niewielkie dziwactwa były dozwolone, nawet - oczy wiście do pewnego stopnia - interesujące. Ale ogólnie musiał pasować do towarzystwa.

- Lucien - zawołał - kiedy skończysz w kuchni, czy mógłbyś doprowadzić do porządku moje ubranie?

Tego wieczoru wybierał się z kolegami do Teatru St. Charles, aby zobaczyć Edwina Bootha. „Trzeba kupić bilety na występ Joe Jeffersona za dwa tygodnie - przypomniał sobie nagle. - Jesteś młodym lekarzem na najlepszej drodze do kariery, pamiętaj, może nieco ekscentrycznym, ale sympatycznym i miłym.” „Żyje jak mnich”

- usłyszał kiedyś przypadkiem. W głosie mówiącego nie było złości, jedynie ciepłe rozbawienie. Nagle niemal sparaliżował go ogromny strach. Czy nie powiedział czasem fa wiele dziś po południu? Nie, nie, Gabriel to człowiek honoru, nie ma się czego obawiać. W przyszłości jednak musi być bardziej ostrożny.

Gabriel Carvalho czuł niepokój. Idąc ulicą, starał się dokładnie odtworzyć swą rozmowę z Dawidem. Czy uświadomił mu, iż nawet najbardziej niewinna dyskusja, najspokojniejsze spotkanie może być niebezpieczne? Dawid jednak z pewnością zdawał sobie z tego sprawę! Nikt nie mógłby tu żyć, nie orientując się choć trochę, co dzieje się wokół. A jednak, wiedząc to wszystko, Dawid zdecydował się walczyć. Oczywiście sama zasada była słuszna, a cel szlachetny, należało jednak wziąć też pod uwagę środki do niego prowadzące, koszty towarzyszące jego osiągnięciu. Można powiedzieć, że Dawid to w istocie jeszcze chłopiec, snujący dalekosiężne plany, lecz całkowicie niepraktyczny. Jego wysiłki mogły okazać się zgubne, a już na pewno daremne. Z drugiej strony, można też uznać, iż to tacy jak on zmieniają bieg historii, często poświęcając temu swe życie. I z lekkim ukłuciem żalu pomyślał: „Ja należę chyba do ludzi nadmiernie ostrożnych. Widzę, co jest słuszne, ale uznaję koszt osiągnięcia ideału za zbyt wysoki, zaś drogę do niego najeżoną zbyt wielu trudnościami. Czekam więc, aby inni zrobili wszystko za mnie. Dawid dostrzega sedno sprawy, ja - całą jej złożoność”. Był świadom opinii, jaką głosili o nim ludzie: że jest roztropny, bardzo „prawniczy” i rozważny, jednym słowem, brak mu owej „iskry”. Niektórzy nawet uważali, że jest zimnym snobem; te pogłoski bolały, bowiem wiedział, iż niema w nich nawet ziarna prawdy. Musiał panować nad sobą, i to od dzieciństwa, trzymać na wodzy emocje, ponieważ wiedział, że gdyby raz je uwolnił, pokazałby zbyt dużo. Jego umysł nieustannie kontrolował szalone serce, nawet bardziej szalone niż Dawida. Nagle jego myśli wróciły do podróży na pokładzie „Mirabelle”, tak dawno temu. Od tego czasu jeszcze dwukrotnie odwiedził Europę. Raz spędził lato w Szkocji,

drugim razem odbył wycieczkę w dół Renu, wszelako wspomnienia z „Mirabelle” były najżywsze. Wtedy bowiem spotkał swego najlepszego przyjaciela. Pomimo wszystkich różnic w wychowaniu, usposobieniu i poglądach, ich wzajemny podziw i zaufanie pozostały nienaruszone, toteż każdy z nich, naprawdę przejmował się sprawami drugiego. Łączące ich więzy stanowiły coś niezwykłego. Ich istnienie i moc byłoby równie trudno wyjaśnić, co miłość pomiędzy mężczyzną i kobietą. I znów „Mirabelle”. Dawid tonący, szamoczący się wśród fal, żałośnie podskakujący łeb psa, płaczące z wdzięczności dziecko. Niemal zapomniał twarz tej dziewczynki, teraz jednak, widując ją podczas rzadkich spotkań towarzyskich, stale wspominał ów obraz. Kontrast pomiędzy tym wspomnieniem a jej obecnym wyglądem był uderzający. A przecież to naturalne, iż dziewczynka staje się kobietą, mężatką z dziećmi. Przyszło mu na myśl biblijne określenie: drzewo cedrowe Libanu, zielony krzew laurowy. Bowiem była smukła niczym młode drzewko, a jej kremowe ramiona i wiotka talia wylaniały się spomiędzy kryjącego wszystko klosza spódnic. Ciało poniżej pasa można było sobie jedynie wyobrazić. Z wysiłkiem porzucił te myśli. Nie wolno mu zastanawiać się nad czymś takim! Była żoną innego - żoną jego klienta. Powszechnie szanowany Eugène Mendes, inteligentny i stanowczy, zdecydowany człowiek, któremu się powiodło, budził ogólny respekt. Lecz coś w jego spojrzeniu sprawiało, iż trudno było spojrzeć mu prosto w oczy. Jakby nieustannie oceniał, szacował twe słabe i mocne strony. Dziwny partner dla Miriam Raphaël! To nieprawdopodobne, aby ta para rzeczywiście mogła się zjednoczyć. Czyż kobieta i mężczyzna nie mieli stać się jednym? Znów wspomniał ledwie widoczny ból, który wykrzywił jej usta. W odróżnieniu od innych kobiet przy stole, z całych sił starających się przyciągnąć uwagę biesiadników, Miriam siedziała w milczeniu, pogrążona w marzeniach, jakby czegoś oczekiwała. Często zdawała się wręcz nieobecna. A przecież pewnego razu, mijając ogród Mendesów, usłyszał radosny śmiech, wesoły niczym śpiew dzwonek, i zajrzawszy do środka ze zdumieniem odkrył, że to ona się śmiała. Bawiła się z dziećmi, rzucając im piłkę. Włosy opadły jej na ramiona, wielki słomkowy kapelusz z błękitnymi wstążkami spadł i natychmiast znalazł się na głowie chłopca - wielki słomkowy kapelusz z błękitnymi wstążkami. Nagle przypomniał sobie, że aligator zabił jej psa. Czemuż by nie podarować jej nowego? Nieraz odnosił wrażenie, iż pies stanowił niewidoczną więź między nimi, jakby to, że go uratował, było oznaką... Czego? Niczego - pomyślał niecierpliwie, czując,

jak ogarnia go rozdrażnienie. - To siostra mojego przyjaciela. Gest z mojej strony będzie z pewnością mile przyjęty. Czy jakiś czas temu nie kupił córeczce znajomego lalki, aby zastąpić tę, którą zostawiła w pociągu? A zatem zamówi szczeniaka w Nowym Jorku, jeden z urzędników jego dawnego biura hodował spaniele. Mógłby wysłać psa statkiem. I wyobraził sobie jej twarz, kiedy poda jej szczeniaka. „Aż poróżowieje ze szczęścia” - pomyślał, wspominając, jak łatwo się rumieniła i jak promienny był jej uśmiech. Nic w tym niewłaściwego: zwykły prezent od przyjaciela. Skręcając w Place d'Armes, Gabriel został nagle przywołany do rzeczywistości przez głośne fanfary. Na placu zbierał się tłum, zaś pomiędzy namiotami i łopoczącymi flagami regiment piechoty ustawiał się do parady. Gabriel, zerknąwszy przelotnie, ruszył dalej. Wojna meksykańska była bardzo popularna, szczególnie na Południu. „Niemam do tego nerwów - stwierdził, gdy ryk trąb przycichł już w jego uszach. - Zupełnie nie mam nerwów. Och, zapewne to nie po męsku tak sądzić. Ale w Szabas modlimy się: « Ześlij nam pokój, o Panie, najcenniejszy z darów. » Nic nie jest proste. Każdą rzecz można traktować na wiele sposobów. Kiedy obraca się pryzmat, najczystsze światło pojawia się to w jednym miejscu, to w drugim, a każdym obrotem inaczej, inaczej... Poza tym, mam swoje obowiązki. Nie mógłbym zgłosić się na ochotnika, nawet gdybym był na to dostatecznie szalony”.

Rosa nadal nie zdejmowała żałoby, stale chodziła w czerni i sznurach czarnych paciorków. Zawsze wydawało się, że to ona zdominowała Henry'ego, teraz jednak, gdy mąż odszedł, widać było wyraźnie, jak bardzo na nim polegała. Nie zostawił zbyt wiele pieniędzy, ona zaś, co zrozumiałe, pragnęła zostać wraz z dziećmi w swym wygodnym domu. Toteż Gabriel musiał pokrywać część wydatków. Na szczęście jego kariera rozwijała się całkiem dobrze. Otworzył nową kancelarię w Banks Arcade, znakomitym punkcie. Na początek odziedziczył listę klientów Henry'ego, w większości dobrze prosperujących, pnących się w górę ludzi, takich jak Eugene Mendes. „Nie chciałbym zostać jego nieprzyjacielem” - pomyślał niespodzianie i przyspieszył kroku, bowiem dogoniła go już orkiestra.

Miriam, wraz z Fanny wracająca do domu z Francuskiego Rynku, zdążyła jeszcze dostrzec ostatnie sztandary i dosłyszeć bębny, nim defilujący oddział zniknął w oddali. Zapadła cisza. Boczne uliczki były puste, z wyjątkiem wozu z mlekiem, pełnego pobrzękujących mosiężnych baniek i starego Murzyna, który dźwigał na głowie maszynkę do lodów i wykrzykiwał, zachwalając swój towar.

- Popatrz - powiedziała Miriam - Czy to nie pan Mendes wychodzi z tego domu?

- Nie widzę stąd, panienko Miriam.

- Ależ z pewnością to on, w tym nowym, kasztanowym płaszczu. Kasztanowy płaszcz ruszył pospiesznie ulicą i zniknął za zakrętem. Chwilę później z tego samego budynku wyszła kobieta, wyraźnie czekająca na powóz, który właśnie wylaniał się z wozowni.

Miriam i Fanny znalazły się akurat tuż obok, gdy powóz przystanął, aby wpuścić kobietę do środka. Była to piękna kwarteronka. Promienie słońca połyskiwały na jej złotych łańcuchach, tańczyły w czarnych włosach, odbijały się w perłowych ozdobach i złotej skórcie pantofli. W ślad za nią podążał czarny jak węgiel służący, niosący za swą panią koszyk podobny temu, który dźwigała Fanny. Oczy młodej kobiety, w których można było dostrzec szczerą ciekawość, na moment zatrzymały się na twarzy Miriam. Natychmiast jednak spuściła wzrok, wsiadła do powozu i odjechała.

- Kto to był, Fanny?

- No, wie panienka. Jedna z tych. Nie chcę o tym mówić - odparła z godnością służąca.

- Oczywiście wiem, kim jest. Chodzi mi o to, że mnie poznała.

- Skąd mogłaby znać taką damę jak panienka? - W głosie Fanny Miriam wyczuła jakiś zgrzyt.

- Ale mnie poznała - nalegała Miriam. - Przez chwilę nawet wydawało mi się, że coś do mnie powie.

- Nie ośmieliłaby się! Nie śmiałyby odezwać się do białej damy. Queen jest na to za mądra.

- Queen? A więc tak ma na imię? I wiesz, Fanny, to naprawdę był pan Mendes. Razem wyszli z tego domu. Widziałas to równie dobrze jak ja.

- Sama nie wiem, co widziałam, panienko Miriam. Proszę, niech mnie panienka nie pyta - odparła Fanny błagalnym tonem.

- Na miłość boską, cała się trzęsiesz! Nie upuść koszyka, bo jagody rozsypią się po całej ulicy. A teraz powiedz, co przede mną ukrywasz?

- Nic, panienko Miriam. Przysięgam.

- Nie wierzę ci. Posłuchaj, Fanny, czy nie uratowałam dla ciebie Blaise'a? Razem się wychowałyśmy. Jesteś mi chyba coś winna.

- Panienko Miriam... - Fanny dyszała ciężko, starając się dotrzymać kroku swej pani. - Proszę posłuchać. Jeśli nawet coś wiem, to nic takiego, co mogłoby panienkę uszczęśliwić. Nic przyjemnego.

- Nie mówmy o tym, co jest dla mnie dobre. Po prostu nie życzę sobie, żeby traktowano mnie jak głupią. Mam prawo wiedzieć, co się dzieje.

Fanny milczała, toteż Miriam dodała łagodnie:

- Wiem, że boisz się powiedzieć. Wobec tego ja będę mówić, a ty tylko skiniesz głową, jeśli będę miała rację, i pokręcisz, kiedy się pomylę. Pan Mendes i ta - ta Queen. On odwiedza ją stale?

Fanny przytaknęła. W jej przerażonych oczach lśniły łzy.

- Więc u niej bywa. Czy długo już są... razem?

- Nie wiem, jak długo, panienko, przysięgam. Powtarzam tylko to, co słyszałam. Niczego panience nie powiedziałam, prawda? Nie wyda mnie panienka przed panem Eugene'em? On by mnie zbił.

- Nie zrobiłby tego, Fanny. Nigdy nikogo nie uderzył, doskonale o tym wiesz. Zresztą i tak nie pozwoliłabym mu na to.

- Ale mógłby mnie odesłać - zawodziła Fanny.

- Na to też bym się nie zgodziła.

- Na pewno nie powie mu panienka?

- Nie. Idź, umyj twarz. Zanieś koszyk do kuchni i umyj się. Ja przez chwilę posiedzę w ogrodzie.

Figura obok kaskady, bogini miłości, stała spokojnie pośród spadającej wody, kamienna i nieruchoma. Naprzeciw ławki, na której przysiadła Miriam, na murze widniała tabliczka, przypominająca o pochowanej tu młodej żonie. Jej nazwisko przesłaniał pęd powoju. „Czy ona również była nieszczęśliwa i miała takie wątpliwości jak ja? A może od początku wiedziała, ku czemu zmierza?” Miriam zmarszczyła brwi. Co właściwie czuła w tej chwili? Spróbowała spojrzeć na siebie obiektywnie, niczym beznamiętny obserwator. Przede wszystkim dostrzegła dumę, urażoną dumę. Czemu jednak tak się przejęła? Dlaczego? W istocie winna być wdzięczność tej kobiecie za to, że zadbała o zaspokojenie potrzeb Eugene'a. Ostatnio, kiedy wracając późno zastawał ją uśpioną, bardzo rzadko budził ją tak, jak kiedy byli sami w Beau Jardin. Podobne związki zdarzały się powszechnie. Żadna panna, choćby najlepiej chroniona przed niepożądaną wiedzą, nie mogła mieszkać w tym mieście, i nie wiedzieć. Cotygodniowe bale kwateronów w Sali Waszyngtona reklamowano otwarcie. Dziewczęta były tak piękne, iż często bale białych wcześniej pustoszały, bowiem młodzi panowie uciekali na zabawę u kwateronek. Wiedzieli wszyscy, nikt jednak o tym nie mówił, z wyjątkiem Rosy, nieposkromionej, gadatliwej Rosy..



- Och, te kobiety są naprawdę doskonale wychowane - powiedziała kiedyś.  
- Zdziwiłabyś się! Mężczyzna nie może nawet dotknąć żadnej z nich, póki nie zostanie zaakceptowany przez jej matkę. Potem musi umieścić obie w wygodnym domku i zapewnić im utrzymanie. To kosztowna zabawa. Mężczyzna zobowiązuje się również zająć się dziećmi, jeśli takowe mają. Z drugiej strony - dodała poważnie - czasami to rzeczywiście kwestia miłości, a te dziewczęta są wierne. Wielu mężczyzn regularnie widuje swoje kochanki, nawet po wstąpieniu w związki małżeńskie.

A więc to o to chodziło. Fanny wiedziała, tak samo jak wszyscy inni. Bez wątpienia cała służba doskonale zdawała sobie sprawę z jej sytuacji. Miriam zastanowiła się, czy i Rosa wiedziała. Uznała, że lepiej nie pytać. Nie chciała pokłócić się z przyjaciółką. Nagle usłyszała za sobą ciężkie kroki Eugene'a. Drzwi frontowe otwarły się i zamknęły. Chwilę później z otwartych okien na piętrze dobiegły ją głosy. Był w pokoju dzieciennym - o tej porze bliźnięta powinny budzić się z popołudniowej drzemki. Zaraz zacznie podrzucać w górę chłopca, udawać, że się z nim boksuje; chłopiec będzie zaśmiewał się, podniecony tak szaleńczymi objawami ojcowskiej miłości, jego krągłe policzki poczerwienieją, a oczy zabłysną radośnie. Następnie ojciec przytuli go i zwicrzy mu czuprynę. Angélique zawsze otrzymywała od Eugene'a kosztowne prezenty: sukienkę z białej koronki, porcelanową francuską lalkę, łańcuszek ze złotym serduszkim ~ chłopcu natomiast ojciec oddał własne serce. Po dłuższej chwili Eugene zszedł do ogrodu i z ciekawością przyjrzał się żonie.

- Co tu robisz?

- Myślę - odparła, ciskając w niego to słowo niczym kamień.

- No cóż - rzekł sucho - to niewątpliwie szlachetne zajęcie. Czy mogę spytać, co jest tematem tych rozmyślań?

- Zastanawiałam się, czemu niedawno udawałeś, że mnie nie widzisz.

- Że cię nie widzę? A gdzież to miałbym cię widzieć?

- Skrecałeś za róg Chartres Street. Nie zaprzeczaj proszę. Nie cierpię kłamstwa.

- Licz się ze słowami! - warknął Eugene. Miriam wstała. Wyraźnie słyszała, jak wali jej serce.

- Nie musisz tłumaczyć, czemu tam byłeś. Wiem o Queen.

Jego brwi, te znienawidzone brwi, powędrowały w górę. Czarne gąsienice.

- Gdzie słyszałaś to imię?

- Czy to ważne? Słyszałam.

- Ostrzegam cię, ja także nie znoszę kłamstw.

- Nie kłamię. Po prostu nie zamierzam ci powiedzieć.

- Czy to Fanny? To Fanny, tak? Nie? Lucetta? Blaise? Jakiś wścibski gaduła z domu twojego ojca? Ta przekłeta para, Maxim i Chanute?

- Mówiłam już, to naprawdę nie ma znaczenia. To mógł być każdy. Wszyscy wiedzieli - oprócz mnie.

Eugene zdjął rękawiczki. Dostrzegła, że drżą mu ręce. Spojrzał ponad jej głową na senną synogarlicę, przycupniętą u stóp kamiennej bogini.

- Skoro tak - odezwał się po chwili - równie dobrze możesz usłyszeć całą resztę. - Popatrzył jej prosto w oczy. W jego wzroku, zawsze tak ostrym i nieprzyjemnym, kiedy kierował go na nią, błysnęła czułość. - Jest jeszcze dziecko. Syn. Mój drugi syn. Skończył siedem lat.

Potrzebowała chwili, aby pojąć, co znaczą te słowa. Siedem lat. A zatem to trwa już tak długo. Na długo przed ich ślubem. Inne dziecko, drugi syn. Nie jej. Przed oczami mignęły jej tysiące możliwych scenariuszy. Oto stali naprzeciw siebie, niczym dwoje ludzi, którzy spotkali się po raz pierwszy i nic o sobie nie wiedzą.

- Czemu więc ożeniłeś się ze mną? - wyszeptała. - Bo przecież nie dla pieniędzy ani pozycji. W jednym i drugim o wiele mnie przewyższasz.

- Pragnąłem syna, który mógłby zostać zaakceptowany. Chłopca o moim nazwisku, dziedzica, przyjętego w każdej tutejszej szkole. Dziecka, mającego przyszłość w tym mieście. Tego chciałem.

Poczuła, jak ogarnia ją fala gwałtownych uczuć. Nagle zapiekły ją oczy, z całej siły powstrzymała łzy. Z wściekłością pomyślała: „Nie, nie będę płakać”.

- Kiedy za ciebie wychodziłam, wiedziałeś, że jestem nieświadoma - krzyknęła. - Nieświadoma, jak my wszystkie, choć przecież nie powinno się do tego dopuszczać. Teraz jednak wydaje mi się, że prócz tego musiałam być na dodatek szalona! Zostać żoną mężczyzny, który nie pragnął mnie - potrzebował wyłącznie kogoś, kto mógłby urodzić mu dziedzica!

- Nie, mylisz się. Chodziło mi o coś więcej. Nie prosiłbym cię o rękę bez szczerych zamiarów. Pragnąłem doskonale wychowanej i pięknej młodej panny, która mogłaby dać mi syna i stworzyć rodzinę. Co w tym nienaturalnego? Ale ty nie dałaś mi najmniejszych szans.

Nie mogła temu zaprzeczyć.

- Z początku wydawało mi się, że cię rozumiem. Skromna młoda dziewczyna. Potrzeba jej trochę czasu. Ale to nic nie dało. Oczywiście żaden

mężczyzna nie oczekuje od żony, aby... no cóż, w końcu poślubiamy damy, wszyscy to wiedzą. Ale ty! Jesteś jak z lodu. Tak zimna, jak ten posąg. Dlaczego? Czyżbym był nieczysty? Nie. A zatem co? Brzydki? Ogólna opinia temu przeczy. Może brutalny? Nie sędzę. Czemu zatem mnie nie znosisz? Czemu jestem dla ciebie odpychający? Ponieważ to prawda, nie próbuj mi zaprzeczać.

W milczeniu czekał na jej odpowiedź. Potrafiła jedynie odrzec słabo i z wahaniem:

- Nie wiem. - Jak miała mu powiedzieć: nie mogę znieść twego najłżejszego dotknięcia, kiedy tylko się zbliżasz, ogarnia mnie wstręt.

- Gdybyś okazała choć trochę uczucia, gdyby tylko - a zresztą to na nic. Mógłbym wtedy zakończyć tamtą sprawę. Zapewne tak bym postąpił. Ale skoro stało się, co się stało...

Nigdy nie była w stanie wyobrazić sobie Eugene Mendesa proszącego o coś - zawsze tylko żądał. Teraz stał przed nią, wybitny obywatel w aksamitnej kamizelce, a rękawiczki dygotały mu w dłoni.

- Dlaczego? - powtórzył - Powiedz mi. Co ci się we mnie nie podoba? Spuściła wzrok na stopy Eugene'a, stojące w trawie. Jego eleganckie londyńskie buty pokrywał kurz. Było w nich coś żalostnego. Wokół wszystko trwało w bezruchu. W ciszy rozległo się nagie cykanie świerszcza i równie nagle umilkło. Dotąd nie myślała o Eugenie jako o istocie ludzkiej, którą też można zranić; to zawsze on ranił innych. Najwyraźniej jednak boleśnie uraziła jego męską dumę. Mężczyzna, nawet odrzucony przez kobietę, której nie kocha, musiał zwątpić w siebie - nieważne, że inna oczekiwała go z otwartymi ramionami. Przypomniała sobie błysk owych zdumionych czarnych oczu. Nie było w tym jednak niczyjej winy. Nagle uświadomiła to sobie z całą jasnością. Po prostu Eugene budził w niej wstręt, takie rzeczy się zdarzają. To jak szczególne upodobanie do agrestu, czy awersja do mleka.

- Dlaczego? - nalegał Eugene.

Zaschło jej w ustach ze strachu. Przypominało to balansowanie na krawędzi, kiedy nie można ruszyć naprzód i z pewnością nie da się zawrócić. Pozostawało jedynie posuwać się na prawo lub lewo, nie wiadomo jednak, dokąd można tamtędy dotrzeć. Zachwiała się.

- Chyba po prostu pewni ludzie nie pasują do siebie. Próbowałam. Naprawdę się starałam.

- A może ktoś inny bardziej by ci odpowiadał? Na przykład Gabriel Carvalho? Nie może oderwać od ciebie oczu. Czy lepiej by do ciebie pasował, jak sądzisz?

Uderzyła go w twarz. Nie kierowana żadną świadomą myślą, wiedzona własnym instynktem dłoń uniosła się i zamachnęła ku jego policzkom. Pogarda na obliczu Eugene'a ustąpiła miejsca wściekłemu niedowierzaniu. Przerażona tym, co uczyniła, Miriam cofnęła się o krok, a on chwycił ją za rękę. Stanęli naprzeciw siebie, gotowi do zadania ciosu.

- Tylko dlatego, że ty masz kochankę, uważasz, że i ja muszę postępować tak samo?

- Cofam to, co powiedziałem. W ogóle nie nadajesz się do tego!

- Boże, jak ja cię nienawidzę!

- Mów ciszej. Przynajmniej zachowaj się z godnością.

- Akurat ty masz szczególne prawo mówić o godności!

- Oczywiście, że tak. Nie zrobiłem nic, co nie przystoi mężczyźnie o mojej pozycji. Mówiłem ci, gdybyś była dla mnie prawdziwą żoną, postąpiłbym inaczej. Zresztą tak czy inaczej, dobra żona wiedziałaby, jak trzymać się z dala od spraw, które dotyczą tylko jej męża.

- A zatem nie jestem dobrą żoną!

- W ogóle nie jesteś żoną.

- Ale ona, ta kobieta, ona tak? Eugene uwolnił jej rękę.

- Właśnie.

Po drugiej stronie muru rozległ się okrzyk ulicznego sprzedawcy: „Truskawki! Świeże i smaczne, smaczne i świeże!” Miriam pomyślała, że pozostanie w jej pamięci. Tak jak gorący kurz unoszący się w powietrzu, zapach wody kolońskiej Eugene'a - tego nie zapomni. Przypomniała sobie coś innego:

- Nie powinieneś był mówić tego o Gabrielu Carvalho. To wstrętne i nieprawdziwe.

- Może i nie. Tak, masz rację, nie powinienem. To prawdziwy dżentelmen. A ty jesteś matką moich dzieci, panią mego domu. Pamiętajmy o tym. Nie zapominajmy o zasadach.

- Zasadach!

- Postępuj tak, jak się tego od ciebie oczekuje, a ja nigdy więcej cię nie tknę. Masz na to moje słowo. Rozumiesz?

- Tak.

- Nie musisz się obawiać. I tak już cię nie pragnę. Zapanowała cisza. W końcu Eugene powiedział:

- Przepraszam. Naprawdę przepraszam.

- Jesteśmy razem uwięzieni w klatce obłudy. Uwięzieni. - Bezradnie rozłożyła ręce. - Na zawsze, pojmujesz to?

Skinął głową. I ponieważ nie było już nic więcej do dodania, odwrócił się i wrócił do domu.

Późnym wieczorem tego samego dnia Miriam stała na balkonie. Ulewny deszcz szumiał w drzewach i bębnił o dach, a krople spadały na jej suknię i włosy. W słabym blasku narożnej latarni widziała Blaise'a obok stosu drewnianych skrzynek, po których przeprowadzał ludzi przez zalaną ulicę. Zaciekawilo ją, czy oszczędzał swe zarobki, aby kupić sobie wolność. Pomyślała, jakie to dziwne, że Blaise miał możliwość uzyskania wolności, podczas gdy ona - żadnej.

- Panienko Miriam! - zawołała Fanny - Wszędzie panienki szukałam. Co panienka tu robi na deszczu?

Suknia Miriam oklapła, wiatr potargał jej włosy. Emma zawsze powtarzała, że prawdziwa dama nigdy nie powinna pokazywać się w nie najlepszej formie. Co Emma powiedziałyby o Queen? „Och, tacy już są mężczyźni - rzekłaby zapewne. Miriam niemal słyszała jej głos, mówiący z wyższością i lekkim zakłopotaniem. - Po prostu tacy są, kochanie. Ale żona przenigdy nie powinna dać po sobie poznać, że wie. I tak nic by nie zyskała, jedynie go rozzłościła. Najlepiej patrzeć w inną stronę. Poza tym, jeśli dobrze cię traktuje, w czym rzecz?" Tak, z pewnością Emma wygłosiłaby podobną przemowę. Tak samo Pelagia. Nawet Rosa, jakże od nich różna, zareagowałaby podobnie. O co mi chodzi? Nie mam najmniejszych powodów przejmować się tym, co robi Eugene. Nagle w jej głowie rozległa się odpowiedź: bo on może korzystać z życia, brać, co mu się podoba, podczas gdy ja - nie. Dlatego. Niecierpliwie szarpnęła guziki.

- Zniszczy panienka suknię! Ja to zrobię - krzyknęła Fanny.

- Nieważne. I tak jest już do niczego. - Mokre halki opadły na podłogę. - Fanny, powiedz mi. Teraz możesz już być szczerą. Pan Mendes opowiedział mi wszystko. Czy widziałas tego chłopca, syna Queen? Mów prawdę, nie będę się gniewać.

Fanny pozbierała halki.

- Tak, panienko, znam jej syna. Wygląda jak Queen, może jest trochę jaśniejszy. Zatem musi być ślicznym dzieckiem. Nagle Miriam poczuła ukłucie zazdrości.

Nie chodziło jej bynajmniej o nią samą, nie, tylko o jej własnego małego Eugene, który otrzymywał jedynie cześć należnej mu miłości ojcowskiej. Jednocześnie jednak zdawała sobie sprawę, że to głupie. Głośno powtórzyła własne myśli.

- Zatem musi być ślicznym dzieckiem.

- Tak. I do tego mądrym - zwolniona z konieczności zachowania sekretu, Fanny zaczęła paplać: - Queen należała do rodziny pana Mendesa. Jest chyba jakąś tam kuzynką, tak mi się wydaje. Potem ją wyzwolił, ale zatrzymał chłopca. Nadal jest jego panem.

Być właścicielem swojego dziecka! Jakie to dziwne i obce! Kiedy Fanny umilkła, cisza rozdzwoniła się w głowie Miriam. Płomień świecy rzucał na ścianę potworne, zniekształcone cienie: postacie chochlików, szyderczo wykrzywione twarze... Mury zaciskały się wokół niej, świat zaczynał wirować...

- Pan szaleje na punkcie tego chłopca - mówiła dalej Fanny - I wstydzę się go - westchnęła. - Ale tak jest zawsze.

Nic w tym nowego. Musi wziąć się w garść, opanować. Nie może pozwolić, aby wszystko się rozpadło. Musisz chronić ten dom dla swoich dzieci, nieważne, jakim kosztem. Trzeba zachować spokój, zachować...

- Znam coś, co panienka mogłaby zrobić - oświadczyła niespodziewanie Fanny.

- Zrobić? Co masz na myśli?

- Mogłabym zdobyć czarną świecę. Jeśli chce się kogoś zranić, wie panienka, na przykład Queen, albo - służąca podeszła bliżej i szepnęła - albo pana Eugene'a, trzeba napisać imię na kawałku papieru i przypiąć go do świecy. Kiedy się wypali, tego kogoś chwycą bóle i będzie okropnie cierpieć.

Miriam wyprostowała się, znów opanowana.

- Fanny! Nie wierzysz chyba w podobne bzdury! Za mądra jesteś na to. Zawstydzona Fanny zaśmiała się.

- Tak, chyba ma panienka rację. A jednak czasami nie jestem taka pewna. Widziałam różne rzeczy. Czy przynieść panience herbaty? Z liści laurowych, na ból żołądka?

- Zwykłej. Nie żołądek mnie boli.

- I nie serce?

- Nie.
- Panienci głowa rozmyśla, co robić przez resztę życia.
- Masz rację. To właśnie myśli moja głowa.

W środku czuła się tak rozdygotana, że nie mogła usiedzieć na miejscu. Podeszła do okna. Burza, wędrująca na zachód, nadal szalała na dworze. W świetle latarni dostrzegła, iż Blaise zniknął, bez wątpienia stwierdziwszy, że dziś wieczór ma zbyt mało klientów, by opłacało się moknąć na deszczu. Eugene, jak zwykle, wróci do domu powozem. Zapaliła świecę i podeszła do biurka, na którym stosik liścików i zaproszeń oczekiwał odpowiedzi. Przerzuciła je pospiesznie: Towarzystwo Opieki nad Chorymi, zawiadomienie o ślubie, przyjęcie urodzinowe jednej z dalszych kuzynek Emmy, spotkanie Hebrajskiego Towarzystwa Dobroczylnego, Koła Opieki nad Starszymi Ludźmi. Za miesiąc miał odbyć się ich doroczny bal, na który wybierali się wszyscy ważniejsi członkowie żydowskiej społeczności. Będzie potrzebowała nowej sukni. Świat mógł się walić, ale nadal konieczne były nowe suknie.

Gabriel Carvalho był jednym z członków zarządu. „Nie może oderwać od ciebie oczu” - powiedział Eugene. Nie wierzyła w to. Nie dostrzegła nigdy nic takiego. Po pierwsze, w ogóle rzadko się do niej odzywał, a jeśli już, to wyłącznie po to, by wspomnieć ową podróż z Europy, psa, albo rzucić uprzejmą uwagę o dzieciach. Był jakiś sztywny. Tak, właśnie tak. Ludzie, którzy zachowują się w taki sposób, podobno bywają nieśmiali. Ale jak człowiek, odnoszący takie sukcesy zawodowe, mógłby być nieśmiały? To prawda, nigdy zbyt wiele nie mówił, nawet w towarzystwie mężczyzn; to Dawid albo Eugene mieli zawsze mnóstwo do powiedzenia, jeden komenderując innymi, drugi z natury będąc entuzjastą. Zawsze jednak zwracali się do Gabriela o opinię. Kiedy się nad tym zastanowić, to naprawdę dziwne. Nie miała jednak ochoty roztrząsać dalej tego tematu. Gabriel trzymał się obok, nieważne z jakich powodów - Bóg z nim! Rosa uważa, że jest przystojny. Oczywiście. To przecież jej brat. Cóż, może i jest. Ma ładne, mądre oczy i surową twarz. Ale to, co powiedział dziś Eugene, to nieprawda. Sam nawet przyznał, że nie miał racji. Miriam bezwiednie wzruszyła ramionami, po czym ułożyła papiery i przygotowała się do snu. Nie spała jednak. Przesunęła się na sam skraj łóżka, wdzięczna losowi, że jest takie szerokie. Eugene, ze względu na zachowanie pozorów, z pewnością będzie sypiał u jej boku do końca życia. Jakie to okrutne! Bezużyteczna kobieta, do końca swych dni! Miała dwoje dzieci, a teraz

wiedziała, że już więcej ich mieć nie będzie. Za dwa lata znajdą się w szkole i nie będą jej już potrzebowały, aby czytała im bajki albo prowadziła na poranne spacerki. Tak naprawdę, to i teraz właściwie nie była potrzebna - nianie i tak robiły wszystko. Czasem odsyłała je i sama kąpała dzieci: ich widok poruszał jej serce. Tak bardzo wyrosły! Angélique, choć taka młodziutka, miała już zaczątek wdzięcznego wcięcia w tali, podczas gdy Eugene był krępy i silny. Jego siostra bez przerwy zasypywała matkę pytaniami: „Czemu musimy to robić? Kto to jest ta pani? Gdzie idą ci ludzie?” Eugene godzinami potrafił bawić się sam. W jego pokoju stała wieża z klocków, sięgająca mu do pasa. Któregoś dnia dosięgnie księżycy, mawiał. Wkrótce to wszystko się skończy. Oboje dorosną i odejdą. Co wówczas pozostanie ich matce? Czy spędzi resztę życia sporządzając woskowe kwiaty, wkładane do szklanych dzwoneczków, i wyszywając sukienki dla dzieci innych kobiet? Jej myśli powędrowały ku Eulalii, stale przygotowującej ubranka do chrztu, delikatne niczym welon panny młodej. Ujrzała wątłą postać i oczy, nieszczęśliwe nawet wówczas, gdy na ustach gościł wymagany „towarzyski uśmiech”. Nie była lubiana, szczególnie Żydzi nie mogli lubić kogoś, kto w głębi serca nienawidził ich rasy, ale można ją było zrozumieć. „Kim jestem? Panią Mendes, żoną Eugene Mendesa. Jaka jest naprawdę ta szanowana dama? Co robi? Gdybym miała jakiś talent, może dobry głos, tak jak Marie Claire, wiem, co bym zrobiła. Rosa mówi, że Marie Claire chce pojechać za granicę, aby się uczyć, ale jej matka się nie zgadza. Ja znalazłabym sposób. Pojechałabym. Gdybym miała talent -ale przecież nic nie umiem. To niesprawiedliwe! Mężczyźni mogą się uczyć! Zarabiają pieniądze i wydają je na co tylko zechcą. My musimy o nie prosić. Mężczyzna może zachwalać cnotę, jednocześnie utrzymując kochankę. Może robić, co mu się żywnie podoba. Mogłabym ich znienawidzić, ale nie chcę. Pragnę pokochać jednego mężczyznę. Potrzebuję powodu, aby go kochać. Tęskniłam za tym od chwili, kiedy byłam dostatecznie duża, by zrozumieć znaczenie tego słowa. A może nadal go nie pojmuję?”



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

Mimo późnej jesieni na podwórzu domu Raphaelów, gdzie właśnie czyniono przygotowania do wspaniałego przyjęcia, było jeszcze ciepło. Zgodnie ze swym przyrzeczeniem, które zobowiązywało go do opieki nad córką zmarłego współnika, Ferdinand zorganizował tańce, aby uczcić zaręczyny Marie Claire z André Perrinem z Natchez.

- Mama uważa, że to niezwykle - stwierdziła Pelagia. - Chce ją poślubić przy tak niewielkim posagu. Nigdy go nie widziałaś?

- Nie, ale Eugène poznał go kiedyś - odparła z roztargnieniem Miriam. - Mieli chyba jakieś wspólne interesy.

- Jest bardzo przystojny. Sama się przekonasz.

Pod wielkim, rozpiętym nad dziedzińcem dachem wrzała radosna krzątanina. Syzyf ustawiał na stołach ogromne srebrne dzbany z kawą, powierzone jego szczególnej pieczy. Chanute i Maxim wnosili ostatnie doniczki hortensji. Lekki wietrzyk kołysał papierowymi lampionami, zaś strojąca instrumenty orkiestra stwarzała nastrój oczekiwania, jakby zaraz miała się unieść kurtyna. Z wyjątkiem braku baldachimu, sceneria dokładnie przypominała ślub Miriam. Nie chcąc wspominać tego dnia, pospiesznie spytała Pelagię, gdzie też podziewa się Marie Claire.

- Jest w pokoju gościnnym, z mamą. Są szalenie zaaferowane. Kilka fałd u spódnicy wypruło jej się z paska, a jej własna matka nawet tego nie dostrzegła. Oczywiście mama zauważyła to natychmiast. Można jej zaufać - dodała z dumą - że zadba o najdrobniejszy szczegół. Naprawdę wiele wysiłku włożyła w przygotowanie tego przyjęcia.

- Ostatni raz spotkałam Marie Claire dwa lata temu.

- Ja też nie widziałam jej od dość dawna, pomijając tydzień, który spędziła u nas zeszłego lata. To był bardzo krótki romans. Cała historia trwała tylko trzy tygodnie.

- Naprawdę? Czy jest szczęśliwa?

- Ona nigdy nie okazuje swych uczuć. Czasami wydaje mi się, że w ogóle nic jej nie interesuje, poza chwilami, gdy siedzi przy fortepianie i śpiewa. Wiesz chyba, że sama sobie akompaniuje.

Miriam wspomniała pociągłą, poważną twarz. Choć nie widywały się zbyt często, teraz ujrzała ją bardzo wyraźnie i po raz kolejny ogarnęło ją dziwne przeczucie, że ich losy skrzyżują się kiedyś.

- Bez wątpienia powinna czuć się szczęśliwa - podjęła Pelagia. - André jest czarujący. Pochodzi z dobrej rodziny, z matki Żydówki i ojca Francuza. Mają też mnóstwo pieniędzy. - Jeszcze raz powtórzyła: - Dziwne, że żeni się z nią przy tak małym wianie. Rzecz jasna, twój ojciec jak zawsze zachował się szczerze. Kupił dla niej srebra i różne kosztowne drobiazgi.

Miriam usłyszała swój głos, cytujący Eugene'a:

- Ojciec potrafi być bardzo rozrzutny.

- Wiesz, powiem ci coś, ale, na miłość boską nie powtarzaj tego nikomu. Marie Claire wyznała mi, że dla niej to jedyna szansa, aby pojechać do Europy i móc uczyć się śpiewu. André wybiera się tam w interesach i zostanie przynajmniej przez rok. Czy sądzisz, że mogłaby wyjść za niego tylko z tego powodu?

- Nie mam pojęcia. Odniosłam kiedyś wrażenie, że jest w niej coś z desperatki.

- Desperatki? Zbyt wiele uwagi poświęca swej karierze.

- Ma znakomity głos, Pelagio.

- Lepszy dobry mąż niż nawet najpiękniejszy głos. Mówiła mi, że chce studiować w Paryżu u Manuela Garcii. Uważa, że jej głos dorównuje głosowi Jenny Lind.

- Może i tak. Jak ma się dowiedzieć, jeśli nie spróbuje?

- To wszystko z pewnością brzmi wspaniale, ale osobiście nie zamieniłabym się z tysiącem słynnych śpiewaczek. Zawsze mi się zdaje, że moje ostatnie dziecko jest jeszcze cudowniejsze niż poprzednie. Mój mały Louie już siada! I powinnaś zobaczyć, jak Felicita się nim zajmuje, jak opiekuje się wszystkimi maleństwami. Czy uwierzysz, żerna już dwanaście lat? I jakie pogodne usposobienie, prawdziwa z niej mała mateczka. Pomyśl tylko, za kilka lat będzie prawdziwą matką. Och, przyprowadziłaś bliźnięta! Są takie słodkie, Miriam, naprawdę urocze.

Dzieci w skupieniu obserwowały muzyków, czekając, aż Fanny odprowadzi je do domu. Różowe i czyściutkie, z porządnie uczesanymi lokami i wykrochmalonymi strojami, były jak z obrazka. „Wszystko, co mam na tym świecie” - pomyślała Miriam.

- Tak, papa chciał je zobaczyć - wyjaśniła - więc pozwoliliśmy im dziś później się położyć. Papa lubi popisywać się swymi najstarszymi wnucętami.

- Najstarszymi? Czyżbyś była...

- Nie - ucięła krótko Miriam. - Nie jestem.

- Ależ Miriam, bliźnięta skończyły już trzy lata.

- Wiem o tym.

Kochana Pelagia potrafiła być tak nieznośna! Kiedy Sylvain kupił dom w mieście, żeby mogli spędzać tam sezon zimowy, Miriam szalenie się ucieszyła, czasami jednak banalne uwagi Pelagii, jej stała natrętna obecność bardzo jej dokuczały.

- Boli mnie głowa - oznajmiła ostro. - Chyba pójdę do żółtego pokoju gościnnego i położę się na kilka minut.

Zamiast tego jednak, gdy tylko znalazła się w pokoju, stanęła przed lustrem. Wcześniej tego dnia znów płakała. Jeszcze teraz na jej policzkach widać było różowe plamy, a opuchlizna z powiek nie ustąpiła nawet po tym, jak Fanny przyłożyła do nich lód. Miriam nie mogła sobie przypomnieć, czemu właściwie płakała. Kiedy Eugene był w złym nastroju, nie starał się nawet tego ukryć. Odezwał się do niej z pogardą:

- Wczoraj wieczorem zupa nie nadawała się do zjedzenia. Czy nie potrafisz nawet dopilnować swojej służby?

Postanowiła, że tym razem nie da się sprowokować, że nie pozwoli, by dotknęły ją jego słowa.

- Mów głośniej! Nic nie słyszę, kiedy tak mamroczesz pod nosem, w dodatku z tym niemieckim akcentem.

Starła się wyrobić w sobie odporność, nie zwracać na niego uwagi, toteż jej odpowiedzią na ataki był całkowity brak reakcji. Niestety, nie zawsze udawało jej się opanować oczy, które potrafiły błyskawicznie wypełnić się łzami, nawet gdy usta i czoło pozostawały nieruchome.

- O Boże, znów ten płacz - mawiał. - Łzy, nic tylko łzy. Kobięca broń. Gdyby tylko nie musiała dzielić z nim pokoju! Ach, mieć takie miejsce, schronienie, gdzie mogłaby być sama. Jedyne rankiem, kiedy Eugene wyszedł już do biura, miała chwilę samotności. Udawała wtedy, że śpi, tak aby nawet Fanny nie zakłócała jej spokoju. Leżała nieruchomo, obserwując, jak różowa plama światła wędruje po podłodze, a jej myśli krążyły bez celu. Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Eugene jej szukał. Był poirytowany.

- Chodź. Co tu robisz? Twój ojciec pytał o ciebie. Odwróć się. Tak, sukienka jest w porządku. Choć raz dobrałaś właściwy kolor, dodaje ci życia. Możesz spróbować się uśmiechnąć. Są tu ważne osobistości, prawdziwa śmietanka towarzyska.

- Już idę - odparła miękko. Słowa te zabrzmiały w jej uszach niczym westchnienie. Często słyszała podobny ton w głosach innych żon. Zaczęła

dostrzegać takie rzeczy. Nawet Pelagia, tak zakochana w Sylvainie, zdawała się odpowiadać mu unizonym tonem. Miriam ruszyła na dół w ślad za mężem.

Hol wypełniał się szybko, jakby goście zaczęli przybywać wszyscy naraz. Przypominało to kalejdoskop, w którym guziczki, szpilki i skrawki barwnych tkanin potrafią układać się w fantastyczne wzory. Czerwony pokój po drugiej stronie sieni w blasku tuzina świec wyglądał niczym pełna klejnotów szkatułka. Stojący wokół fortepianu kwartet smyczkowy, wybrany osobiście przez Ferdinanda, szykował się do rozpoczęcia koncertu, złożonego ze znanych w tym domu starych pieśni francuskich. Ferdinand ucałował córkę.

- Miriam, nie poznałaś jeszcze narzeczonego Marie Claire. To jest André Perrin. Moja córka, pani Mendes. Zna pan jej męża.

Perrin uklonił się.

- Tak, oczywiście. Pan Mendes to wspaniały człowiek.

Najpierw ujrzała gęste jasne włosy, następnie wesołą, szczerą twarz. Wokół oczu miał leciutkie zmarszczki, kurze łapki - efekt częstego śmiechu. Emma wypadła z jadalni, gdzie dokonywała przeglądu stołów.

- André? Gdzie twoja narzeczona? Nie mogę jej znaleźć. A, oto i ona! Marie Claire, jak się miewasz, moja droga? Wyglądasz uroczo. - Jakby sama nie była przed chwilą na górze, dokonując poprawek w sukni dziewczyny.

Marie Claire obdarzyła ją nieśmiałym uśmiechem. Zupełnie się nie zmieniła. Jej ciasno skręcone loki nadal miały barwę jasnego piasku, zaś zupełnie nieodpowiednia suknia jeszcze pogarszała wrażenie. „Jest taka brzydka - pomyślała Miriam z nagłym współczuciem - a on taki czarujący”. Narzeczeni oddalili się. Goście podzielili się na grupki. Starsze kobiety, mężatki i wdowy, zgromadziły się wokół bufetów. Dlaczego starzy ludzie mają tak ogromny apetyt? Miriam stała z boku, obserwując całe towarzystwo. „Kiedy byłam młoda - pomyślała - cztery lata temu, gdy byłam jeszcze młoda, należałam do ich grona, uczestniczyłam w ich życiu. Teraz stoję obok i przyglądam się innym. Oto Sylvain szarmancko podaje ramię Eulalii. To córka Pelagii, Felicita, o długich, nadal dziecięcych włosach i już pączkujących piersiach.” Eugene zniknął w tłumie w poszukiwaniu najważniejszych z ważnych ludzi, którzy przyszli tu dziś wieczór. Stała samotnie pośród gwaru. Nagle wpadła na pomysł, aby poszukać Dawida. Tak rzadko go widywała, ale lekarze zawsze mają mnóstwo zajęć. Rozumiała to, lecz nadal marzyła o tym, by móc spotkać się z nim na dłużej,

tak aby nikt im nie przeszkadzał. Może wtedy zdołałaby opowiedzieć mu o sobie tak, jak nikomu innemu. Czasami śniła, że razem zabiorą dzieci i uciekną, byle jak najdalej na północ, ku wolności, uwolnieni ze wszelkich zobowiązań, wszelkich więzów... Co za sny!

Znalazła go w niewielkiej bibliotece. Siedział nad karafką wina razem z Gabrielem i Rosą, która czuła się znakomicie w dymie cygar i towarzystwie mężczyzn.

- Przyłącz się do nas - zaproponował Dawid. - Dyskutujemy na temat przyszłości judaizmu.

- Twierdzę tylko - wyjaśnił Gabriel - że wiele reguł i przesądów naszych ortodoksów nie stanowi pierwotnych elementów wiary. Większą część ostatnich trzech tysięcy lat spędziliśmy jednak poza gettami.

Dawid podjął dyskusję.

- Owszem. Ale lata spędzone w gettach, gdy przestrzegaliśmy owych, jak je nazywasz, drobiazgowych reguł i przesądów, to czasy najwyższego wlotu naszych wartości moralnych. Światem wokół nas wstrząsały krwawe wojny, lecz w ortodoksyjnych gettach panował pokój.

- Upiększasz to życie, Dawidzie. Teraz nadeszły inne czasy. Wolę raczej wspominać wolnych uczonych Żydów z Hiszpanii, aniżeli tych uwięzionych w polskich gettach, nawet jeśli byli cnotliwsi i pobożniejsi.

- Może - dodała Rosa - gdybyś kiedyś uczestniczył w naszych nabożeństwach w Charlestonie, zrozumiałbyś...

- Słyszałem o nich. Ni mniej, ni więcej odrzuciliście całą strukturę, która przez wieki utrzymywała w całości naszą rodzinę i cały lud. Tak właśnie zrobiliście.

- Ależ nie - zaczął Gabriel, przerwał mu jednak Ferdinand, który podszedł do ich stołu z kieliszkiem w dłoni.

- A cóż to za rozmowy? Powinniście raczej tańczyć. Jesteście zbyt poważni.

- Och - odparł lekko Dawid - z pewnością w tej chwili toczy się tu wiele rozmów na temat rynku akcji. Czy to również nie nazbyt poważne, papo? Albo wyścigi konne w Métairie? Można tam stracić majątek, a niewątpliwie utrata pieniędzy to poważna sprawa.

- Albo poker czy faraon. Tak, tak, masz rację - Ferdinand tylko jednym uchem słuchał słów syna. Następnie przeszedł do kolejnego stołu, spełniając obowiązki gospodarza.

W chwilę później do pokoju wkroczył Eugène. Sądząc po jego pospiesznych krokach, szukał kogoś. Ujrzawszy ich, przystanął.

- Szukam sędziego Ballantine. Chyba jeszcze się nie zjawił. A wy? Wygląda na to, że nieźle się tu bawicie.

- Owszem. Proszę się do nas przyłączyć - odrzekł Gabriel.

„Czy Gabriel naprawdę lubi Eugene'a" - zastanawiała się Miriam, gdy jej mąż usiadł przy ich stole. Nagle wspomniała jego słowa: „Nie może oderwać od ciebie oczu". Zapragnęła wstać, uciec, było już jednak za późno. Została uwięziona pomiędzy swym mężem i Gabrielem Carvalho. Gabriel podjął przerwana dyskusję:

- Oczywiście, można zrozumieć opór przed nowymi ideami. Kiedy Mojżesz Mendelssohn przetłumaczył Torę na niemiecki, jakże zaciekle zaatakowali go ortodoksi! Zapomnieli, że szesnaście wieków wcześniej święci mężowie przełożyli ją na arabski i grecki. Nie, Dawidzie, tylko reforma może uratować judaizm, utrzymać przy nim ludzi, którzy w przeciwnym razie z pewnością porzucą starą wiarę.

- Czy chcesz go ocalić tak, jak zrobiliście to w Nowym Orleanie? Co osiągnęliście? Sklepy otwarte w szabas, prawie puste synagogi...

- Tylko że tutaj wcale go nie unowocześniliśmy. Właśnie to miałem na myśli! Mamy tu po prostu garstkę ortodoksów, z lekka skłaniających się w kierunku zmian. Zaś reszta ludzi w ogóle się tym nie interesuje.

- Tak, jak mój ojciec - mruknął Dawid.

- Nie traktuj go zbyt surowo - odparł cicho Gabriel. - Nie miał tu żadnego wyboru, a nie potrafił już zaakceptować dawnych tradycji. Ludziom takim, jak on, przypominają one Europę. Z czym się to dla nich kojarzy? Z bólem i brutalnym traktowaniem. Upokorzeniem i...

- Jesteś bardziej tolerancyjny, niż ja - przerwał mu Dawid.

„Gdyby tylko nauczył się nie przerywać, to takie nieuprzejme" - pomyślała Miriam. Zapominając o zakłopotaniu, jakie czuła zazwyczaj w towarzystwie Gabriela, chciała usłyszeć, co miał do powiedzenia.

- Tolerancyjny w stosunku do wszystkiego wokół siebie - dokończył z emfazą jej brat.

Coś zmuszało ją, by przemówiła. Jej słowa zabrzmiały nieśmiało. Nie patrząc na Gabriela, zwróciła się do niego:

- Wydaje mi się, że świat niewiele się zmienił od czasów, które opisywał Józef. Dwa tysiące lat temu ludzie mieli prawie te same problemy.

- Moja żona dużo czyta - wyjaśnił Eugene. Gniewało go, że się odezwała. Sam był zbyt ostrożny, by wyrazić własną opinię w tak kontrowersyjnej materii. Nigdy nie wiadomo, kogo można nieświadomie urazić, a w gronie dyskutantów często znajdowały się potencjalnie użyteczne osoby.

- Oto mój syn - oświadczył, gwałtownie zmieniając temat. Przez hol przechodziły właśnie dzieci wraz z opiekunkami. Na widok ojca mały Eugene wyrwał się spod kurateli i podbiegł do nich. Ojciec posadził go sobie na kolanach.

- Co to, co masz na ramieniu?

- Ugryzła mnie pszczoła. Biase przyłożył mi okład z błota.

- Pszczoła? O tej porze roku? Kiedy to się stało, teraz?

- Nie, wczoraj - odparła Miriam.

- Nie wspomniałaś mi ani słowem!

- To nic poważnego.

- No cóż, skoro wszystko w porządku... Ale powinnaś była mi powiedzieć.

- I jakby wątpiąc w zdrowie swego dziecka, obejrzał je uważnie-twarz, szyję, pulchne kolana. Na chwilę rozmowa ucichła. Najwyraźniej oczekiwało się od obecnych, że poświęcą należytą uwagę małemu Eugène. Wyglądał zresztą prześlicznie w szkockiej spódniczce, ze skórzaną torebką u pasa i w berecie z Glengarry, ozdobionym gałązką wrzosu, wszystko zgodnie z modą. Eugène sprowadził ten strój aż ze Szkocji.

- Wkrótce pójdzie do szkoły - poinformował zebranych, huśtając syna na kolanie.

- Wyśle go pan do Francji? - spytała Rosa.

- Och, jeszcze nie teraz, ale kiedy będzie starszy - niewątpliwie.

„Nie! - pomyślała Miriam. - Nie zrobisz mi tego". Chociaż doskonale знаła odpowiedź, dodała na głos: - A co z Angélique? Czy ją także pošlesz do Francji? Eugène wzruszył ramionami.

- Jeśli sobie życzysz. Ale nie jest to konieczne.

Od dawna nie zwracała się do niego z taką bezpośredniością, może nawet nigdy. Teraz jednak skłaniał ją do tego widok męża trzymającego jej dziecko, jakby tylko on za nie odpowiadał.

- Tak, wiem. Uważa się, że kobieta nie potrzebuje wykształcenia. Edukacja doprowadziłaby ją jedynie do tego, że źle spełniałaby obowiązki domowe. Tak właśnie mówią - urwała.

Eugène puścił chłopca, który natychmiast odbiegł na bok, po czym zwrócił się do Dawida:

- Czy to od ciebie moja żona czerpie tak niezwykle opinie?

- Ależ nie. Miriam ma własne poglądy.

- Te dyskusje do niczego nie prowadzą. - Eugène wstał. W jego głosie zabrzmiała nutka drwiny, jakby mówił: „Co nam po ideach? Wszyscy wiemy, że i tak do niczego się nie przydają”.

- A więc precz z dyskusjami - krzyknął Dawid. Grupka rozeszła się i Miriam nagle stwierdziła, że stoi sama z Gabrielem pośród tłumu ludzi.

- Twój brat i ja spieramy się czasem, jak widzisz. Myślę, że to ożywia naszą przyjaźń.

- Wydaje mi się, że różnice, które was dzielą, nie są zbyt wielkie. Nie sprzeczcacie się, kiedy chodzi o pryncypia. A przede wszystkim to one się liczą, prawda?

Nagle rozległy się okrzyki:

- Chodźcie, za chwilę wzniosą toast! - I Miriam została porwana przez ludzi, kierujących się do jadalni.

- A zatem czytałaś Józefa - stwierdził Gabriel, nadal wędrujący u jej boku.

- Mimo sprzeciwów mojego męża.

Nie skomentował jej słów. Zamiast tego spytał łagodnie.

- Jak się miewa pies?

- Już przywykł do nowego miejsca. To było wspaniale z twojej strony. Nie wiem, czy wystarczająco ci podziękowałam.

- Ależ tak - odparł.

Pewnego niedzielnego popołudnia przyniósł jej psa, wraz z koszykiem i kocem. Rosa ozdobiła głowę szczeniaka czerwoną wstążką. Wielka, chwiejna kokarda zsunęła się na jedno oko tak, że psiak zdawał się mrugać porozumiewawczo. Miriam roześmiała się zachwycona.

- Gretel bis! Jest zupełnie taka sama! Jakże to miło z twojej strony, Gabrielu, co za cudowna niespodzianka!

- Bardzo dobry pomysł - dodał Eugene. - Ośmielę się stwierdzić, iż koszt diamentów nie sprawiłby jej równie wielkiej przyjemności.

Gabriel stał na werandzie i w milczeniu obserwował całą scenę. Jego wzrok, równie skupiony i poważny, co teraz, ani na moment nie opuszczał Miriam. Zmieszana, nachyliła się, udając, że poprawia zapięcie bransoletki. Jakby chcąc przyciągnąć jej uwagę, oznajmił:

- Już w zimie planowałem kupić ci psa. Załatwienie wszystkiego trwało jednak kilka miesięcy.



„Nie może oderwać od ciebie oczu”. Tak powiedział Eugene. W jadalni łąsiejący mężczyzna uniósł kieliszek i zaczął coś mówić o szczęściu, zdrowiu młodej pary, przyjaciół, państwa domu i w ogóle wszystkich. Ferdinand szepnął wprost do ucha Miriam:

- Widzisz, jaki panuje tu duch braterstwa? Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. - Nie miał zbyt mocnej głowy, a wypił już dwa kieliszki szampana.

- To przyjęcie musiało kosztować majątek - zauważył ktoś z drugiej strony. Poznała głos Sylvaina, skrytego za czyimiś plecami. - Krążą pogłoski, że Raphael ogromnie się zadłużył. Oczywiście to mogą być jedynie plotki. Mam taką nadzieję ze względu na moją teściową. - Szerokie plecy odsunęły się na bok i Sylvain dostrzegł

Miriam. - Ach, Miriam, chciałbym ci przedstawić przyszłego pana młodego. Musisz poznać André. Wszyscy go uwielbiają.

- Spotkaliśmy się już - zaoponowała, lecz Sylvain pociągnął ją już w stronę grupki skupionej wokół jeszcze jednego małego stolika, na którym stał pojedynczy talerz. Siedział tam Lambert Labouisse, usadowiony w fotelu niczym na tronie. Pod koroną śnieżnobiałych włosów jego twarz miała surowy, władczy wyraz. Najwyraźniej toczyła się tu dyskusja o polityce.

- Mój syn, Alexandre, ma pięć lat - powiedział Sylvain, natychmiast włączając się do rozmowy - i przewiduję, że gdy dorośnie, będzie walczył na wojnie.

- Miejmy nadzieję, że nie - odparł Gabriel.

- W- Kongresie zaczęły się już lamenty na temat „grzechu niewolnictwa” - ciągnął Sylvain. - John Slidell, mój bardzo dobry znajomy, wrócił z Waszyngtonu ostrzegając przed nastrojami panującymi w Senacie.

- Czy nie sądzicie, że to coś oznacza? - spytał starszy Labouisse. - Część naszych najzagorzalszych obrońców w Senacie nie pochodzi wcale z Południa. Slidell to nowojorczyk, a Soulé, rzecz jasna, pochodzi z Francji - zastanawiał się głośno, a reszta zebranych z szacunkiem pokiwała głowami, jakby starzec stwierdził coś odkrywczego. - Powiedziano mi, iż Soulé ma tu przybyć dziś wieczór. Dotąd go nie poznałem. W mojej opinii pogłoski o wojnie są bardzo przesadzone. Garstka fanatyków nie zdoła zniszczyć naszej cywilizacji - zakończył pogardliwie.

Zaskoczona Miriam odwróciła się na dźwięk szeptu za plecami i ujrzała André Perrina.

- Przepraszam. Czy woli pani przysłuchiwać się dyskusji, czy też mogę poprosić panią do tańca?

- Chętnie zatańczę - odparła. Nagle rozmowa stała się nużąca. Poruszone tematy były bardzo istotne, lecz Miriam miała już dość. Z poczuciem winy pomyślała, że zapewne jest zbyt zaabsorbowana sobą.

- Tak poważna dyskusja nie pasuje do dzisiejszego wieczoru - stwierdził André Perrin, powtarzając na głos jej myśli.

Na podwórzu, gdzie wirujące pary utworzyły kilka koncentrycznych kół, André wciągnął ją w zewnętrzne. Natychmiast uchwycili właściwy rytm.

- Dopiero co wróciłem z wojny w Meksyku - powiedział - i nie chcę słuchać o żadnych nowych zagrożeniach. Ludzie sądzą, iż wojna to tylko flagi i defilady. Mam jednak nadzieję, że podobała się pani nasza zwycięska parada. Nasz stary generał na swym siwku to naprawdę coś.

- O tak, była wspaniała.

- Przynajmniej pani chłopiec wydawał się zachwycony. Zastanawia się pani, skąd wiem, że tam byliście? Widziałem panią i dzieci. To bliźnięta, prawda?

- Tak, ale podobno na Place d'Armes tego dnia zgromadziło się czterdzieści tysięcy ludzi. Jak mógł mnie pan dostrzec?

Perrin z przyjemnością przyglądał się jej zaskoczonej minie.

- Ponieważ, kiedy stanęliśmy w szyku naprzeciw katedry, rozpoznałem Pelagię w pierwszym rzędzie widzów. Pani stała obok. Na głowie miała pani szary aksamitny czeppek z białym piórem. Chłopiec chciał się wyrwać i pomaszerować z żołnierzami. Musiała go pani przytrzymać.

- Niewiarygodne! Ma pan znakomitą pamięć.

- Tak naprawdę, moja pamięć nie jest wcale najlepsza. Ale panią zapamiętałem. Był niewiele wyższy od niej, mogła więc spojrzeć mu prosto w twarz. Jego spalona słońcem skóra nabrała brązowoczerwonej barwy. Był tak blisko, że wyraźnie widziała jasne koniuszki rzęs.

- Uważa pani, że jestem zbyt śmiały, pani Mendes? Nie chciałem pani urazić.

- Nie szkodzi - mruknęła. Na chwilę zapadła kłępująca cisza. Miriam nie wiedziała, co powiedzieć, w końcu więc dodała: - Defilada była bardzo emocjonująca.

- Podobnie jak i wojna. Od lądowania w Matamoros aż po Monterrey.

- Ale jak wiele wycierpieliście! Upał i muchy - czytaliśmy sprawozdania w „Picayune”. Z pewnością chciałby pan o tym zapomnieć.

- Nawet bardzo - roześmiał się - Ale nie pozwoli mi na to moja matka. Zmieniła nazwę naszej plantacji na „Pało Alto”, od bitwy, w której mnie raniono. Uważa mnie za bohatera, z czym się nie zgadzam.

Miriam podobał się humor, z jakim potrafił drwić z samego siebie, lekkość i wdzięk tańca, sposób, w jaki reagowała na obecność Andre. Kołysząc się i wirując kreślili skomplikowane arabeski wokół podwórza. Gdy mijali lampiony, na twarzy jej partnera igrało światło. Miał piękne, kształtne usta, i nawet gdy się nie uśmiechał, było w nich coś radosnego. Pomyślała, że jest to jak promyk słońca.

- Czy zamieszkacie w Palo Alto? - spytała i natychmiast przypomniała sobie, co Pelagia mówiła na temat ich wyjazdu za morze.

- Nie, na pewien czas wyruszamy do Francji. Ale zamówiłem już dom i po powrocie zastaniemy gotowy budynek w Dzielnicy Ogrodów, wśród Amerykanów.

- A zatem porzucacie naszą Vieux Carré!

- W dzisiejszych czasach wszyscy mieszają się ze sobą. Proszę tylko rozejrzeć się wokół. Władamy oboma językami. Nawet Kreole zaczynają rozprzestrzeniać się po całym mieście. To cudowne miejsce. Chciałbym tu pracować.

- Jest pan adwokatem?

- Notariuszem. Oczywiście nasze tutejsze prawo to dziwaczna kombinacja Kodeksu Napoleona i zwyczajowych praw angielskich, ale pani zapewne już to wie. Nie zdziwiłbym się też, gdyby wcale to pani nie interesowało.

- Ależ wręcz przeciwnie - oznajmiła żywo, wpatrując się w niego szeroko rozwartymi oczami. Przez głowę przemknęła jej myśl: przecież to najzwyklejszy flirt! Walc wznosił się i wirował. Obok nich przepłynęła Marie Claire w ramionach francuskiego konsula.

- Jakże musi być szczęśliwa! - zawołała Miriam.

- Kto taki?

- Pańska Marie Claire, rzecz jasna.

- Tańcząc z tym Francuzem? O, ona kocha Francję i wszystko, co francuskie.

- A zatem zamieszkacie we Francji.

- Tylko przez rok czy dwa. Najpierw jednak na jakiś czas zatrzymamy się tu, w hotelu St. Charles.

Hotel St. Charles. Apartament z balkonem. Kremowe róże. Łóżko. Biała pościel i kołdra pokryta błękitnym jedwabiem. Łóżko. Z tym mężczyzną.

Jego prawa dłoń spoczywała pomiędzy łopatkami Miriam z taką stanowczością, że choć okryta koźlą skórką, paliła jej plecy. Nie przywykła do tego, by ktoś dotykał ją w taki sposób, z podobną poufałością. Nagle uświadomiła sobie, że nikt nigdy nie dotknął jej z czułością - nawet gdy była małym dzieckiem. Bo i któż mógłby to zrobić? Teraz czuła wyłącznie dłoń, poruszającą się lekko po jej nagich plecach. Cała krew z jej ciała zdawała się napływać w miejsce, gdzie spoczywała ręka André. Zaprażyła, aby przyciągnął ją bliżej, usunął wolną przestrzeń pomiędzy nimi. Jednocześnie była przerażona swymi myślami. Zupełnie obcy człowiek! To szaleństwo! Jakże dziwnie byłoby odkryć najtajniejsze sekrety drugiej osoby! Przypominałoby to przejście nago po ulicy, coś, co czasem zdarza się w koszmarnych snach, kiedy człowiek gorączkowo szuka schronienia i jakiegoś okrycia. Przez cały czas jej stopy poruszały się w rytm muzyki. Coś do niej mówił. Odsunął się lekko, aby móc lepiej się jej przyjrzeć. Miriam wydało się, iż dosłyszała jego pytanie, nie była jednak pewna i musiał je powtórzyć.

- Czemu jest pani tak bardzo nieszczęśliwa?

Do oczu Miriam napłynęły natychmiast piekące łzy. Jej wargi zadrżały. A więc jednak przeniknął jej myśli.

- Proszę na mnie nie patrzeć - wykrztusiła. - Proszę. W przeciwnym razie rozplacę się przy wszystkich. Błagam.

André był wstrząśnięty.

- Błagam o wybaczenie. O Boże, nie wiem, czemu to powiedziałem.

Niczym koła hamującego powozu, muzyka stopniowo zwalniała tempo. Perrin zaprowadził Miriam do domu. W wysokim lustrze ujrzała, iż rzeczywiście odwrócił głowę. Zrozumiał więc, że kiedy spogląda się na łzy kobiety, płyną one jeszcze bardziej. Odprowadził ją na miejsce, gdzie stał Eugene, podziękował i pospiesznie odszedł. Miriam pomyślała, że zrobiła z siebie idiotkę.

- A zatem tańczyłaś z Perrinem. To dobrze. Chciałbym, abyś podtrzymała tę znajomość - oznajmił Eugene. - Zapraszaj ich często. Przez najbliższych kilka miesięcy będą mieszkać w hotelu i z chęcią nas odwiedzą. Zresztą Marie Claire to twoja przyjaciółka.

- Nigdy nie byliśmy zbyt blisko - odparła słabo - Prawie jej nie znam.

- Co za różnica? To cenna znajomość. Perrin ma kontakty w całym kraju i Europie. Wszędzie.

Nie wiedziała dlaczego ogarnął ją paralizujący lęk. Jej samokontrola słabła. Chciała znów spotkać się z André Perrinem.

Koło północy przyjęcie zbliżało się do końca. Woźnice i służący, dotąd grający w kulki pod latarniami, zaczęli wspinać się na kozły. Jeden za drugim powozy odjeżdżały, opuszczając cichą uliczkę pod mrocznym niebem.

- Przejdźmy się - zaproponował Dawid.

Gabriel szedł obok niego. Pod stopami przyjaciół chrzęściły liście jaworów. Milczeli. Nie odzywali się do siebie od czasu popołudniowej sprzeczki. Kiedy mijali katedrę, która niedługo miała zostać odbudowana, Gabriel odezwał się wreszcie:

- Różnice, które nas dzielą, nie znaczą wiele. Liczą się pryncypia wiary - nagle przypomniał sobie, że Miriam użyła tych samych słów zaledwie kilka godzin wcześniej.

- Pryncypia! Mówisz o zmianach naszego rytuału, nie zmienisz jednak społeczności, w jakiej żyjemy. Mimo tej całej pobożności, przywódcy wspólnoty żydowskiej nadal trzymają ludzi w niewoli!

- Ja nie - odparował Gabriel.

- Ale mieszkasz z siostrą, która ma niewolników. I milczysz na ten temat.

- Radziłbym, żebyś i ty zniżył głos - stwierdził Gabriel chłodno. - Zwłaszcza w tej chwili.

- Przepraszam. Masz rację - oznajmił nagle Dawid. - Nie wiem, dlaczego zawsze musimy dojść do tej jednej rzeczy, która nas dzieli. - Zerknął na przyjaciela. W świetle księżycy profil Gabriela rysował się ostro i surowo, niczym oblicze władcy na starożytnym monecie. - Prawda jest taka, że denerwuję się i obawiam. Bardzo martwię się o siostrę. Jest nieszczęśliwa. Zauważyłeś to chyba dzisiaj.

- Tak, wiem. Dawid westchnął.

- Wydana za męża, zanim jeszcze dowiedziała się, czym jest życie. O ile w ogóle ktokolwiek jest w stanie poznać je do końca. Posłuchaj - dodał, chwytając rękę Gabriela - nie powinienem cię pytać i nie proszę, abys zdradził mi sekrety swego klienta. Ale czy możesz mi powiedzieć coś o moim szwagrze, co powinienem wiedzieć?

Gabriel zastanowił się. Wiedział o Eugene Mendesie tylko to, że ciężko pracował, zręcznie prowadził interesy, płacił w terminie rachunki i nie oszukiwał współników.

- Mendes nigdy nie uczyni nic, co mogłoby zachwiać jego pozycją społeczną - powiedział. - Będzie postępował zgodnie z zasadami. Utrzyma dom i rodzinę. Będzie szczodry, lecz nigdy rozrzutny. - I po chwili dodał z rezygnacją: - Prawdę mówiąc, nie wiem o nim więcej niż ty. - I znów ujrzał przed sobą smutne oczy Miriam, jakby wzięte wprost z czasów biblijnych.

- Czy kiedykolwiek pomyślałeś - spytał gwałtownie Dawid - że istnieje też rodzaj niewoli dla kobiet? Wydaje mi się, że bardzo trudno jest być kobietą.

- Tak, przyszło mi to do głowy.

Doszli razem aż do domu Dawida, gdzie się rozstali. Dalej Gabriel poszedł już sam. Podnosząca się mgła odsłoniła rozległy, tajemniczy nieboskłon. Ponad niską linię zabudowy cichego miasta wystrzelała czarna kopuła Szpitala Dobroczyńnego. Zwolnił kroku, nie spiesząc się do domu. Wkładając klucz w zamek wyczuł, iż jego siostra jeszcze nie wróciła. Z każdego przyjęcia zawsze wychodziła ostatnia. Potrzebowała towarzystwa, jemu zaś podobne pragnienie było zupełnie obce. Zastanowił się, czy przez swe kontakty dowiedziała się czegoś więcej o Miriam Mendes. Prawdopodobnie nie. I znów ujrzał przed sobą pełne cierpienia i tęsknoty łagodne oczy. „Dość tego” - skarcił się surowo. Przez moment stał w sieni, wpatrując się w dal, szybko jednak otrząsnął się, jakby chciał zrzucić z pleców ciężar, i powędrował po schodach na górę.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

Miriam leży w bezruchu, jak zawsze na samym brzeżku wielkiego łóża. Noc jest duszna i gorąca. Puste zagłębienie pomiędzy nią a jej mężem jest w pewien sposób symboliczne: zupełnie się od siebie oddalili. To dlatego nie dostrzegł, co się z nią działo przez ostatnie miesiące. Usatysfakcjonowany jej „poprawnym” wyglądem i zachowaniem, nie wnikał głębiej. Miriam zastanawia się, czy może naprawdę coś jest z nią nie w porządku, coś zatruwa jej duszę jak powolna, wszechogarniająca choroba.

Jest zauroczona André Perrinem. Ciągłe o nim myśli. Ciągłe słyszy jego lekko nosowy głos. Ma przed oczami luźno zapięty mankiet, odkrywający porośniętą złotymi włosami rękę. Pamięta ucisk dłoni na swych plecach.

Czyta bajkę swej córce, Angélique. Dwa puszyste loki okalają dziecinną twarzyczkę; matka poprawia je, przyciąga dziecko do siebie, myśląc: jakaż ona słodka. W tym samym momencie myśli też o André Perrinie. Na targu maca melony pokryte gęstą siecią ciemnozielonych pasm; jeśli uginają się pod naciskiem palców, miąższ będzie różowy i soczysty. W tym samym czasie myśli o André Perrinie. Liczy, ile razy widziała go od czasu pierwszego spotkania. Pięć razy Eugène przyprowadził go na obiad, odbyło się osiemnaście przyjęć, tu i u znajomych, osiem razy widzieli się w teatrze. Czterokrotnie natknęła się na niego na ulicy, kiedy spacerował z Marie Claire. Co za wstyd! Nie powinien jej tak fascynować. Nie wolno jej, nie ma prawa do podobnych myśli! On należy do Marie Claire. Leżą razem co noc, André i odległa, straszna Marie Claire. Obok siebie. Kiedy tylko zechce, jego dłonie przesuwają się po ciele żony. Ich ręce i usta spotykają się, gdy tylko pragną. Tak samo Eugène leży zapewne u boku tej kobiety. Teraz śpi, ciężko oddychając w ciemności, nagły skurcz przebiega jego masywne ramiona. „Czemu jest pani tak nieszczęśliwa?” - spytał wtedy. Mogła mu odpowiedzieć: „Ponieważ mój mąż nie jest taki, jak pan”. „Co pani może o mnie wiedzieć?” - odrzekłby zapewne. Powinna była wyjaśnić: „W jaki sposób trzy takty muzyki potrafią poruszyć serce swym smutkiem? Jak ciężki, szary deszcz może wypełnić człowieka radością? Widzi pan, nie istnieją żadne racjonalne powody”. Nigdy więcej nie chce zostać z nim sam na sam. Przypuśćmy jednak, iż niektóre z jej myśli znajdą drogę do ust i wypowie je wbrew swej woli. Ogarniają przerażenie. Kiedyś, pewnego dnia, z pewnością się to stanie. Wyciągnie wtedy rękę i dotknie jego ramienia w sposób, który powie mu wszystko, czy może zdradzi ją brzmienie głosu,

nagle załamanie w trakcie najniewinniejszej rozmowy. W swej jadalni zawsze wyznacza mu miejsce po przeciwnej stronie stołu. A przecież, jeśli tylko spodziewa się spotkania z nim, ze szczególną starannością dobiera suknię. Od lat zapomniała już, co znaczy próżność, prawdopodobnie ostatni raz była zadowolona ze swego wyglądu w dzień pierwszej wizyty w operze, kiedy Emma uczyła ją, jak używać wachlarza. Teraz jednak, gdy w zeszłym tygodniu kupowała biały słomiany czepeczek ozdobiony ciężkimi kiśćmi bzu, przyłapała się na myśli, że chciałaby, by André ją w nim zobaczył. Czasami jej oczy napotykały jego spojrzenie. Miriam wie, że musiał zapamiętać jej łzy. Zapewne zastanawia się, czemu płakała, albo może uznał jedynie, że jest słabą, niemądrą kobietą, rozpieszczoną i kapryśną gąską, która powinna bardziej uważać na to, co mówi. „Przecież twój mąż cię nie bije - mógłby ktoś zauważyć. - Twoje dzieci śpią spokojnie pod solidnym dachem. Ile kobiet z radością zamieniłoby się z tobą?” Pierwsze światło brzasku przebija się przez rolety i układa w smugach na podłodze. Promień natrafia na stojący w kącie koszyk, w którym śpi pies, podarunek Gabriela Carvalho, przesuwa się po marmurowym blacie stołu, sznurach noszonych wczoraj pereł, aby w końcu uderzyć ją prosto w twarz całą siłą nadchodzącego dnia.



## ROZDZIAŁ JEDENASTY.

Dawid stał oparty o barierkę statku, zdążającego w górę rzeki, i porządkował myśli. Większość z nich zajmowała jego siostra. O, jakże przewrotny jest los! Po wszystkich tych latach, które spędził z dala od niej, po stałych naleganiach, aby wrócił na Południe, teraz właśnie ona chce wyjechać na Północ! Minęło kilka miesięcy od czasu, kiedy powiedziała mu o swoich fantazjach. W drodze do domu z późnej wizyty przechodził obok ciemnego domu Mendesa i ujrzał ją za oknem biblioteki, siedzącą przy lampie. Zatrzymał się i wszedł po schodach.

- Co robisz tak późno? I w dodatku sama? - spytał.

- Po prostu nie mogłam zasnąć. Dlatego zesłam na dół.

Odwróciła twarz. Nie chciała, żeby ją zobaczył, więc zasłoniła policzki włosami. Ale jej ręce pozostały złożone na kolanach.

- O co chodzi? Co się takiego stało? - spytał.

- Nic, nic. Wszystko w porządku.

- Zawsze istnieje jakaś przyczyna tego, że ludzie nie mogą spać.

- Zachowujesz się jak lekarz - szepnęła wciąż odwrócona.

- Tak, lecz także twój brat.

Jej ramiona zadrżały, powstrzymywała się, żeby nie zapłakać w głos. Zawahał się.

To mogła być zwykła sprzeczka, albo miała zły dzień. Kobiety często są nadpobudliwe, wielka wieczorna tragedia znika bez śladu razem ze światłem poranka. Może lepiej by zrobił zajmując się własnymi sprawami. Przeczucie popychało go jednak dalej.

- Miriam, chciałbym, żebyś mi powiedziała. Jak mogę pójść do domu i położyć się spać, kiedy wszystkie moje myśli będą zaprzątnięte tobą?

Milczała przez dłuższą chwilę. Poruszona wiatrem okiennica stuknęła lekko.

Śpiąca na dywaniku Gretel zaskomlała przez sen i umilkła. Zapadła martwa cisza. I nagle Miriam przerwała ją. Zerwała się z krzesła machając rękami.

- Chcę... Chcę... - załkała - Chcę opuścić to miejsce! Nie znoszę go! Tutaj nikt nie jest wolny, nie tylko Murzyni. Nikt! Jesteś zmuszony postępować tak, jak ci każą, nigdy inaczej! Masz pozycję i musisz postępować zgodnie z zasadami. Zasada numer jeden: zawsze masz mieć pogodną twarz i nigdy nie

wolno pokazać ci prawdy o twoim życiu... - Usta Miriam drżały. Przestraszony Dawid podszedł i ujął jej rękę.

- O czym ty mówisz? Czy jest aż tak źle?

- Tak, tak, ty nie wiesz jak bardzo, marzę... Marzę, żeby zabrać dzieci ... i... razem z tobą wyjechać stąd na Północ, do innego świata...

- Miriam, na Północy wcale nie jest tak dobrze. Nie ma niewolnictwa, ale jest mnóstwo innego zła. Tam też są nieszczęśliwi ludzie.

Odsunęła się i zasłoniła oczy, kołysała się przez chwilę w miejscu i nagle, równie gwałtownie jak przed chwilą, podbiegła do Dawida i oparła głowę na jego ramieniu.

- Jestem taka nieszczęśliwa! Nawet nie wiesz...

- Nie będę wiedzieć, dopóki mi wszystkiego nie opowiesz, kochanie.

- Dlaczego wysłałam za Eugene'a? Dlaczego? - szeptała. - Straszny błąd! Jego też! Nic nas nie łączy - nic, rozumiesz? Nie mamy ze sobą nic wspólnego. Ani jednej drobnostki! Nie twierdzę, że jest w tym czyjaś wina, tak się po prostu stało! Rozumiesz?

Pomyślał, że chyba rozumie, ale przez delikatność, przecież to była jego siostra, zaprzeczył. Zapytał tylko:

- Żadnych szans? Nic nie da się zrobić? Miriam potrząsnęła głową.

- Może gdybym... gdyby ktoś... porozmawiał z wami i znalazł... - Niby co znalazł? Miłość? Jak ją stworzyć? Nie oczekiwał żadnej odpowiedzi. Zresztą ona mu jej nie udzieliła. Usiłując ukryć swój ból, powiedział: - Nie wiem, co możesz zrobić, ale wiem, czego ci nie wolno. Miriam, kochanie, musisz wyrzucić z siebie te myśli, inaczej będą się w tobie jątrzyć i sprawią ci jeszcze większy ból.

- Może - powiedziała słabym głosem - gdyby papa dał mi trochę pieniędzy... Przerwał jej gwałtownie.

- Papa nigdy nie da ci pieniędzy na to, żebyś mogła opuścić męża. Wiesz o tym.

1 jak byś chciała żyć na Północy? Jako samotna, napiętnowana kobieta? A twoje dzieci? Bez ojca? Nie, Miriam, myśl rozsądnie. - Słyszał te komunały, nienawidził ich, ale zdawał sobie sprawę, że to prawda. Trzymał dłonie swojej siostry i dalej udzielał jej rad. Wiedział, że lepiej będzie uspokoić jej uczucia, zamiast namawiać do buntu. - Czytaj, ucz się, pracuj w organizacjach dobroczynnych, zajmuj się dziećmi. Praca może zastąpić wszystko...

Przez cały czas zastanawiał się, czy istnieje jeszcze jakaś głębsza przyczyna jej nieszczęścia? Może inny mężczyzna? Wspominając tamtą noc, rozumiał. Jednak nie był w stanie pomóc Miriam. Przecież prowadził podwójne życie. Przerażało go ryzyko, którego się podjął. Przechylony nad relingiem, czuł chłodny powiew na policzkach. Dzieje Południa były nierozzerwalnie związane z tą rzeką. Wzdłuż niej wznosiły się wielkie domy, przypominające dumne, klasyczne świątynie, wokół nich mozolili się niewolnicy. Pomiedzy obszernymi rezydencjami leżały gdzieś tam niewielkie posiadłości drobnych farmerów, kilka akrów z domem zbudowanym z bali i dwoma, trzema murzyńskimi chatami, za którymi można było zobaczyć właściciela, pochylającego się nad bawełną. O tej porze roku odległe lasy pełne były kwiecista, śnieżnobiałego derenia, różowego głogu i złotej forsycji. Wzdłuż rzeki biegła droga. Niebieskie bławatki rosły w koleinach, pod drzewami leżało brązowe bydło przeżuwające południowy pokarm. Angielski pejzażysta, Constable, mógłby znakomicie wykorzystać ten sielski obrazek. Przez chwilę Dawid zapragnął móc spojrzeć nato jego oczyma. Widział jednak tylko obdartych wieśniaków biegnących, żeby przyjrzeć się przybijającemu statkowi, wiozącemu przesyłki z miasta. Zachwycone oczy spoglądały na wyższe sfery podróżujące pływającym pałacem. Widział białą biedotę siedzącą pomiędzy nędznymi pakunkami na dolnym pokładzie. Młoda, ciężarna kobieta straciła już wszystkie zęby. Dziecko było pokryte wrzodami. Nagle znowu znalazł się na „Mirabelle”. Tamta podróż odbyła się w innej epoce, tyle już minęło czasu, tak bardzo się zmienił od dni, kiedy był smarkaczem. Nie, nie zmienił się, to tylko pozór. Pogłaskał wierzch skórzanej, lekarskiej torby. Zmienił się tylko zewnętrznie. Za jego plecami, w sali tanecznej, ktoś grał na pianinie Walca księżycowego; delikatne dźwięki rozbrzmiewały jak dzwoneczki. Jak miło podróżować rzeką, jadać z przyjaciółmi pod kryształowymi świecznikami lub prowadzić przy cygarze owocne rozmowy z biznesmenami, podczas gdy zielone brzegi rzeki uciekają do tyłu. Parowiec jest przedłużeniem uwodzicielskiego miasta. Człowiekowi, który mógł sobie na to pozwolić, miasto obiecywało rajskie rozkosze: wino i jedzenie, kobiety i pieniądze, i muzykę. Orkiestra Opery Francuskiej była jedną z najlepszych - niektórzy twierdzili, że najlepszą - w kraju. Kuchnia słynęła szeroko, a kobiety olśniewały urodą. Przypominał sobie dziewczęta, pół tuzina lub więcej, każda z nich piękna, śmiejąca się, flirtująca lub cudownie poważna; pomyślał o perfumowanych jedwabiach i białych ramionach, o powrocie do

domu, do młodej żony... Ale to nie dla niego. Oddał całą duszę sprawie. Jeszcze raz przyjrzał się sobie. Miał powody, żeby odczuwać satysfakcję. Rozwinął sporą praktykę położniczą, jako jeden z pierwszych lekarzy używających chloroformu. Był stałym korespondentem New Orleans Medical Journal, gdzie publikował artykuły o żółtej febrze i higienie. W ciągu kilku lat zdobył sobie poważanie, które mogło zostać zniszczone na zawsze, gdyby ktoś poznał jego sekret.

- Czy daleko pan płynie? - rozległ się głos z boku. Mężczyzna w średnim wieku grzecznie uchylił kapelusza.

- Za chwilę wysiadam - Dawid uklonił się. Nieznajomy wyciągnął rękę.

- Moje nazwisko Cromwell, George Alexander Cromwell.

- Bardzo miło mi pana poznać. Jestem dr Dawid Raphael.

- Praktykuje pan w Nowym Orleanie? Wydaje mi się, że słyszałem pańskie nazwisko. Mieszkam w Baton Rouge.

Mężczyzna miał ochotę zostać przy relingu i kontynuować rozmowę, tak więc trzeba było coś grzecznie odpowiedzieć.

- Miły sposób podróżowania. Lepsze to, niż ryzykować spotkanie z rozbójnikami na drodze - powiedział Dawid.

- Tak. Drogi są niebezpieczne. Ale i tak zawsze lubiłem rzekę. Byłem na „Duke of Orleans”, kiedy ustanowił rekord w czterdziestym trzecim. Sześć dni i jednaście godzin z Cincinnati do Nowego Orleanu. Znakomity statek.

- Zgadzam się.

- Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie karciani szulerzy. Pamiętam, że podczas tej podróży kapitan wysadził trzech na ląd. Powinno się to robić częściej, rujnują zbyt wielu plantatorów.

Dawid skinął głową. W zeszłym tygodniu Eugene wspomniał coś o wysokiej karcianej przegranej Ferdinanda w czasie podróży do posiadłości Labouisse'a. Mówił też, że przedsiębiorstwo Raphaela jest w niepewnej sytuacji, w co raczej trudno było uwierzyć. Dawid chciał nawet spytać Gabriela, ile jest w tym prawdy, ale Gabriel i tak nic by mu nie powiedział. Mógł pytać go o to godzinami bez żadnego efektu. Stosunki zawodowe prawnika z jego klientem były świętą tajemnicą. Kłopotliwe rozmyślenia Dawida zostały przerwane przez okrzyk nieznajomego.

- Już wiem, gdzie słyszałem pańskie nazwisko. Czy Sylvain Labouisse nie jest pańskim krewnym?

Dawid uśmiechnął się.

- W pewnym sensie. Żona mojego ojca jest jego teściową.

- Labouisse'owie to bardzo dobra rodzina. Szanowana w całym stanie, z długim rodowodem.

- Rozumiem - powiedział Dawid z kurtuazyjnym zainteresowaniem.

- Właśnie wracam ze spotkania w mieście, na którym przemawiał. Mówił o przeklętych abolicjonistach. Ja także wygłosiłem mowę, przedstawiałem Henry'ego Hyamsa. Czy zna go pan?

- Spotkałem go.

- Człowiek z przyszłością. Mówią, że pewnego dnia zostanie gubernatorem. Żydowski dżentelmen. Pan także, nie myślę się?

- Tak, owszem.

- Pozwoli pan, że coś powiem. Podziwiam ludzi takich jak Hyams czy Sylvain Labouisse, wszystkich, którzy coś robią. Nie znoszą biernych, którzy stoją z boku i czekają, aż inni zajmą się obroną ich żon i dzieci. Teraz jest bardzo silna propaganda przeciwko niewolnictwu. Potrzebujemy czujnej straży obywatelskiej, tak jak powiedział inny mówca, Eugene Mendes. On jest z Nowego Orleanu, powinien pan go znać.

- Mam zaszczyt być jego szwagrem. George Alexander Cromwell był poruszony.

- Tak, potrzebujemy więcej takich jak on. Mówię panu, ludzie nie zdają sobie sprawy, jak poważna jest sytuacja. Od kiedy Kalifornia w swojej konstytucji zakazała niewolnictwa, ludzie tacy jak Garrison zaczynają podnosić głowy. Nawet kościołów nie ominęła ta zaraza! Ja na przykład jestem baptystą i musieliśmy oddzielić się od naszego zgromadzenia.

- Tak, trzeba mieć oczy i uszy szeroko otwarte - rzekł Dawid.

- Nie wiem, czy to prawda, ale wczoraj wspominali o Angliku nazwiskiem Dyson. Założył w Nowym Orleanie szkołę dla kolorowych chłopaków. Mówili, że uczy ich tam mnóstwa rzeczy poza pisaniem i czytaniem.

- Nie chce pan chyba powiedzieć...

- Właśnie. Spisek, mój przyjacielu.

- Dyson! Coś podobnego! - wykrzyknął Dawid. - Nie spodziewałem się. Oczywiście spotykam go czasami. Mieszka niedaleko ode mnie, ale sądziłem, że jest po prostu nauczycielem. Na dodatek raczej kiepskim. Zupełnie nie wygląda na konspiratora. Wie pan, te plotki mogą oczernić niewinnych.

- Bez wątplenia. Ale należy być czujnym. Pamięta pan, jak to było w trzydziestym siódmym, kiedy stłumiono powstanie w okręgu Rapides? Sprawnie je zorganizowali. Potem" w czterdziestym, w okręgu Lafayette.

Czterech abolicjonistów przybyłych z Północy zaplanowało powstanie. Niewolnicy ojca mojej żony brali w nim udział, ale udało się ich wszystkich wyłapać na czas i powiesić. Przede wszystkim czujność.

- Jestem tak zajęty moimi pacjentami, że praktycznie nie mam czasu na nic innego, ale sądzę, że ma pan rację. Strzeżonego...

- Jeździ pan do pacjentów aż tak daleko? - spytał Cromwell, patrząc na brązową lekarską torbę.

- Z rzadka. Czasami łączę wizyty z odwiedzinami znajomych. Każdy potrzebuje trochę odpoczynku od miasta. No, wysiadam za następnym zakrętem.

Pan Cromwell uniósł kapelusz.

- Miło mi było poznać pana.

- Mnie również - ukłonił się Dawid.

Opuszczał statek na uginających się nogach. Maleńka, zakurzona dróżka wiodła przez las, z przystani do głównej drogi. Kozy, pasące się wzdłuż ścieżki, uciekały, kiedy się zbliżał. Z chaty wyszło trzech małych chłopców, stanęli z wytrzeszczonymi oczyma i po chwili również umknęli. W pobliżu nie było nikogo innego. Szedł, starając się opanować nerwy i usiłując nadać swojej twarzy pozory spokoju. Mieli spotkać się w hotelu Bartletta, położonym kilometr dalej, przy drodze. To było miejsce rodzinnych wycieczek, w czasie weekendów wypełnione tłumem ludzi, którzy przyjeżdżali na obiad i zabawiali się grą w kręgle, fajerwerkami i puszczaniem balonów. Dlatego wybrał na spotkanie środek tygodnia. Z drugiej strony, miał nadzieję, że hotel nie będzie całkiem pusty. Zbyt rzucaliby się w oczy i byłiby łatwi do zapamiętania. „Nie jestem stworzony do konspiracji - pomyślał. - Nie mam do tego nerwów.” Z krzaków przed nim wyszedł jakiś człowiek.

- Spóźniłeś się - powiedział Lucien. - Zaczynałem się denerwować.

- Mieliśmy długi postój, ładowali fortepian. Czy są już wszyscy?

- Prawie. W hotelu jest przyjęcie urodzinowe dla dzieci. Zamówiłem oddzielną salę i tort.

Pół tuzina powozów stało przed drzwiami hotelu. Grupa mężczyzn weszła do baru. Dobrze. Jest trochę gości, ale niezbyt wielu.

- Zamówiłeś tort? Czyje to urodziny?

- Dlaczegoż by nie twoje? - pociągła, smutna twarz Luciena zmarszczyła się w uśmiechu.

- Dobrze. Ale musisz wyszczotkować swoją liberię. Nie wyglądasz odpowiednio, jak na służącego młodego, robiącego karierę lekarza.

- Przepraszam. Zaraz się tym zajmę. Ponadto mam jednego zapasowego konia. Możesz wrócić drogą, kiedy się ściemni. Późnym wieczorem kilka osób pojedzie do miasta po druki. Jeden przyniesie je tutaj.

Dawid zamarł.

- Kto to będzie? - spytał.

- Mój przyjaciel. Nie znasz go.

- Murzyn?

- A któż by inny? - Lucien rozłożył ręce. - Jakich mogę mieć przyjaciół?

- Chyba zwariowałeś! Murzyn, przychodzący do mnie w środku nocy! Czy może być coś bardziej podejrzanego?

- Będzie pacjentem. Wolnym kolorowym. Ma powód, żeby udać się do lekarza. Wrzód na rękę, a może lepiej chore oko?

- No dobrze, w porządku. Weszli do holu i Dawid uniósł głos.

- Lucien, obsłuż moich gości. Zbierz zamówienia na drinki, są spragnieni. I pospiesz się.

- Tak, proszę pana. W tej chwili.

W wynajętej sali czekała mała grupka. Z wyjątkiem dwóch przyjezdnych z Massachusetts, same znajome twarze. James MacKenzie, który nadal mówił ze szkockim akcentem, mimo piętnastu lat spędzonych w Ameryce, był drukarzem. Randolph Blair, zbuntowany, elegancki syn plantatora z Virginii. Ludwig Schiff, mały, wiecznie strapiony, pochodził z rodziny niemieckich Żydów z Memphis. W rogu siedział nie rzucający się w oczy samotny człowieczek z rodzaju tych, którzy zawsze szukają miejsca w kącie. Dawid podszedł prosto do niego, wyciągając ramiona.

- Pan Dyson! - powiedział. - Pan Dyson! Witamy.

Późnym popołudniem ciągle jeszcze siedzieli przy stole. Pochyleni nad resztkami uczty, rozmawiali niemal szeptem.

- Myślę, że możemy być zadowoleni. Dokonałiśmy dziś pewnego postępu - powiedział na zakończenie Dawid.

Schiff położył na stole sakiewkę.

- Niech każdy w was weźmie tyle, ile potrzebuje. Następnym razem będzie więcej. Łatwo było zdobyć te fundusze.

- Nie tak łatwo - rzekł Dawid. - Przyznaj, Schiff. Ciężko pracujesz na te pieniądze.

- Nie brałbym ich, gdybym nie musiał kupić papieru. Potrzebuję też małej prasy drukarskiej - oświadczył MacKenzie.

- Weź pieniądze - zakomenderował Schiff. Dwóch przybyszów z Północy upierało się przy swoim:

- Spędziliśmy ostatnie godziny dyskutując o ulotkach i broszurach. A co z karabinami?

Młody Blair odsunął się od stołu, wyciągając długie nogi.

- Mówiłem już. Następnym razem przyślecie mi skrzynię książek. Upewnijcie się, aby na górze naprawdę były książki. Posiadłość mojej siostry nazywa się „Clarissa”. W tym roku nie pracuję, więc możecie je dostarczyć, kiedy zechcecie. Oczywiście rozpakuję je sam.

- To nie dla mnie - oświadczył Dawid. - Jak wszyscy wiecie, nie przepadam za karabinami.

- Nikt ich nie kocha - odparł sucho Janes. - Ale trzeba być realistą. Użyjemy ich tylko w razie najwyższej konieczności. Lecz musimy je mieć.

- Dobrze zatem. Kiedy je wyślecie?

- Nie ma pośpiechu - wtrącił ostrożnie Dyson. - Daleko nam jeszcze do gotowości. Nie możemy dopuścić do akcji, która się nie uda. Dziesięciu wisielców i wszystko się zakończy.

- Jak długo zamierzasz czekać? - spytał niecierpliwie Schiff. - I tak trwa to już tyle czasu.

- Tak długo, ile trzeba będzie - odparł Dyson. - Kolejny rok albo dwa. Musimy zyskać silne poparcie na wsi. To wymaga czasu.

- Tu właśnie wkraczasz ty - Dawid skinął do MacKenziego. - Nie pozwól spocząć prasie. Ja będę pisał, a ty drukuj. Nasze ulotki muszą dotrzeć na próg każdego kościoła w kraju - kościoła białych, bo Murzyni nie umieją czytać. Ale wśród białej biedoty możemy uzyskać wielu zwolenników. To tylko kwestia dotarcia do nich z właściwym przesłaniem.

MacKenzie przytaknął.

- Przygotowałem mnóstwo na dziś wieczór. Są ukryte na twoim podwórzu. Dawid wstał i otworzył drzwi. Korytarz był pusty, jeśli nie liczyć Luciena, który stał tuż za progiem. Dawid wezwał go skinieniem dłoni.

- Nie słyszałeś naszych głosów? Jesteś pewien?

- Nic. Tylko kiedy śpiewaliście.

- To dobrze! Zatem przypominało to prawdziwe przyjęcie?

- Najprawdziwsze.



- W porządku. Teraz ustalmy wszystko po kolei. Rozdzielimy się. Ja wrócę do domu sam. MacKenzie zostawił u mnie materiały...

- Na podwórzu, pod zbiornikiem.

- I ktoś zgłosi się po nie dziś wieczór.

- Będzie miał zabandażowaną lewą rękę, dla ochrony obwiązaną czerwoną chustą - wyrecytował Lucien. - Załaduje ulotki do worka z melonami na wozie. Jeśli go zatrzymają, powie, że wiezie melony na targ. Nie ma jednak najmniejszych powodów, aby go zatrzymano.

- Przypuśćmy jednak, że stanie się najgorsze i schwytają go. Co wtedy? - zapytał Schiff.

- Jest dla mnie jak rodzony brat - oświadczył poważnie Lucien. - Prędzej się zabije, lub pozwoli się zabić, niż miałby mnie narazić.

Te ponure słowa sprawiły, iż na krótką chwilę w pokoju zapadła cisza.

- Naprawdę nie pojmuję - rzekł Dawid - czemu nie każecie przychodzić wszystkim wprost do mnie po odbiór, zamiast organizować miejskie kryjówki, które wyszukujecie z MacKenzim. Chyba jesteście zbyt ostrożni.

- Nie, nie, doktorze! - krzyknął Dyson. - Zbyt wielu ludzi wiedziałoby, kim jesteś. Wystarczy, że ja ryzykuję, opowiadając o sprawie uczniom. Nie wolno nam narażać i twojego życia.

- Bzdura - upierał się Dawid - jeśli i im nie możemy zaufać, to co w ogóle tu robimy?

- Zaufanie... - melancholijnie rzekł Lucien i spojrział w okno. - Nie wiesz, co potrafi powiedzieć człowiek, kiedy włożą mu stopy w ogień albo zakopią po szyję na trasie czerwonych mrówek.

- Wystarczy - Dawid zadrżał. - Dość!

## ROZDZIAŁ DWUNASTY.

Późnym popołudniem, o tej godzinie, gdy cichnie wiatr, dzień chyli się ku końcowi, a pierwsze oznaki zmierzchu niczym szary pył pokrywają ogrodową zielen, Miriam odłożyła Lelię na ławkę. He w tym zaangażowania, jakże śmiały sprzeciw! Nie może się równać z kobietą taką, jak George Sand. Siedziała w sennym odrętwieniu, wpatrzona w nicość. Przy bocznej, rzadko używanej furtce ktoś ze skrzypem podniósł haczyk. Leniwie uniosła głowę, aby sprawdzić, kto to taki.

- Przypuszczałem, że mogę tu panią zastać - powiedział André Perrin. Poczula, jak ogarnia ją chłodne przecucie nadchodzącej katastrofy, a serce gwałtownie tłucze się w piersiach.

- Często spędzam tu popołudnia - odparła oschle. Usiadł na sąsiedniej ławce. Miriam miała ochotę wstać i uciec do domu.

- Przechodziłem tędy - wyjaśnił - i ponieważ odpływamy już na pewno za tydzień do Francji na „Mirabelle”, chciałem się pożegnać.

- To statek, którym tu przybyłam wiele lat temu.

- Niezwykły zbieg okoliczności!

- Mam nadzieję, że będziecie państwo mieli przyjemną podróż i mile spędzicie czas we Francji. - Banalne, ogólnikowe słowa.

- Dziękuję.

Przytrzymawał dłońmi leżący na kolanach kapelusz. Teraz zaczął gładzić palcami rondo. Przyglądała się, jak jego ręka krąży naokoło, raz, drugi, dziesiąty. Palce Miriam niemal wyczuwały gładki słomkowy brzeg. Coś w tym jakże trywialnym geście jakby błagało o czas do namysłu. Spuszczona głowa mężczyzny, z nateżeniem wpatrującego się we własny kapelusz, zdawała się prosić o litość. Miriam nie pojmowała, co się właściwie dzieje. Nagle uniósł wzrok.

- Tak, przyszedłem, aby się pożegnać. Ale zanim pójdę, chcę, muszę... -

Poderwał się z ławki i stanął nad Miriam. Czubki jego butów niemal dotykały rąbka sukni leżącego na trawie.

- Przez długie miesiące, cały ostatni rok milczałem. Wstyd mi, Miriam. Wstydzę się i obawiam twojej reakcji. Być może nigdy mi nie wybaczysz. Nie miałbym do ciebie pretensji - z jego ust wylewał się potok pospiesznych słów. - Myślałem tylko o tobie i o niczym więcej. O niczym. Nie wiem, co to oznacza. Czy cię kocham? Ledwie się znamy. A przecież stale wypełniasz mój umysł. Codziennie. Całkowicie.

Wbiła wzrok w kolibra, który zanurzył długi dziób w żółtym kwiecie powojnika i wysysał nektar. Nie większy od konika polnego i równie zielony, zdawał się migotać w powietrzu. Małe skrzydła trzepotały zbyt szybko, by oko ludzkie mogło je dostrzec. Skoncentrowała się na ptaku.

- Czy bardzo się gniewasz? - szepnął André.

Nie mogła mówić. Bała się odezwać. Być może, tak jak się tego obawiała, właśnie nastąpił moment ostatecznego przejścia z rzeczywistości w krainę marzeń; mowa zdradzi ją i wszyscy będą wiedzieli, że oszalała.

Starła się uspokoić. Zmusiła się, by oderwać wzrok od kolibra i popatrzeć na niego. Jego oczy spoglądały wyczekująco, zadawały pytania. Dłoń wysunęła się, by nieśmiało musnąć rękę Miriam, spoczywającą nieruchomo na kolanach. Nagle zorientowała się, iż jej usta otwierają się w uśmiechu, a po policzkach spływają ciepłe łzy.

- O Boże - wykrztusił André - czy to możliwe? Nigdy się do mnie nie odezwałaś. Sądziłem, że bardzo cię wtedy rozgniewałem. Unikałaś mnie.

- Bałam się, że dostrzeżesz... - odparła cicho. - Ze zrozumiesz... Jego dłoń zacisnęła się, palce spłotły się z jej palcami.

- O Boże - powtórzył.

Bez najmniejszego wstydu uniosła twarz, pozwalając, aby zobaczył jej wypełnione łzami oczy.

- Tyle razy chciałem spotkać się z tobą sam na sam. Ale spotykaliśmy się zawsze podczas tych okropnych kolacji. Kiedy coś planowałem, wszystko spełzało na niczym. Zastanawiałem się, co mógłbym ci powiedzieć. Chyba wiem, jak to jest z tobą i Eugene'em.

- Nie możesz tego wiedzieć - przerwała mu.

- Wiem dostatecznie dużo. Czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo się bałem i nadal się boję tak prowokować los? Ale nie mogę temu zaradzić, nie potrafię odejść bez rozmowy z tobą. Lecz to i tak nic nie zmienia, czyż nie? - Ujął jej drugą dłoń, podniósł do ust i ucałował. Jego usta musnęły obrączkę, szeroki metalowy krążek, mocny, jak okrętowa lina i twardy jak gład. Rozejrzał się z desperacją.

- Nie mamy czasu, a tyle jest do powiedzenia.

Ponad szumiącą podwójną kaskadą mała bogini miłości spoglądała obojętnymi ślepymi oczami na dwoje zrozpaczonych ludzi.

- Ożeniłeś się z Marie Claire.

- Przez trzy tygodnie gościliśmy w tym samym domu. Po upływie tego czasu stwierdziliśmy, że jesteśmy zaręczeni. Niemam pojęcia, jak to się

stało. Podejrzewam, że to nasze matki wszystko ustaliły. Mam wrażenie, iż Marie Claire była tak samo zdumiona jak ja.

- Dlaczego robią nam takie rzeczy? - krzyknęła Miriam. - Czemu pozwalają na coś takiego? Eugene i ja zupełnie do siebie nie pasujemy! - Cofnęła ręce, splatając je błagalnie. Oszołomił ją z dawna skrywany smutek, bezsensowna niesprawiedliwość losu i wstrząsające nowiny. André ujął w dłonie jej twarz, obracając ją ku oślepiającemu światłu. Odważnie pozwoliła mu przyjrzeć się sobie dokładnie - jeśli znajdzie tam jakąkolwiek skazę, musi ją dostrzec i zaakceptować. Brwi zbyt wąsko rozstawione, maleńką białą bliznę na podbródku - wszystkie mankamenty urody. I nagle jego usta znalazły się przy niej i ich wargi zetknęły się, idealnie dopasowane, zupełnie jakby stworzone dla siebie, tak delikatne i doskonale... Uniosła ramiona, przyciągając go bliżej. W domu trzasnęły drzwi i odskoczyli od siebie jak oparzeni. Czekali, lecz nikt nie przyszedł.

- Nie mamy dokąd pójść - stwierdził cichym głosem André.

- I tak nic by to nie dało. Ty jedziesz do Francji.

- Wrócę.

- Kiedy? Jak długo to potrwa?

- Nie jestem pewien. Może tylko rok.

- Tylko rok. A potem?

- Musi się znaleźć jakieś wyjście, jakiś sposób. Nie wiem.

- Ja też nie.

Stadko gołębi z hałasem przefrunęło nad murem, zaciekle atakując okruchy. Któraś z dzieci musiało wysypać im pożywienie na zwirowaną ścieżkę. Teraz otoczyły ławkę, tak jak w zatłoczone niedzielne popołudnia w parku zawsze otaczały młodych narzeczonych, bezskutecznie próbujących znaleźć cichy kąt. Nagle, doskonale świadoma, że to czyste szaleństwo, Miriam znów przyciągnęła go do siebie, raz po raz całując jego czoło, policzki, usta... Jęczała cicho, opuściwszy głowę na ramię André, podczas gdy on gładził jej włosy, mrużąc niezrozumiałe słowa. Czowała jedynie, że nie chce rozstawać się z nim, pragnie, aby ta chwila nigdy się nie skończyła... Nagle usłyszała głos swego syna:

- Mamo? Jesteś tu?

Natychmiast zerwała się na nogi i zawołała:

- Tak, tutaj, kochanie.

Dziecko wyłoniło się spomiędzy krzaków. Policzki małego Eugène były wciąż jeszcze zaróżowione od drzemki, świeżo uczesane włosy skręcały się

w loczki. Bezbronny, niewinny... „Co ja robię?” - pomyślała Miriam z nagłym przerażeniem. Powiedziała jednak lekkim, zbyt beztroskim tonem:

- Eugène, pamiętasz pana Perrina? - jej głos drżał. - Pan Perrin niedługo wyjeżdża do Europy. Przyszedł, aby się z nami pożegnać.

- Ja też pojedę do Europy - stwierdził z przekonaniem chłopczyk.

- Z pewnością popłyniesz tam kiedyś - odparł André. Spojrzał na Miriam ponad głową chłopca. Jego rzęsy opadły niczym kurtyna, po czym uniosły się, ukazując zrozpaczone spojrzenie, mówiące: „Nie możemy tak tego skończyć, nie potrafię cię tak zostawić.”

Była jakby rozdarta na dwoje. Przeszywała ją męka. Z jednej strony mężczyzna, z drugiej dziecko. Czuli, jak każdy ciągnie w swoją stronę, z całej siły, choć żaden jej nie dotykał. Żałośnie zwróciła się do synka:

- Eugène, czy mógłbyś iść pobawić się w domu? Tylko na jakiś czas. Potem przyjdę do ciebie.

- Byłem już w domu! Jest wpół do czwartej i Fanny powiedziała, że obiecałaś nam poczytać, Angie i mnie - cienki głosik załamał się lekko. Teraz z domu wyłoniła się Angélique wraz z Fanny.

- Panienko Miriam - oznajmiła służąca - już wpół do czwartej.

Niema mowy, aby się ich pozbyła. Miriam bezradnie pokręciła głową i André, nie mając wyboru, podniósł kapelusz.

- Czy przyjdzie pan jeszcze pożegnać się z Eugene'em? - oficjalne słowa zabrzmiały dziwnie prosząco.

Potrząsnął głową.

- Nie mogę - odparł nieszczęśliwym tonem. Gotów do wyjścia, stał nieruchomo, jakby coś go powstrzymywało. Zrozumiała to.

- No cóż. Przypuszczam, że pan do nas napisze?

- Obawiam się, że nie jestem zbyt dobry w pisaniu listów.

To także rozumiała. Zwyczaje dopuszczały jedynie sztywny formalny list, a to byłoby gorsze niż nic.

- Mamo, poczytaj! - zażądała Angélique.

- Pójdę już - oznajmił André - Proszę pozdrowić resztę rodziny. Jej twarz płonęła, dłonie miała lodowate.

- Nie omieszkam - odrzekła i odwróciła się. Tak więc nie widziała, jak odchodził. Usłyszała jedynie kroki na żwirze i trzask zamykanej furtki.

- Mamo, czy przynieść książki?

- Tak, przynieście je. Są na górze. - Ponownie usiadła. Dwa czy trzy gołębie nadal spacerowały u stóp Afrodyty. Na oparciu ławki wylądowała

biedronka w jaskrawoczerwonym pancerzyku. Strzyżyk zaczął pluskać się w zakurzonej sadzawce. Obojętne stworzenia, latające, pełzające, stale w pogoni za pożywieniem, od rana do nocy! Jedynie człowiek czuł w sercu tak przejmującą tęsknotę. Och, zaznała wreszcie tej niewiarygodnej chwili spełnienia wszystkich marzeń! Zaznała i tak szybko utraciła! Lelia upadła na ziemię. Miriam podniosła ją, pobieżnie przerzucając strony. Podobne życie mogło pasować do George Sand, tej nieulekłej, niezwykłej kobiety. Lecz Miriam Mendes nie była George Sand. Nie była odważna ani wyjątkowa. Żyła w Ameryce, nie w Paryżu. Zabrać dzieci i ruszyć na Północ, zostawiając za sobą wszystkich, nawet André? Cóż bowiem za przyszłość ich czekała? Niechby tu wrócił i nie zastał jej. Tak by było lepiej. Kiedyś zapomnieliby o niej - albo prawie zapomnieli - i ona także. Tak już stworzono człowieka. Widziała i czytała na tyle dużo, by o tym wiedzieć. Musiałaby poprosić papę o pieniądze na wyjazd, bowiem sama, rzecz jasna, nie miała nic. Jej posag należał do męża. Kobieta zawsze musi prosić. Prawnie nic do niej nie należy. Poprosić papę? Byłby przerażony. Ujrzała go, jak wolno wyjmuje z ust cygaro, jak jego wargi wykrzywają się z politowaniem. Niemal słyszała jego słowa: „Wracaj do domu, do męża. Pamiętaj, że jesteś matką, masz obowiązki i pozycję, którą musisz utrzymać.”

- Tu jest książka - powiedziała Angie, kładąc gruby tom na kolanach matki. Ukochane baśnie, tak często czytane, że zaczynały z nich wypadać kartki. Pulchne paluszki bezbłędnie odnalazły ulubiony obrazek, najukochańszą historię. Miriam przesunęła książkę, robiąc na kolanach miejsce dla córeczki. Przez chwilę przytulała policzek do ciepłych, pachnących włosów Angie. Szaleńcza miłość do dziecka i wstrząs, jaki dopiero co przeżyła, sprawiły, że nie mogła złapać tchu.

- Zawsze lubię tę historię, bo dobrze się kończy, mamo.

- O tak, masz rację - zgodziła się Miriam i wyraźnym, opanowanym głosem zaczęła czytać: - Za górami, za lasami...

Często z lustra w sypialni spoglądała na nią pozbawiona nadziei twarz. Napięte oblicze o suchych wargach. Ciemne włosy, rozpuszczone na noc, nadawały jej zdesperowany wygląd. Powrócił stary strach przed szaleństwem. Może pewnej nocy stłucze lustro, rozpryskując wokół odłamki, a wiatr poniesie jej krzyk ponad ścianami domów, przez ocean, w pędzących podniebnych huraganach aż do Europy, gdzie być może usłyszy go André.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

Niewątpliwy powód do dumy dla Ferdinanda Raphaela stanowił fakt, iż przewidział on słynny wybuch paniki rynkowej w 1837 roku. Ceny bawełny w Anglii spadły na łeb, na szyję, a towarzyszący ich upadkowi podmuch zachwiał całym Nowym Orleanem. Banki nie wywiązywały się z płatności, wstrzymano kredyty, wiele najbardziej prestiżowych firm w mieście legło w gruzach. Wszelako kompania Raphaela prawie nie ucierpiała - jako jedna z nielicznych. W jakiś sposób Ferdinandowi udało się wymanewrować, omijając ukryte rafy i niebezpieczne prądy, które mogły zatopić go bez śladu. Zdołał nawet wspomóc kilku przyjaciół.

- Doświadczenie - powtarzał chętnie, pytany o wyjaśnienie swego sukcesu.  
- Rozwaga. A także odrobina ryzyka. Tak, z pewnością odrobina ryzyka. - Młodzieńczy uśmiech rozjaśniał jego twarz.

Wieść o upadku Raphaela spadła na miasto niczym grom z jasnego nieba. Kryzys już dawno minął. W porcie znów tłoczyły się statki wyładowane bawełną i cukrem, do rąk kupców napływały bogactwa siedmiu mórz. Eierkoniak, gwiazdy betlejemskie i bicie katedralnych dzwonów zwiastowały nadejście Świąt Bożego Narodzenia. Dom Raphaelów pękał w szwach. Do miasta zjechali wujowie i ciotki Emmy z Shreveport, kuzyni z Mobile oraz tuziny opiekunek do dzieci, pokojówek i potomstwa. Ci, którzy nie zmieścili się w domu, zostali ulokowani w hotelu St. Louis.

- Musimy zabrać dzieci na świąteczną wizytę - stwierdziła Miriam. - Doskonale wiedzą, że to nie nasze święta, ale papa ma dla nich prezenty i byłoby okrucieństwem odmówić.

- Dobrze, w takim razie idźcie - odparł Eugene tak, jak się spodziewała. Tego roku przepych domu Raphaelów wręcz olśniewał. Świąteczne róże rozkwitały w każdym pomieszczeniu. Z rąk do rąk przechodziły kosztowne prezenty: perskie szale, złote łańcuszki, brukselskie koronki, kaszmirowe suknie i miśnieńska porcelana. Na palcu Emmy lśnił nowy gwiazdzisty szafir. Po katastrofie Miriam w duchu porównywała ten wieczór do pokazu fajerwerków, kiedy to ostatni wybuch jest zawsze najgłośniejszy. Lecz po ogłuszającym huku i kolorowych gwiazdach, rozbłysłych na niebie, pozostaje jedynie marna kupka popiołu. Wracała do domu piechotą, wolnym krokiem przemierzając ustrojone ulice. Dzieci domagały się, by przystawać przed każdą choinką, każdymi przybranymi drzwiami. Ich zachwyty, radość i

fascynacja barwami i dźwiękami Bożego Narodzenia udzieliły się też matce. Dotarli do domu w cudownych nastrojach.

- Tato, popatrz! - krzyknął mały Eugène. - Zobacz, co dostałem od dziadka! - Z pomocą Miriam uniósł ciężką pozytywkę, której wieko ozdabiała kręcąca się karuzela z konikami. - Dziadek podarował mamie nową bransoletkę, a Angélique...

Eugène odłożył gazetę.

- Pozwól sobie powiedzieć, że twój ojciec to rozrzutny głupiec.

Mimo własnych niepokojących wątpliwości Miriam stanęła w obronie Ferdinanda.

- Jest bardzo bogaty i zawsze był szczodry. To sprawia mu przyjemność.

- Szczodry - tak, ale nie jest już bogaty. Jego domek z kart niedługo runie.

- Co masz na myśli? - krzyknęła.

- Że już wkrótce będzie musiał ogłosić upadłość.

- Nie wierzę w to!

- Lepiej więc uwierz. Od kilku tygodni krążą plotki na ten temat.

Wprawdzie rozpoczął reorganizację swej kompanii, ale jest już za późno, to nic nie da.

Miriam z przerażeniem uniosła dłoń do ust.

- To niemożliwe!

Kilka minut przed dwunastą drugiego dnia nowego roku Bank Nowoorleański wstrzymał kredyty dla kompanii Raphaela. Wiadomość, z początku podawana szeptem z ust do ust, wędrowała coraz szybciej od stołów u Victora po nabrzeżne doki. Wieczorem wszyscy w Vieux Caré słyszeli już o katastrofie. Choć raz samotny, bez stale otaczających go gości, Eugène przybył do domu, aby potwierdzić pogłoski.

- No cóż - stwierdził. - Tak się dzieje, gdy ktoś uważa, iż jest niezniszczalny - w jego głosie brzmiała mieszanina współczucia i pogardy.

Miriam usiadła na sofie. Znajdowali się we frontowym salonie, oficjalnym, złożonym pokoju.

- Co się stało? Dlaczego? - zapytała z bólem.

- Po pierwsze, był naiwny. Żyrował pożyczki dla swych tak zwanych przyjaciół. Przypuszczam, że chciał, by go lubiano. Znana rzecz. Po drugie zaś, po prostu zbyt wiele wydawał. I po trzecie, spekulował, budował piramidy niczym faraon. Tyle, że faraoni dłużej trzymali się na szczycie.

- Piramidy? Nie rozumiem.



- Zastawiał swe posiadłości, aby kupić kolejne. Wystarczy wyjąć jeden kamień z podstawy, by cała piramida rozsypała się na kawałki. Już wiesz?

Oświetlona jaskrawymi promieniami słońca sylwetka Eugene'a przypominała niewzruszony, ciemny posąg. Skryta w kieszeni dłoń pobrzękiwała monetami. Biła z niego pewność siebie. „Mnie coś takiego nigdy by nie spotkało” - zdawał się mówić.

- Nie mam żadnych zastawów hipotecznych, nigdy też nie spekulowałem na rynku bawełny. Jak sądzisz, czemu Juda Touro wyszedł z kryzysu nietknięty? Ponieważ działał ostrożnie.

- Czy to znaczy, że papa nie ma nic?

- Jak myślisz, co oznacza bankructwo? Nie, nic mu nie zostało.

- Ani jemu, ani Emmie.

- Powiększył jej plantację, pamiętasz? Kupił trzy tysiące akrów. Teraz czas na wyprzedaż: szkuner, biura i magazyny, bele bawełny, czekające na transport, niewolnicy, dom na Conti Street...

- Tylko nie dom!

Teraz w jego głosie zabrzmiała litość, jakby dostrzegł, jak bardzo załamały ją wieści.

- Tak, dom też. Przykro mi. Zerwała się na nogi.

- Idę do papy.

- Pójdę z tobą - oświadczył natychmiast Eugene.

Nie chciała, aby jej towarzyszył, był zbyt potężny i pewny siebie.

- Nie musisz iść. Pójdę sama.

- To jest też moja sprawa - stwierdził stanowczo. - Jestem jego zięciem. Tak, pomyślała, podążając w ślad za nim. Są ludzie, którzy chodzą na pogrzeby, bo tak wypada, w rzeczywistości jednak przy takich okazjach szczycą się, że sami wciąż żyją.

Ferdinand siedział w salonie, czytając gazetę. Nad jego głową wisiał portret młodej Emmy w empirowej sukni. Znad bukietu spoglądały oczy dziewczyny, która nigdy nie poznała żadnych kłopotów. Miriam dostrzegła tytuł: „Deutsche Zeitung”. Dotąd, wstydząc się, że ktoś mógłby dostrzec jego - obywatela amerykańskiego - z niemiecką gazetą, zawsze czytał ją w sekrecie. Teraz jednak nawet nie starał się jej ukryć.

- Witaj, papo - Miriam ucałowała go. Przesuwając dłonią po czole ojca poczuła, jak pod palcami pulsuje żyła na jego skroni. Mruknął coś w odpowiedzi, a ona odsunęła się, szanując jego zakłopotanie i nie chcąc widzieć w jego oczach kręcących się łez. Nie płakał jednak. Na jego twarzy

malowało się niedowierzenie, jakby mówił: nie, nie pojmuję, jak mogło mnie to spotkać. Mnie! Po latach pracy, stałego pięcia się w górę, nateżenia wszystkich sił, stałego manewrowania i wyczerpującej harówki. Wreszcie zdobył majątek, mógł napawać się swym szczęściem - by teraz skończyć w taki sposób?

- Porozmawiajmy o faktach - Eugene przejął inicjatywę. - Przynieś papier i pióra.

Ferdinand posłuchał pospiesznie i obaj pochylili się nad stosem dokumentów na biurku. To męskie zajęcie. Miriam ledwie rozumiała znaczenie takich słów jak: hipoteka, weksel czy list zastawny. Słuchała jednym uchem, wspominając nieistotne błahostki.

- Czy mogłabyś pójść na górę do Emmy? - poprosił Ferdinand. - Biedna Emma. Jest w swym pokoju z Pelagią i Eulalią.

Emma leżała na sofie oparta o falbaniaste poduszki. Pokojówka przykładała wodę kolońską do jej poczerwieniałych skroni.

- Moja ziemia! Moja piękna ziemia! Jak to możliwe? Jeszcze wczoraj ją miałam! Najwspanialsze w kraju schody! Jeszcze wczoraj należały do mnie, a teraz mi mówią... teraz mi mówią...

Biedna Emma! Cóż to dla niej za tragedia! Dla niej, dla której, obok rodziny, pozycja towarzyska stanowiła najważniejszą rzecz na świecie.

- I dwustu niewolników! - Kolejna łza pozostawiła mokrą plamkę na błękitnym rękawie Emmy. - Ludzie, którzy służyli moim rodzicom i babce! Co się z nimi stanie? Co będzie z Syzyfem? - Ani słowa oskarżającego Ferdinanda. - Ci wstrętni bankierzy! - krzyknęła - Wszyscy ci przyjaciele, którym pomagał, wszyscy znajomi, korzystający z naszej gościny. Gdzie są teraz? To ich wina, to oni doprowadzili go do ruiny!

- Bzdura, mamó - wtrąciła Eulalia. - Tu nie zawinił nikt, prócz twego męża. Rozrzutnik, hulaka i karciarz! Powinnaś się była tego spodziewać, Żydzi zawsze...

Pelagia gwałtownie odwróciła się w stronę siostry.

- Co ty wygadujesz? Czy to tylko on? Zaledwie kilka lat temu pół miasta straciło majątki podczas paniki. Połowa miasta wydaje więcej, niż posiada, gra na wyścigach, w karty, zakłada się o wszystko. A ty mówisz o żydowskich wadach!

Przez moment Miriam oniemiała z gniewu. Po kilku sekundach jej wściekłość zniknęła. Znow ujrzała Eulalię taką, jaka była: odrzuconą, pełną lęków kobietę. „Mój ojciec był jej jedyną ostoją, a teraz ją zawiódł. Tak jak i

mnie. Teraz skazana jestem na pozostanie z Eugenem." Miriam złapała się na tym, że bezsilnie splata palce w geście, którego nie znosiła. Na dole na werandzie świąteczne kwiaty żałobnie chyliły głowy, zasypując podłogę płatkami. Wokół domu panowała cisza - pod bladym, zimowym słońcem wszystko trwało w bezruchu, nie słychać było żadnego głosu. Wieści dotarły już do służby i wśród niewolników zapanował strach, bali się, co się z nimi stanie. Cały dom ogarnęła cicha rozpacz. Miriam stała na najniższym stopniu, wpatrując się w przestrzeń. Przed oczami stanął jej obraz ojca w dzień jej ślubu, pęczniejącego z dumy ze swej córki i domu. Ujrzała samą siebie, jak siedzi w ogrodzie, zmagając się z francuską książką, i później, gdy zapisywała swe dziecinne sekrety w oprawnym w białą satynę dzienniczku. Gretel, pierwsza Gretel, kręciła się pod drzewem morwowym, szykując się do snu. Wiele lat później, w tym samym miejscu, Miriam tańczyła z mężem Marie Claire. „Czemu jesteś tak nieszczęśliwa?” - spytał wtedy. Głupia! Nadal o nim myślisz, mimo iż wiesz, że nic nigdy z tego nie będzie. Nic. Eugene zszedł po schodach i stanął obok niej.

- Sądziłem, że jesteś na górze, z Emmą.

- Byłam. Ale Eulalia wyczerpała moją cierpliwość. O wszystko obwinia papę, a najbardziej o to, że jest Żydem.

- Głupia stara panna. Wstrętna stara panna - rzekł ostro Eugene. - Czy wiedziałaś przedtem, że tak nas nienawidzi?

- Zawsze dało się w niej wyczuć coś takiego... Dostrzegałam to w drobnych szczegółach, niedopowiedzeniach.

- Wszyscy go wykorzystywali. I to jak! Oczywiście, ruina to jego własne dzieło, ale znakomicie mu pomogli. Zawsze twierdziłem, że nie powinien był wspomagać jej rozrzutnych krewnych! Co za klęska! I jest już za stary, żeby zaczynać od początku.

Z domu dobiegły ich głosy, najpierw Dawida, a potem też Gabriela. Dawid pytał:

- Czy naprawdę jest aż tak źle, jak wygląda?

- Bez wątplenia, może nawet jeszcze gorzej - odparł poważnie Gabriel. Obaj wyszli na podwórze.

- Co robi papa? - dopytywała się Miriam.

- Przekonałem go, aby się położył i spróbował zasnąć. Przez całą noc nie zmrużył oka.

Miriam i Dawid spojrzeli sobie w oczy, rozumiejąc się bez słów. Jeszcze niedawno ich ojciec opływał w bogactwa; teraz opłakiwali jego upadek.

- Zaraz po wyjściu stąd udam się do kancelarii - oznajmił Gabriel. - Może jednak uda mi się odkryć jakąś lukę, jakiś sposób, by cokolwiek uratować. - Było to bardziej pytanie, niż stwierdzenie.

- Nie uda się panu, dobrze pan o tym wie - odrzekł Eugene. - Nie pomoże tu nawet taki sprytny prawnik jak pan.

- Niewątpliwie ma pan rację - Gabriel westchnął ciężko. - Mogę jednak spróbować.

Zatem nie było już nadziei, a przecież, nawet w takiej chwili, obecność tych dwóch mężczyzn dodawała otuchy - to, że stali obok, jej brat i silny, niezłomny przyjaciel. Miriam poczuła ich połączone siły, jakby stanowiły mur, który ją chronił i o który mogła się wesprzeć. Lamenty Emmy miały w sobie jednak dużo racji. Gdzie byli wszyscy przyjaciele i krewni, zaledwie tydzień temu wypełniający dom świątecznym gwarem? Nagle zapytała:

- Dokąd pójdą, kiedy opuszczą ten dom? Gdzie będą mieszkali? Eugene odpowiedział natychmiast:

- Weźmiemy ich do nas.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Jest tylko jedna alternatywa: dom Labouisse'ów, tam, gdzie mieszkają Pelagia i Sylvain. Ale w gruncie rzeczy to żadne wyjście. Jak by to wyglądało, gdyby twój ojciec zamieszkał w domu ojca własnego zięcia? Nie, muszą wprowadzić się do nas. Co do Eulalii, to, jeśli chce, może pójść do Labouisse'ów. Choć - dodał z lekką wyższością - gotów jestem przyjąć i ją, mimo jej uprzedzenia. - Na jego ustach pojawił się zadowolony uśmiešek.

Miriam wtrąciła nieśmiało:

- Emma martwi się o Syzyfa.

- Powiedz jej, że go dla niej kupię. I, jeśli już przy tym jesteśmy, również tę łajdacką parę, Maxima i Chanute'a. W końcu czemuż by nie?

Podobna szczodrość musiała zostać doceniona. Eugene czekał na reakcję.

- Jesteś bardzo hojny - wymamrotała, zaś Gabriel i Dawid uśmiechnęli się potakująco.

- Południowcy dbają o swych krewnych. To nasza tradycja i obowiązek - oznajmił Eugene i dodał: - Jak by to wyglądało, gdybym nie zrobił choć tyle?

- A jednak to wspaniale z twojej strony - odparła z pokorą. Bowiem w istocie czuła pokorę wobec tak ogromnego długu, jaki u niego zaciągnęli. O

ileż łatwiej byłoby przyjąć ten dar, gdyby zamiast tego Eugene powiedział: zrobię to, ponieważ żal mi twojego ojca, bo go lubię.

Bourbon Street kipiała od tłumy świętujących koniec zapustów - Mardi Gras. Wymyślne kostiumy, rycerze i szlachta, ozdobieni herbami, we wzorzystych materiałach i kapeluszach ustrojonych piórami; powozy i przybrane kolorowymi wstążkami konie przepychały się między ulicznikami, prostytutkami i kieszonkowcami. Z balkonów i galerii przyglądały się parady grupki gapiów.

- Czyż nie widzieliśmy już dosyć? - spytał Dawid, ustępując drogi trójce zataczających się pijaków. Zawsze czuł się wyższy ponad Mardi Gras. Mimo swej miłości do ludzi, nienawidził wszelkich tłumów, szczególnie zaś takiego. Podczas karnawału anonimowi za swymi maskami ludzie zawsze zdawali się balansować na granicy tego, co było jeszcze niewinną zabawą. Przypadkowe pchnięcie, wierzgnięcie zaskoczonego wierzchowca mogło wywołać nagły wybuch gwałtownego gniewu. Poza tym Mardi Gras było świętem chrześcijańskim. Czemuż zatem tak bardzo fascynowało Żydów? Przypuszczał, iż przesądzała o tym zaraźliwość śmiechu. Był to zresztą jedyny powód, dla którego znalazł się tu dzisiaj - chciał rozweselić swego ojca. Ferdinand bardzo potrzebował pociechy.

- Na Boga! - wykrzyknął Eugene. - Gdyby nie towarzystwo tak szacownych dżentelmenów, wiedziałbym, gdzie spędzić resztę wieczoru!

Dotarli właśnie do Washington Ballroom. Tłum ludzi opuszczających salę wypełniał chodnik oraz połowę jezdni. Kobieta ze lśniącymi paciorkami wplecionymi w długie, czarne włosy wybiegła ze śmiechem na dwór, ścigana przez roześmianego jasnowłosego młodzieńca w masce.

- Najpiękniejsze kobiety świata - oznajmił Eugene - bez żadnych wyjątków. Słyszałem, jak powtarzali to tysiące razy ludzie, którzy zwiedzili całą kulę ziemską. Z ciemności za jego plecami wysunęła się męska ręka, która pochwyciła go za ramię i zwała z nóg.

- Bądź przeklęty, Raphael! Zniszczyłeś mnie, bydlaku! Teraz moja kolej! Eugene runął ciężko na chodnik. Rozległ się trzask i brzęk tłuczonego szkła, po czym zabrzmiał tupot oddalających się stóp i napastnik zniknął w mroku. Eugene zaczął krzyczeć, straszliwie krzyczeć:

- Moje oczy! O Boże, moje oczy!

Gwar nocy ucichł, niczym ucięty nożem. Przeróżliwe krzyki samotnie rozdzierały ciemność.

- Jezu! - powiedział ktoś.

Nagle wszyscy zaczęli mówić jednocześnie:

- Co to? Co się stało?

- Jakiś człowiek czymś w niego rzucił.

- Krwawi!

- Nie, to jego oczy. Na miłość boską, jego oczy!

- Niech ktoś zawoła...

Nogi Eugene'a podskakiwały konwulsyjnie, kopiąc bruk. Dawid nachylił się nad nim, próbując odciągnąć ręce, którymi gwałtownie tarł oczy.

- Niech ktoś mi pomoże! Przytrzymajcie go. - Jakiś człowiek przyniósł latarnię. - No już... spokojnie, Eugene - mruczał Dawid, wyężając wzrok. Kiedy się wyprostował, jego głos drżał ze zgrozy. - Soda! O Boże! Soda kaustyczna!

Ferdinand opadł na kolana.

- To miałem być ja - rozplakał się. - Słyszeliście. To było przeznaczone dla mnie.

- Sprowadzę powóz - powiedział Gabriel. - Zawieziemy go do domu. Chyba że Dawid uważa, iż powinniśmy...

Przez tłum przecisnęła się kobieta.

- Przepuście mnie! Chcę zobaczyć! Mówią, że to Eugene Mendes! - Uklękła na bruku szeleszcząc jedwabnymi spódnicami i spojrzała na rannego mężczyznę, po czym uniosła ciemną, zrospaczoną twarz.

- Znam go. Zabierzcie go do mego domu. To niedaleko, tuż za rogiem.

- Tak będzie najlepiej - stwierdził Dawid. - Mniejsza o powóz, to zabierze zbyt wiele czasu. Po prostu go zaniemiemy.

Położyli Eugene'a na sofie i przemyli mu oczy.

- Więcej wody - zadysponował Dawid. - Skrapiajcie mu twarz, lejcie dalej. Jeszcze więcej.

- Proszę pozwolić mnie - nalegała kobieta. - Widziałam, jak to robicie. - Jej dłonie poruszały się delikatnie. Woda z naczynia spływała na różową, brokatową poduszkę. Kobieta płakała, gdy Eugene jęczał z bólu i ocierał oczy w jej haftowany rękaw.

- O mój kochany, najdroższy! Kochany!

Nad jej głową Dawid i Gabriel wymienili spojrzenia. Kobieta błagalnie zwróciła się do Dawida:

- Pan jest lekarzem, prawda? Czy nie da się zrobić nic więcej?

- Na razie proszę dalej zalewać mu oczy, póki nie ustanie pieczenie. Wtedy zobaczymy. Jest pani zmęczona - zauważył ze współczuciem. - Zastąpię panią.

Odepchnęła go gwałtownie.

- Nie, nie, ja to zrobię.

Elegancki pokój wypełnił się tymczasem ciekawskimi jasnobrązowymi paniami; czarni służący przycupnęli pod ścianami. U wezgłowia stanął bladobrązowy chłopiec o wystraszonej twarzy.

- Mamo, co się stało?

- Kochanie, jest ranny. Jakiś okropny człowiek go zranił.

„Oto - pomyślał Dawid - prawdziwy powód nieszczęścia mojej siostry. To o to chodzi”.

- Gdzie byłeś? - spytał Ferdinanda, który wyszedł na chwilę i właśnie zdyszany wpadł do pokoju.

Dałem przechodniowi na ulicy dwadzieścia pięć centów, żeby wezwał Miriam, i obiecałem kolejne dwadzieścia pięć, jeśli się pospieszy.

- Co takiego? Posłałeś po Miriam?

- Ależ oczywiście. Czy coś nie tak?

- Nie rozumiesz chyba, gdzie jesteśmy.

- Czy mógłbyś mi wyjaśnić, o co chodzi?

- Spójrz tam, a zobaczysz.

Nadal klęcząc, młoda kobieta ujęła dłoń Eugene'a w swoje ręce. Nie dbając o obecność innych, całowała jego palce, przykładając dłoń do swego policzka, kołysała nią pośród gąszczu splecionych włosów. Na Ferdinanda spłynęło olśnienie. Powiedział szybko:

- Wyjdę po nią. Stanę na zewnątrz i wymyślę jakąś wymówkę. Powiem, że już zabieramy go do domu.

Za późno. Miriam właśnie się zjawiała.

- Zdarzył się wypadek - wyjaśnił natychmiast Dawid. - Przynieśliśmy go tutaj, bo było najbliżej.

- Tak, wiem, chłopak już mi powiedział - podeszła do sofy. Kobieta wstała i zrobiła jej miejsce. Dotknęła policzka męża. - Eugene, to ja, Miriam. Jestem tutaj. - Milczał. Przez długą chwilę stała tak, wpatrując się w niego. Jej nieruchoma twarz nie wyrażała niczego. Jedynie po przyspieszonym oddechu jej brat jako lekarz stwierdził, iż była wstrząśnięta, jak zresztą każdy w podobnych okolicznościach. Dawid zamyślił się nad niezbadanymi tajnikami ludzkiego serca. Ogarnął go ból, gdy patrzył, jak stoi, tak młoda i

samotna, w prostej sukni, wyprostowana z godnością, kryjąc w duchu Bóg jeden wie jakie cierpienie. Jednocześnie jednak współczuł tej ciemnoskórej, zmysłowej kobiecie, tak bardzo zrozpaczonej i jawnie to okazującej. Wreszcie Miriam odwróciła się do niej.

- Dziękuję za udzielenie schronienia mojemu mężowi - powiedziała cicho.

- Czy ktoś mógłby wezwać powóz albo lektykę? Chciałabym zabrać go do domu. To niedaleko. - Przy drzwiach odciągnęła na bok Dawida.

- Jak bardzo to poważne? Proszę, tylko mnie nie zwódź.

Dawid po chwili zastanowienia stwierdził, że Miriam zdoła znieść okrutną prawdę. Odparł więc bez ogródek:

- Prawie na pewno oślepnie.

Przyjaciele, służący i lekarze pojawiali się i znikali, wędrowali po schodach dźwigając podarki i tace z jedzeniem, szepcząc współczująco. Przez kilkanaście dni Eugene nie opuszczał łóżka. Potem przeniesiono go na fotel przy oknie, z którego przedtem krytycznym okiem spoglądał na ogród, doglądając właściwego podlewania rabat. Jeden za drugim zaglądali do niego domownicy i przerażona służba, Emma oniemiała ze zgrozy, Ferdinand wstrząśnięty poczuciem odpowiedzialności za wypadek. Wreszcie zjawily się też dzieci. W najgorszym okresie trzymano je z daleka. Teraz nadeszła chwila, by zaznajomić je ze zmianą, jaka zaszła w ich ojcu.

- To był wypadek - wyjaśniła łagodnie Miriam. - Ktoś przez pomyłkę wyrzucił coś żrącego.

Eugene nalegał, aby ukryła prawdę. Twierdził, że w wieku sześciu lat są jeszcze za małe, by wiedzieć, iż na świecie żyją istoty ludzkie dostatecznie przesiąknięte złem, by zniszczyć czyjeś oczy.

- We właściwym czasie wszystkiego się dowiedzą - powiedział. Teraz posadził sobie oboje na kolanach.

- To wypadek - powtórzył. Dzieci, nie pojmujące niczego, były po prostu zaciekawione. Angélique położyła palec na poparzonym policzku poniżej okularów ojca.

- Czy to boli?

- Już nie.

Mały Eugene spytał, czy tato widzi coś bez okularów.

- Nie, synu - odparł spokojnie ojciec.

„Co za odwaga! - pomyślała Miriam. - Nie pozwoli nawet zadrzeć swemu głosowi.”

- A czy widzisz w okularach?



- Nie, synu. W ogóle nic nie widzę.

Angélique uniosła dłoń.

- Nawet moich palców?

To było zbyt wiele, nawet dla tak dzielnego człowieka. Miriam wtrąciła się do rozmowy, odwracając twarz od światła tak, aby dzieci nie dostrzegły jej wilgotnych oczu i nie spytały: „Dlaczego płaczesz, mamó?”

- Wasz ojciec zejdzie na dół jutro albo pojutrze. Tak mówi lekarz. A wy dotrzymacie mu towarzystwa, zjecie śniadanie na werandzie, czy może w ogrodzie. Będzie wspaniale, zobaczycie. Nazbieracie ojcu kwiatów. Lubisz kamelie, prawda, Eugene? - paplała; z jej języka spływały beztroskie, kłamliwe słowa. - Będziecie mogli pomóc ojcu, póki nie wydobrzeje.

- A więc niedługo zupełnie wyzdrowiejesz - stwierdziła Angélique.

- No, nie całkiem - odparł Eugene. Postanowili oboje, że należy odsłaniać prawdę stopniowo; nie wolno ich wystraszyć. - Wkrótce będę już chodził - dodał. - Wszystko będzie dobrze, poradzę sobie. Obiecuję.

Kilka tygodni później Miriam i Dawid stali razem w cichym ogrodzie.

- A więc profesor powiedział już ostatnie słowo - stwierdziła ponuro Miriam.

- Żadnej poprawy, zresztą twierdziłem tak od początku.

Fontanna szumiała. Szmer spadającej wody wydał się Dawidowi zbyt radosny w tym nieszczęsnym domu. Położył dłoń na ramieniu siostry.

- O co chodzi? Powiedz mi. To nie tylko Eugene, choć, Bóg mi świadkiem, samo to jest już dostatecznie okropne. Niedobrze jest tłamsić wszystko w sobie, Miriam. Powinnaś z kimś porozmawiać. Może chcesz pomówić ze mną o... o tej kobiecie?

- Nie potrzebuję o niej rozmawiać. Jak się zapewne domyśliłeś, wiedziałam już od dawna. Tajemnica wewnątrz tajemnicy, niczym chińska zabawka. Jedno pudełko w drugim, a to w następnym, i jeszcze, i jeszcze...

- A zatem co cię trapi?

- O, wiele rzeczy. Najczęściej myślę o Eugene. Jakież to straszne nie móc widzieć! Nawet twarzy własnych dzieci. I o biednym papie. Jego życie tak bardzo się zmieniło. Nigdy sobie nie wybaczy! Zadręcza się, ponieważ ten człowiek, ten diabeł, kimkolwiek był, przeznaczył ten cios dla niego. To nie wina papy. Nie, ale i tak czuje się winny. Ja zresztą także. Eugene był taki dobry dla papy, a ja nie kocham Eugene'a, rozumiesz, nic dla siebie nie znaczymy, a jednak to przez mojego ojca stracił wzrok!

Dawid westchnął. Promienie słońca połyskiwały w strudze wody, migotały na szemrzących kaskadach. Taki piękny widok. Całe to miasto, z zewnątrz piękne i pełne oglady, w środku gniło. Miriam wbiła wzrok w ziemię. Jej głowa opadła bezradnie. Wydało mu się, że odgadł jej myśli.

- Uważasz, że teraz nigdy już stąd nie uciekniesz. Prawda?

- Tak - odparła cicho, że ledwie dosłyszał jej słowa. - Zresztą to nigdy nie było realne. Powinnam była wiedzieć.

„A jednak jest coś jeszcze - stwierdził w duchu Dawid. - Nie powiedziała mi wszystkiego.” Nie wiedział, dlaczego, był jednak tego pewien. Lecz jeśli nie chodziło o tę kobietę, to o co? Spróbował raz jeszcze.

- Nie chcesz powiedzieć nic więcej?

- Nie ma nic więcej.

- No cóż - odrzekł, poddając się. - Mam jeszcze parę wizyt. Lepiej już pójść. Miriam dostrzegła go pierwsza. Tego ranka Eugene wybrał się na codzienną przejażdżkę z Maximem albo Chanute'em. W ciągu tych paru miesięcy podobne wyprawy stały się jego zwyczajem. Nie potrzebowała pytać, gdzie się udawał. Zaskoczyło ją zatem, gdy ujrzała go na ławce na rynku. Uniósł twarz ku górze, niewidzące oczy spoglądały prosto w pałac słońce. U jego stóp tłoczyły się gołębie. Zdumiona, rozejrzała się za powozem albo służącym, nigdzie ich jednak nie było. Coś, jakieś przecucie ostrzegło ją, by odejść i zostawić Eugene'a samego.

- Spójrzcie! - krzyknęła Angélique - To tato! Co on tu robi sam?

- Dajcie mu spokój. Ojciec chce... - zaczęła, ale dzieci już biegły w jego stronę. Eugene nie był sam. Parę metrów za nim stał wysoki chłopiec, trzymający w ręku szkicownik. Kiedy wdzięcznym, niemal kobiecym gestem rzucił ptakom garść kukurydzy, Miriam od razu go poznała. Przed oczami znów stanęła jej owa ponura scena: zatłoczony, zbyt kłopotliwy pokój, Eugene skrecający się z bólu na kanapie, rozpaczliwie łkająca kobieta, wystraszony chłopiec... Nie miała wyboru. Musiała stawić czoła wyzwaniu.

- Lekarze kazali mi dużo chodzić - powiedział Eugene - więc Pierre zabrał mnie na spacer.

Nazywa się Pierre. Ciekawe, jakiego używał nazwiska. Eugene oznajmił dzielnie:

- Ja mógłbym ci pomóc, tato. Czemu mnie nie poprosiłeś?

- Jesteś jeszcze za mały, aby mnie prowadzić.

- Jestem prawie tak duży, jak on! Ile masz lat? - młody Eugene zwrócił się ostro do drugiego chłopca.

- Trzynaście - odparł tamten niemal szeptem. W jego głosie słychać było szacunek, widoczny również w tym, jak skwapliwie ustąpił miejsca szalejącym siedmiolatkom. Lecz jego oczy błyszczały dziwnie śmiało. Ich spojrzenie wędrowało od bliźniaków do Miriam.

„Wie, kim jesteśmy - pomyślała. - Pamięta mnie, oczywiście. Ale z pewnością powiedziano mu już wcześniej. Jakie to dziwne! Oni zawsze wszystko o nas wiedzą, podczas gdy my nie mamy nawet pojęcia o ich istnieniu!” I zaciekało ją, co też mogłaby odczytać w oczach Eugene'a, gdyby był w stanie spojrzeć na nią w trakcie tego niezwykłego spotkania.

- Chodźcie, dzieci - nalegała beztróskim tonem - wasz ojciec chce odpocząć. Wracamy do domu.

Zaprotestowały jednak. Szczególnie Angélique potrafiła być bardzo uparta.

- Czemu musimy już wracać? Tato, nie chcesz chyba, żebyśmy już poszli, prawda?

- Uważam, że powinniście. Róbcie to, co wam każe matka. Mały Eugene wspiął się na palce i zerknął do szkicownika.

- Co rysujesz?

- Gołębie - i Pierre odwrócił szkicownik tak, że Miriam mogła zobaczyć jego pracę. W prostym szkicu węglem zdołał uchwycić tysiące odcieni jasnych piór. Doskonale oddał falujący ruch stada, dziobanie i wzlot, trzepot i rozkołysany krok. Niewielki rysunek miał w sobie zaskakujące piękno. Miriam poczuła nagle, że coś w niej pęka. Stał tak przed nimi, nieśmiały i boleśnie świadom niezręczności sytuacji, a przecież było w nim dość dumy, by zaprezentować im swoje dzieło!

- To urocze - powiedziała. Coś, jakieś poczucie litości, czy może sprawiedliwości, kazało jej przekazać to wrażenie mężowi: - Pierre ma talent, Eugene. Rysuje jak zawodowiec.

Nie odpowiedział. Na jego twarzy pojawił się lekki rumieniec.

- Gdzie się tego nauczyłeś? - spytała Angélique.

- Pobieram lekcje rysunku.

- Przecież nie możesz chodzić do szkoły - stwierdziła dziewczynka. Miriam skrzywiła się słysząc zawarte w tej uwadze okrucieństwo. W końcu jednak co mogło wiedzieć siedmioletnie dziecko? Jedynie tyle, że kolor skóry oznaczał pozycję. Nie trzeba było mówić im, kto jest inny, kto powinien być sługą i jakie jest jego właściwe miejsce. Na pewno nie była nim szkoła.

- Blaise też potrafi rysować - oznajmił mały Eugene. - Należy do mojej mamy i taty. A ty do kogo należysz?

- Do pana Mendesa - odparł Pierre beznamiętnie. Na ułamek sekundy jego dłoń musnęła ramię Eugene'a, po czym cofnęła się, jakby natychmiast przywołana do porządku. „Spłodzony najprawdopodobniej przypadkiem - pomyślała Miriam. - I zapewne nie chciany. Wątpliwe, by Eugene pragnął tego dziecka". Poczowała nagły smutek, pomieszany z gniewem i oszołomieniem.

- Natychmiast wracamy do domu! - jej głos zabrzmiał tak ostro, że dzieci ze zdumieniem zwróciły się ku matce. Eugene wstał nagle, ściskając laskę.

- Znajdziesz Maxima przy powozie - poinstruował Pierre'a - powiedz mu, że poszedłem do domu pieszo.

- Jesteś pewien, że zdołasz zejść tak daleko? - spytała Miriam. Jej niepokój był udany, mówiła tylko po to, by wypełnić czymś czas, kiedy wyprowadzała go z rynku.

- Straciłem wzrok, nie władzę w nogach.

Dzieci raz jeszcze pobiegły naprzód. Incydent na placu, który dla nich nie miał żadnego znaczenia, należał już do przeszłości. Teraz sprzeczały się o to, kto ma zostać właścicielem białego kota, znalezionej ostatnio na podwórzu. Po minucie lub dwóch Eugene odezwał się:

- No, dalej. Powiedz, co masz do powiedzenia. Skończmy z tym.

- Wolałabym nie - nadal czuła zamęt w głowie. Nie była nawet pewna, co myśli, co powinna myśleć. Cóż, stało się.

- Zupełnie bezmyślnie przyjąłem propozycję chłopca, żeby pójść na krótki spacer - mówił surowo, zakłopotany czynem, na jakim nie powinien zostać przyłapany żaden prawdziwy dżentelmen. - Bardzo nierozsądnie... publiczne miejsce... To się więcej nie powtórzy.

Niepotrzebna była żadna odpowiedź. Miriam skupiła myśli na dwojce dzieci, znacznie ich już wyprzedzającej. Szczęśliwie nie były to dwie dziewczynki, ani para chłopców. Za bardzo by wtedy z sobą rywalizowali, a tak dzieci żyły ze sobą w zgodzie. Zadowolenie z dzieci rekompensowało jej inne braki. Nagle przypomniała sobie tamto dziecko: szczupłe dłonie na szkicowniku, przymknięte powieki, długie, spuszczone rzęsy. Kiedy je uniósł, w jego oczach dostrzegła pytanie, na które nie było odpowiedzi.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY.

A zatem życie toczy się dalej - powiedziała wesoło Emma, otwierając kolejne zaproszenie. Czytała właśnie pocztę przy śniadaniu. W końcu zaakceptowała swą pozycję w domostwie Mendesów z zaskakującą godnością. Miriam stwierdziła, że to naprawdę dzielna kobieta. Trzeba prawdziwej odwagi, aby nauczyć się sztuki przyjmowania, jeśli zawsze samemu rozdawało się dary. - Miriam, moja droga - ciągnęła dalej - czy mogłabyś przekonać swą kucharkę, aby od czasu do czasu przyrządziła biere douce? Moja Serafina często robiła je dla twojego ojca. Uwielbia je, a to naprawdę nic trudnego, po prostu kilka plasterków ananasa, cukier, goździki i ryż.

- Powiem jej, ciociu Emmo.

- Dziękuję ci, kochana. O Boże, posłuchaj tego! Moja kuzynka Grace pisze o tej okropnej historii z Tremont. Pamiętasz, ta staruszka była z nią spokrewniona. Zamordowana we własnym łóżku! Przez stado dzikusów, których sama wychowała od kołyski!

- Mówią jednak, że jej syn był bardzo okrutny. Sprzedawał ich bez żadnych względów i bardzo źle karmił - zaczęła Miriam, przerwało jej jednak parsknięcie Eugene'a.

- Bzdury! Zawsze tak mówią. Abolicjonistyczne bzdury!

- O, patrzcie - wtrąciła Emma - list od Marie Claire. Och, dała recital niemieckich pieśni! Dobrze go przyjęto. Jej nauczyciel przewiduje coraz większe sukcesy. Czyż to nie zadziwiające? Zawsze wiedziałam, że potrafi śpiewać, ale nigdy nie sądziłam, że... o, nawiązali w Paryżu ciekawe znajomości... Baronowa Pontalba... wiedziałaś, że pochodzi z Nowego Orleanu, Miriam? Tak, to jej ojciec wybudował katedrę, cabildo i presbytere. Wydali ją za Pontalbę, kiedy przyjechał tu z Francji, ale to małżeństwo od początku nie miało przyszłości. To niedopuszczalne, zmuszać kogoś do małżeństwa siłą albo namowami, bo i tak nigdy nie są one udane.

- Tak - zgodziła się słabo Miriam. Trudno uwierzyć, że usłyszała to właśnie od Emmy, od tej samej Emmy, która... zresztą, mniejsza o to.

- Wybuchł straszny skandal. Kłótnie o pieniądze, rozumiesz. Jej teść, stary baron, próbował ją zabić, potem sam się zastrzelił. Słowo daję! Marie Claire pisze, że baronowa wraca tu, aby rozpocząć budowę na swym placu przy Place d'Armes. Kiedy skończy, Perrinowie mogą nawet kupić tam mieszkanie. Zamierzają sprzedać dom!

- Kto? Jaki dom? - spytała Miriam tym samym mdlejącym głosem.

- Ależ ten nowy dom, w którym jeszcze nawet nie mieszkali. Jakie to dziwne!

- Czy pisze, kiedy wracają?

- Zobaczmy. Nie. Chcą zostać dłużej za granicą z powodu jej postępów... Och, ale André musi być zawiedziony. I pomyśleć, że sam zaprojektował ten wspaniały dom. No cóż, jeśli przeniosą się na Place d'Armes, to jestem pewna, że Pelagia będzie zachwycona. Zamieszkają przecież tuż obok. Pelagia zawsze lubiła Marie Claire, choć niezła z niej dziwaczka. Ale André jest bardzo miły, nie sądzisz, Miriam?

- O tak, bardzo.

- Wszystko to kpiny z przyzwoitości - rzucił z potępieniem Eugene. - Śpiew. Nie mam pojęcia, dlaczego on się na to godzi.

Eulalia skinęła głową potakująco, po czym, przypomniawszy sobie, iż Eugene nie może dostrzec jej gestu, powtórzyła:

- Kpiny.

Choć Eulalia zamieszkała w miejskim domu siostry, spędzała całe dnie z Eugene'm, czytając mu na głos, usługując i przesuwając fotel ze słońca w cień. Między tą parą zadzierzgnęła się dziwna więź. „Eugene jest Żydem, ona jednak nie zwraca na to uwagi - pomyślała Miriam – ponieważ pozwolił jej, by się nim zajęła. Akceptuje ją, czego nie uczynił żaden inny mężczyzna”. Stanowili dziwaczny kontrast - on z bujną, długą i brodą, i Eulalia o włosach tak rzadkich, że nie utrzymałyby nawet grzebienia.

- Gdzie jest mój syn? - spytał Eugene. - Nie rozmawiałem z nim od rana.

- Przyprawdę go - oznajmiła Eulalia i wstała.

Dzieci, a szczególnie chłopiec - czy może, jak stwierdziła z goryczą Miriam, chłopcy - były jedyną rzeczą, na jakiej nadal zależało jej mężowi. Poza tym całkowicie odsunął się od wszystkiego, co kiedyś wypełniało jego życie. Był jak opuszczony zamek, z wolna popadający w ruinę. Jego milczenie przeszkadzało jej niemal tak samo, jak niegdysiejsze ataki złości. Starła się mu pomóc, dotrzeć do niego, udowodnić, że nie jest sam w nieszczęściu.

- Daj spokój - odparł. - Naprawdę w to nie wierzysz. Oboje nie wierzymy.

- Ależ nie, Eugene! - zaprotestowała. - Mówię szczerze. Za jakie monstrum mnie uważasz? - zaproponowała, by zapisał się do Klubu Pelikana, gdzie lekarze, prawnicy, bankierzy i kupcy spotykali się na obiadach, przygotowywanych przez rewelacyjnego francuskiego

kuchmistrza, i wymieniali między sobą przechwałki i plotki. - Należą do niego ludzie z najlepszych sfer - dodała, apelując do jego snobizmu.

On zaś odparł:

- Poznałem już te najlepsze sfery. Kluby są dobre dla Anglosasów. Ja jestem Kreolem. My nie potrzebujemy klubów.

„Jesteś Żydem - pomyślała - nie Kreolem, lecz, rzecz jasna, Żyd mógł związać się z kim tylko zapragnął. Dobrze zatem, niech Eugene uważa się za Kreola”.

Zaproponowała, by codziennie rano ktoś zawoził go do biura. Tam jeden z pracowników odczytywałby mu aktualne dokumenty i dzięki temu Eugene mógłby dalej kierować wszystkim.

Również tego nie chciał.

- Nie, Scofield jest wystarczająco dobrym zarządcą. Pozostawię wszystko w jego rękach.

Miriam nie była taka pewna. W zeszłym miesiącu Scofield przyniósł mu do podpisu jakieś papiery.

- Co to? - zapytał Eugene, kiedy jego wiotka ręka, skierowana, gdzie należy, złożyła podpis.

- Nieważnego - odparł Scofield. - Musiałem zaciągnąć pożyczkę w banku. Pozwoli nam przetrwać resztę miesiąca, póki nie przybędzie transport z Anglii.

Gdy już wychodził, Miriam zatrzymała go w holu.

- Czemu musieliśmy pożyczać, panie Scofield? Nigdy przedtem tego nie robiliśmy, prawda?

Choć udzielił jej grzecznej odpowiedzi, w jego oczach dostrzegła beczelny błysk.

- Nie ma się czym przejmować, proszę pani. To zwykłe postępowanie w interesach. Dama nie powinna zaprzętać sobie głowy takimi rzeczami.

Ona jednak poczuła, że ogarnia ją furia. Teraz starała się odsunąć od siebie te myśli.

- Czy wybierzesz się dziś po południu na poświęcenie synagogi?

- Nie. Nie widzę najmniejszego powodu.

Spodziewała się odmowy, bowiem Eugene śmiertelnie obawiał się pokazania swego kalectwa w miejscu publicznym. Rozumiała go.

Czasem światło padało na jego okulary pod szczególnym kątem. Widziała wtedy jego pomarszczone, białe, martwe oczy. Oparzelizna lśniła ohydną różową barwą od czoła po policzki.

Ogarnęły ją mieszane uczucia: najpierw współczucie, potem dreszcz przerażenia i wreszcie wstyd, wstyd tym bardziej bolesny, że Eugene nigdy ani słowem nie wspomniał o roli jej ojca w wypadku.

Promienie wiosennego słońca padały na tłum, zebrany na rogu ulic Canal i Bourbon. W ich blasku oślepiającą bielą lśniła szóstka smukłych jońskich kolumn, wspierająca bogato zdobiony fronton świątyni - niegdyś episkopalnego kościoła Jezusa Chrystusa, a obecnie, dzięki hojności Judy Touro, przyszłej synagogi Nefutzoth Yehudah. Imponujące organy jeszcze nie umilkły po nabożeństwie, zaś licznie zgromadzeni ludzie, Żydzi i chrześcijanie, bogacze i sławy tego miasta, kwieciste czepeczki i kryte jedwabiem kapelusze - wszyscy oczekiwali na chodnikach na wyjście dostojników.

- Chór był wspaniały - stwierdziła Rosa. Z czułością spojrzała na synów - Wasz ojciec byłby dziś dumny. Spójrzcie, to Isaac Leeser, przyjechał tu aż z Filadelfii.

- Mieszka u Kursheedtów. Dostał mnóstwo zaproszeń, ale wybrał kosztowny dom - dodał Dawid znacząco.

- Czy to nie Touro? - spytała Miriam.

Otoczony wielbicielami odzianymi we wszystkie barwy tęczy, Juda Touro stał sztywno w swym surowym czarnym surducie. Jego głębokie oczy były czarne, zaś biegnące aż do kącików ust bruzdy odcinały się wyraźnie na tle skóry.

Rozmowa w drodze powrotnej do domu w znacznej mierze dotyczyła właśnie jego. Minęli arkady Gmachu Touro i barkę „Juda Touro”, zacumowaną przy nabrzeżu i wyraźnie gotową do odpłynięcia.

- Zdziwiałe - zauważył Gabriel. - Zaczął nawet przestrzegać szabasu. W tym wieku zupełnie zmienił styl życia. Po czymś takim człowiekowi zaczyna się wydawać, że nie ma rzeczy niemożliwych.

Miriam wspomniała, że i on dokonał tego, co niemożliwe. Nagle zapragnęła podzielić się z nim nękającymi ją od kilku tygodni obawami. W końcu był ich prawnikiem, prowadził interesy rodziny.

Kiedy zatem Rosa wraz z Dawidem i synami wyprzedziła ich w wąskiej uliczce, powiedziała:

- Martwię się. Chodzi o interesy mojego męża. - Zrelacjonowała mu incydent z wekslem i przebieg rozmowy ze Scofieldem. - Boję się o nas, o przyszłość moich dzieci. Rzecz jasna, zupełnie się na tym nie znam.



Próbowałam porozmawiać z Eugene'em, ale on wcale mnie nie słucha. Stracił w tym wypadku coś więcej niż oczy. Także wolę.

- Wiem o tym - odparł cicho Gabriel.

- Nie powinnam się wtrącać - usprawiedliwiła się przed nim. - Jestem pewna, że pan Scofield to uczciwy człowiek, ale...

- Naprawdę? Nigdy nie można być nikogo pewnym.

- Cóż, w każdym razie nie mam pojęcia, co zrobić.

- Jestem jedynie prawnikiem twojego męża. Nie wolno mi bez zezwolenia sprawdzać ksiąg rachunkowych. Ja także próbowałam z nim rozmawiać i również zauważyłam, że stracił wszelkie zainteresowanie pracą. Warto też przyjrzeć się bliżej oddziałowi w Memphis, handlują tam bawełną i drewnem.

Miriam poczuła nagły dreszcz, jakby w ciepłe popołudnie powiał chłodny wiatr.

- Jakby nie chciało mu się już nawet myśleć - rzekła.

- Zatem ktoś inny będzie musiał myśleć za niego.

- Ależ nikogo takiego nie ma! Bo przecież nie ojciec! A Dawid wie o tych sprawach tyle, co nic. Moje dzieci nie mają nikogo, kto by je obronił.

- Mają ciebie.

- Mnie? A cóż ja mogę? Jestem kobietą. Gabriel przystanął i spojrzał na nią uważnie.

- Możesz się nauczyć - stwierdził surowym tonem.

- A kto by mnie uczył?

- Ja. Ale musisz uzyskać zezwolenie Eugene'a na działanie w jego zastępstwie. Eugene nie chciał nawet o tym słyszeć.

- Co takiego? Miałabyś siedzieć w moim biurze i prowadzić interesy z mężczyznami? Nie, aż takim głupcem nie jestem! Przynajmniej jeszcze nie teraz. Pomówię ze Scofieldem.

Mimo woli Miriam poczuła ulgę. Eugene miał rację: jak by to wyglądało, gdyby zasiadła w gabinecie i zaczęła zarządzać firmą?

Lecz przez całe lato nękały ją wątpliwości. Na jesieni Scofield ponownie zjawił się u nich po podpis Eugene'a. Miriam dostrzegła nagłówek banku - z pewnością były to kolejne pożyczki! Tym razem Scofield unikał jej, niemal biegiem opuścił dom. Stojąc w drzwiach, wpatrywała się, jak idzie ulicą i znika za rogiem. Nagle wydało jej się, że oto ostrzeżono ją przed nadciągającą katastrofą. Mieszkała w Nowym Orleanie dość długo, by wiedzieć, że majątek traci się znacznie szybciej, niż się go zdobywa. I trwała

tak, nieruchomo, ze wzrokiem skierowanym w dal. Nie widziała dziecka, toczącego obręcz po chodniku, wozu z owocami, ani dwóch staruszek plotkujących zawzięcie. Przed oczami stało jej widmo nieuchronnej zguby.

Tej nocy Angélique nękały koszmary. Jej płacz zbudził Miriam z ciężkiego snu, w którym udręczony umysł szukał ucieczki przed obowiązkami rzeczywistości.

Dziewczynka stała na łóżku, tuląc do siebie lalkę. Światło świecy sprawiało, że jej oczy przypominały dwie czarne studnie.

- Nie mam dokąd pójść - szepnęła. - Nigdzie...

Miriam dostrzegła, że Angélique jest przerażona. Usiadła na jej łóżeczku, sadzając sobie córkę na kolana.

- Nie masz dokąd pójść? Co miałaś na myśli, kochanie. No, dalej, nie bój się.

- Wydawało mi się, że stoję sama na środku ulicy i nie wiem, gdzie iść.

- Ależ nie, jesteś tutaj, w swoim ślicznym łóżeczku, pod różową kapą, którą podarowała ci ciotka Emma, z lalkami. W sąsiednim pokoju śpi twój brat. Papa jest na dole, a my z ojcem...

- Ale papa nie ma dokąd pójść! Zabrali mu jego stół!

Przez moment zaskoczona Miriam szybko przypomniała sobie, jak bardzo Emma rozpacziała nad utratą mebli na licytacji, szczególnie wielkiego mahoniowego stołu z jadalni, przy którym z łatwością mieściły się dwa tuziny gości. Zatem, mimo iż z całych sił starali się ukryć przed dziećmi katastrofę, i one odczuły jej wpływ. Biedactwa!

Nagle przebiegł ją dreszcz. Zimna ręka przeczucia musnęła jej skórę, a w głowie zaszeptał głos strachu: was nikt nie będzie tak chronił, jak uczyniliście to z papą.

- To był tylko sen, kochanie. Głupi, zły sen. Nigdy nie opuścimy tego domu. Jest nasz, i wszystko, co się w nim znajduje.

- Ale papa...

- Papa też tu jest, zupełnie bezpieczny. - Jej palce odsunęły z twarzy Angélique niesforne loki i poprawiły kołnierzyk nocnej koszuli. - Zresztą nie powinnaś o tym myśleć. Z papą było zupełnie inaczej.

- Dlaczego? - nalegało dziecko.

- Po prostu było. Trudno to wytłumaczyć. Musisz uwierzyć mi na słowo. Nigdy cię nie oszukałam, prawda?

- Nigdy.

- Sama widzisz. Wracaj do łóżka, kochanie. Wszystko jest w porządku. Leżąc we własnym łóżku, zbesztala się w duchu za to, iż tak łatwo zaraziła się dzieciennym lękiem.

„Z papą było zupełnie inaczej.” Skąd jednak mogła być tego pewna?

„Och, przestań już, Miriam! W środku nocy wszystko wydaje się przerażające, powinnaś o tym wiedzieć. Zachowujesz się jak mała dziewczynka. Może nic złego się nie stało. To tylko twoja ponura wyobraźnia.”

Albo i nie.

Toteż pewnego dnia późnym popołudniem, zaopatrzona w wydobyte z biurka Eugene'a klucze, Miriam udała się do biura, aby przejrzeć księgi. Kolumny i rzędy liczb były dla niej czarną magią, ale doskonale zrozumiała znaleziony w szufladzie Scofielda list. Było to ostateczne upomnienie i ostrzeżenie z Banku Nowoorleańskiego, dotyczące spłaty zaległego weksla. Kartka papieru zadrżała jej w dłoni.

Wolnym krokiem wracała do domu, nie wiedząc, jak przedstawić całą sprawę Eugene'owi. Nie był przygotowany na stawienie czoła podobnemu problemowi.

Chociaż zapadał już zmierzch, na Place d'Armes robotnicy wciąż kręcili się wokół budynków Pontalby. Światło gasnącego dnia barwiło cegły delikatnym różem i podkreślało czerń ozdobnych metalowych ślimacznic. Nic nie było za dobre dla tych domów, przeznaczonych dla najlepszych rodzin w mieście. Czyż Emma nie mówiła, że André i Marie Claire zamierzają się tu wprowadzić? Miriam przystanąła. Dziwne. Nie czuła już dawnego bólu, lecz z całą ostrością pamiętała jego siłę. Ciekawe, czy ból powróci wraz z André. Miała nadzieję, że André zostanie gdzieś daleko, a przynajmniej nie zamieszka tutaj. Jednocześnie jednak przyglądała się oknom, próbując zgadnąć, które będą kiedyś należały do niego.

Na balkonie drugiego piętra jakaś kobieta przyklękała, by obejrzeć wykończenie ramy okiennej. To musiała być baronowa! Całe miasto plotkowało jedynie o niej od czasu, gdy wróciła z Europy, aby osobiście doglądać budowy. W pantalonach wspinała się na drabiny! Niezwykła kobieta! Nie można nie podziwiać jej śmiałości i energii. Najwyraźniej nie dbała o to, co sobie ludzie pomyślą. Niezwykła!

Eugene'a nie było w domu. Nie zostawił żadnej wiadomości; nigdy tego nie robił. I tak wszyscy wiedzieli. List z banku będzie musiał poczekać do

rana. Miriam poszła do siebie i przeczytała go jeszcze raz, potem sięgnęła po „Daily Deltę”.

Jej uwagę natychmiast przyciągnęło nazwisko Pontalba, po którym następowały określenia „inteligentne działania” i „energiczna praca”. Miriam pospiesznie przeczytała cały artykuł.

Szczera i bezkompromisowa... jedna z tych energicznych dam, które, zmuszone polegać na własnych środkach, odsuwają na bok swą kobiecą nieśmiałość i poświęcają się bez reszty utrzymaniu zależnych od nich rodzin... Jej imponujące osiągnięcia...

Miriam odłożyła gazetę.

- Utrzymanie zależnych od nich rodzin - powtórzyła na głos. - Kobięca nieśmiałość - skrzywiła się lekko. - Imponujące osiągnięcia...

Wstała i zaczęła się rozbierać, cały czas rozmyślając o baronowej. W wysokim lustrze obserwowała, jak jej suknia opada na podłogę, za nią biała muślinowa halka, kraciasta flauszowa, następnie prążkowana spódnica z perkalu, krynolina i wreszcie zimowa flanelowa halka. Nagle, wspominając pan talony baronowej, odkryła, że we wszystkich tych rzeczach było coś zabawnego. W czymś takim raczej nie należy wchodzić na drabinę.

Ponownie chwyciła gazetę. „Energiczne damy, zmuszone polegać na własnych środkach...”. Poczła dreszcz podniecenia i lęku.

„Twoje dzieci mają ciebie” - powiedział Gabriel. - „Nauczę cię” - stwierdził.

Czemu nie?

Rano poszła do Eugene'a. Jak zwykle siedział w fotelu, obracając w palcach niewielki przedmiot, jakby chciał obejrzeć go dotykiem. Słyszając zbliżające się kroki, odłożył go na stolik - płowa gliniana figurka, pomalowana, błyszcząca. Przyczajony lew.

- To bardzo ładne, Eugene - przez moment zawahała się, po czym spytała delikatnie. - Czy to chłopca?

Skinął głową.

- Ma idealny kolor, taki piaskowozłoty.

Dostrzegła, iż z nieznanych powodów nie chciał ciągnąć tego tematu. Wydało jej się, że rozumie całą złożoność jego uczuć.

- Mam przy sobie list z banku - oznajmiła. - Przeczytam ci go,

- Przysłali ci list?

- Adresatem jest twój zarządca, pan Scofield. Wzięłam go z jego biurka. Nie, zanim wybuchniesz, najpierw mnie wysłuchaj. Proszę.

Miriam odczytała list. Eugene milczał. Z wyrazu jego zmęczonej twarzy wynioskowała, że poczuł się zaszokowany, poniżony. Szybko jednak powróciła tam wszechogarniająca, szara obojętność.

Dokładnie widziała przed sobą wytyczony szlak.

- Czy teraz pozwolisz mi pracować? Nie uczynię nic bez wcześniejszego zasięgnięcia rady Gabriela Carvalho. Nauczę się wszystkiego, czego będę potrzebować, tak jak kiedyś opanowałam tutejsze języki. Zgadzasz się na to?

Nie odpowiedział i wzięła to za oznakę przyzwolenia. Nagle wstał.

- Sprowadź powóz. Wychodzę.

- Powóz już czeka. A zatem jedziesz do Queen?

Eugene odwrócił się ku niej, dostrzegła, jak drga mu policzek.

- Wszystko w porządku, Eugene! Sądziłeś, że nie wiem, iż dalej tam bywasz? Poszła za nim do holu, gdzie czekał już Syzyf, gotów pomóc panu w zejściu ze schodów.

- Powiedz Maximowi - poinstruowała go - żeby zabrał pana Mendesa do domu na Chartres Street, tam, gdzie zawsze jeździ. I, jeśli pan sobie tego zażyczy, Diech Maxim zaczeka na jego powrót.

Polecenia te były z pewnością zbędne, jako że ów scenariusz stale się powtarzał. Jednak z niesłychaną ulgą powiedziała wreszcie głośno to, co zawsze stanowiło sekret. Och, da im to wspaniałą powód do kuchennych plotek! Poczła się dumna, że potrafi przyjąć otwarcie coś, co inni ludzie uznaliby za poniżenie. Publiczne przyznanie oczyściło całą sprawę ze wstydlivych podtekstów.

Poza tym, teraz miała na głowie ważniejsze rzeczy.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY.

Miasto ledwie się budziło, gdy Dawid skierował swego konia wprost w powstające znad horyzontu słońce. Lucien podążał za nim, zachowując odpowiedni dystans, jak na pana i sługę przystało. Konie kłusowały szybko. U siodła Dawida kołysała się podróżna apteczka, pas obciążała para pistoletów. Nigdy przedtem nie nosił przy sobie broni i czuł się z nimi bardzo nieswojo. Najchętniej w ogóle by ich nie zabierał, lecz Lucien zagroził, że nie będzie mu towarzyszył, jeśli pojedzie nie uzbrojony.

Broń jednak nie przyciągała niczyjej uwagi. Oczekiwano wręcz, że dżentelmen z Południa będzie miał przy sobie pistolet, sztylet. Dawid pomyślał, że pod uładzoną powłoką kryją się tu gwałtowni, pobudliwi ludzie. Mijali właśnie zagajnik dębowy za katedrą, tradycyjne miejsce pojedynków. Zaledwie tydzień temu wezwano go tam do dwóch chłopców, którzy wzajemnie śmiertelnie się postrzelili. Zwykła, niemądra sprzeczka o aktorkę. Nie mieli więcej niż po osiemnaście lat, gdy ich krew wsiąkała w ziemię.

Lucien był dziś niespokojny. Jak się wyraził, „czuł coś w kościach”. Dawid jednak nie miał powodów, by sądzić, że to spotkanie będzie się czymkolwiek różniło od poprzednich. Najpierw główni organizatorzy umówili się w gospodzie pod pretekstem niewielkiego przyjęcia, na wieczór zaś zaplanowano spotkanie z przywódcami murzyńskimi w kryjówce na mokradłach. W żadnym z tych miejsc nie była potrzebna broń.

Zresztą nigdy nie był zwolennikiem walki zbrojnej. Idee i słowa są znacznie groźniejsze, bowiem w ostatecznym rozrachunku nie ma przed nimi obrony.

Niewątpliwie ostatnio coś zaczęło się dziać w polityce. Partia Wigów umierała, a na Północy młoda Partia Republikańska rozwijała się coraz szybciej. Zwolennicy niewolnictwa coraz częściej przechodzili do defensywy. Bronili się jednak zażarcie.

Dawid nie potrafił pojąć, jak ludzie tacy jak Juda Benjamin nie wstydzili się przemawiać w Senacie Stanów Zjednoczonych! Niewolnicy to własność, twierdził Benjamin, prawo nie może odbierać człowiekowi jego własności. Cóż, Charles Sumner mógł sobie nazywać go najlepszym mówcą w Senacie, może nawet była w tym częśćka prawdy. Jednak krasomówstwo i eleganckie maniery nie mają nic wspólnego z moralnością. Żyd, głoszący podobne poglądy! Zresztą Benjamin i tak nie był godzien tego miana.

Z drugiej strony, Żyd, tak jak każdy, ma prawo się mylić. Nawet rabini, podobnie jak kapłani wszelkich innych wyznań, często nie zgadzali się dziś ze sobą.

W Nowym Jorku rabin Raphall cytował Księgę Wyjścia jako argument popierający niewolnictwo. On sam niema ani jednego niewolnika, ale bez wątpienia ich posiadanie nie jest zakazane, oczywiście jeśli traktuje się ich dobrze. Jego kazania chwali się i cytuje na całym Południu.

Słowa te wywołały gwałtowną reakcję rabina Einhorna z Baltimore: powinniśmy postępować zgodnie z zawartymi w Piśmie zasadami, a nie naśladować prymitywne zwyczaje przodków! Oczywiście, że wspomina się tam o niewolnictwie, podobnie zresztą jak i o wielożeństwie i władzy królewskiej, te jednak w Stanach Zjednoczonych nie istnieją!

Teraz, gdy dotarli do granicy miasta, kopyta końskie zaczęły miękko zapadać się w piaszczysty grunt. Ciepłe jesienne powietrze chłodziło rozpaloną twarz Dawida. Droga przecinała szyny kolejowe i kierowała się dalej na wschód. Dawid wstrzymał konia na przejeździe i przez chwilę wpatrywał się w podwójną czarną linię torów. Niedawno wprowadzono bezpośrednie połączenie z Nowym Jorkiem. Zmarszczki na jego czole pogłębiły się nagle.

Lucien zrównał się z Dawidem.

- Nigdy by ci się nie udało - stwierdził cicho. - Złapaliby cię na następnej stacji. Łódź to jedyne rozwiązanie, zawsze to powtarzam.

- Nie dam się złapać.

- Miejmy nadzieję.

Poczuł, jak ogarnia go zimny strach, mrozi krew w żyłach. Każdy, kto twierdzi, iż potrafi bez obaw stawić czoło śmierci, kłamie.

Płoneło w nim jednak coś silniejsze od strachu - nienawiść. Nienawiść skierowana przeciwko prawdziwemu wrogowi - systemowi, nie ludziom - i tak potężna, iż zdawało się, że w obliczu podobnego uczucia system powinien osłabnąć, załamać się, zgnieć. Zginąć wcześniej niż Dawid.

Zmarszczył brwi. Cmoknął na konia i zawołał do Luciena:

- Chodź, pospieszmy się. Przed nami długi dzień.

Z moczarów unosiła się mgła tak ciężka, że mimo pełni księżyca z miejsca, w którym zatrzymał się Dawid, widać było jedynie pierścien najbliższych drzew. Poza nim toczyło się nocne życie dżungli. Nieustanne kapanie wody z drzew przypominało rytm bębnów albo setki maszerujących stóp.

- Okryj twarz płaszczem - poradził Lucien.

- Przystaniesz wreszcie szeptać? Nic nie słyszę - odparł poirytowanym tonem Dawid. Napięte do granic wytrzymałości nerwy sprawiły, iż znikła jego zwykła cierpliwość.

- Powiedziałem, żebyś zakrył twarz - teraz już Lucien się zdenerwował - unieś kołnierz i spuść rondo kapelusza. Nie możesz zostać rozpoznany. Jeszcze tego nie pojąłeś?

- A zatem dzięki Bogu, że jest chłodno - mruknął Dawid. Wyteżył wzrok, ale opary skutecznie przesłaniały widok.

- To miejsce przypomina mi... - zaczął, urwał jednak, uświadamiając sobie, że odniesienie do wieźm z Makbeta nic Lucienowi nie powie. - Nie mam pojęcia, gdzie jest droga. Na pewno wiesz, dokąd idziemy?

- Trochę zaufania, proszę. Jeszcze pięciominutowy marsz i jesteśmy na miejscu. Wkrótce ich stopy zaczęły grzęznąć w lepkim błocie. Każdy krok stał się wysiłkiem, walką z bagnem.

- Przepraszam - usprawiedliwiał się Lucien. - Ale im bardziej mokro, tym łatwiej zmylić psy. Na suchym gruncie mogą tropić człowieka przez pięć mil i więcej, i jeszcze zostaje im dość sił, by rozedrzeć ofiarę na strzępy.

- Nadal nie wyjaśniłeś, skąd wiesz, gdzie jesteśmy.

- Och, można nauczyć się odczytywać naturalne znaki. Po ucieczce z niewoli mój brat przez trzy lata mieszkał na cyprysowych mokradłach. Było ich około dwudziestu. Nocami napadali na okoliczne plantacje w poszukiwaniu pożywienia.

- Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

- Nie lubię rozmów na ten temat.

- Czy należy do grupy, z którą spotkamy się dzisiaj?

- Nie. Powiesili go. - Ponieważ Dawid milczał, Lucien ciągnął dalej. - Abolicjonista z Illinois zorganizował ich w duży oddział, prawie dwa tysiące Murzynów. Zajęli się przygotowywaniem nabojów i innej amunicji. Dowiedziała się o tym straż obywatelska. To zawsze problem, kiedy grupa za bardzo urośnie. Wcześniej czy później znajdzie się ktoś, kto za dużo gada... Stop! Słuchaj!

Z lewej strony dobiegł ich przytłumiony, cichy szelest ostrożnie odgarnianych gałęzi. W sekundę później pomiędzy drzewami pojawił się promyk światła, słaby niczym księżyc ukryty za chmurą. Najpierw ujrzeli latarnię, następnie niosącego ją człowieka, wreszcie krąg dziesięciu



mężczyzn, z których każdy trzymał w dłoni migoczącą lampę. Ich blask oświetlał zatłoczoną polanę. Lucien uniósł rękę w powitalnym geście.

- Przeprowadziłem tu kogoś, aby mógł dziś z wami pomówić. Nie pytajcie, kto to. Nie musicie wiedzieć. To przyjaciel. Tyle powinno wam wystarczyć. Inaczej nie znalazłby się tu dzisiaj, bowiem to wielkie ryzyko, zresztą sami doskonale o tym wiecie. Starłem się odwieść go od przyjazdu, ale bardzo nalegał. Zbliźcie się.

W absolutnej ciszy zebrani usłuchali polecenia. Dawid znalazł się w kręgu upiornie białych zębów i połyskujących oczu.

- Gdzie konie? - spytał Lucien.

- Dwa dobre wierzchowce - odpowiedział jeden z mężczyzn - wypoczęte i osiodłane. Zaraz za tymi drzewami.

- Konie? - nie zrozumiał Dawid.

- Dla nas. Dla ciebie, jeśli zajdzie taka potrzeba. Widzisz, gdzie pokazuję? Jedź wprost na południe. Po niecałej mili dotrzesz do drogi. Tam skreć w prawo i wkrótce dotrzesz do miasta.

- Ale - zaproponował Dawid - co z naszymi końmi? Są w stajni w hotelu.

- Jeżeli wynikną jakieś kłopoty, będziesz musiał wydostać się stąd. I to szybko. Posłuchaj uważnie. Pojedziesz tak, jak powiedziałem. Sam wrócę inną trasą. Tak będzie bezpieczniej. Rozumiesz?

Dawid skinął głową. W tej chwili służący i pan najwyraźniej zamienili się miejscami.

- Tak - odparł poważnie.

- W porządku. Teraz zaczynaj. Dawid wystąpił naprzód.

- Przybyłem do was, ponieważ pragnę tego samego, co wy. Lepszego życia - dla was i nas wszystkich.

Nikt nawet nie drgnął. Jego krótka przemowa, której wcześniej nie przygotował, płynęła prosto z głębi serca.

- Czasami może się wam wydawać, że zmiany, o jakich marzymy, nigdy nie nastąpią, albo dojdzie do nich tak późno, że wam nie przyniosą już pożytku.

Ktoś poruszył latarnią. Promień światła strzelił w górę, ukazując oczom Dawida łagodną, starą twarz, radosną i nabożnie skupioną. „To jest wreszcie prawdziwe spotkanie z rzeczywistością - pomyślał. - Wszystko przedtem to tylko plany i dyskusje, filozofia i papier". Ale w tym samym czasie znalazł się jakby poza rzeczywistym światem, obserwując sam siebie pośród tej niesamowitej nocy - aktora w fantastycznym śnie.

- Jeśli tysiące odmówią pracy, dopóki nie otrzymają zapłaty, co oczywiście będzie równoznaczne z wolnością, wtedy osiągniemy prawdziwe zwycięstwo bez przemocy.

Urwał. Nawet w ciemności wyczuł nagłe zeszywnienie otaczających go ciał, przechylenie głów, czujne nasłuchiwanie.

Zaszczekał pies i na ten sygnał ciszę rozdarł ogłuszający tętent kopyt, zgiełk ludzkich głosów.

Krąg pękł. Zebrani w panice upuszczali latarnie, umykając w poszukiwaniu kryjówki. W chwilę później spośród drzew wypadło pół tuzina jeźdźców, wymachujących pochodniami i pistoletami. Spłoszone kruki z wrzaskiem wzleciały w ciemność, konie wierzgały. Las nagle ożył.

Lucien i Dawid spoglądali na siebie, oszołomieni, nie wierząc własnym zmysłom.

- Na miłość boską, uciekaj! - krzyknął wreszcie Lucien. - Idź! Przerazone konie, oszalałe, drżące od uderzeń bata, przedzierały się przez krzaki.

- Biegnij! - ryknął ponownie Lucien. - Dawidzie! W stronę drogi! Przed Dawidem pojawił się nagle wierzchowiec.

- Dawid! - wykrzyknął jeździec. - A więc to Dawid! Ty... - uniósł pistolet - ty zdrajco!

Płomień pochodni oświetlił wściekle oczy Sylvaina Labouisse'a. „Śmierć! Zabić!” - wołało ich spojrzenie. Dawid wyciągnął broń. Kula Sylvaina świsnęła mu tuż ponad głową, podczas gdy jego odpowiedź zwała Labouisse'a z siodła.

- Biegnij! - wrzasnął Lucien - Poznał cię! Dawid skoczył na konia Sylvaina.

- Lucien, jedź do mojej siostry albo do Gabriela Carvalho, wszystko jedno. Będę potrzebował pieniędzy. Nie chcę, aby się w to mieszało, niech tylko dadzą ci pieniądze! - I spiął konia, skacząc w ciemność.

Dziesięć minut później, gdy pędził już pustą drogą, znów ogarnęło go niezwykle uczucie, jakby przemawiał doń jakiś głos: „To tylko sen. Podobne rzeczy nie zdarzają się ot, tak, w ciągu kilku minut. Przecież nie dalej jak pół godziny temu wstałeś od kolacji w hotelu, pożegnałeś się z przyjaciółmi, wcześniej ustaliwszy datę kolejnego spotkania za miesiąc. Wczoraj przyjmowałeś pacjentów. Teraz ścigasz się ze śmiercią. Nie, to po prostu niemożliwe. Człowiek, taki jak ty, nie wyciąga pistoletu bez najmniejszego namysłu. Nigdy dotąd nie miałeś nawet czegoś takiego w ręku! I czy to był naprawdę Sylvain Labouisse? Rzeczywiście go zastrzeliłeś, może nawet

zabiłeś? Uchowaj Boże! Ale on chciał cię zabić! Czemu chciał cię zabić? Nigdy go nie skrzywdziłeś, nie zrobiłeś nikomu nic złego! Nie ty, ty za bardzo przejmujesz się tym światem. A może to głupota tak się troszczyć o innych? Może powinieneś pilnować swojego nosa? Za kogo ty się uważasz? Za Mesjasza?"

- O mój Boże - powiedział głośno.

Przed jego przerażonymi oczami, zawieszona w powietrzu pomiędzy stulonymi końskimi uszami, pojawiła się zrozpaczona, nic nie pojmująca twarz Pelagii.

Kiedy drzwi się otwały, przeciąg porwał szczątki płonących papierów i zasypał podłogę strzępkami popiołu.

- Nie ma już na to czasu. Zostaw je - polecił Lucien.

- Jestem gotów - Dawid uniósł torbę podróżną. Z cylindrem na głowie i ciemnym wełnianym szalikiem wokół ramion wyglądał jak typowy dżentelmen, udający się w podróż. - Spaliłem spisy MacKenziego, żeby nie wpędzić nikogo w kłopoty - Z miłością w oczach popatrzył na ponury pokoik. - Moje książki. Z wielkim bólem rozstaję się z nimi.

- Prześlę ci je - zapewniła Miriam - gdy tylko dasz znać, dokąd. - Poprawiła nienagannie leżący szalik.

- Nie marudź, Dawidzie. Liczy się każda sekunda. - Gabriel skinieniem głowy wskazał Miriam. - Grozi jej tu okropne niebezpieczeństwo!

Nagle, jakby natchniony niespodziewaną myślą, Dawid pochwycił w ramiona siostrę.

- Posłuchaj, nie powinnaś tu była przychodzić... ale skoro już jesteś... Mówiłaś kiedyś o wyjeździe, ucieczce stąd. Mogłabyś... Lucien mógłby sprowadzić tu młodego Eugene'a i Angélique... to kwestia paru minut. Moglibyśmy pojechać wszyscy.

- Nie! - krzyknął gwałtownie Gabriel. - Nie! Nie mówisz chyba poważnie! Skąd wiesz, że uda ci się dotrzeć do łodzi, albo że nie przechwycą jej strażę? Nie chcesz przecież narażać Miriam jeszcze bardziej.

- Masz rację, oczywiście. Ale jednak...

- I tak nie mogłabym tego zrobić - wtrąciła Miriam. - Miałabym zostawić papę? I Eugene'a, kiedy stracił wzrok? Dopiero zaczęłam doprowadzać wszystko do porządku.

Dawid objął siostrę.

- A zatem znów cię porzucam. Wtedy, kiedy mnie potrzebujesz, gdy powinienem stać u twego boku, zostawiam cię samą. - Przepelniał go żal.

Jego oczy, głos, nawet gest ręki, głaszczącej włosy siostry - wszystko wyrażało rozpacz.

- Kochany Dawidzie, nie martw się o mnie. Teraz powinniśmy myśleć tylko o tobie. Uważaj na siebie! I nigdy nie rób już nic nierozsądnego! To znaczy - och, sama nie wiem! Po prostu uważaj na siebie, kochany. Lucien pociągnął go za rękaw.

- Zaraz tu przyjadą.

- Kiedy dotrzesz do celu, daj mi znać - poprosił Gabriel. - Wyślę ci wszystko, czego będziesz potrzebował, aby zacząć od nowa. Na razie powinno starczyć ci pieniędzy. Łódź nazywa się „Elsie Ann”. Czy na pewno potrafisz nią kierować, Lucien?

- Tak, tak - Lucien był już za drzwiami.

- Doskonale. Jeśli tylko uda się wam dotrzeć poza granicę stanu, do Missisipi, dalej dacie sobie radę. - Ujmując dłoń Dawida, Gabriel popchnął go w stronę drzwi. - Dobry Boże, co za parszywa sprawa! No, niech cię Bóg błogosławi! A teraz idź! Pospiesz się, prędzej!

Gdy ich kroki umilkły już w oddali, Gabriel westchnął głęboko.

- Parszywa sprawa - powtórzył. - A teraz daj mi klucz. Zamkniemy mieszkanie i odprowadzę cię do domu. Czy ktoś wie, że Lucien przyszedł do ciebie?

- Tylko Fanny, ale i ona nie ma pojęcia, po co. Poza tym, ufam jej.

- Nie możesz ufać nikomu. W ogóle nie powinnaś się była w to mieszać.

- A ty? Nie jesteś nawet jego bratem.

- Mam swoje powody. I to bardzo skomplikowane - odparł łagodnie Gabriel.

- Już drugi raz uratowałeś mu życie, zdajesz sobie z tego sprawę? Uśmiechnął się. „Jak rzadko najego twarzy gości uśmiech - pomyślała Miriam. -

Rozkwita powoli, jakby samo oblicze z niedowierzaniem witało jego słodycz."

Wokół panowała absolutna cisza. W ciężkim powietrzu nie poruszył się ani jeden liść. Stali tak w milczeniu, słuchając ciszy, odpoczywając po napięciu ostatniej godziny. Nagle Gabriel gwałtownie uniósł rękę.

- Posłuchaj. Słyszysz coś?

- Nie, nic. Zaraz, tak, coś tam jest.

- To konie. Jadą w tę stronę. Wydaje mi się, że są teraz na Royal Street. Stukot końskich kopyt zbliżał się z każdą chwilą.

- Wracaj do środka. Nie ma teraz czasu, żeby uciekać do domu. Ścigają go. Schowaj się, szybko. Albo nie, zaczekaj chwilę.

Oddał kawałek leżącego na półce bandaża.

- Obwiąż mi nim głowę, o tu, nad uchem. Ciasno. Zrób duży opatrunek. Tak, właśnie tak.

Nie wiedząc jeszcze, o co mu chodzi, Miriam zrobiła, jak chciał. Serce jej waliło, w ustach zaschło ze strachu.

- Teraz na dwór. Uciekaj na podwórze.

- Gdzie? Gdzie? - krzyknęła w panice.

Konie wjechały w ulicę. Słysząc było męskie głosy, nawołujące się wzajemnie.

- Gdziekolwiek. Siedz cicho i ani szmeru, cokolwiek by się działo. Miriam przycupnęła w krzakach za wygodką, tuląc do siebie spódnice. Przez okno widziała Gabriela, który usiadł w fotelu, zwieszając głowę na oparciu. Usłyszała łomot w drzwi i ujrzała, jak wstaje i wpuszcza do środka trzech zdyszanych, wściekłych mężczyzn.

- Gdzie doktor?

- Sam chciałbym wiedzieć - poskarżył się Gabriel. - Potwornie boli mnie ucho.

- Czy ja pana nie znam? Nie jest pan może prawnikiem?

- Tak, nazywam się Carvalho. Gabriel Carvalho. A pan?

- Lloyd Morrissey. Długo pan tu jest?

- Koło godziny. Coś nie tak? Co się stało?

- Sylvain Labouisse został postrzelony. To sprawa Raphaela.

- Doktora Raphaela? Nigdy nie zauważyłem u niego broni. Zawsze sądziłem, że to bardzo łagodny człowiek...

- To był Raphael, bez dwóch zdań. Zwalił Labouisse'a prosto z siodła.

- Niewiarygodne. Czy jego rana jest poważna?

- Poważna? Człowieku, on nie żyje.

- Ale służący, który mnie tu wpuścił - nie ustępował Gabriel - powiedział, że doktora nie ma od kilku godzin. Został wezwany do porodu, zaszły jakieś komplikacje. Chyba to miało być na North Rampart Street, choć niezbyt go słuchałem. Bardzo boli mnie ucho.

- Służący okłamał pana. Doktor nie jest u pacjenta, usiłuje uciec z miasta. Ktoś krzyknął z tyłu:

- Rusz się, Morrissey, na miłość boską! Rozdzielmy się, jeden z nas na pewno na niego trafi!

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem i znowu zapadła cisza. Miriam odczekała parę minut, póki nie rozległo się ciche wołanie Gabriela.

- Chodź, szybko. Niedługo zaczną przeczesywać całe miasto. Idź za mną, trzymaj się blisko budynków.

Strzępy obłoków żeglowały po niebie, na zmianę pogrążając ulicę w ciemności i zalewając ją jasnym blaskiem księżyca.

- Niemogą cię zobaczyć - szepnął Gabriel. - Idź tak szybko i cicho, jak tylko potrafisz. Nigdy nie wiadomo, kto nie śpi, nawet o tej godzinie.

Skradali się przez wymarłe miasto. Lekko zgarbiony, podświadomie próbujący zmaleć i zniknąć, nadal jednak rzucał długi cień. „Jak bardzo musi nienawidzić tego wszystkiego! - pomyślała Miriam. - To sprzeczne z jego naturą.” Nagle uświadomiła sobie, że choć dzisiejsze wydarzenia były dla niej szokiem, niespodziewanie objawiona tajna działalność Dawida, której oddawał się przez ostatnich kilka lat, w pewnym sensie pasowała do jego charakteru. Nie potrafiła natomiast nawet wyobrazić sobie, by Gabriel uczynił coś tak nierozsądnego, tak gwałtownego! A przecież szedł teraz przed nią, odważnie znosząc dzisiejszą katastrofę. Podążając za nim szybkim krokiem wiedziała, iż doprowadzi ją bezpiecznie do domu i że zrobiłby dla niej to samo, co dla Dawida. Gdy skręcili za róg jej ulicy, usłyszała cichy szept Gabriela:

- Dawid powinien już dotrzeć do rzeki. Jestem pewien, że zyskał wystarczająco dużo czasu. Dzięki Bogu!

Kondukt pogrzebowy Sylvaina Labouisse'a przemaszerował powoli przez całe miasto, aż do katedry. Setki obywateli uczciło w ten sposób zasługi zmarłego. Panowała cisza. Wszędzie królowała czerń. Sześć koni, okrytych kirem, ciągnęło czarny karawan; osłaniający trumnę baldachim przybrano czarnymi wstęgami. Jedyne wieńce z białych chryzantem i przycupnięty na baldachimie biały gołąb osłabiały nieco wrażenie wszechogarniającej żałoby.

- To mi przypomina - szepnęła Rosa - ceremonię żałobną po śmierci generała Lafayette'a w trzydziestym czwartym roku. Tylko że oczywiście wtedy wieźli jego popiersie, a nie trumnę. Ale poza tym wszystko jest równie uroczyste.

Zirytowana jej paplaniną Miriam przesunęła się naprzód. Kobiety - jako że kobiety nie uczestniczą w pogrzebach - zebrały się na zewnątrz, na stopniach katedry. Rosę zżerała ciekawość, zaś Miriam dotarła aż tutaj, by jak najdłużej dotrzymać towarzystwa ojcu i czekać na niego, kiedy wyjdzie.

Biedny ojciec przeżył potworny wstrząs. Starła się złagodzić jego skutki, choć w części uwolnić go od straszliwego wstydu, który sama też czuła.

- Sylvain też by go zabił, papo. Nie zapominaj o tym.

- Dawid sam do tego doprowadził! Gdyby go tam nie było, gdyby nie wmieszał się w te ciemne sprawy...

- Papo, pomyśl, proszę. Cała tragedia wynikała z przekonań Dawida, jego szczerych poglądów. To nie są nieczyste sprawy. Sam musisz to przyznać.

Odpowiedzią było spojrzenie tak pełne bólu i oburzenia, że zamilkła. Jak bardzo zawiódł się na synu! Nieszczęsny papa! Jeszcze raz rzucony na kolana, jak gdyby nie dość było ruiny finansowej!

Niezależnie od tego, czy inni, zwłaszcza Emma, obwiniali go o czyn Dawida - a Miriam była prawie pewna, że poza rozwścieczoną Eulalią nikomu nie przyszło to namyśl - Ferdinand uważał, że mają do niego żal i najprawdopodobniej będzie tak sądził do końca życia.

Teraz przez otwarte drzwi kościoła widziała swego ojca, siedzącego w tylnym rzędzie. Wszedł do środka ostatni, aby nikt go nie widział. Co powiedziałby, gdyby poznał rolę, jaką odegrała w ucieczce brata?

„Spokojnie, tylko spokojnie - upomniała się w duchu. - Myśl o czym innym.”

Na wprost niej w oddali jarzył się bogato ustrojony ołtarz. Oczy Miriam oderwały się od złotych liter nad wejściem. Na ściennym malowidle święty Ludwik, król Francji, ogłaszał rozpoczęcie Siódmej Krucjaty. Miecze i krew! Żydzi, mordowani i paleni w swych nędznych domach, podczas gdy wojska wędrowały przez Europę.

Dosyć! Dość już rozlanej krwi! Wystarczyło jej tu, na miejscu, nie ma potrzeby odwoływać się do historii.

„Nie - powiedział tego dnia w Beau Jardin - żona nie pasowałaby do mojego życia.” A jeszcze dawniej, w Europie, ich dziadek z pewną dumą stwierdził: „Jest taki uparty, jeśli tylko uważa, że działa w słusznej sprawie.”

Kto może wiedzieć, co jest słuszne, a co nie?

Płomyki świec drgają lekko. Cały świat dygocze.

- Bardzo ciężko to znosisz - stwierdziła ciepło Rosa. - Nikt cię o nic nie oskarża.

- Nie o to chodzi. Myślałam o Pelagii. - To także była prawda.

Z organów spływały kaskady żałobnych nut. Procesja mężczyzn w czarnych strojach i cylindrach wniosła do środka trumnę. Gabriel dogonił

Miriam, kiedy Eugene i Ferdinand wsiedli już do powozu. Jego spojrzenie mówiło: łączy nas ten sekret. Odezwał się cicho:

- Dobrze się czujesz?

„Muszę okropnie wyglądać” - pomyślała. I odparła na głos:

- Jadę do Pelagii.

- Katoliczki w naszym mieście przyjmują kondolencje dopiero po dziewięciu dniach - przypomniała jej Rosa.

- Nie jestem katoliczką i nie mogę czekać. Muszę się z nią zobaczyć. Rosa położyła jej dłoń na ramieniu.

- Ale ona może nie zechcieć cię widzieć - uprzedziła łagodnie.

- Tego właśnie muszę się dowiedzieć.

Znów miała osiem lat, stała w sypialni na górze, a Pelagia mówiła do niej: „O tak, będziesz prawdziwą piękną, kochanie. Papa kupi ci diamentowe kolczyki.”

Frontowe drzwi okryto szarą krepą. Stukając kołatką Miriam przypomniała sobie, że dla małżonków, z wyjątkiem starszych osób, kolorami żałoby były szary i lawendowy. Pośrodku wisiał żałobny wianuszek z czarnych paciorków, pomiędzy które wpleciono włosy Sylvaina, przewiązany czarną aksamitną kokardą. „Ciagle te tradycje i zwyczaje - pomyślała. - Każdy z nas przestrzega ich w jakimś stopniu, aby ukoić żal. Czy to jednak pomaga? Skąd mogę wiedzieć? Nigdy nie czułam nic podobnego.”

Ktoś otworzył drzwi i wpuścił ją do środka. Niepewna, dokąd pójść dalej, przystanęła w holu. Zaciągnięto wszystkie rolety, a ogromne lustro okryto zasłoną. Zegar pod schodami wskazywał kwadrans po dziewiątej; zatrzymano go na godzinie śmierci Sylvaina. „O dziewiątej piętnaście wieczorem, na opuszczonych mokradłach, mój brat...” Wysoko uniosła głowę i weszła do salonu.

Pelagia siedziała na sofie pomiędzy Emmą i Eulalią. Pod jej czarną suknią kolejne dziecko oczekiwało dnia narodzin. Z pewnością będzie ostatnie, kto bowiem poślubiłby wdowę z ośmiorgiem dzieci?

Na dźwięk kroków Miriam trzy kobiety uniosły wzrok. Matka i córka porozumiały się bez słów: „Po co tu przyszła?”

Przez długą chwilę Miriam i Pelagia czekały w milczeniu. Wreszcie Pelagia wstała, chwiejąc się na nogach, i Miriam podbiegła do niej z otwartymi ramionami. Ciepły uścisk, żal. Żal po zmarłych, przebaczenie dla żywych.



Zanim Miriam otworzyła zaadresowaną ręką Dawida i noszącą stempel nowojorski kopertę, poczuła, jak przytłaczający ją przez ostatni miesiąc niczym kamień strach znika bez śladu. Kiedy nadszedł list, w domu akurat nikogo nie było, toteż uniknęła gniewnych spojrzeń i ostrych słów, towarzyszących każdej wzmiance o bracie.

Z ogromnym pośpiechem przewracała kartki. Oczyma duszy pomiędzy równymi linijkami znajomego pisma widziała płonące litery, układające się w jedno jedyne słowo: „Bezpieczny! Bezpieczny!”

„Na przystani znaleźliśmy łódź. Po raz pierwszy w życiu musiałem wziąć coś, co do mnie nie należało. Odcieśliśmy cumę i ruszyliśmy w dół rzeki. Lucien to znakomity żeglarz, a wiatr nam sprzyjał; gdyby nie to, z pewnością by nas dopadli. Jeszcze pięć minut i nie pisałbym dziś do ciebie tego listu. Odpłynęliśmy dopiero na kilka metrów, gdy usłyszeliśmy krzyki na grobli. Zapłonęły pochodnie. Widok tak wielu pochodni pośród czarnej hocy ma w sobie coś przerażającego. Sądząc po ilości świateł i głosach musiało tam być z tuzin ludzi. Nie zauważyli nas. Na szczęście na wodzie panowała nieprzenikniona ciemność, poza tym cała przystań była pełna stojących na kotwicy statków. A jednak to cud, że nie usłyszeli, jak wali mi serce... Nie mieliśmy żadnych zapasów, ani wody, ani jedzenia. Rano, kiedy dotarliśmy do dawnej pirackiej kryjówki w Zatoce Barataria, postanowiłem zaryzykować i posłałem Luciena na brzeg, żeby kupił dla nas prowiant, wystarczający na całą długą podróż do Missisipi... Przepłynęliśmy pomiędzy Kocią Wyspą i Pass Christian - pamiętasz, jak pisałaś mi o swoich wakacjach w Pass? Bałem się tam wylądować, bo obawiałem się spotkania z kimś, kto mnie znał z Nowego Orleanu... Wreszcie przybiliśmy do brzegu w Pascagoula, gdzie Lucien zdobył stare numery nowoorleańskich gazet. Stąd dowiedziałem się, że Sylvain nie żyje, choć tak naprawdę podejrzewałem to od początku. Smutek i wyrzuty sumienia nie opuszczały mnie przez całą drogę pociągiem do Mobile, gdzie przesiedliśmy się do wagonu, zdążającego na Północ... Lucien powtarza mi, że zabójstwo w obronie własnej nie powinno obciążać mojego sumienia. Brzmi to rozsądnie, ale jednak... Tak więc wróciłem już do pracy. Wczoraj otworzyłem mały gabinet. Mam nadzieję, iż mój czyn nie wpędził rodziny w zbyt wielkie kłopoty. Nasz biedny ojciec! Zdaje się, że moim przeznaczeniem jest sprawiać mu ból. I tobie. Tak bardzo cię kocham i martwię się o ciebie, a i beze mnie masz wystarczająco wiele problemów. Wybacz mi. Ale jestem, jaki jestem...”

- Dostałam list od Dawida - poinformowała Emmę tego samego dnia. - Czy mogłabyś powiedzieć ojcu, że bezpiecznie dotarł do Nowego Jorku? Ja nie mogę już o tym mówić.

Niedługo potem Emma wróciła z meldunkiem:

- Nie odezwał się ani słowem, ale wyglądało nato, że mu ulżyło. W końcu ojciec zawsze pozostanie ojcem.

To prawda. Gniew przeminie. Ból może przetrwać, ale gniew zgaśnie z czasem. Ferdinand nie był człowiekiem, który długo chowałby go w sercu.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY.

Gabriel Carvalho z głośnym odgłosem zamknął księgę i usiadł na sofie. Przygotowywali właśnie kwartalne sprawozdanie firmy Mendes i Spółka, korzystając w tym celu z wygodnego domu Rosy, dzięki czemu Miriam mogła połączyć interesy z prywatnymi wizytami.

- Dobra - powiedział. - Zrobione. Rozliczenia gotowe. Z czystym sumieniem mogę stwierdzić, że wszystko jest w idealnym porządku.

- Tylko dzięki tobie.

- Nie tylko. Bardzo szybko się wciągnęłaś.

To prawda. Miriam zadziwiła samą siebie. Kiedy Scofielda zastąpił godny zaufania, inteligentny zarządca, który nie miał żadnych obiekcji, żeby pracować z panią, a nie z panem, Miriam „wróciła do szkoły” i odkryła, iż jest to fascynujące. Ucząc się na błędach Ferdinanda i korzystając z doświadczenia Eugene'a, zdołała spłacić wszystkie zaciągnięte przez Scofielda długi. Ostatnio zaczęła nawet inwestować, kupowała grunty przyległe do torów kolejowych. Sądziła, że koleje będą się rozwijać wraz z rozwojem miast. Jej zarządca, Sanderson, zgadzał się z nią.

- Mam pomysł - zaczęła i przerwała.

Dużo łatwiej było wszystko wyjaśnić Sandersonowi niż Gabrielowi. Miedzy nimi stało zbyt wiele niedomówień; sprawa Dawida, zarzuty Eugene'a, odwołane, ale nie zapomniane przez nią. „Nie może oderwać od ciebie oczu.” Bzdura! Spoglądał na nią z rzadka; jeśli nie wpatrywał się w księgi, jego wzrok kierował się na ścianę za jej głową. Była prawie pewna, że takie zachowanie nie wynikało z nieśmiałości, raczej ze skromności, był miły, ale skryty. Zastanawiała się, czy on i jakaś kobieta mogliby - nagle zawstydzila się swoich myśli - czy on i jakaś kobieta... Z André wszystko było jasne i nieskomplikowane.

- Mówiłaś, że masz jakiś pomysł.

- Zastanawiałam się czy nie moglibyśmy zaproponować Sandersonowi udziałów w przedsiębiorstwie? Byłaby to dla niego lepsza motywacja niż sama tylko pensja.

- Chciałem ci to zaproponować. Wyprzedzasz o krok moje myśli. Niedługo będę musiał biec, żeby cię dogonić.

- Och nie, tyle jest rzeczy, których nie rozumiem! Wszystkie te akcje bankowe! Sanderson usiłował mi to wytłumaczyć.

- Dlaczego papiery banków są taką pewną inwestycją? Ponieważ w naszym systemie banki muszą być silne. Plantatorzy potrzebują wielkich pożyczek, żeby przetrzymać okres między zbiorami.

- Ale dlaczego tak trudno im przetrzymać ten okres?

- Muszą się modernizować. Utrzymanie plantacji pochłania ogromne sumy. Sama zgniatarka trzciny cukrowej kosztuje pięć tysięcy dolarów. Niewolników trzeba karmić. A właściciele żyją ponad stan. Wydają wszystko pomiędzy zbiorami.

- Kreole są tacy rozrzutni.

- Już nie. Teraz pieniądze mają nie Kreole, lecz Amerykanie. Obecnie Kreole zaciskają pasa. Nieliczni tylko pamiętają czasy wystawnych posiadłości, takich jak „Wersal” Valcoura Aimé.

- Byłam tam raz. Coś okropnego! Pamiętam, jak Eugène zirytował się, że nie zachwyciło mnie to miejsce. - Miriam zamilkła nie wiedząc, czy ma mówić dalej. - Chciałabym sprzedać Beau Jardin. Nigdy go nie lubiłam.

- Och nie! - krzyknęła Rosa. - To taki piękny dom!

- Tak. Chciałabym uwolnić wszystkich Murzynów. Ile razy ich widzę, z każdą chwilą coraz bardziej nienawidzę niewolnictwa. Jadę przez pole, na którym pracują ludzie, i myślę: „Ta kobieta z dzieckiem na plecach została kupiona za tysiąc dolarów, mężczyzna powożący wozem - za piętnaście tysięcy.” Nie mogę tego znieść.

W pokoju zaległa cisza. Miriam zdawała sobie sprawę, że Rosa ją potępia. Gabriel być może też, ale jego mina świadczyła, iż przynajmniej gotów jest wysłuchać jej argumentów. Kontynuowała zatem:

- Tak trudno jest pogodzić te uczucia z ludźmi, których znam tak dobrze. Ostatecznie Eugène nie jest łajdakiem.

- Nie, nie jest - zgodził się Gabriel.

- Po prostu postępuje tak samo, jak inni. Mieszka tutaj i nie różni się od reszty. Rozumiem to.

Z ulicy, poprzez otwarte okna, dobiegł głos handlarza:

- Karczochy! Figi! Melony!

- Sprzedawca zieleniny - ucieszyła się Rosa. - Kupowałaś od niego figi? W tym sezonie ma owoce o wyjątkowym smaku.

- Ten staruszek - powiedziała Miriam, ignorując pytanie - wykupuje swoją wolność odkąd go znam. Jego właściciel musi mieć z tego handlu od dwóch do trzech tysięcy dolarów zysku rocznie. Im więcej rozumiem, tym bardziej tego wszystkiego nienawidzę!

- A co myśli o sprzedaży Beau Jardin Eugene? - spytał Gabriel.

- Oczywiście nie podziela mojego zdania. Nie chce o tym słyszeć. Z wyjątkiem Dawida, nikt mnie nie rozumie, a nawet on pisał ostatnio, że być może będziemy potrzebowali schronienia, jeśli wybuchnie wojna. Od swojego wyjazdu przed dwoma laty stał się dużo większym pesymistą.

- Jeśli wybuchnie wojna! - wykrzyknęła Rosa.

Miriam pomyślała ze współczuciem, że jej synowie zostaną powołani do wojska.

- Tak - odparła. - Dawid uważa, że nic nie powstrzyma jej wybuchu. Pytanie tylko, kiedy.

- Dzięki takim, jak on! - powiedziała cierpko Rosa. - Jak sprytnie się zachowywał przez cały swój pobyt tutaj! Któż by się domyślił, co robił naprawdę! - Jej głos ciął powietrze. - To prawdziwy cud, że udało mu się ująć cało.

- Wszystkimi targają wielkie emocje. Dobrze być ostrożnym - poradził Gabriel. I Miriam zrozumiała, że to ostrzeżenie było adresowane do niej. - Niedawno, na spotkaniu Koła Opieki nad Żydowskimi Wdowami i Sierotami, część mężczyzn była bliska wybuchu.

- My, Żydzi, powinniśmy trzymać się z dala od polityki - oświadczyła Rosa. - Mamy wystarczająco dużo własnych kłopotów na głowie. Popatrz na ten bałagan w Synagodze Albany w Nowym Jorku, gdzie ortodoksi zwalczają rabiego Wise'a i jego działalność na rzecz praw kobiet! - Z emocji brakowało jej tchu.

- Niestety, nie mogę się z tym zgodzić - powiedziała Miriam.

- Agitatorzy po obu stronach podburzają ludzi - stwierdził rozsądnie Gabriel. - Zgadza się z poglądami Isaaca Lesera, publikowanymi w „Kurierze Żydów Amerykańskich”. Uważa, że Żydzi powinni zostać pośrodku jako rozjemcy.

- Trudno być neutralnym, kiedy się w coś wierzy - odpowiedziała cierpko Miriam. - Czytałeś Chatę wuja Toma? Dawid przysłał mi ją z Nowego Jorku. Na Północy sprzedano już ponad milion egzemplarzy.

- Przeglądałam ją. To książka sensacyjna. Wszystko jest w niej przesadnie wyolbrzymione, i doskonale o tym wiesz, Miriam - prychnęła Rosa.

- Być może. Czasem trzeba jednak przesadzić, żeby uwypuklić pewne rzeczy. Głos Rosy stał się szorstki.

- Naprawdę sędzę, że powinnaś trzymać się z dala od drażliwych tematów.

Rozumiem, że masz swoje przekonania, ale wydaje mi się, że podobne poglądy sprawiły ci już dość kłopotów i nie powinnaś starać się o nowe. Przynajmniej wysłuchaj mej rady i nie mów głośno o tym, co myślisz, przy rodzinie swojej macochy. To cud, że nikt z nich o nic cię nie obwiniał. Nie miałaś z tym nic wspólnego, ale to twój brat i twoja obecność musi stale im o tym przypominać.

- Doskonale wiesz, że nigdzie indziej nie poruszam tych tematów - odpowiedziała Miriam.

- Dobrze - mruknęła Rosa. - My ponosimy cały wstyd za niewolnictwo, podczas gdy Północ podnosi cła i czerpie z tego korzyści.

- Korzyści? - powtórzyła Miriam.

- Korzyści. Pieniądze.

- Wszystkie dyskusje nie zmieniają faktu, że system chyli się ku upadkowi, bez względu na to, kto wygra. Cały czas to powtarzam - przerwał im Gabriel.

- Wiec uważasz wojnę za pewnik? - krzyknęła jego siostra.

- Jasno to widać. Partia Republikańska zwiera szeregi, żeby przeciwstawić się rozciągnięciu niewolnictwa na nowe terytoria. Następnym krokiem będzie zniesienie go na Południu.

- Myślisz, że mają do tego prawo? - Rosa była przerażona.

- Nie, uważam, iż Rząd Federalny nie ma takich uprawnień. To wtrącanie się w wewnętrzne sprawy stanów.

- W jaki więc sposób mogą znieść niewolnictwo? - spytała Miriam.

- Każdy stan musi dojść do tego sam. I w odpowiednim czasie zrobią to, jeżeli nie będzie się ich naciskać.

- W odpowiednim czasie... - powtórzyła Miriam.

- Na razie - stwierdził Gabriel - każdy stan ustanawia własne prawa.

- Jak zwykł mawiać Dawid, powiedziane, jak na prawnika przystało - uśmiechnęła się Miriam, chcąc rozładować napiętą atmosferę.

Gabriel nie odwzajemnił uśmiechu. Zamiast tego wstał, oparł ręce o grzbiet fotela i z namysłem, jakby sam do siebie, zaczął mówić:

- Czasami chciałbym nie być prawnikiem. Wolałbym być muzykiem albo matematykiem zajmującym się abstrakcyjnymi problemami. Wszystko jasne i logiczne. Pozbyłbym się wszelkich emocji. Tylko fakty, same fakty. - Wyrzwał przez okno, za którym pszczoły brzęczały w bujnych pnączach wistarii. - I czasami ogarnia mnie chęć, żeby pojechać prosto do Kalifornii - nie po złoto, to mnie nie interesuje, po prostu, żeby przeżyć coś nowego. Chciałbym wsiąść na „Wiedźmę Morską” i opłynąć Przylądek Horn. - Na

jego twarzy pojawił się uśmiech rozmarzenia. Być może wyobrażał sobie już siebie, jak stoi na dziobie „Wiedźmy Morskiej” i smakuje morski wiatr. - Ustanowiła rekord, w dziewięćdziesiąt siedem dni z Nowego Jorku do San Francisco. - Przerwał i położył rękę na ramieniu Rosy, która wpatrywała się w niego pełna niepokoju. - Nie obawiaj się, nie opuszczę cię teraz, póki twoi synowie nie dorosną i nie wybiorą własnej drogi.

- To pomówmy o czymś miłym - odpowiedziała Rosa.

- W porządku, kochanie. Słuchamy cię.

- Dobrze - zaczęła - czy ktoś z was wybiera się na Króla Dawida? Słyszałam go już wcześniej. Co za wspaniała muzyka! Wyobraź sobie tego chłopca, miał tylko piętnaście lat! Louis Moreau Gottschalk. Wydaje mi się, że jego dziadek był jakimś krewnym matki Henry'ego.

„Każdy Żyd, któremu się powiodło, nieważne skąd pochodził, zawsze okazywał się «jakimś krewnym», pomyślała rozbawiona Miriam.

- To wspaniałe dzieło i zamierzam go wysłuchać. Teraz opuszczę was, moje panie, abyście dalej mogły dyskutować o równie czarujących rzeczach - oznajmił Gabriel zostawiając je.

- Podoba mi się twój kapelusz - powiedziała na zgodę Rosa. - Oddalam moje wszystkie czepki. Tylko stare kobiety je noszą. Tak, bardzo ci w nim do twarzy. Ale wyglądasz na zmęczoną. Widywałam cię już w lepszym stanie. Chyba zbyt ciężko pracujesz.

„Tylko dzięki tej pracy żyję - pomyślała Miriam nic nie odpowiadając. - Gdyby nie ona, moje życie nie miałoby żadnego sensu.” Rosa napełniła filiżanki.

- Jaki ci się podobają moje nowe wnętrza? Nic nie mówiłaś.

Od czasu wycieczki do Nowego Jorku zakochała się w stylu Beltera. Na nowo urządziła stary salon. Na suficie umieściła gipsowe girlandy, położyła nowy dywan w kwiaty. Kanapy i krzesła pokryto nowymi, satynowymi obiciami w złote pszczoły na błękitnym tle. Okrągły stół miał blat z marmuru. Każdy skrawek boazerii pokrywały rzeźbione kwiaty, winne grona i jednorożce. Wszystkie te wspaniałości odbijały się w czterech olbrzymich lustrach umieszczonych w kątach pokoju.

- Nie podoba ci się? - spytała Rosa i zanim Miriam zdążyła odpowiedzieć, kontynuowała: - Bądź ze mną szczerą. Nie, nie dbasz o to, widzę po tobie. To nie w twoim stylu. Być może jest to trochę na pokaz, ale czuję się z tym szczęśliwa.

- To jedyne, co się liczy - powiedziała delikatnie Miriam.

- W końcu trzeba mieć jakąś rozrywkę, prawda? Żyję samotnie. Mój brat i synowie są dla mnie bardzo dobrzy, ale czuję się samotna.

- Wybacz to pytanie, ale znamy się już dostatecznie dobrze i tak długo, że mogę ci je zadać: dlaczego kobieta tak pełna życia jak ty nie wyszła powtórnie za męża?

Rosa odstawiła delikatnie filiżankę i uważnie popatrzyła na Miriam.

- Z tej samej przyczyny co i mój brat.

- To znaczy?

- Jesteśmy tacy sami. Jeśli nie możemy mieć tego, czego pragniemy, nie chcemy żadnej namiastki. Pamiętasz, opowiadałam ci kiedyś.

- A tak. Nie był Żydem.

- Nie był i nie jest.

- Więc on wciąż żyje?

- Tak. I ciągle go kocham. Jest wspaniały, ale nie mogę tego zrobić. Oczywiście, gdybym znalazła innego mężczyznę tak dobrego, jak był Henry, i do tego mojej wiary... - ale nie znalazłam i jak już ci mówiłam, nie chcę nikogo gorszego.

- Tak samo jest z Gabrielem?

- Niezupełnie. Nie rozumiesz, co mam na myśli?

- Co?

- To, że on nigdy nie kochał nikogo innego prócz ciebie. - Rosa przyglądała się jej z niegrzeczną wręcz ciekawością. - Nigdy nie związałyby się z inną kobietą, gdyż ty stale zajmowałaś jego myśli.

W odróżnieniu od starych zarzutów Eu gene'a, to musiała być prawda, oszałamiająca prawda.

- Czy Gabriel ci o tym powiedział?

- Powiedzmy, że wyciągnęłam to z niego.

Miriam pomyślała o André. Niewiarygodne, by jakiś mężczyzna mógł być nią równie zafascynowany, jak ona kiedyś tamtym człowiekiem. Nagle Rosa przestraszyła się. Położyła dłoń na ustach.

- Nie dasz poznać po sobie, że ci powiedziałam? Nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Wymknęło mi się, przysięgam, nie chciałam ci nic mówić. Był taki smutny, kiedy mi to powiedział, i obiecałam, że nikomu tego nie powtórzę.

- Zaufaj mi. Daję ci moje słowo. Czy naprawdę myślisz, że mogłabym poruszyć podobny temat przy Gabrielu?

- O mój Boże! O czym my rozmawiamy! Opowiedz mi najnowsze ploteczki.



- Nie znam żadnych. Nic nowego nie słyszałam. Wszystkie popołudnia spędzam w biurze.

- W porządku. Ja znam trochę. André Perrin wreszcie wraca do domu. Co o tym myślisz? Myślałam już, że na zawsze zostanie w Paryżu. Ale słyszałam, że nie udało mu się odzyskać wszystkich pieniędzy, włożonych w dom w dzielnicy agrodów. Co za ekstrawagancja! Wybudować dom i nigdy go nie używać!

Potem Rosa zaczęła mówić o nowych sąsiadach mieszkających po drugiej stronie ulicy, o żonie rabiego, cenach u krawcowych. Ale Miriam słuchała jej tylko połowicznie, reszta jej uwagi zaprzątnięta była domem, dziećmi, myślami o Gabrielu, któremu nagle bała się spojrzeć w twarz, i myślami o André, który wrócił do domu i prawdopodobnie całkiem o niej zapomniał. A jeśli nawet nie zapomniał, to co z tego?

Wstała i wyszła. Przed domem czekał powóz.

- Maxim - powiedziała - zanim pojedziemy do domu, chcę jeszcze coś zobaczyć. - Kazała mu pojechać do dzielnicy ogrodów.

Minęli ulice Uranii, Talii i Euterpe, mijając wieżyczki, przeszklone werandy i wystrzyżone trawniki. To był zupełnie inny świat w porównaniu z Vieux Carré - świat amerykański.

- Tutaj, Maxim. Zatrzymaj się na chwilkę.

Dużo minęło czasu od dnia, kiedy po raz ostatni widziała ten dom. Z satysfakcją zauważyła, jak bardzo różnił się od innych. Biały, klasyczny, stał samotnie otoczony wysokimi mimozami. Przez kilka minut siedziała nieruchomo w powozie i przyglądała się dziecku bawiącemu się z tyłu domu, oknom na piętrze, przysłoniętym tylko białymi, koronkowymi firankami, kryjącymi piękny pokój, w którym razem sypiali pan z panią.

Koń ogonem odpędził muchę i stuknął kopytem, budząc Miriam z rozmarzenia.

- Teraz do domu, Maxim.

- Tutaj jest bardzo ładnie, panienko Miriam - Maxim obserwował dom. - Dzisiaj rano, jadąc z panią Emmą, musiałem przejechać ulicą Adeli. Robiła tam zakupy. Nie uwierzyłaby panienka, że to to samo miasto. Potworna rzeźnia i ten smród! Ci Irlandczycy to prawdziwe brudasy.

Każdy chce patrzeć na innych z góry. Maxim, odziany w piękną liberię, powożący eleganckim powozem, czuł się kimś lepszym od biednych Irlandczyków, którzy nie mieli porządnych ubrań, powozów i panów. Dziwaczne.

Ferdinand i Emma pili kawę na werandzie.

- Długo cię nie było - stwierdził Ferdinand.

- Tak. Rosa i ja rozmawialiśmy ze sobą po załatwieniu interesów.

- O czym tyle dyskutowałyście? - Po tym, jak „wypadł z kursu”, był łasy na wszystkie nowinki, nawet najmniej istotne.

- Och, o religii, meblach, wojnie...

- Wojnie! - Ferdinand był oburzony. - Nie będzie żadnej wojny. Zostawiliśmy je w Europie.

- Gabriel uważa, że wojna jest nieunikniona. Tak jak Dawid. Ale - zaryzykowała śmiałą tezę - myślę, że gdyby kobiety rządziły światem, to nikt by nie walczył. Na pewno znalazłybyśmy inne metody rozwiązywania problemów.

- Kobiety, kochanie? - Ferdinand uśmiechnął się do Miriam tak samo jak do małego Eugene'a i Angélique. - Kobiety? Skoro mężczyźni z ich inteligencją i siłą nie umieją lepiej ułożyć spraw, skąd ta pewność, że kobiety potrafią? Dlaczego nie powierzyć rządów dzieciom?

„A kto się zajmował domem od czasu, gdy Eugène stracił wzrok, a ty pieniądze - pomyślała gniewnie. - Próżny, niemądry mężczyzna!”

Ferdinand wyglądał jednak tak staro, kiedy wymachiwał ramionami z żalosną pyszałkowatością, że nic mu nie odpowiedziała.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY.

Jesienią znad Zatoki powiała chłodniejsza bryza, a słońce, już nie tak rozpalone, rozsiewało dobroczynne ciepło. W bocznym ogrodzie, gdzie Miriam usiadła z książką, pierwsze żółte liście opadły na ramiona posągu Afrodyty; na suchej trawie leżały przejrzałe śliwki. Zwabione ich słodkim sokiem pszczoły odprawiały nad nimi szalony taniec. Szczęknęła furтка. Lekko zirytowana spojrzała, kto zakłóca jej spokój.

- Miriam, właśnie przyjechałem. Przyszedłem tak szybko, jak mogłem - powiedział André.

Tak często w wyobraźni przeżywała tę sytuację, przypadkowe spotkanie na ulicy lub przy okazji oficjalnego przyjęcia albo nawet, jak w niemieckiej operze, tajemną schadzke w lesie. Zabawiała się wymyślaniem takich nedorzecznych historii i odrzucaniem ich po kolei. Teraz, kiedy stał przed nią, sama nie wiedziała, co czuje, poza tęnym zdumieniem, że znów go widzi.

- Tak wiele się wydarzyło, odkąd wyjechałem. Twój brat... Och, Miriam, moje serce płakało wraz z tobą.

- Wiesz, co się przydarzyło Eugene'owi?

- Tak. Od dawna. Emma napisała do Marie Claire. Marie Claire. To imię zawisło w powietrzu między nimi.

- Jak się ona - twoja żona, czuje? - Nie wiedziała, czy wypowiadając to słowo miała zamiar zranić jego czy siebie.

- Nie przyjechała ze mną. Ma kilka koncertów. Jej nauczyciel jest pełen optymizmu. W każdym razie chciała zostać jeszcze przez jakiś czas.

„A zatem oddalają się od siebie” - pomyślała złośliwie i natychmiast zawstydziała się swoich myśli.

- Musiałem wrócić. Byłem już zbyt długo z dala od domu. Wynajęliśmy dom w dzielnicy Pontalby.

- Tam są piękne domy - powiedziała Miriam.

Te banalne uwagi - cóż się w nich kryje? Wyglądał tak, jak dawniej, była od niego ta sama radość. Czy pamiętał ich rozstanie w tym miejscu, kiedy ściskali się ostatni raz? Pewnie nie. Czas płynie, wszystko się zmienia, zmienia z każdą mijającą chwilą.

- Czy chciałabyś zobaczyć dom? - zapytał André.

Potrzebowała spaceru, ruchu, musiała coś zrobić z tym huraganem, który szalał w jej wnętrzu.

- Bardzo chętnie - odpowiedziała powściągliwie.

Wraz z końcem porannej mszy ulice wypełniły się życiem. Strumienie ludzi podążały na swoje ulubione niedzielne rozrywki, walki kogutów, wyścigi konne, pokazy kuglarzy i do tawern.

- Jak widzę, niewiele się tu zmieniło - zauważył André. - Przypuszczam, że protestantom wciąż nie podoba się radosny nastrój katolickiej niedzieli.

- Tak sędzę.

- Nie widzę nic złego w tym, że ludzie się bawią, niezależnie od dnia. Ponury nastrój nie uczyni dnia lepszym.

Namałym podwórku z tyłu katedry dzieciarnia tłoczyła się wokół wózka z lodami.

- To też się nie zmieniło.

- Właśnie - potwierdziła Miriam.

Czuła, że ich rozmowa jest sztuczna. Zastanawiała się tylko nad jednym ważnym pytaniem: czy wciąż jesteśmy tacy sami, czy rozstanie i upływ czasu wywarł na nas swoje piętno?

- Wspaniały budynek - powiedział André patrząc na nową katedrę.

- Tak, dzięki szczodrości Judy Touro.

- Czytaliśmy w Europie o jego testamencie. Niezwykłe! Ta cała dobroczynność, szpital żydowski, sierocińce i pomoc dla ubogich w Jerozolimie. Godne uwagi.

- Gabriel mówił, że gdyby Touro umarł dziesięć lat temu, nie pozostawiłby nic w testamencie żadnym żydowskim organizacjom. Wiesz, że Gabriel miał na niego wielki wpływ. Był jednym z ludzi, którzy pomogli mu wrócić do starej wiary.

- Co u Gabriela? Nadal w stanie wolnym?

- Tak.

W pewien sposób czuła się, jakby broniła Gabriela lub, zupełnie nielogicznie, jakby było jej winą, że to ona stanowi obiekt jego miłości. Nagle uświadomiła sobie, że myśli na głos:

- Był dla mnie wielką podporą, moją prawą ręką od czasu wypadku Eugene'a.

- Zbyt wiele rzeczy musiałaś udźwignąć! - wykrzyknął André. - Zbyt wiele. Zatrzymał się przez chwilę i zanim otworzył drzwi, z wyraźnym rozrzewnieniem spojrzął na plac.

- Gdyby nie pomnik Andrewa Jacksona na koniu, można by pomyśleć, że to Place des Vosges w Paryżu.

Wprowadził ją do wysokiego salonu z marmurowym kominkiem w stylu Ludwika XV. Podeszli do okien; w tym pokoju każdy machinalnie podchodził do okna. Poniżej jesienne kwiaty pokrywały rynek różowym dywanem. Po prawej stronie widać było groblę i lśniąca rzekę. Stali w milczeniu.

„Co ja tutaj robię?” - pomyślała Miriam. I zaczęła mówić wysokim, nienaturalnym głosem:

- Na to nabrzeże przyплыnęła Jenny Lind. Witają ją tysiące ludzi. Co za tłum! Mieszkała w domu baronowej Pontalby.

- Naprawdę? - André stał za nią nie dotykając jej, ale na plecach i ramionach czuła promieniujące od niego ciepło.

- Tak. Spędziła tutaj miesiąc. Bilety na jej koncerty kosztowały dwieście dolarów i więcej. - Dodała gorączkowo: - Być może Marie Claire będzie kiedyś tak sławna.

Dlaczego wspomniała o Marie Claire?

- Marie Claire ma piękny głos, ale słaby. Nigdy nie będzie taka, jak Jenny Lind czy Adelina Patti, chociaż jeszcze tego nie wie.

- Przykro mi - szepnęła.

Poważne, nieładne dziecko wyśpiewywało swoją duszę w salonie papy. Pospolita panna młoda stała obok André. Ciotka Emma fałszywie szeptała: „Czyż nie piękna z nich młoda para?”

- Przykro ci?

- Tak. Żałuję, że Marie Claire nigdy nie osiągnie tego, o czym tak bardzo marzy. To straszne, pożądać czegoś wiedząc, że nigdy się tego nie będzie miało.

- Nie przyszliśmy tutaj rozmawiać o niej - powiedział.

- Sama już nie wiem. - Ukryła twarz w dłoniach.

Oparł jej głowę o swoje ramię. Palcami muskał jej włosy, wyjmował szpilki, rozplatał kok, aż długie pasma włosów zsunęły się jej na ramiona.

Miriam czuła, jak silnie bije jej serce. Narastało w niej coś, czego jeszcze nigdy nie odczuwała: rozkwitały kwiaty, padał deszcz, szumiały fale. Dłonie André rozpięły suknię Miriam, a ona wciąż stała nieruchomo, z zamkniętymi oczyma, przyzwalając mu na robienie tego, na co miał ochotę. Odpiął krynolinę i kilkanaście metrów żółtej tkaniny opadło na podłogę. Otworzyła oczy i ujrzała w lustrze blad różowe piersi ponad stanikiem, który po chwili także zsunął się w dół. Mieniła się na twarzy; jej odbicie w lustrze falowało;

cienie pod oczyma wyglądały jak ślady łez, lecz kiedy wargi uniosły się wolno, na ustach zakwitł nieśmiały uśmiech.

Podniósł ją i delikatnie trzymając zaniósł do pięknego, białego pokoju. Położył ją na łóżku.

Głowa André spoczywała na jej ramieniu. Wolną ręką gładziła policzek, po którym delikatne popołudniowe światło ślizgało się zostawiając cienie, złocąc włosy. Jak piękna była jego ręka z palcami delikatnie ruszającymi się przez sen. Każdy paznokciec, gładki jak szkło. Co za delikatność, zręczność w tych silnych dłoniach!

Z rozkoszną ociężałością wyprostowała rękę, czując zapach cytryny na swojej ciepłej skórze, czując, jak cała rozkwita. Mocniejszy powiew wiatru obudził André.

- Nie śpisz? - szepnął.

- Nie, jestem senna, ale nie spałam.

- Rozmyślałaś - upomniał ją delikatnie . - Za dużo myślisz.

- Często denerwowałam się, jak to będzie, kiedy wrócisz.

- Teraz już wiesz. Nie musisz się więcej bać.

- Czuję, jak gdyby nie było tych wszystkich lat, jakbyś wyjechał wczoraj.

- Chcę, żebyś była szczęśliwa... szczęśliwa, - całował jej powieki.

- Gdybyśmy nie musieli wstawać, gdybyśmy mogli zostać w tym pokoju.

- Droga Miriam, jesteśmy tutaj, nie psuj tego.

- Nie zamierzam, ale...

- Ale co?

- Gdyby nie było Eugene'a i Marie Claire!

Jej pończochy i bielizna zwisały z poręczy fotela. Przypomniało jej to o kobiecie Eugene'a. „Wcale nie jestem lepsza od niej”.

- Przejmujesz się nimi? Nie odbieramy im nic, czego by pragnęli. Z pewnością nie Eugene'owi, po tym wszystkim co mi opowiedziałaś.

- A Marie Claire?

- Mówię ci, że to bez znaczenia. Ona dba tylko o swój głos, nic więcej jej nie interesuje, a już na pewno nie ja! A skoro ona o to nie dba, dlaczego ja mam się przejmować?

- Czy wiesz, z pewnością mi nie uwierzysz, ale to prawda, zawsze wydawało mi się, że losy jej i mój skrzyżują się kiedyś.

- Często masz takie wizje? - zażartował.

- Niezbyt często - odpowiedziała poważnie. - Czasami. Jeśli chodzi o nas, widzę tylko białą mgłę.

- Zbyt długo słuchałaś służących. Zabobony. Posłuchaj mnie. - Przytulił ją.  
- Zawsze słuchaj mnie. Wyobraź sobie, że wyruszyłaś w długą, cudownie niebezpieczną podróż. Ja jestem przewodnikiem, mam zadbać o twoje bezpieczeństwo. Będę cię chronił.

- Rozpieszczasz mnie - uśmiechnęła się. - Już sam twój głos działa uspokajająco.

- To wszystko, czego pragnę - pocałował ją. - Przyjdiesz znów? Będę czasem musiał wyjeżdżać, mam interesy na Północy, ale nigdy na długo. Przyjdiesz?

- O tak, tak! Przyjdę. I tak się zaczęło.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY.

Byli tacy, którzy w tym ostatnim roku pokoju dostrzegali nadciągające niebezpieczeństwo. Inni zaprzeczali mu, choć ostrzeżenie płonęło na niebie, wypisane ognistymi literami.

John Brown targnął się na federalny arsenał w Harpers Ferry. Na Północy sławiono go jako obrońcę ludzkiej wolności, natomiast na codziennych spotkaniach kupców i plantatorów podczas lunchu w Maspero's Exchange stale padały pod jego adresem słowa najwyższego potępienia. Uznano go za niebezpiecznego agitatora, zagrażającego spokojowi zwykłych ludzi. Przy podobnych okazjach wspominano też często Dawida Raphaela i zastanawiano się, skąd taki człowiek wziął się w porządnej rodzinie. Wszyscy żalowali jego krewnych. Cytowano polityków, którzy twierdzili, że secesja jest nieunikniona, chyba że wkrótce uda się osiągnąć „rozsądny kompromis”. Zniżając głos, wspominano Anglików, wymordowanych podczas indiańskiego buntu w Lucknow zaledwie kilka lat wcześniej.

Tegoroczne Mardi Gras zostało zorganizowane z równym przepychem, co zawsze; Opera Francuska rozpoczęła sezon Dionizettim, Massenetem i Bellinim. Na gościnnych występach zaśpiewała Adelina Patti, w najmodniejszych domach zainstalowano stanowiące absolutną nowość oświetlenie gazowe. Kobiety zaczęły się czesać z przedziałkiem na środku głowy, w stylu średniowiecznych madonn, i pozowały do fotografii.

Może jednak to nie nieświadomość, lecz strach przed wojną spowodował te wszystkie szaleństwa. Nawet Eugene wyrwał się ze swej obojętności.

- Zbyt długo nie mieliśmy gości w Beau Jardin - powiedział pewnego dnia. Zmarszczył brwi. - Dlaczego nie wyprawiliśmy dotąd żadnego przyjęcia?

- Oszczędzaliśmy - przypomniała mu Miriam z niechęcią. Nigdy nie pochwalił jej za to, co zrobiła.

- Zaprosimy ludzi w czasie zbiorów trzciny.

To oznaczało tydzień szalonych rozrywek, oprowadzania gości po cukrowni, picia gorącego soku trzcinowego z rumem, podczas gdy niewolnicy będą harowali dwadzieścia cztery godziny na dobę, póki nie przerobi się całego zbioru.

- Zawieziemy wszystkich w górę rzeki na „Edwardzie J. Gayu”. Jeśli już w ogóle mamy coś robić, to z rozmachem - oznajmił. Wyraźnie zapalał się do swego pomysłu. - Chciałbym, aby przygotowano wytworne menu, rybę, zupę żółwiową, gołębie, co tylko zdołasz wymyślić. Zapewne brakuje nam



madery. Od tak dawna nie sprawdzałem zapasów. Czy mogłabyś się tym zająć? A także listą gości? Jak wiesz, ja nie mogę pisać.

Posłusznie przyniosła papier i ołówek.

- Zaczniemy od Gabriela i jego siostry.

- Rosa będzie jeszcze w Saratodze - przypomniała.

- A zatem sam Gabriel. To drętwy gość, ale ożywa przy tobie. Oczywiście krewni Emmy, Eulalia, Pelagia i wszystkie jej dzieci, które zechcą przyjechać. A, tak, zapisz też Perrina, André Perrina. Nie rozmawiałem z nim od jego powrotu do miasta. Nigdy nie przychodzi z wizytą. Sądziłem, że zachowa się lepiej.

Miriam zawahała się z ołówkiem uniesionym nad kartką. Z całych sił powstrzymywała rozdygotaną dłoń.

- Jeśli tak, to po co go zapraszać?

- Och, nie mam do niego pretensji. Wiem, że dużo podróżuje, i może dlatego jeszcze nas nie odwiedził. Zawsze go lubiłem, jest niegłupi. Jeździ po całym świecie. Gdybym tylko mógł, też nie siedziałbym w domu.

- Zatem jest bardzo prawdopodobne, że znów gdzieś wyjechał. Jeśli chcesz, dowiem się.

- Nie trzeba. Sam potrafię to sprawdzić. Zapisz go.

André Perrin. Litery same pojawiły się na papierze i natychmiast rozplynęły się w bezkształtne plamy, zaalarmowane gwałtownym biciem wystraszonego serca.

Po obiedzie mężczyźni zasiedli na werandzie, paląc i rozmawiając. Szmer ich głosów zakłócał dobiegające z salonu dźwięki harfy, na której grała córka Pelagii, Félicité.

Myśli Miriam błąkały się bez celu niczym zagubieni wędrowcy, bezskutecznie szukający schronienia. Od Angélique, która udając, że słucha muzyki, żałowała zapewne, że nie jest tak duża jak kuzynka i nie może jeszcze nosić wysoko upiętych włosów, wędrowały do dyskutującego na werandzie André. Wyteżyła słuch, ale nie dosłyszała jego głosu.

Po trzech dniach nadal ani na moment nie udało im się spotkać na osobności. Mężczyźni i kobiety osobno zażywali kąpieli w rzece. Na wiejskie wycieczki udawali się grupkami, grupkami też spożywali obiady i grali w karty. Czasami ich spojrzenia spotykały się, lecz pamiętając, jak twarz Pelagii zdradzała każdemu uwielbienie dla Sylvaina, Miriam szybko odwracała wzrok.

Pomyślała z zaciekawieniem, że twarz Gabriela jest taka zamknięta, nie zdradza niczego. Czyżby Rosa się myliła? Nie, oczywiście, że nie. A zatem i jemu musiało być dziś bardzo ciężko... Jakież to dziwne, że dwaj mężczyźni, którzy ją kochają, siedzą teraz obok siebie!

Ona zaś jest dystygowaną żoną szacownego dżentelmena, panią jego domu, matką chłopca na tyle dorosłego, by po obiedzie zająć miejsce wśród mężczyzn, i córki, dla której miała stanowić wzór do naśladowania...

Co by powiedzieli wszyscy, gdyby odkryli jej tajemnicę? Jej dzieci... stałaby przed nimi napiętnowana. Jakżeby one cierpiały! Otarła spocone czoło.

- Myślę - wspominała Pelagia - o tym, jak kiedyś słuchaliśmy śpiewu Marie Claire. To dziwne, że zdecydowała się zostać za granicą. Jej młody mąż musi znosić to z trudem.

- Tak przypuszczam - zgodziła się Miriam.

- A przecież sprawia wrażenie zadowolonego! Prezentuje się bardzo dobrze, nie wydaje ci się?

- Bardzo dobrze.

- Ty też wyglądasz znakomicie. Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz widziałam cię tak kwitnącą, zaróżowioną.

Miriam ruszyła w stronę okna, tłumacząc się zaduchem, w rzeczywistości jednak chcąc uciec od paplaniny Pelagii.

- Mam wielki respekt dla rabiego Wise'a - powiedział Gabriel. - Twierdzi, że religia i polityka powinny być rozdzielone, i ja się z nim zgadzam.

- Tak, Wise - odpowiedział Eugene. - Wise jest przeciwko niewolnictwu i oczywiście pod tym względem nasze poglądy się różnią. Ale kiedy mówi, że raczej należy zerwać Unię, niż dopuścić do wybuchu wojny, to się z nim zgadzam.

- Jeśli wybuchnie wojna, będzie to winą protestanckich kaznodziei, którzy wygłaszają podburzające abolicjonistyczne kazania.

Miriam kiedyś też o tym rozmyślała, jednak w tej chwili interesował ją tylko André. Powoli stawał się jej obsesją.

- Podobno władze stanowe przewidują kryzys - ciągnął Eugene. - Mówi się, że jeśli republikanin zostanie wybrany prezydentem, dokonamy secesji.

- To oznacza wojnę - dodał jakiś głos. Przyłączyły się inne głosy.

- Mamy za mało wszystkiego: fabryk wozów, amunicji, namiotów.

- Czy możecie sobie wyobrazić abolicję? Tutaj? Zgroza. Hordy bezdomnych włóczęgów, którzy nie mają nic do jedzenia z wyjątkiem tego, co ukradną.

Poczuła dotknięcie na ramieniu.

- Cudowna noc - powiedział André. - Zbyt piękna na tak przygnębiającą rozmowę. Czy nie masz ochoty na spacer albo przejażdżkę łodzią?

Uniosła do góry brwi, jakby chciała powiedzieć: nie możemy tego zrobić. André nie ustępował:

- Każda dama, która zechce ze mną popłynąć, jest mile widziana. Łódź może pomieścić dwie osoby. Będziemy się zmieniać. Pelagio, ty pierwsza?

Pelagia odmówiła. Miriam wstała, odsuwając krzesło. Przypomniało jej się, jak André odciągnął ją od rozmowy przy ich pierwszym spotkaniu.

- Na początku gawędziło nam się całkiem miło - stwierdził teraz. - Ale oni zawsze schodzą na politykę. Popatrz na gwiazdy. Były tutaj na długo przedtem, zanim powstały Północ i Południe, i pozostaną, gdy my dawno już przeminiemy.

Czerwonawy księżyc lśnił na jasnym niebie. Na tle dobiegających z salonu delikatnych dźwięków harfy usłyszeli melodyjne brzdąkanie gitary. Od chat dolatywał męski śpiew przepełniony tęsknotą i żalem; niepotrzebne były słowa, żeby rozpoznać żałobny nastrój starej pieśni.

André i Miriam szli obok siebie. Ścieżka na mokradła usiana była dywanem sosnowych igieł, na którym kroki czyniły mniej hałasu niż wietrzyk, kołyszący wierzchołkami drzew. Szare mchy porastające pnie dębów wyglądały jak włosy starej kobiety.

- Mech jest taki przygnębiający - powiedziała Miriam. André nie podzielał jej zdania.

- To nie jest zwykły mech. Należy do rodziny ananasowatych, a ananas to symbol powitania.

Pomógł jej wsiąść do łódki. W zwierciadlanie gładkiej toni ciemnymi plamami odbijały się nieruchome sylwetki drzew. André złożył wiosła, pozwalając łodzi swobodnie dryfować, i ujął dłoń Miriam. Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu, połączeni uściskiem rąk.

- Chciałbym, abyśmy dziś wieczór mieli dokąd pójść - szepnął André.

Wtedy ośmieliła się powiedzieć to, co od dawna w sobie tłumiała. Kobieta nie powinna przejawiać inicjatywy, powinna czekać na zaproszenie.

- Pragnę czegoś więcej niż tylko jednego wieczoru. Chcę mieć przed sobą jakieś perspektywy. - Kiedy nie odpowiadał, krzyknęła: - Co się z nami dzieje? Dokąd zmierzamy?

- Przestań! Nie mogę znieść, kiedy jesteś nieszczęśliwa! Posłuchaj mnie. Pamiętaj, że każdy dzień przynosi coś nowego. Gdy spotkaliśmy się pierwszy raz, tonęłaś we łzach. Nie mogłaś przewidzieć tego, co zaszło pomiędzy nami.

- To prawda - przyznała.

- Nie jestem przesądny ani zabobonny, ale widziałem wiele dziwnych, cudownych zmian, których nigdy bym się nie spodziewał. Dlatego nauczyłem się nie tracić nadziei.

Pogłaskał jej włosy. Dotyk jego palców uspokoił ją bardziej niż słowa. Współczucie André sprawiało, że zaczęła wierzyć, iż jakiś cudowny splot okoliczności usunie wszystkie przeszkody między nimi.

Wziął wiosła i zaczął płynąć do brzegu. Przez cały czas opowiadał jej swoim uspokajającym głosem o Nowym Jorku i Waszyngtonie, o teatrach i interesujących ludziach.

Wracali ścieżką do domu. W najgłębszym cieniu, tuż przed wyjściem na trawnik, André zatrzymał się i przytulił ją do siebie. Zadrżała i stojąc na czubkach palców zawisała na jego szyi, mocno go całując.

Wreszcie odezwał się:

- Nic ci nie mówiłem, ale w przyszłym tygodniu muszę wyjechać na Północ.

- Znowu? Musisz? - wykrzyknęła, karcąc się w duchu, że mówi jak żona.

- Muszę. Mam tam interesy, które wymagają mojej obecności. Wiesz, że zbliża się wojna. Nie mogłem już słuchać dyskusji na ten temat, ale mają rację. Jest nieunikniona.

- A kto zwycięży?

- Któż to wie? Północ ma więcej ludzi i pieniędzy. Południe uzyska pomoc z Europy, która potrzebuje bawełny. Ale kto może przewidzieć wynik?

- Na jak długo wyjeżdżasz? - starała się panować nad swoim głosem.

- To zależy od tego, jak potoczą się sprawy. Zapewne na kilka miesięcy, ale możesz być pewna, że wrócę. Tymczasem myśl o mnie, kiedy będziesz mijalała budynki Pontalby. Pamiętaj, że to miejsce czeka na nas. Obiecujesz?

Zrozumiała, że był świadom jej obaw i chciał ją uspokoić. Trzeba przyjąć wszystko z podniesionym czołem, to mu się spodoba.

- Obiecuję.

- W porządku! Zatem wracajmy.

Szczotka z trudem przedzierała się przez splątane włosy. W lustrze widać było posłane łóżko i Miriam pomyślała z ulgą, że zdąży zasnąć, zanim Eugene zjawi się w środku nocy i położy u jej boku. Ile godzin spędzili leżąc razem w ciemności, nie dotykając się! Pomyślała, że choć niewątpliwie stanowiłoby to występki przeciw prawu i obyczajom, o ileż naturalniejsze byłoby, gdyby zamiast Eugené'a do pokoju wszedł André i położył się obok niej.

Ktoś zapukał.

- Proszę! - zawołała, spodziewając się Fanny.

Była to jednak Eulalia. Jej falbaniasta spódnica zaszeleściła w drzwiach, uderzając o framugę, gdy Eulalia wpadła do pokoju jak burza. Natychmiast zaczęła mówić, niczym dziecko, które przybiegło z wiadomością i stara się jej nie zapomnieć.

- Chcę, żebyś wiedziała, że cię widziałam! Widziałam cię razem z nim i słyszałam każde wasze słowo.

Serce Miriam zamarło, choć powinno tłuc się jak oszalałe. Odłożyła szczotkę i czekała.

- Siedziałam na trawniku, kiedy usłyszałam wasze glosy. Nie śledziłam was, jeśli o tym myślisz.

- Nic nie myślę.

„Tylko spokojnie. Mów jak najmniej. A przede wszystkim nie daj jej poznać, że się boisz.”

- Uważam - powiedziała Eulalia cedząc słowa - że to wstyd. Wstyd. - Kropelki jej śliny padły na policzki Miriam. - Chyba jednak nie masz na tyle przyzwoitości, aby to sobie uświadomić.

Miriam zebrała myśli.

- Jeśli do tego stopnia nic nie rozumiałaś, nie będę ci wyjaśniać. Eulalia roześmiała się pogardliwie, tryumfująco i bezlitośnie:

- Tu nie ma nic do rozumienia! Pontalba! Tam więc chodzisz na popołudniowe spacerki, elegancka dama ze... ze złotymi bransoletkami!

„Rozgada to po całym domu i mieście. Usłyszą to moje dzieci i znienawidzą mnie.”

- Nic dziwnego, że przeniesiono stolicę stanu z Nowego Orleanu! Mówią, że to współczesna Sodomia. Jeśli kobiety z dobrych domów tak jak ty... - Przez chwilę Eulalii zabrakło słów.

Obserwując rumieniec wypływający na kark i szyję Eulalii, Miriam pomyślała, że właśnie ta jej złość do świata była przyczyną, dla której mężczyźni jej unikali.

- Jak myślisz, co powie twój ojciec, który myśli, że jesteś najlepsza na świecie! moja matka, która traktowała cię jak własną córkę! A teraz odpłacasz się im w taki sposób!

„No cóż - pomyślała Miriam. - Teraz zrobią ze mną, co tylko zechcą.”

- Czy to wszystko? No to nie mamy już o czym rozmawiać - odpowiedziała zimno.

- Wiesz, co ludzie o tobie pomyślą? Że jesteś dziwką! Tak, dziwką! Miriam pomyślała, że z pewnością pierwszy raz w życiu słowo to przeszło przez jej usta. Wstała i wymierzyła Eulalii siarczysty policzek.

- Nie używaj tego słowa w stosunku do mnie! Co ty wiesz o dziwkach? Albo o miłości? I w ogóle o czymkolwiek? Nienawidzisz świata! Jesteś zgorzkniałą kobietą, nienawidzisz samej siebie. Zostałaś moim wrogiem od dnia, kiedy przyjechałam do waszego domu. Byłam dzieckiem, ale wiedziałam to od początku. Teraz wreszcie masz w ręku broń! Dobrze, zrób, co chcesz, nie mogę cię powstrzymać...

- Słysząc was już w holu - powiedział wchodząc Eugene. - O co, u diabła, chodzi?

Nagle ściany nachyliły się i zafalowała podłoga.

- Potrzebuję świeżego powietrza - powiedziała Miriam i wychodząc na taras dodała: - Eulalia z przyjemnością opowie ci, o co poszło..

Z dołu ciągle dobiegała muzyka i głosy grających w karty mężczyzn. Pomiędzy nimi był André, nieświadom niczego, nie mający pojęcia, co się zdarzyło w przeciągu ostatnich kilku minut. Znowu pomyślała o dzieciach. To były dzieci Eugene'a, mógł pozbyć się ich matki i usunąć ją z ich życia, tak mówiło prawo.

„Życie ciągle nas zaskakuje - powiedział André dzisiejszego wieczora. - Poddaj się jego biegowi, to takie proste.” Ale to, co się teraz działo, mogło wszystko zniszczyć.

Jej serce znów zaczęło bić jak oszalałe. Jak długo serce może bić w tak szybkim rytmie?

Upłynęło może dziesięć minut, może pół godziny. Zorientowała się, że Eugene jest sam w pokoju.

- Możesz już wrócić - zawołał. - Siadaj.

Była zadowolona, że nie widział przestachu, jaki z pewnością malował się na jej twarzy.

- Tak - zaczął - niezła historia! Niezła! Ta kobieta to żalosna kreatura, ale trudno wyobrazić sobie, żeby wymyśliła coś takiego. A więc to musi być prawda.

Nie mogąc patrzeć na niego, wpatrywała się w swoje paznokcie. Westchnęła:

- To prawda. - Czekala na wybuch wściekłości.

Właśnie w tej chwili uchylone drzwi do holu rozwarły się szeroko i do pokoju wpadły dzieci.

„Mój Boże - pomyślała - powiedział im o wszystkim! Albo teraz im powie. Poniży mnie przed nimi, a one będą mną gardzić. Zostaną okryte hańbą. Żaden młodzieniec z towarzystwa nie zechce poślubić Angélique. W piekle obmowy ludzie nie zostawią na nich suchej nitki.”

- Mamo! - zawołała Angélique. - Dlaczego nie było cię na dole? Grali na pianinie, a my tańczyliśmy! Pan Perrin uczył mnie walca, mówi, że tańczę tak lekko, jak żadna dama w Paryżu!

- Naprawdę tak mówił? - spytał Eugène.

Zawarte w tych kilku słowach napięcie kazało Miriam oczekiwać wybuchu burzy. Ale on tylko zawołał córkę do siebie.

- Chodź do mnie, Angélique - pogłaskał jej ramię. - Koronka. Jaki ma kolor?

- Koronka jest biała, a sukienka niebieska.

- Bardzo ładne. Musimy kupić ci na wakacje aksamitną. Eugène, czy ty także tańczyłeś?

Chłopiec głośno zaczerpnął powietrza.

- Nie, to dla dziewczynek. Ja nie tańczę. Ojciec roześmiał się.

- Masz rację. Najpierw lekcje jazdy konnej i strzelania. Muszę kupić dla ciebie łagodną klacz. Blaise mi powiedział, że jesteś już za duży na kucyka. Tak, masz jeszcze czas na tańce. A teraz obydwójce do łóżka. I zamknijcie za sobą drzwi. Przypuszczam - powiedział, kiedy drzwi się zatrzasnęły - że nieźle się przed chwilą wystraszyłaś?

Miriam siedziała w fotelu z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Oczekiwałaś wybuchu - głos Eugene'a był pełen rozbawienia. - Nadzwyczajne! Zaskakujesz mnie! Przysięgłbym, że nie masz w sobie tyle energii! André Perrin. Przystojny człowiek. Ale zawsze sądziłem, że

Carvalho bardziej przypadłby ci do gustu. Chyba zresztą już ci to mówiłem? Nie?

Te kpiny były gorsze niż gniew. Tak właśnie kot bawi się ze schwytanym, piszczącym ptakiem, zanim go zabije.

- Z drugiej strony - zastanowił się Eugène - zasady moralne Carvalho nigdy nie pozwoliłyby mu na romans z zamężną kobietą, niezależnie od jego uczuć. Niedobrze! To byłoby mniej skomplikowane. On jest statecznym obywatelem, przez cały czas siedzi w jednym miejscu, podczas gdy tamten ciągle jeździ po świecie, nie mówiąc już o tym, że ma żonę, choć przebywa ona cztery tysiące mil stąd.

- Na miłość boską! Powiedz mi, co zamierzasz zrobić, i skończmy z tym!

- A czego się spodziewałaś? Że będę grał oburzonego męża? Urządzał dramatyczne sceny przy dzieciach? Wyrzucę cię z domu?

Nie odpowiedziała.

- Jak więc myślisz, co zrobię? Powiem ci. Nic. Miriam spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Oczywiście, z łatwością mógłbym zrobić wszystkie te rzeczy. Prawo jest po mojej stronie, opinia towarzyska także. Ale nie zamierzam nic robić. Nie jestem aż tak poruszony. Widzisz, prawdopodobnie znam ten świat lepiej niż inni mężczyźni.

„Tak, powinieneś znać, ty i ta twoja kobieta...”

- Chodzi mi tylko o to, żeby nic nie wydostało się na zewnątrz. Nasza rodzina jest powszechnie szanowana. Twój syn i córka noszą dobre nazwisko, znane od dwustu lat, i nic nie może go splamić.

- A więc nigdy się nie dowiedzą? Nigdy?

- Z pewnością. Będą rosnać w niewinnej nieświadomości. Są wszystkim, co miałem i będę miał - dodał gorzko.

Oszalały rytm jej serca powoli zaczął się uspokajać. Dzięki Bogu, och, dzięki Bogu! Nagle ogarnęło ją nieoczekiwane wzruszenie; mężczyzna, który wykazuje troskę o aksamitną sukienkę i łagodną klacz...

„Ale Eulalia” - pomyślała. Powróciło uczucie strachu.

- Eulalia? - wyszeptała drżącym głosem.

- Eulalia będzie milczeć. Tak naprawdę nie mam jej czym postraszyć. Ale szanuje mnie, być może nawet trochę się mnie boi. Nic nie powie, możesz być tego pewna.

Eugene podniósł się. Jak za dawnych dni promieniowała z niego siła.

- Oczywiście, jutro rano Perrin wyjedzie.



- Rano?

- A czego się spodziewasz? Nie życzę sobie, aby kiedykolwiek jeszcze przebywał pod moim dachem. Trzeba zachować odrobinę godności, nawet jeśli się żyje w taki sposób jak my. Ale świat o tym nie wie.

- Co zrobisz? Czy będą jakieś kłopoty?

- Jestem ślepy. Gdybym nie był, z pewnością znalazłoby się ich sporo.- Eugene gwizdnął z pogardą. - I gdyby nie to, że jest środek nocy, a ja jestem dżentelmenem, wyrzuciłbym go natychmiast. Ale wyjedzie, zanim zdążysz zejść rano na dół. Zrozumiałaś?

- Tak.

- I jego imię nigdy nie będzie wypowiedane w tym domu.

- Tak.

- Teraz kładź się spać i nie kręć się przez całą noc. Jestem zmęczony.

Nie kręciła się. Posłusznie leżała nieruchomo z rękoma złożonymi na piersiach. Nagle przypomniała sobie, że jest to pozycja, w jakiej zwykle układa się zwłoki, więc wyciągnęła ręce wzdłuż ciała. Letnie powietrze było ciężkie, dławilo, lecz wciągała je głęboko, napełniając płuca aż do bólu. Zaciskając pięści, przywoływała całą swą odwagę.

Musi postarać się uporządkować swe uczucia, opanować jakoś mroczną otchłań rozpaczy. Co czuła? Strach, pozostałości przeszywającego strachu. Frustrację na myśl o tym, że praktycznie znalazła się na łasce znienawidzonej, żalostnej Eulalii. Tak, i pierwsze oznaki nadchodzącej, nieuniknionej samotności: nigdy więcej nie zobaczyć André? Nigdy? I wstyd: czy chciałabym, aby moja córka postąpiła kiedyś tak samo, jak ja? Nie. Pragnę, aby nie musiała, nie miała potrzeby tego robić.

Myśli o Angélique sprawiły, iż nagle przed oczami Miriam stanął najnowszy list brata. Dawid starał się zawsze zainspirować ją kolejnym szczytnym pomysłem, zamiast tego jednak wzbudzał tylko jej niepokój.

Znalazł sobie nowy cel: walkę o prawa kobiet. Do listu dołączył cały plik wycinków z gazet, traktujących o niejkiej Ernestine Rose, córce rabina, abolicjonistce i nieustępliwej bojownicze o wyzwolenie kobiet. Istotnie, w jej słowach czuło się prawdziwy ogień. Pałace, niezapomniane zdania: „Niewolnica od kołyski po grób... Ojciec i mąż, dwóch panów na całe życie... Prawo do własnej osoby, do majątku i dzieci...”

Wszystkie te bolesne słowa jakże bardzo dotyczyły samej Miriam. A przecież, kiedy tak leżała w dławiącej ciemności, stanowiły dla niej zupełną abstrakcję. „Byłoby o wiele lepiej - pomyślała z goryczą - gdyby Dawid

przestał wreszcie bombardować mnie coraz to nowymi ideami. Czego się po mnie spodziewa? Że porzucę dom i ruszę w świat głosić szlachetne kazania?"

Eugène poruszył się, mamrocząc coś przez sen. A na dole, w pokoju gościnnym, nieświadom tego, co przyniesie dzień, leżał André, pogrążony w głębokim śnie.

Na długo przed świtem Miriam wstała i bezszelestnie wyszła na taras. Wczesnoporanny chłód sprawił, iż na jej ramionach pojawiła się gęsia skórka. Gałęzie drzew kołysały się lekko, samotny ptak zaczął niepewnie, po czym umilkł. Wokół domu rozciągały się ciche, tajemnicze lasy i pola, okryte płaszczem nocy. Tym razem jednak nie niosły z sobą żadnej groźby. Żadna istota, zwierzę, duch czy człowiek, nie mogła jej tu zagrozić. Strach i niebezpieczeństwo czyhały wewnątrz domu. Nagle znów ogarnęło ją niepohamowane pragnienie, które odczuła, gdy po raz pierwszy ujrzała to miejsce - uciec stąd, byle dalej, przez lasy, pola, za wzgórza i nigdy tu nie wrócić.

Świt nadszedł szybko. Niebo eksplodowało jaskrawym światłem. Znad horyzontu wystrzeliły fioletowe i szkarłatne promienie. Stopniowo ich barwy zaczęły blaknąć, pokrywając niebo na wschodzie jasnym różem i złotem. Nagle odezwał się chór ptaków, sławiąc swą pieśnią cud poranka.

Lecz jedna drobna, zraniona istota pozostała niewzruszona nawet w obliczu tych wspaniałości. Nie docierało do niej nic, prócz płaczu własnego złamanego serca.

Miriam nadal stała na tarasie, gdy na dole otworzyły się drzwi i wyszedł z nich André. Nie oglądając się za siebie, wsiadł do oczekującego powozu i odjechał.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY.

Gabriel wepchnął mały zwitek dokumentów do wnętrza cylindra. Pokrycie z chińskiego jedwabiu od dawna zastąpiło bobrowe futro na cylindrach, ale on wciąż używał swojego starego, futrzanego kapelusza.

- Wszystko przygotowane. Cukier zapłacony, rachunki w porządku. Przynajmniej tak, jak jest to możliwe w obecnych czasach.

Jego powaga wydawała się nie pasować do rutynowego spotkania. Jeżeli jednak to, co powiedziała Rosa, było prawdą, musiał czuć się niezręcznie w jej towarzystwie. Miriam także czuła zakłopotanie, jakby było jej winą, że nie może odwzajemnić uczuć Gabriela. Nikt by go nie podejrzewał, tak chłodnego i opanowanego, o podobnie gwałtowne uczucia! Co innego André z jego wylewnością!

Wyplakała wszystkie łzy. Pozostał tępy, dławiący ból w piersiach, jakby zamarzyły w nich wszystkie łzy. Nie rozmawiali więcej o tej sprawie. Eugene zabronił poruszania tego tematu. Można by pomyśleć, że nigdy nic się nie stało, że André nigdy nie istniał.

Wyglądziła spódnicę. Ostatnio nabrała tego nerwowego nawyku. Ciekawe, ile jeszcze innych przyzwyczajzeń pojawi się u niej podczas rozłąki z André? Czy będzie to nerwowe mruganie oczami, czy grymas ust? Emma miała przyjaciółkę, która przez cały czas oblizywała wargi, wyglądało to okropnie. Miriam położyła dłonie na kolanach i przyjrzała im się krytycznie. Na tle białej, haftowanej sukni wyglądały smutno i nieciekawie. Miała nową sukienkę i zielone pantofelki. W oczach świata wyglądała jak zwykła, modna dama.

- Czy przynieść ci coś do picia? - spytał Gabriel.

Kucharz Rosy przygotował mrożoną wodę różaną. Miriam ledwie tknęła szklanekę. Z pewnością to zauważył.

- Dziękuję, jeszcze mam. Naprawdę powinnam już iść, jest prawie czwarta.

- Ależ dopij swój napój - nalegał. Rozumiała, że chciał ją zatrzymać.

Zapadła dręcząca cisza, więc Miriam postanowiła powiedzieć cokolwiek, żeby ją przerwać

- Eugene wyzwolił swojego syna. Widziałeś wczoraj publiczne obwieszczenie o nadaniu wolności?

- Tak.

Jedna sylaba. Zabrzmiała jak zamknięcie sprawy. Miriam nie wiedziała, dlaczego akurat ten temat przyszedł jej do głowy. Niezapomniany widok chłopca otoczonego przez gołębie, jasnobrazowa ręka na ramieniu Eugene'a, okolone długimi rzesami, pełne pytań oczy... „Zagubiony, odrzucony”, pomyślała ze współczuciem.

- Pewnie słyszałeś, że to syn mojego męża.

Gabriel pochylił głowę, co oznaczało: oczywiście, chodziły o tym słuchy, ale nikt na ten temat nie rozmawiał.

- Wysłał go do Paryża na studia rzeźbiarskie. Chłopak ma talent. To słuszna decyzja.

Tym razem Gabriel odpowiedział:

- Oczywiście. Ale sądząc po dotychczasowym rozwoju wypadków, chłopak

1 tak w ciągu kilku lat byłby wolny.

„Znowu wojna. Ciągłe ta wojna. Ale mój syn ma tylko dwanaście lat” - pomyślała Miriam. Ten fakt działał na nią kojąco.

- Kiedy wybuchnie wojna? - spytała. Ludzie pytają o to już od roku, może nawet dłużej. Nie mają wątpliwości, że dojdzie do wojny, chcą tylko wiedzieć, kiedy to nastąpi.

- To zależy od wyborów. Jeśli wygra Lincoln, to już wkrótce.

- Dawid pisał, że Nowy Jork jest rozsądkiem idei Południa. Z powodu handlu. Południowi plantatorzy są winni dwieście milionów dolarów bankom i handlarzom...

- Często masz wieści od Dawida? - przerwał Gabriel.

- Ja tak, ale nie papa! Nie przebaczył mu i nie przypuszczam, żeby kiedykolwiek to zrobił.

Z niespotykaną u niego ekspresją Gabriel zacisnął pięści:

- Fanatycy! A gazety - z Północy i Południa - jeszcze to podgrzewają! Chętnie pozwoliłbym im dla odmiany walczyć nie słowami, lecz przy użyciu broni.

Miriam usłyszała, że w jej własnym głosie pojawia się dezaprobata:

- A więc zgadzasz się z rabinem Gutheimem?

- Z samą ideą - tak. Ale nawet największe wysiłki nie dadzą efektu. Południe nie będzie chciało żyć pod rządami republikańskiego prezydenta, secesjoniści postawią na swoim. A Północ nie zezwoli na secesję.

Przyglądała mu się uważnie.

- Co zamierzasz zrobić? - spytała.

- Pójdę na wojnę.

Złowieszcze słowa zostały wypowiedziane bez lęku, ale i bez entuzjazmu. Pójdę na wojnę. Równie dobrze mógł powiedzieć: pójdę na przechadzkę.

- Byłeś przecież przeciwny wojnie meksykańskiej - stwierdziła ze zdumieniem Miriam.

- To co innego. Teraz zagrożona jest ojczyzna. Gdyby Południowa Karolina chciała opuścić Unię, jaki pozostaje mi wybór? Moja rodzina pomagała stworzyć ten stan. Leży tu sześć pokoleń Carvalhów. - Te słowa, które w innych ustach zabrzmiałyby patetycznie, u niego zdawały się najnormalniejsze w świecie, dzięki czemu zorientowała się, jak bardzo są prawdziwe i ile zawierają ważnej dla niego treści. - Tak samo Luizjana, mam się do niej odwrócić plecami? Zapomnieć o przyjaciółach i spędzonym tam czasie?

- Zupełnie jak Lincoln, upierasz się przy pryncypiach - popatrzyła w kierunku okna, za którym po ulicy przechadzali się ludzie, rzucając cienie na przejrzyste firanki. Zniżyła głos i dodała: - Przecież wiesz, że ja zrobiłabym inaczej. Gdybym była mężczyzną, walczyłabym po drugiej stronie.

Przytaknął nieśmiało. Podniósł się i stanął twarzą do kominka, wbijając wzrok w puste palenisko. Miriam również wstała, wzięła szal i torebkę. Słyszając jej ruch, odwrócił się z zamiarem zatrzymania jej.

- Mam ci coś do powiedzenia. Jest to dla mnie bardzo przykre. Twój mąż poprosił mnie, żebym ci przekazał, a ja zbyt długo z tym zwlekałem.

Usiadła w gwałtownym przypiływie zdenerwowania. „Z pewnością coś o André. Wrócił do Europy. Umarł. Tak - pomyślała - straciłam wszystkich. Dawida. André. Wszystkich.”

- Ma pewne wątpliwości co do spraw, które ci powierzył.

- Wątpliwości? - krzyknęła. - Dlaczego? Czy źle prosperujemy? Tak dobrze wszystko zorganizowaliśmy. Sam często powtarzałeś, że ja... - urwała. To z pewnością z powodu André. Na pewno.

- Dlaczego? - powtórzył Gabriel. Mówił obojętnie, jak gdyby temat ten go nie dotyczył. - Sądzę, że powinnaś się domyślić. - Patrzył na ścianę za jej głową.

W uszach dzwoniła cisza. Wcale nie zamierzał jej tego ułatwiać. Zawsze trzeba było wyciągać z niego słowo po słowie, albo zmuszał do czekania w tej doprowadzającej do szału ciszy, zanim coś powiedział.

- Sądzę, że skoro podjąłeś się tego, musisz teraz powiedzieć mi wszystko... Popatrzył jej prosto w oczy swoim surowym i smutnym wzrokiem.

- Dobrze. Chodzi o to, że nie jest pewny, czy może dalej ufać twojemu osądowi. Obawia się, że możesz niechcący podpisać dokumenty lub zrobić coś podobnie głupiego, co mogłoby zaszkodzić interesom całej rodziny - zawahał się. - Z powodu pewnych wpływów...

Była wstrząśnięta. Zupełnie jakby posądzono ją o kradzież.

- Czy to wszystko, co ci powiedział? Nic więcej? - zmusiła się do zadania pytania. - Czy nazwał ten... wpływ?

- Tak.

Jak Eugene mógł zrobić coś tak ohydneho? Oczywiście miał prawo do obrony swoich interesów, interesów swoich dzieci. Za żadne skarby nie wolno jej załamać się pod spojrzeniem tego mężczyzny.

- A ty w to wierzysz?

- Że możesz skrzywdzić własną rodzinę? Nie. Przekonałem go, że jesteś odpowiedzialną kobietą i może ci całkowicie zaufać.

- Dziękuję.

- Nie musisz mi dziękować. To szczerą prawdą.

Nie mogła znieść wstydu i poniżenia. Wszystkie marmurowe posążki zdawały się ulatywać ze swoich postumentów z rozpostartymi skrzydłami i rozwartymi ramionami. Meble tłoczyły się w bitewnym szyku, odcinając jej drogę do drzwi. Musiała wyjść.

- Tak mi przykro - powiedział. - Nie było żadnej potrzeby, abym ci to mówił, lecz Eugene wyraźnie tego zażądał. Jestem jego prawnikiem. Muszę spełniać jego wolę.

- W porządku. Zapomnij o tym. Rozumiem. - Usiłowała precyzyjnie się koło niego, ale ją zatrzymał.

- Zaczekaj! Zaczekaj, Miriam. Nie wychodź, póki mnie nie wysłuchasz.

- Nie czuję się najlepiej. Proszę, muszę już iść.

- Tylko chwileczkę. Nie powinienem mówić tego, co zamierzam ci powiedzieć, ale już zbyt długo dusiłem to w sobie i teraz - w obliczu tego wszystkiego - nie mogę dłużej wytrzymać. Posłuchaj mnie - powiedział kładąc rękę na jej ramieniu.

„Nigdy mnie jeszcze nie dotknął” - pomyślała i przestraszyła się, chociaż nie miała żadnych powodów do obaw.

- Na pewno wiesz, że eie kocham. Musisz wiedzieć. Kobieta tak wrażliwa jak ty... Nie mogłaś spędzić tych wszystkich godzin tu, ze mną, i nie zorientować się, co do ciebie czuję.

- Ja nie... nigdy nic nie mówiłeś - szepnęła zdetonowana.

- Tak, nigdy nie mówiłem. A dlaczego? Ponieważ jesteśmy cywilizowanymi ludźmi, a nie miałem żadnego prawa. Nie chciałem ci mówić... co do ciebie czuję... wbrew sobie samemu. Przyzwoitość nakazywała mi milczeć. Podczas gdy on, ten człowiek, sam już żonaty, ośmiela się narażać ciebie na potępienie całego miasta. Ryzykuje ruinę twoją i twoich dzieci. Ja nigdy bym...

Miriam poczuła się, jakby obnażono jej wszystkie sekrety. Zupełnie jakby ktoś zakradł się do tego chłodnego, cichego pokoju ponad rzeką i placem, gdzie spędzała długie popołudnia z André, nagłym pchnięciem rozwarł drzwi i zastał ich razem w łóżku.

- Jesteś taka inteligentna... ale nic nie wiesz o świecie... - Gabriel mówił urywanymi zdaniami, zaciekle, z wściekłością; nigdy nie przypuszczała, że jest zdolny do takiego wybuchu. - Zupełnie nic... To jak rabunek, profanacja... Gdybym był osiemnastolatkiem, porywczym osiemnastolatkiem... i gdyby on wszedł do tego pokoju, mógłbym go zabić. Nawet teraz byłbym w stanie to zrobić. Tak, nawet teraz... chyba nie potrafiłbym się powstrzymać. Na miłość boską, jak on mógł ci to zrobić?

I nagle wstyd Miriam zniknął. Gabriel nie myślał o sobie, lecz cały czas miał na względzie jedynie jej dobro! Nie usłyszała od niego ani słowa potępienia, przeciwnie - bronił jej jeszcze! Jakby myślał, że tylko André brał udział w, jak to nazwał Gabriel, „tej rzeczy”, a Miriam nie miała z tym nic wspólnego! Była poruszona.

- Twierdzisz, że to wyłącznie jego wina? - spytała delikatnie. - Również moja, jeśli w ogóle można tu mówić o czyjejs winie. Czy miłość to zbrodnia? Czy można coś na nią zaradzić? Oprzeć się jej? Sam powiedziałeś, że...

- Powiedziałem, że cię kocham, ale mówiłem także o ryzyku i upokorzeniu.

- Czy miłość pociąga za sobą ryzyko i upokorzenie?

- Jeśli jest to prawdziwa miłość, chyba tak być musi.

- Może, ale przecież nie zawsze postępujemy tak, jak wypada. - Opuściła głowę. Czowała się słabo, było jej gorąco. Z pewnością na czole i policzkach wystąpiły jej czerwone plamy - pojawiały się zawsze, kiedy się zdenerwowała. Oszpecały ją. Nie wiedziała czemu, ale zależało jej, by nie wyglądać brzydko w oczach Gabriela. Nagle pomyślała o czymś innym. - Mówisz o ryzyku. Czy zapomniałeś, co ci groziło, kiedy pomagałeś mojemu bratu?

- Masz racje, przyznaję. Naraziłem moją siostrę i jej dzieci. Zapomniałem o tym. Lekki ukłon, oficjalne słowa - wszystko to stanęło między nimi niczym mur.

Miriam nie mogła do tego dopuścić.

- Chodzi mi o to, że postąpiłeś tak, bo kochasz Dawida jak brata i nie myślałeś o sobie. - I dodała: - Do końca życia pozostanę twoją dłużniczką.

- Nie chcę twojej wdzięczności ani podziękowań. Nie pragnałem ich ani wtedy, ani teraz.

Z rozpaczą stwierdziła, iż znów jej słowa zraniły go do głębi. Czemu wspomniała o długu, w rzeczywistości myśląc o czymś zupełnie innym?

- Gabrielu... - zaczęła jeszcze raz - znamy się od tak dawna.... Byłam wtedy dzieckiem, a i wy z Dawidem byliście jeszcze bardzo młodzi. I już wtedy połączyła nas miłość. Dawid i ja... musisz wiedzieć, że zrobilibyśmy dla ciebie wszystko. Rozmawialiśmy teraz o ryzyku. Miłość nie zna takiego słowa, o to mi chodziło. Miałam nadzieję, że to zrozumiesz.

- W porządku. Rozumiem.

Dostrzegła, jak bardzo był zmęczony. Zaczynała żałować swych słów, widząc, że i tak nie odniosą skutku. Czeką go dziś bezsenna noc, jak zawsze, kiedy na próżno otwiera się przed kimś swe serce. Chciała mu powiedzieć, że to bezsensowne i stanowi jedynie udrękę dla nich wszystkich: dla niej i Eugene'a, dla Marie Claire i André, nawet dla tej pięknej, zakochanej w Eugene'ie kobiety. Jakież to dziwne, móc kochać Eugene'a!

Zamiast tego odrzekła jednak tylko:

- Tak mi przykro, Gabrielu. Naprawdę - i gdyby mogła, gdyby było jej wolno, dodałaby: mój drogi".

Uniósł rękę, jakby chciał musnąć policzek czy może włosy Miriam lub nawet ująć jej twarz i pocałować w usta. Zamiast tego jednak jego dłoń opadła w geście pełnym rozpaczy. Po chwili odsunął się, przepuszczając ją do drzwi.

Znad rzeki zerwał się wiatr, który lekko poruszył suto namarszczoną spódnicą Miriam. Pod cienką bawełną ciało jej płonęło.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY.

Poczekajmy, aż Lincoln obejmie rządy. Zobaczymy, co zrobi - nieśmiało powiedział Ferdinand, odpowiadając na pytanie Eugene'a. - Dajmy mu szansę. Chcą tego Jefferson Davis i Sam Houston.

- Bzdura! - warknął Eugene. - Unia stanowi układ niezależnych stanów i można ją rozwiązać równie łatwo, jak łatwo się zawiązała. Gubernator Moore oświadczył tak w zeszłym tygodniu. Czy spodziewasz się, że Luizjana zaakceptuje rządy czarnych Republikanów? Naprawdę tak myślisz?

Miriam nigdy nie dowiedziała się, czy Ferdinand tak sądził, podejrzewała jednak, że obawiał się wojny. Jego wspomnienia zaznanej przemocy były zbyt silne, żeby kiedykolwiek mógł o niej zapomnieć. W każdym razie, z Eugenem nie można było rzeczowo dyskutować. Z dumą demonstrował niebieską kokardę przypiętą do klapy, w kółko powtarzał, że słowa i muzykę do „Błękitnej kokardy” napisał nie kto inny, jak sama Penina Moise z Charlestonu, ta sama Penina, która stworzyła hymny dla Świątyni Beth Elohim w jego rodzinnym mieście.

Po kolacji Eugene zażądał whisky i wzniósł toast:

- Razem ze Stephenem Decatur powtarzaliśmy: „Niech żyje nasz kraj, na dobre i na złe.” To tak samo - oświadczył - jak walka z Anglikami w siedemdziesiątym szóstym roku. To walka o wolność.

Miriam nic nie mówiła. Ledwie ją tolerowali i traktowali jak wyrodka. Oczywiście Eugene wiedział, w którą stronę skłaniają się jej skrywane sympatie i uznał to za jeszcze jedną rzecz, która ich dzieli.

Czasami tępy ból wywołany nieobecnością André tak przybierał na sile, że aż zwijała się w pół jak przeszyta sztyletem. On zniknął. Pochłonęła go ziemia, a może ocean.

Przecież to nie do pomyślenia, że mógłby nie wrócić.

W tych strasznych czasach nie miała nawet z kim porozmawiać. Jej dzieci były jeszcze zbyt małe, a poza tym wyrosły na Południu, tak jak wszyscy, których znały. Nie powinna zwierzać się im ze swoich wątpliwości, byłoby to zbyt okrutne i niebezpieczne.

Młody Eugene wrócił ze szkoły ze łzami w oczach. Cisnął książki na podłogę pod nogi rodziców.

- Chłopcy rozmawiali o wujku Dawidzie! - krzyknął. - Taki wstyd! Nienawidzę go za to, co nam zrobił!

Miriam poczuła, jak zamiera jej serce. Spytała spokojnie:

- Cóż takiego nam zrobił?

- Doskonale wiesz! Zabił wujka Sylvaina!

- Zaraz, chwileczkę. On nie jest mordercą. To był polityczny konflikt, paskudna rzecz, no i zdarzył się wypadek. To nie było morderstwo!

- Konflikt polityczny! Ale on walczył po złej stronie, wstrętny abolicjonista! Nie życzę sobie, aby obwiniano mnie tylko dlatego, że mam go w swojej rodzinie.

Popatrzył na ojca, jakby szukając u niego pomocy, a ojciec powiedział tylko:

- Nikt nie jest odpowiedzialny za swoich krewnych. Wyłumacz im to.

- Mówili też, że musiał mu ktoś pomóc w ucieczce. Podobno uciekł w ostatniej chwili.

- Bzdura! - Miriam poczuła znów skurcz serca i po chwili dodała ostro: - Nikt w rodzinie nie pomagał Dawidowi w jego poczynaniach. Zawsze był panem samego siebie i sam dbał o swoje sprawy.

- Z pewnością - głos Eugene'a seniora brzmiał groźnie. - Wierzymy, że będzie umiał zadbać o siebie podczas wojny, którą on i inni jemu podobni ściągną nam na głowy.

- Jeśli to się zdarzy, będę walczył! - Chłopiec zacisnął pięści. - Maxim i Chanute także pójdą ze mną! Zobaczycie, zaciągniemy się wszyscy!

„Biedne dziecko - pomyślała Miriam. - Biedny kraj. Trzydzieści milionów ludzi dąży do wojny.”

Tego wieczora wyżaliła się przed Fanny, która przybiegła bez tchu do domu z powodu godziny policyjnej wprowadzonej w mieście dla Murzynów.

- Krwawy księżyc - powiedziała Fanny. W ten sposób wyraziła wszechogarniające poczucie strachu, panujące wokół.

Krwawy księżyc...

Z galerii Senatu jak złoty deszcz spływał na Judę Benjamina aplauz tłumów.

- Szczęście w wojnie może się odwrócić - grzmiał mówca. - Być może spustoszycie nasze pokojowe ziemie i gorejącą pochodnią obrócicie nasze miasta w popiół... ale nigdy nas sobie nie podporządkujecie.

Południowa Karolina pierwsza dokonała secesji. Kiedy dołączyła się Luizjana, gazety „Picayune” i „Crescent” zamieściły pełne smutku artykuły o końcu Unii.

Padł Fort Sumter i Lincoln powołał ochotników.

Robert Lee, który uwolnił niewolników należących do rodziny, nie przyjął dowództwa nad armią Unii i szarpany rozterkami powrócił do domu w Wirginii, żeby stanąć u boku pobratymców.

Nadeszła wojna.

Południowe wiatry przygnały kwietniowe deszcze i wilgotne powietrze znad Zatoki, łagodnie muskające czarne loki Angélique i kołyszące młodymi listkami jaśminu. Słodki, oliwkowy zapach unosił się nad werandą. Ptaki ćwierkały w gałęziach drzew gumowych, kiedy Miriam, zawsze wstająca najwcześniej, wyglądała przez okno czekając, aż miasto się ocknie.

Przebudzenie nadeszło gwałtownie, kiedy z całego kraju do Nowego Orleanu zaczęli masowo ściągać żołnierze i wypełnili wąskie ulice stukotem butów i hukiem werbli. Wszystko lśniło - szable, złote szamerunki mundurów i końska sierść. Kobiety miały przypięte do sukni jasne wstążki w kolorach flagi Konfederacji.

Eulalia pierwsza zauważyła, że Miriam jej nie nosi. Czuli się śmielsza, jak gdyby rozumiała, że została zawarta ugoda: jej milczenie o André w zamian za pokorę Miriam. Następnego popołudnia, w czasie wizyty złożonej w towarzystwie Pelagii, Eulalia przypięła Miriam wstążkę. Kilka minut później przyszła Rosa, ona też nosiła ten znak. W taki właśnie sposób wciąga się ludzi. Nie można było nie nosić emblematu Południa w tym towarzystwie.

- Moi synowie otrzymali rozkazy - oświadczyła Rosa. - Henry pojechał do Fortu St. Philip, a Herbert do marynarki. Zostali powołani - dodała próbując zlekceważyć wydarzenia.

- Alexandre i Lambert są jeszcze zbyt młodzi, żeby dostać powołania, ale oczywiście zgłosili się ochotniczo. Alexandre trafił do Mounted Wildcats, a Lambert jest w De Soto Rifles - wyjaśniła Pelagia.

- Wstydziałabym się siostrzeńców, gdyby się nie zgłosili - powiedziała Eulalia. -

Kobieta mieszkająca w sąsiedztwie, nie chcę wymieniać nazwiska, ma syna, który otrzymał pocztą paczkę ze spódnicą.

- Słyszałam, że w niektórych miastach - opowiadała Pelagia wzdrygając się - młodych mężczyzn, którzy nie zaciągnęli się do wojska, tarzają w smole i pierzu.

- Mam nadzieję, że tak robią.' - krzyknęła Eulalia.

- Mnie z kolei doszły słuchy - powiedziała cicho Rosa - że będą arestować ludzi wypowiadających się pozytywnie o Północy. - Spojrzała na

Miriam spod swoich pięknych, białych powiek, jakby chciała udzielić jej ostrzeżenia.

- Jestem taka dumna z moich synów - westchnęła Pelagia, a jej pełne policzki pokraśniały. - Lambert powiedział mi: „To w obronie wszystkich kobiet Południa, mamó.” Ale rodzina Labouisse'ów wyróżnia się spośród reszty. Zorganizowali własne oddziały, tak samo jak krewniacy mamy. Synowie z najlepszych rodzin. Tak, powinniśmy być dumni. Nawet moja kucharka, Belinda, bez przerwy piecze pudła ciastek dla Lamberta i Alexandre'a. To przecież jej chłopcy.

„Ciastka i karabiny” - pomyślała Miriam. Nagle przypomniał się jej jeden z synów Pelagii, nie pamiętała już który, było ich tak wielu, chłopczyk z blond czupryną, którego huśtała na huśtawce, zanim jeszcze miała swoje dzieci. Upuścił na trawę ciastko i rozplakał się. Teraz nosił karabin.

Popatrzyła na swoją córkę Angélique, która siedziała w kącie i obrębiała bandaż. Nawet uczennice, które przez zeszły rok pilnie wyszywały swe wyprawy, zostały zmobilizowane.

Przez otwarte okno doleciał głos młodego Eugene'a recytującego ojcu łacińskie koniugacje. Głos nabierał mocy, stając się nieco ochryply i szorstki, by za chwilę załamać się, jak zwykle podczas mutacji. Może i on już wkrótce zechce chwycić za broń?

Żeby nie być gorszą, Rosa oznajmiła:

- Czy wiecie, że David de Leon został mianowany naczelnym lekarzem Armii Konfederackiej? Jest kuzynem Henry'ego.

- Mój mały Louie - pochwaliła się z satysfakcją Pelagia - jest rozczarowany, bo nie dorósł jeszcze do tego, aby pójść do wojska!

- Być może - wtrąciła Miriam - wojna potrwa wystarczająco długo, żeby spełniło się jego marzenie.

Nie zauważono ironii.

- Ludzie mówią, że skończy się w ciągu miesiąca. W Wielki Piątek poszłam do dziewięciu różnych kościołów modlić się za zwycięstwo. Kiedy wracałam do domu, czułam, że odniesiemy je na pewno.

List od Dawida szeleścił w kieszeni Miriam.

„Wstąpiłem do oddziałów medycznych... Anglia uzna Konfederację jako stronę konfliktu... Potrzebują bawełny dla swoich fabryk... Zresztą ich arystokracja trzyma stronę Południa... To będzie okrutna, trudna wojna... Może ciągnąć się latami.”

Zawsze traktowała jego listy jak skarb, czytała je wiele razy, tak że znała każde słowo na pamięć.

„Pierwszy raz cieszę się, że jesteś tak daleko. Nie znam się na wojskowości, ale nie wierzę, żeby wojna dotarła aż do was. Będziesz więc bezpieczna. Jakże bym chciał, abyś uniknęła wszelkiego cierpienia! Spoczywa na tobie ciężkie brzemię... sprawy, o których wtedy rozmawialiśmy, wciąż są aktualne, tak mi się wydaje, i jeszcze dodatkowo nowe kłopoty związane z jego utratą wzroku.

...Ale jesteś bardzo silna. Nie wydaje mi się, byś sobie zdawała sprawę z tego, jak bardzo. Gabriel i ja zawsze o tym wiedzieliśmy... zrobisz wszystko dla swoich dzieci. Zawsze o nich myślę... Któregoś dnia, w lepszych czasach, przypomnę im, że to ja trzymałem ich na rękach w pierwszych minutach życia."

Głos Pelagii przerwał jej myśli.

- Eulalia uszyła z jedwabiu najpiękniejszy sztandar na mającą się odbyć w przyszłym tygodniu paradę. - Od śmierci Sylvaina Pelagia nigdy jeszcze nie wyglądała tak młodo i nie była tak przepełniona energią. - To będzie wielkie wydarzenie! Muszę mieć nową suknię na tę okazję. Czy wiecie, jak szerokie spódnice nosi się w tym sezonie? Jeśli czyjaś suknia ma więcej niż rok, od razu wydaje się passé.

Chór wstał i zaczął śpiewać: „Zmiłuj się nade mną, Boże". W to czerwcowe popołudnie roku 1861 na polecenie prezydenta Jeffersona Davisa odprawiano modły za państwo. Miriam usiadła w zatłoczonej synagodze.

„W cieniu skrzydeł Twoich nadzieję mieć będą, aż niepewność przeminie."

Kobieta siedząca w następnej ławce wachlowała się palmowym wachlarzem. Panował potworny upał, ale Miriam ciążyła nie tyle temperatura, co własny niepokój.

Angélique ziewała. Zauważyła spojrzenie matki i podniosła do ust rękę w białej rękawiczce. Na jej policzki Wyplął rumieniec; pasmo wilgotnych włosów przykleiło się do czoła. Bawiła się bransoletką, w panującej ciszy rozlegało się pobrzękiwanie. Miriam skrzywiła się, natychmiast jednak na jej twarz powrócił uśmiech. „Czyż dziecko może zdawać sobie sprawę z tego, co się zbliża? „Niech bawi się bransoletkami! Wkrótce dowie się wystarczająco dużo. Już niedługo."

Rozpoczął się psalm dwudziesty dziewiąty. Wierni wstali.

"Panmocy ludowi swemu doda; Pan błogosławić będzie ludowi swemu w pokoju."

Majestatyczna muzyka umilkła, a Zwoje Praw wróciły do Arki. Modlitwy i prośby o miłosierdzie.

- Czy wiesz, że Gabriel wyjeżdża z Dziesiątą Luizjańską? - spytał Eugene. Nie wiedziała. Nie widziała go od dnia, którego dla jego i własnego bezpieczeństwa

wolałaby nie pamiętać.

- Ale Rosa mówiła, że otrzymał jakieś rządowe stanowisko - odpowiedziała.

- Złożył rezygnację. Nie chciał synekury. Podziwiam go za to.

Emma zastanawiała się, czy Gabriel jest pod dowództwem generała Beauregarda.

- Porządna francuska rodzina ci Beauregardowie. Pani Beauregard twierdzi, że rzadko mówi po angielsku, tylko wtedy, kiedy musi.

- Trzeba będzie wydać obiad w dzień jego wyjazdu, uroczysty obiad - powiedział Eugene. - Już powinnaś wysłać Maxima z zaproszeniami. - Ożywił się bardzo, wojna podniecała go. - Co on lubi? Musimy podać jego ulubione dania.

- Wydaje mi się - stwierdziła Emma - że najbardziej lubi gumbo.

- I sałatę z brązowym sosem, takim, jaki robi Serafina - dodał Ferdinand. Zawsze umiał podejmować gości. - Pieczeń w sosie szampańskim. I śliwkowy pudding. Wprawdzie teraz nie sezon na śliwki, ale to bez znaczenia. I waniliowe bezy. Bardzo je lubi.

Podwójny rząd pozłaczanych guzików na szarym, wojskowym płaszczu majora Carvalho. Z szablą, w wojskowych butach, Gabriel wyglądał jak inny, obcy człowiek.

Miriam nie chciała, żeby siedział po jej prawej ręce, ale Syzyf, prawdziwy mistrz protokołu, usadził gościa na honorowym miejscu. Na szczęście po pierwszym, oficjalnym powitaniu nie odzywał się więcej do niej. Miriam rozmawiała ze swoim sąsiadem z lewej strony, który okazał się kolejnym kuzynem Emmy, staroświeckim gadułą; mówił tak wiele, że słuchała go tylko, podczas gdy on paplał o wszystkim i o niczym.

W tym samym czasie generał rozmawiał przy stole, podsumowując sprawy, które od momentu wybuchu wojny zaprzętały uwagę wszystkich.

- Jeśli wstrzymamy sprzedaż bawełny, Europejczycy zaczną odczuwać jej brak i staną po naszej stronie.

- Nie, nie. Powinniśmy produkować tak wiele bawełny, jak tylko możemy, nawet więcej niż do tej pory, i wysyłać ją do Anglii, żeby zwiększyć nasze kredyty.

- Spalmy plantacje, oto co myślę! Większość plantatorów z Georgii i Południowej Karoliny tak postępuje. Co zrobili Rosjanie, kiedy Napoleon okupował Moskwę? Spalili miasto.

- Bzdura! Armia Unii nigdy nie dotrze tak daleko, aż do naszych plantacji. Wtedy odezwał się Gabriel, który milczał do tej pory.

- Nie docenicie ich. Mogą nawet zająć Nowy Orlean. Jego słowa wywołały gwałtowną burzę.

- Nigdy nie przejdą linii fortów - oponował Eugene. - Mamy stanowiska artylerii. Na przestrzeni sześćdziesięciu mil, na drodze z fortów do miasta Nowy Orlean! Spotkamy ich w Waszyngtonie!

- Będą zbyt zajęci na wschodzie, żeby z nami walczyć - dodał Ferdinand. Początkowo nie dopuszczał do siebie myśli o wojnie, ale kiedy była już faktem, stał się nagle wielkim strategiem. - Jeśli jednak już do tego dojdzie, atak nastąpi z góry rzeki.

- Forty są nie do zdobycia - znowu odezwał się Eugene. - Brytyjczycy nie mogli sforsować jednego w 1815, a teraz mamy dwa. I ty sądzisz, że zdecydują się na atak?

- Myślę, że tak - powiedział z przekonaniem Gabriel - i może im się to udać.

- Generał Lovell trzyma wszystko w swoich rękach - włączyła się Emma. - Znam jego rodzinę, to wspaniały człowiek, odważny dżentelmen.

- Piętnaście naszych okrętów wojennych jest poza fortami... Przerwała mu Rosa:

- Herbert mówił mi, że jak skończą prace, nikt nie przedrze się pomiędzy „Missisipi” i „Louisianą”. Nie rozumiem, jak możesz tak mówić Gabrielu. Pesymizm nie leży w twojej naturze.

- Nie jestem pesymistą, tylko realistą. - Wyciągnął się w fotelu i jego nogi musnęły skraj sukni Miriam; gdy tylko to poczuł, gwałtownie je cofnął.

Rozumiała jego zakłopotanie tak jak własne. Obiad ciągnął się w nieskończoność.

- Czy słyszeliście - spytała Rosa, kierując to pytanie do wszystkich przy stole - że Andr  Perrin jest w komisji kontaktów zagranicznych? Jeśli chodzi o Francję, powinien się sprawdzić, doskonale zna ten kraj. Ma taką ogładę, a to bardzo ważne w dyplomacji.

- To znakomity wybór!

To był męski głos, z pewnością nie Eugene'a i nie Gabriela, ale Miriam nie wiedziała czyj. Wpatrywała się z napięciem w swój talerz, na którym widniały chińskie pagody malowane złotą i kobaltową farbą. Więc to prawda, znów jest we Francji. Znowu z Marie Claire. Czyżby mieli zostać razem tak jak ona z Eugenem? Znowu powróciło napięcie, które nękało ją przez te dwa mroczne lata bez André. Nie mogła już dłużej wysiedzieć przy stole, chciała wstać i opuścić towarzystwo. Spozregła, że Gabriel przygląda się jej uważnie. Domyśliła się, że obserwował ją z masochistycznym zainteresowaniem, chcąc przekonać się, jak zareaguje na wzmiankę o Andre. Zastanawiała się, czy na jej czole wystąpiły plamy, tradycyjna oznaka zdenerwowania. Eugene wstał i Syzyf odprowadził go do drzwi. Obiad się skończył.

- Pociąg odjeżdża o ósmej. Jeśli teraz wyruszymy, będziemy mieli mnóstwo czasu - powiedział Eugene.

- To długa podróż, a jest tak gorąco - zaprotestował Gabriel. - Naprawdę nie oczekiwałem, żeby mnie ktoś odprowadzał.

- Chcemy cię pożegnać - powiedział zdecydowanie Eugene.

Konie, powozy, żołnierze i ich rodziny tłoczyli się wzdłuż pociągu, który miał zawieźć ludzi daleko do Obozu Luizjana w północnej Virginii. Niektórzy żołnierze zajęli miejsca w wagonach i zaczęli grać w pokera, podczas gdy przyjaciele podawali im przez okna pieczone kurczęta i zimne napoje. Część żołnierzy była pijana. Wokół głośno było od śmiechu, przechwałek, rozważnych uwag i łzawych pożegnań. Dzieci rzucały się w objęcia ojców, rozstawali się kochankowie. Nad cały ten zgiełk wybijały się dźwięki orkiestry.

- Zapakowałam ci lód do kubelka - powiedziała Rosa. - Pamiętaj, przypomnij Lorenzowi, że masz go w swoim bagażu.

- Naprawdę nie potrzebuję Lorenza - zaprotestował Gabriel. - Będzie bardziej użyteczny w domu.

- Nonsens! O czym ty mówisz? Każdy oficer ma swojego osobistego służącego. Kto będzie się zajmował twoimi końmi, gotował i prał? Pamiętaj, że ma twój zegarek i że dałam mu trzysta dolarów w złocie na wszelki wypadek, gdybyś musiał coś dokupić. Choć pomyślałam chyba o wszystkim.

- Trzysta dolarów! - zachnął się Eugene. - Powinieneś uważać, żeby Lorenzo nie uciekł z nimi do Jankesów.



- Bzdura! - oburzyła się Rosa. - On uwielbia Gabriela. Nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Poza tym, dlaczego miałby uciekać? Żyje tak dobrze jak Gabriel lub ja. Gdzie będzie mu lepiej?

Lokomotywa gwizdnęła trzy razy. Ludzie zaczęli wsiadać do pociągu. Odwaga i duma Rosy załamały się nagle i zniknęły bez śladu:

- Moi synowie, mój brat, wszyscy odjechali. Kiedy już będzie normalnie? - rozplakała się. Zaczęła przetrząsać torebkę w poszukiwaniu chusteczki. - Przepraszam, tak mi wstyd. Nie mogę się powstrzymać.

- Uspokój się - powiedział czule Gabriel. - Uspokój się, dasz sobie radę. Wszystko będzie dobrze. My, mężczyźni, potrzebujemy twojej odwagi. Uspokój się.

Ponad ramieniem Rosy jego oczy mówiły Miriam, że chce jej coś przekazać. Wszedł z nią na bok.

- Nie obawiaj się! Chcę z tobą porozmawiać o Rosie. Czy zaopiekujesz się nią? Mimo jej odwagi i doświadczenia, nie jest tak silna jak ty.

- Wciąż nie możesz uwierzyć, że mam serce? - nie mogła powstrzymać się od zadania pytania.

- Myślę, że nadal nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo jesteś wrażliwa. Jakież to podobne do niego - w takiej chwili mówić zagadkami!

- Obiecuję ci, że zrobię wszystko, co w mojej mocy.

- Ona potrzebuje przyjaciółki.

- Nie obawiaj się. Jestem jej przyjaciółką.

- Dziękuję ci.

Nie mieli już sobie nic więcej do powiedzenia, ale Gabriel nie odchodził. Żwir i kamienie uwierały poprzez podeszwy butów. Nadal stał, obserwując ją otwarcie, ale nie zdradzając żadnych uczuć, jak zawsze. Bóg jeden wie, co myślał, gdzie błądziły jego myśli! Z pewnością musiał wyobrażać ją sobie z tym drugim, leżących w łóżku; musiał katować się wizją sennych wieczorów i ciemnych nocy. Jeśli tak było, z pewnością bardzo cierpiał.

- Jestem także twoją przyjaciółką, Gabrielu - dodała cicho. - Zawsze byłam i zawsze będę.

Niepotrzebnie to powiedziała. Jego twarz stężała.

- Przede wszystkim zależy mi na Rosie. Obawiam się, że będzie jej bardzo ciężko. Gwizd, nawołujący fo raz ostatni, wywołał gwałtowne poruszenie wokół pociągu i Gabriel zniknął jej z oczu. W zapadającym zmierzchu udali się do domu.

- Chciałbym też móc pojechać - powiedział Eugene, a potem już milczał przez resztę drogi.

Miriam rozumiała, że Eugene odczuwał bolesny brak możliwości sprawdzenia się w wielkiej wojennej przygodzie. Jak straszne musi być to, że jego tragedia rozegrała się w tak radosnym dla innych czasie. Nawet Gabriel nosił swój oręż z dumą. Wszędzie z balkonów powiewały flagi. W oknach płonęły lampy naftowe i świece, rozświetlając mrok. Dochodząca z dala pożegnalna salwa dział spłoszyła stado gołębi. Na frontowych schodach czekali Angélique i młody Eugene, wciąż trzymając swoje małe chorągiewki. Chłopiec na widok rodziców puścił się biegiem. Jego oczy błyszczały, głos miał zachrypnięty, przez całe popołudnie wiwatował na ulicy.

- Dlaczego nie zabraliście nas ze sobą? - spytał. Tak jak i ojcem miotał nim żal, że nie może pojechać na wojnę.

- Nie było już miejsca w powozie - powiedziała Miriam. - Ale obiecuję, że następnym razem cię zabierzemy.

Chłopiec ledwie mógł ustać.

- Czy to naprawdę było takie wspaniałe?

Uśmiechnęła się do syna, swego kochanego chłopca, i znów pogratulowała sobie w duchu: on ma tylko dwanaście lat, dzięki Bogu.

- Tak, tak - powiedziała. - To było naprawdę wspaniałe.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY.

Rok wojny poczynił ogromne zmiany. Miriam wracała z Fanny do domu z bazaru. Zapłaciła właśnie szalenie wyśrubowaną cenę za twardego i tłustego kiełbasa, zwanego popularnie „słoniną Południa”. Wzdłuż rzeki trójmasztowe szkunery czekały na załadunek bawełny; z wygaszonymi światłami będą próbowały ominąć blokadę i dostarczyć ładunek do Hawany; stamtąd popłynę do Londynu lub Paryża.

Paryż. Place przypominające Jackson Square. Czyż André nie mówił, że jest podobny do Places des Vosges? André spacerował tam nieraz - jego krok był tak szybki, iż niemal przypominał bieg - wydawało jej się, że słyszy jego kroki na bruku. Powinny tam być wielkie kamienne budynki, parki, kawiarnie, młode kobiety o słodkich ustach, perfumy, perły... Przeszył ją zimny dreszcz i przystanąła, zamykając oczy.

- Czy wszystko w porządku? - spytała Fanny.

Była w Paryżu i zapomniała o Fanny. Na czujnej twarzy służącej pojawiło się zaniepokojenie, przemieszane ze wścibstwem. Jak dużo Fanny wiedziała lub się domyślała? Ze służbą nigdy nic nie wiadomo. Zawsze przebiegli i bojaźliwi, wytresowani tak, żeby nigdy nic nie ujawniać, ale stale rozważni, by przypadkiem nikomu się nie narazić.

Miriam zamrugała oczyma i powróciła do rzeczywistości.

- Tak, tak, wszystko w porządku. Jestem trochę zmęczona.

Nie pisał, gdyż nie chciał narażać jej na gniew Eugene'a, albo może i pisał, ale poczta nie dochodziła.

Statki nie mogły dopłynąć. Blokada dławiła miasto, była jak pętla, założona mu na szyję.

W pobliskim kościele zdjęto z wieży dzwon, żeby go przetopić na armaty. O tak, wojna dokonała wielu zmian! Trudno sobie wyobrazić, jak łatwo można zostać wciągniętym w sam środek wojny, mimo że chciało się jej unikać. W synagodze kobiety wydały bal, żeby zebrać pieniądze na biedne rodziny, których żywicieli walczyli na wojnie. Kobiety robiły na drutach skarpety i rękawice dla żołnierzy; w każdym domu stały torby szarej wełny. Wysyłało się koce, rezygnowało z jedzenia mięsa i picia kawy, aby starczyło dla armii. Jakie to dziwne, bolesne i dziwne, robić te wszystkie rzeczy, robić je z zapalem, i jednocześnie mieć nadzieję, że wygra druga strona, gdzie wśród ludzi w niebieskich mundurach walczył Dawid! Na Jackson Square spotkała Rosę de Rivere.

- Dzisiaj dostałam list od Gabriela. Przeczytać ci? A może nie chcesz? - dodała, nadając normalnemu listowi dodatkowe znaczenie.

„Ależ ona się bawi tą sytuacją! - pomyślała Miriam. - Nieodwzajemniona miłość do zamężnej kobiety. Smutne i nieco skandalizujące.”

- Oczywiście chętnie go posłucham - powiedziała cicho. - Siadaj i czytaj. Fanny, idź do domu beze mnie.

„Brałem udział w zwycięstwach i porażkach - czytała Rosa. - Pod Manassas Junction, gdzie wygraliśmy, i w Forcie Donelson, gdzie pobili nas Jankesi. Były jednakowo przerażające. Przed pierwszą walką czułem entuzjizm. Wszystko wydawało się takie proste! Oto, myślałem, pojawia się szansa, żeby pokazać, co potrafi odwaga jednostki, pomnożona tysiące razy. Być może doprowadzi do końca wojny? W każdym razie bez strachu ruszyłem w wir walki. Moje poczucie pewności nie trwało jednak długo.

Rano prawda uderzyła mnie z całą siłą. To był letni ranek; czy te dwa słowa nie wystarczą za cały opis? Letni poranek. Na tle zielonej trawy czerwona ziemia szańców tworzyła jakby jeszcze jedną ranę, pośród tysięcy innych. Świeża, kwitnąca ziemia - i co z nią zrobiliśmy? Wszyscy ci młodzi ludzie - co uczyniliśmy z nimi? Zdobyliśmy magazyny Unii, ale ponieważ nie mieliśmy dość wozów i nie mogliśmy nic zabrać, podpaliliśmy je. Paliły się całą noc. Po tym przerażającym ognisku pozostał tylko żużel, mały wzgórek dymiących ruin, strzelający iskrami, które wyglądały jak złe, małe oczy jakichś piekielnych chochlików.

Generał Lee zezwolił Federacji na zebranie swoich rannych. Ich i nasi ranni leżeli osobno, pod drzewami, w miarę możliwości z dala od promieni słonecznych. Rany były okropne, ponoć dużo gorsze niż te z czasów wojny z Meksykiem. Wszystko przez nowe kule karabinowe, tak zwane minié. Mają stożkowaty czubek - diabelski wynalazek, rozrywający ciało na kawałki. Te potworne rany aż roiły się od much i robactwa. Ludzie leżący w długich kolumnach rzucali się w agonii. Przypominało to gigantycznego węża, pełznącego przez pole. Nie powinienem pisać Ci o tym wszystkim. Ale wydaje mi się, że ludzie winni o tym wiedzieć, nawet jeśli nie mają możliwości zapobieżenia tej makabrze. Skoro raz zaczęliśmy wojnę, musimy ciągnąć ją dalej, nie ma innego wyjścia. W każdym razie, kiedy zacznę żałować, że w ogóle o tym wspominałem, pociechą będzie mi fakt, że zapewne przez długi czas nie odezwę się ani słowem. Nie będzie na to czasu.

Jak mam opisać bitwę? Czy warto w ogóle próbować? To istne piekło. Nawet drzewa odnoszą rany, kiedy kule armatnie rwą je na sztuki.

Zwłaszcza gdy używamy armat dwudziestopięcioletowych. Nasi żołnierze mają czarne twarze - zabarwił je proch. Hałas czyniony przez tę całą broń jest nieprawdopodobny. Do tego dochodzi jeszcze harmider czyniony przez ptaki i kwik rannych koni. Biedne, nieświadome stworzenia, zmuszane do podobnych rzeczy!

Najgorsze jednak jest czekanie na bitwę. Często przeraża bardziej niż rzeczywistość. Wiedza o tym, co cię czeka, paraliżuje, chce się to już mieć za sobą. Maszerowaliśmy w deszczu, przemoczeni do suchej nitki. Większość żołnierzy nie ma płaszczy, brakuje namiotów. Wielu musi spać pod gołym niebem. Zżerają nas wszy, czasem tygodniami nie możemy się przebrać, wszy tak się zagnieździły w ubraniach, że nie pomaga nawet pranie. Ludzie wstydzą się brudu. Więcej jest chorych niż rannych. Zeszłego lata umierali głównie na tyfus. Teraz, gdy jest zimno, umierają na zapalenie płuc. Śnieg i mróz są zabójcze dla chłopców z Południa. Przez cały czas, w upale i chłodzie, cierpimy na szkorbut. Na nasza dietę składają się suchary, solona wieprzowina, kawa i fasola.

Widziałem szpital polowy zostawiony na łaskę wrogów, ponieważ musieliśmy się wycofać, ratując własne życie. Zostawiliśmy naszych, żeby zginęli w niewoli lub, co gorsza, cierpieli bez pomocy.

Och Boże, dlaczego to wszystko piszę? Może rano nie wyślę jednak tego listu? Ale na razie, kiedy tak piszę przy świecy, czuję obok siebie obecność wszystkich tych, którzy polegli. Zaglądają mi przez ramię i nakazują bez żadnych upiększeń przelać na papier całą prawdę.

Pamiętam widok umierających ludzi. Jakże ich śmierć różniła się od godnego i spokojnego konania naszych dziadów. Najbardziej jednak lękam się tego, iż przywykam do podobnych widoków. Widzę umierającego chłopca i jego ubogi dobytek - blaszany kubek, pistolet, patelnię, tornister z fotografiami i listami z domu. Zerkam na to i idę dalej.

Co się ze mną dzieje? Jakim będę człowiekiem, kiedy to wszystko wreszcie się skończy?"

Rosa włożyła list z powrotem do torebki. Milczały, dopóki Rosa znów po niego nie sięgnęła:

- Zapomniałam. Jest jeszcze postscriptum: Przypomnij o mnie Miriam. Mam nadzieję, że u niej wszystko w porządku.

Wyprostowany niczym generał, Ferdinand stał w saloniku przed przypiętą do ściany mapą i głośno relacjonował Eugene'owi ruchy wojska. Obaj

mężczyźni, wraz z Emmą, jej córkami i młodym Eugene'm, śledzili działania wojenne. Cieszyli się i kłócili o Manassas, narzekając na Jeff a Davisa.

- Powinniśmy uderzyć na Waszyngton - twierdził Ferdinand. - Nie mogą nas powstrzymać.

Radosne ożywienie, które ogarnęło Eugene'a z chwilą wybuchu wojny, powoli wygasało.

- Nie, nie - odpowiedział. - To zwycięstwo przyszło zbyt wcześnie, żeby mogło dać jakieś konkretne korzyści. Tyle tylko, że poczuliśmy się niezwycczeni.

Ferdinand nastawiony był optymistycznie, Miriam natomiast - sceptycznie. Papa nie wierzył, że wojna wybuchnie, ale teraz ją zaakceptował. Traktował ją jak wielką, podniecającą grę.

- Nigdy nie myślałem - oświadczył ponuro Eugene - że Grant zwycięży Johnstona i Beauregarda w Shiloh. Teraz Missisipi stoi otworem aż do Vicksburga.

Wczoraj kondukt żałobny generała Johnstona przemaszerował St. Charles Street niczym widomy symbol klęski. U ujścia rzeki, sto pięćdziesiąt mil na południe od miasta, zebrała się flota Unii. Czekala na rozkaz ataku na forty. Dowodził nią admirał Farragut, z goryczą wspominany jako syn Nowego Orleanu. Dziwne, bardzo dziwne są te wzajemne powiązania.

Syn Pelagii, Alexandre, wysłannik sztabu Lovella, przyniósł salonowym strategom gazetę. Jego zaróżowione policzki świeciły od potu, dyszał ciężko.

- Forty i miasto są z całą pewnością bezpieczne! Ustawiono w poprzek rzeki osiem szkunerów bez masztów, wyładowanych belkami i powiązanych linami. Absolutnie nie do przebycia! Na rozlewiskach zgromadziliśmy pnie, zatopione żywe dęby, jeszcze z liśćmi, powiązane w piętnastometrowe zapory. Nic się przez nie nie przebije! Na rzece mamy też pięćdziesiąt tratw wyładowanych drewnem, smołą i bawełną. Mówię wam, nikt nawet nie będzie próbował przedostać się przez taką płonącą zaporę. A na brzegach rzeki poniżej fortu generał Lovell rozmieścił strzelców wyborowych.

Kilka dni później Alexandre przyniósł wiadomość o rozpoczęciu ostrzału fortów. Tym razem przez jego słowa przebijało niedowierzanie, jakby to, co opowiadał, było zbyt trudne do ogarnięcia, nawet dla kogoś, kto widział to na własne oczy.

- Powietrze aż parzy od ognia, pociski latają gęsto, jak wyrojone pszczoły. Rzeką płyną martwe ryby zabite wybuchami. Nie możecie sobie wyobrazić...  
- wsparł ręce o stół, na jego tępej twarzy pojawił się cień myśli. -

Powinniście byli zobaczyć ten dym, kiedy wysłaliśmy w dół rzeki podpalone tratwy! Płonąca smoła i terpentyna to naprawdę coś! Musiałem oglądać wszystko z bliska, żeby potem zameldować. Istne piekło, dym był tak gęsty, że z trudnością coś widzieliśmy, i nagle żółte płomienie, kiedy wybuchł statek. Podobno utonęło mnóstwo ludzi; najpierw poparzył ich ogień, a potem utonęli... W większości żołnierze Unii... - Przerwał, jego oczy rozszerzyły się, jakby dopiero teraz uświadomił sobie, że to także byli ludzie. Tacy sami jak on. Poparzeni, spaleni i utopieni.

- Herbert Rosy jest tam, na rzece - powiedziała Miriam.

Alarm rozległ się rano, dwudziestego czwartego, gdy wstawali od stołu po śniadaniu. Dwanaście spiżowych dzwonów z wieży kościelnej zadzwieczało czterokrotnie, wywołując wibracje, które przeniknęły aż do szpiku kości i spowodowały, że wszyscy zamarli w bezruchu: Syzyf z tacą pełną talerzy, Angélique w połowie schodów. Przerażony pies z piskiem umknął pod krzesło.

- Alarm? - spytała drżącym głosem Emma. Jej oczy błagały o zaprzeczenie.

- Alarm. Wyślij Maxima do redakcji gazety - rozkazał Eugène z dawną pewnością siebie. - Umie czytać, niech sprawdzi biuletyn.

Po pół godzinie Maxim wrócił, dumny z wagi przynoszonych wieści.

- Przełamali linię fortów. Nie zdobyli ich, ale okręty wojenne płyną w górę rzeki do miasta.

- A więc będą tutaj jutro - stwierdził Eugène.

Emma uniosła rękę do ust, powstrzymując cisnący się jej na usta okrzyk. Młody Eugène był pełen euforii: działo się coś nowego!

„A ja - pomyślała Miriam - co ja czuję? Strach? Tak, z pewnością. Nadzieję, że wojna wreszcie się skończy? Ale wojny nie kończą się tak szybko. " Nagle pomyślała: „Czy będą okupować miasto, czy najpierw je zniszczą?"

Późnym popołudniem zjawił się Alexandre. Chciał pożegnać się z matką, a ona poprosiła go, aby zaniósł najnowsze wieści do domu Mendesów.

- Wyjeżdżam z generałem Lovellem do Camp Moore. Zdecydował się opuścić miasto bez walki. Dzięki temu nieprzyjaciel nie będzie miał pretekstu do ostrzału.

Entuzjazm młodzieńca wywarł zbawienny wpływ na Emmę.

- Możemy być z niego dumni - stwierdziła, kiedy jej wnuk opuścił dom. - Możemy być dumni. Ł ludźmi takimi jak on po prostu nie możemy przegrać.

Jednak, pomimo takich nastrojów, na ulicach wybuchła panika. Ludzie miotali się tam i z powrotem, nad rzeką, do pociągów ewakuacyjnych, wszędzie, całkiem bez celu. Serafina przypaliła pieczeń. Nawet Syzyf, najbardziej godny zaufania, zapomniał zamknąć za sobą frontowe drzwi. Emma udała się do domu Pelagii, z którego widać było rzekę. Rosa stwierdziła, że brak wieści o jej synach stanowi dobrą wiadomość.

Ferdinand, niezdolny do siedzenia w miejscu, zaproponował, że zabierze młodego Eugene'a i Angélique oraz Blaise'a do miasta, zobaczyć, co się dzieje.

- W co się ubiorą? - spytał Eugene. Pytanie zaskoczyło Miriam.

- Ubiorą? - powtórzyła.

- Tak. Chcę, żeby włożyli odświętne stroje. Nawet jeśli stracimy miasto, nie oznacza to naszego końca. Nie możemy wyglądać na zwyciężonych. Włóżcie najlepsze rzeczy. Biaise także. Czy masz nowe ubranie, Biaise?

- Tak, proszę pana - przez twarz Blaise'a przemknął cień.

- Na sobie?

- Nie, proszę pana.

- To włóż. Szybko.

- Nienawidzi tego ubrania - wyjaśniała Angélique, kiedy Biaise odszedł. - Fanny mi powiedziała. Podobno Biaise uważa, że wygląda w nim jak mała kataryniarza.

- Bzdura! - oburzył się Ferdinand. - Sam ie wybierałem, najlepszej jakości sukno.

- Nienawidzi jego koloru. Fioletowy. I mosiężne guziki. Nie chciała bym nosić ubrania, które mi się nie podoba - zaprotestowała Angélique.

- Ty to ty, a Biaise jest służącym. Powinien uważać się za szczęściarza, że go utrzymujemy - odciął się jej ojciec. - Zamiast krytykować swoje ubrania.

Wszystko się zmieniało, szybkim krokiem nadciągały czasy, kiedy Biaise będzie mógł wyrzucić swoje ubranie. Eugene tego nie rozumie, a może nie potrafi zrozumieć. Miriam pamiętała tamten poranek, kiedy kłóciła się z Eugenem, żeby nie odsyłał Blaise'a z domu. Ferdinand wrócił z miasta rozwścieczony.

- Płonie piętnaście tysięcy bel bawełny! - krzyczał. - Płoną statki do jej transportu. I parowce, doki, wszystko! Cukier i melasę wyrzucono na ulice! Ludzie usiłują zebrać, co tylko się da...

- Podpalili bawełnę! - Eugene był wstrząśnięty. - Przekleci głupcy! Będziemy jej potrzebować! Czy nie zdają sobie z tego sprawy?



- Takie były rozkazy. Niszczyć maszyny i wszystko, co może wykorzystać nieprzyjaciół. W dokach tłoczą się tysiące ludzi.

Miriam stała na werandzie i patrzyła na kłęby czarnego dymu wzbijającego się nad groblą. Mnóstwo kobiet szło ulicą, nędzarki w obdartych ubraniach i damy w jedwabiach, za nimi dreptały małe, czarne dzieci, które prawdopodobnie traktowały to jak jeszcze jeden festyn.

- Spalić miasto! - krzyczały kobiety. - Nie pozwólmy go im zdobyć. Puśćmy wszystko z dymem!

Niektóre wymachiwały pistoletami. Miriam była pewna, że rozpoznaje wśród nich Eulalię. Świat zwariował. Działo się wystarczająco wiele, by każdego wpędzić w obłęd.

Nadeszła noc. Gdy miasto pogrążyło się w ciemnościach, nastąpiła cisza, jakby mieszkańcy wyczerpali wszystkie swoje siły za dnia. Domownicy poszli wcześniej spać. Miriam samotnie siedziała na dole, kiedy w drzwiach salonu pojawiła się Fanny.

- Czy pani jeszcze czegoś potrzebuje, panienko Miriam? - zapytała.

- Nie, dziękuję ci, Fanny. Możesz iść spać.

- Pani się nie kładzie? - bystra twarz wyrażała zaniepokojenie.

- Jeszcze nie, Fanny.

Drzwi zamknęły się cicho. Miriam miała przykre wrażenie, że jej zainteresowanie było tylko sprytną maską. Chciałoby się spytać: co o tym wszystkim sądzisz, Fanny? Skoro w tej wojnie - przynajmniej częściowo - chodzi o twoją wolność, czy sprawiłby ci radość upadek miasta, czy raczej by cię zasmucił? Po raz pierwszy między nimi pojawiła się bariera, coś, czego nie można wyjaśnić szczerą rozmową. Nie, to nie do końca prawda. Nigdy nie wspominały o głównej zależności między nimi. Problem własności zawsze był tematem tabu.

„Czy Fanny w ogóle wiedziała, co naprawdę myślę o panujących na Południu stosunkach? Zapewne nie, bowiem musiałam stale ukrywać moje uczucia i poglądy. Istnieją jednak prawie niedostrzegalne oznaki, niewielkie zmiany intonacji głosu, niedopowiedzenia, bardzo jednak znaczące. Radosny optymizm Fanny, na którym stale polegam, z pewnością kryje wiele tajemnic. Czasem, kiedy sądzi, że nikt na nią nie patrzy, jej twarz przybiera zamyślony, melancholijny wyraz. Wystarczy jednak, by ktoś zawołał «Fanny!» i wszelki smutek natychmiast znika.”

Wysoki zegar w holu zakrzuszył się, niczym wiekowy staruszek, i wybił godzinę. Wpół do pierwszej. Wzięła z półki książkę, ale słowa układały się

przed jej oczami w nic nie znaczące szeregi znaków, toteż odłożyła ją na miejsce i zaczęła podziwiać równe rzędy oprawnych w skórę tomów. George Eliot, Dickens, Cooper, Contes and Nouvelles de Musseta, gładkie stronice pełne gładkich słów, cudownych obrazów migających przed oczami. Cywilizacja.

Obeszła naokoło pokój. Na srebrnym półmisku znalazła resztkę cukierków i zjadła je. Następnie przeszła do jadalni, gdzie ze stojącego na kredensie kosza wyjęła brzoskwinie i zjadła ją także, potem jeszcze jedną, nadal jednak była głodna. Przystanąła w salonie przed fortepianem. Wielki i kanciasty, został zrobiony w Bostonie z różanego drzewa. Jedna z nóg miała odłupany kawałek w miejscu, gdzie mały Eugene uderzył w nią kijem. Lekko przebiegła palcami po klawiszach. Zadźwięczały cichutko, jednak nawet ten dźwięk zabrzmiał ogłuszająco w martwej ciszy domu.

Pies skomlał, drapiąc drzwi. Wzięła go na ręce. Ciepłe stworzonko, które nie rozumie, co się do niego mówi, ale przecież zawsze właściwie odczuwa nastrój człowieka. Posłuchaj mnie, Gretel. Jestem zupełnie sama, nie mam nikogo, komu mogłabym powiedzieć, co czuję. I wiesz, nawet sama nie jestem pewna własnych uczuć.

W głębokiej ciszy ziemia czekała na kolejne ofiary. Na tle pochmurnego nieba strzępiaste liście palmowe pochylały się niczym czarne, pogrzebowe pióropusze. Nieoczekiwane echo czyichś bliskich kroków sprawiło, że Miriam w panice umknęła do domu, zatraskując za sobą drłwi z taką mocą, iż rozdzwoniły się kryształowe wisioriki żyrandola. Zdyszana, wsparła się o ścianę, przyciskając dłoń do bijącego szaleńczo serca. Nagle zawstydziła się własnego przerażenia i zasunęła rygiel używany w nocy. Wielka żelazna sztaba, długa na półtora metra, posłusznie wśliznęła się na miejsce. Gdyby jednak naprawdę chcieli tu wejść, mogą to przecież zrobić, prawda? Mogą wyłamać górną połowę drzwi i wspiać się do środka, albo powybić okna...

Na górze smuga światła padała na łóżko, w którym spała Angélique. Wyglądała już prawie jak dorosła kobieta, gdy tak leżała z wyciągniętymi długimi nogami i włosami rozsypanymi w nieładzie na poduszce. Mała dziewczynka, która nie potrafiła zasnąć bez lalek, lada moment przekroczy zaklętą granicę dorosłości.

Kiedy Miriam przechodziła korytarzem, dostrzegła, jak po drugiej stronie pospiesznie gaśnie świeczka. Niech syn nadal myśli, iż matka nie wie o jego nocnym czytaniu, surowo zakazanym przez ojca! Wspomniała Dawida,

który, dawno temu w mrocznej, ponurej wiosce pochłaniał każdą książkę, jaką udało mu się pożyczyć.

Och, co wojna - zwycięstwo bądź klęska - zrobi z tymi młodymi ludźmi? Jak wpłynie na ich życie? Na życie nas wszystkich w tym domu, w całym mieście? Co będzie z Andre?

Żaden promień światła nie rozjaśniał nadchodzącej przyszłości.

- Chcę iść na groblę - oznajmił rano Eugene. Miriam domyślała się, co miał na myśli, ale wiedziała, że mąż nie zdobędzie się na powiedzenie głośno: „Chcę być przy lądowaniu floty Konfederacji.”

Miriam, nękana własnymi obawami, jednocześnie pragnęła pójść z nim i zostać w domu. Popatrzyła w niebo, na którym kłębiły się ciemne chmury. Właśnie spadły pierwsze krople deszczu.

- Będzie burza.

- Jestem gotów pójść bez ciebie - odparował. Poczula się głupio, chociaż i tak zawsze wszędzie chodził bez niej.

- Za chwilę będę gotowa.

Ulice, zbyt zatłoczone, żeby pojechać powozem, wypełniał buntowniczy, nie zważający na deszcz tłum, zdążający pieszo w kierunku rzeki. Z grobli, ponad setkami głów, widoczne były okręty wojenne. Rzeka wezbrała i okręty wysoko unosiły się na falach. Ich armaty przypominały Miriam skierowane na miasto, zachłanne paszcze potworów.

Eugene niecierpliwie zażądał opisu wydarzeń.

- Kilka okrętów mija zakręt - mówiła Miriam, oblizując spieczone wargi. - Jest ich sześć. Nie, siedem, osiem. Są pełne uzbrojonych ludzi. - Jej głos zaczął drżeć. Nie powiedziała, że na masztach powiewały Gwiazdy i Pasy\*), a ponad groblą widniały sztandary Konfederacji.

\*) **Gwiazdy i Pasy - flaga Unii (przyp. tłum.).**

- Precz z Gwiazdami i Pasami - krzyknął jakiś mężczyzna.

Okrzyk podchwyciły tysiące głosów, łącznie z synem i córką Miriam. Kobiety szlochały. Mężczyzna z fujarką zaczął grać Dixie\*\*) i tłum przyłączył się do niego.

\*\*) **Dixie - pieśń patriotyczna, śpiewana przez wojska Konfederatów, nieoficjalny hymn Południa (przyp. tłum.).**

Emma z namaszczeniem powtarzała słowa pieśni, jakby śpiewała kościelny hymn. Wbrew wszystkim uprzedzeniom, taki jednolity opór poruszył sercem Miriam.

Mała łódź odbiła od okrętu „Hartford” i trzech oficerów wylądowało na brzegu. Eugene był zdenerwowany bardziej niż zwykle.

- Co teraz robią? Czy możesz mi opowiedzieć, co się stało?

- Właśnie wylądowało kilku oficerów. To marynarze. Mają ze sobą karabiny i bagnety.

„Przyszli obcy” - Miriam przyłapała się na tym, iż myśli o nich jako o „najeźdźcach” - w granatowych mundurach ze złotymi orłami. Surowe twarze beznamyślnie spoglądały na otaczający ich tłum. Ale bez wątplenia czuli strach, musieli obawiać się tej groźnej tłuszczy. Byli tacy młodzi, jak Dawid noszący ich mundur. Miriam stała i patrzyła, jak obcy szli do schodów prowadzących na ulicę.

- Idą do Ratusza - zauważył ktoś.

Tłum falował przed nimi, za nimi i wokół, powstrzymywany widokiem broni, ale głośno wyrażający swoje poglądy.

- Wracajcie do domu, przekleci Jankesi!

Nagle otworzyły się niebiosy. Padający deszcz zamienił się w ulewę. Wichura szarpała bure chmury. Deszcz chłostał powierzchnię rzeki, zaciął o korony drzew. Stojący na grobli ludzie w jednej chwili przemokli do suchej nitki. Ulewa zaatakowała z taką zaciekłością, jakby upadek miasta nie był wystarczającym nieszczęściem na jeden dzień.

- Wszystko skończone - powiedział Eugene. W jego ślepych oczach lśniły łzy.

- Nie mów tak. Forty jeszcze nie padły - upomniał go Ferdinand.

- A cóż to za różnica? Ominęli je. Teraz nasi muszą się poddać. Oni mają mnóstwo żołnierzy. Chodźcie, wracamy do domu.

Przez całą drogę mamrotał pod nosem:

- Zapora nie była umieszczona we właściwym miejscu. To bardzo dobry pomysł, ale powinni zbudować ją powyżej Fortu St. Philip, gdzie jest silny prąd. Za Fortem Jacksona Jankesi mogli wejść do wody i potajemnie ją rozmontować. Głupcy, głupcy - powtarzał. - A to dopiero początek. Za kilka dni Butler wyląduje tu ze swoimi oddziałami i dopiero wtedy zobaczymy.

Przed frontowymi drzwiami stał Syzyf, wyglądając na ulicę. Kiedy ich ujrzał, zbiegł ze schodów. Jego stara twarz pełna była powagi, gdy przekazywał wiadomość:

- Przysłano chłopca od pani de Rivery. Wieści o jej synu. Zginął w czasie walk na rzece.

- Mój Boże! - krzyknęła Miriam. - Czy powiedzieli, który?

- Pan Herbert. Pani Rosa prosiła, aby pani zaraz do niej przyszła. Emma przeżegnała się.

- Wola boska. Zapomnieliśmy o nim i teraz mam wyrzuty sumienia. Musimy się więcej modlić.

„Poparzony. Utopiony. Kiedy pierwszy raz przyszłam do domu Rosy, nie umiałam jeszcze chodzić. Teraz jest - był - młodym mężczyzną z żoną i dzieckiem. Poparzony. Utopiony.”

- Pójdę natychmiast - zdecydowała. Ale jakich użyć słów? Jak przynieść ulgę? Idę do niej - powtórzyła, kiedy reszta stała bez ruchu.

Ferdinand był przybity. Potrafiła odgadnąć jego nastrój. Sądził, że to wszystko zostawił za sobą, w Europie. A teraz znów widzi ludzi z karabinami.

Kiedyś, jako dziecko, widziała wieśniaków łowiących w sieci ptaki. Nie mogła zapomnieć skrzeku i pisku, łopotu ich skrzydełek, trzasku łamanych sztyj. Teraz wydawało się jej, że całe miasto, cały kraj został złapany w taką sieć.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI.

Z holu dobiegły ostre głosy i Miriam szybko zeszła po schodach na dół. Zdążyła dostrzec, jak frontowe drzwi zatrząskują się za żołnierzem w granatowym mundurze, a Eugène znika w salonie. Maxim trzymał w ręku list.

- Oficer Unii, panienko Miriam. Przyniósł list od pani brata. Mówił, że jego przyjaciel bardzo go prosił o dostarczenie tego listu. Pan Eugène powiedział, że żaden żołnierz Unii nie przekroczy progu tego domu.

- Dziękuję ci, Maximie.

Wzięła list i poszła na górę, by przeczytać go w samotności.

Tyle czasu minęło od ostatniej wiadomości otrzymanej od Dawida! Rozkładając kartkę papieru na kolanach, pomyślała: „Ręce mojego brata dotykały tego arkusika.” W jej oczach zakreśliły się łzy.

„Kochana Siostró! Piszę do Ciebie w sierpniu. Mogą minąć miesiące, zanim ten list dotrze do Ciebie. Brałem udział w walkach o Antietam Creek. Po obu stronach zginęło lub zaginęło ponad dwadzieścia tysięcy ludzi. Mam nadzieję, że nigdy już więcej nie zobaczę niczego takiego, ale wiem, że to pobożne życzenia. Kiedy spotykają się armie, potworności nie ograniczają się jedynie do pola walki. Mam nadzieję, że w Nowym Orleanie będziesz bezpieczna... Tu dzieją się straszne rzeczy. Ludzie opuszczają swoje domy, ciągłe napady na młode dziewczęta, rabunki i grabieże. Ja, który przez całe życie nienawidziłem przemocy, znalazłem się w samym jej środku. Trudno w to uwierzyć, prawda? Bezustannie nęka mnie pamięć o mej zbrodni. Wciąż widzę Sylvaina, człowieka, którego nigdy nie lubiłem, obraz jego twarzy ciągle mnie prześladowuje. Pamiętam jego delikatną, ufną żonę.

Ale starczy tego. Jedna dobra rzecz wyniknęła z naszego zwycięstwa pod Antietam. Ani Anglia, ani Francja nie uzna teraz Konfederacji. Jej dni są policzone.”

„Ale André - pomyślała Miriam - André jest tam i jego misja się nie uda. Kiedy o tym wszystkim myślę, czuję zamęt w głowie.”

„Ponownie nadeszły i minęły święta. Wtedy najbardziej boli nasze rozstanie. Nowy Rok i Dzień Pokuty spędziłem z żydowską rodziną - i to będzie dla Ciebie wielkim zaskoczeniem - sympatykami Południa z Maryland, tuż obok Waszyngtonu. Byli bardzo mili i troskliwi, przygotowali dla mnie wspaniałą kolację, chociaż niezbyt dobrze im się powodziło. Dyskutowaliśmy, ale nie udało mi się ich przekonać.

Pewnie chcesz wiedzieć, co robiłem w Waszyngtonie. Nie wiem, czy w Twoich gazetach pisano o skandalu z kapelanami, o dekreście, że tylko chrześcijanie mogą mieć swoich kapelanów. (Ciekawe, że w Armii Konfederackiej nie ma takich zasad!) Rozpętała się o to burza, możesz to sobie wyobrazić, a ja byłem w pierwszej linii."

„Wciąż dzierży sztandar - pomyślała Miriam uśmiechając się do siebie. - Uparciuch, jak mówił o nim dziadunio. Kiedy uważa, że ma rację, nigdy nie da za wygraną."

„Kiedy dotarliśmy do prezydenta, który nic nie wiedział o tej sprawie, natychmiast wyjaśnił sytuację. Wszystko zakończyło się więc szczęśliwie, ale była to prawdziwa wojna z bigoterią.

Czasami, kiedy nie mogę spać i rozmyślam w środku nocy, dochodzę do wniosku, że życie to nic innego jak droga od jednej walki do następnej. Być może tak właśnie powinno być, sam nie wiem. Ale chciałbym mieć trochę dłuższe odpoczynki pomiędzy nimi! Chciałbym usiąść letniego wieczora z piękną dziewczyną i niczym się nie przejmować. Znowu być z tobą i twoimi dziećmi, na plaży lub na łódce, albo usiąść przed kominkiem w zimowy wieczór. Chciałbym pójść na długi spacer z Gabrielem, tak jak kiedyś. Ale ja noszę granatowy mundur, a on szary...

Kochana Miriam, rozumiem w końcu, dlaczego nie mogłaś porzucić rodziny i domu w tę noc, kiedy musiałem uciekać. Ale mam nadzieję, że teraz, kiedy Wasze miasto jest w rękach Unii, złożycie deklarację wierności. Oby tylko Eugene spojrział na to w ten sposób. Biedny, bezradny kaleka! Z pewnością wszyscy pojęliście już, że Południe przegrało? Ratujcie się, myślcie o sobie, kochana."

- Dostałaś list od brata - Ferdinand stanął w otwartych drzwiach. - Eugene powiedział mi, że ci go doręczono.

- Tak.

- Nic mi nie mówiłaś. Schowałaś się tutaj, żeby go przeczytać?

- Nie myślałam, że będziesz chciał go zobaczyć, papo. Zapanowało milczenie. Ferdinand stał niezdecydowany w progu.

- Mam go przeczytać?

- Tak.

- „Kochana Siostró" - zaczęła i spojrzawszy do góry zobaczyła drgający nerwowo policzek ojca. Czytała szybko: „Mam nadzieję, że w Nowym Orleanie będziesz bezpieczna. Tu dzieją się straszne rzeczy... Ludzie opuszczają swoje domy, napady na młode dziewczęta, rabunki i grabieże..."

- Dość! - krzyknął Ferdinand. - Dość! Nie chcę nic więcej słyszeć od mojego syna! On pisze takie rzeczy, podczas gdy zostaliśmy pobici, nasz dom... - urwał, dławiąc się własnymi słowami.

Miasto cierpiało w obliczu klęski niczym chory, rzucający się na łożu boleści. I tak, jak z pokoju chorego co pewien czas dochodzą komunikaty o jego zdrowiu, na ulicach rozlegały się plotki i szept. Mówiono, że generał Butler stwierdził, iż z miejsca, w którym stoi, z balkonu hotelu St. Charles, jednym gestem może rozkazać, by ulice spłynęły krwią.

- Co za ironia losu! - wykrzyknął Eugene. - I pomyśleć, że ojciec Butlera razem z Andrew Jacksonem ratował to miasto!

Uwielbiany przez wszystkich Pierre Soule został zesłany do więzienia w Fort Warren w Bostonie. Był on żywym symbolem secesji. Dwóch najbardziej wpływowych i szanowanych duchownych wysłano do więzienia w Nowym Jorku, jednego za konfederackie w treści kazanie, drugiego za opuszczanie modlitwy za prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Emma załamywała ręce:

- Mój Boże, kto będzie następny?

- I przez tę głupotę straciłam syna! - krzyczała Rosa, a jej głos załamywał się jak u starej kobiety.

Postarzała się. Następnego ranka po otrzymaniu wiadomości o strasznej śmierci Herberta obudziła się jako stara kobieta. „Smutny to i godny pożałowania widok - myślała Miriam spoglądając na nią. - Pozbawiona dawnych ozdób, ciętego języka i dowcipu. Przykro też patrzeć na jej porozumienie z Eulalią, niegdyś rzecz nie do pomyślenia.”

- Nienawidzę ich! - powtarzała Rosa. - Nienawidzę! Mogłabym zabić Butlera i każdego człowieka w granatowym mundurze przechodzącego ulicą!

- Po naszej stronie też mamy mnóstwo ludzi godnych pogardy - stwierdzała ponuro Eulalia. - Takich jak Juda Benjamin i jemu podobni. Czyż nie jest winien naszej klęski na Wyspie Roanoke? A teraz został sekretarzem stanu! Ludzie tacy jak on, jego pokroju!

„Jego pokroju - pomyślała Miriam. - To Żyd, choć niezbyt bogobojny, ale o to właśnie chodzi. To masz na myśli, tylko nie śmiesz powiedzieć tego głośno w obecności Eugene'a. A ja nie osmielę się odpowiedzieć ci tak jak kiedyś”.

Wtrąciła się Emma:



- Widziałam wczoraj obrzydliwą scenę na Royal Street. Dwie damy noszące naszą flagę zatkały nosy, kiedy przechodził oficer Unii. Oczywiście robimy to wszyscy, ale ten oficer postanowił zareagować i poszedł za nimi, a one - zachichotała - zaczęły udawać, że wymiotują! Byłam po drugiej stronie ulicy i zatrzymałam się, żeby popatrzeć. Jankes wściekł się: „Mamy tego dość! Nie róbcie tego więcej, ostrzegam was!” Przestraszyły się śmiertelnie i uciekły.

- Musisz ostrzec Angélique - wtrącił Eugène. - Już nie jest małą dziewczynką, na którą nikt nie zwraca uwagi.

- Jeśli Angélique choć w części przypomina swoją matkę - zauważyła Eulalia złośliwie - nie obrazi oficera Unii.

- Co masz na myśli? - spytała wściekła Miriam.

- Cóż, odpięłaś naszą flagę od swych sukien.

- Oczywiście, że to zrobiłam. Nie chcę skończyć jak pani Phillips.

- To straszne - powiedziała Emma. - Znałam ją nieco. Pochodzi z jednej z najlepszych rodzin w Alabamie. Oskarżono ją, że śmiała się, kiedy obok jej domu przechodził kondukt pogrzebowy oficera Unii! Czy kiedykolwiek słyszeliście o czymś tak absurdalnym? Czy to próbka wolności panującej w Unii? Kobietom nie wolno nawet się zaśmiać? I więzienie na Ship Island! Mówią, że przeżyła załamanie nerwowe.

- Butler jest znany z nienawiści do Żydów - stwierdził, Eugène. - Dlatego dali jej tak ciężki wyrok.

- O tak - dodała Miriam. Jej uwaga nie była adresowana do nikogo, ale chodziło jej o Eulalię. - Północ obwinia Żydów o łamanie blokady i wierność Południowi, podczas gdy niektórzy południowcy uważają, że Żydzi nie są wystarczająco lojalni. Dziwne, nieprawdaż?

- Butler! - mruknął z pogardą Eugène. - Jakie wspaniałe deklaracje, a jednocześnie pozwala swemu bratu wycisnąć z miasta wszystko, co się da! W ten sposób obaj zbili fortunę.

Ferdinand wyglądał na osobiście urażonego.

- Trudno uwierzyć. Trudno uwierzyć - mamrotał.

Domowników ogarnęło przygnębienie. W półmroku wszyscy starali się przetrwać długie, ponure godziny. Nikt nie wychodził już do ogrodu. Pozostanie wewnątrz domu dawało większe poczucie bezpieczeństwa.

Pewnego dnia Miriam uświadomiła sobie, że Eugene od kilku tygodni nie opuścił domu, nawet w celu swoich „wizyt”. Bez ogródek spytała Fanny, czy

nic jej na ten temat nie wiadomo. Fanny odpowiedziała, nie ukrywając prawdy:

- Queen zabawiała majora Unii, który zajął jej dom, wie pani, ten obok dawnej kamienicy generała Twigga, którą Butler wziął dla siebie. Mówią, że Queen wydała obiad dla tuzina oficerów i podała go na srebrnej zastawie.

A więc Queen porzuciła go dla zwycięzców! Biedny Eugene! Nawet służący byli bardziej lojalni, choć Bóg jeden wie dlaczego.

Miriam rozmyślała o tym robiąc na drutach, które błyskały pomiędzy szarą przędzą. Młody Eugene spytał:

- Czy zamierzasz złożyć deklarację wierności, papo? Ojciec mojego przyjaciela Bartletta powiedział, że chce to zrobić. Twierdzi, że to tylko słowa i nie zamierza przejmować się ich treścią.

- Chce to zrobić? Ojciec Bartletta jest nędznym łajdakiem i możesz mu to powtórzyć, jeśli zechcesz.

- Powiadają - odezwała się Miriam - że jedenaście tysięcy ludzi już ją podpisało.

- I niech podpisują! Żaden uczciwy obywatel nie będzie się z nimi zadawał! Wspomnicie moje słowa!

„Mam nadzieję - pisał Dawid - że podpiszecie deklarację wierności. Południe już przegrało.”

- Odmowa oznacza konfiskatę - dodała Miriam, starając się, żeby jej głos brzmiał beznamiętnie.

- Konfiskatę! - powtórzył smutno Ferdinand. - Utratę domu!

„Dla ciebie - pomyślała Miriam - byłoby to już drugie wywłaszczenie.”

- Przeczytaj tę deklarację - polecił Eugene. Podniosła papier.

- „Uroczycie przysięgam posłuszeństwo i wierność Rządowi Stanów Zjednoczonych oraz że nie wystąpię zbrojnie... ani nie będę innych do tego namawiać... użyję wszystkich moich możliwości... do pomocy w stłumieniu rebelii... Tak mi dopomóż Bóg. Pod przysięgą i ...”

- Podaj mi notatnik! - krzyknął Eugene. - Chcę zrobić listę. Chcę spisać nazwiska wszystkich tych, którzy podpisali tę hańbiącą deklarację!

Ferdinand patrzył niezdecydowany. Podpisałby, gdyby starczyło mu odwagi, gdyby nie Eugene. W obecnej sytuacji pragnął tylko spokoju, wygasł w nim już młodzieńczy płomień buntu. Stał zmieszany, trzymając w rękach główkę porcelanowej, chińskiej lalki, którą chciał naprawić dla Angélique.

- Jedno jest pewne, nikt z mojej rodziny nigdy nie podpisze tej deklaracji - oświadczyła Emma. - Nikt ze starych, francuskich osadników nie okryje się podobną hańbą.

- Nie tylko stare francuskie rody. Nasz rabin Gutheim również tego nie zrobi, choć nie ma nic wspólnego z Francuzami. Co najmniej połowa naszego zgromadzenia też odmówiła - powiedziała cicho Miriam.

Dlaczego trzeba znowu dokonywać wyboru? Opowiadać się ze przegraną stroną? Pomyślała o Gutheimie, emigrancie z Niemiec, który dopiero od jedenastu lat przebywał w mieście i wybrał wierność południowym ideałom. Prawdopodobnie pod wpływem swojej żony, pochodzącej ze starej rodziny z Alabamy. Kochał ją i ulegał jej wpływom. Jeśli poślubiłabym André...

- W każdym razie mamy czas do pierwszego października - powiedział Ferdinand. - Na szczęście - dodał - do tego czasu wiele może się wydarzyć.

- Mamy już trzydziesty wrzesień - oznajmiła Miriam. - Powinieneś dzisiaj powziąć decyzję.

- Już ją podjąłem.

- Czy jesteś jej pewny?

- Przeczytaj mi jeszcze raz ten przeklęty świstek!

- „... wszystkie osoby, które nie podpiszą deklaracji... muszą stawić się osobiście... w najbliższym urzędzie i złożyć listę majątkową... każdy otrzyma dokument zaświadczający, że jego posiadacz jest wrogiem Stanów Zjednoczonych...” - odłożyła pismo, myśląc, że nie może na to pozwolić.

- Dalej - niecierpliwiał się Eugene.

- „...każdy, kto nie zgłosi się dobrowolnie do urzędu, podlega karze grzywny, więzienia i ciężkich robót...” - Odrzuciła papier.

„Niewidomy mąż, uparty i zaciętrzewiony. Emma i Ferdinand, bez środków do życia. I dwoje dzieci. Wszystkimi muszę się opiekować. I jeszcze Rosa, która także odmówiła podpisania deklaracji i zostanie wyrzucona z domu. Dałam Gabrielowi słowo, że się nią zaopiekuję.”

Ferdinand stał w holu, rozglądając się po domu, który przywykł już uważać za swój. Był bardziej zdumiony niż zasmucony. Przeżył dzień swojego bankructwa i nie wierzył, że ponownie mu się to przydarzy.

- Pospiesz się papo - powiedziała łagodnie Miriam. - Na opuszczenie domu mamy czas do południa.

- Chciałbym zabrać ten obraz - rzekł, jak gdyby w ogóle jej nie usłyszał. Zajrzała do salonu, w którym na lato zwinięto dywany i przesypano liśćmi tytoniu w ochronie przed owadami. Nad kominkiem wisiał portret

namalowany we wczesnym dzieciństwie Eugene'a i Angélique. Chłopiec w marynarskim ubranku i drelichowych spodniach, w czarnym kapeluszu z szerokim rondem, stał za fotelem, na którym siedziała dziewczynka. Małe rączki złożone miała na zielonym, jedwabnym fartuszk, tak jak ją nauczono.

- Nie możemy zabrać niczego cennego - stwierdziła Miriam niezdecydowanie, czując ciężar złotych monet zaszytych w pasie ukrytym pod spódnicą. - Aczkolwiek nie wydaje mi się, żeby miał on jakąkolwiek wartość dla kogoś, oprócz nas. Tak, powiedz Syzyfowi, żeby go zwinął i zapakował do rzeczy służby. Mam nadzieję, że nie będą tam szukać. I wezmę trochę książek. Wyjeżdżamy na długo.

- Tak myślisz? - zapytał Ferdinand.

Mała karawana powozów ustawiła się przed domem. Furka ogrodowa została otwarta. Posąg Afrodyty spoglądał kamiennym wzrokiem ponad gruszami, obsypanymi dojrzałymi owocami. Z podwójnej fontanny ciekła woda, kamienne gołębie dziobały ziemię. W słonecznym kręgu nic się nie zmieniło. Miriam poczuła nagle nieoczekiwany, głęboki żal. Co jednak musiał przeżywać Eugène, dla którego dom stanowił główny powód dumy? Wreszcie siedzący na kozie Maxim otrzymał rozkaz wyjazdu, podciął konie. W ostatnim powozie siedziała Rosa. Na rogu dom Pelagii straszył zamkniętymi oknami i pospuszczanymi roletami. Jego właścicielka kilka tygodni wcześniej razem z Eulalią i dziećmi wyjechała do wiejskiej posiadłości Labouisse'ow.

Ferdinand mamrotał coś do Emmy o tym, jak pierwszy raz zobaczył miasto i ją samą. Nie chcąc ich podsłuchiwać, Miriam odwróciła głowę i objęła ramieniem Angélique. Dziewczynka spojrzała na nią i uśmiechnęła się do matki tak słodko, że Miriam poczuła dumę z odwagi swoich dzieci.

Minęli róg ulicy, gdzie Eugene'a spotkała jego tragedia, ulicy, przy której mieszkała Queen. Znający tę trasę na pamięć Eugène musiał wiedzieć, gdzie się znajdują; mocno zacisnął ręce na oparciu i zwiesił głowę. Jakie wspomnienia, smutne i radosne, musiały kłębić się w jego głowie!

Jeden po drugim mijali domy należące do ludzi, którzy związani byli z ich życiem. Przejechali Canal Street, skąd ponad wierzchołkami młodych drzew rosnących wzdłuż ulicy Miriam mogła zobaczyć okna Urzędu Celnego, z którego „Bestia” Butler rządził miastem. Minęli dzielnicę, w której André zbudował swój piękny dom. Zamknęła oczy, próbując odegnać precz wspomnienia, ale one nie chciały odejść.

Na rogatkach okazali przepustki i pojechali w głąb kraju, gdzie napotykanymi żołnierze będą nosili szare mundury. Powozy jechały długą linią pod jesiennym niebem. Nikt nic nie mówił, oprócz Eugene'a, który powiedział:

- Chciałaś sprzedać posiadłość. Co byśmy teraz bez niej zrobili?

Mogła odpowiedzieć: „Trzeba było podpisać deklarację,” ale oczywiście nie zrobiła tego. Milczała.

Angélique spała, opierając głowę o kolana matki. Młody Eugene rozmyślał z marszem na czole. Z pewnością ostatnie wydarzenia, zakończone wyjazdem, uczyniły go starszym nad wiek. Nie tak dawno wyjeżdżałby z miasta radośnie powiewając flagą. Teraz milczał i obserwował drogę przed sobą.

W ciszy nie rozbrzmiewał żaden dźwięk z wyjątkiem szumu wiatru w gałęziach olch i stukotu końskich kopyt.

Późnym wieczorem następnego dnia dotarli do Beau Jardin.

Chociaż ich przyjazd nie był oczekiwany, z przyjemnością stwierdzili, iż wszystko jest w porządku. Równe grządki groszku, szparagów i truskawek. Za pobliskim ogrodzeniem tuzin jagniąt pasło się wśród stada krów. Przez cały dzień swojsko gdakały kury. Będzie więc mleko, jajka, świeże jarzyny, wszystkie te dobra, pomimo konfiskaty Butlera. Wojna wydawała się taka odległa.

Wczesnym wieczorem Miriam wyszła na dwór i stanęła nieruchomo, napawając się panującym tu spokojem. Nigdy nie lubiła tego miejscz, nigdy nie lubiła bezczynności, samotności i bezużytecznego przepychu. Beau Jardin! Ironiczna nazwa! Człowiek powinien dobrze się tu czuć, ale ona nigdy nie była tu szczęśliwa. W ten spokojny wieczór wojna wydawała się tak daleka, ale to tylko złudzenie. Zanim to wszystko się skończy, czeka ich jeszcze wiele przykrych doświadczeń.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI.

Eugene i Ferdinand podeszli do swoich map, dyskutując i rozważając różne warianty. Ferdinand poprowadził palec Eugene'a z Nowego Jorku do Teksasu.

- Teraz jest najlepszy moment na atak na Północ, mówię ci. Autorytet Lincoln podupada. Ostatnio w Nowym Jorku doszło do zamieszek antywojennych.

- Ambasador brytyjski w Waszyngtonie napisał do Londynu, że na Północy coraz głośniejsze mówi się, aby pozostawić Południe w spokoju i skończyć wojnę.

- Zdobyliśmy Galveston i mamy w rękach Teksas.

- Vicksburg nadal się trzyma i póki nie padnie, nie możemy przegrać.

„To samo powiedział André. Dopóki Vicksburg nie padnie. Ale z tego, co wiem, on jest teraz w Paryżu.”

W najdalszym kącie biblioteki, za wysokim oknem, można było dostrzec fragment drogi, na której złote kłęby kurzu znaczyły szlak teksaskiego bydła pędzonego do Armii Konfederackiej. Tydzień po tygodniu stada krów nieustannie ciągnęły do miasta. Wojsko pochłaniało każde życie, ludzkie i zwierzęce. Zarekwirowano im ostatnie konie, z wyjątkiem trzech, które służba ukryła na mokradłach. Angélique rozplakała się, kiedy wyprowadzili Angela, kucyka o delikatnych białych uszach. Właśnie skończyła go szczotkować, gdy pojawili się żołnierze.

- Przykro mi, panienko - oznajmił sierżant. - Wiem, że to trudne rozstanie. Ale armia potrzebuje koni.

Miriam naszły ponure myśli.

- Blaise właśnie wrócił z Nowego Orleanu - powiedziała, odciągając uwagę mężczyzn od rozważań strategicznych. - Mówią tam, że Federalni wkrótce tu będą.

- Nie zdołają się przebić - zaczął Ferdinand. - Nasze oddziały... Eugène odsunął go na bok.

- Blaise! Nie ufam mu. Powtarza to, żeby nas zdenerwować i przerazić. Nie wierzę ani jemu, ani nikomu ze służby.

To prawda, wielu było takich, którym już się nie ufało. Niektórzy kradli. Chociaż doskonale wiedziano kto, obawa powstrzymywała przed wypowiedzeniem na głos oskarżeń. Zaniebdywali zwierzęta i ogród, ale mogli przecież uciec. Zamiast wracać, Blaise mógł z łatwością zostać w

Nowym Orleanie. Może pamięta, że to właśnie Miriam ocaliła go od sprzedania?

- Przyjmijmy jednak, że to prawda - ciągnął Eugène. - W takim razie powinnaś zacząć ukrywać cenne rzeczy. Zrób to w nocy, kiedy wszyscy śpią.

- Moje rodzinne srebra - szepnęła Emma. Tylko to zostało jej po licytacji majątku.

- Kamieniółom znakomicie nada się na kryjówkę - podsunął Ferdinand. Rosa zaś stwierdziła:

- Powinnyśmy przywiązać srebra do krynolin od spodu, wtedy nie będzie ich widać. Nigdy nie wiadomo, kto może nas obserwować.

Miriam wszystko to wydało się melodramatyczne i nieco śmieszne. Z czystej przekory nie posłuchała Eugene'a w jednym: należące jeszcze do jego matki diamenty przekazała na przechowanie Fanny. Czy miała to być próba lojalności służącej i jej własnej zdolności oceny ludzkich charakterów? Trudno! Jeśli przepadną, będzie to jedynie kolejna, wcale nie największa strata.

Przez cały tydzień panował spokój. Tylko teksańskie bydło wędrowało drogą. Nagle pewnego poranka kłęby kurzu pojawiły się z przeciwnej strony. Wszyscy domownicy pobiegli do bramy.

Zza zakrętu wypłynął sznur jeźdźców i powozów, długi na pół mili i stale rosnący. Zbliżał się bardzo szybko. Jadący na czele mężczyzna zawołał, nawet nie zwalniając:

- Dziesięć mil dalej doszło do potyczki! Federalni znacznie przewyższali nas liczbą! Ciągną za nami, to istne piekło! - i spiął konia ostrogami.

- Pałą wszystko! - dodała otoczona wianuszkiem dzieci kobieta, wychylając się z powozu - Ukryjcie ubrania. Zabiorą je, tak samo jak cały wasz dobytek. Wszystko! - krzyknęła.

- Stójcie! - zawołał za nią Eugène. - Zatrzymajcie się u nas, odpocznijcie, zjedzcie obiad. Dokąd jedziecie?

Jednak kobieta nie słyszała już tego.

Przez cały ranek drogą przewalał się tłum rozhisteryzowanych, przerażonych ludzi. Galopujące, spienione konie przepychały się między pojazdami, wokół słyhać było płacze i krzyki. Ludzka masa przypominała wezbraną rzekę, pędzącą do wodospadu.

Koło południa zjawili się pierwsi piesi, biedacy, objuczeni tobołkami, ciągnący za sobą wózki wyładowane meblami i pościelą. Słyły ciężarne kobiety i starcy, kulawi i chwiejący się na nogach. Obok nich biegły



zdyszane psy. Pojawiła się nawet krowa, jej wielki brzuch i wzdęte wymiona kołysały się pomiędzy wychudłymi nogami. Pora dojenia dawno już minęła i nabrzmiące wymię zdawało się pękać pod naporem mleka. Właściciel poganiał zwierzę kijem, krowa zaś co chwilę ryczała boleśnie.

- Spalili dom Havilandów! - zawołała jakaś kobieta.

- Och nie! - odparła Emma. - Mam nadzieję, że udało im się ocalić ten cudowny portret jej matki!

- Nie uratowali niczego.

Niezdolna im pomóc, ogarnięta poczuciem obezwładniającej bezradności, Miriam wróciła do domu.

Ostatni uciekinierzy przeszli i zapadła cisza, na swój sposób jeszcze bardziej przerażająca. Nawet najcichsze podmuchy wiatru brzmiały w wyczekujących uszach niczym wystrzał.

- Dlaczego tu zostajemy? - zawodziła Emma. - Wszyscy inni odeszli.

- Ale dokąd? - odparła Miriam. - Z pewnością lepiej oczekiwać swego losu tu, niż uciekać bez celu.

Eugene znalazł w kredensie parę pistoletów.

- Naoliw je - polecił Ferdinandowi. - Ty weźmiesz jeden, a ja drugi.

Co miał zamiar zrobić z pistoletem, nie mając oczu? Jednak Miriam nie odezwała się ani słowem. Zamiast tego rozkazała córce:

- Pójdiesz na górę do jednej z sypialni na strychu. Zamknij drzwi i połóż się do łóżka. Jesteś chora, cierpisz na bardzo zaraźliwą gorączkę. - I kiedy dziewczynka spojrzała na nią nic nie pojmującym wzrokiem, dodała ostro: - Pośpiesz się! Rób, co ci każę!

Zgrabna i świeża. Wilgotne, pełne wargi, podwinięte rzęsy, obłok świeżo wymytych włosów. Młode piersi, unoszące się w rytm szybkiego oddechu, naciągające materiał sukni...

Najpierw rozległ się cichy szmer, przypominający odgłos fal uderzających nocą o brzeg. Rosa, przycupnięta na parapecie, wychyliła się za okno.

- Słyszycie?

- Ciii! Daj posłuchać! - Szmer przemienił się w zgiełk. - Tak, bez wątpienia. Nadchodzą.

- Papo, idź na górę z pistoletami - powiedziała Miriam. - Proszę. Zabierz Eugene'a i pilnujcie schodów na strych.

Uchowaj Boże, żeby dobyli broni, albo, co gorsza, choć raz wystrzelili! Wiedziała przynajmniej tyle. Podpowiadał to zwykły rozsądek, ale ci dwaj nie okazywali go w tej chwili zbyt wiele.

- Nie zostawię was tutaj samych - krzyknął Ferdinand.

- Czy możesz mnie wysłuchać? Najważniejszą rzeczą jest ochrona Angélique. Synu, ty też idź z nimi. Ja zaczekam przed domem.

Zdażyła dojść do werandy, gdy na ścieżce rozległ się tętent pierwszego wierzchowca i zabrzmiały pierwsze komendy.

- Stać! - Oddział konnych, bezładnie przemieszanych z licznymi piechurami, wdarł się do ogrodu. Wprawnym okiem, przywykłym już do widoku żołnierzy, oceniła, że są naprawdę groźni. Byli podnieceni i skłonni do najgorszego, nie mieli nawet oficera, który mógłby ich powstrzymać - oczywiście, gdyby miał na to ochotę.

Z domu wyłonił się Syzyf i stanął obok Miriam. Głośno szczął zębami, lecz dzielnie trwał na posterunku.

Przywódca oddziału, sierżant, zsiadł z konia i stanął tuż przed Miriam, spoglądając na nią małymi, bezczelnymi oczami i wspierając dłonie na biodrach.

W jego zachowaniu czuło się pogardę, zabarwioną lekką ospałością.

- No, no! Któż to tu mieszka?

- Nazywam się Mendes - Miriam z satysfakcją stwierdziła, że jej głos zabrzmiał pewnie.

- Mendes. Mieszkasz tu sama? Tylko z tym czarnuchem?

- Mieszkam z mężem.

- A zatem gdzie jest twój mąż? Dostaje w kość razem z Leć? Nadal udało jej się zachować spokój.

- Mój mąż został w domu. Jest niewidomy.

- Cóż, tym gorzej dla niego. A więc ty będziesz musiała nas przyjąć. Potrzebujemy jedzenia i picia, i to dużo.

- Możecie wziąć wszystko, co mamy, choć niewiele tego. Musi was być ponad setka.

- Ponad dwie setki, paniusiu.

Rzeczywiście, nadal wlewali się do ogrodu. Masa ciemnoniebieskich kurtek, długich butów, bryczesów i czapek. Szable krzesły iskry.

Sierżant dobył broni i tępą stroną klingi odsunął Miriam i Syzyfa.

- Na bok. Przepuście moich ludzi. Sami sobie poradzą. Ruszajcie, chłopcy! - ryknął.

Żołnierze błyskawicznie zeskoczyli z koni i wpadli do domu. Po sekundzie trzask i dźwięk tłuczonego szkła oznajmiły, iż dobrali się do barku.

- Rozbijcie obóz w tym miejscu - rozkazał sierżant.

- Nie, nie tam! To pole kukurydzy! - zaprotestowała Miriam. - Całą stratujecie!

- Naprawdę? Posłuchaj, paniusiu, nie martw się o kukurydzę. Po prostu powiedz, gdzie schowałaś srebra, i nie kłam.

- Srebra zostały już dawno odesłane do krewnych w Teksasie.

- Myślisz, że ci uwierzę?

- To już zależy wyłącznie od pana.

- Posłuchaj, paniusiu. Nie mam czasu na bzdury i lepiej... - położył dłoń na ramieniu Miriam.

- Proszę zostawić moją panią! - krzyknął Syzyf. - Niech jej pan nie dotyka!  
- odepchnął wielką, czerwoną łapę.

Pośrodku płaskiej, czerwonej twarzy rozwarły się wielkie usta, zdumione i rozbawione.

- Co takiego? Ty stary głupcze! Bronisz tych, którzy wyssali z ciebie ostatnią kropelkę krwi! No proszę - dodał, zwracając się do Miriam - ledwie taki stoi na nogach, sama skóra i kości, i jeszcze chce cię osłaniać! Co więcej, ty przyjmujesz to z radością! Tfu! - splunął.

Gęsta ślina uderzyła o kamienny stopień i Miriam odsunęła nogę.

- Poszukajcie srebra, chłopcy. Wyprujcie materace, rozkopcie podwórze, zresztą sami najlepiej wiecie, co robić. W końcu to nie pierwszy raz.

Dwóch mężczyzn sprowadziło na dół Ferdinanda, bezceremonialnie ciągnąc go za kołnierz.

- To twój mąż?

- Nie, ojciec. Mówiłam już, mój mąż jest niewidomy. - Dzięki Bogu, żaden z nich nie próbował użyć pistoletu.

- Gdzie są srebra, stary? Ferdinand zawahał się.

- On nie wie - wtrąciła szybko. - Nie było go tu, kiedy wysłaliśmy je do Teksasu. Po lewej stronie, u stóp zbocza, zza rzędu młodych brzózek wypłynęła wstęga

gryzącego dymu. Pojedynczy płomień wystrzelił w górę, przygasł i powrócił falą pomarańczowożółtego ognia.

- Zgniatarnia - stwierdził bezbarwnym głosem Ferdinand. - Podpalili zgniatarnię. To bawełna płonie.

Roztańczone płomienie przyciągały wzrok z neodpartą siłą. Wszyscy troje wpatrzyli się w nie w oszołomieniu: coraz potężniejszy ogień oświetlał biegających wokół żołnierzy i podenerwowane, spętane konie. Towarzyszący zniszczeniu hałas był ogłuszający. Szablami i łopatami

żołnierze przekopywali ogród. Bezlitośnie zwalali stuletnie dęby. Miriam szarpnęła się, jakby ktoś dźgnął jej własne ciało, gdy pierwszy konar słynnego buka Eugene'a, z połyskującymi w słońcu miedzianozłotymi liśćmi, runął na ziemię.

Kiedy jednak zaczęli rąbać ogrodzenia, nie potrafiła się już powstrzymać i zaczęła krzyczeć pośród ogólnego zgiełku. Ferdinand na próżno starał się ją powstrzymać.

- Nie! Nie róbcie tego! Bydło wejdzie w szkodę! Nie!

- Kiedy skończymy, nie będzie tu już żadnego bydła - oznajmił sierżant. Nadal stał na schodkach, nadzorując dzieło zniszczenia. - Więc niech się paniusia nie martwi.

Zza stodoły dobiegły strzały. Żołnierze ciągnęli przez trawnik wielką martwą maciorę wraz z całym miotem, wlokąc ją w stronę najbliższego ogniska. W oddali grupka mężczyzn goniła stadko beczących, przerażonych owiec.

- Jak pozabijacie zwierzęta - powiedział Syzyf do sierżanta - to my, kolorowi, będziemy głodować. Twierdzicie, że prowadzicie wojnę dla nas, a...

- Zamknij się, stary głupcze. Idź do środka. Wcale nie przybyliśmy tu, aby walczyć o waszą wolność. Większość z nas nienawidzi czarnuchów. - I, przypomniawszy sobie o wcześniejszych żądaniach, ryknął ponownie: - Gdzie srebra?

- Moja córka powiedziała już panu - zaczął Ferdinand.

- A może powiesimy twojego ojca, jeśli nam nie powiesz? Co ty na to? „Jest pijany - pomyślała Miriam - ale możliwe, że mówi poważnie. Gdyby do

tego doszło, zaprowadzę ich do kamieniołomu i niech się to już skończy."

Ich uwagę odwrócił potworny huk i łoskot za plecami. Dwaj żołnierze wywlekali meble z domu i spychali je z podestu. Antyczny sekretarzyk Eugene'a, jeden z jego najcenniejszych skarbów, runął na ziemię z trzaskiem i przełamał się na dwoje. W chwilę później zaatakował go człowiek z siekierą. Na głowie miał czerwony jedwabny kapelusz, najlepszy kapelusz Rosy, i zataczał się ze śmiechu.

Przypominało to uderzenie huraganu: potężne i brutalne, siejące bezsensowną destrukcję. Wicher był jednak dużo mniej straszny. Przynajmniej nie wiedział, co robi.

Miriam ze zdumieniem stwierdziła, iż tę ostatnią myśl musiała wypowiedzieć na głos, bowiem Ferdinand odparł:

- Zupełnie jak Hep Hep w Europie. Powody inne, lecz ta sama dzicz. - Zacisnął pięści. - A ja stoję tu, stary, słaby i bezużyteczny, i nic nie mogę zrobić, aby ci pomóc. - Jego głos załamał się.

Z domu dobiegły nowe dźwięki: odgłos ciężkich kroków. Nagle rozległy się krzyki, przeraźliwe krzyki bezbronných kobiet. Emma i Rosa. „Co zrobią z nimi te pijane świnię? Albo ze mną? Tak, umrę, zginę jak matka, gwałtowną śmiercią... Ale moja córka, moje dziecko. Jeśli ją znajdą... Jeżeli Eugène pociągnie za spust i zabije jednego z tych ludzi - no cóż, wtedy koniec z nami, z nami i ze wszystkim. Ale Eugène też musi o tym wiedzieć. Musi!”

Nowy hałas zagłuszył wrzaski kobiet. Gniewne męskie głosy, tuż ponad głową Miriam. Na górnym tarasie Eugène przekrzykiwał się z żołnierzami. Wymachiwał pistoletem, który próbowali mu odebrać. Przez moment jakby cofnął się czas. Nagle Eugène znów stał się dawnym, silnym mężczyzną, przywykłym zawsze stawiać na swoim. Nie był już kaleką kryjącym się przed światem.

- Spalimy ten przeklęty dom! Jeszcze z wami nie skończyliśmy!

- Niech mnie diabli, jeśli na to pozwolę! - krzyknął Eugène.

I, cofając się, aby móc wycelować pistolet, wpadł plecami na poręcz.

- Eugène! - Miriam usłyszała własny krzyk. - Uważaj! Uważaj, Eugène! - ostrzegała, błagała, ale zbyt późno, zbyt późno...

Upadł. Runął w tył, ponad poręczą, a jego dumne usta wykrzywił paraliżujący strach. Ręce nadaremnie usiłowały znaleźć jakieś oparcie... I padł skrzyżony na żwir obok ganku, u stóp Miriam.

- Dobry Boże - wyszeptał Syzyf.

Przez moment panowała pełna niedowierzania cisza. Nagle wszyscy wyrwali się z odrętwienia. Emma i Rosa wybiegły z domu, zapłakane. Młody Eugène nachylił się nad ojcem. Angélique uklękła z drugiej strony, jej włosy, potargane podczas szaleńczej ucieczki po schodach, zakrywały twarz. Służący, dotąd na wpół z ciekawością, a na wpół ze strachem przyglądający się z ukrycia całemu zdarzeniu, teraz przybyli pędem na miejsce tragedii. Pojawił się także tłum żołnierzy. Stanęli tak, wrogowie i służba, otaczając szerokim pierścieniem nadal przytomnego, straszliwie cierpiącego Eugène'a.

- Podnieście go! Zabierzcie do środka!

- Wody!
- Brandy!

Szyf ujął stopy Eugene'a, podczas gdy Chanute i Maxim chwycili go pod ramiona. Razem spróbowali go dźwignąć, ale już pierwsze szarpnięcie wywołało tak przeraźliwy krzyk bólu, że natychmiast cofnęły ręce.

- Dajcie mu spokój!
- Przynieście koc!

Wśród tego zamieszania, rad i pytań, zdyszanych okrzyków Emmy i Rosy szlochania dzieci, Miriam stała jak sparaliżowana. Co zrobić? Co? Na ścieżce rozległ się tętent kopyt. Przyjechał porucznik Unii. Ktoś z brzegu musiał powiadomić go, co się dzieje, bowiem zeskoczywszy z siodła od razu podszedł do Miriam i zdjął z głowy czapkę.

- Proszę pani, tak mi przykro! Tak bardzo przykro. - Rozejrzył się po trawniku, zaścielonym połamanymi meblami, butelkami, ubraniami, książkami różnymi drobiazgami. - To straszne... sam nie wiem. ..nie rozumiem czegoś takiego...

To niespodziewane współczucie było równie bolesne, co poprzedzający je atak. Usta Miriam zadrżały.

- Próbowaliśmy go ruszyć. Może macie lekarza?

- Niestety. Brak nam lekarzy - odparł przepraszająco młodzieniec. - Aleja mam spore doświadczenie, wiele widziałem, więc może... - Nachylił się nad Eugenem. Potem spojrzał na taras, z którego spadł ranny, i z powątpiewaniem potrząsnął głową. - Nie wiem - oznajmił. - Nie mogę powiedzieć nic pewnego, nie mam wystarczających kwalifikacji, ale... - Ściszył głos. Jego oczy były utkwione nie w Miriam, ale w chłopcu i dziewczynie, trzymających dłonie ojca i nadal klęczących na żwirowej ścieżce. - Wydaje mi się, że ma złamany kręgosłup. - Po czym mruknął cicho, zapewne do siebie: - I w dodatku jest ślepy. - Spojrzał na Miriam. - Prawdę mówiąc, nie wiem, co pani powiedzieć.

„Przypuszczam, że nie ma to znaczenia - pomyślała. - On umrze. Mam nadzieję, że szybko.”

- Czy to znaczy, że będzie długo cierpieć? - spytała. - Czy potrafi pan stwierdzić choć tyle?

- Nie sądzę. A pani zostanie sama z tym wszystkim - dodał porucznik, wskazując zniszczenia wokół.

- Chcieli spalić nasz dom. Porucznik odparł szybko:

- Nie pozwolę na to. Zabiorę ich stąd w ciągu pół godziny, może prędzej. Sierzancie! - zawołał.

Czerwone oblicze pojawiło się natychmiast. Czerwona ręka zasalutowała.

- Zgaście ogień i przygotujcie się do odjazdu. Ci ludzie dość już wycierpieli.

- Tak jest - odparł sierżant.

Ostatni żołnierze opuścili Beau Jardin dwie godziny temu i opadł już kurz, wzniesiony ich nogami. Eugene nadal leżał tam, gdzie upadł. Fanny wynalazła gdzieś całą poduszkę i podłożyła mu pod głowę. Jego ból przerodził się w odrętwienie.

Sztywny, nieruchomy, niczym trup unoszący się na powierzchni morza, powoli odpływał.

- Umieram - cichy szept był ledwie słyszalny nawet w tej ciężkiej, martwej ciszy, która opadła na ogród wraz z nadejściem zmierzchu. - Wiecie, że umieram.

Żona i córka klęczały obok niego. Głowa młodego Eugene'a opadała ze znużenia. Chłopiec zużył cały zapas swych sił, nadal jednak nie wypuszczał dłoni ojca.

Jednak ojciec nagle poruszył się, usiłując uwolnić rękę.

- Chcę... - Jego wargi poruszyły się, po czym znieruchomiały. - Chcę pomówić z waszą matką.

- Jestem tu, Eugene. Chcesz, żeby dzieci odeszły, tak? Pragniesz mi coś powiedzieć? Miriam ruchem głowy wskazała dzieciom podest, na którym oświetleni ostatnimi promieniami słońca stali i siedzieli służący, zgrupowani wokół Emmy, Ferdinanda i Rosy.

- Słucham cię, Eugene.

- Nasz syn - wymamrotał. - Opiekuj się nim.

Jej myśli pobiegły ku dawnym czasom, kiedy syn po szkole siadał w salonie obok ojca i opowiadał, czego się dziś nauczył. Ujrzała go takim, jakim był: wdzięczne, urocze, wesołe dziecko. I te dumne oczy ojca. Zanim zostały zniszczone na zawsze.

- Co dziś mieliście?

Z odpowiedzi także przebijała duma.

- Łacinę, geometrię, kaligrafię i gramatykę.

- Czy dostałeś dobry stopień za mapę z zeszłego tygodnia?

- Tak, papo, bardzo dobry. Pokażę ci.

Opiekuj się moim synem. O to mu chodziło. Dopilnuj, aby otrzymał wykształcenie, jakiego dla niego pragnąłem. Przełknęła ślinę, starając się zdusić łzy.

- Eugene, przyrzekam ci, zrobię wszystko, czego zapragniesz.

Koniec z oszukiwaniem, żadnego udawania. Oboje wiedzieli, że umierał. Przynajmniej w tym byli do siebie podobni: nie znosili pozorów wobec siebie.

- Tak, jakoś przetrwamy wojnę. Możesz na mnie polegać. Nagle Eugene uniósł głos.

- I Angelique... Mówią mi, że jest piękna. Przynajmniej coś po mnie zostanie.

- Nią też się zajmę, zaufaj mi.

Po jego twarzy przemknął lekki uśmiech i Miriam szepnęła:

- Tak mi przykro! Przepraszam za wszystko. Za to, że nie mogliśmy być ze sobą szczęśliwi... Jeśli cię zraniłam, to nigdy z rozmysłem. Nigdy tego nie chciałam i jestem pewna, że i ty nie miałeś podobnych zamiarów.

- Żadnych tez - powiedział. Dawniej mówił inaczej: „Co, znowu łzy? To kobieca broń.” - Żadnych łez - powtórzył i znów na moment jego wargi wykrzywił ów dziwny, ulotny uśmiech.

Być może wyrażał on te wszystkie lata, spędzone z tamtą kobietą, której gwałtowne uczucie sprawiło, że był kiedyś szczęśliwy. Być może, zapominając o tym, jak go porzuciła, zapragnął, aby teraz znalazła się u jego boku. Powinna tu być! Wzięła wszystko, co miał jej do zaoferowania, i teraz powinna tu być! Około północy Eugene umarł. W grobowej ciszy, w blasku gwiazd stary Syzyf, Maxim i Chanute zanieśli go do domu i złożyli na zrujnowanej sofie w salonie. Wiele lat wcześniej poprzedni właściciele Beau Jardin zamienili stare indiańskie cmentarzysko na wzgórzu we własny rodzinny cmentarz. Tu właśnie rankiem, pośród ćwierkania siedzących na gałęziach dębów ptaków, pochowali Eugene'a w naprędce skleconej trumnie.

Smutny pogrzeb. Przynajmniej Eugene tak by sądził. Życzyłby sobie, aby wszystko było w należyтым porządku: pogrzeb na cmentarzu obok synagogi, mężczyźni w prążkowanych spodniach i cylindrach, rabin wygłaszający Kadisz. Teraz jednak powrót do miasta był niemożliwy, a Kadisz mógł odmówić jedynie młody Eugene. Dobrze się sprawił, a na dźwięk jego chłopięcego głosu, od czasu do czasu załamującego się niemal w sopran, mogło pęknąć serce. Ferdinand, który ledwie pamiętał słowa, przyłączył się do wnuka. A potem Chanute i Maxim przysypali trumnę ziemią.



„Dobrze, że zamieniliśmy z Eugene'em te ostatnie słowa - pomyślała, obejmując dzieci. - Przynajmniej spoczął w swej własnej ziemi, którą tak bardzo kochał. I może jego buk przeżyje mimo swych ran.”

Dwa tuziny owiec leżały martwe na pastwisku. Magazyny zostały całkiem zniszczone, żołnierze zanieczyścili resztkę żywności melasą. Przepadł cały zbiór ziemniaków i fasoli. Z wędzarni skradziono cały zimowy zapas mięsa. Nie zostało nic. Obeszła cały teren, obejrzała wszystko. Wszędzie zniszczenia. Nie został ani jeden muł, poza dwoma źrebakami. Spalili wozy. Resztę bydła, której nie zdążyli wyrzucić, popędzili z sobą, żeby sprzedać na licytacji w Nowym Orleanie.

Nadzorca wyszedł ze swego domku. Był gotów do drogi, dźwigał dwie wypchane torby.

- Wybierałem się właśnie złożyć pani wypowiedzenie - powiedział z zakłopotaniem na jej widok.

- Wypowiedzenie, panie Ransome? Tak nagle?

- Tak, wiem. Proszę wybaczyć. Ale w tych okolicznościach... Tu już nic nie ma. Kości zostały rzucone. Wracam do Connecticut.

Chciała wspomnieć coś o ludziach, porzucających tonący statek, czy może zrobić jakąś inną kąśliwą uwagę. Co by to jednak zmieniło? Przełknęła gorycz.

- A zatem powodzenia, panie Ransome. Zawahał się.

- Nie mam pojęcia, jak sobie pani poradzi. Dziś rano uciekło co najmniej dwadzieścia pięć osób. Ukryli się na mokradłach albo może poszli za wojskiem.

- Będę więc musiała zadowolić się tymi, którzy zostali - odparła chłodno. Nie była jednak zbyt pewna siebie. Naprawdę kogoś potrzebowała. Jak

zaprowadzić tu porządek? Umilkły wszystkie znajome odgłosy: kłótnie i śpiewy na polach, hurgot kół, wesołe beczenie i porykiwanie z obór. Cisza przytłaczała beznadzieją. Wszyscy ci ludzie, o których należy zadbać! Ferdinand postarzał się nagle, Emmę zniszczenia w domu przyprawiły o silną melancholię. Pozostawała jeszcze dwójka dzieci, które trzeba wychować i jakoś wszczepić im choć trochę normalności. W ciągu ostatnich kilku godzin Rosa załamała się zupełnie. Cały dzień jęczała i narzekała.

- Och, gdyby tylko Henry tu był, gdyby Henry... Byliśmy tacy szczęśliwi... Uwielbiał operę. Słyszeliśmy Jenny Lind... i oglądaliśmy premierę Nicka z lasu George'a Harby'ego... takie cudowne życie... nigdy by nie uwierzył, iż mogę upaść tak nisko - bredziła nieskładnie.

Fanny wyszła na spotkanie Miriam.

- Simeon czeka przy tylnych drzwiach. Chciałby z panią porozmawiać.

- O czym? - spytała zmęczonym głosem Miriam.

- O zbiorach. Ocalił cztery muły. Ukrył je na mokradłach. Co za ulga.

Zatem Simeon zamierza zostać.

Fanny podała jej aksamitną sakiewkę. Miriam nie miała pojęcia, co w niej było, czuła ogromne zmęczenie.

- Co to jest, Fanny?

- Paniąki diamenty. Zapomniała paniąka?

- Szczerze mówiąc, tak. Dziękuję, Fanny.

Przez moment, jak tyle razy przedtem, stały bez ruchu naprzeciw siebie. Po raz kolejny Miriam zastanowiła się, co naprawdę myśli jej służąca.

- Tak mi przykro z powodu pana Eugene'a - stwierdziła cicho Fanny. - Paniąka Angélique bardzo to przeżywa.

- Wiem. Ja też. - I Miriam dodała w duchu: „Tak bardzo się nawzajem unieszczęśliwialiśmy, a przecież, gdybym mogła, natychmiast przywróciłabym go do życia.”

- Mam zamiar wypchać materace mchem - stwierdziła rzeczowo Fanny. - Ci ludzie zupełnie je zniszczyli tymi swoimi maczetami.

- Szablami.

- Właśnie. Czy mam posłać po Simeona?

- Tak, powiedz, żeby przyszedł na taras.

Mój Boże, on ma chyba ze dwa metry wzrostu! Nie pamiętała nawet, czy kiedykolwiek go widziała, ale przecież było ich tak wielu, harujących na polach daleko za domem.

Nagle jednak przyszło jej namyśl jedno imię. Jasper. Eugene wspominał o jakimś Jasperze.

- Czy Jasper nadal tu jest? Mój mąż zawsze go szanował, więc sądziłam...

- Tak, proszę pani, ciągle tu mieszka, ale jest już za stary na to, by doglądać pracy reszty. My wszyscy, a jest nas dwudziestu, zgodziliśmy się, że to ja powinienem zostać zarządcą. Tak, proszę pani. Jestem młody i silny i wiem, co mam robić.

Miriam przyjrzała mu się uważnie i podjęła decyzję.

- Dobrze, Simeonie, a zatem obejmiesz tu dowództwo. Plany będziesz ustalał ze mną, tak jak pan Ransome z moim mężem. Zostaniesz moim nauczycielem. A teraz najważniejsze: wszyscy musimy jeść. Co zrobimy?

- Tak, proszę pani, mamy jeszcze trochę warzyw. Nie zauważyli ogrodu za stodołą. Udało mi się też uratować kilka kur, moich własnych kur. Są schowane na bagnach. Jeśli ich od razu nie zjemy, będziemy mieli jajka i kurczęta na wiosnę. Zostały też dwie krowy, jedna cielna.

Zza rogu wyłonili się Maxim i Chanute, w liberiach połyskujących wypolerowanymi mosiężnymi guzikami. Miriam zawołała ich:

- Chodźcie tu. Zapewne znacie Simeona. Zdziwieni unieśli brwi.

- Na pewno go znacie! Widywaliście go nieraz, nie zaprzeczajcie! Och, wiem, że nigdy dotąd nie pracowaliście w polu ani przy zwierzętach, ale teraz wszystko się zmieniło. Koniec z elegancką liberią. Jeśli chcecie jeść, musicie pracować, pomóc innym, wy i Biaise. Wszyscy będziemy musieli pomóc. Rozumiecie?

- Tak, panno Miriam - odparli chórem.

Ku zdumieniu Miriam Chanute uśmiechał się szeroko. Wtedy zadała nierozważne pytanie:

- Powiedzcie, czemu nie uciekliście, tak jak inni?

Niedobrana trójka spojrzała po sobie. Szerokie uśmiechy na ciemnych twarzach. Chanute odezwał się pierwszy:

- Dlatego, że secesjoniści tu wrócą - odparł.

A zatem to takie proste. Wszystko dokładnie przemyśleli. Nieważne. Trzeba myśleć o jutrze, nie zajmować się daleką przyszłością. Tylko tyle. Najważniejsze jest jutro.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY.

Rozpoczęła się seria nie zapowiedzianych wizyt.

Błękitne niebo stało się mlecznobiałe, nabrało mdłej barwy brzucha śniętej ryby, i Miriam pomyślała, że już wkrótce będzie burza. Nagle ujrzała powóz skręcający w alejkę, ku domowi. Ciągnęły go cztery piękne konie, woźnica poganiał je ostro. Z tyłu siedziała samotna kobieta w żółtej sukni, tak błyszczącej, że nawet z daleka można było rozpoznać satynę.

Powóz podjechał bliżej, czarne koła, lśniące jak dzety, zatrzymały się przed werandą. Woźnica zeskoczył z kozła i pomógł wysiąść pasażerce. Była nią Queen.

Tym razem w jej zachowaniu nie znać było poddańczej pokory. Nie patrzyła już w ziemię, kiedy ktoś skierował na nią wzrok. Śmiało i badawczo przyglądała się wiejskiemu czepkowi i bawełnianej sukni Miriam, wyblakłej po wielokrotnym praniu.

- Pamięta mnie pani - powiedziała. To nie był pytanie, ale stwierdzenie faktu.

- Tak.

- Przyjechałam, gdy tylko dowiedziałam się, co się stało... Był naprawdę dobrym człowiekiem.

Dumna twarz ponad trzema sznurami pięknych pereł.

„Taka długa podróż jedynie po to, aby mi to powiedzieć? - pomyślała Miriam, czując wzbierający gniew. - Myślisz, że mam zamiar się z tobą spierać?” Skinęła sztywno głową na znak, że przyjęła do wiadomości jej słowa.

- Przywiozłam wam trochę rzeczy. Myślałam, że będziecie ich potrzebować. Połamana kukurydza, złamana balustrada otaczająca taras, z którego spadł

Eugene, uszkodzone ogrodzenia - wszystko to wymownie świadczyło, jak bardzo przydałaby się każda pomoc.

- Jego, wasze dzieci będą tego potrzebowały.

Korzystać ze szczodrości tej kobiety! Należałoby powiedzieć jej, żeby zabrała sobie te rzeczy. Ale kolorowe sukienki Angélique zostały zrabowane przez maruderów, którzy splądrowali jej pokój i zabrali wszystko, co miała.

- Pudła są z tyłu powozu. Czy mam powiedzieć woźnicy, żeby wniósł je do domu? Podłoga i połowa tylnego siedzenia zastawione były ładnie

powiązanymi paczkami. Jak dawno nie widziała porządnie zapakowanych prezentów!

- Może zanieść je do holu - powiedziała. - To bardzo miło z pani strony... Kobieta patrzyła na służącego, a tymczasem Miriam obserwowała swego gościa. W uszach Queen migotały brylantowe kolczyki. Ciężkie złote bransolety brzęczały na nadgarstkach, na palcach lśniły pierścionki. Tak musiała wyglądać królowa Saba.

Ten jawny wzrost zamożności, nowe zachowanie pełne pewności siebie i odwrócenie ich wzajemnych pozycji były uderzające. Miriam poczuła, że boli ją urażona duma.

Kiedy ostatnie paczki zostały zanesione do holu, Queen wsiadła do powozu. Mimo zamętu panującego w głowie, Miriam nie zapomniała o zasadach dobrego wychowania. Wilgotne powietrze było tak duszne, a kobieta odbyła długą podróż, żeby pomóc dzieciom Eugene'a.

- Proszę, niech pani wejdzie i odpocznie przez chwilę. Nie mam nic do zaoferowania oprócz odpoczynku w chłodnym pomieszczeniu.

„Na szczęście - pomyślała cierpko - mamy właśnie porę popołudniowej sjesty, toteż nikt, a zwłaszcza Emma, nie będzie zaskoczony widokiem pani domu podejmującej i zabawiającej w salonie wolną, kolorową kobietę.”

Queen popatrzyła na zniszczenia, na puste miejsca, gdzie stały meble, na zbite lustro i ukośnie przecięty portret.

- Nie rozumiem, dlaczego to zrobili - powiedziała. - Nie zostawili wam niczego.

- Tak, dzięki nim i bestii Butlerowi nie mamy nic - odparła ze złością Miriam.

- Ale on zrobił także wiele dobrego.

- Butler zrobił coś dobrego? - Miriam była zaskoczona.

- O tak, przywiózł żywność, kiedy w mieście panował głód. I wprowadził stałe ceny. Wyznaczył ludzi do sprzątania ulic. Wie pani, że tego lata nie było żółtej febry?

- To i tak za mało dla miasta, dzięki któremu się wzbogacił. Queen uśmiechnęła się.

- Tak, wielu się wzbogaciło. Jego brat zbił fortunę. Znam ludzi stojących blisko niego i wiem, że to prawda.

Z daleka, od strony zachodniej, odezwał się grzmot. Oznaczał on, że burza się oddala i nie będzie musiała zatrzymać tej kobiety w domu. W salonie

zapadła cisza, aż dzwoniło w uszach, z każdą chwilą narastało skrepowanie. Nagle Queen zaczęła mówić.

- Chciałam mu powiedzieć, jak bardzo żałuję, że zostawiłam go, kiedy miasto zostało zajęte, - W głębi jej okrągłych, zapadniętych oczu pojawił się smutek. - Teraz już za późno... Ludzie robią rzeczy, z których potem nie są zbyt dumni. Ale okoliczności... - Miękki, łamiący się głos, tak sugestywny przy słowach miłości. Przestała mówić i machnęła ręką, co miało znaczyć: „Z pewnością zrozumiesz, jak to było.”

- Szkoda, że odszedł, nie słysząc tego - powiedziała Miriam, pamiętając błakający się na ustach umierającego Eugene'a uśmiech.

- Jest jeszcze coś... Mój syn jest rzeźbiarzem. Wygrał nagrodę w Rzymie. Chciałabym mu powiedzieć także o tym. Byłby dumny.

Nie. Nie dbał o to zbyt. Wspomniała Iwa na komodzie Eugene'a. Tak, byłby wzruszony, lecz potrzebował syna, który nosiłby jego nazwisko. „Właśnie dlatego mnie poślubił” - pomyślała.

Ale o takich rzeczach nie wspomina się w towarzystwie, toteż obie milczały. Nie miały o czym rozmawiać. Ale w dziwny, nie chciany sposób zbliżyły się do siebie poprzez śmierć Eugene'a.

„A co by było, gdybym także go kochała?” - zapytała siebie Miriam, nie znajdując odpowiedzi.

„Wszyscy jesteśmy skrepowani łańcuchem, którego ogniwa tworzą poplątaną sieć bez początku i końca: ona i ja, ja i Eugene; ja i André - z Marie Claire...”

Satynowa spódnica zaszeleściła na podłodze, kiedy Queen wstała zbierając się do wyjścia. Z nagłym zawstydzeniem - kimże jestem, aby osądzać innych? - Miriam wyciągnęła rękę, poczuła delikatny uścisk i zobaczyła małą, szybko otartą łzę.

Kiedy powóz zniknął w oddali, wróciła do domu i zawołała Fanny, żeby rozpakowała paczki.

Następnym niezwykłym gościem, kilka tygodni później, był elegancki dżentelmen z modnymi bokobrodami i słabym brytyjskim akcentem.

- Nazywam się Isachar Zacharie, doktor Isachar Zacharie.

Przywiózł kosz pomarańczy i, jak się wkrótce dowiedzieli, list od Dawida. Jego maniery stanowiły połączenie igraszy dworskiej uprzejmości i życzliwości.

- Zna pan mojego syna z racji swego zawodu? - spytał Ferdinand.

- Nie, spotkałem go raz, w Nowym Jorku. On oczywiście wstąpił do Korpusu Medycznego, a ja pracowałem jako ortopeda. Jestem także, jeśli mogę tak powiedzieć, przyjacielem prezydenta Lincolna.

Usta Emmy zacisnęły się z niechęci, a gorset Rosy skrzywnął, gdy gwałtownie wyprostowała się na tę wiadomość.

- W Nowym Orleanie znalazłem się w związku ze zleconą przez prezydenta misją. Spojrzeli na niego podejrzliwie. Czy to jakiś szarlatan, oszust?

- Kiedy pański syn prosił mnie o doręczenie tego listu, był przekonany, że jest pan w Nowym Orleanie, ale okazało się, że nie.

- Bestia Butler zmusił nas do wyjazdu - powiedział chłodno Ferdinand.

- Rozumiem pańskie uczucia - uśmiechnął się doktor Zacharie.

- Czy mógłby pan powiedzieć, co się dzieje z moim bratem? - wtrąciła niecierpliwie Miriam.

- Mówił mi, że nieraz znajdował się w ogniu walki, ale nic mu się nie stało. Naprawdę nie mieliśmy czasu na rozmowę. Spotkaliśmy się w mieście, kiedy pomieszczenia Szpitala Żydowskiego zostały przekazane rządowi dla rannych żołnierzy. A potem jeszcze raz, następnego dnia, na Kiermaszu Medycznym. Zebraliśmy ponad milion dolarów na ofiary wojny. Kiedy usłyszał, że jadę do Nowego Orleanu, dał mi trochę rzeczy. Wspomniałem rabiemu Illowy w Nowym Orleanie, że się tu wybieram, a on zasugerował mi, iż z powodu zniszczeń... To, co przywiozłem, mam w powozie.

Polecając Syzyfowi przenieść koce i kołdry, Miriam pomyślała o prezentach z dziwnych źródeł, najpierw od Queen, a teraz od tego zabawnego człowieka. Bóg jednak wie, jak były pożądane.

Kiedy wróciła do salonu, Zacharie mówił właśnie:

- Tak, rodzinę pozostawiłem w Savannah. To straszne uczucie być tak daleko od nich. Ale jeśli jest coś, co mogę zrobić dla pokoju, pojedę wszędzie, gdzie trzeba.

Emma chwyciła poręczę swojego fotela. Jej różowa twarz pociemniała. Emma bardzo schudła, jej oczy zapadły się od trosk. Już trzeci syn Pelagii wyruszył na wojnę. Jak dotąd w jej najbliższej rodzinie nie było ofiar, ale każdy dzień zwiększał prawdopodobieństwo nieszczęścia.

- Jak pan to robi? - spytała sceptycznie. Dr Zacharie machnął ręką, unikając pytania.

- Z całym szacunkiem, madame, są to sprawy wagi państwowej, ściśle tajne, i nie wolno mi o nich mówić. Mogę tylko powiedzieć, że dotyczy to



wymiany pieniędzy pomiędzy Unią a lokalnymi władzami, ale to czynności uboczne i rzeczy powszechnie znane. - Zniżył głos. - Nieoficjalnie mogę zdradzić, iż staram się bardzo pomagać Żydom, zresztą, jak widzicie, sam do nich należę. I to zarówno tym z Północy, przebywającym obecnie w Nowym Orleanie, jak i południowcom, którzy opuścili miasto. Są w poważnych kłopotach, ponieważ odmówili podpisania deklaracji.

- Mój Boże, jak długo to jeszcze będzie trwało! - krzyknęła Miriam.

- Długo. Ale im dłużej to trwa, tym pewniejsze jest zwycięstwo Unii. Cóż, sami pytaliście - dodał gwoli usprawiedliwienia Zacharie.

- Proszę, niech pan mówi.

- Wszyscy wiemy, że Konfederacja liczy na pomoc Francji i Anglii, ale jej tajni wysłannicy nie zdołali nic zdziałać.

André... Gdzie więc jest teraz?

- Po pierwsze, Anglia znalazła nowe źródła bawełny w Egipcie i Indiach, po drugie zaś, klasy pracujące, zarówno w Anglii jak i we Francji, są przeciwko niewolnictwu, więc ich rządy nie ośmielą się nawet ruszyć palcem. To się stało moralnym przymusem, zwłaszcza w Anglii.

- Moralny przymus! - wykrzyknęła Rosa. Jej zszargane nerwy nadały głosowi zgryźliwy ton. - Oczywiście, dla Konfederacji obrona przed obcymi najeźdźcami to prawdziwy przymus moralny! Zaatakowaliście nasze domy... Mój brat, proszę pana, prawnik, człowiek sprawiedliwy, zawsze twierdził, że dla Północy to nie kwestia sprawiedliwości, lecz pieniędzy! Proszę spojrzeć na ich bogactwa, uzyskane dzięki naszej bawełnie. Zarabiali na niej więcej niż my, którzy ją uprawiamy! Ich banki rozkwitają dzięki niewolnictwu, o którym tyle gadają! - zakończyła z furją.

Miriam poczuła zakłopotanie.

- Doktor Zacharie przyjechał tu, bo dobrze nam życzy. Zostawmy te tematy.

- A teraz muszę ruszać w drogę - odparł doktor z niezmaconym spokojem.

- Mam w mieście tysiące spraw do załatwienia.

- Co o nim myślicie? - spytał Ferdinand, gdy pożegnali doktora przed domem. Miriam zastanowiła się.

- Albo to sprytny pozer, albo prawdziwy dobroczyńca. Jak wolicie.

- Jest taki pewien, że przegramy - powiedziała ponuro Emma.

- Nie wierz w to - przekonywał Ferdinand. - Nasze wojska wrócą. Zobaczycie jeszcze żołnierzy w szarych mundurach, i to już niedługo. Wspomnicie moje słowa.

Strugi zacinającego deszczu spływały po szybach. Nadeszły jesienne burze. Miriam pomyślała, że deszcze i błoto powstrzymają działania wojenne.

Ferdinand powiedział jednak, że żołnierze w szarych mundurach powrócą, a to oznacza więcej walk, więcej śmierci.

Być może znaczy to również, że André wróci? Żeby tylko jeszcze żył... Gdyby usłyszała, że go nie zobaczy przez dziesięć lat, a może nigdy, byłby to dla niej ciężki cios, ale jego śmierci nie potrafiłaby znieść.

„Droga Siostrze - pisał Dawid - i Papo, jeśli wybaczyłeś mi na tyle, żeby wysłuchać mego listu. Ponieważ już tyle czasu nie mam od Was żadnych wiadomości, doszedłem do wniosku, że Twoje listy tu nie docierają. Mam nadzieję, że doktor Zacharie doręczy Ci choć ten mój list. Jeżdżę po całym kraju i przemierzyłem już wiele mil w bardzo krótkim czasie.

Po bitwie pod Corinth zostałem wysłany do Memphis, gdzie znowu leczyłem rannych. To zajęcie, do którego nigdy nie zdołałem przywyknąć. Modlę się, żeby nie robić tego więcej i żeby ta wojna już się skończyła. Cierpienia, z jakimi się spotykam, w odróżnieniu od wszystkich chorób nie są naturalne, lecz zgotowane człowiekowi przez człowieka i stanowią hańbę dla ludzkości.

Istnieją również rany psychiczne. Może nawet gorsze? Myślę o niesławnym «Jedenastym Rozkazie» Granta, na mocy którego wszyscy Żydzi muszą opuścić Tennessee. Sądzę, że wiesz o tym, tak jak i o szczęśliwej interwencji Lincolna, który uchylił ten rozkaz.

Być może nie uwierzyłaś, kiedy pierwszy raz o tym usłyszałaś. Ja sam nie mogłem tego pojąć. Ale to prawda. Widziałem stare małżeństwo, brodatego mężczyznę i jego biedną, małą żonę, brutalnie wpychane do pociągu przez żołnierzy. Kobieta tak strasznie płakała..."

Miriam odłożyła list. Jej serce zamarło. Kobieta tak strasznie płakała... Słyszała to setki razy, gdy opowiadano jej o śmierci matki. Czytała dalej.

„Gdybyś jednak nie знаła tej historii, streszczę Ci ją na wszelki wypadek. Wybuchł skandal związany z ciągłym nielegalnym przekraczaniem linii frontu, spekulacjami bawełną, przekupstwem, braniem łapówek za wystawianie przepustek. Część z tych ludzi była Żydami, część nie. Ale Grant ukarał tylko Żydów - wszystkich Żydów, nie tylko winnych! A kto był najbardziej winny i najbardziej się na tym wzbogacił? Jesse Grant, ojciec generała!

Wciąż widzę tę starą parę, ledwie trzymającą się na nogach. Nie mieli dość sił, by przejść choć kawałek, a co dopiero handlować bawełną! Boli mnie taka brutalność, i to po mojej stronie.

A teraz coś, co Cię zaskoczy. Zaraz następnego dnia po tym zdarzeniu jeden z majorów zaproponował mi kontakt z człowiekiem koło Yicksburga, który ma wystarczającą ilość bawełny na tydzień pracy maszyn. Moglibyśmy ją przywieźć jedną z naszych łodzi. Powiedział mi, że wszyscy tak robią. Dodał też, że człowiek ten to jeden z «prawdziwych południowych arystokratów» i nazywa się Labouisse. Musiałem mieć dziwną minę, bo spytał, czy już wcześniej słyszałem to nazwisko. Czy słyszałem! Miriam, to nazwisko będzie mnie prześladować do końca życia.

Syn, zabity moją ręką, i wnukowie walczący o to, w co wierzą, podczas gdy dziadek, arystokrata, handluje z wrogami!

I czy wiesz, że po usunięciu przez Granta żydowskich handlarzy, spekulacja i handel jeszcze wzrosły? Komu to teraz przypisze? Naprawdę, jak zwykł był mawiać dziadunio, dziwny jest ten świat!

Czy często myślisz o dziaduniu? Ja ostatnio coraz częściej go wspominam, może dlatego, iż znalazłem się tak daleko od rodziny. To chyba naturalne, że kiedy człowiek czuje strach, zaczyna myśleć o domu. Pamiętasz tamten dzień, kiedy papa przyjechał do nas powozem? Sądziłem wtedy, że wygląda jak książę! I jak straszną musiała mu wydać się nasza wioska po tylu latach spędzonych w Ameryce! Zastanawiam się, czy Ty i ja moglibyśmy tam kiedyś razem wrócić. I nie wiem, czy tego chcę...

Myśli mi się płaczą, kiedy tak piszę w półmroku, jest późno, a za kilka godzin muszę wstać, bo o świcie spodziewamy się pociągu sanitarnego. Jak bardzo odszedłem się od mojej praktyki. Chciałbym znów czynić dobre rzeczy, na przykład przyjąć poród zdrowych bliźniąt.

Jak się mają moje bliźnięta? Staram się wyobrazić sobie ich rozwój. Eugène powinien już przerosnąć Angélique, pewnie przechodzi mutację.

Wiem, że teraz jesteś dla nich matką i ojcem. To bardzo okrutne, że stracili go w tak przerażający sposób. Ale wiem także, że dasz sobie radę. Powiedz im, jak bardzo ich kocham. Powiedz, żeby o mnie nie zapominali.

Na razie wojna toczy się dalej, a ja wędruję razem z nią. Spodziewam się, że zostanę wysłany na wschód, gdzieś do Virginii.

Może przeżyjemy i znów będziemy razem.

Twój brat Dawid."



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY.

Przez cały tydzień wiatr zawodził i świstał, kołysząc drzewami i zdmuchując świece za każdym razem, kiedy drzwi zostawały nie domknięte. Pewnego popołudnia, chociaż nie była to właściwa ku temu pora roku, usłyszeli złowieszcze grzmoty letniej burzy.

- Ależ to nie pioruny! - krzyknął Ferdinand. - To kanonada. Posłuchajcie. Eugene wyszedł na zewnątrz.

- Blaise, zatrzymaj go! - krzyknęła Miriam. - Dokąd on idzie?

Blaise i stary, potykający się Syzyf pobiegli aleją za Eugenem. Kiedy go przyprowadzili, Miriam ze zdumieniem stwierdziła, że „mały panicz” przewyższa wzrostem tych, których Miriam wysłała dla jego ochrony.

Zakłopotana tym odkryciem, zaczęła gderać:

- Czy chcesz, żeby cię zastrzelili, głuptasie? Czyż nie dość nam kłopotów?

- Z pewnością - przytaknął Syzyf. - Kłopotów jest dość. Ma panicz słuchać swojej matki, zgoda?

- Podkradnę się do drogi i zorientuję, o co chodzi - wtrącił się Ferdinand. - Potrafię zachować ostrożność. A wy zaczekajcie tutaj.

Rosa i Emma siedziały, kurczowo trzymając się poręczy foteli, jakby meble mogły je osłonić. Służący zamarli w milczeniu pod ścianami. Miriam, jak podczas poprzedniej wizyty nieproszonych gości, poczuła się całkowicie opuszczona wśród tych rozległych pól. Bezradni byli nie tylko w obliczu maruderów, ale także wobec tych przycupniętych pod ścianą ludzi, którzy w każdej chwili mogli zwrócić się przeciwko nim ... Czekali.

Nagle nad czubkami drzew pojawiły się kłęby kurzu. Tętent kopyt i grzmienie werbli zbliżały się coraz bardziej. Ferdinand przekradł się ścieżką ukrytą za krzewami aż do końca alei. Po powrocie doniósł, że armia Unii ucieka. Ich wielkie, kryte płótnem wozy, każdy zaprzężony w cztery konie, umykały z całych sił.

- I co wam mówiłem? Są w pełnym odwrocie! Tak pospiesznie nas opuszczają, że wyrzucają do rowów wyposażenie. Zostawiają menażki i płaszcze, a nawet karabiny i pistolety. Pozbierałbym trochę, ale pomyślałem że lepiej nic nie ruszać. Czy wiecie, co to oznacza? Nasi muszą być już blisko. Wiedziałem, że wrócą!

- Lepiej więc ukryć muły, które udało się nam uratować przed wojskami Federacji. Idź, wydaj instrukcje Simeonowi - powiedziała Miriam do Eugene'a.

- Co? - oburzyła się Rosa. - Ukrywać muły przed własnymi wojskami?

- Oczywiście - odparła nieco szorstko Miriam.

Nadeszli. Wśród radosnych okrzyków i tumanów kurzu, tak gęstego, że czarne szamerunki na piersiach żołnierzy były równie szare jak materiał, boso, z krwawiącymi stopami, wlewali się przez bramę posiadłości. Na przedzie oddziału jechał konno oficer. U stóp tarasu zeskoczył i zdjął czapkę przed Ferdinandem.

- Jaki dżentelmen - szepnęła Emma wprost do ucha Miriam. - Niech Bóg błogosławi naszych południowych dżentelmenów!

Ferdinand cieszył się. Radość aż tryskała z niego.

- Czy możecie nam przekazać trochę wiadomości? Czekaliśmy na was przez ostatnie miesiące. Niech was Bóg błogosławi - powiedział, powtarzając to po Emmie. - Wiedzieliśmy, że znów przyjdziecie!

- Tak, rozgromiliśmy ich. Walczyliśmy od wczorajszego ranka jakieś dwanaście mil na wschód stąd. Nie mamy już żywności. Ludzie są wygłodzeni i spragnieni. Najgorszą rzeczą są jednak ich krwawiące stopy, nie mamy butów - odrzekł ponuro porucznik.

- Proszę powiedzieć swoim ludziom, żeby rozłożyli się z tyłu domu i wzięli sobie, co im potrzeba. Służący wszystko pokażą. Nasi niczego nie zniszczą. Jestem tego pewien. - I uśmiechając się, dodał. - Ufam naszym ludziom, naszym odważnym żołnierzom.

Przez chwilę był znowu szczodrym gospodarzem, jak za dawnych czasów.

- Miriam, podaj brandy panu porucznikowi. Mamy tylko jedną butelkę, ale chętnie zapraszamy na poczęstunek - powiedział Ferdinand, kiedy weszli do domu.

Miriam postawiła butelkę od doktora Zacharie obok krzesła porucznika. Długie blond wąsy, zajmujące większą część twarzy, nie mogły ukryć ani młodego wieku, ani wyczerpania.

- To bardzo uprzejmie z pana strony - westchnął. - W ostatniej potyczce zabili nam ponad połowę koni... No i dezercje...

- Dezercje - wykrzyknęła Emma. Jej niewinne oczy ze zdumieniem spojrzały na gościa.

- Och tak, madame. Kara śmierci to pusta groźba, mamy zbyt wielu dezercerów. Chłoszczemy ich, piętnujemy, golimy im głowy, ale wciąż... - porucznik nagle zreflektował się - ale wciąż mamy wielu dobrych żołnierzy i wystarczy ich, żeby wygrać. Tak, proszę pana, jest ich wystarczająco wielu,

żeby zwyciężyć. Oczywiście jeśli dowództwo w niektórych rejonach będzie lepsze...

- Nie myśli pan chyba o Lee? - spytał Ferdinand.

- Nie. Ale weźmy naszego sekretarza stanu. Dlaczego Davis wciąż jest tak lojalny w stosunku do ludzi, którzy ukrzyżowali Chrystusa? Nigdy nie mogłem tego pojąć.

Rosa poszła na górę, za co Miriam dziękowała teraz Bogu, ona bowiem nie utrzymałaby języka za zębami. Ferdinand był zbyt zakłopotany, żeby coś odpowiedzieć, a ona tak zszokowana, że ku swemu wielkiemu wstydomi nie zareagowała we właściwym momencie.

Porucznik poprawił okulary.

- Dziękuję pani - powiedział z wdzięcznością. - Bardzo tego potrzebowałem. No, muszę ruszać. Wy, cywile, możecie spokojnie spać dziś w nocy, bo nareszcie znaleźliście się po właściwej stronie frontu.

Zasalutował, wsiadł na swojego konia i odjechał aleją. Kiedy Miriam patrzyła za nim, pomyślała, że w jego galanterii, w manierach było coś ze starego podręcznika dobrego wychowania, coś, co należało do minionych lat i nigdy już nie powróci.

Stała przez kilka minut, kiedy przez bramę zaczął napływać nowy szary tłum. Tym razem nie prowadził ich oficer. Z wyjątkiem koloru mundurów nie różnili się zbyt od tych, którzy dokonali poprzedniego najazdu. Taka sama tłuszcza, bez żadnych zahamowań. Whisky, którą otrzymywali albo kradli, odebrała im resztki człowieczeństwa.

Przez całe popołudnie plądrowali stodoły i dom. Wszystko, co nie zostało zagrabione przez żołnierzy Północy, zabrali teraz żołnierze w szarych mundurach. Tylko raz, kiedy jeden z nich chciał porąbać płot dopiero co odbudowany przez Simeona i jego pomocników, Miriam zaprotestowała.

- Możesz zapędzić swoich czarnuchów do naprawy - zaśmiał się żołnierz. - Albo obywaj się bez niego, nic mnie to nie obchodzi. Walczymy za ciebie, nie?

- Nie, nie walczycie za mnie - odpowiedziała cicho. - Znam takich jak ty. Walczysz, bo masz nadzieję, że zajmiesz moje miejsce.

Do wieczora nagrabili już dosyć. Rząd objuczonych mułów, powiązanych jeden za drugim, każdy z parą wypełnionych koszy przytroczonych do grzbietu, znikał w dali, unosząc resztki plonów pracowicie doglądanych przez Miriam. Stała bezradna, mogąc tylko patrzeć, jak odchodzą.

No, papo, oto twoi południowi dżentelmeni. „Bierzcie, co chcecie, ufam wam!”

Miriam usiadła na frontowych schodach. Słońce zachodziło, zostawiając bursztynową i rdzawą poświatę, pastelowe kolory umierającego roku. Był ciepły jesienny wieczór. Teraz, kiedy minęła już pora burz, ziemia oczekiwała zimowego odpoczynku. Nadeszła Fanny, idąca ze stodoły.

- Usiądź - powiedziała Miriam.

Reszta domowników, zmęczona dniem, położyła się już do łóżek. Zostały same. Nie chciała rozmawiać o żadnych znaczących sprawach, w ogóle nie chciała rozmawiać. Pragnęła tylko czuć wsparcie innej istoty lub choćby powiedzieć jakąś banalną uwagę, pierwszą, jaka jej przyjdzie do głowy.

- Moje buty - stwierdziła po chwili, spoglądając na pantofle z kozłej skóry. - Wszystkie się rozleciały. To już ostatnia para.

- Brat Simeona szyje buty. Skórzane, na drewnianej podeszwie. Zrobił dla mnie kilka par.

- Musi też zrobić dla nas wszystkich.

- Powiem mu. Jest za stajniami. Zakopują muła.

- Muła! Och, nie!

- Tak, ci ludzie znaleźli jednego i zastrzelili.

To był dla niej wielki cios. Kropla, która przepełniła czarę goryczy. :

- Na miłość boską! Dlaczego to zrobili? Mogli ukraść to biedne stworzenie, ale po co zabijać?

- Byli pijani.

- A mój ojciec powiedział: „Nasi ludzie!” Fanny, nie komentując tego, powiedziała:

- Niektórzy ludzie, którzy uciekli, gdy weszły wojska Unii, teraz wrócili. Z żonami i dziećmi.

Tym razem Miriam nic nie powiedziała. Każde słowo zabrzmiałoby niestosownie wobec Fanny, która wytrwała tu z nimi. „A więc wracają ci secesjoniści, którym trzeba będzie zapewnić dach nad głową i wyżywienie. Jakże bym chciała, aby wszyscy odeszli, co do jednego! Nie mamy dość żywności dla tych, którzy zostali, a co dopiero mówić o innych.”

- Idę posprzątać - powiedziała Fanny. - Te świnię spluwały przezutym tytoniem w jadalni. Och, ktoś nadjeżdża!

Żeby tylko nie znów ktoś z nich! Czy akurat tutaj krzyżują się drogi całego świata? To miejsce zawsze było takie samotne! Długie dni, monotonne popołudnia przerywane tylko czasami przez krakanie wron, kiedy oszalała z



tęsknoty za jakimś głosem, czymkolwiek nowym, szła do końca alei i przyglądała się wijącej, zarośniętej zielskim drodze.

- Któż to tym razem? - zawołała. Fanny wspięła się na palce i wyteżyła wzrok.

- Jeździec z wozem.

Miriam była zbyt zmęczona, żeby się podnieść.

- Nie widzisz, kto to? Fanny wyteżyła oczy.

- Panienko Miriam! Panienko Miriam! Wydaje mi się, że to pan Perrin! „To nie może być prawdą! On jest w Europie. Nie żyje. Nigdy nie mógłby przyjechać, przecież Eugene...”

- Ależ tak, to pan Perrin! Tak, panienko, to on!

Kiedy zasiedli po wieczornym posiłku w kręgu nikłego blasku kominka, wydawało jej się, że wszyscy widzą jej radość i pożądanie. Dlatego też szczęśliwa była, że może obserwować to, co się dzieje, nie zabierając głosu.

Inni skwapliwie zadawali André mnóstwo pytań. Rosa chciała wiedzieć, czy słyszał coś o jej synu Henrym, od którego nie dostała od kilku miesięcy żadnego listu. Nie, nic nie słyszał. Emma chciała dowiedzieć się czegoś o swych wnukach. Nie, nie miał żadnych informacji.

- Mój brat, Gabriel Carawallo, jest w Dziesiątym Pułku Luizjańskim. Jeśli kiedyś będziesz miał z nim kontakt, powiedz mu, że ja, że my... - słowa nie chciały przejść jej przez gardło.

- Nie zapomnisz?

- Nie zapomnę.

Emma zapytała, jak się miewa droga Marie Claire i jak często ją spotyka. Z tego, co wiedział, miała się dobrze, ale już od kilku miesięcy nie był we Francji.

Cóż to mogło oznaczać? Jeśli w jego życiu zaszły jakieś istotne zmiany, powinien jej o tym powiedzieć. Miriam przeszył dreszcz.

- Naprawdę nie jesteście zmęczeni moimi opowieściami? - zapytał André.

- Nie mamy tutaj pojęcia o tym, co się dzieje na świecie - odparł Ferdinand. - Odkąd przyszli tu żołnierze Unii, nie docierają do nas żadne gazety. Wszystko, o czym mówisz, stanowi dla nas nowość, a zwłaszcza to, co opowiadasz o sobie.

André rozłożył ręce.

- Jak wiecie, dyplomacja zawiodła. Ale Bóg wie, że zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Byłem ze Slidellem, kiedy zaproponował Ludwikowi Napoleonowi dar w postaci bawełny wartiej sto milionów franków w zamian

za uznanie Konfederacji. Francuz miał ochotę, ale obawiał się, co będzie, jeżeli Unia wygra. Gdy więc zobaczyłem, jak w praktyce wygląda nieskuteczna dyplomacja, postanowiłem zająć się praktyczną pomocą w wojnie. Zająłem się omijaniem blokady. Nie jestem marynarzem, po prostu biorę towar i udaję się w długą podróż pełną przygód.

- Niebezpiecznych przygód! - zauważył Ferdinand.

- Tak, nie jest to dla ludzi o słabych nerwach.

Zawsze stwarzał wokół siebie taką niezwykłą atmosferę! Emanowała z niego taka pewność siebie i pogoda ducha, że nikt nie mógł mu się oprzeć.

I tym razem wszyscy byli oczarowani: obie kobiety, Eugene, Angélique, a najbardziej Ferdinand, który wyglądał tak, jakby przeżywał ponownie swoją młodość.

- Szkoda, że nie widzieliście blokady pod Nassau! Bawełna leżała w stertach, kiedy przybył nasz statek, obskurny, ale bardzo szybki. Budują je w Anglii i Nowej Szkocji, z wypukłym pokładem, żeby mogły łatwiej pokonywać sztormy. Z okna hotelu roztacza się widok na cały port, pełen takich statków. Nie należy spać zbyt wiele w noc przed wyprawą. Ale podróż w tamtą stronę jest dużo mniej niebezpieczna niż powrót statkiem załadowanym amunicją.

- Musiałeś przeżyć kilka niebezpiecznych przygód - powiedział z przejęciem Eugene.

André, rozumiejąc ciekawość chłopca, uśmiechnął się i zaczął opowiadać.

- Niebezpiecznych! Tak! Podróżowaliśmy bardzo ostrożnie, płynąc albo do Charlestonu, albo do Wilmington. Tylko te porty jeszcze nam zostały. Zawsze usiłowaliśmy przedostać się w czasie nocnego przypływu. Kiedy jest niski poziom wody, nie można ukryć się w przesmykach. I oczywiście bez żadnych świateł. Obowiązywał zakaz wszelkich rozmów.

- Ponieważ głosy niosą się po wodzie - zauważył trafnie Eugene.

- Tak. To wspaniałe uczucie przekradać się za plecami wrogiej floty.

- Czy kiedykolwiek byłeś ścigany? - dopytywał się Ferdinand.

- Oczywiście. Pewnego razu przez całe popołudnie ścigała nas flota Unii.

Poleciliśmy już nasze dusze Bogu. Uciekaliśmy do zmierzchu i wtedy postawiliśmy zasłonę dymną. Umknęliśmy dosłownie w ostatniej chwili.

- Podziwiam cię i zazdroszczę - Ferdinand westchnął ciężko. - A ja tu siedzę beczynn timer. Mieliśmy ciekawego gościa, doktora Zacharie - przypomniał sobie. - Czy słyszałeś kiedyś o nim? Mówił, że wszyscy powinni go znać.

- O tak! Jest doskonale znany. Był przedstawicielem Lincolna w Richmondzie, gdzie prowadził rokowania pokojowe. Rozmawiał z Benjaminem i innymi członkami Gabinetu. Lincoln był zadowolony, chociaż nic z tego nie wyszło. Gabinet w Waszyngtonie nie chciał o niczym słyszeć. Radykałowie z Północy żądają zniszczenia Południa przed zawarciem pokoju. Przynajmniej tak mówi się w Waszyngtonie.

- Skąd masz tak wiele informacji o tym, co się tam dzieje? - spytała Rosa.  
- Myślałam, że nikt nie może przejść przez linię frontu. Oczywiście z wyjątkiem szpiegów - dodała sardonicznie.

- O pewnych rzeczach mówi się po obu stronach frontu - wzruszył ramionami.

- Chciałabym - odezwała się Miriam - żeby ktoś przyniósł jakieś wieści o moim bracie. - Po raz pierwszy odezwała się do André tego wieczoru. - Nic o nim nie słyszeliśmy od czasu wizyty doktora Zacharie.

- Gdyby był moim bratem, nie życzyłabym sobie żadnych wieści o nim - powiedziała Emma tonem, który ku zdziwieniu wszystkich bardziej przypominał głos Eulalii niż jej własny. Mimo że jej nerwy były na skraju wytrzymałości, Miriam kontrolowała się wciąż na tyle, żeby odpowiedzieć tylko spokojnym pytaniem:

- Dlaczegoż to, ciociu Emmo?

André wtrącił szybko, pragnąc ubiec odpowiedź Emmy:

- Najsmutniejszą rzeczą na tej wojnie jest fakt, że wiele rodzin uległo podziałom. Czy wiecie, że trzech wnuków Henry'ego Claya walczy dla nas, a pozostałych trzech jest w armii Unii? I że brat pani Lincoln został zabity walcząc po stronie Konfederacji?

Po tej replice Emma zamilkła, a Ferdinand zwrócił się do André:

- Mam nadzieję, że zostaniesz i odpoczniesz z nami przez kilka dni.

- Dziękuję bardzo, ale muszę wyjechać jutro przed północą. Jadę do Teksasu. Z Vicksburga nadeszła bawełna, dlatego tu jestem. Potem do Brownsville i poprzez Rio Grande do Matamoros. Stamtąd zazwyczaj wypływamy.

- A więc czeka cię długa droga i powinieneś wypocząć. - Na znak Ferdinanda wszyscy wstali. - Już czas iść spać.

- Nie jestem zmęczony - powiedział André, spoglądając na Miriam. - Lub raczej jestem zbyt zmęczony, żeby położyć się od razu. Pójdę na przechadzkę albo posiedzę na zewnątrz korzystając z ciepłej nocy.

Była dziewiąta. Za pół godziny wszyscy z pewnością już zasną. Wchodząc po schodach, czuła w uszach tętnienie krwi.

W pokoju Miriam była Fanny. Rozpakowywała pudła, które przywiózł André. Na łóżku leżały stosy materiałów i ubrań.

- Nie było tu miejsca na cały bagaż. Męskie ubrania zaniiosłam do pokoju pana Ferdinanda. A to może nada się dla panicza Eugene'a. - Fanny wskazała na brązowy surdut angielskiego kroju, jedwabny krawat i czerwoną, aksamitną kamizelkę.

- Będzie znakomity, jeśli kiedykolwiek wrócimy do Nowego Orleanu.

- Jaki piękny kapelusz! - wykrzyknęła Fanny, pokazując płaski kapelusz przybrany konwaliami.

- W stylu Watteau. Wydaje mi się, że widziałam taki w żurnalu - Miriam miała już na końcu języka "sto lat temu", ale zamiast tego powiedziała: - Będzie miłą odmianą po naszych słomkowych kapeluszach - zachichotała myśląc, że zachowuje się jak idiotka. - Czy powinnam założyć go podczas następnych odwiedzin w stajni?.

- Niech pani popatrzy na to błękitne sukno. Uszyjemy z niego dla pani piękny płaszcz! A ta żółta tafta! Niech pani zajrzy do spiżarni. Mięso, wino, brandy, zupełnie jak za dawnych lat. Pan Perrin jest prawdziwym dżentelmenem.

- Fanny, rano przejrzymy wszystko i poszukamy czegoś dla ciebie.

Para rękawiczek z koziej skórki, miękkiej niczym satyna. Jak mu się udało znaleźć te piękne rzeczy? Najnowsze, najkosztowniejsze, najmodniejsze. Wyglądały jak przedmioty z innego świata i innego życia. Poczwała, że nie nadają się dla niej, już nie. Fanny przyglądała się jej z zagadkowym uśmiechem, który pojawiał się na jej ustach, kiedy chciała ukryć swoje prawdziwe uczucia.

Dlaczego tak się uśmiecha? Czy wie o niej i o André? Miriam ogarnął gwałtowny gniew.

- Możesz już iść do łóżka, nie będę cię już potrzebować - powiedziała szorstko. „Ona wie, ona wie.”

Kiedy dom pogrążył się w ciszy, Miriam zeszła po schodach. Będzie na nią czekał w letniej altanie na ławeczce za drewnianą kratą. André dosłyszał jej ciche kroki, dostrzegł ją pośród panujących ciemności. Przeszła dopiero połowę drogi, kiedy schwycił ją na ręce, uniósł do góry i pocałował. Całował rozkosznie, bez końca.

- Musiałem cię zobaczyć, zboczyłem z drogi dziewięćdziesiąt mil, ale musiałem się z tobą spotkać.

- Nie wiedziałeś, że Eugene nie żyje, a jednak przyjechałeś!

- Zaryzykowałem - roześmiał się. - Pomyślałem, że jak przyjadę z pełnymi rękoma, zaakceptuje mnie. Podarunki otwierają wszystkie drzwi... Powiedz mi, czy bardzo się wściekał? Tego ranka, kiedy mnie odesłał, był bardzo zły.

- Nie. Był o wiele bardziej rozsądny, niż się spodziewałam. - Miriam zamilkła. Nagłe wspomnienie bolesnej, kłującej wzgardy Eugene'a zburzyło jej spokój.

W panującej ciszy rozlegał się tylko głuchy odgłos spadających orzechów. Wreszcie Miriam powiedziała:

- To była straszna śmierć.

- Wszystko jest straszne, choćby te zniszczenia. Przeraziłem się, kiedy wszedłem i zobaczyłem, co się stało z tym domem, kiedy ujrzałem podarte buty na twoich nogach. Ale jeszcze wrócę i uczynię wszystko, żebyś miała przynajmniej najniezbędniejsze rzeczy, oczywiście w miarę moich możliwości.

Nie zwróciła uwagi na nic innego poza słowami: „Jeszcze wrócę”.

- Kiedy znowu przyjedziesz?

Zaprowadził ją do altanki. Zza chmur wyszedł sierp księżyca, dzięki czemu mogła dokładnie ujrzeć André w księżycowym blasku. Długie blond rzęsy, opaloną skórę i delikatne, piękne usta.

- Kiedy znowu przyjedziesz?

- Trudno powiedzieć. Mam współnika, Anglika. Na jego nazwisko kupiliśmy statek. Jest zarejestrowany pod brytyjską banderą i jako statek neutralny, może przekraczać blokadę.

Nie chciała słuchać o statkach i interesach, pragnęła jedynie uzyskać obietnicę jego powrotu.

- To niewielka jednostka o bardzo małym zanurzeniu. Możemy się poruszać tam, gdzie duże okręty Unii już nie mogą wpłynąć. Ale ty nie chcesz tego słuchać. Prawda?

- Nie chcę. Wolę, żebyś mówił o sobie.

- Chodźmy więc do twojego pokoju. Zawahała się.

- Chciałabym, ale...

- Ale co?

Stali tak blisko siebie, to było nie do wytrzymania, że nie mogli posunąć się dalej.

- Chciałabym... - powtórzyła.

- Dlaczego więc nie możemy? O co chodzi?

- Obok jest sypialnia mojej córki, a po drugiej stronie korytarza pokój ojca i Emmy.

Wścibskie spojrzenie Fanny, niewinność Angélique, szacunek syna, konsternacja ojca i pogarda Rosy, wszystko to nagle stanęło jej przed oczami.

- A więc kiedy? To okrutne - jęknął André.

- Nie wiem.

Oparła głowę na jego ramieniu i pomyślała o pokoju w Pontalba. O białym pokoju, delikatnej bryzie, upale i ludzkich głosach, dochodzących zza okna. Zaszlochała z rozczarowania i tęsknoty.

- Nie płacz. Jeśli to niemożliwe, to trudno - pocieszał ją. - Istnieje duże prawdopodobieństwo, że Marie Claire zgodzi się na rozwód...

Słyszała powolny rytm jego serca.

- W Europie, w przeciwieństwie do Ameryki, nie jest to żadnym skandalem. A wtedy, ty i ja ...

- André, chcesz tego? Jesteś pewien?

- Kochanie, jak możesz o to pytać? Przecież wiesz, że chcę.

- Och! - krzyknęła. - Upłynęło tyle lat, wydawało mi się, że nie mam już na co czekać. Oczywiście były dzieci, które zawsze miały pierwszeństwo, ale w końcu ja też jestem człowiekiem i czasem pragnę czegoś dla siebie. Myślałam, że nic mi już nie pozostało - a teraz dajesz mi nową, wspaniałą nadzieję!

Zwrócił jej twarz do światła, prawie już znikającego za zasłoną płynących po niebie ciemnych chmur.

- Co za piękne oczy! - Pocałował jej powieki. - Patrząc na ciebie i nie móc cię mieć, to gorsze niż w ogóle cię nie widzieć! - dodał.

Wrócili do domu. Woda zatoki lśniła jak ciemne szkło. Zeschnięte zeszłoroczne łodygi sterczały sztywnie pomiędzy liśćmi lilii wodnych. Pod cedrami leżał uginający się dywan z igieł. Nagle nabrała chęci do rozmowy i zwierzeń.

- Cedry. Czy wiesz, że Murzyni nie chcą ich ścinać, bo wierzą, iż uosabiają one ludzkie życie? Często o tym myślałam, spacerując pomiędzy drzewami.

- Zbyt wiele myślisz.

- Czy to cię nudzi?

- Nie. Oczywiście, że nie. Ale dla swojego dobra nie powinnaś tego wszystkiego brać tak poważnie.

- Kiedy skończy się wojna, kiedy skończy się zabijanie, wtedy będę się śmiać. Będę bardzo szczęśliwa i radosna, obiecuję ci.

- I taka powinnaś być.

- Teraz nie mogę przestać myśleć o tych wszystkich żołnierzach, o tobie.

- Czy nie powtarzałem ci zawsze, że nic mi się nie stanie? Wiem, co robię. Prowadzę ciekawe życie.

- Mam nadzieję. Kiedy jestem z tobą, wierzę we wszystko, co mówisz. Przy tobie czuję się bezpieczna, zawsze tak było.

- Bardzo się cieszę, że tak na ciebie wpływam. Życie jest zbyt krótkie. Kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy... byłaś taka piękna, i taka smutna. To mnie właśnie w tobie pociągało, ten twój smutek. Chciałem cię z niego wyleczyć. Przywiozłem ci żółty jedwab, uszyj coś z niego. To kolor słońca i uśmiechu.

Gwałtowny powiew wiatru potrząsnął koronami drzew i ochłodził powietrze. Wstawała szara mgła. Nie był to czas słońca i uśmiechów. Mimo to uśmiechnęła się.

- Pożegnajmy się teraz. Będzie nam łatwiej niż jutro przy wszystkich. Au revoir

- Au revoir, moja Miriam.





## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY.

Zaraz za Vicksburgiem posiadłość Plaisance wznosiła się nad rzeką w całej krasie nieskalanego piękna. Biały, drewniany Partenon na zielonym brzegu, górującym nad prywatną przystanią. Służący z pochodniami oświetlali drogę gościom przybyłym na parowcu. Pomiedzy domem a dziką linią lasu rosły drzewa, wspaniale strzyżone zręcznymi rękami francuskiego ogrodnika. W cieplarni dojrzewały ananasy. Pawie z rozpostartymi ogonami paradowały po trawnikach, przystając od czasu do czasu, aby zadziwić świat swoim przenikliwym wrzaskiem. Para łabędzi pływała po stawie.

- Dopóki utrzymamy Vicksburg - powiedział André - wszystko będzie w porządku.

Ale Vicksburg padł i przybyli uciekinierzy. Dwa powozy zaprzężone w konie pociągowe wiozły rodzinę: Pelagię z dwójką najmłodszych dzieci, Eulalię i pana Lamberta Labouisse'a. Na dwóch wozach jechali służący razem z nielicznymi sprzętami domowymi. Po sześciu dniach podróży wszyscy byli zmęczeni, głodni i zrozpaczeni.

- Spalili nasz dom aż do fundamentów! - To były pierwsze słowa starego Labouisse'a, kiedy wysiadając z powozu o mało się nie przewrócił.

Pelagia miała na sobie czarną, żałobną suknię, przepoconą i brudną.

- Nic nie wiecie... Nasze listy do was nie docierały... Tak, mój Alexandre odszedł! Zabili go pod Yazoo Pass.

Emma wybuchnęła płaczem i przytuliła swoją córkę.

- Dzięki Bogu Felicito wyszła za mąż w San Francisco, przynajmniej ona jest bezpieczna. - Pelagia była bardziej przygnębiona niż po śmierci Sylvaina.

- Obawiam się o Lamberta i Louisa. Gdzie oni są? Nie wiem. Gdzieś z kimś walczą... być może też nie żyją. A temu najmłodszemu, który nigdy nie widział ojca, teraz zniszczono dom...

Miriam zaprowadziła ją na górę do sypialni i wiedząc, jak jest wymagająca, natychmiast poleciła Fanny przynieść gorącą wodę.

- I coś zimnego do picia. Wodę, jeśli nie ma nic innego. A teraz opowiadaj, opowiadaj - ponaglała Pelagię. Pelagia położyła się na szeszlunku i wzięła głęboki oddech.

- Nareszcie pod dachem! Nie możesz sobie wyobrazić, co przeżyliśmy po upadku Vicksburga... Mieliśmy tam wielu przyjaciół, którzy zaczęli do nas przyjeżdżać. Jedna ze znajomych przywiozła nawet pianino, to było

wszystko, co udało się jej uratować. Wtedy statki Unii ruszyły w dół rzeki, ostrzeliwując pobliskie domy. Ale mieliśmy szczęście. Nie dopłynęli do Plaisance. Myśleliśmy już, że nie będziemy musieli uciekać. Ale ostatniego tygodnia nadeszli! Pociski spadły na dach! Zapalił się! To było przerażające! Wiatr wydawał się unosić płomień aż do nieba. Pożar musiał być widoczny na wiele mil, zupełnie jak wulkan. Podobno tak właśnie wyglądał płonący Vicksburg. - Pelagia ukryła twarz w dłoniach. - I najstraszniejsza rzecz. Kiedy przybyły statki, żeby nas zniszczyć, nasi niewolnicy uciekli na groblę. Trzymali w rękach motyki, śpiewali i tańczyli. Czasami sobie myślę, że chyba nawet lepiej się stało, że Sylvain tego nie dożył. Kochał tamto miejsce, tam się urodził i wychował. - Pelagia zaśmiała się nerwowo. - Tamtego ranka mój teść sporządził nowy testament. Dyskutował ze mną, komu z rodziny dać poszczególnych niewolników. Powiedział im nawet, jakich będą mieli nowych właścicieli! I pomyśleć, że po południu wszystko się zawaliło.

„Z pewnością nie kocha tego starego tyrana - pomyślała Miriam. - Ale stanowił on symbol starego świata. Teraz, po upadku jego dziedzictwa i poglądów, na kim mogła polegać? Do tej pory miała w nim oparcie.”

- Nie ma domu, nie ma domu! - lamentowała Pelagia.

- Masz dom tutaj. Któregoś dnia wszyscy wrócimy do normalnego życia. Zobaczysz.

Miriam pocieszała ją banalnymi słowami, zastanawiając się równocześnie: „Co poczniemy z tymi wszystkimi ludźmi? Nie starcza nawet dla nas samych. Brak ziarna na siew, nie ma jak naprawić uszkodzonych maszyn. Niewolnicy nie chcą pracować. Zresztą, dlaczego by mieli chcieć? Kres był bliski. Aż dziw, że wielu z nich pracowało jak dawniej. Być może myśleli, że ich właściciele wygrają wojnę?”

- Kto mógłby w to uwierzyć? - płakała Pelagia.

Nie było już łożowych świeczek, siedzieli więc wokół stołu przy kopcącej lampie. Ostry zapach terpentyny zdominował wieczory, przenikał żywność. Posiłki z dnia na dzień stawały się coraz skromniejsze. Toczone tu rozmowy, nie kończące się potok słów, pozwalały na rozładowanie dręczących ich strachów.

Miriam przyjrzała się zawartości talerzy i liczyła w myślach.

Koniec z mąką; cena osiągnęła tysiąc dolarów za baryłkę, jeśli uda się gdzieś jakąś znaleźć. Herbata kosztuje sto dolarów za kilogram; Fanny nauczyła ją robić napar z liści. Nie ma już kawy, ale można ją zastąpić

substytutem z fistaszków albo zołędzi. Powinni bardziej zadbać o uprawę warzyw. Żeby tylko brak mięsa nie odbił się na zdrowiu rosnących dzieci! Podobno można doskonale żywić się warzywami. No i oczywiście były jajka.

Eugene ma już prawie piętnaście lat. Kiedy zechcą wziąć go do wojska? Pelagia martwi się, że zabraknie kawalerów dla chcących wyjść za mąż panienek. Małżeństwa! Tym sobie Miriam nie zawracała głowy.

O czym przed chwilą myślała? Jarzyny! Jutro musi wstać wcześniej niż zwykle, wziąć konia i objechać całe gospodarstwo. Nauka konnej jazdy przyszła jej dużo łatwiej niż można się było spodziewać po miejskiej dziewczynie. Pomyślała też, że nie mieli wystarczającej ilości koców i prześcieradeł dla nowo przybyłych. Tkanina bawełniana kosztowała piętnaście dolarów za metr, jeśli w ogóle udało się ją gdzieś znaleźć. Nie było igieł ani szpilek. Wprawdzie Fanny pokazała jej, jak używać w tym celu cierni, ale nic można szyć bez nici. Jedna szpulka kosztowała pięć dolarów, a dolar Konfederacji wart był dziesięć centów. Pomyślała o złotych monetach zaszytych pod podszewką sukni, tej z żółtego jedwabiu podarowanego jej przez André. To jedyna wyjściowa sukienka, którą miała. Chciała zatrzymać i suknię, i monety. Bóg jeden wie, w jakich okolicznościach będzie ich jeszcze potrzebować.

Stary Lambert Labouisse oświadczył:

- Tak, wyrzuciłem całą złotą zastawę do Missisipi, żeby nie dostała się wojskom federalnym. Serwis na dwadzieścia cztery osoby uświetnił tyle wspaniałych przyjęć! W każdym razie miał godną śmierć.

„Ty stary głupcze - pomyślała Miriam. - Tak bym chciała wiedzieć, jak i gdzie można by go wyłowić.”

Od śmierci Eugene'a Ferdinand z mniejszym zapalem zasiadał do swoich wojennych map. Teraz oznajmił bezbarwnym głosem:

- Tak, utrata Vicksburga to ostateczny cios. Straciliśmy połączenie z Teksasem i Meksykiem. Teraz już trudno będzie przewieźć coś w jedną lub drugą stronę.

Jak wróci André? Bóg raczy wiedzieć. Wszystko skrywają ciemności, ciemne chmury wiszą nad naszymi głowami i nie da się wybiec wzrokiem w przyszłość, nawet w jutrzejszy dzień. Co się stanie z nami, gdy wróci?

- Wystarczyłoby trzydzieści tysięcy ludzi, żeby utrzymać Vicksburg - powiedział stary Labouisse. Mamy tylu dezertów, coraz więcej, niech wszyscy będą przeklęci.

- A czegoż tu się spodziewać? Pemberton jest Jankesem. Nie zasługiwał na zaufanie - jak zwykle skomentowała to Eulalia.

Jej jasne oczy ze złości nabiegły krwią. „Dzika amazonka Virginii” - pomyślała Miriam, pamiętając o obietnicy milczenia. Nagle wyobraziła sobie, jak prawda wychodzi na jaw, ujawniana w drobnych złośliwych uwagach, powoli niszczących zaufanie dzieci do matki.

Wycierpiały już stanowczo zbyt dużo. Jeśli ona nie mogła zapomnieć śmierci swojej matki, sceny, którą знаła tylko z opowiadań, jak długo będzie je prześladował obraz umierającego ojca, leżącego na ziemi i trzymającego ich dłonie w swoich rękach. Rzadko o tym mówili, bo i o czym tu rozmawiać? Ale na czole Eugene'a pojawiły się dwie pionowe zmarszczki, których dawniej nie było. A Angélique, która od wczesnego dzieciństwa coś krzyczała przez sen, tak że Miriam często musiała chodzić ją uspokajać... Tak, jej dzieci przeżyły już wystarczająco wiele. Jeśli Eulalia doda jeszcze coś...

„Nie - stwierdziła - Eulalia nic nie powie. Doskonale wie, że wyrzuciłabym ją z domu.”

- Problemem są tacy jak wy - znowu odezwała się Eulalia - którzy stracili nadzieję. Ja nie straciłam: - Popatrzyła na siedzących przy stole. Nikt się nie odezwał, więc kontynuowała. My, z naszą starą, dobrą krwią, powinniśmy zrobić coś więcej niż dotychczas. Spójrzcie tylko na mieszkańców Północy! Zbieranina Niemców, Irlandczyków i Bóg tylko wie kogo jeszcze! I ta mała Lincoln na czele, opętany tym jego wyzwoleniem Murzynów!

- Chciałbym, żeby i u nas można było wprowadzić powszechne wyzwolenie niewolników. - Ta uwaga dobiegła z końca stołu z miejsca należącego do Eugene'a. Głowy wszystkich zwróciły się ze zdziwieniem w jego stronę. Chłopak zaczerwienił się, jakby dźwięk jego jakże nieoczekiwanych słów, rozbrzmiewających w martwej ciszy pokoju, przeraził go. Błagalnie popatrzył na matkę, szukając u niej pomocy.

Miriam była zaskoczona. Skąd u niego takie idee? Tak skrupulatnie omijała ten drażliwy temat! Poczowała lekki dreszcz. Czy to obawa? Owszem, lecz przede wszystkim dumą i radość.

- W porządku, Eugene. Możesz mówić - powiedziała łagodnie.

- To znaczy... Myślałem o wszystkim, co tu zastaliśmy, i... i... - zająknął się - wydaje mi się, że lepiej by było, gdybyśmy mieli kilku najemnych ludzi zamiast tych wszystkich biedaków, którymi się opiekujemy.

Lambert Labouisse był bliski wybuchu i Ferdinand spiesznie zaczął wyjaśniać:

- Mój wnuk rozumuje praktycznie, wedle reguł ekonomii. Przy naszej obecnej sytuacji...

- A może nie - powiedziała Miriam. Coś w niej sprzeciwiało się próbom ułagodzenia pana Lamberta Labouisse'a. - Mów dalej, Eugene.

Głos chłopca stał się mocniejszy.

- Czy cały ten kraj nie byłby lepszy, gdyby wszystkie olbrzymie pola podzielić na małe farmy? Gdyby właściciele mogli pracować na swojej ziemi? Tak byłoby sprawiedliwiej. I wzrosłaby wydajność. W niewolnictwie jest zbyt wiele marnotrawstwa. To nie w porządku, że tyle ziemi znajduje się w tak niewielu rękach. Na cóż komu dwa tysiące akrów leżącej odłogiem ziemi?

Pan Labouisse zdenerwował się do tego stopnia, że zastukał łyżką w stół.

- Spędziłem całe swoje życie, podobnie jak przedtem mój ojciec, powiększając nasze włości na chwałę przyszłych pokoleń! Drogo płaciliśmy za utrzymanie naszych ziem w całości! Nie mogę spokojnie słuchać podobnych słów, madame, to przekracza moją cierpliwość! Przykro mi, ale muszę to powiedzieć!

- Nie rozumiem - jęknął wzburzony Ferdinand. - To dla mnie zupełna nowość, zapewniam cię. Gdzie Eugene mógł zetknąć się z takimi poglądami?

- Nie wiem, papo. Ale z pewnością ma prawo do własnego zdania - Miriam uśmiechnęła się do Eugene'a.

- Podejrzewam, że usłyszał to od swojego wuja - fuknęła Eulalia.

- Oczywiście - z ironią odparła Miriam. - W ciągu ostatnich lat miał mnóstwo okazji do kontaktów z moim bratem, nieprawdaż?

Nagle, zanim Eulalia zdołała dolać oliwy do ognia, Pelagia powiedziała coś zaskakującego:

- Czy wiesz, ojcze, że kiedy Louis ostatnim razem był w domu, mówił bardzo podobne rzeczy? - zawahała się. - Uważał, że te wielkie posiadłości muszą przestać istnieć, a wraz z nimi niewolnictwo.

- Tak powiedział mój wnuk? Mój wnuk? - Staruszek był wstrząśnięty.

- Cóż, musisz przyznać - zająknęła się Pelagia - to naprawdę kosztowny system. Pieniądze, które mogłyby kiedyś przypaść naszym dzieciom, idą na utrzymanie tych wszystkich niewolników, na ich ubrania i... tak wiele ziemi leży odłogiem, jak mówił Eugene...

- Eugene! Idiotyzmy! - wściekł się starzec, ślina pryskała z jego ust. - Frazesy! Wstrętne, złe słowa! Nigdy w swoim życiu nie zarobili nawet dziesięciu centów! Nieopierzeni smarkacze! Nie zdążyli jeszcze dorosnąć, a już pozbywają się swego dziedzictwa! Głupcy, powinno się ich wychłostać!

Rosa zerknęła nerwowo na Miriam. Jej spojrzenie mówiło: co się stało z Pelagią?

Miriam mogłaby odpowiedzieć: Tylko tyle, że nawet Pelagia wreszcie stała się realistką.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY.

Pomiędzy rzeką Rapidan na północy i rozległymi, jasnymi polami Spottswyllanii na południu rozciąga się obszar głuszy o długości czterdziestu kilometrów i szerokości piętnastu. Jest to ponury, podmokły i ciemny las z gęstymi, kolczastymi zaroślami w poszyciu.

Teraz, w pierwszych dniach pogodnego maja, długa karawana krytych białym płótnem wozów mijała zakręt i przekraczała Orange Plank Road, zdążając na spotkanie maszerującej z przeciwka Armii Potomacu, dowodzonej przez generała Granta.

Gabriel przez trzy lata wojny zrósł się już niemal z gniadym grzbietem swojej klaczy Polaris. Bez żadnych rozkazów ani kierowania wodzami koń trzymał się w szyku, pozwalając jeźdźcowi pograć się w rozmyślaniach.

W zeszłym roku starli się z Grantem w okolicach Chancellorsville. Wtedy wygrał Lee. Dziś, przejeżdżając koło miejsca tamtego zwycięstwa, mijali wymarłe osady i zgliszcza pośród leżących odłogiem pól. Koło drogi spotkali farmera. „Nigdy nie miałem ani jednego niewolnika - powiedział. - Własnymi rękami wykarczowałem te pola i zbudowałem dom. Federalni zabrali mi wszystko, kurczęta, krowy, dorobek całego życia." Cóż mogły dla niego znaczyć prawa obywatelskie?

Wędrują więc naprzód, razem popełniając błędy, przebywając rzeki, znosząc coraz trudniejsze warunki, nie wiedząc, kiedy się to skończy.

Miał niedobre przeczucia. To pewnie przez tę wiosnę. Wokół kwitną setki białoróżowych dereni; na liściach lśnią krople rosy, lekki powiew wiatru szeleści w gałęziach drzew, a słońce muska ciepłem koński grzbiet. Tak, to wiosna i świadomość, że może już tego nigdy nie zobaczyć.

Wyprostował się. To do niczego nie prowadzi, wystarczy rozczulania się nad sobą.

Wszyscy dookoła, zarówno oficerowie jak i żołnierze, jechali w milczeniu. Podążający tuż za nim porucznik nie odezwał się od ponad godziny. Słysząc było tylko parskanie koni.

Drzewa po obu stronach niebezpiecznie zgęstniały, ich cienie kładły się w poprzek drogi. Upał stawał się coraz cięższy; kark Polaris lśnił od potu. Gabriel czuł, jak pod grubym płaszczem jego ciało z każdą chwilą staje się coraz bardziej wilgotne.

Daleko z przodu widać było zakręt drogi. Nie musiał sięgać po mapę, znał ją na pamięć. Doskonale wiedział, dokąd zmierzają i gdzie mogą liczyć na

zaskoczenie Granta. Mógł więc pograć się w myślach i wspominać przeszłość, zamiast planować przyszłość.

Już tak długo nie był w domu! Zastanawiał się, co zostało z jego miasta. Zajęli dom Rosy, to wiedział na pewno. Może ktoś okazał się na tyle wielkoduszny, by zatroszczyć się o księgozbiór? Odziedziczył go po Henrym i powiększał przez lata. Cóż to było za spokojne miejsce ta niewielka biblioteka z wygodnymi fotelami. Przez okna wychodzące na ogród docierał do pokoju zapach deszczu i monotony odgłos kropel, spadających z liści bananowców. Na chodniku pod oknem, w miejscu, gdzie wiele lat temu zapadła się kamienna płyta, po każdym deszczu zostawała kałuża. Przesiadywały tam miniaturowe żabki, zielone niczym szmaragdy, najszlachetniejsze z klejnotów.

Tak dawno nie widział domu! Ani Miriam...

Z kilkumiesięcznym opóźnieniem dotarła do niego wiadomość o śmierci Eugene'a, ale Rosa nic nie pisała o Miriam. Zrozumiał, że chciała go oszczędzić i zachować się taktownie.

Przypomniawszy sobie, jak siostra czyniła taktowne w jej pojęciu wysiłki, by wzbudzić jego zainteresowanie jedną z „odpowiednich” kobiet. Według niej „odpowiednia” znaczyło młoda, o dobrym charakterze, umiarkowanie ładna i, co najważniejsze, z dobrej rodziny. Kochana Rosa! Nigdy nie przyszło jej do głowy wziąć pod uwagę jego uczucia. Oczywiście, było kilka kobiet, zwłaszcza jedna, wspaniała dziewczyna o rudych włosach, która być może zdołałaby wzbudzić jego miłość - gdyby nie Miriam. Obraz Miriam nieodmiennie stawał między nim i innymi kobietami.

Rana wewnątrz paliła; była równie realna jak oparzenie lub cięcie szablą. Narastał w nim gniew - nie, nie przeciwko niej, nigdy nie byłby w stanie gniewać się na Miriam - ale przeciwko temu mężczyźnie, Perrinowi. Próbował go ugasić, ale A płomień wybuchał z nową siłą. Teraz, gdy została wdową, zapewne się pobiorą.

Prawda, Perrin miał już żonę, ale człowiek jego pokroju zawsze znajdzie wyjście z sytuacji. Gdyby był tu teraz, Gabriel z chęcią przeszyłby go bagnetem. Nigdy jeszcze nie używał bagnetu, nawet w najgorętszym wirze walki, i dziękował za to Bogu. Już kule były dostatecznie straszne, ale czuć, jak trzymana w ręku broń zagłębia się w ciało innego człowieka...

Polaris, trzymająca się cały czas w szyku, przekroczyła bruzdę na poboczu i weszła na gruby kobierzec suchych liści, w których musiała brodzić po kolana. Umiejętnie kluczyła między krzakami i opadłymi gałęziami, unikając



sterczących wszędzie kolców. Bywali już w miejscach podobnych do tego. No, może niezupełnie takich. W głębi zarośli było ciemno jak w morskich głębinach. Czubki sosen stykały się u góry, tworząc ciężkie, zielone sklepienie. Nagle szlak przecięła głęboka rozpadlina, tak stroma, iż nieopatrzny jeździec mógł z łatwością spaść tu z konia. Przedzierali się dalej. Jak walczyć w takim miejscu, gdzie nie sposób dostrzec ani przyjaciela, ani wroga?

Z ust do ust przekazano rozkaz zatrzymania się. Nareszcie. Byli w drodze od brzasku, a zbliżało się południe. Upał obezwładniał. Gdyby nie trudy trasy, pozasypialiby w siodłach.

Ludzie zebrali się na małej polance. Tutaj, w środku niewielkiej plamy światła, kwitł kolejny dereń - radosny biały akcent w ponurym półmroku. Gabriel poczuł znów dziwny niepokój i kołatanie w piersi. Nazywano to „biciem żołnierskiego serca” i składano na karb zmęczenia i upału. Było to jednak coś więcej - strach.

- Z przodu mają naradę - zameldował ktoś.

- Zwiadowcy donieśli, że zbliżają się siły Unii.

Polaris przebierała nogami. Odchyliła głowę do tyłu, jakby chciała coś powiedzieć Gabrielowi. Miała cienkie rasowe łozdrza i duże, łagodne oczy. „Dobrze mnie zna - pomyślał Gabriel. - Już tak długo jesteśmy razem.”

Ktoś mówił bardzo głośno:

- Do diabła, to nie miejsce dla koni! Jak niby mamy tu walczyć? Wlecemy się jak ślimaki.

Pomimo to posuwali się naprzód. Przekraczali błotniste strumienie i szli, szli, aż w końcu usłyszeli przed sobą pierwsze krzyki i strzały.

- Z koni! Na ziemię!

Znowu dziwne, straszne bicie serca. Gabriel zeskoczył z Polaris i pogładził pysk klaczy. Czy ją jeszcze kiedykolwiek odnajdzie?

Grupa strzelców przykucnęła pod osłoną zarośli. Z prawej strony przez krzaki przedzierały się z hałasem oddziały artylerii.

O Boże! Tuż obok, jak spod ziemi, wyrosła nagle cała niebieska dywizja. Padały wyrywane z korzeniami drzewa i krzaki. Zaszumiał grad pocisków. Ołów padał z nieba jak deszcz!

- Naprzód! Naprzód!

Kto tak krzyczy, czyje gardło zagrzewa do walki, gdy tak blisko są ludzie w niebieskich mundurach i lśniące bagnety? Czy to ja?

Wystrzelił. Ukryty za pniem starego dębu strzelał na oślepa do wroga spowitego kłębam gryzącego dymu. Panował piekielny hałas, niemal rozzierający bębni uszu. Nieustannie rozlegały się zagrzewające do walki dźwięki trąbek, sygnały i rozkazy, których nikt nie mógł wykonać, bo nikt nie widział nawet dokładnie, gdzie się znajduje ani gdzie jest wróg.

- Ognia! Ognia! Ładuj!

Kule przesywały korony drzew syjąc na ziemię fontanny liści. Tuż obok ktoś przeraźliwie krzyczy, jego głos przypomina skowyt rannego zwierzęcia. Nikt nie ma czasu, by tam spojrzeć. Wciąż strzelając Gabriel klęka, pochyla się, bowiem nic, co choć na pół metra wystaje ponad ziemię, nie ma szans na przeżycie w tym piekle.

O Boże! To najstraszniejszy, najpotworniejszy dzień w całej tej piekielnej wojnie! Nagle zderza się z nim jakiś żołnierz, który czołgając się na kolanach i brzuchu zmierza na tyły, w odwrotnym kierunku.

- Co robisz? Gdzie, do diabła, idziesz?

- Jestem ranny, sir. Wracam na tyły. Jestem ranny.

- Gdzie? Pokaż ranę albo wracaj. Wracaj, do diabła!

- Ale to nasi! Chryste, ostrzeliwują nasze pozycje!

- Nic na to nie poradzę. Pewnie nic nie widzą. Na ziemię! Pochyl się!

I dalej, godzina po godzinie, grzmoty, świst kul, jęki... Czy nigdy nie zapadnie noc? W końcu nadeszła. Najciemniejsza noc, jaką Gabriel widział w życiu. Strzały cichną. Żołnierze obu stron z wyczerpania walą się na ziemię.

Zapada cisza. Rannych zabrano na tyły. Na ziemi zostali polegli. Spokojni i wolni. Już nie muszą obawiać się jutrzejszego poranka.

W ciemnościach rozlega się krzyk lelka. Jego czysty głos dźwięczy przez kilka sekund, potem nagle milknie. Nawet ptaki, przerażone, przycupnęły w swych gniazdach - tak jak ludzie na ziemi.

Gabriel oddycha głęboko. Jest zbyt zmęczony, by cokolwiek sprawdzać, zresztą w ciemnościach i tak nic nie widać. Musi po prostu zostać tu ze swoimi ludźmi, tymi nielicznymi, którzy mu zostali. Ma jedno zadanie - czekać. Zasypia z głową na kolanach.

Nadchodzi następny dzień, bardzo wietrzny. Padające wokół kule krzeszą skry, roznoszone przez wiatr z kępy na kępę, z krzaka na krzak. Płomienie jak żywe istoty pełzają po ziemi, w poszukiwaniu pożywienia wspinają się na drzewa, szepcząc do siebie. Potężna sosna w kilka sekund staje w ogniu, niczym żywa pochodnia. Daleko za pierwszą linią pieczołowicie wznoszone

umocnienia także zajmują się od jakiejś iskry. Wiatr unosi popiół. Pożar ogarnia już cały las. Gorące powietrze parzy płuca.

Teraz płomienie mknęły już jak morskie fale. Rozległ się rozpaczliwy krzyk rannych, bezbronnych w obliczu nadciągającego żywiołu. Ogarnięci falą ognia ludzie wrzeszczą z bólu i giną, inni w tym czasie strzelają do siebie, jeśli tylko starczy im sił, aby udźwignąć broń. Błękitni i szarzy rzucają się na pomoc swoim. Niektórzy nawet ratują nieprzyjaciół.

Gabriel odciąga na bok jakiegoś mężczyznę. Gdyby tu był Lorenzo! Z pewnością by pomógł. Po raz pierwszy czuje, jak ogarnia go tęsknota za służącym. Lecz Lorenzo już dawno przeszedł na drugą stronę i jest teraz pewnie w Nowym Jorku lub Waszyngtonie. Niewiarygodne, ale w tym straszliwym chaosie Gabrielowi przychodzi do głowy zabawna myśl: Rosa była pewna lojalności Lorenza jak niczego innego na świecie! „Dlaczego miałby być nielojalny, przecież cię uwielbia?”

Po kilku metrach Gabriel kładzie mężczyznę na ziemi, obok nitwielkiego parowu. Przy odrobinie szczęścia płomienie tu nie dotrą. Jest zbyt zmęczony, by iść dalej. Okropnie boli go noga.

Szukając liści, na których mógłby odpocząć, znów się potyka, tym razem o ciało rannego. Mundur jest niebieski. Patrzy na twarz - jest młoda. „Chłopiec, młodszy ode mnie, ja przeżyłem już milion lat...”

Ranny otwiera oczy, patrzy na Gabriela. Nie rozpoznaje wroga.

- Bardzo mi zimno. Moja siostra, Margaret, nie, nie Margaret, ta druga, zawsze mówiła... Czy mogę dostać koc? Niedobrze mi.

Gabriel pochyla się, choć nawet najlżejszy ruch wywołuje przeszywający ból w stopie. Chłopak bełkocze, krztusi się, wymiotuje i po chwili cicho opada w tył.

W kilka godzin później Gabriel zorientował się, że chłopak nie żyje. Jest noc. Na niebie ponad koronami drzew lśnią gwiazdy i w ich błękitnym świetle Gabriel dostrzega twarz zmarłego. Jest w niej jakiś niezwykle majestat. Dobrze byłoby mieć koc lub cokolwiek, by przykryć zwłoki. Nagle dochodzi do wniosku, że należałoby coś powiedzieć lub zrobić wobec majestatu śmierci. Odmawia Kadisz. To modlitwa żydowska, jedyna, jaką zna.

Ból rozdziera mu stopę. Musieli go trafić. Dziwne, że nawet nie pamięta, kiedy! W głowie mu się kręci. Leży bez ruchu. Ze wszystkich stron dobiegają okrzyki rannych: „Wody! Na pomoc! Mamo! Boże!” Lecz nikt nie przychodzi. Jest za ciemno, za daleko.

Poranek. Na policzku martwego chłopaka siada mucha. Gabriel odpędza ją. Zmarły ma otwarte oczy i Gabriel wychyla się, by je zamknąć. Ból narasta, każdy ruch sprawia mękę. Gabriel przeszukuje kieszenie zmarłego, szuka listów, adresu rodziców, do których mógłby napisać. Nagle noga załamuje się pod nim. Bezwładnie pada na ziemię.

Gabriel próbuje zdjąć but, ale nie ma siły. Zastanawia się, czy straci tylko stopę, czy też całą nogę. W bucie jest bardzo mokro.

Dookoła panuje martwa cisza. Bitwa musiała przenieść się gdzieś indziej. Ciekawe, kto wygrywa, albo może już wygrał? Nieważne. To już go nie dotyczy. Pomiędzy zwieszającymi się nad nim gałęziami, tam, gdzie w nocy lśniły gwiazdy, pojawił się najczystszy błękit nieba. Jest już dzień.

Miriam na pewno nie zechce kaleki. A zresztą, czy kiedykolwiek naprawdę go chciała? Woli tamtego. Co on takiego posiada? Pewnie czar, którego brak Gabrielowi.

„Tam i z powrotem, w górę i w dół, tak toczy się całe moje życie. Kocham, choć nie chcę kochać. Walczę, choć nie chcę walczyć. A jednak znalazłem się na wojnie. Jednak kocham. Bitwy tworzą historię. Hu ludzi brało udział w tej bitwie, ilu było rannych, zabitych? Kiedyś o tym napiszą. Lecz liczby i słowa nie są ważne. Napiszą o tym, ale to nie odda prawdy. Jeśli przeżyję tę wojnę i kiedyś spytają mnie, jaka ona była, nie zdołam opowiedzieć.”

Gabriel słyszy cichy szum pomiędzy drzewami. Z początku przypomina mu to tęskny śpiew morza, po chwili jednak orientuje się, że to jęki rannych.

On sam leży cicho. Nawet nie czuje bólu stopy. Powoli traci przytomność.

Gdy otwiera oczy, widzi, że skrawek nieba nad głową zmienił barwę. Jest teraz szary. Nadszedł kolejny wieczór. Ktoś zdjął mu but.

- Zapewne straci stopę - mówi obcy głos.

- Może nie będzie tak źle.

- Uważaj z tą świecą. Jedna iskra i znowu wszystko stanie w płomieniach.

„Ci ludzie mają niebieskie mundury! Mundury Federacji - myśli obojętnie

Gabriel. - Jestem więźniem.”

Podniesiono go i umieszczono na wozie. Wzdłuż drogi musiały stać ich setki. To wozy amunicyjne zamienione na ambulanse. Nie miały resorów. Gdy zaczęły zjeżdżać w dół, wnętrzości ogarnął rozdzierający ból. Chciał spytać, dokąd jadą, ale kosztowałoby to zbyt wiele wysiłku. Zresztą i tak pewnie by nie odpowiedzieli. Spostrzegł tylko, że jadą na wschód, prawdopodobnie do Fredericksburga.

- Mieliliśmy szczęście, że znalazło się dla nas miejsce - powiedział ktoś w głębi wozu. - Muszą tu być tysiące ludzi. Będą leżeli przez kilka dni, aż znajdą się nowe ambulanse.

Jak daleko jest do Fredericksburga?

Jeden z rannych zmarł i wóz zatrzymał się, by wyładować ciało. Na poboczu leżało coś ciemnego, tajemniczego, wypukłego jak wieloryb. Skąd tutaj wieloryb? Gabriel widział wieloryba tylko raz, podczas wakacji w Pass Christian. Pamiętał dobrze tamto lato, błękitną wodę i Cat Island. Przypomnił sobie pływanie, łowienie ryb i wieczory, przesiedziane na oplecionej powojem werandzie przy dźwiękach płynącej z plaży muzyki.

Ponownie zerknął na wieloryba. Ależ to nie wieloryb! Widać wyciągnięte sztywno nogi, które wystają na drogę i prawie dotykają kół wozu. To koń! Wokół łba latają olbrzymie muchy. Nagle nogi poruszyły się i potężnym szarpnięciem koń przewrócił się na drugi bok, rżąc przy tym boleśnie.

- Na litość boską! - krzyczy Gabriel. - Zastrzelcie go! Zastrzelcie go!

- Kogo? - pyta jankeski sierżant i wybucha śmiechem. Ma duże, spróchniałe zęby. - Nie wolno zabijać jeńców, wiesz o tym.

Gabrielowi trudno mówić. Wskazuje palcem.

- Aha, chodzi ci o konia - mówi sierżant. Gabriel kiwa głową.

- Weź strzelbę - wyrzeźił wreszcie.

- Czy nie wiesz, ilu ludzi zginęło? A ty martwisz się o konia!

„Bokoń - myśli Gabriel - Konnie wie, dlaczego tak się dzieje. Polaris na pewno zastanawia się, gdzie jestem. Potrzebuje kogoś, kto się nią zajmie, żeby nie zdechła w rowie jak ten koń.”

We Fredericksburgu umieścili go w budynku publicznym, czymś w rodzaju magazynu albo hali fabrycznej. Dach był dziurawy i deszcz padał na głowę. Dostawał suchary i wodę. Wody było zawsze za mało. Nie miał pojęcia, jak długo tu leżał.

- Prawdopodobnie amputacja nie będzie konieczna - powiedział mu starszy mężczyzna o podpuchniętych oczach. „Podobnie jak po naszej stronie mają za mało lekarzy. A gdyby wszedł tu teraz Dawid?” - Nie straci jej pan. Oczyszczałem ranę. Proszę starać się utrzymać ją w czystości.

Po kilku dniach jest znowu na wozie, w drodze na północ. Zatrzymują się niedaleko rzeki. W porcie czeka parowiec. Unosi go ze świata chaosu, dymu, krwi i ataków o świcie w świat martwej ciszy i pozornego pokoju. Gdy ruszyli w dół rzeki, poczuł ulgę, ale też wyrzuty sumienia - oto znalazł się na

terytorium wroga, z dala od bitew, podczas gdy inni muszą walczyć, póki nie...

- Zemdlął pan - mówi ktoś - ale już wszystko w porządku.

Gabriel czuje na policzku muśnięcie czegoś miękkiego, zapach sosnowych igieł. Położyli go pod drzewem.

- Gdzie jesteśmy?

Mężczyzna podchodzi do niego i Gabriel widzi całą postać: szeroką pierś, brodatą twarz i znaki korpusu medycznego. Przez chwilę ze względu na lekki niemiecki akcent lekarza Gabriel myśli o Dawidzie. Czemu nie? Zdarzały się już dziwniejsze rzeczy. Nie jest to jednak twarz Dawida. Pochyla się nad nim okrągłe, rumiane oblicze, porośnięte potarganą brodą. W armii Północy jest tak wielu Niemców. I Irlandczyków. Zabawne. A po stronie Południa walczyli indiańscy i murzyńscy mieszańcy, i Szkoci z Północnej Karoliny. Wszystko to takie dziwne. Znów traci przytomność.

Głowę ułożono mu w cieniu, nogi są na słońcu. Drobne rzeczy, za które czuje wdzięczność. Odrobina cienia. Jest tak jasno, że nawet trawa wydaje się biała. Wokół rzędy noszy, sięgające aż do masztu, z którego zwisają Gwiazdy i Pasy. Podmuchy wiatru na moment unoszą flagę, po chwili jednak opada ona bezwładnie.

Ktoś podchodzi i ogląda jego stopę, która tymczasem zaczęła krwawić. Gabriel przygryza wargę. „Nie krzyknie, nie, do diabła, nie tutaj!”

- Tak, teraz lepiej. Czy może pan wstać i trochę pokuśtykać? - pyta nowy głos, bez niemieckiego akcentu.

- Jak daleko?

- Tylko kilka kroków, do pociągu - mówi mężczyzna, starając się być miłym. - Tylko do pociągu.

- Sądziłem... Czy to Waszyngton?

- Tak, ale nie zostanie tu pan długo. A już miał pan nadzieję? - powiedział mężczyzna z rozbawieniem. - Pojedzie pan do Elmiry, do więzienia, razem z całą tą bandą.

Pociąg błyszczy w słońcu jak wąż wygrzewający się na kamieniu. Lokomotywa to jego głowa. Z gardła wydobywa mu się niecierpliwy syk.

Wzdłuż pociągu stoją żołnierze z bronią i bagnetami. „Wielkie nieba, czyżby myśleli, że uciekniemy? Nawet ci, którzy nie są ranni, nie mają szans. Dokąd moglibyśmy pójść?” Bez słowa długi sznur rannych i jeńców wsiada do pociągu.

- Tutaj, proszę. Pomogę panu.

- Elmira - mówi ktoś. - Miałem tam kuzyna. Pochodził z Alabamy, krewny mojej matki. Zmarł ostatniej zimy.

- Pewnie zamarzył na śmierć.

- Tam spada tyle śniegu, że sięga do pasa.

- Cholera! Nie wziąłem zimowego płaszcza!

To ten sam dowcipniś, Gabriel rozpoznaje go po głosie, zapamiętał go jeszcze z tamtej pierwszej nocy we Fredericksburgu. Ma nie więcej niż siedemnaście lat, mówi wysokim, dziewczęcym głosem. Najprawdopodobniej żartuje, żeby się nie rozplakać.

- Zima? Jest dopiero maj! Nie myślicie chyba, że zostaniemy tam do zimy? Nikt nie odpowiedział.





## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY.

Tam, gdzie kiedyś rosły bujne, wysokie, soczyste trawy, czerwona ziemia Georgii była naga, twarda niczym cegła i rozpalona od słońca. Wewnątrz ogrodzenia ani jedno drzewo nie rzucało cienia, w którym można by się skryć, nie płynął też żaden dający ochłodę strumień. Nie było nawet namiotów, do których mógłby wpełznąć poszukujący ulgi człowiek, jedynie nędzne ich namiastki, własnoręcznie wzniesione niby szałas - podarte koce, rozpięte na czterech rachitycznych patykach.

Pod jednym z takich „dachów” usadowił się Dawid Raphael, zajmując przypadające nań pół metra kwadratowego. Wokół ludzie tłoczyli się i pełzali po sobie niczym skłębione robactwo. Gdyby ktoś spojrzął na nich z góry, ujrzałby jedynie masę ciał.

Kiedy prostował zdrętwiałe nogi, trącał plecy drugiego człowieka. Nie miało to żadnego znaczenia, bowiem sąsiad i tak nic nie czuł. Nie poruszył się przez cały ranek i z pewnością niedługo umrze, może nawet już nie żył. W tym przypadku Dawid miał nadzieję, że szybko go zabiorą. Wózek powinien zjawić się koło południa i gdyby przeoczyli zwłoki, nie zabiorą ich przez cały dzień. O Boże, tylko nie to!

Ktoś poruszył się po lewej stronie, wymamrotał jakieś pytanie.

- Mów głośniej, nic nie słyszę.

- To się odwróć.

- Nie mogę. - Każdy ruch wymagał potwornego wysiłku.

- Mówiłem, to znaczy pytałem, gdzie cię schwytali.

- Pod Wilderness. W bitwie pod Wilderness. W ciemności wpadłem na linię nieprzyjaciela.

- Jak długo tu jesteś?

- Parę miesięcy, tak mi się wydaje. Czy to lipiec?

- Lipiec.

Cisza. Sąsiad znów się poruszył, ciężko i niezdarnie. Głos brzmiał młodo. Dawid westchnął. Nawet rozmowa była ponad jego siły, ale może ten chłopiec potrzebował czyichś słów.

- Nazywam się Dawid Raphael.

- Tim Woods. Artyleria. A ty?

- Lekarz.

- Och! Jestem ranny. W mięsień pod kolanem. Skąd wiadomo, czy się ma gangrenę? Słyszałem...

„O mój Boże, synu, skąd wiadomo! Po smrodzie i bólu wystarczającym, by przebić głową sufit”.

- Nie martw się, na pewno nie masz gangreny. Od razu byś ją zauważył.

- Wiem, że jak na razie rana jest w porządku. Ale czy jej dostanę?

- Raczej nie. Młodość działa na twoją korzyść.

Kłamstwo nic nie zaszkodzi, a może przyniesie choćby chwilową ulgę.

- Pochodzę z długowiecznej rodziny. Dziadek dożył dziewięćdziesięciu ośmiu lat. To chyba dobry znak.

- Najlepszy. Dziedziczność przede wszystkim.

- Niech pan powie, doktorze, jakie mamy szanse?

- Na co? Na wydostanie się stąd? - Tak. Co pan sądzi?

- Cóż, to już niedługo. Wojna musi się wkrótce skończyć.

- Boże, jaki upał! Jak ci ludzie tu żyją?

- Jakoś żyją.

Mieszkają w szałasach pod drzewami, śpiąją w cieniu w hamakach. Albo przechadzają się po przestronnych pokojach, przysiadają na werandach, sącząc chłodne napoje pośród szumu palmowych wachlarzy.

- Pochodzę z New Hampshire. Mamy tam gorące lata, ale tu... - Głos umilkł, po czym nagle powrócił ze zdwojoną siłą: - Noga. Diabło boli.

- Nie gadaj tyle. Lepiej się prześpij, to dodaje sił. Rana szybciej się zagoi.

- Dzięki, doktorze. Spróbuję.

Nagle zerwał się wiatr, gorący niczym powietrze z rozpalonego pieca, w którym na ruszcie obraca się kawał mięsa. Przyniósł z sobą z kąta smrodliwe powietrze. Ktoś tam pewnie zwymiotował, albo znów się zmoczył. Dusząca woń nie przypominała wcale zapachu świeżo nawożonego pola, który, choć trudno go nazwać przyjemnym, jest czymś tak zwyczajnym, iż prawie się go nie dostrzega.

Tutaj wiatr niósł gryzący, mdlący odór, który sprawiał, że zawartość żołądka sama podchodziła do gardła.

Jaka zawartość? Gliniasty chleb, pomyje, nie zidentyfikowany zjełczały tłuszcz, i nawet tego niewiele.

„Głodujemy” - pomyślał Dawid. Przesunął językiem po chwiejących się zębach. Wedle ostatnich obliczeń stracił już trzy. Gdyby miał choć kilka cytryn... Nie było jeszcze za późno, aby ocalić resztę. Przełknął ślinę, wyobrażając sobie soczysty, kwaśny smak cytryn.

- Cholera! - krzyknął jakiś mężczyzna. - Och, mój kochany...

- Zamknij się! Zamknij gębę, ty świrze!

- Och, kochany!

Może to nawet szczęście, stracić tu rozum. Wtedy człowiek nie wiedziałby, gdzie się znajduje. Nie byłoby żadnej przeszłości, żadnych wspomnień.

Jak dotąd umysł Dawida był jasny. Może nawet zbyt klarowny. Martwił się tym, obserwując wesz, wędrującą po ramieniu sąsiada z prawej strony. Kiedy ów człowiek wstał, Dawid zauważył na jego obszarpanej koszuli ciemną plamę potu. Kształtem przypominała rybę: tu płetwy, a tam ogon. Kiedy mężczyzna nachylił się, ryba drgnęła. „Czy to normalne, dostrzegać takie rzeczy? A może to objaw nadchodzącego szaleństwa? Bóg wie, czy za godzinę nie zacznę wariować, widzieć rzeczy, które nie istnieją. A ten nieszczęśnik w szpitalu. Chrześcijański kapłan starał się go nawrócić przed śmiercią. Chciał dobrze, ale nic nie zdziałał. Jeśli umrę, chciałbym, aby modły nad moim ciałem odprawił żydowski kapłan. Bardzo ich tu brakuje. Tyle razy musiałem sam odczytywać modlitwę nad zmarłymi. Chyba umieram. Długo już tak nie wytrzymam. Taki brud, czuję wstręt do samego siebie.”

Ponad cichy pomruk rozmów i jęki wzbiły się czyste, stanowcze głosy. Dochodziły z bliska.

- No cóż, doktor Joseph Jones z naszego wydziału medycznego zaledwie w zeszłym miesiącu poinformował o panujących tu warunkach.

Chłopak z New Hampshire szepnął:

- Inspekcja. Jakby to miało coś pomóc.

Z ogromnym wysiłkiem Dawid uniósł głowę o kilka centymetrów. Dwóch oficerów w szarych mundurach i mężczyzna, blondyn w cywilnym ubraniu. Elegancki czarny surdut z porządnego materiału. A zatem ludzie nadal tak się ubierali, nadal byli czysti. Cywil zainteresował się, ile osób pomieszczono w obozie.

- Około trzydziestu tysięcy - odparł starszy z oficerów.

- Przejeżdżałem tędy w interesach... chciałem zobaczyć, jak to wygląda... Straszne... Żałuję, że tu przyjechałem. - Głos, unoszony wiatrem, zdradzał poruszenie.

- Cóż, obóz jeniecki to niezbyt przyjemne miejsce, zgadzam się z panem. Człowiek w eleganckim stroju powtórzył własne słowa:

- Tak, żałuję, że to widziałem.

Południowy akcent. Dawidowi zdawało się, że pamięta ten głos sprzed wielu lat. „Ta lekkość i melodyjność. „Sylvain? Nie, zabiłeś go przecież. Pamiętasz?” Mężczyźni nadal stali w przejściu.

- Ten upał jest zabójczy - stwierdził człowiek, który nie był Sylvainem.

- Z drugiej jednak strony - odparł oficer - nasi ludzie zamarzają w ich więzieniach, w otwartych wagonach pośród śniegu, ubrani jedynie w bawełniane mundury, dobre w Nowym Orleanie.

„Nowy Orlean. Jeśli to nie Sylvain, to kto inny? Ktoś, kogo nie lubiłem. Czemu? Tak, wiem. Tańczył u kogoś. Gdzie to było? Był tam też Gabriel i moja siostra. Zawsze myślałem, że Gabriel podkochuje się w niej, może nawet jest to coś poważniejszego. Pewnie Miriam już nie żyje, a my wszyscy wkrótce pójdziemy w jej ślady. Ale kim był ten człowiek? Gdzie go widziałem?”

Wstał z trudem, po czym zachwiał się i oparł o prowizoryczny daszek, zrzucając koc wprost na zranioną nogę chłopca z New Hampshire. Na jego krzyk wszyscy trzej mężczyźni obrócili się w stronę Dawida.

„Spójrzcie na mnie - pragnął zawołać. - Nie zwariowałem, choć wiem, że krwawią mi dziąsła. Jestem brudny, obrzydliwy, ale popatrzcie na mnie.”

Zamiast tego usłyszał własny krzyk:

- Raphael, Dawid Raphael!

Na wesołej, jasnej twarzy cywila dostrzegł zdumienie. Mężczyzna postąpił krok naprzód, otworzył usta, aby coś powiedzieć - lecz nagle odciągnięto go w tył.

- Nie wolno - oznajmił oficer. - Przykro mi, ale to absolutnie zabronione. Cała trójka oddaliła się pospiesznie.

A Dawid rozplakał się, wykrzykując raz po raz:

- Dawid, Dawid Raphael! Znasz mnie. Kennst du mich nicht? Kennst... Zdawał sobie sprawę, że bredzi.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY.

Ferdinand koniecznie chciał jechać razem z Miriam.

- Do sklepu jest jednaście mil - mówił. - Chociaż i tak wątpię, żeby mieli jakiś towar.

Odpowiedziała stanowczo:

- Skoro nic nie mamy, przyda się nam wszystko. Na przykład nici. Przy odrobinie szczęścia może dostaniemy jakieś materiały, nie mamy ani jednego bandaża. Ani chininy. A wydaje mi się, że biedna Fanny ma gorączkę.

- Nie dostaniesz chininy - skrzywiła się Emma. - Jest na wagę złota. Miriam nie przyznała się, że ciągle jeszcze ma kilka złotych monet zaszytych w sukni. Powiedziała tylko:

- Spróbujemy. Pospiesz się, papo, jeśli chcesz jechać.

Przemieszczające się armie porobiły na drodze głębokie koleiny i koń musiał iść zygzakiem. Jego kopyta grzęzły w jesiennym błocie. Leżącego na poboczu padłego muła pokrywało stadko drapieżnych ptaków, łapczywie szarpiących mięso. W opustoszałej okolicy nie było śladu żadnych innych istot. Na polach rosły chwasty. Stratowana kukurydza gniła w błocie. Tylko gdzieś tam stały pojedyncze domy, które miały tyle szczęścia co Beau Jardin i nie zostały zburzone.

Ojciec i córka w milczeniu patrzyli na te zniszczenia. Najmniejszy odgłos, nawet najcichszy szept, wydałby się zbyt głośny. Jak głos rozlegający się w pustym domu przerażającym echem, tak w tej szarej, pustej krainie zabrzmiałaby nawet najcichsza rozmowa. Miriam spojrzała na pistolet Ferdinanda, leżący pomiędzy nimi na siedzeniu. Była przeciwna używaniu broni, ale prawdopodobnie Ferdinand miał rację, zabierając go ze sobą.

- Chyba to już niedaleko - powiedział wreszcie.

- Około mili za wzgórzem, przy skrzyżowaniu traktów. Pamiętam, że niegdyś sklep był bardzo dobrze zaopatrzony.

Palcami wyczuwała wypukłość sześciu złotych monet zaszytych w talii.

- Wygląda na to, że nikogo nie ma - zauważył Ferdinand.

U stóp zbocza stał mały budynek, wzniesiony z niemalowanych bali. Obok niego, na podwórzu, było kilka szop. Koń, pokonawszy szczyt wzgórza, przeszedł w lekki kłus i powóz zjechał z pagórka wprost przed sklep. Panowała martwa cisza, zupełnie jakby ktoś nakrył całą okolicę dźwiękoszczelną kopułą. Nikogo nie było widać. Drzwi stały otworem.

Ferdinand krzyknął:

- Czy jest tu ktoś?

Na podłodze wirowały drobiny szarego kurzu. Wszystkie półki i lady były zupełnie puste. Ani jednego pudełka, kawałka sznurka czy skrawka papieru, jakby nigdy nic tu nie leżało.

- Wyjechał - powiedziała ponuro Miriam. - Zrezygnował i wyjechał albo zaciągnął się do wojska.

Nagle z podwórza dobiegły jakieś piski i gdakanie. Zaalarmowani rozejrzeli się nerwowo i zobaczyli młodego psa goniącego wynędzniałą kurę, która trzepocząc i podskakując, w ostatniej chwili schroniła się na wysokiej grzędzie.

- Ktoś tu powinien być - stwierdził Ferdinand.

Zza rogu szopy zbliżał się ku nim szczupły, wynędzniały jak kura człowiek w nieokreślonym wieku. Zdejmując przed Miriam czapkę, odezwał się z wyraźnym szkockim akcentem.

- Czy czegoś potrzebujecie?

- Potrzebujemy wszystkiego - odpowiedziała Miriam smutnym głosem.

- Zabrali mi cały dobytek. I tak nie miałem wiele. I to wcale nie żołnierze Unii. Biała biedota. Kobiety. Nigdy nie myślałem, że kobiety, za przeproszeniem szanownej pani, mogą być tak bezwzględne. Teraz noszą strzelby.

Zapadnięte oczy wyglądały jak dwie dziury w ponurej, nie ogolonej twarzy. Widać było, że jeszcze z nikim nie rozmawiał o swoim nieszczęściu i musiał się przed kimś wyżalić.

Słuchali go ze współczuciem.

- Opowiadali niestworzone historie. Że ukryłem gdzieś towar czekając na zwyżkę cen! Wy też pewnie tak myślicie!

- Nie - odpowiedziała Miriam. I z cichą nadzieją, że ten żaloszny człowieczek ma jednak gdzieś schowane zapasy, dodała: - Choć mamy złoto.

- A jednak wy też! Też tak myślicie! A ja nic nie mam! Nic! Wszyscy wiedzą, że Południe nic nie produkowało, wszystko sprowadzano z Północy. Skąd więc mam mieć tkaniny, nici czy lekarstwa? Jak mam je zdobyć na tym pustkowiu? Szczęście, że mnie nie zabili, albo nie spalili domu.

- Oczywiście, oczywiście - przytaknął Ferdinand.

- Przyjechaliśmy z Północnej Karoliny. Jestem Szkotem, ale moja żona urodziła się w Ameryce. Cierpiała na reumatyzm i zimy były dla niej zbyt ciężkie, więc przeprowadziliśmy się tutaj. Zachorowała na febrę i zmarła w

zeszłym roku. I tak tutaj tkwię... - głos mu się załamał. Wyciągnął ręce do szarego, obojętnego nieba. - Biedota z Południa! Biedota z Północy! A cóż to za różnica? Napadają na mnie, chociaż nigdy nie miałem żadnego niewolnika! Zawsze potrafiłem sam zadbać o nas dwoje!

Najdelikatniej jak umieli zawrócili powóz i ścigani głosem mężczyzny odjechali. Jeszcze w połowie drogi na szczyt pagórka dobiegały ich słowa:

- Zabrali mi wszystko! Wszystko!

Teraz, po tych przejściach, w powrotnej drodze do domu panujący wokół spokój zdawał się nieść z sobą jakąś nieokreśloną groźbę. Zmęczony koń powoli ciągnął powóz. Ferdinand przełożył lejce do jednej ręki, trzymając drugą na pistolecie leżącym na siedzeniu.

Raz spojrzął na Miriam i odezwał się w przypiływie dobrego humoru:

- Dużo upłynęło wody od czasu, kiedy ostatni raz trzymałem w rękach lejce. Przypominają mi się stare czasy, tylko że wtedy mój wóz był pełen towarów, a ja nie obawiałem się niczego.

Miriam nie odpowiedziała. Jej bystre oczy czujnie obserwowały wszystkie rosnące przy drodze drzewa.

Na końcu długiej alei obsadzonej kasztanami widniało spalone domostwo. Jego kominy z tej odległości wyglądały jak para wychudzonych olbrzymów, groźnych zjaw pośród dzikiej przyrody.

- Posiadłość Johnsona Hicksa - stwierdził Ferdinand.

- Tamtego ranka uciekali koło naszego domu. Zastanawiam się, dokąd pojechali.

- Nie wiadomo.

Cisza zgęstniała jak mgła. Droga zmieniła się na piaszczystą i końskie kopyta zaczęły grzęznąć w miękkim gruncie. Znowu otuleni ciszą, jechali ostrożnie, w nieświadomym napięciu nachylając się ku koniowi, jakby pragnąc popędzić go, żeby jak najszybciej dotrzeć do domu.

Nagle z krzaków, niespodziewanie, niczym ciśnięty mocarną ręką kamień, wypadła kobieta. Koń zarżał głośno i szarpnął się w panice, jakby zobaczył węża, ale kobieta złapała za wodze.

I wycelowała strzelbę w kierunku Miriam i Ferdinanda. Ferdinand wstał ze swojego siedzenia.

- Czego, do diabła, chcesz? - krzyknął.

- A jak myślisz? Pewnie, że pieniędzy.



Ferdinand po omacku szukał pistoletu. Nigdy w życiu nie strzelał, Miriam także nie, nie mieli więc szans obrony. Miriam odepchnęła broń z zasięgu jego ręki.

Ferdinand, jak gdyby nie traktował poważnie pogroźki, bełkotał w podnieceniu:

- Hołota! Łobuzeria! Porządni obywatele nie mogą w spokoju podróżować...

- Papo! Nie! - powiedziała ostrzegawczo Miriam. Zniżyła głos. - Nie mamy pieniędzy. Też byśmy chcieli mieć ich trochę.

Kobieta zbliżyła się. Strzelba stanowiła przedłużenie jej wychudzonego ramienia. Razem z nim uniosła się i lekko drżała. Miriam czuła, jak mocno bije jej serce.

- Byłabym wdzięczna, gdyby pani wycelowała to gdzieś na bok. Jeśli nas pani zabije, z pewnością nic pani na tym nie zyska.

- Byliście w sklepie. Musicie mieć pieniądze.

- Mijaliśmy go tylko. Był całkiem pusty, zupełnie jak nasz dom.

Spod spiczastego czepka wyglądała młoda twarz, zapadnięta i bezzębna. W błękitnych oczach płonęło szaleństwo.

- Znam cię - powiedziała Miriam, rozpoznając napastniczkę. - Przychodziłaś do nas po żywność, zanim jeszcze zaczęła się wojna i kiedy żył mój mąż. Zawsze ją dostawałaś.

- A dlaczego nie? Mielicie więcej niż potrzebowaliście.

- To prawda. Ale teraz już nie mamy. Pomiedzy dwoma armiami musimy obywać się bez niczego.

- Czas najwyższy. Wy i wasze czarnuchy, przez których ludzie nie mogli dostać pracy. Twoje piękne dzieci, które nigdy nie zaznały głodu.

Miriam pomyślała nagle, spoglądając na tę kobietę, prawdopodobnie niewiele od niej starszą: „Jak musiałam kiedyś wyglądać w oczach tej nędzarki? Pyszna dama w powozie z woźnicą, z parasolką w ręku.”

- Może i nadszedł czas - odparła. - Ale moja śmierć nic nie da twoim dzieciom. Kobieta opuściła strzelbę. Pewnie gdzieś niedaleko, pośród bagien, wynędzniałe i obszarpane dzieci ukrywają się z ojcem przed wojskiem. Podejrzliwe, szalone oczy przyglądały się pustemu powozowi.

- A gdybyśmy tak podpalili twój dom? Może to wydusiłoby z was, gdzie co chowacie?

„Żeby tylko nie znalazła ukrytych monet - pomyślała Miriam. - Muszę je zachować. Bez nich będę kompletnie bezradna na tym świecie.

- Posłuchaj - powiedziała. - Czy myślisz, że zależy mi na tym, żeby twoje dzieci głodowały? Jestem kobietą, matką. Jeśli potrzebujesz ziemniaków i mąki, przyjdź do mnie, dam ci trochę. - Przyływ odwagi wzmocnił jej głos. - Ale ostrzegam cię, jeśli przyjdiesz, żeby coś ukraść albo podpalić, doniosę władzom Konfederacji o twoim mężu i jego przyjaciółach. A jeśli przyślesz w takim celu swojego męża, zastrzelę go. Zrozumiałaś?

- Przyjdę dziś wieczorem. Ale bez sztuczek. Jeśli nie wrócę bezpiecznie, mój mąż... przyjdą inni i ci odpłacą.

- Wrócisz bezpieczna. Z żywnością. Przyjdź wieczorem.

Kobieta odsunęła się i weszła w krzaki, które zamknęły się za nią bez śladu. Ferdinand popędził konie tak, że ruszyły galopem.

- Nie, papo. Zwolnij. Nie okazuj po sobie strachu, to najgorsze, co możesz zrobić. Ale kiedy minęli krzaki, odwaga opuściła Miriam. Poczowała dreszcze.

W domu oczekiwano ich niecierpliwie.

- Nic nie przywieźliśmy. Sklepikarz nic nie miał.

- Z pewnością coś musiał mieć! - odparła rozczarowana Eulalia. - Prawdopodobnie zaoferowałaś mu zbyt mało. Tacy jak on zawsze coś ukrywają!

Miriam nie wytrzymała i krzyknęła:

- Kto tak robi? O jakich ludziach myślisz?

- Zostawmy ten temat - odpowiedziała Eulalia, cedząc każde słowo. Miriam wyszła za nią do holu i złapała za łokieć.

- Myślę, że właśnie musimy. Tu i teraz. Doskonale wiem, co miałaś namyśli. Oczywiście chodzi ci o Żydów.

- Jeśli nawet, to nie ja jedna tak myślę.

Miriam wstrzymała oddech, w ustach poczuła smak krwi.

- Dla twojej informacji, sklepikarz jest Szkotem. A teraz posłuchaj. Nie ma sensu dalej tego ciągnąć. Obie jesteśmy tutaj i nie mamy dokąd pójść. Mam na utrzymaniu syna i córkę, nie mówiąc o moim ojcu i twojej matce. - I gdy Eulalia otworzyła ze zdumienia usta, Miriam kontynuowała: - Zgadzasz się chyba ze mną? Fakty są faktami i z pewnością nadszedł czas, żeby prawdzie spojrzeć w oczy. Jak wiesz, mamy mnóstwo do zrobienia, i będzie lepiej dla nas wszystkich, jeśli utrzymamy nerwy na wodzy. Nie lubię ciebie, a ty nie lubisz mnie. Nienawidzisz Żydów i byłaś zszokowana tym, co nazywasz moim grzechem.

- Na miłość boską - przerwała im płaczliwie Emma, stając we drzwiach. - To straszne, wszystko się rozpada! Nie wiem, co powiedziałaś, Eulalio, ale to jest wstrętne. Wszystko jest wstrętne. Próbowałam, Bóg mi świadkiem,

staralam się znieść te kolejne ciosy. Ale czy to się nigdy nie skończy? Czy nie możemy wreszcie spróbować żyć w zgodzie? Nigdy nie myślałam, że dożyję takich czasów.

Biedna Emma! Dla niej było już zbyt późno. Była za stara. Jej najlepsze lata upłynęły w słonecznym, beztroskim ogrodzie.

- Wszystko w porządku, ciociu Emmo - powiedziała Miriam i wzruszyła ramionami. - Tak tylko rozmawiamy. Wszyscy jesteśmy przemęczeni. To był koszmary dzień. Ale wszystko jest w porządku. Teraz przepraszam was, muszę pójść na chwilę do stajni. Chcę porozmawiać z Simeonem.

Kiedy wróciła, Eulalia siedziała w jadalni i długimi nożycami cięła kilim. Pelagia była zszokowana.

- Francuski kilim Eugene'a pocięty na koce! Co ty na to?

- Eulalia ma rację - powiedziała cicho Miriam. - Noce są bardzo zimne, a my nie mamy koców.

Wychodziła już z pokoju, kiedy odezwała się Eulalia. Nie patrzyła na Miriam.

- Mówiłaś, że twoja służąca, Fanny, źle się czuje. Mam jeszcze nalewkę na korzeniach czarnych jagód. Powinna jej pomóc.

- To bardzo miło z twojej strony, Eulalio, dziękuję ci.

- Eulalio! - krzyknęła Emma. - Czy oddałaś Miriam list?

- Zapomniałam. Mam go tutaj. - Eulalia wyjęła z kieszeni kopertę.

- Przywiózł go rano jakiś człowiek, ale ciebie nie było - powiedziała Emma. - Mam nadzieję, że nie są to złe wieści.

Dwie sztywne karty drżały w rękach Miriam.

- To od André, od pana Perrina... - Umilkła zaskoczona po przeczytaniu pierwszych linijek.

„Droga Miriam!

Nie chciałem Cię przestraszyć, ale muszę Ci to napisać. Twój brat jest w obozie jenieckim w Georgii. W strasznych warunkach. Dziwnym zrządzeniem losu dostrzegłem go pośród tysięcy innych więźniów."

- Zawołajcie papę! Papo, gdzie jesteś? Słuchaj! On pisze, że Dawid jest ciężko chory... Bardzo ciężko!

Dalej już czytała na głos:

„Mam jednak nadzieję, że kiedy będziesz czytać ten list, Dawid odesłany już zostanie na Północ, na zasadzie wymiany jeńców. Trudno było to załatwić, ale obiecano mi..."

- Papo! Wyobraź sobie! André, pan Perrin, prawdopodobnie załatwi Dawidowi przeniesienie do szpitala w Waszyngtonie. Niech Bóg mu błogosławi!

Ferdinand jakby jej nie słyszał. Jego blada twarz lekko pozieleniała. Gwałtownie przełknął ślinę, jakby w gardle utkwił mu kawał jedzenia.

- Był w Georgii, w straszliwym obozie jenieckim w Georgii. Powróciła do listu. Tę część czytała po cichu.

„Wyjeżdżam na krótko z kraju w prywatnych sprawach (czyżby chodziło o rozwód?). Wolałbym raczej nie mówić teraz, o co chodzi, ale kiedy wrócę i zdradzę Ci tajemnicę, na Twojej twarzy z pewnością zagości uśmiech! Jest taki wspaniały! Lecz przez te wszystkie kłopoty ostatnio pojawiał się zbyt rzadko. Znowu będziemy tańczyć, będziesz się śmiać, a ja będę Cię kochał...”

- Jaką ulgą i nadzieją napawały słowa tego listu. Czytała dalej:

Moi przyjaciele, Douglasowie Hammondowie z Richmondu, pomogą Ci i będą mieć aktualne informacje o Twoim bracie". Odłożyła list.

- Papo, muszę jechać! Muszę tam być!

- To niemożliwe! To niebezpieczne. Taka podróż może trwać tygodniami, może nawet miesiąc.

- Nie dbam o to! Jadę do Richmondu. A stamtąd do Waszyngtonu, jeśli Dawid rzeczywiście tam wrócił. Nie wiem, jak się tam dostanę, ale zrobię to. Bóg jeden wie, co się z nim dzieje!

- Mamo, nie! - błagała Angélique. Jej twarz pobiadła ze strachu.

- Obawiasz się, że i mnie może spotkać coś złego? - spytała Miriam. - Będę bardzo ostrożna, obiecuję.

- Nie możesz tego obiecać - wtrącił się Eugène. - Jak chcesz uważać na zabłąkane kule, lecące nie wiadomo skąd, albo...

- Wiem, wiem. Ale powiedz mi, Eugène, gdyby tak Angélique była chora i samotna, nie chciałbyś do niej jechać? A ona do ciebie? Tak samo jest w tym wypadku. Dawid i ja... - Głos Miriam załamał się.

Stali przed nią, poważni i przestraszeni, na tyle jeszcze młodzi, by potrzebować obecności matki. A gdzieś tam daleko był Dawid, jeśli jeszcze żył.

- Opiekował się mną od urodzenia. Widział śmierć naszej matki. Wiecznie przemoc i wojny! Zrozumcie, że muszę jechać.

Ferdinand chrząknął. Eugène położył rękę na ramieniu Angélique, dając do zrozumienia matce, że może na nim polegać. Wyrósł ze swojego ubrania i

zbyt długie ręce wystawały mu z rękawów. Miał wielkie, pokryte odciskami dłonie i nadal dziecięce nadgarstki. Chciało jej się płakać na ten widok.

W pokoju panowała głęboka cisza. Mimo że zniszczony, zimny i niewygodny, nadal jednak był to ich dom. Gdziekolwiek znajdą się jej dzieci, zawsze to będzie ich dom. Nie chciała ich opuszczać, nie chciała udawać się w długą, męczącą podróż. Jednocześnie jednak zdawała sobie sprawę, że nikt i nic jej nie powstrzyma.

Wreszcie Rosa przerwała milczenie.

- Czy spróbujesz przy okazji dowiedzieć się czegoś o moim Henrym i Gabrielu?

- I o moich chłopcach - dodała Pelagia.

- Jak damy sobie radę podczas twojej nieobecności? - zastanawiała się Emma.

- Poradzicie sobie beze mnie. Potraficie. Musicie.

Pociąg jechał powoli na północny wschód, prosto w serce zimy. Mijając rozpadające się nasypy i zdezelowane mosty, połykał siedem, osiem mil z każdą godziną podróży. Czasami zatrzymywał się i stał chłostany gwałtownym, lodowatym deszczem. Miriam, oczyma zaczerwienionymi od pyłu wpadającego przez potłuczone okna, obserwowała życie wsi: przeładowane wozy, muły ubrudzone błotem aż po grzbiet i bydło poganiane tak szybko, jak tylko mogło iść; rodzina farmerów siedząca na stosie zniszczonych mebli, dźwigająca niemowlę matka i mała córeczka, trzymająca wynędzniałego kota.

„Kobiety, same kobiety - pomyślała. - Ile będzie wdów, jak skończy się wojna?”

Rozglądała się, mamrocząc na głos:

- Szybciej byłoby na piechotę. - I broniąc się przed przejmującym chłodem, mocniej otulała się szalem.

Dwoje starszych ludzi wiodło ze sobą rozmowę:

- Proszę spojrzeć na te zagłodzone krowy! I czym tu karmić wojsko? Słyszałem, że wiele oddziałów dostaje tylko jedną porcję chleba dziennie.

Kobieta, ubrana we wdowi czepek, po raz dziesiąty cmoknęła z deza-  
probata.

- Słyszałem - kontynuował staruszek - że dowództwo w Richmondzie chce przetopić część lokomotyw na armaty.

Kobieta przestała cmokać, widocznie zbyt zniechęcona jego ponurymi wizjami. Nachyliła się w stronę Miriam:

- Czy pani jedzie do Richmondu? - I kiedy Miriam przytaknęła, dodała: - Słyszałam, że miasto jest zatłoczone. Wszyscy szukają tam schronienia. Nawet najgorszy, najbrudniejszy pokój kosztuje tyle, co nocleg w pałacu.

- Zatrzymam się u przyjaciół, a raczej u przyjaciół moich przyjaciół.

- Ma pani szczęście. Tam dzieją się straszne rzeczy. Kuzynka pisała mi, że ludzie sprzedają wszystkie swoje kosztowności, nawet ślubne obrączki. Wymieniają je wprost na ulicy na ryż lub brukiew. Kuzynka twierdzi, że jeśli uda się dostać jajka, kosztują pięć dolarów za tuzin, a masło dziesięć dolarów za kilogram. Nam na farmie powodzi się nie najgorzej. Hoduje trochę kur, więc mamy jajka. Kuzynka powiada, że chinina kosztuje sto pięćdziesiąt dolarów za uncję. Jej dziecko umarło z braku chininy. Kara za grzechy, tak o tym myślę. Kara za grzechy.

Miriam zgodziła się z nią i odwróciła głowę w stronę okna, przymykając oczy. Udawała, że chce spać. Nawet smutny pejzaż, z nagimi drzewami wyciągającymi bezlistne gałęzie w stronę ołowianego nieba, smaganymi ulewnym deszczem, nie był tak ponury jak rozmowa w wagonie.

Pociąg pełznął na północ.

- Musiałaś przemarznąć, moje biedactwo - powiedziała pani Hammond. - To najchłodniejsza zima w naszej historii.

W pokoju gościnnym płonął wielki ogień. Miriam usiadła na łóżku w stylu królowej Anny i zaczęła rozgrzewać sine z zimna ręce.

Pomimo wspaniałej gościnności, której jej udzielili gospodarze, czuła się skrepowana i zakłopotana. Jej suknia podróżna była w oplakany stan, poplamiona i wymięta w pociągu. Kiedyś nie dałaby takiej nawet służącej. Wspominała stopy odzieży, odkładanej dla służby w domu jej ojca, a później w jej własnym. Wspominała domy, w których w każdym pokoju płonął ogień na kominku, na stołach pyszniły się wyczyszczone srebra, a złote adamaszkowe zasłony wdzięcznymi falbanami okrywały okna.

Jej myśli powędrowały jeszcze dalej w przeszłość, aż do ubogiego domostwa, w którym spędziła dzieciństwo.

Z trudem powróciła do rzeczywistości.

- Cóż za piękny dom, pani Hammond! Jakże to miło z pani strony, że zechciała mnie pani przyjąć.

- To prawdziwa przyjemność móc gościć panią. Pan Perrin wiele nam opowiadał o pani uroku i teraz widzę, że nic nie przesadził.

- Obawiam się, że dziś wieczór nie będę zbyt czarująca. Mam wrażenie, że wyglądam raczej kiepsko.

- Ależ nic podobnego! Ma pani za sobą męczącą podróż. Jestem pewna, że chętnie weźmie pani gorącą kąpiel.

- Och, to by było cudowne. - Miriam zawahała się. - Czy państwo przebieracie się do kolacji?

Głupie pytanie! W takich domach zawsze wszyscy przebierają się do kolacji.

- Tak, bo dzisiejszy wieczór ma szczególny charakter. Obchodzimy urodziny mojego męża. Spodziewamy się nieco przyjaciół - westchnęła pani Hammond. -Niewielka grupka, zaledwie kilku mężczyzn. No, moja droga, nie krępuj się. Doskonale rozumiem, że nie zabrałaś w podróż wieczorowych toalet. Czy mogę ci jakąś służyć?

- Niestety, chyba będę zmuszona o to poprosić.

- Ależ oczywiście. Nosimy suknie tego samego rozmiaru. Przyślę moją pokojówkę Lettie z ubraniami. Pozwól, że spojrzę na twoje nogi. Tak, pantofelki także. Jeśli nawet okażą się nieco za duże, z pewnością sobie poradzisz i nikt niczego nie zauważy.

Miriam usadowiła się wygodnie w głębokim fotelu. Najchętniej zapadłaby w długą, spokojną drzemkę. Pokój był ciepły i cichy. Odblaski ognia igrały na mosiężnych okuciach i w srebrnych ramach fotografii stojących na mahoniowej komodzie. Na oknach wisiały czerwono-białe zasłony, na których wizerunek drzew, skaczącego jelenia i wieżyczek zamku powtarzał się niezliczoną ilość razy, zamknięty w medaliony otoczone liśćmi winorośli. W poprzek nóg łóżka leżała złożona różowa kołdra, obiecująca rozkoszne ciepło podczas nadchodzącej nocy.

Pomyślała, jak wspaniałe może być komfort, jak cudowne jest ciche, spokojne życie prowadzone z dala od polityki.

Nadal siedziała bez ruchu, zatopiona w kojących marzeniach, kiedy otworzyły się drzwi i weszła pokojówka niosąc gorącą wodę do kąpieli, ciepłe ręczniki, lawendowe mydło i szlafrok.

- Pani Hammond powiedziała, żebym pomogła się pani uczesać - powiedziała, gdy Miriam zażywała kąpieli. - Za chwilę przyniosę ubranie.

Wyraźnie nowa suknia została uszyta we Francji. Miriam pogłaskała butelkowozieloną aksamitną spódnicę i białą, koronkową halkę.

- Nie przypuszczałam, że ktokolwiek nosi jeszcze francuskie suknie. Mocne ręce Lettie szczotkowały włosy Miriam, misternie układając pukle.

- Jak to? Wszystkie panie z towarzystwa sprowadzają suknie z Francji - odpowiedziała to, jakby to była rzecz powszechnie znana.

- Nie spodziewałam się tego. Słyszałam, że w Richmondzie dzieją się okropne rzeczy.

- Niech pani poczeka, zobaczy pani na ulicy. To przerażające. Ludzie głodują. Żeby się ogrzać, spalili własne meble. Najbiedniejsze są żony żołnierzy. Dostały zapomogi, ale pieniądze tracą wartość z dnia na dzień. Nic nie można za nie kupić.

Jak dziwnie było słyszeć czarną służącą, mówiącą z takim współczuciem o białych biedakach! Wszystko stanęło na głowie.

Jadalnia lśniła od świateł. Wielu mężczyzn było w mundurach. Pozostali mieli na sobie stroje wieczorowe, a kobiety włożyły wspaniałe toalety. Wdzięczna za aksamitną suknię, Miriam pomyślała, że nawet w operze nigdy nie widziała tyle diamentowej biżuterii. A może już zapomniała? To było tak dawno.

Miriam nie przywykła do obcego tłumu. Żartobliwie porównała siebie do żony farmera, która pierwszy raz odwiedziła miasto, z zachwytem oglądając budynki, powozy i gromady ludzi spacerujących po ulicach. Zaproszeni goście byli tacy przyjacielscy, starali się okazać jej gościnność, dopytując się o jej rodzinę i wydarzenia w Luizjanie. Wzdłuż długiego stołu widać było twarze młode i stare, okrągłe irlandzkie, dwie lub trzy żydowskie i wielu członków najstarszych rodzin wmieście. Łączyła je jedna cecha: wielkie bogactwo. I to dziwiło Miriam. W tym wysokim pokoju, oświetlonym tuzinami świec, ze stołami uginającymi się od rozmaitych potraw, szampana chłodzonego w kubelkach z lodem, ostryg, ułożonych na półmiskach i nieskazitelnych kryształów, mogło się wydawać, że wojny w ogóle nie ma.

Dzikie kaczki, indyk, puddingi, ciasta i lody - srebrne półmiski pojawiały się i znikwały.

- Mój Boże - westchnęła jedna z dam - cena indyka jest nieprawdopodobna. Trzydzieści dolarów! Niesłychane!

- Indyk! - podjął temat inny biesiadnik. - A co z szampanem? W zeszłym tygodniu zapłaciłem sto pięćdziesiąt dolarów za butelkę. Bóg jeden wie, co będzie w przyszłym tygodniu.

- Chciałbym, żebyście wiedzieli - powiedział gospodarz - że szampan, który dzisiaj pijemy, jest prezentem od naszego przyjaciela. Oczywiście od André. Od hojnego przyjaciela nas wszystkich. I pani, oczywiście - dodał, kłaniając się Miriam.

Miała nadzieję, że rumieniec, który nagle pojawił się na jej twarzy, został złożony na karb gorąca i wina.



- André to bardzo dobry przyjaciel mojej rodziny. - Gdy zauważyła, że jej wypowiedź nie wywołuje żadnych komentarzy, ośmieliła się dodać mocniejszym głosem: - Jest w Europie, napisał do nas. Ciekawe, kiedy wróci.

- Nikt nie wie - odpowiedział uprzejmie pan Hammond. - Nie mówił, a my go nie pytaliśmy.

Odebrała to jak naganę. Prawdopodobnie nie było żadnych podstaw, żeby tak sądzić, a jednak poczuła się dotknięta. Zmieszana, przysłuchiwała się rozmowom. Usiłowała wyłowić główny temat konwersacji, toczącej się wokół stołu. Ileż tu cynizmu i pyszałkowatości!

- Co ma zrobić plantator, którego zrujnowała wojna? Nie umie przecież nic innego. Radzą mu: weź się do pracy. A on mnie pyta: do jakiej? Przecież nigdy tak naprawdę nie pracował.

- „Tak, zapomnieli, co to praca - pomyślała Miriam. - A ich przodkowie pracowali!” Pamiętała, jak ciotka Emma opisywała skromne gospodarstwo swojego prapradziadka, położone na wybrzeżu Niemiec; chałupa i kilka akrów ziemi. Taki był początek, ale od tamtego czasu minęło kilka pokoleń.

- Mówi się, że władze Virginii zamierzają zmusić Davisa i obecny gabinet, z wyjątkiem Trenholma, do rezygnacji. Wicie, to skandal! Generałowie proszą o posiłki i artylerię, ale nie dostają żadnego wsparcia od rządu Virginii.

- Nic nie dostają, bo nic nie ma.

- Bzdura! Nie wierzę w to. To tylko propaganda rozpowszechniana przez pismaków. Powinni przestać atakować rząd Konfederacji. Na miłość boską! Bardziej pomogli wrogowi niż prasa północna.

- Nie oni jedni pomagają wrogowi.

Reakcją na ten przycinek były uniesione z dezaprobatą brwi. Na drugim końcu stołu ktoś roześmiał się cicho i znacząco. Miriam wydawało się, że uwaga mogła dotyczyć kogoś z obecnych tu ludzi. Plotka głosiła, że jakieś kobiety ze ścisłej elity towarzyskiej Richmondu pracowały dla Unii. Być może jedna z nich znalazła się tutaj.

Nagle poczuła znużenie i zapragnęła, aby nadeszła już pora udania się na spoczynek. Siedzący po lewej stronie Miriam mężczyzna powiedział do kogoś:

- Słyszałem, że zarabiał na omijaniu blokady pięćdziesiąt tysięcy dolarów miesięcznie. Tyle przynajmniej wyciągał na początku.

- Tak, ale niedługo już pociągnie. Wszystko skończone. Nie będzie więcej francuskiego wina. Ani niczego z Europy. Napijmy się.

- Mnie to nie martwi. Wszystko, czego potrzebujemy, można sprowadzić z Baltimore.

Kto zarobił pięćdziesiąt tysięcy w ciągu miesiąca? Nie dosłyszała nazwiska. I to były towary sprowadzane przez blokadę? Aksamitne suknie i szampan - podczas gdy chinina kosztuje sto pięćdziesiąt dolarów za uncję?

Nagle mężczyzna siedzący po prawej stronie Miriam odezwał się do kogoś siedzącego po drugiej stronie stołu.

- Pieniądze wkrótce staną się bezwartościowe. Ktoś odpowiedział:

- A więc równie dobrze możemy je wydać.

Wkrótce wszyscy przeszli z jadalni do salonu muzycznego. Na ścianach wisiały modne lustra w złożonych ramach, dzięki czemu można się było przejrzeć pod każdym kątem. Miriam pobladła. Wcześniejszy rumieniec zniknął, zostawiając tylko ciemne kręgi pod oczami. Wyglądała obco pomiędzy tymi radosnymi ludźmi, którzy otoczyli pianino grając i śpiewając Annie Laurie, Posłuchaj drozda i Juanitę. Mój Maryland wywołał aplauz i poderwał gości na nogi. Miriam stała razem ze wszystkimi, ale czuła się obco. Jej myśli krążyły gdzieś daleko. Oddała się wspomnieniom, rozmyślała o ojcu i bracie, o mężu, Gabrielu i André, o walczących armiach.

- Jest pani bardzo zamyślona - powiedział gospodarz, podchodząc do jej krzesła.

- Przepraszam. Nie jestem dziś w najlepszym nastroju do zabaw. - Zaważała się, czy w tym wypełnionym ludźmi pokoju może rozmawiać o Dawidzie, żołnierzu Unii. Ale czyż nie z tego właśnie powodu przyjechała do Richmondu? I czyż ten człowiek nie wiedział, po co tu przybyła? - Myślałam o moim bracie.

- Oczywiście, to całkiem zrozumiałe. Miałem z panią porozmawiać, ale skoro jesteśmy już przy tym temacie, mogę powiedzieć teraz. Wszystko zostało załatwione. Spotka się pani z bratem w szpitalu wojskowym w Waszyngtonie. Pani przepustka będzie gotowa za dzień lub dwa.

Łzy wdzięczności napłynęły jej do oczu.

- Jak udało się załatwić tę sprawę? - spytała naiwnie. Pan Hammond był rozbawiony.

- Droga pani - powiedział łagodnie. - Nic nie jest niemożliwe, dopóki zna się odpowiednich ludzi. A André Perrin ich zna. Powinna pani jemu podziękować, a nie mnie.

Najbardziej uderzającą rzeczą na ulicach był widok wielu rannych ludzi. Richmond był miastem rannych. Chodzili o kulach. Spacerowali z zakrwawionymi bandażami na rękach, ramionach i twarzach. Wozy przywoziły ich pod St. Charles Hotel. Inne wozy odwoziły ich w trumnach.

Zatrzymała ją kobieta, błagająca o pieniądze na kupno mleka.

- Znam miejsce, gdzie go jeszcze trochę mają - mówiła. - Nie było mleka przez tydzień, a teraz nie mam na nie pieniędzy.

Miriam dała jej kilka monet. Ogólna rozpacz była niemal namacalna, jak ciężka chmura wisząca nad głowami. Kobieta oddalała się w pośpiechu, trzymając w objęciach obdarte, płaczące dziecko. Dwóch chłopców biło się o woreczek groszku, który rozdarł się w czasie walki, a jego zawartość wysypała się na ziemię. Chudy, zabiedzony kot, któremu pod skórą sterczały wszystkie kości, zdechł na oczach Miriam. Poszła dalej.

Na wystawie jubilera eksponowano rubiny: brosze, bransolety i naszyjniki leżały na czarnym aksamicie. Podziwiając ich piękne błyski, zatrzymała się przez chwilę przed szybą. Nagle ktoś stanął za nią i usłyszała głos - nie, raczej zachwycony kobiecy pisk.

- Och, jakie cudenka! Powiedz, widziałeś kiedyś takie rubiny? Widziałeś? Dziewczyna przywarła do ramienia oficera. Była przystojną panną, a on przystojnym mężczyzną, dwukrotnie od niej starszym. Wyczuwało się w nich pewność siebie. Wyglądali jak kochankowie. Weszli do sklepu.

Potem Miriam minęła sklep z obrazami, antykwariat z francuskimi starociami i wystawę pełną kosztownych importowanych koronek. Przystanęła przed wystawą księgarni. Już od tak dawna nie kupiła sobie książki! Zobaczyła swój ulubiony „Edinburgh Magazine”. A tutaj? Nędznicy, po francusku. Jej palce wymacały pieniądze w kieszeni sukienki. Ich ilość od początku podróży wyraźnie się zmniejszyła, ale wystarczy na książkę. Weszła do środka.

Właścicielami księgarni byli zazwyczaj mili staruszkowie, obowiązkowo w okularach. Ten nie stanowił wyjątku. Przypatrując się, jak pakował w papier jej Wiktora Hugo, Miriam poczuła, jak ogarniają radość. Naszła ją ochota na rozmowę.

- Proszę mi powiedzieć, jak to jest. Tyle tu eleganckich sklepów, tyle pięknych, kosztownych rzeczy. I tylu rannych na ulicach, tak wielu żebraków. Czy to pana nie dziwi?

Starszy pan uśmiechnął się gorzko.

- A czy podczas jakiegokolwiek wojny było inaczej?

- Nie wiem. Nie znam wystarczająco historii, żeby odpowiedzieć na pana pytanie.

- Zatem ja pani odpowiem. Zawsze jest tak samo.

- Dlaczego na to pozwalają? Widziałam przed chwilą ludzi kupujących rubiny. Właśnie dotarł nowy transport francuskich antyków. Czy statki przywożą takie rzeczy? Nie żywność? Nie lekarstwa?

- Kongres zakazał importu artykułów luksusowych, ale sprowadzają je cały czas. Zawsze znajdują się tacy, którzy je przywiozą, i mnóstwo ludzi je kupuje.

Miriam wolnym krokiem wróciła do domu Hammondów, niosąc swoją książkę. Nagle zrobiło się jej wstyd. Ta drobna kwota, którą zapłaciła w księgarni, pewnie pozwoliłaby najeść się jakiemuś głodnemu dziecku. Chciała już wrócić i oddać swój zakup, ale pomyślała, że księgarz też nie wyglądał na najzamożniejszego.

Kiedy Miriam wróciła, pani Hammond powiadomiła ją:

- Dzisiaj jest cudowny spektakl teatralny Rywalki, a potem kolacja u Lloydów. Oni mają taki wspaniały dom. Oczywiście jest pani zaproszona.

- Bardzo dziękuję - odpowiedziała Miriam - ale wolałabym odmówić.

- Mam nadzieję, że nie chodzi pani o suknię. Strój nie stanowi problemu. Mogę służyć suknią z satyny, tafty lub brokatu. Proszę wybierać.

- Nie, nie. Jest pani bardzo miła i uprzejma, ale czuję się bardzo zmęczona.

- Rozumiem. Ta podróż musiała być bardzo ciężka.

Ale nie chodziło tylko o podróż. Czowała się zmęczona duchem.

Następnego dnia otrzymała przepustkę. Obejrzała ją dokładnie, ten cudowny kawałek papieru, który umożliwił jej spotkanie z Dawidem.

Okazicielka dokumentu, Miriam Mendes, ma prawo przekroczyć linię frontu, udać się na Północ i wrócić.

Powiedzieli jej: „Nic nie jest niemożliwe, dopóki zna się odpowiednich ludzi, a André Perrin ich zna.”



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY.

Utrata zębów zmieniła twarz Dawida, upodabniając ją do zapadniętego oblicza starca. Był przeraźliwie wychudzony. Kiedy przyjęto go do szpitala, jego policzki musiały mieć chorobliwy, ziemisty kolor, teraz jednak zabarwił je lekki rumieniec. Miriam starała się nie przyglądać mu się zbyt uważnie, by nie poznał, jaką wzbudza litość i przerażenie. Jego wynędzniałe ciało zaczynało już trochę odżywać, oczy były czyste. Wyraźnie dostrzegała oznaki powracających sił. Dawid odzyskiwał zdrowie.

Właśnie nadeszła odwilż i dzień był ciepły. Pacjenci i ich goście zajęli wszystkie ławki na trawniku przed szpitalem. Nad mokrą, wyblakłą trawą w bezwietrznym powietrzu zwisały z masztu Gwiazdy i Pasy. Rytmiczny plusk spadających z drzew kropel przypominał tykanie metronomu. Wiosenne słońce opromieniało ich spotkanie.

- Zapewne wyglądam jak szkielet. Będzie lepiej, gdy wstawię sobie zęby - powiedział Dawid. - Cieszę się, że mnie nie widziałaś trzy miesiące temu.

Uścisnęła jego dłoń.

- A ja cieszę się, że żyjesz.

- I pomyśleć tylko, że zawdzięczam życie André Perrinowi! Człowiekowi, którego prawie nie znam. Kiedy zobaczyłem go owego dnia, miałem wysoką gorączkę. Nie rozróżniałem rzeczywistości od majaków. Czułem jednak, iż zdarzyło się to naprawdę. Trudno to opisać. - Zmarszczył brwi, starając się przypomnieć sobie wszystko. - Tak, byłem pewien, że już go kiedyś widziałem! Musiał zrobić na mnie silne wrażenie, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, nie sądzisz? - Zdziwiony, pokręcił głową. - Tyle się w życiu widzi twarzy! Dlaczego zapamiętałem akurat jego?

Mogła odpowiedzieć: „bo jego twarz jest niezwykła - pamięta się ją tak, jak błysk przepięknego klejnotu na szyi nieznajomej osoby. Bo jest taki ruchliwy, niezmordowany...” Jednak milczała.

- Dlaczego zadał sobie dla mnie tyle trudu? Czemu właśnie dla mnie? Tego nie rozumiem - ciągnął zdumiony Dawid.

Zarumieniała się. Nie potrafiła opanować tego żaru, który palił teraz jej szyję i policzki. Bystry wzrok Dawida zdenerwował ją jeszcze bardziej.

- Nie wiedziałaś o André i o mnie - wymamrotała w końcu.

- Ach, tak - powiedział. - Tak... - Spojrzał w bok. Na sąsiednich ławkach podobne im pary i całe rodziny wyjawiały sobie własne sekrety, smutki i radości.

Skierował wzrok na twarz, nerwowo splecione dłonie siostry, spoczywające na jej kolanach.

- Więc o to chodzi! Oczywiście, twoje małżeństwo nie było szczęśliwe... Ale zawsze mi się zdawało, że kryło się za tym coś jeszcze. Nawet pytałem cię o to kilkakrotnie, pamiętasz? Ale nie chciałaś nic powiedzieć.

- Gniewasz się?

- Gniewam się? Nie mam prawa dyktować ci, kogo powinnaś kochać, a kogo nienawidzić. Nawet go nie znam. Dla mnie jest tylko człowiekiem, który uratował mi życie. Co można powiedzieć o kimś, komu zawdzięczamy przetrwanie? Mimo wszystko chciałbym zobaczyć się z nim. - Spojrzał jej prosto w oczy, uśmiechając się swoim dawnym, mądrym, łagodnym i pełnym ciekawości uśmiechem. - Jaki on jest?

Dlaczego tak trudno znaleźć słowa na opisanie czegoś, co od dawna wypełniało jej myśli? Spróbowała jednak.

- On jest...bo widzisz... on mnie kocha. Jestem... byłem... z nim szczęśliwa. - wyjąkała.

Na samą myśl, jak Dawid mógł to zrozumieć, na wspomnienie łóżka w białym pokoju tak dawno temu, ponownie oblała się rumieńcem.

- Opowiedz mi o nim - powtórzył Dawid.

Jego łagodne nalegania sprawiły, iż tym razem łatwiej było odpowiedzieć.

- Muszemu oddać sprawiedliwość... Przede wszystkim jest bardzo wspaniałomyślny! Lubi hojnie obdarowywać swych bliskich, a nawet zupełnie obcych ludzi, co zresztą widać choćby po tym, co zrobił dla ciebie. Nawet głos ma miękki i łagodny... Kiedy jestem z nim, cieszę się, że żyję! To szczęście obudzić się rano ze świadomością, iż znowu się go zobaczy... - Złożyła dłonie w namiętnym geście. - To było dla mnie zupełnie nieznanne uczucie, Dawidzie. Nie wiesz, co to znaczy być kochaną i uwielbianą!

- Rozumiem, kochanie, rozumiem.

- Czuję się znacznie lepiej teraz, kiedy wiesz o wszystkim - powiedziała szczerze Miriam. - Zawsze dręczyła mnie myśl, że muszę zachować przed tobą tak ważny sekret.

Dawid zamyslił się, marszcząc czoło.

- I co teraz? Co zamierzasz zrobić? Będziesz się musiała na coś zdecydować.

- André ma nadzieję, że Marie Claire zechce się rozwieść.

- Dziwny zbieg okoliczności: ktoś kiedyś wspomniał przy mnie to imię. Jakiś lekarz, którego spotkałem przypadkiem, oglądał jej występ w Paryżu. Mówił, że wyrobiła sobie nazwisko, że była wspaniała.

- Dlaczego rozmawialiście o niej?

- Wiedział, że mieszkałem w Nowym Orleanie, i spytał mnie, jak to zazwyczaj się dzieje, czy przypadkiem nie znam tego i tamtego w mieście, a potem wspomniał tę wyjątkową śpiewaczkę.

A zatem Marie Claire, ten mały odludek, której ambicje zdawały się ją przerastać, miała jednak talent! Miriam poczuła nagle podziw, respekt dla kobiety, z którą tak dziwnie splótł ją los.

- Mam ją wyraźnie przed oczami, chociaż tak naprawdę nigdy nie znałyśmy się bliżej. Pamiętam Marie Claire lepiej niż moje szkolne koleżanki. Zawsze wydawała mi się przeraźliwie nudna, a jednak tyle ambicji.

- Wnętrze człowieka i to, co widzimy na zewnątrz, to dwie różne rzeczy - powiedział Dawid poważnie. - Należy o tym pamiętać.... Jeśli o mnie chodzi - dodał zmieniając nagle temat - to ciągle widzę twarz Pelagii. Nie mogę przestać myśleć o tym, jak musiała wyglądać, kiedy dowiedziała się o śmierci Sylvaina, o tym, jak zginął. - Urwał. - Jak ona się czuje?

- Mieszka z nami, wspomniałam ci o tym. Trzyma się. Kobiety są silne, przekonałam się o tym. Nawet te najbardziej nieśmiałe potrafią stawić wszystkiemu czoło, jeśli muszą. Stracili wszystko, ten ich wspaniały dom, prawdziwy pałac, spłonął. Dostyc jednak tego - oświadczyła - co to znaczy utrata domu czy majątku w porównaniu z tym, co ty przeszedłeś. I ci wszyscy ludzie - dokończyła przyciszając głos, kiedy koło nich niesiono na noszach rannego.

- Ty także doświadczyłaś zbyt wiele. Śmierć Eugene'a. Nie zasługiwał na taki koniec.

- To prawda. Nie zasługiwał - odrzekła cicho Miriam. Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

- A papa? - spytał Dawid.

- Papa czuje się dobrze. Chyba wciąż jeszcze nie może uwierzyć w to, co się stało z jego Ziemią Obiecaną.

Odwróciła wzrok i spojrzała na trawnik. Stadko gołębi zbierało okruchy chleba u stóp żołnierza, siedzącego na wózku. W Richmondzie słyszała, że w tamtejszych parkach nie ma już gołębi. Wszystkie zostały zjedzone.



- Nie spytałem jeszcze o najważniejsze. Jak się mają moje bliźniaki? Myślę o nich przez cały czas. Bez względu na to, jak długo będę żył i czego jeszcze dokonam, sprowadzenie tej dwójki na świat pozostanie moim największym osiągnięciem.

- Angélique zapowiada się na piękność. Czasami myślę, że wygląda jak nasza matka. Nie jest podobna ani do Eugene'a, ani do mnie. I tak się boję o swego syna. Jeśli ta wojna potrwa jeszcze dłużej, wezmą go do wojska.

- Nie potrwa długo. Prawie się kończy. Gdybym wiedział, jak naprawdę wygląda wojna, dałbym sobie z tym spokój - dodał z pasją.

Miriam uśmiechnęła się.

- Nie zrobiłbyś tego.

- Czy słyszałaś coś o Gabrielu?

- Prawie od roku nikt nie miał o nim żadnych wiadomości. Nie wiemy, czy żyje. Rosa prosiła, żebym spróbowała dowiedzieć się czegoś w Richmondzie. Wszyscy chcą, żebym szukała ich mężczyzn. Henry'ego Rosy, chłopców Pelagii. Ale to szukanie igły w stogu siana.

- Może jednak nie tak beznadziejne. Ostatnio kilka razy dokonano wymiany jeńców wojennych. Kiedy wrócisz do Richmondu, popytaj w Departamencie Wojny. Czy wiesz, gdzie służył?

Nie musiał dodawać, że chodzi mu o Gabriela. Tylko o niego mu chodziło.

- W Dziesiątym Pułku Luizjany.

W dniu, gdy wyruszał Dziesiąty Pułk Luizjany, powietrze pachniało kurzem i gorącem. Hałas boleśnie pulsował w głowie Miriam: ryk orkiestry dętej, wrzaski dzieci, śmiechy pijaków, szloch i pożegnania. Kiedy pociąg ruszył, Gabriel stał na stopniu. Machał ręką na pożegnanie, ale jego oczy były wpatrzone tylko w nią. Widziała go wyraźnie.

- Wstrętne mu była sama myśl o wojnie - powiedziała. - I nie musiał iść. Mógł zostać przy rządzie. A jednak poszedł. Nie rozumiem go.

- To nie takie trudne zrozumieć. Miał swoje przekonania i zawsze działał zgodnie z nimi. Za to go kocham. Mam nadzieję, że jeśli jest jeńcem, trafił do lepszego obozu niż ja. Żeby przynajmniej mieli lekarstwa i morfinę dla umierających. -

Przed oczami Dawida musiało stanąć żywe wspomnienie tego, przez co przeszedł, bo twarz mu pociemniała i wykrzywił ją grymas bólu. Uwaga na temat lekarstw coś jej przypomniła.

- Wczoraj wieczorem, na obiedzie w Richmondzie, mówiono o kobietach odwiedzających jeńców i przenoszących lekarstwa pod sukniami. To niebezpieczne, ale niektórym się udaje. Pomyślałam więc, że ja...

- Co? - przerwał Dawid. - Miałabyś przemycić dla Konfederacji? Moja siostra miałaby stać się buntowniczką?

- Czy zdajesz sobie sprawę - odrzekła z oburzeniem - że trzecia część mężczyzn z armii Konfederacji nie posiada niewolników? Choćby Gabriel. Nie rozumiem, dlaczego opowiadasz takie rzeczy.

- Daj spokój, tylko się z tobą drażnię. Wiem. Wszystko jest kompletnie przemieszane. Syn rabiego Raphalla przyłączył się do armii Północy. Stracił rękę pod Gettysburgiem. Ale czy mówiłaś poważnie o tych lekarstwach? - spytał szeptem.

- Tak.

Dawid aż gwizdnał.

- To bardzo niebezpieczne, Miriam.

Chciała to zrobić. Czowała nieodpartą potrzebę podjęcia jakiegoś ryzyka, wzięcia udziału w uporządkowaniu tego wojennego chaosu.

- Zazwyczaj damy zaszywają takie pakunki w swoje poduszeczki.

- Poduszeczki?

- Tak. W małe jedwabne poduszeczki umieszczone z tyłu na pasku pod sukienką.

- Lekarstwa dałoby się zdobyć w aptece, ale to niebezpieczne - powtórzył.

- Wiem. Słyszałam, że wbijają w poduszeczki igły, żeby sprawdzić, czy nie ukryto tam czegoś. Pomyślałam więc, że przed powrotem mogłabym kupić bukiet kwiatów i w nim schować lekarstwa. Och! - wykrzyknęła. - Gdybyś widział, jak jest teraz w Richmondzie! Głód, choroby. Wciąż widzę tę kobietę, która zebrała, żeby kupić mleko. Ranni leżą na brudnych, zimnych podłogach hoteli. Cóż wobec tego znaczą słowa „wróg”, „prawa stanowe”, „kontrabanda”. To dla mnie puste frazesy.

W Richmondzie doszło do rozruchów. Zgłodniałe kobiety, rozwścieczone przepychem wystaw sklepowych, tych wystaw, które tak wstrząsnęły Miriam, uzbroiły się teraz w siekiery i z desperacką furią zaczęły grabić, co popadło. Dopiero gdy gubernator zagroził sprowadzeniem żołnierzy, rozpierzchły się. Inne tłumy kobiet poszły szukać swoich synów i mężów wśród tych, którzy przyjechali w wyniku ostatniej wymiany jeńców.

- Przywieziono jedną grupę podczas pani nieobecności - powiedział Miriam pan Hammond. - Przyjechali pociągiem z Elmiry, w Baltimore

przesiedli się na statek. To oburzające! Podobno nawet lekarze Federacji byli wstrząśnięci ich tragicznym stanem. Na dodatek w drodze na Południe cierpieli na chorobę morską.

- Przewija się tu wiele tysięcy żołnierzy - odparła Miriam - ale może jest choćby cień szansy i należy poprosić o informacje w Departamencie Wojny. Może znajdzie się sposób, by dowiedzieć się, czy wrócił ktoś z ludzi, których poszukuję. Tak sugerował mój brat.

- Nie musi pani nigdzie chodzić. Jestem tam codziennie i wiem, kogo należy pytać. Proszę tylko podać mi nazwiska.

Rzeczywiście, jeszcze tego samego wieczoru pan Hammond przyniósł wiadomość.

- Znalazłem jednego. Gabriel Carvalho. Nie jest w szpitalu. Umieszczono go w pensjonacie. Oto adres.

Był chudy, ale cały. Dostał już nowy mundur, którego elegancja smutno kontrastowała z zaniedbanym, nędznym pokojem. Tu, w niegdyś bogatym domu, z którego dawno zniknęła dystynkcja i wykwintne maniery, siedzieli wpatrując się w brudne okno wychodzące na ponurą ulicę i podwórze pełne gnijących chwastów.

- Uśmiechasz się - powiedział Gabriel.

Z jakiegoś powodu przypomniał jej się salon Rosy, złote napoleońskie pszczoły na niebieskiej satynie. Ironia tego wspomnienia, powracającego do niej w takim miejscu, sprawiła, że uśmiechnęła się lekko.

- Przypomniałam sobie salon Rosy, w którym zwykliśmy zajmować się rachunkami. A teraz znaleźliśmy się tutaj!

- W swym ostatnim liście, który dostałem ponad rok temu, pisała, jak jesteś dla niej dobra.

- Jak wrócę do domu, z pewnością będzie chciała dowiedzieć się o tobie czegoś więcej. Jak na razie, prawie nic mi jeszcze nie powiedziałaś.

Wzruszył lekko ramionami, jakby lekceważąc swoje cierpienia.

- Nie ma o czym mówić. Moja rana zagoiła się i przetrwałem pobyt w Elmirze. Tylu innych umarło, co trzeci nie doczekał wymiany. Czuję się niemal winny, że przeżyłem. Jeden na czterech ma szkorbut. Szczury, mróz, ospa, brud. Jaki sens ma mówienie Rosie o tym wszystkim?

- Będzie mnie pytać.

Gabriel zaczął opowiadać beznamiętnym głosem:

- Dostawaliśmy dwa posiłki dziennie. Robaczywe suchary i kawę na śniadanie. Kubek zupy fasolowej i suchary na kolację. Kiedy zrobią

ostateczny bilans, okaże się, iż więcej ludzi umarło w obozach na skutek chorób niż na polu walki. Jestem o tym przekonany.

- Twój opis dokładnie odpowiada temu, przez co Dawid przeszedł w Georgii. Tylko że tam było gorąco. Być może upał jest nawet gorszy.

- Żadna ze stron nie ma monopolu na okrucieństwo. Bogu dzięki, że wydostał się stamtąd, zanim było za późno.

Z jakiegoś powodu, nie wiedząc, dlaczego to robi, oznajmiła:

- André Perrin pomógł Dawidowi. Był to wyjątkowy wyczyn, gdyż wtedy nie prowadzono jeszcze wymiany jeńców.

Przez chwilę sądziła, że nie dosłyszał. Podążyła za jego wzrokiem. Na dole ulicą przechodził kondukt pogrzebowy. Koń bez jeźdźca, z podciągniętymi strzemionami, szedł wolno w rytm ponurego bicia bębnów. Gabriel odprowadził wzrokiem kondukt, póki nie zniknął on za rogiem. Potem znów zwrócił wzrok ku Miriam.

- Wpływowy człowiek. Dawid miał szczęście.

Zabrzmiało to jak nagana. Popełniła głupi, niewybaczalny błąd, wspominając o André. Okrutny błąd. „Szkoda, że nie mogę mu się zwierzyć ze wszystkiego” - pomyślała. Nie miała jednak pojęcia, co by mu powiedziała, gdyby dzieląca ich bariera nagle zniknęła. Znała go, lecz zawsze istniał pewien dystans, przestrzeń, która odgradzała go od ludzi. A może tylko do niej nie chciał się zbliżyć? Cóż znalazłaby, gdyby otworzył przed nią drzwi i wpuścił do środka?

Nagle odpowiedziała na własne pytanie. On już dawno temu otworzył jej drzwi. To ona sama z powrotem je zamknęła, czegóż zatem mogła oczekiwać od niego? Teraz tak brutalnie przypominała mu o André, o tym drugim. Ale i na to przyszła odpowiedź. Lepiej być uczciwą. Gabriel też chciałby, żeby była względem niego uczciwa.

- Mimo tego wszystkiego dobrze wyglądasz - powiedział oficjalnym tonem. Przyjrzała się swoim popękanym, nie zadbanym rękom i zdartym czubkom

domowej roboty butów, wystającym spod sukni.

- To suknia pani Hammond tak mnie upiększa.

- Hammond? Tam się zatrzymałaś?

- Tak, są bardzo gościnni. Zupełnie jakby w ich domu zatrzymał się czas.

- paplała nerwowo. - Wszystko jest tak, jak kiedyś. Mają wszystko, czego sobie można zażyczyć do jedzenia, i są tacy radośni, nie wyobrażasz sobie nawet.

- O tak, wyobrażam sobie, nawet całkiem dobrze - zapewnił ją Gabriel.

- Skoro ludzie tacy jak oni mają świeże mięso i inne rzeczy, dlaczego niema tego wszystkiego w sklepach?

- To proste. Bardziej opłaca się sprowadzać alkohole i towary luksusowe. Dzisiejszy szampan pochodził od André Perrina. Nie, to musiało oznaczać coś innego. Miriam poczuła dreszcz niewytłumaczalnego strachu i pokręciła głową, jakby chciała strząsnąć go z siebie.

Gabriel wstał. Postarzał się. Dostrzegła dwie bruzdy pomiędzy nosem i ustami, których nie widziała wcześniej. Może znikną, gdy zaczniesz odżywiać się prawidłowo. Wciąż był tym samym przystojnym mężczyzną, nienagannie wychowanym i dystyngowanym.

- Zapewne dotrzesz do domu na Paschę - powiedział. Podtrzymywał konwersację, jakby świadom chłodnej atmosfery, która nagle zapanowała pomiędzy nimi.

- Tak. Staramy się z Rosą, żeby mieć przynajmniej prawdziwe święta.

- Myślałem o tym w zeszłym roku w Elmirze. Kiedy człowiek jest głodny, przypomina sobie święta, nakryty stół, zapach jedzenia. Dwa lata temu byliśmy w Wirginii Zachodniej, toczyliśmy tam walki w górach. Kupiliśmy od farmera jajka i kilka kurcząt. Ugotowaliśmy to nad ogniem. Generał Lee przysłał macę i książki specjalnym pociągiem zaopatrzeniowym. Jechaliśmy czterdzieści pięć kilometrów na stację, żeby to odebrać. Wspaniały człowiek ten Lee. Tragiczna postać. Rozdarty wewnątrz.

Nastał wieczór. Do pokoju wkradał się mrok. Gabriel znowu zamknął się w sobie, jakby mówił sam do siebie, nie dbając, czy ona go słyszy.

- Tu, na Południu, jest tak pięknie. Wzgórza pokryte lasami sosnowymi, leniwe rzeki, cudowne wiosny. Stare domy i te urocze drogi. Przez dwieście lat wszystko to należało do nas. Niełatwo jest odwrócić się od swojej ojczyzny. A jednak musi nadejść nowa era. Musi powstać jeden naród.

- Wierzysz w to?

- Tak, wierzę.

- Co masz w takim razie zamiar zrobić?

- Zrobić? - powtórzył, nie rozumiejąc.

- Z sobą. Teraz. W przyszłym tygodniu.

- W przyszłym tygodniu? Wracam do mojego regimentu - odrzekł, jakby jej pytanie zdziwiło go.

Miriam była jeszcze bardziej zdumiona.

- Po tym, co mi powiedziałaś?

- Ależ oczywiście. Kiedy się raz coś zaczęło, trzeba to skończyć, prawda?

- Nie wiem, Gabrielu. - Poczła dziwny ciężar na sercu.

- Ale ja wiem. Są takie chwile, kiedy można się wycofać. Ale nie teraz.

Wtedy zrozumiała. Chodziło o honor. Nie opuszcza się tonącego okrętu.  
Honor.

Westchnęła lekko, bezwiednie.

- Uważasz to za gest teatralny? Byłoby mi przykro, gdybyś tak o mnie sądziła.

- Nigdy nie mogłabym pomyśleć czegoś takiego. Jesteś ostatnim człowiekiem, którego by można o to posądzać.

- W takim razie cieszę się. Widzisz, zacząłem razem z Lee, dałem słowo. Teraz zostanę i zobaczę, co się stanie.

- Doskonale wiesz, co się stanie.

„Cóż za marnotrawstwo, jaka ogromna strata, gdyby cię zabili! - dodała w duchu. - Pomyśleć, że jedna kula, jedna sekunda może zniszczyć całą wiedzę, całą tę siłę!”

Zmusiła się do lekkiego uśmiechu, pragnąc zrobić mu na koniec przyjemność, zakończyć właściwie tę wizytę. Po raz drugi tego popołudnia zapytał, dlaczego się uśmiecha.

- Myślałam o Gretel - powiedziała pierwszą rzecz, jaka przyszła jej do głowy.

- O której?

- Chyba o obu. W pewnym sensie podarowałeś mi obie. Ale ta ostatnia jest już starszą panią. Prawie cały czas śpi. Mam nadzieję, że będzie jeszcze żyła, kiedy wrócę.

Wstali. Była to jedna z tych chwil, kiedy przy pożegnaniu nikt nie chce okazać zbytniego pośpiechu.

- Gabrielu. Powiedz mi jedno. Powiedz, że nie gniewasz się na mnie za bardzo. Wydajesz mi się taki odległy! Nie chcę pożegnać się z tobą w taki sposób.

Znieruchomiał, jakby na chwilę odpłynął myślami gdzieś daleko. Czekwała bez tchu, przerażona, że dopiero teraz naprawdę go rozgniewała.

Wyciągnął dłoń, by jej dotknąć lekko, po czym błyskawicznie cofnął rękę.

- Masz rację. Rozszyfrowałaś mnie. Odsuwałem się od ciebie. Ale to już skończone. Proszę, powiedz mojej siostrze, że wyślę do niej list. Nie jestem już jeńcem, więc może teraz łatwiej będzie korespondować.

- Czy wiesz, że nie mamy papieru do pisania listów? Wywracamy koperty na drugą stronę i wrywamy puste kartki z książek. Ale Rosa znajdzie coś do pisania, możesz być tego pewien.

- A ty? Nie napisałaś do mnie ani razu, odkąd zaczęła się wojna.

Miał rację. Dlaczego tego nie zrobiła? Pamiętała, że ją kochał i nie wiedziała, co napisać.

- Czemu do mnie nie napisałaś? - nalegał Gabriel. - Z powodu André? Tak?

- Nie wiem - wyszeptała, patrząc w podłogę.

- Wciąż go kochasz.

- Tak.

Dźwięk imienia André wywołał nagle, bolesne zamieszanie w jej duszy. Zaledwie kilka dni temu, kiedy była z Dawidem, miała tak jasny obraz André. Niemal słyszała jego głos. Tutaj wszystko raptownie zniknęło. Nie potrafiła tego przywołać. Dziwne, przerażające.

- Denerwuję cię. Nie powinienem tego czynić. Skoro go kochasz, tak widać musi być. Wybacz mi. Chciałem się tylko upewnić, czy nie ma dla mnie cienia szansy...

„Zanim umrę” - to miał na myśli.

Bez zastanowienia położyła głowę na jego ramieniu. Poczowała nagłą ulgę. Objął ją, a jego policzek musnął włosy Miriam. Dziwnie onieśmielona słyszała, jak powtarzał kilkakrotnie:

- Uważaj na siebie. Bądź szczęśliwa. Tak cię kocham... Uwolniła się z jego objęć.

- Tak, wracaj do domu - powiedział szybko. - Wracaj od razu.

- Do domu?

- Do Beau Jardin. Wyjedź z Richmondu. Wkrótce może się tu zrobić niebezpiecznie. Chcę mieć pewność, że wracasz do domu.

To nie było prawdziwe zbliżenie dwojga ludzi. Było to coś jak sen, który ledwie pamięta się nad ranem. Ale przez całą drogę do Hammondów i później, w drodze do domu, czuła w sercu dziwny, bolesny żal.





## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY.

Luizjanie nie pozostał już nawet cień nadziei. Wprawdzie gubernator Allen nadal zasiadał za swym biurkiem w Shreveport, ale wojska Unii zajęły prawie cały stan i Beau Jardin znalazło się na wciąż malejącej konfederackiej wysepce pośród wzburzonego morza.

Drogi były pełne dezertarów, którzy zrezygnowali już z walki. Ku swemu zdumieniu wróciwszy do domu Miriam zastała trzech z nich we własnej kuchni. Jeszcze bardziej jednak zdziwił ją widok krzątających się przy piecu kucharek, były to bowiem Fanny i panie domu we własnych osobach - Eulalia, Pelagia i Angélique. Z tego, co Miriam wiedziała, żadna z nich nigdy nie wściubiła do kuchni nawet koniuszka nosa.

- Kucharka odeszła - poinformowała ją Fanny, wyjaśniając od razu wszystkie wątpliwości. Zaś Angélique dodała:

- Idź do domu, mamó. Dziadek ma ci coś do powiedzenia. I tak dowiedziała się o śmierci Emmy.

- Zmarła na zapalenie płuc. - Ferdinand wyglądał na ogłuszonego. Wydawał się niższy i drobniejszy niż kiedyś. - Mielśmy tu potworny mróz. Nie mogliśmy przekroczyć linii frontu, aby zawieźć jej ciało do Nowego Orleanu, ale dokonali tego służący, Syzyf, Biaise i paru młodszych. Złożyli ją w rodzinnej krypcie. Zostawiła ci swój gwiazdzisty szafir, Miriam, i podyktowała testament. Leży na jej biurku.

Przez długi czas Miriam stała w pokoju Emmy, nie mogąc zmusić się do odczytania dokumentu, spoczywającego na biureczku. Każdy przedmiot przypominał jej właścicielkę: stos obramowanych koronką poduszek na łóżku, pastelowe portreciki wszystkich dzieci Emmy, oprawne w złoczone ramki, pełen falbanek peniuar, wiszący na drzwiach. Odruchowo wygładziła falbankę i poczuła pod palcami miękkość, jakby wciąż znajdowało się w nim delikatne, upudrowane ramię. Nagle, z ostrością, jaką dają dopiero lata, Miriam ujrzała cały ogrom ciepła i miłości, z jaką Emma powitała ją w swym domu. Uśmiechnęła się lekko, wspominając bezustanne monologi o sukniach, manierach i drzewach genealogicznych. „Była dla mnie matką - pomyślała - bez wątplenia inną niż ta, która wydała mnie na świat, ale na swój sposób traktowała mnie jak własne dziecko i kochałam ją." I pełen bibelotów pokój wydał jej się przeraźliwie pusty.

Minęło parę minut, nim przyszła do siebie i zdołała odczytać testament. Wyraźne, gotyckie litery Ferdinanda wydawały dyspozycje co do losu

nielicznych przedmiotów, jakie do końca pozostały własnością Eihmy Raphaël, z domu Duclos.

„Wiem, że Syzyf, Maxim i Chanute nie należą już do mnie. Pan Eugène Mendes odkupił ich od naszych dłużników, aby mogli pozostać przy mej rodzinie. Nie mając żadnej władzy nad ich losem, proszę jednak, i jest to poważna prośba, aby moja córka, Miriam Mendes, zatrzymała ich przy sobie do końca i nie zezwoliła na sprzedaż komuś obcemu. Służyli nam wiernie i uważam ich za członków rodziny. Mam jeszcze sakiewkę złotych monet, którą dotąd przechowałam, i proszę, aby jej zawartość została podzielona pomiędzy wyżej wspomnianą trójkę. Największa część winna przypaść Syzyfowi, jako najstarszemu i pozostającemu najdłużej na służbie u mej rodziny.”

Ten ciepły, serdeczny dokument, który już wkrótce miał stracić całą swą moc i znaczenie, poruszył serce Miriam. Może to i dobrze, iż Emma umarła właśnie teraz! Nadchodzące życie byłoby dla niej zbyt trudne, już ją przygniatało. Nie potrafiła go zrozumieć. Miriam odłożyła kartkę do szuflady.

Na dworze, jak zawsze o tej porze, zaczynała rozkwitać wiosna. Odległa linia lasu poczyniała nieśmiało zielenieć, zaś ocieniająca indiański kopiec i grób Eugene'a magnolia aż poróżnowiała od rozwijających się pąków. Wiosna nie zważa na człowiecze smutki i radości, czy mroczną przemoc wojny.

Fanny otworzyła drzwi i wniosła do pokoju stos świeżego prania.

- A zatem, Fanny, widzę, że świetnie radziliście sobie pod moja nieobecność - stwierdziła Miriam, zmuszając się do powrotu do szarej rzeczywistości.

- O tak, wszyscy ciężko pracują, panienko Miriam. Panna Pelagia krząta się jak zwykle, szyje dziecinne ubranka, rozdziela lekarstwa, nie przysiadzie ani na minutę. Wszyscy ją kochają. A panienka Angélique bardzo dorosła, wiele już umie. Panna Eulalia ją uczy.

- Panna Eulalia?

- O tak, przygotowują właśnie wiosenny napój z sarsaparyli, na oczyszczenie krwi. I barwniki, niebieski z indygo, a czerwony z soku szkarłatki.

- Nie wiedziałam, że panna Eulalia potrafi... Ciekawe, skąd zna takie rzeczy?

- Mówi, że wszystkiego nauczyła się w domu. Wystarczy tylko przyglądać się służbie.

Istotnie, tak to musiało wyglądać: samotne dziecko, stojące z boku i obserwujące życie innych. Nie w salonach, gdzie oczekiwano małych ślicznotek, lecz w takich miejscach, gdzie można się skryć.

- No cóż - powiedziała Miriam - to dobrze, że moja córka czegoś się uczy. - I omal nie dodała: „Bo już zbyt długo byliśmy tylko ozdobami salonów.” - Muszę podziękować pannie Eulalii - dodała.

- Ona bardzo ciężko pracuje. Robi na drutach skarpety i różne inne rzeczy dla żołnierzy. Siedzi po nocach, aż bołą ją oczy.

- Wygląda na to, że świetnie się ze sobą zgadzacie. Fanny skrzywiła się.

- Na ogół tak. Chociaż panna Eulalia jest... No, wie panienka. Ale stała się znacznie miłsza niż kiedyś.

- Cieszę się, że to słyszę.

- Chyba czuje się ważna - dodała z namysłem Fanny. Zapewne tak. Po raz pierwszy w życiu Eulalii ktoś jej potrzebował.

„A więc nie znam się tak na ludziach, jak mi się zdawało - pomyślała Miriam, gdy służąca już wyszła. - Proszę, jaką Eulalia sprawiła mi niespodziankę! A co z niewolnikami? Gdyby zbuntowali się, kiedy wszyscy mężczyźni przebywali na froncie, Konfederacja niewątpliwie upadłaby natychmiast. Pelagia twierdziła, iż są po prostu niższą rasą i nie starczyło im inteligencji. Wierne bydło, tak ich nazywała. Inni ludzie, łącznie ze mną, uważali, że ich lojalność stanowi jedynie przykrywkę i że pewnego dnia zbuntują się. Ale nic takiego nie nastąpiło. Nie, naprawdę nie jestem dość bystra i przenikliwa, aby wejrzeć w myśli innych ludzi. Obawiam się, że to poważny mankament.”

Padł Richmond.

Nareszcie nadszedł list od André, wysłany z miasta tuż przed jego zdobyciem.

Dłoń Miriam niezręcznie otwierała kopertę, podczas gdy w uszach dźwięczało głuche bicie serca. Jej serce zachowywało się tak, jakby nękał je jakiś strach.

„Już niedługo znów przyjadę do Luizjany. Mam dla ciebie nowiny. Och, Miriam, nie mogę się już doczekać!”

Kilkanaście razy wracała do tych paru słów, a w uszach nadal czuła ów tępy łomot.

Po czym przesunęła wzrok niżej.

„Jefferson Davis twierdzi, iż utrata Richmondu nie spowoduje ostatecznej klęski. Armia jest ruchliwa i nadal może zadawać bolesne ciosy. Mówi się,

że Lee planuje odwrót do Danville, aby połączyć się z Johnstonem, i że zamierza przemaszerować wzdłuż kolei, aż do przeprawy na rzece Appomattox. Osobiście jednak nie sędzę, aby zdołał tego dokonać."

Ten pesymizm, tak niepodobny do André, zabrzmiał w jej uszach niczym dzwon na trwogę. Zaskoczyło ją nagłe poczucie klęski: przecież od początku spodziewała się przegranej Konfederatów, więcej - pragnęła jej! Tak musiało być. A jednak ogarnął ją smutek.

„Nie sędzę, aby zdołał tego dokonać." I nie dokonał. List dotarł do Miriam już po kapitulacji Lee. Przyjrzała mu się uważnie, po czym odłożyła go i wzięła gazetę.

„Żołnierze! - powiedział Lee. - Razem prowadziliśmy tę wojnę. Zrobiłem dla was wszystko, co mogłem."

Czytała dalej, jak Lee poprosił, aby pozwolono jego ludziom zatrzymać konie, potrzebne do wiosennej orki. I Grant zgodził się na to. Czytała o szeregach żołnierzy w szarych mundurach posłusznie składających broń. Podobno niektórzy płakali i, znów ku swemu zdumieniu, Miriam także się rozplakała. Pomyślała o wszystkich tych ludziach, w niebieskich i szarych mundurach, teraz martwych, gnijących w ziemi. I o Gabrielu, który pozostał przy Lee do końca.

Odłożyła gazetę. Powinna przecież myśleć o André! Niedługo tu będzie... Gdzie jednak zniknęła radość? Och, po prostu ma zbyt wiele rzeczy na głowie! „Trzeba podjąć tyle decyzji - powiedziała do siebie, postukując czubkami paznokci w blat stołu. - Tak, po prostu za wiele tego wszystkiego."

Ostatniego wieczoru Ferdinand spytał, gdzie się udadzą po zakończeniu wojny. Niby było to pytanie retoryczne, w istocie jednak prosił córkę o radę. Od śmierci Emmy stał się spokojniejszy i bardziej zgodny, niedostrzegalnie składając wszelkie decyzje w ręce córki. Czy powinni wracać do Nowego Orleanu? Z pewnością teraz oddadzą im dom. Wiedziała, że Ferdinand chce wrócić.

Ale jak mogli tak po prostu porzucić tę ziemię? Niegdyś to miejsce było dla niej jedynie schronieniem, rodzajem więzienia bez krat, do którego można uciec przed wojną. Doskonale pamiętała dreszcz zgrozy, przenikający ją na myśl o długich, beczynnych miesiącach... Ostatnie lata były jednak zupełnie inne. Tu przetrwała jej rodzina. Ziemia odpłacała się za ich ciężką pracę i utrzymała ich przy życiu. A więc teraz oni są jej coś winni.

Na ogrodzonym kawałku po drugiej stronie trawnika spokojnie pasła się grupka cudem ocalałych z pogromu owiec: dwie stare i dwoje jagniąt.

Blżej, na podwórzu, czarni ludzie czekali na Miriam. W odróżnieniu od owiec, dla nich pokój będzie znacznie trudniejszy, niż sądzili tego ranka, uradowani świeżą wolnością. Próbowwała sobie wyobrazić ich uczucia - spełnienie marzeń i tęsknot, które dla wielu pokoleń pozostawały odległe i niedosiężne. Teraz musieli być oszołomieni ogromną radością, jak wtedy, gdy spełnia się najskrytsze życzenie. Od śniadania wędrowała po domu i okolicy, starając się przygotować wewnętrznie na to spotkanie. Od razu dostrzegła różnice w zachowaniu poszczególnych ludzi, dyskutujących i sprzecających się między sobą. Po raz pierwszy w życiu stanęli wobec konieczności dokonania wyboru i nie mieli pojęcia, na co się zdecydować. Widziała wiele twarzy, zawstydzonych, niepewnych, zaciętych, z dumnie skrzywionymi wargami, bezgłośnie powtarzających: „Ta ziemia jest moja. Pracowałem tu i teraz do mnie należy”, podczas gdy inni ogłaszali swe plany wędrowki na Północ, „aby zdobyć swoją działkę, bo tam złoto leży na ulicach”.

Simeon był gotów do drogi, lecz, jak doniosła Fanny, jego żona Chloe zażądała, by w pierw znalazł sobie pracę i dom, wtedy do niego dołączy. Tymczasem zostanie tutaj, gdzie ma przynajmniej dach nad głową. Wybuchła gwałtowna kłótnia i w rezultacie Simeon odszedł z workiem w rękach.

I tak było od rana.

Świadoma tego wszystkiego Miriam poczuła, jak zasycha jej w ustach. Jednak musiała stawić czoło tym ludziom, i to im prędzej, tym lepiej. Wyszła na taras i spojrzała w doł, znów próbując postawić się na ich miejscu, lecz bez powodzenia. Postanowiła zatem powiedzieć szczerą prawdę.

- Dziś, jak sami wiecie, nie ma już panów. Dziś możecie pójść, dokąd tylko chcecie. Być może niektórzy z was znają już swój cel i, jeśli tak, pożegnam się z nimi, życząc im szczęścia. Ale inni mogą nie mieć dokąd pójść. Jeżeli zatem pragniecie tu zostać, jeśli uważacie, że jest to także wasz dom, zapraszam. Będę wam płacić pensje, ale musicie pracować, zebrać plony, które będę mogła sprzedać. W przeciwnym razie nie dostaniecie pieniędzy. Czy to jasne?

Niektórzy przytaknęli, inni wpatrywali się w nią w oszołomieniu. Jeden młodzieniec wystąpił naprzód.

- Ile nam pani zapłaci?

- Dziesięć dolarów miesięcznie - odparła. Słyszac pomruk niezadowolenia z tylnych rzędów, dodała szybko: - Zapominacie, że macie tu dach nad głową, utrzymanie i lekarstwa w razie choroby. Dostaniecie wszystko, czego będziecie potrzebowali, tak jak zawsze. I dodatkowo pieniądze, jeśli na nie zapracujecie. Ale jeżeli będziecie się objąć - ciągnęła śmieiej - wynajmę kogoś innego, a wam każę odejść. Tak będzie od dzisiaj. To wszystko, co miałam do powiedzenia. Chciałabym, abyście pamiętali, że oboje z mężem zawsze traktowaliśmy was bardzo dobrze. Nie wszyscy postępowali podobnie. Pamiętajcie o tym. A teraz zaczekam na tarasie, a wy podejmiecie decyzję i powiadomicie mnie, każdy z osobna, co postanowiliście: odejść, czy zostać.

Ogólne poruszenie, szmery rozmów i głośnych dyskusji. Pod wielkim bukiem Eugene'a Maxim i Chanute gwałtownie się ze sobą kłócili, tak przynajmniej wyglądało to z daleka.

Wreszcie Maxim podszedł do Miriam i, jak zwykle zdejmując czapkę z głowy, oznajmił:

- Proszę pani, Chanute i ja okropnie się posprzeczaaliśmy. On chyba oszalał. Cała ta gadanina o zlocie, kiedy gołym okiem widać, że kraj jest na krawędzi głodu. Skąd więc to złoto? On może sobie iść, gdzie tylko chce, ale ja zostanę. Zostanę i zadbam o to miejsce. Może wtedy, po jakimś czasie, podniesie mi pani pensję.

Nagle przed oczami Miriam pojawiło się wyraźne wspomnienie tych dwóch chłopców podobnych do siebie niby bliźnięta. Stali przed nią odziani w szamerowane uniformy i tak niezwykle czarni, jakby przybyli do jej małej, niemieckiej wioski z innego świata. Co w pewnym sensie było zresztą prawdą.

- Nigdy dotąd nie rozstawaliście się.

Maxim wyglądał tak, jakby zaraz miał się rozplakać.

- Wiem. Cały ten świat oszalał. Aleja nie mam zamiaru zwariować. Po nim pojawił się Syzyf. Ten rzeczywiście płakał.

- Zostaję, panienko Miriam. Urodziłem się w domu paniemki Emmy, poszedłem, za nią, gdy poślubiła pana Ferdinanda, i złożyłem ją do grobu na wieczny spoczynek. Gdzie miałbym pójść? Tu jest mój dom.

Jeden za drugim przybywali, aby oznajmić swą decyzję. Niektórzy z nieśmiałą Igą stwierdzali, iż zostają, inni hardo ogłaszali swe odejście. Byli nawet tacy, którzy odchodzili w gniewie, bez słowa.

Gdy wreszcie było już po wszystkim, Miriam pomyślała, że była to zapewne najcięższa praca, jaką wykonała w życiu.

- Czy sądzisz, że ta umowa się sprawdzi? - spytał Ferdinand.

- Nigdy - odparła z naciskiem Eulalia. Rosa jednak była przeciwnego zdania.

- Słyszałam, że w Nowym Orleanie w czasie okupacji Unii stwierdzono, iż robotnicy najemni produkują dziennie półtora raza więcej cukru niż niewolnicy.

- Zobaczymy - odpowiedziała krótko Miriam.

Najgorsze jednak dopiero miało nadejść. Rano, kiedy Fanny wniosła do pokoju Miriam miskę gorącej wody, po odstawieniu jej nie wyszła jak zwykle, lecz przystanęła z dłonią na kłamce. Jej ciemne oczy obiegały cały pokój, jakby czegoś szukały albo starały się go zapamiętać.

- O co chodzi, Fanny? Chcesz mi coś powiedzieć?

- Tak. I nie mogę się na to zdobyć.

- Ależ mów. Nie będę zła, nawet jeśli to coś nieprzyjemnego. Usta Fanny wygięły się w smutną podkówkę.

- Nie wiem, czy uzna to panienka za nieprzyjemne, czy nie.

I nagle Miriam już wiedziała. Była wstrząśnięta. Inni mogli odejść, spodziewała się, że to uczynią, ale Fanny? Nie przyszło jej to nawet do głowy. Równie dobrze mogłaby wyobrazić sobie, jak Angélique mówi: mam, nie chcę być dłużej twoją córką. Uniosła głowę, żeby z godnością przyjąć ten cios.

- Odchodzisz. To miałaś na myśli, prawda?

Fanny skinęła głową. Miriam czuła dławiący ból, którego nie było w stanie uśmierzyć błagalne spojrzenie służącej. Chciała powiedzieć: dorastałyśmy razem, czy to nic dla ciebie nie znaczy? Sądziłam, że jesteś zadowolona, szczęśliwa.

I nagle Fanny wybuchnęła potokiem słów:

- Panienko Miriam, ja muszę iść! Wcale nie chcę, ale muszę! Biaise mówi, że nigdy niczego nie dokonaliśmy, nic nie wiemy, a teraz otwiera się przed nami niepowtarzalna szansa! I ma rację, chyba panienka to widzi?

„Chyba tak, choć wcale nie mam na to ochoty” - pomyślała Miriam.

- Czuję, jak mnie boli, o tutaj - Fanny położyła dłoń na sercu - tutaj. Miriam uśmiechnęła się ze smutkiem.

- I głowa. Pęka pod naporem myśli i planów. Tak, wiem. M owiłaś mi to kiedyś, pewnego bardzo ciężkiego dnia.

Wzrok Fanny nadal żebrał o przebaczenie. Jej szeroko otwarte oczy lśniły niczym oczy dziecka, które prosi, aby je zrozumieć. Nagle dławiący ból zniknął, rana w sercu Miriam zagoiła się. Miała ochotę powiedzieć: „Nigdzie indziej nie będzie ci tak dobrze, jak w tym domu”, ale powstrzymała cisnące się na usta słowa. Zamiast tego wyciągnęła rękę.

- Oczywiście, że musisz odejść, to jedyny sposób, i niech cię Bóg błogosławi, Fanny, dokądkolwiek pójdziesz.

- Nigdy nie sądziłam po tym wszystkim, co Lincoln z nami uczynił, że będę czuła żal z powodu jego śmierci - powiedziała Pelagia. - Ale teraz, kiedy został zamordowany, zaczynam wspominać, jakim w rzeczywistości był dobrym człowiekiem. Nawet nasze południowe gazety nazywają tę zbrodnię „barbarzyństwem”. - Zbliżyła gazetę do migoczącej lampki. - Opisują go jako szlachetnego człowieka. Twierdzą też, że Johnson niestety go nie przypomina.

Ferdinand westchnął.

- Przeczytaj jeszcze raz list Dawida. Ten fragment o Lincolnie.

- „Jak wiecie - zaczęła Miriam - zamach miał miejsce piątego dnia Paschy. Wszyscy założyli żałobę. Tu, w Nowym Jorku, całą świątynię przybrano na czarno. Ileż my, jako Żydzi i obywatele, zawdzięczamy temu człowiekowi! W kondukcje maszerowało wielu członków B'nai Brith. Ja sam niosłem chorągiew. Trochę mi ciążyła, bo nie odzyskałem jeszcze pełni sił, ale z każdym dniem jestem coraz mocniejszy, i tak się cieszę, że żyję, że z wami wszystko w porządku, a wojna, cała ta rzeź, wreszcie się skończyła! Jeśli trzeba, przeszedłbym nawet drugie tyle. Zatem pośród ogólnej żałoby znalazło się też miejsce dla radości.”

- To Nowy Jork - mruknęła Eulalia. - W naszym kraju jest wielu ludzi, którzy bynajmniej nie oplakują jego śmierci, zapewniam was. Południe zostało pokonane jedynie przeważającymi siłami wroga, niczym więcej. Pozostał w nas duch, który nigdy nie zniknie, przetrwa nawet najgorsze czasy.

Ferdinand natychmiast postarał się uspokoić atmosferę.

- Odwagi! Mamy przed sobą nową walkę, walkę z ubóstwem - uśmiechnął się smutno. - Kiedyś już przez to przeszedłem, w Europie. Byłem wtedy znacznie młodszy niż którekolwiek z was, a Napoleon zniszczył cały kontynent. - Spojrzał na Miriam, dodając z dawnym optymizmem: - Poradzimy sobie. Raz już mi się udało, możemy to powtórzyć.



Jego pewność siebie była żalosna. W rzeczywistości Ferdinand był w nowych realiach równie bezbronny jak ktoś, kogo wraz z łodzią porwała potężna fala, a on udaje, że potrafi uchronić ją przed wywróceniem.

Wczesnym rankiem snuły się poszarpane strzępy mgły, przypominające wielkie pajęczyny. Szopy nadal krzątały się pośród młodych drzewek na mokradłach, zaś ptaki, ledwie wyrwane ze snu, świergotały nieśmiało. Czerwone słońce dopiero co wstało, gdy Miriam wyszła na dwór. Miała wrażenie, że każdego dnia budzi się coraz wcześniej, bowiem sen stanowił rzadki luksus. Dokąd prowadziło ją życie? Aby uciszyć podobny niepokój, wstawiała o świcie i wypełniała cały swój czas domowymi obowiązkami.

Było ich coraz więcej. Słoneczniki, owe wielkie, niezdarne, słoniowate rośliny, zarosły całą grządkę, która w zamiśle miała być bujnym ogrodem warzywnym. Robotnicy bezwstydnie zaniedbywali swą pracę. Nikt nie pofatygował się, by choć raz porządnie wysprzątać stajnie. Nawet teraz w oborze ryczały krowy, choć pora dojenia dawno już minęła. Wiele metrów ogrodzenia nadal czekało na naprawę. Ściany domu aż się prosiły o pomalowanie. Westchnęła. Za całe to gospodarstwo nie dostałaby nawet dziesięciu tysięcy dolarów, gdyby oczywiście znalazł się na nie chętny.

Trzasnęły drzwi. Przed domem pojawili się Eugène i Angélique.

- Znajdźcie sobie coś do zrobienia - poleciała im matka. - Może inni wezmą z was przykład. Jedno niech nakarmi kurczęta, a drugie wybierze kilka jajek i zanieśie do kuchni.

Spoglądała za nimi, jak w swych topornych drewniakach szybko biegną w stronę kurnika i znikają w środku. Gdy znów się pojawili, Eugène dźwigał cebrzyk ziarna. Z radością stwierdziła, iż bez jej nalegania wziął na siebie cięższą pracę. W jego zachowaniu wobec siostry wyczuwała pewną opiekuńczość, coś, co przypominało jej Dawida.

„Och, bądź sprawiedliwa! Jest w nich także wiele z ojca!” Doskonale ułożone dzieci, jak przystało na ich pozycję i klasę, są posłuszne i obowiązkowe. Eugène zachowuje się bez zarzutu, zaś Angélique jest naprawdę czarująca. Tęskni za nowymi sukienkami. Lecz gdyby nawet je miała, kiedy by w nich chodziła? W dzisiejszych czasach?

Kury zebrały się w półkole wokół ich stóp, uskakując przed pylistymi strumieniami ziarna. Usta Miriam skrzywiły się w cierpkim uśmiechu. Co by powiedział ich ojciec na taką wiejską scenkę? Jak zareagowałby na widok swego syna i córki, dziedziców nazwiska Mendes, karmiących kury na

podwórzu? Nieważne. Mają szczęście, że zostało im choć to, cokolwiek. Że w ogóle żyją.

I spoglądając w dal, ponad suchymi, żółtawymi polami, nad którymi powietrze zaczynało już drgać z gorąca, znów ujrzała długie rzędy pokrwawionych mężczyzn leżących na gołej ziemi i kobietę w Richmondzie, której błagalnie wyciągnięte ręce żebrały o mleko...

- Co teraz, mamó? - spytała Angélique.

- Sprawdźcie u Maxima, czy was do czegoś nie potrzebuje. Jest przepracowany, a nigdy nie prosi o pomoc.

- Tak samo Syzyf - dodał Eugène. - Wczoraj poszedł do stodoły, żeby pomóc podnieść wóz, bo akurat wymieniali koło. Jest na to za stary. Kazałem mu odejść i sam go zastąpiłem.

- Powiedz mi - zapytała nagle Miriam - co cię odmieniło, Eugène? Kiedy przeszedłeś w tej wojnie na drugą stronę? Nadal nie bardzo to pojmuję.

- Nie uważam, żebym przeszedł na drugą stronę - odparł. - Nie jestem zdrajcą.

- Wiem, że nie. Chodzi mi o twoje poglądy.

- Dotyczące systemu? Sam dokładnie nie wiem. Pomyślałem o tym, gdy sam zacząłem pracować i odkryłem, jak ciężkie potrafi być życie. Po prostu nagle przejrzałem na oczy.

Pomyślała z zadowoleniem, że jej syn ma wrodzone poczucie sprawiedliwości. Ale czy poszedłby tą drogą, gdyby żył jego ojciec i nadal miał na niego równie przemożny wpływ? Czy to nie straszna śmierć Eugene'a pozwoliła synowi stać się tym, kim jest teraz?

- O, jest Maxim - powiedziała, zmieniając temat. - Maximie, ci młodzi ludzie chcieliby wiedzieć, czy nie potrzebujesz czasem ich pomocy?

- Nie, proszę pani, dam sobie radę. Czy nie powinni raczej usiąść nad książkami?

- Rzeczywiście. Zajmijcie się gramatyką niemiecką. Później was przepytam. Szkoda, że sama nie miała lepszego wykształcenia. Mogłaby wtedy pomóc im odrobić te stracone lata. Niemiecki był jedynym przedmiotem, który znała na tyle, by móc go uczyć. Cóż, lepsze to niż nic. Kiedy dzieci odchodziły w stronę domu, Maxim westchnął:

- Wydaje się, jakby dopiero wczoraj urodziły się w tym domu.

Wczoraj, a zarazem jakby to już było sto lat temu! Jakże uroczo, wyglądały w swych kołyskach! Dawid na stałe wrócił do domu... Parowiec

gwizdał na rzece, przywożąc gości i prezenty... Owoce i kwiaty, wino i muzyka... Gabriel też przybył do domu...

- Przynoszą paniencie chlubę - ciągnął Maxim. - Tacy uprzejmi i grzeczni. Z klasą. Z prawdziwą klasą.

- To także twoja zasługa oraz Blaise'a i Fanny, i Syzyfa. Pamiętaj o tym. Wszyscy mieliście udział w ich wychowaniu.

Robotnik polowy, dosłyszawszy głos Miriam, wyjrzał zza rogu stodoły.

- Dzień dobry pani. Wcześniej pani witała.

- Zawsze wcześniej wstaję. Czeka na mnie mnóstwo pracy.

- Zastanawiałem się, czy nie powinniśmy zastrzelić tego starego Pieprza. To był kiedyś naprawdę świetny muł, ale całkiem się zestarzał.

Ogon starego muła ze świstem przeciął powietrze. Zwierzę wychyliło głowę ponad ogrodzeniem i długimi, żółtymi zębami zaczęło żuć kępę trawy. Zmęczone, melancholijne oczy wpatrywały się w Miriam.

Zupełnie jakby w tym jednym starym mule skupił się cały smutek tego świata.

- Dajcie mu spokój. Nie będzie więcej żadnego strzelania - oznajmiła i zerwawszy garść trawy, podsunęła ją pod miękkie, sapiący pysk.

- Posłuchaj - zakomenderowała - chcę, żeby jeszcze dziś rano w oborze znalazła się świeża podściółka z sosnowych igieł. Krowy chorują, jeśli muszą leżeć w wilgoci.

- Tak, proszę pani. Natychmiast, proszę pani.

Nikt nie uczył jej, jak dbać o bydło, ale większość rzeczy to tylko kwestia zdrowego rozsądku.

Wróciła do domu, aby wypolerować resztkę sreber. Tydzień temu udały się z Rosą, by wydobyć srebra, które niegdyś tak starannie zakopały, i stwierdziły na miejscu, że połowy brakuje. Serwis, подарowany Miriam przez Eugene'a w dniu ich ślubu, był na swym miejscu, lecz komplet należący do Emmy zniknął. Ktoś musiał śledzić je tamtej nocy. Szkoda, że zginął akurat serwis Emmy. Miriam nie przejęłaby się zbytnio własną stratą, ale dla papy rzeczy znaczyły tak wiele.

W jadalni na stole czekał na nią serwis do kawy. Miriam wzięła ściereczkę i zabrała się do pracy. Sprawiało jej to wielką satysfakcję, choć Syzyf nadal ze zgrozą przyglądał się pani domu, oddającej się podobnym czynnościom.

Ferdinand wszedł do jadalni i zaczął przyglądać się córce. Przez kilka minut milczał, po czym nagle powiedział, zakłócając równy rytm tykania zegara.

- Stajesz się podobna do swojej matki.

- Nigdy nie sądziłam, że jestem do niej podobna. Zaskoczył ją. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz wspomniał matkę.

- Ostatnio często ją widuję. Nie zdarzało mi się to od lat - stwierdził. - Kiedy pierwszy raz ją ujrzałem, miała na sobie kraciasty szal.

„Ależ ja właśnie tak ją sobie wyobrażam! - krzyknęła w duchu Miriam. - Czemu zawsze widywałam ją w kraciastym szalu? Jestem pewna, że nigdy przedtem nie wspominał mi o tym. Czy może powiedział mi ktoś inny?”

- Była śliczna. Miała owalną twarzyczkę, spokojną i poważną.

Kołysał się na poskrzypującym fotelu i dźwięk ten zlał się z jego monotonnym głosem w jedną senną melodię.

- Dziwne są koleje losu. Gdyby nie kamień, ciśnięty przez oszalałego z wściekłości chłystka, zapewne nadal znajdowalibyśmy się w małej niemieckiej wiosce. Angélique i Eugène w ogóle nie przyszliby na świat. Tak, przypominasz mi ją, ale to Dawid ma jej oczy. Dokładnie takie same. Tak chciałbym znów ujrzeć Dawida. Bardzo mnie rozzłościł, ale to dobry chłopiec, wiem o tym. Chciałbym go zobaczyć.

- Teraz, kiedy wojna już się skończyła, z pewnością przyjedzie tu z wizytą, papo. Na pewno.

Spojrzała na ojca. Zapušcił brodę, ponieważ tak nakazywała moda, ale przypominał w niej nie eleganckiego dżentelmena, lecz raczej żydowskiego patriarchę, dziadunia, którego nadal widywała we wspomnieniach. Bujna, niegdyś kasztanowa kręcona czupryna zupełnie poszarzała. Tak właśnie nadchodzi starość. Nagle, pewnego dnia budzimy się jako sędziwi ludzie.

Ferdinand wyglądał przez okno.

- O, idzie Eulalia. Niesie wodę kurczakom. Nadal nie mogę się nadziwić zmianom, jakie w niej zaszły.

- Może po raz pierwszy w życiu czuje się ważna?

- Co takiego? Doglądając kur? Córka takiej rodziny?

- W tym wszystkim, co robi. Nie przypuszczałam, że Eulalia tak dużo umie. Jest złośliwa i wiecznie skwaszona, to prawda, ale bez niej radzilibyśmy sobie znacznie gorzej. Nikt z nas nie wiedział, jak robić przetwory, szyć czy wykonać inne niezbędne czynności, póki nam nie pokazała. - Miriam mówiła to nie z sympatii dla Eulalii, wymagało tego poczucie sprawiedliwości. - Przez całe życie traktowano ją jak piąte koło u wozu, ponieważ nie potrafiła jednego, czego wy, mężczyźni, po nas oczekujecie - nie umiała być ozdobą salonu. Mężczyzna może być gruby,

łysy, z wystającymi zębami i nikomu to nie wadzi. Ale niech tylko zjawi się trochę brzydsza kobieta, natychmiast idzie w odstawkę. Nie chcę, aby moja córka spotkała coś takiego.

- Nie martw się o Angélique - Ferdinand zachichotał. - Już teraz to piękność. Ojciec tego nigdy nie zrozumie. Gabriel pojąłby, o co jej chodzi. Gabriel zawsze

doskonale ją rozumiał. Następna uwaga ojca wyrwała ją z zamyślenia.

- Chciałbym, Miriam, abyś ponownie wyszła za mąż.

„Ja też tego pragnę... Nigdy nie byłam naprawdę zameżna, nie wiedziałeś o tym? Chciałabym być połączona z kimś nierozzerwalną więzią, opartą na miłości i zaufaniu. Jakże cudownie byłoby należeć do niego, nie mieć przed nim sekretów, nic nie ukrywać! Poznać go do głębi... Staram się wyobrazić sobie André, usłyszeć jego głos, ale już nie potrafię. Nie potrafię.”

- Ktoś jedzie - oznajmił nagle Ferdinand. Wstał, aby lepiej się przyjrzeć. - Jakiś mężczyzna skręcił w alejkę.

Nie musiała pytać. Wiedziała, że to André.

- To naprawdę wielkie święto - zawołał Ferdinand. - Dzięki Ci, Boże, że wojna wreszcie się skończyła! I choć nasze serca oplakują tych, którzy odeszli - zerknął spod oka na Rosę i Pelagię - dziękujemy ci, że tak wielu ocalało i powróci do domu. A teraz zdrowie tego, który uratował mojego syna. - Uniósł kieliszek ku André. - Jemu szczególnie dziękuję i w dowód wdzięczności wznoszę toast przednim winem, które nam przywiózł. Doskonałe. Nic nie może się równać z prawdziwym francuskim winem - podsumował i usiadł, oszołomiony wzruszeniem i silnym działaniem trunku. - A oto Syzyf, poczciwy Syzyf. Dawno już nie mieliśmy tu podobnego obiadu, prawda, Syzyfie? Nie powinieneś sądzić, że żyjemy tu pośród luksusów, André, wręcz przeciwnie, daleko nam do nich - oświadczył, gdy Syzyf wniósł pieczonego indyka na jednym z ocalałych srebrnych półmisków.

Po bokach stały galaretki, odnalezione w zapomnianej piwnicy, i znakomity sos, sporządzony pod czujnym nadzorem Eulalii. Miriam z pewną obawą pomyślała, że zużyto do niego ostatnie jajka.

- Tak - opowiadał André - upadek Richmondu to niezapomniana scena. Davis był właśnie w kościele, kiedy przyszli do niego z rozkazem opuszczenia miasta. Ludzie byli absolutnie zszokowani; nie mieli pojęcia o sytuacji, ponieważ Departament Wojny przez ostatnich kilka tygodni nie dopuszczał informacji do gazet. Zamiast tego drukowano mnóstwo

optymistycznych bzdur. Na ulicach natychmiast zapanował chaos. Dzwony kościelne nadal wzywały na msze, gdy w gabinetach rządowych pakowano na wozy całe archiwa, aby zabrać je do pociągu. Ludzie tłoczyli się przy pociągu, ale nie można było dostać się do środka bez przepustki od sekretarza Departamentu. A większość ludzi nie ma do niego dostępu.

André opowiadał znakomicie. Jego dźwięczny, czysty głos pełen był dramatycznej emfazy. Miriam nie odrywała od niego wzroku, ale nie zwracało to niczyjej uwagi, bowiem wszyscy wpatrywali się w gościa jak zahipnotyzowani.

Jego piękna twarz nie zmieniła się. Wojna odcisnęła piętno na wszystkich, niektórzy popadli w melancholię, inni stali się zbyt nerwowi, jeszcze inni skłonni byli do kłótni. Miriam miała ciemne kręgi pod zmęczonymi oczami. André jednak kwitnął. Tak, jakby ostatnie lata spędził na balach.

- Rada miejska nakazała zniszczenie całych zapasów alkoholu. Whisky spływała do rynsztoków! Co za marnotrawstwo - André wykrzywił się komicznie. - Ale wielu ludzi wolało wypić zawartość swych butelek, i po ulicach pętały się setki pijaczków, krążących pośród tłuczonego szkła i zupełnie nieświadomych tego, co się dzieje. Następnie zarząd wojskowy polecił spalić wszystkie młyny. Głupcy! Ogień zaczął się rozszerzać z przerażającą szybkością. A czego się spodziewali? Czego zresztą można oczekiwać po politykach i wojskowych, jeśli nie głupoty właśnie?

Coś zaświtało w umyśle Miriam, jakieś przypadkowe wspomnienie: kiedyś w domu jej ojca słynny podróżnik, który właśnie powrócił z Indii, opowiadał zafascynowanym słuchaczom o płonących wysypiskach śmieci, o promieniach księżyca, odbijających się w brudnych wodach Gangesu i o porannym słońcu, ukazującym ciała biedaków, zmarłych w nocy na ulicy. Wtedy, jeszcze jako dziecko, miała wrażenie, iż gość opowiada o owych okropnościach z prawdziwą satysfakcją; był jedynie świadkiem egzotycznego spektaklu, pozbawionym wszelkiego współczucia dla swych braci.

Zamrugła oczyma i wspomnienie uleciało.

- Rzecz jasna ogień dotarł wkrótce do arsenałów i zaczęła eksplodować amunicja. Prawdziwe piekło. Ludzie wyrzucali meble z płonących domów, rozpalali ogniska konfederackimi pieniędzmi, porywali wozy i uciekali. Wsiadłem na konia i ruszyłem wzdłuż torów aż za miasto. Moje ostatnie wspomnienie Richmondu to ogień i zgliszcza.

To był już koniec opowieści. André zapalił cygaro. Wstrząśnięci i milcząco słuchacze obserwowali, jak zdziera z cygara opaskę, odgryza koniuszek, zapala zapałkę i rozpiera się wygodnie, napawając się aromatycznym dymem.

Ciszę przerwał Lambert Labouisse.

- Cóż, zawsze twierdziłem, że Jeff Davis nigdy tak do końca nie stał po naszej stronie. Zawsze skłaniał się w stronę Unii. I oto rezultat. - Rozejrzył się po pokoju, po otaczających go twarzach, meblach i ścianach, jakby coś tu mogło inaczej wytłumaczyć katastrofę.

André rzucił wesoło:

- Nie ma sensu rozpatrywać przeszłości. Musicie spojrzeć na to pod innym kątem: wszystko dobre, co się dobrze kończy.

- Dobrze kończy? - powtórzyła poważnie Miriam. - Pomijając nawet tych wszystkich martwych i rannych, wystarczy jedynie stanąć na końcu naszej alejki i przyjrzeć się przechodzącym ludziom. Wędrują tędy od tygodni, mając w kieszeni zwolnienia ze służby i nic poza tym, ani jednego grosza. I nie wiedzą, czy dostaną gdzieś pracę. Są zrujnowani. Panuje niewiarygodna nędza. Oto, jak dobrze wszystko się skończyło.

- Oczywiście, rozumiem to. - W głosie André zabrzmiało współczucie. - Ale nie wszędzie jest tak samo, zresztą wiecie o tym. Niektórzy ludzie - nawet południowcy - zyskali fortuny, o jakich nie marzyli. W Memphis i Vicksburgu tyle samo bel bawełny płynęło wojennymi barkami na Północ, jak w dół rzeki do południowych portów, i dalej, przez ocean.

Była to niewątpliwie prawda. Miriam zerknęła na Lamberta Labouisse. Był taki, jak zawsze, w eleganckim letnim surducie, wyprostowany i sztywny, palił jedno z ogromnych hawańskich cygar André.

- Przepraszam - powiedział André. - Poruszaliśmy bolesny temat. A wykładem o potwornościach wojny nie powinno się kończyć tak pięknego wieczoru. - Jego olśniewający uśmiech zdawał się błagać obecne panie o przebaczenie.

Słowa „kończyć wieczór” potraktowano jako sygnał, zresztą zgodnie z intencją ich autora. Rzeczywiście, było już późno, o czym przypomniało wszystkim chrapliwe bicie zegara.

- Myślałem już, że nigdy nie zdobędą się za trochę wycucia i nie zostawią nas samych - mruknął, gdy inni udali się na górę. - Chodź! Podejdź tu!

Rozłożył ramiona, a ona przytuliła się do niego. Objął ją, ucałował. Jej oczy, które niegdyś zamykała w ekstazie, były czujne i szeroko otwarte.

Ponad jego ramieniem spoglądała w stronę paleniska, na którym pośród popiołu mrugało kilkanaście czerwonych oczu.

Wyszeptał w jej ucho:

- Usiądź. Mam ci do pokazania parę rzeczy. Najpierw to. Przeczytaj. Posłusznie odczytała wycinek z paryskiego dziennika:

„Dobrze poinformowane źródła donoszą, że madame Marie Claire Perrin, po odniesionych tej zimy licznych sukcesach w salach koncertowych Europy, otrzyma niedługo ostateczne orzeczenie o rozwodzie z mężem, który podobno przebywa gdzieś w Stanach Zjednoczonych.”

- No i co o tym myślisz? Rozwiodła się ze mną! To jest gazeta sprzed trzech miesięcy. Lada chwila powinienem dostać dokumenty. Ale poczekaj, to nie wszystko. Mam jeszcze to. - I André położył na stole wyjęte z kieszeni aksamitne pudełeczko. - Otwórz.

Ręce Miriam drżały tak, że nie mogła poradzić sobie z zameczkiem.

- Jak ci się podoba?

Ujrzała tradycyjny rubinowy pierścionek zaręczynowy, ale to nie był zwyczajny rubin, lecz najwspanialszy klejnot, jaki kiedykolwiek widziała. Przyciągał do siebie światło, wchłaniał je i sam promieniował łagodnym, różowym blaskiem. Wpatrzyła się w kamień, jakby to była żywa istota. I jej myśli powróciły do przeszłości, do tego dnia, kiedy Eugene wręczył jej swój pierścionek. Pamiętała nawet, jaką miała wtedy na sobie suknię, jak układały się jej spódnice - kremowy batyst przybrany lawendowymi wstążkami. Tak, i pamiętała też sam pierścionek, a także to, że ani jego symbolizm, ani niewątpliwe piękno nie sprawiały jej radości. I to ją przerażało. Podobnie było z tym pierścionkiem.

- Jest bardzo piękny - powiedziała.

- Nie podoba ci się? - spytał André.

- Jakże można go nie podziwiać? Ale dla mnie jest stanowczo zbyt wspaniała - zająknęła się - Nie pasuje do mnie... ani do tych czasów. - I odruchowo wskazała na swą suknię, która została przeniecona tak, że dawna podszewka stanowiła obecnie wierzch.

- Jesteś tym wszystkim zmęczona. Potrzebujesz nowych sukien i nowych zabaw. Przyciągnął ją do siebie, aby znów pocałować, lecz Miriam zeszytniała i jej wargi ledwo musnęły usta André. Cuchnął winem. Był brutalny, alkohol uderzył mu do głowy. A pierścionek nadal spoczywał na stole.

- No śmiało, przymierz go.



Nie chciała tego robić. Ogarnęło ją potworne zmieszanie i słabość. Nagle jej oczy wypełniły się łzami. Ale jakże można płakać, kiedy spełniają się ich marzenia? Zacisnęła powieki, z całej siły powstrzymując płacz.

- Jestem zupełnie wyczerpana. Tyle się dziś zdarzyło - wypowiedziała pierwsze słowa, które przyszły jej na myśl. - Boję się... Nie rozumiem...

André był zdumiony.

- Czego nie rozumiesz? Czego możesz się bać?

- Nie wiem.

Na palenisku czerwone oczy gasły jedno za drugim. Zaczęło padać. Zawsze słyhać było, jak pierwsze ciężkie krople uderzają o dach werandy. Po chwili przyspieszyły rytm. To był ciepły, gęsty deszcz. Zupełnie jak lzy.

- Cuchnie tu klęską - oznajmił nagle André z pogardą.

Szerokim gestem ogarnął wszystko to, co dostrzegł jadąc tu dzisiaj: zniszczone, próchniejące z braku farby belki, suche, brązowe łodygi bawełny na polach. Jego wzgarda zdawała się przechodzić w gniew.

- Posłuchaj mnie. Mam zamiar wydostać cię stąd, zabrać daleko od tych ruin. I tak nie warto ich odbudowywać. Co powiesz na mały chateau nad Loarą? Albo na mały wiejski domek w Prowansji? Wiosną to istny raj. Weźmiemy twoją rodzinę i, oczywiście, ojca.

„Zabrać papę? Skłonić go, by porzucił Amerykę i wrócił do Europy? Nie zna mojego ojca” - pomyślała.

- A może wolałabyś elżbietański pałacyk na południu Anglii? Wybór należy do ciebie. - A kiedy Miriam nie odpowiedziała, dodał z lekkim odcieniem wyższości w głosie: - Mam obraz sir Edwina Landseera, przedstawiający spaniele. Kupiłem go w Londynie specjalnie dla ciebie. Będzie wspaniale wyglądał nad kominkiem w starej angielskiej rezydencji albo gdziekolwiek indziej. Zupełnie przypominają Gretel.

Gretel, usłyszawszy swe imię, uniosła z poduszki starą głowę, machnęła raz ogonem, po czym z powrotem zasnęła.

„Gabriel przyniósł mi szczenię, miękkie, delikatne stworzonko, niewiele większe od jego dłoni.”

- Czy jesteś aż tak bogaty? - spytała cicho. - Twoi przyjaciele w Richmondzie mówili o człowieku, który zarabiał pięćdziesiąt tysięcy dolarów miesięcznie na sprzedaży importowanych towarów. Czy to byłeś ty?

- Nie wiem. Nie byłem jedyny. Zresztą ludzie uwielbiają zaglądać innym do kieszeni. I z pewnością nie zarabiałem tak co miesiąc. To przesada, choć niezbyt odległa od prawdy.

Kiedy nie odezwała się ani słowem, zapytał gwałtownie:

- O co chodzi? Coś nie tak?

- Myślałam tylko... Przerwał jej jednak.

- Znów te rozmyślania! Widzę, że dużo czasu zabierze mi odzwyczajenie cię od zagłębiania się w ponure myśli.

- Myślałam - nie ustępowałam - o wszystkich nieszczęściach. I o pięćdziesięciu tysiącach dolarów miesięcznie.

- Na tym właśnie polega wojna, Miriam! A co sobie wyobrażałaś? To ból i śmierć! Nie bierz sobie tego tak do serca. Wojna to największa głupota, ale ludzie zawsze ze sobą walczyli, wciąż wybuchają nowe konflikty. Ten się skończył, więc spróbuj o nim zapomnieć, zapomnieć o tym przeklętym idiotyzmie.

- Przeklęty idiotyzm? Tak to nazywasz?

- Tak, i jedynie głupcy traktowali go serio. Rozsądni ludzie umieli zatroszczyć się o siebie. Och, w pierwszych miesiącach wykonałem parę kursów przez blokadę dla samej idei. Ale kiedy stały się zbyt niebezpieczne, zrezygnowałem. Wszystkie te flagi i slogany, co komu po nich? I chwała, która w rzeczywistości wcale nie przynosi chwały. Miałem wrócić z drewnianą nogą i szmatą, na której wymalowano jakieś gwiazdy? Po co? Gwiazdy i belki, gwiazdy i pasy - co za różnica? Czy warto oddać za to rękę czy nogę? Jedynie durnie - André roześmiał się - trzydziesto-i czterdziestoletni chłopcy podniecają się podobnymi rzeczami.

„Milcz - błagała go w duchu Miriam. - Czy nie widzisz, że każde twoje słowo rani mi serce?”

Nie dostrzegł, jak bardzo była załamana. Nalał sobie kieliszek brandy, po czym kilkakrotnie obrócił go w palcach, z lubością wdychając bukiet. Miriam obserwowała ten elegancki rytuał ze ściśniętym sercem.

- Chcesz poznać prawdę? Nigdy nie obchodziło mnie, kto wygra. Zabezpieczyłem się na każdą ewentualność. Jeśli zwyciężyłoby Południe - wiedziałem, że tak się nie stanie, ale jednak - nadal miałbym moją ziemię, z tą tylko różnicą, że byłbym w stanie ją utrzymać. W przypadku wygranej drugiej strony - cóż, mam dość pieniędzy, wystarczy mi do końca życia. Bardzo dostatniego życia. Moi kuzyni mogą zatrzymać plantację i zrobić z nią, co im się żywnie podoba. Czyli niewiele.

Miriam poczuła, jak jej ciało sztywnieje. Wyprostowała się, splatając ręce na kolanach i wbijając paznokcie w dłonie.

- Czy nie byłoby o wiele prościej - spytała - zostać w Europie i przeczekać tam wojnę? Przecież byłeś tam w chwili jej wybuchu. Po co wracałeś do tego chaosu?

Uświadomiła sobie, że jeszcze kilka miesięcy temu nie miałyby wątpliwości: wrócił z miłości dla niej.

- Jak po tym wszystkim, co ci mówiłem, możesz jeszcze pytać? Ponieważ tutaj zbiłem fortunę! Pozwól, że ci coś pokażę. - Z niewielkiej torby, leżącej w kącie pokoju, wydobył plik fotografii. - Spójrz. Ta pochodzi z czasów, gdy w sześćdziesiątym drugim przemykałem się przez blokadę. To kawiarnia w Hawanie, nazywa się Luwr. Wszyscy, z Południa i Północy, spotykali się tam, aby ubić interesy. To ja z dwoma oficerami marynarki federalnej. To oni nawiązywali kontakty z północnymi statkami kupieckimi, które później dostarczały ładunek towarów. Szmugler z naszej strony dowoził bawełnę, a pośrednik sprzedawał i kupował. Wydaje się to bardzo skomplikowane, w rzeczywistości był to jednak zwykły handel, i to szalenie zyskowny. Dla wszystkich. Za jeden ładunek bawełny można było mieć towary warte pół miliona dolarów. Tak to funkcjonowało.

Miriam obejrzała fotografie. Tak, siedział tu, mrużąc lekko oczy w blasku tropikalnego słońca. Jego uśmiech się nie zmienił, przypominał stare dobre czasy. Świetnie się bawił, podczas gdy jej brat tak cierpiał! Ujrzała zapadniętą twarz Dawida, liczne brakujące zęby. A Gabriel, który może już nie żyje...

Powiedziała powoli:

- To była dla ciebie zabawa, prawda? Gra. Sam mówisz, że nie dbałeś o to, która strona ma rację, a która nie, ani jak to wszystko się skończy.

Gardziłeś nami, prawda? Dopóki miałeś swoje drogocenne rzeczy... - Wskazała butelkę brandy i stos ciągle jeszcze nie rozpakowanych podarków na komodzie.

- Podobały ci się moje prezenty. Wtedy, kiedy przywiozłem ci żółty jedwab i pantofelki, i kapelusze, ucieszyłaś się, nieprawdaż?

- Tak. Niestety, tak.

Roześmiała się. Po raz pierwszy pomyślała, że André śmieje się zbyt często. Teraz w jego głosie dźwięczało lekkie niedowierzanie.

- Jesteś małym głuptaskiem. Niemądrą, cnotliwą dziewczynką, ale mimo wszystko kochaną. Chodź do mnie - usiłował dotknąć jej piersi.

Cofnęła się.

- André, nie jestem ani mała, ani głupia. I nie jestem już dziewczynką, tylko kobietą.

- A zatem bądź nią i nie staraj się zachowywać jak mężczyzna. Miriam, bądź sobą. Taką, jak kiedyś.

Czy to naprawdę André? Co się z nią dzieje? Jego słowa owiały ją chłodem niczym lodowaty wiatr. Zadrżała.

- André... nigdy nie rozmawialiśmy o wojnie. To najważniejsze wydarzenie naszych czasów, naszego życia, a my nigdy nie poruszyliśmy tego tematu. Właśnie uświadomiłam sobie, że tak naprawdę rzadko o czymkolwiek dyskutowaliśmy.

- Rozmawialiśmy na jedyny istotny temat: o nas. O tobie i o mnie.

Jego głos kusił. Poczula jednak, jak jej wargi mimo woli układają się w wyraz dezaprobaty, chociaż wydawało jej się, że po tylu godzinach spędzonych przed lustrem nauczyła się kontrolować. Poznała to po reakcji André.

- Większość rozmów to tylko ciche słowa - stwierdził. - A tak naprawdę, to każdy myśli tylko o tym, żeby przetrwać.

Nadal nie mogła uwierzyć, że rzeczywiście mówił serio.

- To nieprawda - zaprotestowała. - Jak możesz tak mówić? Byłeś taki dobry dla mojego brata. To nie miało nic wspólnego z „przetrwaniem”.

- Chciałem ci sprawić przyjemność! Ledwie znałem twojego brata. A jak myślisz, w jaki sposób udało mi się tego dokonać? Wyłącznie dzięki kontaktom i interesom, które tak cię szokują. A przecież wiemy, że zawsze sympatyzowałaś z Północą.

- Owszem, popierałam ich i nadal uważam, że mają rację. Ale musiałam tu żyć z moją rodziną i zachowałam lojalność w stosunku do tych ludzi. Przynajmniej byłam lojalna!

- Twoja lojalność wygląda dość dziwnie! Tu, pod tym dachem, członek jednej z najszacowniejszych rodzin grał na dwa fronty. Przypuszczam jednak, że o tym nie wiedziałaś.

- Wiedziałam doskonale! To stary Labouisse. Dowiedziałam się już dawno temu.

- I nie przeszkadzało ci to?

- Rzecz jasna, byłam wstrząśnięta, ale nic nie mogłam zrobić. Przekonałam się jednak, że ludzie nie zawsze są tacy, na jakich wyglądają.

- Każde dziecko o tym wie, Miriam.

- Nie zawsze. Dziewczynki, wychowane zgodnie z tutejszymi zwyczajami, nie wiedzą zbyt wiele o świecie i nie orientują się, co kryją uśmiechy i miłe słówka - głęboko zaczerpnęła powietrza. - Co ja o tobie wiedziałam, André? Dochodzę do wniosku, że w ogóle cię nie znam.

- O co, u diabła, ci chodzi?

- Och, to nie twoja wina! Naprawdę. Bo i ty mnie nie znasz. Nigdy nie byliśmy ze sobą szczerzy.

Brwi André uniosły się.

- Tak? Wydawało mi się, że było wręcz przeciwnie.

Zarumieniła się. Po raz kolejny poczuła, jak zalewa ją kompromitująca fala gorąca, a twarz czerwienieje aż po koniuszki włosów.

- Są jeszcze inne rzeczy, poza...

- Poza ciałem, to masz na myśli? Czemu tego nie powiesz? Miriam, nie pojmuję, co się dziś z tobą stało. Zmieniłaś się.

- Być może, ale ty także. Albo po prostu zaczęłam dostrzegać rzeczy, których wcześniej nie widziałam. Przyjeżdżasz tu, do tych ruin, i opowiadasz podobne rzeczy! To okrutne! Dom Pelagii został spalony. Straciła syna. Tak samo Rosa, która została bez niczego. Gabriel ulokował cały majątek w obligacjach konfederackich, które nie są dziś warte złamanego centa.

- Tym większym jest głupcem - powiedział ze wzgardą André. - Gdyby miał choć trochę rozsądku, przeniósłby oszczędności do banku w Nowym Jorku.

„« Skoro go kochasz - powiedział Gabriel - tak widać musi być. Chciałem się tylko upewnić, czy...» Poczuła na swych włosach dotknięcie szorstkiego policzka. Na przeraźliwie ponurej ulicy orkiestra wojskowa grała smutnego marsza... « Poszedłem za Lee. Dałem słowo. »"

Prawie krzyknęła:

- Nie mów tak! Nie nazywaj Gabriela głupcem! On przynajmniej w coś wierzył i gotów był oddać za to życie.

- Ale się zarumieniłaś! Można by pomyśleć, że jesteś w nim zakochana!

- Gdybyś tylko w coś wierzył! - ciągnęła, ignorując jego słowa. - Po cóż żyć, jeśli nie ma się przed sobą żadnego celu?

- Ależ ja mam cel! Pragnę miłości i przyjemnego życia. Dano nam tak niewiele czasu! Chciałem go wykorzystać do maksimum. To takie proste. Nie pojmujesz tego?

Z dawnym, czułym uśmiechem błagał ją o zrozumienie. Przyjrzała mu się uważnie.

- Ostatecznie, Miriam, nigdy nikogo nie skrzywdziłem. Musisz mi to przyznać. Nigdy, przez całe życie, a przynajmniej nic o tym nie wiem.

To prawda. Nie potrafiłby zrozumieć, jak bolesne rany zadaje w tej chwili. Najwyraźniej nie dotarło do niego nic z tego, co Miriam mówiła przez cały wieczór.

Tak, to człowiek, który chciał się tylko cieszyć życiem i rozweselać innych. Poza tym nie miał nic do zaoferowania. Ona zresztą również nie mogła mu nic dać. Czas, kiedy go potrzebowała, należał już do przeszłości. To wszystko. Przeszłość.

Chciało się jej płakać. Z żalu po nim, po nich obojgu.

- Miriam... nie patrz tak na mnie. Czy uważasz mnie za jakiegoś złoczyńcę?

- Przepraszam - odparła szybko. - Oczywiście nie jesteś złoczyńcą, nigdy nim nie byłeś. Tylko...

Zapadła długa cisza, podczas której ich spojrzenia spotkały się. Wreszcie André powiedział cedząc słowa:

- Tylko co? Jest inny mężczyzna. Mam rację, prawda?

W mgnieniu oka zmienia się wszystko i człowiek dostrzega rzeczy, których przedtem nie zauważał. Pożądanie znika bez śladu. Mężczyzna, który stoi przed nią, jest jej obcy, zawsze był obcy, choć sobie tego nie uświadamiała.

Gdy nie odpowiadała, powtórzył ostro, chwytając jej ramię.

- Czy jest jakiś mężczyzna? Mów!

Nie chciała go zranić. Powinien jednak wiedzieć, jak różnią się od siebie i że nigdy nie zdołają pogodzić tych sprzeczności.

- Niema nikogo innego, André. Po prostu nie pasujemy do siebie. To wszystko. Puścił ją.

- Nie pasujemy do siebie? Nie wierzę własnym uszom!

- Wiem. Ja sama ledwie wierzę w to, co mówię.

I znów zaległa między nimi cisza, podczas gdy wokół uśpionego domu szumiała gwałtowna ulewa.

- Zawsze byłaś purytanką - stwierdził wreszcie André - biblijną purytanką, jak twój brat. Dziwne, ponieważ na taką nie wyglądasz. Przynajmniej kiedyś nie wyglądałaś! Może zafascynowała mnie właśnie ta sprzeczność. Kto wie?

- Jego głos stwardniał. - Ale musi w tym być coś więcej, coś, czego mi nie mówisz! Jest ktoś inny. To Carvalho. Dlatego tak zaprotestowałaś, kiedy nazwałem go głupcem.

- Mylisz się, André. Jesteś w błędzie.

Była wyczerpana. Jego przenikliwe spojrzenie, mierzące ją od poplamionego rąbka starej sukni po zmęczoną, przechyloną głowę, paliło jak ogień. Plamka światła padła na wspaniałą pierścień, nadal spoczywający na stole. Żalony symbol rozstania, niedbale rzucony na gołe deski. A przecież przybył tu tak dumnie, w wytwornym aksamitnym pudełeczku.

André niecierpliwie uderzył pięścią w dłoń. Znała ten gest. Oznaczało to, iż oczekiwał rozwiązania, szybkiej odpowiedzi.

- Czy jest coś, co mogę zrobić? Znasz mnie, Miriam. Nie potrafię znieść tych niedomówień, twojej żalobnej miny. Po prostu powiedz, czego ode mnie oczekujesz.

- Niczego - odparła nieszczęśliwym głosem.

- Cóż, w tej sytuacji mój pobyt tutaj nie ma sensu. Równie dobrze mogę wracać tam, skąd przybyłem. I to szybko. - Zgarnął ze stołu pierścioneńki i schował go do kieszeni.

Miriam złapała go za rękaw.

- Nie chciałabym, abyś mnie znienawidził.

- Ależ nie, Miriam. Nigdy nie umiałbym wzbudzić w sobie nienawiści do ciebie. Jest mi tylko przykro, i żal mi cię. Nie czuję nawet gniewu, choć powinienem, bo zmarnowałem mnóstwo czasu i na darmo odbyłem tak długą podróż.

- Przedtem tego nie wiedziałam. Naprawdę nie uświadomiłam sobie aż do dzisiejszego ranka. Uwierz mi, proszę.

- Wierzę. Wygląda na to, że ja również zupełnie cię nie znałem, nieprawdaż? - obdarzył ją cierpkim uśmiechem. - Mam jednak nadzieję, że nie popełniasz błędu, którego będziesz później żałować.

- Jeśli nawet, niech i tak będzie. Nic na to nie poradzę.

Deszcz ustał nagle i przez okna wpadł do pokoju wilgotny, nocny powiew. André wyrzwał w mrok.

- Spróbuję złapać nocną barękę do Nowego Orleanu.

Zapragnęła pożegnać się z nim inaczej, zakończyć rozmowę spokojnym akordem, jak w muzyce.

- Nie - poprosiła - nie odchodź w ten sposób.

- A jak mam odejść? Wydaje mi się, że zniosłem to nieźle, chociaż pierwszy raz w życiu dostałem kosza.

- Nie myśl tak o tym. Nie odrzuciłam twych oświadczeń. Oboje zdecydowaliśmy, że do siebie nie pasujemy, wcześniej czy później musiało do tego dojść. Naprawdę, André, za bardzo się różnimy.

Przełknął ślinę. Dostrzegła nagły skurcz gardła, jakby utkwiły tam duma i ból. Po chwili jednak André zdołał przywołać swą dawną wesołość.

- Nie ma sensu rozpaczać, prawda? Zostanie nam kilka przyjemnych wspomnień. Oczywiście, jeśli będziesz chciała do nich wracać. Ja - tak. Na pewno. Było uroczo, Miriam - póki się nie skończyło. - Jego wargi musnęły czoło Miriam. - A zatem przechodzimy do następnego etapu... - Zerknął na zegarek. - Lepiej się pospieszę. Mam tylko pół godziny do odjazdu.

Usłyszała, jak trzasnęły drzwi. Szybkie kroki, zgrzyt żwiru pod stopami. Szedł coraz szybciej, jakby chciał mieć to już za sobą.

A zatem opadła kurtyna. Czasami jednak publiczność, głęboko wzruszona obejrzaną przed chwilą sztuką, odczekuje chwilę, nim zabierze swoje okrycia i wyjdzie z teatru. Miriam siedziała nieruchomo. Jej oczy napełniły się piekącymi łzami, które jednak nie spływały po policzkach, lecz uparcie tkwiły pod powiekami, mącąc obraz pokoju.

Wreszcie usłyszała czyjeś kroki. To Eulalia przyszła schować brandy przed służbą. Widać było, że zżera ją ciekawość, nie odezwała się jednak ani słowem.

- Tak, Eulalio, odszedł. A ja nie miałam racji. Być może cię to ucieszy, a może o to nie dbasz. Ale i tak ci powiem. Popełniłam błąd. Myliłam się, choć nie w tym, o czym zapewne myślisz. - Nagle przypomniała sobie coś jeszcze. - Nigdy nie podziękowałam ci za to, że zachowałeś mój sekret. Zatem dziękuję teraz.

- Udzieliłaś mi schronienia - odparła sztywno Eulalia. - I szanuję pamięć twego męża. Podziwiałam go. Był prawdziwym południowym dżentelmenem.

- Tak, wiem - Miriam wyciągnęła rękę. - Zdaje się, że nadszedł dla mnie dzień prawdy. A zatem rozejm, Eulalio? Nigdy się nie pokochamy jak na siostry przystało, być może nawet nie będziemy się lubić, ale przynajmniej zawrzemy pokój?

Uścisnęły dłonie. W połowie drogi do drzwi, trzymając w ręce butelkę brandy, Eulalia zauważyła:

- Czy wróci teraz do swej żony?

- Sądzę, że tak.



Przed długi czas Miriam stała, wpatrując się w ogień. Ogień, podobnie jak woda, przyciąga uwagę, pobudza do rozważań. W płomieniach można ujrzeć całe swe życie. W kącie paleniska rzucony niedbale kawałek drewna na podpałkę zajął się nagle jasnym płomieniem, ożywiając na moment zamierający ogień. Trwała przed nim jak zahipnotyzowana. W migotliwym złocie odbijały się odległe lata. Raz jeszcze przeżyła dzisiejszy, tak oszałamiający dzień. Tak, mógłby z łatwością pozować do posągu, przedstawiającego Greckiego Młodzieńca. To był cały André, pełen blasku, który mógł oczarować kobietę, lecz nie zatrzymać ją na stałe. Uczucia wypaliłyby się szybko, tak jak zaraz zgaśnie nie podsycany niczym płomień.

Gabriel powiedział kiedyś: „Jak on mógł zrobić ci coś takiego... naiwną, niedoświadczoną kobietę... romantyczną, nieświadomą niczego dziewczynę... naraził na takie niebezpieczeństwo... gdyby tu teraz wszedł, mógłbym go zabić.”

Przesunęła dłoń po oczach, jakby chciała odegnać wspomnienie gniewu Gabriela. Zapytała samą siebie: „Dlaczego płaczę?” I odpowiedziała słowami André: „Było uroczo - póki się nie skończyło.”

Owszem, było wspaniale. Ale w tym wszystkim kryło się tak niewiele treści! Zbyt dużo czasu zajęło mi proste stwierdzenie tego faktu.

Nie płakała z żalu za André. Jeśli tylko zechce, zawsze znajdzie sobie inną. Gdziekolwiek się uda, do Londynu, Paryża, wszędzie będą wokół niego kobiety. Nie, nie warto tracić dla niego łez.

W końcu wypłakała swój smutek. Popiół poszarzał, w domu panowała cisza i Miriam powędrowała na górę, czując ulgę, która zawsze towarzyszy łzom.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI.

Każdy dzień przynosił nowe powitania. Powracający do domów żołnierze w mundurach, w szczątkach mundurów, pieszo lub konno, maszerując zdrowym krokiem i kuśtykając ciężko przemierzali piaszczysty szlak z północy i zachodu, podążali z biegiem rzeki i przekraczali wschodnie wzgórza.

- Przypomina mi to odwrót armii Napoleona, kiedy jeszcze byłem chłopcem - westchnął Ferdinand. - Podarte buty, bosa stopy. Niektórzy cieszyli się na myśl o powrocie do domu, inni szli tam z lękiem, niepewni tego, co zastaną. Zupełnie tak jak teraz.

Z pewnością Gabriel wsiadłby do pociągu i przyjechał tu do nich z Nowego Orleanu - oczywiście jeśli w ogóle miał się tu pojawić.

Wrócili synowie Pelagii. Z zakłopotaniem reagowali na powitanie matki, jej płacz i radość, bowiem uznali, że mężczyznom nie wypada się tak bardzo cieszyć z powrotu do domu. Krótkie młodzieńcze brody skrywały uśmiechy pełne ulgi.

- Jakaż jestem szczęśliwa! - krzyknęła ich matka, gdy obeschły już pierwsze łzy radości. - Biedna mama straciła ośmioro z jedenaściorga dzieci, a ja tylko dwóch z mojej siódemki! Odzyskałam moich chłopców! To prawda, nie mamy własnego dachu nad głową, ale przynajmniej żyją, są cali i zdrowi!

Zjawił się także syn Rosy, Henry, jakimś cudem nietknięty, choć brał udział w walkach w Georgii i z pewnością poznał najgorsze oblicze wojny. Wyglądał znacznie młodziej niż na swoje trzydzieści lat. Opalony i zahartowany, wyraźnie przyciągnął uwagę Angélique, która zeszła na kolację przybrana w ostatni jedwabny szal Pelagii i pożyczony od matki naszyjnik z granatów.

Dziewczyna rzadko widywała „odpowiednich” mężczyzn. „Kiedy byłam w jej wieku - pomyślała Miriam - już wmanewrowywali mnie w małżeństwo. Sądziłam wtedy, że jestem do tego gotowa, tak jak bez wątpienia uważa i ona. Tak jak ja wówczas, moja córka marzy o małżeńskim łożu. Muszę jej powiedzieć, żeby nie wpatrywała się tak w Henry'ego, bo zauważy to Rosa. A zresztą nie. Nic nie muszę jej mówić. Niech sama ułoży sobie życie.”

Rosa bezustannie wypytywała Henry'ego, czy słyszał coś może o Gabrielu. Nie usatysfakcjonowana jego zaprzeczeniami, nalegała, że przecież musi być

ktoś, kto coś wie. Trzeba znaleźć sposób, aby dowiedzieć się, co spotkało Gabriela po zamęcie ostatniej bitwy i późniejszej kapitulacji.

Miriam, która nie zadawała żadnych pytań, zaczęły co noc nękać niezwykle sny. Zaczęło się to od ogromnej tęsknoty, jakiej dotąd nie zaznała, nawet podczas rozstania z André. Była w niej czułość i smutek. Świadoma faktu, że śni, przyciskała do serca głowę mężczyzny, czuła na piersiach jego ciężar. Och, nie dajcie mu zginąć, nie pozwólcie, by ktoś go skrzywdził!

Wreszcie, pewnego dnia, otrzymali wiadomość. Przyniósł ją jeden z licznych piechurów, wędrujących nadbrzeżną drogą - syn farmera z okolic Beau Jardin. Już po ostatnich działaniach zetknął się przypadkiem z pułkownikiem Carvalho, który poprosił go o przekazanie następującej wiadomości: „Wyruszyłem na północ leczyć rany.” Chłopak nie potrafił udzielić odpowiedzi na żadne pytanie: jaka to była rana, czemu Gabriel nie napisał listu, kiedy wraca do domu.

Ale przynajmniej żył. Pozostawało jedynie czekać.

Zbliżała się pełnia lata, przynosząc z sobą niepokój i zniecierpliwienie. Wojna się skończyła. Czas wracać do normalnego życia, a to, w przypadku rodziny Raphaelów, oznaczało powrót do miasta. Gałąź Labouisse'ów zdecydowała się zostać na wsi.

Eugene stracił już zbyt wiele lat edukacji. Angelique znała jedynie spokój i ciszę głębokiej prowincji. Sądząc po jej reakcji na obecność Henry'ego de Rivery, była gotowa na przejście do następnego etapu życia. Co zaś do jej dziadka, to teraz, gdy kryzys minął, odwieczna pogoda i optymizm Ferdinanda zaczęły słabnąć.

Miriam stwierdziła kiedyś, nie tyle prosząc Ferdinanda o radę, co rozważając sprawę na głos:

- Sanderson pisze, że wrócił do miasta i, jak to określa, pozwolił sobie odwiedzić biuro i magazyny. Donosi, że są puste, ale w dobrym stanie. Muszę przyznać, iż mimo potworności wojennych, Butler nie zniszczył miasta, choć przecież z łatwością mógł to zrobić. Sanderson znalazł wśród listów zamówienie od stałego klienta z Anglii i załączony do niego czek. Uważa, że możemy zacząć na nowo, oczywiście bardzo powoli i ostrożnie.

Trzymała w palcach sztywny papier, wspominając, jak po raz pierwszy przewracały karty rejestru. Jak cudownie byłoby znów odbudować ich małe królestwo.

- Handel znów zacznie kwitnąć - stwierdziła. - Musi to nastąpić.

- Szkoda, że nie mogę ci nic poradzić - westchnął Ferdinand. W jego głosie brzmiała bezradność i żal.

- Zostaw to mnie, papo. W swoim czasie wystarczająco wiele zdołałaś - przypomniała mu udając, iż nie dostrzega, z jaką ulgą zastosował się do tej sugestii.

Pelagia pojechała wraz z synami, by zobaczyć, co zostało z Plaisance. Stary Lambert na własną prośbę pozostał w Beau Jardin. Nie chciał oglądać całkowitego upadku tego, co stanowiło treść jego życia.

- Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że Plaisance nigdy nie będzie już tym, co kiedyś - oznajmili ponuro po powrocie. - Ale nawet wzniesienie choćby niewielkiego domu, w którym można by zamieszkać, póki nie naprawi się wszystkich zniszczeń, zajmie co najmniej parę lat.

Perspektywy nie wyglądały różowo. I wtedy Miriam zaproponowała:

- Czemu nie mielibyście zostać tu, dopóki nie uda wam się choć częściowo doprowadzić Plaisance do porządku? Moglibyście zarządzać posiadłością, kiedy my wrócimy do miasta. Uprawiajcie ziemię, sprzedawajcie zbiory, a zarobki przeznaczcie na odbudowę waszego domu.

Pelagia, zawsze skłonna do łez, tym razem rozplakała się z wdzięczności.

- Jesteś dla nas taka dobra! Przyjęłaś nas tu, nakarmiłaś, a teraz jeszcze i to!

- Moja córka potrafi wszystko. Ma umysł mężczyzny - stwierdził z dumą Ferdinand.

„Umysł mężczyzny” - pomyślała Miriam z cierpkim rozbawieniem. Spojrzała na Pelagię i Eulalię, które czekały na to, co powie.

- Wy też dacie sobie radę. Pamiętacie, jak wasza matka opowiadała o swej praprababce i jej życiu w koloniach? Usłyszałam tę opowieść, gdy tylko po raz pierwszy zasiadłam przy jej stole. Dziesięć włók ziemi na wybrzeżu. Dom zbudowany z surowych bali, a świnie biegały po lesie w poszukiwaniu żołądki. Tak, pamiętam. Jakże była dumna ze swych przodków! Cóż, wasze życie nie będzie aż tak ciężkie... A zatem załatwione. Zostajecie.

Miriam wyszła samotnie na przechadzkę, aby rzucić ostatnie spojrzenie na posiadłość, której niegdyś tak bardzo nie cierpiała. Właśnie wyprowadzano bydło ze stodoły - krowy przepychały się przez bramę, zdążając na pastwisko. Synowie Pelagii zdołali już zaprowadzić pierwsze porządki - ustalili czas dojenia i uregulowali okresy zbiorów i orki. Dla nich było to normalne życie, nie coś, czego z trudem należy się uczyć. Z radością pozostawiała ziemię ludziom, którzy kochali tę pracę.

Szyf kręcił się po werandzie, doglądając ich skromnego bagażu. Nagle wspomniała dawne przyjazdy i wyjazdy z Beau Jardin, wozy pełne skrzyń i pakunków, woźniców w kapeluszach zdobionych piórami i wyszczotkowane tłuste konie w nabijanej ćwiekami uprzęży. Wszystko się zmienia. Wszystko.

Powędrowała w cień cyprysów i dębów, w dół, ku rozlewisku. Dzień był bezwietrzny, nawet wierzchołki topól trwały w bezruchu, a puchate główki trzciny na brzegu zatoki dumnie odbijały się w wodzie. Powierzchnia rozlewiska lśniła niczym czarne szkło, tu i ówdzie nakrapiane srebrem i brązem w miejscach, gdzie ostry promień słońca przebił się przez mrok. A przecież w tej z pozoru spokojnej głębinie czyhał senny aligator, wił się śmiertelnie groźny wąż.

„Zupełnie jak w życiu - pomyślała Miriam. - W pięknie czai się niebezpieczeństwo, a w groźbie - piękno”. Ruszyła do domu. Czas jechać.

Ktoś dotknął jej ramienia. To Angélique, trzymająca w dłoni pęk cynii z porzuconego ogrodu.

- Zanim wyjedziemy, musimy to położyć na grobie taty - oznajmiła z powagą. Oczywiście skierowały się na taras drugiego piętra, po czym powędrowały do miejsca, gdzie pośród traw pochowano zwłoki Eugene'a.

- Oczywiście - powiedziała.

Syn i córka złożyli kwiaty na grobie ojca. Poruszali się prawie bezszelestnie i rozmawiali przyciszonym głosem, jakby człowiek, leżący w cieniu różanego żywopłotu, mógł usłyszeć, że tu przyszli. Spoczywał teraz w swej umiłowanej ziemi, swym Beau Jardin.

Przystanąwszy nieco z boku, Miriam przyglądała się swym dzieciom. Już wkrótce rozpoczną dorosłe życie. Nie da się przewidzieć, kim zostaną, ale cokolwiek ich czeka, nastąpi to już niebawem. Nadszedł ich czas. Chłopak, przez ostatnie lata pozbawiony szkoły, stał się niezręczny, prosty i nieśmiały, niczym prawdziwy prowincjusz. I równie po chłopsku szczery. A może tak szczery i impulsywny jak Dawid?

Spojrzenie Miriam zatrzymało się na pochylonej głowie córki. Jej długie, ciemne włosy połyskiwały miedzianym brązem. Nagle schyliła się szybko, uklękła, by położyć bukiet, i wyprostowała się energicznie. Te niezwykle złociste oczy, które w twarzy jej ojca kryły w sobie tyle groźby i sekretów, u dziewczyny wyglądały powabnie i tajemniczo. Odziedziczyła dumę po ojcu, nie ma w niej jednak ani cienia jego pychy. Bez najmniejszej zazdrości matka stwierdziła, iż Angélique już teraz jest piękniejsza, niż ona sama kiedykolwiek była.

Chłopiec odmawiał Kadisz, jego głos załamywał się z przejęcia. Angélique wpatrywała się w trawiasty wzgórek, nad którym latały dwa trzmielce. „Jakże kochali swego ojca! - pomyślała Miriam. - Nie wiedzą, że oboje nie dochowaliśmy sobie wierności. Nie mają pojęcia, jak zostali poczęci, jak musiałam zaciskać zęby, by nie krzyknąć z wściekłości i bólu. I nigdy się nie dowiedzą. Był ich ojcem i dbał o nich. To tylko się liczy.”

Jakże go nienawidziła i jednocześnie żałowała! Nagle oświadczyła swym dzieciom:

- Kiedy skończycie dwadzieścia jeden lat, zdecydujecie, czy zatrzymać to miejsce. Ja go nie chcę.

Drogie miasto, kochany dom! Był w lepszym stanie, niż ośmielali się marzyć, choć smagane deszczem zasłony wyblakły, parkiety były zupełnie zrujnowane, cały ogród zarósł, a fontannę zasypały śmiecie.

W skrzynce leżał list. „Od Gabriela” - pomyślała z nagłą nadzieją Miriam. Ale nie. Był to list od Fanny.

Pisała z Waszyngtonu, gdzie pracowała w eleganckim domu jako opiekunka dzieci i „pomoc do wszystkiego”. „Robi to samo, co tutaj” - pomyślała Miriam

I czytała dalej.

„To dobrzy ludzie i wspaniałe miasto. Jestem tu szczęśliwa, ale nadal do was tęsknię. Nigdy panienki nie zapomnę i zawsze będę ją kochać. Fanny.” Imię napisała z wymyślnym zawijaszem.

„Jeszcze gdy była dzieckiem, nauczyłam ją pisać. Byłam jej nauczycielką, a ona, w pewien sposób, moją.”

- Za życie - powiedziała na głos. Szczególne to słowa, niemal modlitwa, stare hebrajskie błogosławieństwo. - Dla ciebie, Fanny - dodała cicho i odłożyła list.

Lato zmieniło się w jesień. Na gałęziach czerwieniły się owoce głogu i tarniny, a rześki wiatr unosił jasne obłoki po niebie błękitnym, niczym porcelana. Niedługo na ulicach pojawią się dzikie kaczkę, a coraz krótsze dni pociemnieją od deszczu.

Wzdłuż cmentarnego mury sterczały suche, wyblakłe hortensje, spalone ostatnim letnim słońcem. Miriam i Ferdinand stali przed ozdobnym grobem, który w dni dostatku został zakupiony dla Emmy. Długi czas Ferdinand wpatrywał się w inskrypcję.

CI-GIT EMMA RAPHAËL, NÉE DUCLOS.

BYŁA WSPANIAŁĄ MATKĄ I PRZYJACIÓŁKĄ. ŻYĆ BĘDZIE WIECZNIE W PAMIĘCI BLISKICH.

PASSANTS PRIEZ POUR ELLE.

Oczy Miriam powędrowały wzdłuż długich alejek grobowców, umieszczonych na bezpiecznej wysokości tak, aby nigdy nie dosięgły ich wody powodzi, przemknęły po nagrobkach, zdobionych płaczącymi aniołami, szklanych skrzynkach pełnych sztucznych kwiatów, aż wreszcie jej spojrzenie spoczęło na grobie Sylvaina Labouisse'a, zaledwie kilka metrów dalej. Stare konflikty! Straszna noc ucieczki Dawida. Pelagia odziana w czerń i Dawid, najłagodniejszy z ludzi, który nigdy nie zapomni, jak ją unieszczęśliwił.

Starzy nieprzyjaciele.

Obok przeszła para. Najwyraźniej turyści. Kobieta odezwała się z jankeskim akcentem:

- Osobliwe, nieprawdaż? Nigdy nie widziałam takiego cmentarza. I wszystko po francusku - całe miasto - zupełnie nie wygląda na amerykańskie.

- Przeciwnie - mruknął Ferdinand. - To było najbardziej amerykańskie z miast. Amerykański raj. Och, pamiętam, jak zszedłem ze statku, dźwigając ciężki wór. Tutaj nie istniały żadne podziały. Tu, jeśli tylko pracowało się ciężko, można było coś osiągnąć - westchnął.

- Z pewnością - odparła Miriam.

Ojciec pogładził płytę nagrobka, na której cherubin o pulchnej twarzy grał na trąbie.

- To była dobra kobieta.

- Miła i serdeczna. Kochałam ją. - Miriam zawahała się, po czym spytała: - Czy i ty tu spocznieś, papo, kiedy nadejdzie czas?

- Nie. Nie mówiłem ci? Już dawno temu wykupiłem dla siebie miejsce na cmentarzu Shanarai Chasset. - I na widok zdumienia widocznego na twarzy córki, dodał z dziwną mieszaniną nieśmiałości i dumy: - Jutro pójdę odmówić Kadisz za Eugene'a. I za wielu innych. Tak, za wielu.

Kiedy szli z powrotem do oczekującego powozu, ciągnął dalej:

- Wiesz, jest jeszcze coś, co dotyczy Ameryki, a czego chyba nigdy nie dostrzegłem.

- Co to takiego?



- Tu nie musisz zapierać się swego pochodzenia, zapominać o tym, kim jesteś. Możesz wtopić się w resztę, zachowując swą tożsamość. Zresztą - dodał - i tak nigdy nie można uciec od samego siebie.

- Ale ty nie chcesz już uciec? - przerwała.

- Nie, nie... - i zwrócił ku córce pełne smutku, bystre, niemal młodzieńcze spojrzenie. - Być może starzeję się i chcę pogodzić się ze światem. Coraz częściej wspominam twoją matkę i wszystko to, co tak wiele dla niej znaczyło. Zresztą wiesz o tym już od dość dawna. A także, rzecz dziwna, myślę o Judzie Touro, którego prawie nie znałem, o tym, jak wrócił do swych korzeni. Co się z nim stało? Może i nas wszystkich czeka to na starość? Kto wie? Pewnie mamy to we krwi.

Miriam przypomniała sobie, że Gabriel też mówił coś na ten temat. Twierdził, iż ludzie często pragną zapomnieć o starych lękach i poniżeniach, które spotykały ich w Europie, ale przy okazji tracą też wszelkie cenne wspomnienia. Tak, to właśnie powiedział.

I pomyślała: „Czemu tak długo nie wraca do domu.”

- Chciałbym zobaczyć twojego brata - oznajmił Ferdinand. Ostatnio często to powtarzał. - Ciekaw jestem, czy kiedykolwiek jeszcze go ujrzę.

- Chyba tak.

- Powiedziałbym mu, że dziś rozumiem więcej niż kiedyś. Potrzebowałem tej strasznej wojny, aby zrozumieć mojego syna! Oczywiście miał rację, choć obrał nie najroztropniejszą drogę do celu. Mimo wszystko jednak postępował zgodnie z własnym sumieniem, tak jak zawsze powtarzałaś.

„Zgodnie z własnym sumieniem - pomyślała. - Tak jak Gabriel.” Naraz ogarnęły ją wspomnienia o Gabrielu, urywki scen, zatrzymane w pamięci. Cylinder wypchany papierami, ucieczka Dawida przez niesamowite, ponure ulice, pokój w przerażającej dzielnicy Richmondu i obejmujące ją ramiona.

Maxim pogonił konie, parę zmęczonych kucyków, kupionych tanio od władz okupacyjnych, które dzięki temu oszczędzały na transporcie. Powóz zatrzeszczał i ruszył. Z siedzeń wyłaziło włosie.

- Porządnie go zniszczyli - narzekał Ferdinand. - Pamiętam dzień, kiedy go kupiłem, i jak Eugène uratował go w dniu mojej katastrofy. Tak mu byłem wdzięczny! W swoim czasie ten powóz był naprawdę piękny. Zawsze lubiłem jaskrawe kolory, czerwone koła, dobrą skórę. Kosztowne rzeczy - zaśmiał się ze smutkiem.

Nierówny stukot końskich kopyt rozbrzmiewał głucho w wąskiej uliczce.

- Dużo czasu minie, zanim to miasto odżyje - stwierdził Ferdinand.

- Ale w końcu tak się stanie, papo. Jeśli chodzi o nas, mogłoby być gorzej. Przynajmniej mamy własny dom.

- To prawda. Dom. I twoje urocze dzieci. Wiesz, często wyobrażam sobie, jak Angélique bierze ślub w ogrodzie. Może z Henrym Rosy, co o tym sądzisz? Tak, aby nie zginął stary ród, szlachetna sefardyjska linia?

Dziwna uwaga u kogoś, kto wśród swoich przodków nie miał ani jednego szlachetnego Sefardjczyka. To cały papa! Pomimo wszelkich przeciwności nadal dążył do chwały, albo przynajmniej swej własnej wizji chwały. Stłumiła rozbawienie.

- Sama nie wiem - odparła i nagle zmarszczyła brwi: „Znow małżeństwo! Angélique ma dopiero szesnaście lat. Och nie, nie tak szybko, to byłby kolejny błąd w starym stylu! Nie, jeśli tylko potrafię temu zapobiec!”

- I myślałem też o tobie, Miriam. Jesteś jeszcze bardzo młoda, zbyt młoda, by żyć samotnie. Przypuszczam, że masz już dosyć mojej gadaniny na ten temat. Czy uwierzysz, że przez pewien czas podejrzewałem, iż między tobą a Perrinem coś by mogło być, oczywiście gdyby rozwiódł się z żoną, a krążyły takie plotki. Emma o nich wspominała. Rad jestem, że się myliłem.

- Wydawało mi się, że go lubisz, że odpowiada ci jego towarzystwo.

- O tak! Ma taki zaraźliwie dobry humor. Ale jakoś nie pasował do ciebie. „Dziwne, że nie dostrzegł tego, gdy wychodziłam za Eugene'a” - pomyślała. Nie

odpowiedziała i ojciec zorientował się, że dotknął bolesnego punktu. Przez resztę drogi milczeli.

Tego samego dnia Syzyf, przyodziały w lokajską liberię - uparł się, aby ją nosić, choć brak mu już było sił do pracy - podawał właśnie podwieczorek, gdy w ich ulicę skręcił czyjś wierzchowiec i zatrzymał się przy krawężniku. Z jego siodła zeskoczył jakiś mężczyzna, przywiązał konia do słupka i ruszył w stronę domu. Syzyf omal nie upuścił dzbanuszka ze śmietanką.

- Ależ to chyba pan Gabriel! - krzyknął. - Tak, z pewnością!

Wszyscy zerwali się na nogi. Miriam pierwsza zbiegła ze schodów, pierwsza zawołała jego imię i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Gabrielu...

Lewy rękaw zwisał pusty. Przeraziła się i wyjąkała:

- Twoja ręka...

- W ostatniej bitwie. Pod Five Forks, zanim padł Richmond.

- Twoja ręka! - Jeszcze chwila i się rozsłocha.

- Nie trzeba, nie trzeba - upomniął ją łagodnie. - Przeżyłem i jestem za to wdzięczny losowi.

Weszli do domu. Angélique i Eugène, Miriam, Ferdinand i Gabriel, a za nimi Syzyf, równie wstrząśnięty jak państwo.

- Wejdź do środka, usiądź. Niech ci się przyjrzę - nalegał Ferdinand.

- Twoja ręka - powtórzyła Miriam.

Ferdinand starał się zachować pogodę ducha, żeby oszczędzić nerwów córce.

- Gdzie byłeś? Czekamy od kilku miesięcy.

- Pojechałem na północ. W sprawie mojej ręki - i jeszcze kilku rzeczy. Miriam opanowała się, z najwyższym trudem odrywając wzrok od pustego rękawa. Wpatrzyła się w twarz Gabriela. Uprzejmie wysłuchiwał podnieconej paplaniny Ferdinanda. Nadal dostrzegała u niego pewną powściągliwość. Nigdy nie miał ruchomej, wyrazistej twarzy. Panował nad swymi uczuciami.

Pomyślała, że jeszcze nigdy nie widziała tak pięknej męskiej twarzy. Dopiero teraz to stwierdziła.

- Napijesz się brandy czy wina? Mamy jeszcze ze dwie butelki. Nie zostawili nam zbyt wiele. - Jak zwykle Ferdinand natychmiast wszedł w rolę idealnego gospodarza.

- Nie, dziękuję, herbata zupełnie wystarczy.

- Kiedy pomyślę o starej gościnności... - zaczął Ferdinand, po czym urwał gwałtownie. - Rzecz jasna wróciłeś już na stałe?

- Tak. Złożyłem przysięgę i uzyskałem zwolnienie.

Przez moment nikt nie wiedział, co jeszcze rzec. Eugène i Angélique zafascynowani wpatrywali się w siedzącego przed nimi bohatera wojennego. Pomimo radykalnej zmiany stosunku do wojny, chłopiec nadal podziwiał weteranów.

Wreszcie ciekawość zwyciężyła:

- Jak wygląda takie zwolnienie?

- Skomplikowana sprawa - uśmiechnął się Gabriel. - Mnóstwo słów.

- Deklaracja amnestyjna prezydenta Johnsona?

- Nie, na jej podstawie uzyskali wybaczenie jedynie zwykli uczestnicy „nieszczęśnej rebelii” - jak to zostało tam określone - o ile nie byli wyższymi oficerami i nie posiadali podlegającego opodatkowaniu majątku, wartego co najmniej dwadzieścia tysięcy dolarów. No cóż - dodał z uśmiechem - z pewnością mój majątek nie jest wart nawet ułamka tej sumy. Miałem jednak

wysoki stopień oficerski, toteż musiałem ubiegać się o amnestię indywidualnie.

Zapadła cisza, gdy zebrani przetrawiali te informacje. Wreszcie Ferdinand spytał:

- Ten Johnson nie jest taki jak Lincoln, prawda?

- Nie. Obawiam się, że pod jego rządami będzie nam się znacznie gorzej powodzić.

- Lincoln był tylko człowiekiem - stwierdził nieśmiało Eugene.

- To prawda. I naszym największym przyjacielem na Północy.

- Nigdy nie przypuszczałem, że usłyszę od ciebie takie rzeczy! - zawołał Ferdinand.

- Jest wiele rzeczy, o które sam nigdy bym siebie nie podejrzewał.

Słowa, setki słów przelatowały mimo uszu Miriam. Słuchała ich nieuważnie. „Ależ to takie proste! - pomyślała. - Czemu nie dostrzegłam tego wcześniej?”

Jego obecność czuło się w całym pokoju. Wszyscy inni niknęli gdzieś w tle, razem z wypowiedzianymi przez nich słowami. Znikały meble, nawet same ściany rozwiały się w nicość, pozostawiając jedynie ciepłe popołudniowe światło i Gabriela w samym centrum. Nagle przyszła jej do głowy szczęśliwa, a jakże niemądrymyśl: „Dobrze, że zmieniłam suknię. Chcę wyglądać ładnie. Wtedy dostrzeże, jak bardzo się cieszę.”

- Wojna zmieniła nas wszystkich. Czy wiecie, że taniej byłoby wykupić wszystkich niewolników i wyzwolić ich? Tak, dużo taniej. Różnice, jakie nas dzieliły, nie były warte wojny. To politycy do niej doprowadzili.

- Dlaczego więc tego nie zrobiono? - zainteresował się Eugene.

- Czego?

- Nie wykupiono niewolników?

- Nie, to by było zbyt proste! Poważnie mówiąc, istniało więcej powodów. Jednym z nich są pieniądze. Jak zawsze.

- Honor i chwała - mruknęła. Słowa te same cisnęły jej się na usta. - Więc jednak nic to nie znaczy.

- Owszem - przyznał Gabriel - wojna nie przynosi ze sobą chwały, to prawda. Ale honor to co innego. Prawdopodobnie to jedno nam zostało - wyprostował się. - Zaczęliśmy z honorem i z honorem skończyliśmy, jak mówi Dawid.

- Dawid? Rozmawiałeś z Dawidem? - wykrzyknął Ferdinand.

- Tak, spotkałem go w Nowym Jorku.

- Opowiedz nam! Opowiedz wszystko! - nalegał Raphael.

- Wygląda całkiem nieźle. Wyzdrowiał już zupełnie, jedyną rzeczą, jakiej nie odzyska, są stracone zęby. Tak przy okazji, słyszałem, że Wirz, ten diabeł, który dowodził słynnym obozem w Andersonville, został postawiony przed sądem wojskowym. Ma odpowiadać za swe zbrodnie.

- I co jeszcze? Czy wraca do domu?

- Jestem pewien, że wkrótce złoży nam wizytę - odparł Gabriel. - Ale dom Dawida jest na Północy. Chyba o tym wicie.

- A zatem otwiera praktykę w Nowym Jorku? A może gdzie indziej?

- Chyba jeszcze sam nie jest tego pewien. Pozostał tym samym Dawidem, którego wszyscy znamy. - Gabriel uśmiechnął się ciepło. - Zaczyna nową kampanię.

- Kampanię?

- Tak. Twierdzi, że niewolnictwo płacowe jest niewiele lepsze od dawnego. Oznacza po prostu sprzedawanie swego czasu na raty. Przygotowuje się do walki.

- Chce z tym walczyć? Ale jak? - spytał z niedowierzaniem Ferdinand.

- Pragnie doprowadzić do podniesienia płac, które niekiedy rzeczywiście wołają o pomstę do nieba. No i pozostają jeszcze warunki sanitarne w najuboższych dzielnicach, brak zabezpieczeń w fabrykach, praca dzieci i cała długa lista nieszczęść. Chciałby zająć się wszystkimi.

- Dobry Boże - mruknął Ferdinand.

- Biedny papa! - wtrąciła kpiąco Miriam. - Chyba już czas, abyśmy przywykli do Dawida, nie sądzisz?

- To nasz gniewny prorok - stwierdził Gabriel i dodał już poważniej: - Świat potrzebuje takich ludzi, którzy spoglądają daleko w przyszłość. I, dzięki Bogu, w Ameryce nigdy ich nie brakowało.

- Tak jak i wśród Żydów - westchnął Ferdinand. - Ludzie tacy jak on stanowią trzon naszej wiary.

Miriam ze zdumieniem spojrzała na ojca.

- Cóż, może się starzeję, ale jeszcze nie wszystko zapomniałem.

- To bardzo demokratyczna wiara - powiedział cicho Gabriel - bardzo amerykańska, jeśli się nad tym zastanowić.

Urwał i wpatrzył się w okno. Uschnięta gałąź drzewa postukiwała w drewnianą ramę. Milczał tak długo, że reszta obecnych także skierowała tam wzrok, dostrzegli jednak tylko suche liście. Nikt nie przerywał jego zamyślenia.

- A zatem - oświadczył wreszcie Gabriel - znów zaczynamy budować. Nadchodzi nowe pokolenie. Zanim się obejrzymy, będzie tu lepiej niż kiedykolwiek.

- To samo powiedział w zeszłym tygodniu rabi Gutheim - dorzucił Eugène. Angélique, która od dłuższej chwili uważnie studiowała twarz Gabriela, zawołała nagle:

- Wiecie, właśnie coś zauważyłam. Wyglądasz zupełnie jak Lincoln! Wybuch powszechnego śmiechu rozładował napięcie. Gabriel skłonił się komicznie.

- W wielu kręgach nie uznano by tego za komplement, panno Angélique. Aleja przyjmuję go z wdzięcznością.

Ferdinand wstał.

- Wybaczcie mi, mam wiele pracy. Eugène, Angélique, chodźcie, wy też macie mnóstwo zajęć.

Miriam wiedziała, że nie mieli nic do roboty, ale ojciec widać koniecznie chciał zostawić ich samych. Powiedziała pierwszą rzecz, jaka przyszła jej na myśl:

- Czy boli cię ręka? Słyszałam, że nawet po...

- Tylko odrobinę. Lecz Dawid twierdzi, że i to minie - wyjaśnił. - Stany Zjednoczone zaopatrują swoich żołnierzy w darmowe protezy, ale naszej strony na to nie stać. Będę więc musiał sam jakoś ją zdobyć. Całe szczęście, że to nie noga.

Nachylił się, aby pogłaskać psa, który leżał tuż obok fotela. Miriam wiedziała, że potrzebował pretekstu, by ukryć emocje, które ujawniły się w nerwowym drganiu policzka.

Pytania, strzępy dawnych rozmów, dumne idee, mroczne niepokoje i problemy - wszystko to żyło w ich pamięci, dźwięczało w panującej ciszy. Nagle uświadomiła sobie, iż również Gabriel musi wspominać te zjawy minionych lat, które teraz czaiły się wokół nich.

Po kilku minutach zmusiła się, aby przemówić.

- Nie pisałeś - upomniała go łagodnie. - Mogłeś kogoś poprosić i podyktować mu list.

- Sam mogę pisać - odparł szybko. - Nadal mam prawą rękę.

- Czy się zmieniłeś? - spytała i natychmiast z całej siły zapragnęła cofnąć to absurdalne pytanie. Słowa, brzmiące niezbyt jasno, miały w istocie znaczyć: czy nadal czujesz do mnie to samo?

Gabriel zrozumiał je inaczej:

- Oczywiście, że się zmieniłem. Musiałem się zmienić przez ostatnie lata. Widziałem ludzi, którzy oddawali resztki swojej morfiny rannemu nieprzyjacielowi, i - wybaczą mi szczerość - ogarniętych szalem żołnierzy, obcinających rannym języki. A ty pytasz, czy się zmieniłem?

Nerwowo obracała na palcu szafir Emmy. Jej dłonie jeszcze zeszczipały od czasu, gdy dostała i tak już za luźny pierścionek.

- Przepraszam. To głupie pytanie.

- Owszem... ale udzieliłem niewłaściwej odpowiedzi - odrzekł pośpiesznie.

- Czasami zbyt łatwo się irytuję. Muszę się opanować, ale to będzie wymagało pewnego wysiłku...

- Co teraz zrobisz? - spytała delikatnie.

Z początku nie odpowiedział. Ledwie usłyszał jej pytanie. Siedziała tak blisko.

Oto ona, jego biblijna Rebeka, dokładnie taka, jak ją zapamiętał. Piękne, błyszczące oczy, wydatny nos i kontrastujące z nim delikatne, dziecinne usta.

Z jej ust spływają słowa mądrości, a język głosi dobro i radość.

W Richmondzie przytulił ją, złożyła mu głowę na ramieniu. Lekki, braterski uścisk - zupełnie nie taki, o jakim marzył. Ani wtedy, ani teraz. Pod licznymi warstwami materiału, sutą spódnicą, idiotycznym drucianym rusztowaniem, czekało... Nie na niego, na innego mężczyznę, niewartego jej jednego spojrzenia.

Z trudem się opanował. Spytała, co zamierza robić. Przeniknęła go gorycz, najsilniejsza od czasu, gdy go zraniono. Jaki ma wybór? Spróbował poruszyć palcami lewej dłoni i całą nie istniejącą rękę przeszył nagły, palący ból.

Dobrze, że to tylko lewa ręka. Ale gdyby stracił prawą, czy zdołałby opanować sztukę pisania? Jego dłoń dygotałaby z wysiłku, jak u małego dziecka, po raz pierwszy trzymającego w palcach pióro.

Wrócił do rzeczywistości. Miriam nadal czekała na odpowiedź.

- Oczywiście nadal będę zajmował się prawem. Spróbuję otworzyć praktykę. A ty? - Nie spojrzał na nią, ale na podłogę, po której niczym złociste konfetti tańczyły plamki słońca, przenikające przez liście drzewa za oknem. - Dawid powiedział mi, że on wkrótce będzie wolny.

- Masz na myśli André?

- André - potwierdził Gabriel, zmuszając się, by powiedzieć to imię.

- Już jest wolny - wydało jej się, że jej głos nie wytrzyma napięcia. - Wyjechał. Chyba wrócił do Europy.

Przez moment Gabriel milczał. Wreszcie, bardzo cicho, powiedział:

- Tak mi przykro, Miriam.

- Przykro ci? Dlaczego?

- Bo cię to zraniło.

- Ależ nic podobnego, Gabrielu. To ja go odprawiłam. Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Ależ tak! Bo widzisz, odkryłam, że... Och, zabrało mi to tak wiele czasu, ale stwierdziłam, że to tylko złudzenie.

- A zatem z tym już koniec - stwierdził Gabriel.

- Tak, koniec! I mam ci tak wiele do powiedzenia!

Nagle wydało jej się, że musi błagać o wybaczenie za to, jaka była ślepa i głupia, że nie dostrzegła, jaki jest naprawdę, tak długo nic nie rozumiała.

- Wybacz mi - szepnęła i rozplakała się.

Przyniosła stołeczek i usiadła przed nim. Ujęła jego dłoń, przytuliła do policzka.

Bez wahania i wstydu wymawiała słowa miłości, po francusku, bowiem w tym właśnie języku brzmiały one najpiękniej.

- Je t'aime... Kocham cię. Naprawdę kocham.

Pogłaskał jej włosy. Czowała ciepło bijące od jego dłoni. W nagłej ciszy wyraźnie słysząc było jego oddech. Milczał jednak.

- Chcę za ciebie wyjść, Gabrielu. Pragnę długiego, spokojnego, cudownego życia z tobą, chcę być u twego boku przez cały czas, jaki nam pozostał. Jesteśmy młodzi, nadal możemy...

Gabriel odwrócił głowę. Słyszała, jak mówi do siebie:

- Teraz! Wielki Boże, teraz! Wreszcie, silniejszym głosem, powiedział:

- Nie, moja najdroższa, nie mogę. Nie teraz, nie w takim stanie. Zerwała się z krzesła.

- Co to ma wspólnego z nami? Czy myślisz, że dbam o to? Albo o cokolwiek innego, poza...

- Wiem, że nie. Ale cóż to za jednoręki narzeczony, który musi zaczynać wszystko od zera... Nie o tym marzyłem dla ciebie!

- Mylisz się! Jesteś uparty i nie masz racji! Powiedz - czy jest jakiś inny powód? To przez niego, przez André? Może już mi nie ufasz i boisz się to powiedzieć?

- Ufam ci. Powierzyłbym ci własne życie.

- A zatem zrób to!



Gabriel wstał. Podeszła do niego, błagając nie tylko słowami, ale i wzrokiem, gestem wzniesionych rąk.

- Kochasz mnie?

- Nad życie.

- Więc weź mnie. Nie możesz tak po prostu odejść. Poczula na ramieniu silny uścisk jego dłoni. A jednak...

- Widzisz? Nawet nie mogę porządnie cię objąć. Nic nie mogę ci dać. Nie mam nawet pierścionka.

- Co mnie obchodzi pierścionek!

- Nie dręcz mnie, Miriam. Proszę - pogładził jej płonący policzek. - Chcę... chciałem... - Jego głos zadrżał. - Ale teraz... Pozwól mi odejść. - I odsunął ją delikatnie.

Brakło jej słów. To wszystko było takie nierzeczywiste. Czując nagły zawrót głowy, oparła się o krzesło, podczas gdy Gabriel wypadł do holu. Kiedy trzasnęły frontowe drzwi, podeszła do okna. Obserwowała go oczami, w których nie pojawiła się ani jedna łza. Patrzyła, jak idzie ścieżką i wsiada na konia, słyszała tętent oddalających się kopyt. Gdy zniknął za rogiem, zasunęła firanę.

„Kiedyś patrzyłam, jak odjeżdża inny mężczyzna, i czułam smutek, ale teraz to co innego. To moje serce płacze.”

- Co takiego? - spytał wesoło Ferdinand. M usiał czekać w salonie naprzeciwko. - Gabriel już pojechał, tak szybko? Coś się stało?

- Poprosiłam go tylko, aby się ze mną ożenił - odparła bezbarwnym głosem.

- Ty? Zaraz, chwileczkę. Ty go poprosiłaś?

- Właśnie.

Ojciec nie posiadał się ze zdumienia. Odrzucił w tył głowę i roześmiał się tubalnie.

- Poprosiłaś go, aby się z tobą ożenił? Jesteś chyba jedyną kobietą na świecie, która odważyłaby się na coś podobnego! Ty i twój brat! Nigdy nie przestaniecie mnie zaskakiwać. Dawid będzie taki szczęśliwy! Wyobrażasz sobie jego minę? Powiedz, kiedy ślub? Mam nadzieję, że wkrótce.

- Papo, on mi odmówił.

Ferdinand wpatrzył się w nią oszołomiony.

- Odmówił! Wielkie nieba! Rosa mówiła mi, kazała przysiąc, że nikomu nie powiem, mówiła...

- Rosa i jej tajemnice!

- ..że kochał cię, odkąd...

- Póki nie stracił ręki.

- Nie rozumiem - Ferdinand był wstrząśnięty. - To nie powinno stanowić żadnej przeszkody, jeśli tobie nie wadzi.

- Duma, papo. Istnieje coś takiego, jak męska duma, a on ma jej zbyt dużo. Trochę to potrwa, zanim go przekonam.

Ferdinand objął córkę. Jego czoło zmarszczyło się niespokojnie.

- Tak mi przykro, kochanie. Zbyt wiele przeszłaś w swoim krótkim życiu.

- Znaczna część z tego była wyłącznie moją winą, papo, choć nie wszystko.

- Co teraz zrobisz?

- Co zrobię? Przekonam go, ot co. Ale teraz, jeśli pozwolisz, chciałabym pobyć sama.

Odsunął się, przepuszczając ją na schody. Miriam zeszła na dół, do starego ogrodu, gdzie spotkało ją tak wiele ważnych rzeczy.

Afrodyta nadal stała na swoim miejscu. Gołębica u jej stóp została zniszczona, lecz Ferdinand własnoręcznie oczyścił sadzawkę i woda spływała do niej jak zwykle, po dwóch stopniach, przypominających falbanki sukni. Miriam usiadła na ławeczce i trwała tak bez ruchu, póki jej serce nie zwolniło biegu, a oddech nie ucichł. Woda szemrała i szeptała, zza muru dobiegały głosy przechodniów. Na ulicę powróciło życie, życie starego, jakże starego miasta nad cierpliwą brązową rzeką.

Tu jej dzieci stawiały pierwsze kroki. Tu przysiadła po raz pierwszy, odwiedzając ten dom, w którym zaczęło się jej dorosłe życie. Wspomniała dom swego ojca, wspaniałe niczym pałac, gdy kurczowo ściskając rękę Dawida przybyła do tego obcego kraju. Przypomniała sobie naukę dziwnych języków na pokładzie kołyszącego się żaglowca, nieskończoną tafelę oceanu i przemoczonego Gabriela, tulącego do siebie drżącego psa.

Jak długą drogę przebyła! Na szczyt i w przepaść, i znów na szczyt. Teraz ponownie sięgnęła do dna.

- Ale tak wiele się nauczyłam - powiedziała głośno. Przełknęła ślinę, aby pozbyć się ucisku w gardle. - Potrafię dokonać tego, czego chcę. Tak wiele osiągnęłam! Nigdy nie sądziłam, że mogę tyle zdziałać. I potrafię sprawić, by zmienił zdanie. Tak, Gabrielu, potrafię.

Na jej ręce usiadł motyl. Jego rozłożone skrzydełka, sztywne niczym napięte żagle, miały barwę opalizującego brązu. „Pewnie to pospolity admirał” - pomyślała zaskoczona, że pamięta ilustrację z jednej z ogromnych

ksiąg Dawida. Piękne, delikatne skrzydełka miały wzór orientalnego jedwabiu. Wszystko składa się na jakiś wzór, całe życie, lecz czasem trudno nam go dostrzec, bowiem sami stanowimy jego część.

Zdołała się uśmiechnąć. Czyż Fanny nie powtarzała zawsze, że to dobry znak, gdy usiądzie na tobie motyl?

Motyl zadrżał i poderwał się w powietrze. Pożegłował w stronę krzaków, mignął i znikł w srebrzystozłotej popołudniowej poświacie.